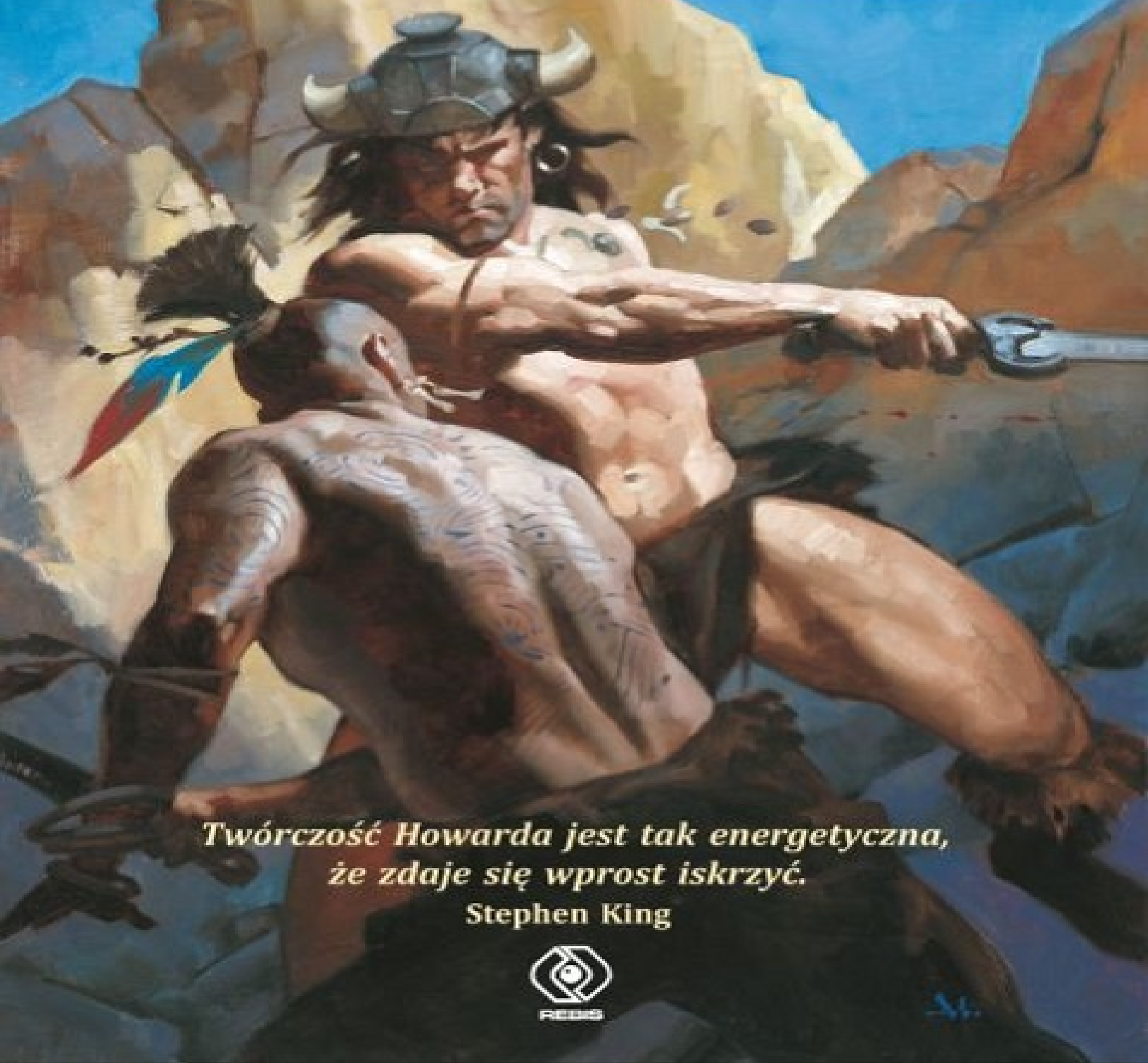


ROBERT E. HOWARD

CONAN[®]

I MIECZ ZDOBYWCY



*Twórczość Howarda jest tak energetyczna,
że zdaje się wprost iskrzyć.*

Stephen King



ROBERT E. HOWARD

CONAN[®]

I MIECZ ZDOBYWCY



Ilustrował Gregory Manchess

Przełożył Tomasz Nowak



DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ



*To dla Brodie i Cody'ego Goheenów,
moich modeli Conana i jego świata.*

*Wasza ekscytacja tą książką oraz
entuzjazm dla mojej pracy
nadal mnie inspirują
Gregory Manchess*

W HOŁDZIE ROBERTOWI E. HOWARDOWI

Uwielbiam te książki. Howard ma styl szorstki, tętniący życiem – to pisarstwo, które mieczem wycina sobie drogę wprost do serca, zaludnione naprawdę ponadczasowymi bohaterami. Z wielkim zapalem polecam je każdemu miłośnikowi fantasy.

David Gemmell, autor powieści *Legenda* oraz *White Wolf*

Wyraziste brzmienie narracji Roberta E. Howarda nadal, po tylu dekadach, oddziałuje na czytelników w równej mierze, gdy chodzi o dźwięczącą stal, grzmiący tętent końskich kopyt czy bryzgającą krew. Wykreowany przez niego Conan to prawdziwie wielka postać poszukiwacza przygód, daleka od stereotypów. Jego niesamowita muskulatura i budowa, gorący temperament oraz lubieżny śmiech stały się standardami, z którymi muszą mierzyć się wszyscy współcześni bohaterowie.

Eric Nylund, autor powieści *Halo: The Fall of Reach* oraz *Signal to Noise*

Cudowny gawędziarz Robert Howard stworzył po prostu giganta [Conana], w którego cieniu muszą znaleźć się wszystkie inne opowieści o bohaterach.

John Jakes, autor bestsellera z listy „New York Timesa” – trylogii „Północ i Południe”

Co do absolutnego, żywego strachu... Jakież inny pisarz może równać się w swych dokonaniach z Robertem E. Howardem?

H.P. Lovecraft

Howard... ubarwiony najbardziej zamaszystymi ciosami, jakie można sobie wyobrazić. Masa mieniącej się czerni, która niesie zagrożenie, lodowato błękitna energia tryskająca od głównego bohatera, a pomiędzy nimi pasmo szkarłatu stworzone przez walkę, furję i krew.

Fritz Leiber

Zapomnij o Schwarzeneggerze i o filmach. Oto jest czyste pulp fiction z lat trzydziestych XX wieku, zanim polityczna poprawność i rozmaite grupy nacisku zaczęły dyktować nam kierunki w sztuce. Miecze wirują, wnętrzności płyną, a kobiety mdleją.

„Men's Health”

Howard pisał literaturę wszelkiego rodzaju, dla każdego rynku, który tylko go zechciał, lecz jego prawdziwą miłością były opowieści niesamowite. Wniósł tyle fermentu, nowych, stałych odtąd elementów do fantasy, że zmienił kierunek jej rozwoju w Ameryce. Jego odejście od literatury szlachtetnej i statycznego ukazywania rzeczywistości ma tę samą wagę co zmiany, jakie do nurtu amerykańskiej powieści detektywistycznej wnieśli Hammett, Chandler czy inni autorzy z kręgu czasopisma „Black Mask”.

Michael Moorcock, autor uhonorowanej wieloma nagrodami sagi o
Elryku

Wigor, szybkość, żywotność – to elementy, w których sztukę Roberta E. Howarda trudno prześcignąć. No i jeszcze to wściekle galopujące tempo narracji.

Poul Anderson

Howard szczerze wierzył w podstawowe prawdy, na których zasadzają się

jego opowieści. To tak, jakby mówił: „Tak właśnie wyglądało normalne życie w tych minionych, dzikich czasach”.

David Drake, autor zbioru opowiadań *Grimmer Than Hell*, redaktor antologii *Dogs of War*

W materii nieustannych, toczących się w szalonym tempie przygód oraz soczystych, wręcz kwiecistych scenerii nikt nawet nie zbliżył się do Howarda.

Harry Turtledove

Słudzy Bit-Yakina (The Servants of Bit-Yakin)

Pierwsza publikacja w „Weird Tales”, marzec 1935 (jako *Jewels of Gwahlur*)

Za Rzeką Czarną (Beyond the Black River)

Pierwsza publikacja w „Weird Tales”, maj i czerwiec 1935

Czarny przybysz (The Black Stranger)

Oryginalna wersja opublikowana po raz pierwszy w antologii *Echoes of Valor*, Tor, 1987

Ludożercy z Zambouli (The Man-Eaters of Zamboula)

Pierwsza publikacja w „Weird Tales”, listopad 1935 (jako *Shadows in Zamboula*)

Czerwone ćwieki (Red Nails)

Pierwsza publikacja w „Weird Tales”, lipiec, sierpień–wrzesień oraz październik 1936

Od tłumacza i redaktora wydania polskiego

Tak jak w dwóch poprzednich tomach – *Conan i pradawni bogowie* – oraz *Conan i skrwawiona korona* – niniejsza edycja zachowuje pochodzące z wydania oryginalnego zasady redakcji. Chcieliśmy polskiemu czytelnikowi po raz pierwszy ukazać teksty Roberta E. Howarda w takiej postaci, w jakiej wyszły spod ręki autora.

Miejsca, w których czytelnik mógłby dopatrywać się błędów, zostały oznaczone [sic!]. Najwięcej ich można znaleźć w *Variach*. Stosowanie kursywy i dużych liter – nawet niekonsekwentne – jest zgodne z wolą autora, który chciał zwrócić uwagę albo położyć nacisk na określone słowo lub zwrot. Do tej kategorii należą również charakterystyczne dla jego stylu powtórzenia, a także zamiłowanie do niektórych określeń.

Nie lada gratką trzeciego, ostatniego tomu przygód Conana są dwie wersje (A i B) *Wilków za granicami*. Na ich przykładzie można przyjrzeć się procesowi twórczemu Roberta E. Howarda i prześledzić ewolucję tekstu – zmiany, jakie autor wprowadzał. Z podobną sytuacją czytelnik będzie miał do czynienia w przypadku *Czerwonych ćwieków*, z tym że tutaj wersję odtworzoną z maszynopisu można porównać z wersją ostateczną, opublikowaną w magazynie „Weird Tales”.

Podobnie jak w dwóch poprzednich tomach dociekliwi czytelnicy znajdą jeszcze więcej takich ciekawostek. Mamy nadzieję, że świadomie pozostawione wbrew późniejszym zmianom oraz ingerencjom, sprawią one, iż lektura i odkrywanie na nowo fascynującego świata epoki hyboryjskiej staną się źródłem wielu emocji. Przy okazji czytelnicy poznają warsztat Roberta E. Howarda i w pełni docenią jego starania o to, by Conan, którego odkrył dla świata, wypadł jak najlepiej.

Przedmowa

W zasadzie nie znałem Conana. Och, widziałem filmy i oglądałem ilustracje, i uważałem, że wiem wszystko o jego naturze. Wówczas przeczytałem zaprezentowane tutaj opowieści.

Do tej chwili nie wiedziałem prawie nic. Podobnie jak każdy, kto nie przeczytał tekstów samego Howarda, ponieważ wśród tych napadów furii, tych krypt pełnych niepohamowanej samczej fantazy tkwi prawdziwa osobowość postaci uchwyconej tak wiele razy na rozmaitych ilustracjach.

A teraz nadeszła moja kolej i chętnie z niej skorzystałem. Stwierdziłem, że ta prawdziwa postać jawi się oczom mej wyobraźni w sposób odmienny od tego, w jaki ukazywano ją wcześniej. Intuicyjnie wiedziałem, że nie pojmuję całości obrazu.

Rozpocząłem lekturę onieśmielony stającym przede mną zadaniem takiego uchwycenia portretu Conana, który będzie całkowicie moim własnym do niego podejściem. Podczas czytania uderzyła mnie sprawność pisarskiego rzemiosła Howarda. Słowa, jakie dobierał przy formułowaniu pewnych *passusów*, były same w sobie opisowe i obrazowe. Sprawily, że pogałem po słownik.

Im bardziej się wczytywałem, tym lepiej zdawałem sobie sprawę, iż te opowieści stają się klasyką w sensie znacznie szerszym niż tylko wśród twórczości typu *pulp*. Ujrzałem je w sposób, z pomocą którego być może N.C. Wyeth przyswajał *Wyspę skarbów* albo Mead

Schaeffer wizualizował *Lornę Doone*. Przygoda wielkiego formatu z pełną powagą, jaką ilustratorzy Złotego Wieku nasycili własne rysunki. Klasyczna ilustrowana książka przygodowa. Chciałem przyznać się do Conana tak, jak tamci przyznawali się do własnego ukazywania ulubionych bohaterów.

Naprawdę było w czym wybierać. Obrazy wypływały i zachodziły na siebie całymi falami potencjalnych postaw, oświetlenia i ruchu. I kiedy szkicowałem już przez niemało nocy, ukazał mi się Conan przeskakujący po głazach przez łożysko potoku na swej drodze do celu albo po tak wielu czynach z niniejszego zbioru. Rysunek ten stał się opakowaniem ukazującym zasadniczy portret Conana – czujnego, pewnego siebie i samotnego.

Chciałem ująć rozległość jego uczuć. Kolejny obraz zdawał się wyrastać z mego pragnienia, aby sportretować skryte oblicze Cimmeryjczyka upodabniające go do pantery. I tak oto wkracza on nocą na szczyt muru w *Ludożercach z Zambouli* z misją przyuczenia kogoś w kwestii dróg, jakimi kroczy ten świat. Dodałem kolejną scenę nocną, ponieważ chciałem ujrzeć te ulice w Zambouli i przyłapać przekradającego się Conana, ratującego porwaną, zawsze wyczulonego na niebezpiecznych kanibali.

No i historia piracka. Żądny przygód, mityczny niczym *Kapitan Blood* Sabatiniego, wkracza Conan w opowiadanie *Czarny przybysz* w pełnym rynsztunku pirata. Musiałem pokazać go takim, jakiego prawdopodobnie nikt jeszcze go nie oglądał. Najlepsze pirackie regalia, jak gdyby Howard dopiero co odkrył na zakurzonym strychu stary kufer swego dziadka. Portret Czarnego Saronu [sic!] powstał wedle mody Złotego Wieku na ograniczoną liczbę barw – czerwień, czerń i biel – i wykonany został w tym samym duchu.

Każdy czarno-biały obraz w tej części stał się usprawiedliwieniem dla tego, by skorzystać z danej mi możliwości zilustrowania dawnej pirackiej opowieści. I ja się tym upajałem.

Wiedziałem również, że muszę ukazać Conana jako niepowstrzymanego, mogącego wpaść w szal wojownika, który natychmiast przychodzi na myśl, gdy wspomina się te historie. Nie miałem nic przeciwko zaprezentowaniu go w ten sposób. W rzeczy samej, musiałem znaleźć własny punkt widzenia na bitewne szaleństwo. Ukazałem je w dwóch częściach. Za pierwszym razem był to Conan stojący sam na sam z równie uzbrojonym Piktem. Obraz ten trafił na okładkę. Chciałem dla odmiany pokazać pewne napięcie, a nie tylko prosty obraz Conana zdobywcy. Odczuwałem potrzebę, by nadać wyraz dynamice jego ciała. Doprowadziło mnie to do drugiej sceny bitewnej, w której otoczony Cimmeryjczyk przeradza się w maszynę do zabijania. Ciała posłużyły mi za dodający dynamiki, skierowany ku górze element zwracający uwagę na Conana uchwyconego w rozbłysku uderzającego gdzieś z tyłu sceny pioruna. Dodałem błyskawicę w tle dla zwiększenia napięcia sceny i oddania z precyzją całej tej jatki. Kolejna szansa na uchwycenie potężnej muskulatury Cimmeryjczyka pojawiła się w *Sługach Bit-Yakina*. Mogłem zobaczyć go pędzącego w górę po schodach za Murielą ze światłem skrzącym się na jego spoconych plecach, z tak wieloma sklepieniami przejściami do przebycia.

Za *Rzeką Czarną* w klasyczny conanowski sposób było tekstem szczególnie widowiskowym, ale znów wybrałem nocną scenę z wojownikami, w typie skrytej napaści. Ja tam byłem, na stoku wzgórza, kiedy ci złowieszczy najemnicy, niczym współcześni, ubrani na czarno operatorzy sił specjalnych, wspinali się na wał

brzegowy, realizując misję siania spustoszenia. Dla kontrastu obrałem jasny, słoneczny dzień, by ukazać Piktów będących pod ostrzałem z katapult załadowanych czym tylko się dało. Zostać zabitym w tak pięknym dniu wydaje się ironią losu.

Czerwone ćwieki można by odmalowywać na okrągło. (I mam nadzieję, że uczyni to jeszcze wielu innych!) Ale chociaż nawet starałem się trzymać z dala od pokazywania zbyt wielu potworów ze strachu przed odebraniem czytelnikom ich własnych, przerośniętych wyobrażeń, musiałem unaocznic zgrzybiałego, starego człowieka i jego niesamowite narzędzie zadawania śmierci. Ponadto była to wymówka dla odmalowania tego kociaka, Tasceli.

Ostatni kawałek zachowałem na kartę tytułową. Chciałem, by stał się ikoną bohatera, jakim jest Conan Cimmeryjczyk – awanturnik, wojownik i odkrywca przedziwnych szlaków Hyperborei. Kilka tkwiących we mnie inspiracji krzyczało, ale ja wsłuchałem się szczególnie w jeden głos – Leyendeckera^[1] – i kontynuowałem proces tworzenia, mając w pamięci jego biegłość. Pełen pobłażliwości związek z bohaterami był pełną frajdy, akuratną drogą ku zwieńczeniu mej własnej przygody w świecie Howarda.

Gregory Manchess

2005

Wprowadzenie

Niniejszy tom wieńczy kolekcję opowieści o Conanie z Cimmerii autorstwa Roberta E. Howarda. Każdą historię, fragment, szkic czy notę o Cimmeryjczyku, jakie kiedykolwiek stworzył Robert E. Howard (włączając w to nawet niektóre wersje robocze), i tylko te spisane przez samego Howarda, można odnaleźć na kartach tomów składających się na tę kolekcję. Jakkolwiek może wydawać się to niewiarygodne, mamy do czynienia ze światową premierą: wszystkie utwory Howarda o Conanie, wolne od wszelkich poprawek, przeróbek czy wstawek dokonanych przez innych, nie ukazały się w jednolitym zbiorze nigdy wcześniej. Na podstawie niniejszego wydania można po raz pierwszy docenić serię tekstów Howarda o Conanie.

To również pierwszy raz, kiedy opublikowano te opowieści nie jako uporządkowane według „biografii” bohatera, ale w takiej kolejności, w jakiej Howard je pisał, co, jak się zdaje, było jego intencją: „To dlatego przeskakują one tak bardzo, bez następowania po sobie w jakimś określonym porządku. Przeciętny łowca przygód prawi historie o swym wędrownym życiu na chybił trafił, rzadko trzymając się jakiegoś ustalonego planu. Przytacza epizody tak, jak mu się nasuwają, oddzielone od siebie daleko poprzez miejsca i czas”.

Przedtem wszelkie wnioski w kwestii osiągnięć Howarda, na

których postawienie ktokolwiek skusił się na podstawie serii o Conanie, można było oprzeć wyłącznie na bazie prezentacji, jaka nie tylko nie śledziła procesu wzrastania Howarda jako pisarza, ale także ukazywała te utwory zgodnie z „karierą” Cimmeryjczyka, w sposób – z czym bym polemizował – mający podtrzymywać ową interpretację wedle kariery zupełnie obcą oryginalnemu zamysłowi Howarda. Wstawianie do serii o Conanie rozmaitych opowieści niebędących twórczością Howarda, zmienianie i przepisywanie na nowo niektórych passusów z jego tekstów (w szczególności w *Czarnym przybyszu*), dodawanie wstępnych akapitów przed każdym utworem, a nawet zmiana tytułu powieści z oryginalnego *Godzina Smoka* na *Conan zdobywca* – wszystkie te działania przyczyniły się do ukazywania całej serii nie jako żywota „przeciętnego łowcy przygód”, jak ujął to Howard, lecz zwartej sagi, posiadającej początek, rozwinięcie i zakończenie, w rodzaju tolkienowskiej wyprawy, podczas której każda z opowieści stanowiła kolejny krok we wspinaczce po społecznej drabinie: od złodzieja bez grosza przy duszy (jakim ukazuje Cimmeryjczyka *Wieża Słonia*) po potężnego monarchę cywilizowanego imperium (*Godzina Smoka*).

Nieuporządkowane i beztroskie życie Conana zostało sztucznie przemienione w „karierę”. To, co czyni tę serię tak cudowną – owo przemożne umiłowanie wolności skutkujące całkowitą niezależnością każdej opowieści od swej poprzedniczki i następczyni (poza Conanem prawie nie ma w nich postaci pojawiających się wielokrotnie!) – zostało unicestwione, a pełne przygód życie Cimmeryjczyka stało się, że tak powiem, swoistym „boskim przeznaczeniem”^[2]. Wówczas to całkiem łatwe stało się niedostrzeżenie w postaci Conana niczego więcej poza

supermanem, który wzniósł się z ubóstwa do królewskiej władzy za sprawą swej fizycznej siły (jak pokazuje to hollywoodzka wersja Cimmeryjczyka).

Oczywiście nie ulega wątpliwości, że Conan został w końcu królem Aquilonii. Był królem już w pierwszym opowiadaniu, jakie Howard o nim napisał. Ale nigdzie w tych tekstach – takich, jakie napisał autor – nie udało się odszukać choćby sugestii o istnieniu planu zostania pewnego dnia królem. W *Za Rzeką Czarną* Conan wyjaśnia: „Byłem dowódcą najemników, korsarzem, kozakiem, włóczęgą bez grosza, głównodowodzącym... Do diabła, byłem każdym z wyjątkiem króla i może zostanę nim, zanim umrę”. W *Czerwonych ćwiakach* nie jest wiele dokładniejszy: „Nigdy nie byłem królem hyboryjskiego królestwa (...). Ale śniłem nawet o tym. Może kiedyś nim będę. Czemu nie?”. Conan został królem po prostu dlatego, że okoliczności sprezentowały mu taką możliwość w określonej chwili jego życia, a nie wskutek jakiegoś z góry określonego planu.

Jeśli chodzi o Howardowe wyobrażenie królowania, nie było ono z gatunku imperialistycznych, ale raczej arturiańskich, gdzie król jest pierwszy i przodujący w służbie dla swego ludu, a nie na odwrót. I to tak bardzo, że czasami jedyną ambicją króla Conana okazuje się chęć niebycia już więcej królem:

„– Prospero (...) te sprawy związane z rządzeniem męczą mnie tak, jak nigdy nie utrudziła mnie żadna ze stoczonych walk. (...) Chciałbym pojechać z tobą do Nemedii. (...) Czuję się tak, jakby wieki minęły od czasu, kiedy siedziałem w siodle. Jednakże Publius mówi, iż są sprawy, które wymagają mojej obecności w mieście. A niech go! (...) nie śniłem wystarczająco długo. Gdy król Numedides

legł martwy u mych stóp, a ja zerwałem koronę z jego zakrwawionej głowy i założyłem na swoją, osiągnąłem ostateczną granicę swych marzeń. Przygotowałem się na przejęcie korony, ale nie na jej noszenie. W dawnych dniach wolności pragnąłem tylko ostrego miecza i prostej ścieżki, która doprowadzi mnie do wrogów. Teraz żadna ze ścieżek nie jest prosta, a mój miecz leży bezużyteczny”.

Kiedy w *Godzinie Smoka* jego poplecznicy proponują, żeby po tym, jak utracił panowanie w Aquilonii, podbił inne królestwo, Conan niedwuznacznie odpowiada: „– Niech inni śnią o imperiach. Ja chcę zatrzymać tylko to, co moje. Nie pragnę rządzić imperium spojonym w całość krwią i ogniem. Jedną rzeczą jest przejąć tron z pomocą poddanych i władać nimi za ich przyzwoleniem, inną zaś ujarzmić obce państwo i zawiadywać nim za pomocą strachu. Nie chcę być następnym Valeriusem. Nie, Trocero, będę władać całą Aquilonią i niczym więcej albo nie będę władać wcale”.

Znajdujemy się tutaj bardzo daleko od wizji Conana, jaka stała się udziałem szerokiego odbiorcy – tego odzianego w skóry brutala, półanalfabety (gdyż Cimmeryjczyka spotkał w mediach taki sam los jak Tarzana stworzonego przez Burroughsa – obaj w tajemniczy sposób utracili zdolność wyraźnego wysławiania się), którego myśli zaprzętają tylko gwałt, rzeź i podbój. W takiej sytuacji opowieści o Conanie jako królu – ostatnie, ujmując rzecz chronologicznie – nie powinny być w żaden sposób uważane za zwieńczenie sagi o życiu wiodącym ku tytułowi najpotężniejszego władcy epoki hyboryjskiej. Ostatecznie historie o królu Conanie zostały spisane raczej wcześniej w dziejach całej serii (*Feniks na mieczu* i *Szkarłatna Cytadela* znajdowały się pośród pierwszych utworów o Conanie,

napisanych przez Howarda w 1932 roku, a *Godzina Smoka* spisana w roku 1934 stanowiła kanibalizację wcześniejszych wysiłków).

Wszystkie teksty w niniejszym tomie napisane zostały po *Godzinie Smoka*. To dlatego znajdziemy w nim ostatnie słowa Howarda na temat Conana – podsumowanie czteroletniej pracy z bohaterem, który przyniósł mu sławę. Nie prezentują one żadnych wniosków co do życia postaci (jakże by mogły, kiedy Howard sam usprawiedliwia swą ignorancję: „Kiedy chodzi o ostateczny los Conana – tak szczerze, to nie potrafię go przewidzieć. Spisując te opowieści, zawsze czułem się mniej ich twórcą, a bardziej kronikarzem jego przygód, jakby mi je opowiadał”), ale stanowią podsumowanie serii: *Czerwone ćwieki* zostały ukończone w lipcu 1935 roku, jedenaście miesięcy przed samobójstwem Howarda. Nie istnieje żaden dowód na to, że napisał on cokolwiek o tym bohaterze po tej dacie.

Wielką rolę odegrała w tym prawdopodobnie niezdolność „Weird Tales” do regularnego płacenia Howardowi i można powiedzieć, że został on zmuszony do porzucenia tej postaci przez okoliczności. Pogląd ten potwierdza fakt, iż po *Czerwonych ćwiekach* przedłożył w „Weird Tales” jeszcze tylko jeden tekst. Jakkolwiek pod koniec roku 1934 wyraźnie odchodził od literatury fantasy, coraz bardziej zainteresowany historią oraz przekazami dotyczącymi swojego kraju, amerykańskiego południowego zachodu, i jego potencjałem jako tematem dla twórczości pisarskiej. To właśnie wzrastająca pasja ubarwiła ostatnie opowieści o Conanie. Po raz pierwszy zainteresowania Teksasczyka stały się czymś, z czym nie rozstawał się w swym codziennym życiu. Jego wiedza o Celtach, która przeniknęła do wielu wczesnych utworów

o Cimmeryjczyku, pochodziła tylko z książek. Ostatnie z tych tekstów – zawarte w tym tomie – były opowiadaniem, w którym kontynuował – tak jak czynił to zawsze dotąd – zgłębianie motywu „barbarzyństwo kontra cywilizacja”. Jednak po raz pierwszy był w stanie dodać na ten temat znacznie więcej autentyczności i wiedzy z pierwszej ręki.

Trzy z opowieści zawartych w tym tomie należą do najlepszych historii Howarda o Conanie. Są to: *Za Rzeką Czarną*, *Czerwone ćwieki* i *Czarny przybysz*. Pierwsze dwie przytłaczającą większością głosów badaczy i znawców twórczości autora zaliczane są również do najlepszych w całym jego dorobku. Oto pisarz u szczytu swego talentu, tworzący historie, które w ostateczności wyniosą go ponad status wyjątkowego gawędziarza – do grupy autorów mających także do zakomunikowania pewne przesłanie. Tymi ostatnimi opowieściami o Conanie Howard udowodnił, że naprawdę wart jest uwagi krytyków.

Jeżeli w pewnym sensie potraktujemy ostatnie historie o Cimmeryjczyku jako podsumowane serii, możemy także uznać je za swego rodzaju literacki testament. Wydarzenia zarysowane w *Za Rzeką Czarną* nie stanowiły niczego szczególnie nowego w dorobku Teksańczyka, przepelnionym utworami ukazującymi udane napaści dzikich na cywilizowane osady i miasta, które wzrosły zbyt słabe, by móc się obronić.

W *Za Rzeką Czarną*, jak i w pozostałych opowieściach następuje nieuniknione oddzielenie ludzi cywilizowanych i idącej w ślad za tym słabości, która wiedzie ich do klęski. Jakkolwiek tym, co odróżnia *Za Rzeką Czarną*, są prezentujące się wiarygodnie tło i postaci, ponieważ zostały one zaczerpnięte ze źródeł, które były

Howardowi znacznie bliższe niż zwykła oprawa pseudoceltycka czy pseudoasyryjska. Osadnicy, farmerzy, pracownicy, którzy zaludniają ten konkretny tekst, to nie bohaterowie papierowi, lecz pełni życia jak sam Conan. Niewielu jest pisarzy opowieści fantasy, którym z taką maestrią udało się połączyć ten gatunek z realizmem. To opowiadanie jest arcydziełem, ponieważ Howard nie pozwolił żadnej kobiecie w niedoli stanąć sobie na drodze, a także ponieważ przesłonił większość fantastycznych elementów tej historii i odmówił uciekania się do konwencji magazynów pulpowych. Dociągnął tę całą ponurą, ciężką sytuację aż do samego gorzkiego końca i nie pozwolił sobie popaść w melodramatyzm. Ostatnie opowieści o Conanie są znacznie bardziej realistyczne niż fantastyczne i to właśnie odróżnia je od reszty. Howard był tego głęboko świadom. Zaraz po tym, jak sprzedał *Czerwone ćwieki*, wyjaśniał Clarkowi Ashtonowi Smithowi: „Za dużo surowego mięsa, być może, ale ja zwyczajnie opisałem to, co, jak naprawdę wierzę, stanowiłoby reakcję pewnych typów ludzkich w sytuacjach, na których opiera się fabuła tego opowiadania. Powiązanie określenia »realistyczny« z Conanem może brzmieć cokolwiek dziwacznie, ale jeśli chodzi o ścisłość – odłożywszy jego nadprzyrodzone przygody na bok – jest on najbardziej realistyczną postacią, jaką kiedykolwiek rozwinąłem”.

Jeśli *Za Rzeką Czarną* stanowi ostateczne świadectwo poglądów Howarda dotyczących barbarzyństwa, w innym conanowym arcydziele, *Czerwonych ćwiekach*, postanowił on zbadać drugą stronę medalu – rozkład cywilizacji. I znowu nie był to dla Teksańczyka temat nowy. Na przykład poprzednik Conana, Kull z Atlantydy, był królem dekadentckiego imperium Valusii. Niezliczone utwory

Howarda osadzone są w rzeczywistości mieszczącej się zasadniczo pomiędzy dekadencją a rozkładem. Sytuacja ta nieuchronnie wiedzie ku ostatecznej destrukcji, zazwyczaj z rąk barbarzyńców, którzy, tak się składa, zawsze stali u bram, czekając na właściwą chwilę. Jednakże w *Czerwonych ćwiekach* Howard obył się bez barbarzyńców i upewnił, że jego miasto jest kompletnie odizolowane. W ten sposób utwór ukazuje dzieje procesu rozkładu, który doprowadzi do logicznego rozwiązania. Napisany został w czasach, gdy zdrowie matki Howarda pogarszało się w zastraszającym tempie, jej ciało popadało w ruinę na oczach syna. Skłania to ku uznaniu za nieuniknione, jak i oczywiste, że ostatnia opowieść o Conanie jest historią szczególnie bogatą w echa strasznych wydarzeń zachodzących w życiu i umyśle Howarda podczas jej tworzenia. (Dla pełniejszego zrozumienia tła powstania każdego tekstu zobacz *Rodowód hyboryjski, część III* pod koniec niniejszego tomu).

Opowieściami o Conanie Howard utrwalił swą literacką spuściznę. Jego samobójstwo w wieku lat trzydziestu przerwało krótką karierę, która zapowiadała się wyjątkowo obiecująco. Na mniej niż miesiąc przed śmiercią napisał do Lovecrafta: „Stwierdzam, że coraz trudniej pisać mi cokolwiek innego niż opowieści o Zachodzie. (...) Zawsze czułem, że jeśli dokonam czegoś godnego uwagi na polu literatury, będą to utwory traktujące o środkowym i zachodnim pograniczu”. Howard stałby się prawdopodobnie ważnym pisarzem na tym obszarze, ale los zdecydował inaczej. Teksty o Conanie przewyższają jednak w swej istocie ramy gatunku, z którego wyrastają, czy to będą opowieści o Zachodzie, historyczne albo przesycone przygodami. Wyjmując je z

kontekstu historycznego i odziewając w hyboryjskie szaty, Howard nadał swym utworom rys uniwersalny, którego nie miałyby w innej postaci. Stały się ponadczasowe, prawdziwe tak samo dziś, jak siedemdziesiąt lat temu.

„Zeskrobcie to, co z wierzchu. Na własne ryzyko” – napisałem odnośnie do opowiadań zawartych w pierwszym tomie. Zaraz odkryjecie, że w większości historii z niniejszego, ostatniego dzieła ów wierzch prawie nie istnieje.

To Howard w postaci najsurowszej.

W najlepszej formie.

Patrice Louinet

2005

Słudzy Bit-Yakina

Słudzy Bit-Yakina

I

ŚCIEŻKI INTRYGI



Strome skalne ostańce wyrastały powyżej dżungli. Biegące

łukiem w dal ku wschodowi i zachodowi ponad falującym szmaragdowym oceanem liści drzew i palm wyniosłe fortece z kamienia, który we wschodzącym słońcu połyskiwał nefrytowym błękitem i poszarzałym szkarłatem. Ta olbrzymia palisada z pionową kurtyną z litej skały, gdzie cząsteczki kwarcu migotały oślepiająco w słonecznym świetle, wyglądała na niezdobytą. Ale zmudnie pnący się człowiek był już w połowie drogi na szczyt.

Wywodził się z rasy zamieszkującej góry, przyzwyczajonej do wspinania się po wzbraniających dostępu urwiskach, a był nadto mężczyzną o niezwykłej sile i zwinności. Jego jedyne odzienie stanowiła para krótkich, obcisłych spodni z czerwonego jedwabiu oraz sandały przypasane do pleców, tak by nie stawały mu na przeszkodzie, podobnie jak miecz i sztylet.

Był człowiekiem potężnie zbudowanym, gibkim jak pantera. Jego skóra była brązowa, ogorzała, a prosto obciętą czarną grzywę włosów przytrzymywała wokół skroni srebrna opaska. Żelazne mięśnie, bystre oko i pewne stopy służyły mu tu dobrze, gdyż była to wspinaczka sprawdzająca owe cechy po kres możliwości. Sto pięćdziesiąt stóp pod nim falowała dżungla. Tyle samo w górze krawędź ostańca odcinała się ostro na tle porannego nieba.

Trudził się jak ktoś napędzany koniecznością pośpiechu, jednakże zmuszony przemieszczać się małymi krokami, przywierając do ściany niczym mucha. Błądzące po omacku dłonie i stopy odnajdywały wgłębienia i występy, a w najlepszym razie niepewne uchwyt; czasem w istocie zwisał na czubkach palców. Jednak szedł pod górę, wpijając się, wijąc, walcząc o każdy cal wysokości. Czasami zatrzymywał się, dając odpocząć

obolałym mięśniom i strząsając pot z oczu, wykręcał głowę, by rozejrzeć się uważnie po dżungli, przeczesując zielony bezmiar w poszukiwaniu jakiegoś śladu ludzkiego życia bądź ruchu.

Wkrótce wierzchołek pojawił się niedaleko nad nim, a on dostrzegł kilka stóp nad głową wyłom w pionowej skale. Chwilę potem już doń dotarł – do małej groty tuż pod krawędzią szczytu. Kiedy jego głowa wzniosła się ponad skraj jej podłoża, mruknął z dezaprobatą. Oparłszy się na łokciach, wspiął się do środka. Jaskinia była malutka, niewiele większa od wnęki wyciętej w kamieniu, ale miała mieszkańca. W grocie siedziała pomarszczona brązowa mumia ze skrzyżowanymi nogami i rękoma założonymi na zeschniętej piersi, na którą opadła obkurczona głowa. Jej członki przytrzymywały rzemienie z niewyprawionej skóry, które stały się zbutwiałyymi włóknami. Jeśli postać była kiedykolwiek odziana, to spustoszenie zasiane przez czas przemieniło strój w pył. Jednak pomiędzy skrzyżowanymi rękami a skurczoną piersią tkwił zwój pergaminu, pożółkłego ze starości na kolor wiekowej kości słoniowej.

Wspinacz sięgnął ku niemu i wyszarpnął rulon. Nie przyglądając się mu, wetknął za pas i podciągnął się, aż stanął w przestrzeni wnęki. Skok w górę i złapał za krawędź ostańca, by wciągnąć się na niego prawie jednym i tym samym ruchem.

Tam zatrzymał się, dysząc ciężko, i spojrzał uważnie w dół.

Było to niczym spojrzenie do wnętrza ogromnej misy otoczonej kamiennym murem. Jej dno pokrywały drzewa i inna zwarta roślinność, choć w żadnym miejscu nie osiągała ona gęstości dżungli, jaka znajdowała się po stronie zewnętrznej. Misę okalały

stromie ściany o jednolitej wysokości. Był to wybryk natury niemający odpowiednika być może i na całym świecie – rozległy naturalny amfiteatr, okrągły kawał pokrytej dżunglą równiny o średnicy trzech albo czterech mil, odcięty od reszty świata i zamknięty w tym palisadowym pierścieniu stromych skał.

Ale człowiek na szczycie nie zaprzętał sobie myśli zachwytnymi nad tą topograficzną osobliwością. Z napiętą uwagą przeszukiwał szczyty drzew w dole i wydał z siebie głębokie westchnienie ulgi, kiedy pośród migoczącej zieleni uchwycił przebłysk marmurowych kopuł. Zatem to nie mit; u jego stóp spoczywał niesamowity i opuszczony pałac Alkmeenonu.

Conan Cimmeryjczyk, który odwiedził wcześniej Wyspy Barachańskie, Czarne Wybrzeże i wiele innych krain, gdzie życie bywa gwałtowne, przybył do królestwa Keshanu, podążając za pokusą zdobycia bajecznego skarbu, jaki przyćmiewał te zgromadzone przez turańskich królów.

Keshan był królestwem barbarzyńskim, leżącym na wschodnich krańcach Kush, gdzie rozległe stepy łączyły się z tropikalnym lasem nadciągającym od południa. Jego lud był rasy mieszanej, smagli nobile zarządzili ludnością w większości czysto negroidalną. Władcy – książęta i najwyżsi kapłani – uzurpowali sobie pochodzenie od rasy białej, zawiadującej w czasach mitycznych królestwem, którego stolicę stanowił Alkmeenon. Sprzeczne legendy usiłowały wyjaśnić powód ostatecznego upadku owej rasy i porzucenia miasta przez ocalałych. Równie mgliste pozostawały opowieści o Zębach Gwahlura, skarbie Alkmeenonu. Jednak tych mętnych legend starczyło, by sprowadzić Conana do Keshanu poprzez ogromne odległości

równin, przeplataną rzekami dżunglę oraz góry.

Odnalazł on Keshan, który sam w sobie przez wiele narodów północnych i zachodnich uważany był za mityczny, i posłyszał dość, żeby potwierdzić plotki o skarbie, który ludzie nazywali Zębami Gwahlura. Jednak miejsca jego ukrycia poznać nie zdołał, stanął natomiast wobec konieczności wyjaśnienia swego pobytu w Keshanie. Przybysze wolnego stanu nie byli tam mile widziani.

Nie był tym skonsternowany. Z zimną pewnością siebie zaoferował usługi majestatycznym, przybranym w pióropusze, podejrzliwym dostojnikom barbarzyńsko świetnego dworu. Był zawodowym wojownikiem. Przybył do Keshanu (jak powiedział) w poszukiwaniu zatrudnienia. Za pewną cenę mógłby wyćwiczyć miejscowe wojska i poprowadzić je przeciwko odwiecznemu wrogowi – Puntowi – którego ostatnie sukcesy w polu wzbudziły wściekłość popędliwego króla Keshanu.

Propozycja ta nie była tak zuchwała, jak mogło się zdawać. Sława Conana poprzedzała go nawet w odległym Keshanie; wyczyny jako wodza czarnych korsarzy, tych wilków z południowych wybrzeży, uczyniły jego imię znanym, podziwianym i budzącym strach we wszystkich czarnych królestwach. Poddał się sprawdzianom wymyślonym przez smagłych panów. Potyczki wzdłuż granicy trwały nieustannie, stwarzając Cimmeryjczykowi mnóstwo okazji do wykazania się w walce wręcz. Jego brawurowa gwałtowność wywarła wrażenie na dostojnikach Keshanu, już świadomych uznawania go za naturalnego przywódcę, i tak oto widoki na przyszłość najwyraźniej układały się pomyślnie. Wszystkim, czego Conan w skrytości pragnął, było zatrudnienie dające mu wymówkę do

pozostania w Keshanie dość długo, aby zlokalizować miejsce ukrycia Zębów Gwahlura. Wtedy pojawiła się pewna przeszkoda. Na czele poselstwa z Zembabwei do Keshanu przybył Thutmekri.

Był on Stygijczykiem, awanturnikiem i łotrem, którego spryt stał się dla niego rekomendacją wobec bliźniaczych królów wielkiego hybrydowego królestwa – wspólnoty handlowej – leżącego o wiele dni marszu na wschód. Obaj znali się z Cimmeryjczykiem od dawien dawna, nie darząc się sympatią. Thutmekri miał do złożenia królowi Keshanu podobną propozycję, również dotyczącą podboju Puntu, który przypadkiem był państwem, z jakiego niedawno przegnano zembabwejskich kupców i jakie spaliło ich fortecę.

Jego oferta przeważała nawet autorytet Conana. Thutmekri deklarował, iż najedzie Punt ze wschodu z mnóstwem czarnych włóczników, shemickich łuczników i najemnych wojowników, by wesprzeć króla Keshanu w aneksji wrogiego państwa. Dobroduszni królowie Zembabwei pragnęli tylko monopolu na handel Keshanu i jego lenników oraz, jako aktu dobrej woli, paru Zębów Gwahlura. Nie zostałyby one użyte w żadnym niegodziwym celu – pospieszył wyjaśnić podejrzliwym wodzom Thutmekri; zostałyby umieszczone w świątyni w Zembabwei obok krępych złotych bóstw Dagona i Derketo – uświęceni goście w świętym przybytku królestwa dla przypieczętowania układu pomiędzy Keshanem a Zembabwei. To stwierdzenie przywiodło na zacięte usta Conana dziki, złowieszczy uśmiech.

Cimmeryjczyk nie podjął próby mierzenia się na spryt i knowania z Thutmekrim i jego shemickim współnikiem Zarghebą. Wiedział, że jeśli Thutmekri osiągnie swój cel, będzie

nalegać na natychmiastowe wygnanie rywala. Conanowi pozostawało zrobić tylko jedno: odnaleźć klejnoty, zanim król Keshanu się namyśli, i umknąć wraz z nimi. W owym czasie nabrał już wszak przekonania, że nie ukryto ich w Keshii – mieście królewskim, które stanowiło rojowisko krytych słomą chat stłoczonych wokół glinianych ścian, jakie odgradzały pałac z kamienia, gliny i bambusa.

Podczas gdy Cimmeryjczyk buzował niespokojnym zniecierpliwieniem, najwyższy kapłan oznajmił, iż zanim jakakolwiek decyzja zostanie podjęta, należy ustalić wolę bogów odnośnie do zaproponowanego sojuszu z Zembabwei i oddania w zastaw przedmiotów przetrzymywanych tak długo jako święte i nietykalne. Trzeba poradzić się wyroczni Alkmeenonu.

Była to rzecz straszna, która sprawiła, iż języki mełły o niej z ekscytacją tak w pałacu, jak i w rojnych od ludzi chatach. Od ponad wieku żaden kapłan nie nawiedził milczącego miasta. Wyrocznią, mówili ludzie, była księżniczka Yelaya, ostatnia władczyni Alkmeenonu, która zmarła w pełnym rozkwicie młodości i piękna, a której ciało pozostało cudem nieskażone poprzez wieki. Za dawnych czasów kapłani przetarli drogę do nawiedzonego miasta, a wyrocznia nauczyła ich mądrości. Ostatni z nich był człowiekiem niegodziwym, usiłującym wykraść dla siebie przedziwnie cięte klejnoty zwane przez ludzi Zębami Gwahlura. Jednak w opuszczonym pałacu spadła nań zagłada, o której jego akolici, umknąwszy, opowiadali straszliwe historie, tak że odstraszyli kapłanów od miasta i wyroczni na sto lat.

Gorulga wszelako, obecnie najwyższy kapłan, jako ten ufny w

rozeznanie własnej prawości, oznajmił, że wyruszy z garstką swych stronników, by ożywić pradawny zwyczaj. A w podnieceniu języki plotły nieostrożnie i Conan pochwycił wskazówkę, której poszukiwał tygodniami – podsłuchany szept pomniejszego kapłana, który nakazał Cimmeryjczykowi wymknąć się chyłkiem z Keshii w noc przed świtem, kiedy kapłani mieli wyruszyć.

Poganiając wierzchowca nocą i dniem, i jeszcze nocą, przybył wczesnym świtem pod urwiska stromej skały Alkmeenonu, które wznosiły się w południowo-zachodnim zakątku królestwa pośród niezamieszkanego dzungli stanowiącej dla zwykłych ludzi tabu. Nikt, oprócz kapłanów, nie ośmielał się zbliżyć do nawiedzonego miasta na odległość wielu mil. A i kapłani nawet nie wkraczali do Alkmeenonu od stu lat.

Żaden człowiek nigdy nie wspinał się po tych urwiskach, mówiły legendy, a nikt poza kapłanami nie znał ukrytego wejścia do doliny. Conan nie marnował czasu na jego szukanie. Stromizny, które powstrzymywały tych czarnych ludzi – jeźdźców i mieszkańców równin oraz rosnących płasko tropikalnych lasów – nie stanowiły przeszkody dla męża zrodzonego wśród postrzępionych wzgórz Cimmerii.

Obecnie spoglądał ze szczytu urwiska na okrągłą dolinę i zastanawiał się, jakaż zaraza, wojna czy przesąd pchnęły członków tej pradawnej białej rasy do opuszczenia swej warowni i mieszania się, wchłonięcia przez otaczające czarne plemiona.

Ta dolina stanowiła ich cytadelę. Tu stał pałac, a w nim mieszkała tylko królewska rodzina i jej dwór. Miasto leżało faktycznie na zewnątrz, poza urwiskami. Falujący nawał zielonej

tropikalnej roślinności skrył ruiny. Jednak kopuły, jakie połyskiwały między liśćmi, stanowiły zwieńczenie królewskiego pałacu Alkmeenonu, który oparł się niszczącemu upływowi wieków.

Przerzuciwszy nogę poza krawędź, zaczął prędko schodzić. Wewnętrzna strona urwisk była bardziej spękana, nie taka znów stroma. W czasie o połowę krótszym od tego, jaki zajęła mu wspinaczka po stronie zewnętrznej, opadł na pokryte murawą dno doliny.

Z dłonią na mieczu rozejrzał się uważnie dookoła. Nie było powodów, aby przypuszczać, że ludzie kłamią, kiedy mówili, iż Alkmeenon pozostaje pusty i wyludniony, nawiedzany tylko przez duchy martwej przeszłości. Niemniej podejrzliwość i czujność leżały w naturze Conana. Panowała tu czysto pierwotna cisza; nawet jeden liść nie dygotał na gałęzi. Kiedy się schylił, by zajrzeć pod drzewa, nie dostrzegł niczego poza uszeregowanymi rzędami pni odchodzącymi coraz dalej i dalej w błękitną ciemność głębi lasu.

Mimo to szedł czujnie, z mieczem w dłoni, przeczesując spojrzeniem niespokojnych oczu mrok z każdej strony. Jego sprężysty krok nie wydawał na murawie żadnego dźwięku. Wszędzie dookoła dostrzegał znaki starożytnej cywilizacji: bezgłośnie, rozsypujące się marmurowe fontanny stojące pośród kręgów smukłych drzew, których sylwetki były zbyt symetryczne, aby natura ukształtowała je przypadkiem. Roślinność lasu i jego poszycie wtargnęły do równo zaplanowanych zagajników, ale ich zarysy pozostawały widoczne. Pod drzewami przebiegały okazałe brukowane trakty,

spękane, z trawą wyrastającą przez szerokie szpary. Przelotnie dostrzegł ozdobnie zwieńczone mury, kratownice rzeźbione w kamieniu, które mogły niegdyś służyć za mury przybytków rozkoszy.

Przed nim pomiędzy drzewami przebłyskiwały kopuły, a im dalej się przemieszczał, tym bardziej widoczne stawało się potężne cielsko podtrzymujące je konstrukcji. Wkrótce, precyzyjnie się przez zasłonę ze splecionych niczym pnącza gałęzi, wyszedł na względnie otwartą przestrzeń, gdzie tkwiły samotne drzewa nieobrońnięte poszyciem, i ujrzał przed sobą obszerny, wsparty na kolumnach portyk pałacu.

Gdy wspiął się po szerokich marmurowych stopniach, zauważył, że budowla zachowała się w stanie dużo lepszym od mniejszych konstrukcji, jakie dostrzegł. Grube ściany i masywne filary zdawały się zbyt potężne, by skruszeć pod naporem czasu i natury. Wszystko dookoła spowijała posępna, magiczna cisza. Kocie stąpanie obutych w sandały stóp brzmiały w tym bezruchu zdumiewająco głośno.

Gdzieś w tym pałacu znajdowała się figura lub wizerunek, który w zamierzchłych czasach służył jako wyrocznia dla kapłanów z Keshanu. I gdzieś w tymże pałacu – chyba że niedyskretny kapłan plółł bujdy – pozostawał w ukryciu skarb zapomnianych królów Alkmeenonu.

Conan wszedł do przestronnego, wyniosłego holu wypełnionego rzędami kolumn, pomiędzy którymi ziały dwa sklepione otwory, których drzwi zbutwiały doszczętnie dawno temu. Przeciął go w panującym półmroku i po drugiej stronie przeszedł przez wielkie dwuskrzydłowe drzwi ze spiżu,

częściowo otwarte, jakby trwały tak od wieków. Wkroczył do obszernej, zamkniętej kopułą komnaty, która musiała służyć królom Alkmeenonu za salę audiencyjną.

Miała ona kształt ośmiokątny, a ogromna kopuła, w jaką zakrzywiał się wyniosły sufit, została wyraźnie w jakiś sprytny sposób przebita, gdyż komnata była oświetlona znacznie lepiej od prowadzącego do niej holu. Po przeciwnej stronie wielkiego pomieszczenia wznosiło się podwyższenie z wiodącymi na nie stopniami z lapis-lazuli. Na nim zaś spoczywało masywne krzesło z ozdobnymi podłokietnikami i wysokim oparciem, które niegdyś bez wątplenia dźwigało baldachim ze złotogłowiu. Conan warknął przez zaciśnięte usta, a jego oczy zapłonęły. Oto złoty tron Alkmeenonu wspomniany w odwiecznych legendach! Zważył go w myślach wyćwiczonym okiem. Sam w sobie wart był fortunę, gdyby tylko był w stanie go wynieść. Jego bogactwo rozпалиło wyobraźnię Cimmeryjczyka myślącego o skarbie i sprawiło, że zapłonął żądzą. Palce świerzbiły go od chęci zanurzenia w klejnotach, o jakich słyszał na rynkach Keshii od gawędziarzy, którzy powtarzali opowieści przekazywane z ust do ust poprzez wieki; klejnotach niemających sobie równych w świecie: rubinach, szmaragdach, diamentach, opalach, szafirach – łupie starożytnego świata.

Spodziewał się znaleźć siedzącą na tronie figurę wyroczni, ale jako że jej nie było, prawdopodobnie została umieszczona w jakiejś innej części pałacu, o ile naprawdę coś takiego rzeczywiście istniało. Jednak odkąd zwrócił swe oblicze ku Keshanowi, tak wiele mitów dowiodło swej prawdziwości, że nie wątpił, iż znajdzie jakiś obraz czy boga.

Za tronem znajdowało się wąskie sklepione przejście, które za dni trwania Alkmeenonu bez wątpienia zasłonięte było kotarami. Zajrzał w nie przelotnie i zobaczył, że wiedzie do pustej wnęki z wychodzącym z niej prostopadle wąskim korytarzem. Odwróciwszy się, wypatrzył drugi łuk na lewo od podwyższenia, a ten, inaczej niż pozostałe, zaopatrzony był w drzwi. Nie były to wszelako drzwi zwyczajne. Portal sporządzono z tego samego mocnego metalu co tron i pokryto wieloma osobliwymi arabeskami.

Pod jego dotykem drzwi otwarły się bez trudu, jakby ich zawiasy niedawno naoliwiono. Wewnątrz przystanął i zapatrzył się.

Znalazł się w niewielkiej kwadratowej komorze. Jej marmurowe ściany wznosiły się ku ozdobnemu sufitowi wyłożonemu złotem. Złote fryzy biegły u podstawy i u szczytu ścian, a poza drzwiami, przez które tutaj wszedł, nie było innych. Owe szczegóły odnotował jednak bezwiednie. Cała jego uwaga skupiła się na postaci, jaka leżała przed nim na podwyższeniu z kości słoniowej.

Spodziewał się wizerunku, prawdopodobnie wykutego z wprawą zapomnianej sztuki. Ale żadna ze sztuk nie była w stanie skopiować doskonałości leżącej przed nim sylwetki.

Nie był to posąg z kamienia, metalu czy kości słoniowej. Było to prawdziwe ciało kobiety i jakąż mroczną sztuką pradawni zachowali jej postać nieskażoną przez tak wiele epok, Conan nie próbował nawet zgadnąć. Odzienie, jakie miała na sobie, było nienaruszone i Cimmeryjczyk skrzywił się na ten widok, a w głębi jego umysłu zbudził się mglisty niepokój. Sztuki, które

chroniły ciało, nie powinny oddziaływać na strój. Niemniej oto były: złote płytki napierśne opatrzone koncentrycznymi kręgami z małych szlachetnych kamieni, pozłacane sandały i krótka jedwabna spódniczka podtrzymywana przez wysadzany klejnotami pas. Ani materiał, ani metal nie wykazywały żadnych śladów zniszczenia.

Yelaya była lodowato piękna, nawet trwając w śmierci. Ciało miała niczym alabaster, wiotkie, lecz zmysłowe. Wielki szkarłatny klejnot lśnił na tle ciemnej burzy włosów.

Conan stał, przypatrując się jej ze zmarszczonymi brwiami, a potem opukał podwyższenie mieczem. Do głowy przyszła mu możliwość istnienia jakiejś wnęki zawierającej skarb, ale podwyższenie pobrzmiwało jednolicie. Odwrócił się i przemierzał komorę niezdecydowanym krokiem. Gdzie w ograniczonym czasie, jakim dysponował, powinien szukać najpierw? Kapłan, którego podsłuchał, gdy ten paplał z kurtyzaną, powiedział, że skarb ukryty został w pałacu. Ten jednak obejmował znaczną przestrzeń. Rozmyślał, czy nie ukryć się, aż kapłani przyjdą i odejdą, a potem wznowić poszukiwania. Istniała wszak spora szansa na to, że wracając do Keshii, mogą zabrać klejnoty ze sobą. Był bowiem przekonany, że Thutmekri przekupił Gorulgę.

Czerpiąc ze swej wiedzy o tym człowieku, Conan był w stanie przewidzieć plany Thutmekriegiego. Wiedział, że to on zaproponował królom Zembabwei podbój Puntu, co stanowiło ledwie pierwszy krok w kierunku ich prawdziwego celu – zdobycia Zębów Gwahlura. Ci nieufni królowie musieli zażądać dowodu na istnienie skarbu, zanim wykonają jakikolwiek ruch.

Klejnoty, o które Thutmekri poprosił pod zastaw, miały takiego dowodu dostarczyć.

Dysponując konkretnym świadectwem na istnienie skarbu, królowie Zembabwei wykonają ruch. Punt zostanie najechany równocześnie ze wschodu i zachodu, ale Zembabwejscy dopilnują, żeby to Keshan wziął na siebie większość walk, a gdy Punt i Keshan będą wyczerpane zmaganiem, zgniotą obie rasy, splądrują Keshan i zabiorą skarb siłą, nawet gdyby musieli zburzyć każdy budynek i torturować każdego człowieka w królestwie.

Zawsze istniała wszak inna możliwość: gdyby Thutmekri zdołał położyć rękę na skarbie, byłoby typowe dla tego człowieka szukać swych zleceniodawców, zatrzymać klejnoty dla siebie i zwinąć żagle, pozostawiając całe zamieszanie zembabwejskim posłańcom.

Conan mniemał, iż to całe radzenie się wyroczni jest niczym więcej jak tylko wybiegiem zmierzającym do przekonania króla Keshanu, aby przychylił się do prośby Thutmekriego, gdyż nigdy, ani przez chwilę nie wątpił, że Gorulga jest równie chytry i przebiegły, jak reszta zamieszana w ten imponujący szwindel. Conan osobiście nie czynił żadnych podchodów wobec najwyższego kapłana, ponieważ w łapówkarskiej rozgrywce z Thutmekrim nie miał żadnych szans, a sama próba byłaby wydaniem się na łaskę Stygijczyka. Gorulga mógłby potępić Cimmeryjczyka przed ludem, umocnić opinię o swej prawości i pozbyć się rywala Thutmekriego za jednym zamachem. Conan zastanawiał się, jak Stygijczyk przekupił najwyższego kapłana; co też można zaofiarować jako łapówkę człowiekowi, który ma w

swej dłoni największy skarb świata?

W każdym razie był pewien, że wyrocznia zostanie skłoniona do przepowiedzenia, iż wolą bogów jest, aby Keshan zadośćuczynił pragnieniom Thutmekriego. Był także pewien, że pozwoli sobie na kilka konkretnych uwag o nim. Po tym Keshia stanie się dla Cimmeryjczyka zbyt gorąca. Odjeżdżając więc nocą, Conan nie miał najmniejszego zamiaru powracać.

Komnata wyroczni nie poddała mu żadnej wskazówki. Ruszył przed siebie do wielkiej sali tronowej i chwycił za tron. Był ciężki, ale zdołał go przechylić. Podłogę pod spodem, solidne marmurowe podwyższenie, stanowił lity kamień. Ponownie przeszukał wnękę. Uczepiła się go myśl o tajnej krypcie w pobliżu wyroczni. Zaczął starannie opukiwać ściany i wkrótce jego uderzenia rozbrzmiały głucho w miejscu naprzeciwko wylotu wąskiego korytarza. Przyjrząwszy się uważniej, dostrzegł, że szpara pomiędzy jednym marmurowym panelem a następnym jest szersza niż zwykle. Wsadził tam sztych sztyletu i naparł na niego.

Panel odchylił się cicho, odsłaniając wnękę w ścianie, ale nic poza tym. Zaklął siarczyście. Otwór był pusty i nie wyglądał, jakby kiedykolwiek służył za schowek dla skarbu. Schyliwszy się do wnęki, ujrzał w ścianie układ maleńkich otworów gdzieś na poziomie ludzkich ust. Zajrzał przez nie i mruknął ze zrozumieniem. To ta ściana oddzielała niszę od komnaty wyroczni, z której owych otworów nie było widać. Conan skrzywił usta w uśmiechu. Oto miał wyjaśnienie tajemnicy wyroczni, choć nieco trywialne w stosunku do swoich oczekiwań. Gorulga sam wejdzie albo umieści we wnęce jakiegoś zaufanego

sługusa, by przemówił przez otwory, a akolici, łatwowierni jak wszyscy czarni ludzie, uznają go za prawdziwy głos Yelai.

Przypomniawszy sobie coś, Cimmeryjczyk wyciągnął zwój pergaminu odebrany mumii i rozwinął go ostrożnie, gdyż wyglądał, jakby miał rozpaść się zaraz ze starości na kawałki. Zasepił się nad rozmazanymi znakami, jakimi został pokryty. W swej włóczędździe dookoła świata olbrzymi awanturnik zgromadził szeroką, choć powierzchowną wiedzę, w szczególności obejmującą mowę i czytanie w wielu językach. Wielu studiujących w zaciszu uczonych byłoby zdumionych językowymi umiejętnościami Cimmeryjczyka, gdyż doświadczył on mnóstwa przygód, podczas których znajomość języka obcego stanowiła o różnicy pomiędzy życiem a śmiercią.

Te znaki były intrygujące, znajome i nieczytelne zarazem; wkrótce odkrył tego przyczynę. Były to znaki z archaicznego języka pelishtimskiego, w wielu miejscach rozbieżne z pismem nowożytnym, jakie było mu znane, a które trzy wieki temu zostało przekształcone za sprawą podboju dokonanego przez pewne plemię koczownicze. Ten starszy, bardziej przejrzysty zapis przyprawił go o kłopot. Wyodrębnił wszak powtarzający się zwrot, który rozpoznał jako nazwę własną: Bit-Yakin. Wywnioskował, iż to imię pisarza.

Jego usta poruszały się bezwiednie, zmagając się z zadaniem. Marszcząc brwi i błędząc, brnął przez rękopis. Sporą część uznał za nieprzetłumaczalną, a większość reszty za niejasną.

Wywnioskował, że pisarz, ów tajemniczy Bit-Yakin, przybył z daleka ze swymi sługami i wkroczył do doliny Alkmeenonu. Wiele z tego, co następowało potem, było bez sensu,

poprzedzielane nieznanymi zwrotami i znakami. Na tyle, na ile był w stanie przetłumaczyć, pismo zdawało się wskazywać na upływ bardzo długiego czasu. Często powtarzało się imię Yelai, a w miarę zbliżania się do ostatniej części rękopisu stało się jasne, że ów Bit-Yakin wiedział o nadciągającej śmierci. Z lekkim wzdrygnięciem Conan zdał sobie sprawę, iż mumia w grocie musiała stanowić szczątki autora rękopisu, tajemniczego Pelishtima Bit-Yakina. Człowiek ów zmarł tak, jak przepowiedział, a jego słudzy umieścili go widocznie w tej otwartej krypcie, wysoko na urwisku, zgodnie z pouczeniami wydanymi przed śmiercią.

Dziwne było to, że o Bit-Yakinie nie wspominały żadne legendy Alkmeenonu. W sposób oczywisty przybył on do doliny już po tym, jak opuścili ją jej pierwotni mieszkańcy – tyle mówił manuskrypt – ale osobliwe wydawało się, że kapłani, którzy bywali tu za dawnych dni, by radzić się wyroczni, nie widzieli ani tego człowieka, ani jego sług. Conan miał pewność, że mumia oraz niniejszy pergamin mają ponad sto lat. Bit-Yakin zamieszkiwał w dolinie, kiedy kapłani przychodzili tu od dawna pokłonić się przed martwą Yelayą. Jednakże na jego temat legendy milczały, mówiąc jedynie o opuszczonym mieście nawiedzanym tylko przez umarłych.

Dlaczego ten człowiek zamieszkiwał w tak odludnym miejscu i w jakimże nieznanym kierunku odeszli jego słudzy po uporządkowaniu zwłok swego pana?

Conan wzruszył ramionami, wcisnął rękopis z powrotem za pas i drgnął gwałtownie – poczuł świerzbiecie dłoni. Ku jego zdumieniu w sennej ciszy huknął głęboki, przenikliwy brzdęk

wielkiego gongu!

Odwrócił się, przyczajony jak wielki kot, z mieczem w dłoni, wpatrując się w wąski korytarz, z którego ów dźwięk zdawał się dochodzić. Czy to kapłani Keshii przybyli? Było to nieprawdopodobne, o czym wiedział; nie mieli tyle czasu, żeby dotrzeć do doliny. Ale ten gong był bezspornym dowodem ludzkiej obecności.

Conan był do szpiku kości zwolennikiem działania bezpośredniego. Subtelność tę nabył w styczności z bardziej przebiegłymi rasami. Wzięty z zaskoczenia przez niespodziewane zjawisko, jego charakter powracał instynktownie do stanu pierwotnego. Obecnie więc, zamiast ukryć się lub po cichu umknąć w przeciwnym kierunku, jak uczyniłby przeciętny człowiek, pobiegł wprost korytarzem w stronę dźwięku. Jego sandały nie robiły więcej hałasu, niż sprawiłoby stąpanie pantery. Oczy miał zwężone, usta wykrzywione bezwiednie w groźnym grymasie. Przez wstrząs wywołany niespodziewanym odgłosem jego duszę przeniknęła chwilowa panika, lecz tuż pod skórą Cimmeryjczyka zawsze czał się wściekły, pierwotny gniew zbudzony przez grożące niebezpieczeństwo.

Wkrótce wyłonił się z krętego korytarza na małym, otoczonym antresolą dziedzińcu. Jego oczy przyciągnęło coś błyszczącego w słońcu. Był to gong, wielka złota tarcza wisząca na złotym ramieniu wystającym z kruszejący ściany. Mosiężna pałka leżała blisko, ale nie było tu ani widu, ani słyhu człowieka. Łuki dookoła ziały pustką. Conan przyczaił się przy wejściu na, jak się zdało, dłuższy czas. W wielkim pałacu nie pojawił się żaden ruch ani dźwięk. Jego cierpliwość w końcu się wyczerpała. Przemknął

wokół dziedzińca, zaglądając pod arkady, gotów odskoczyć w każdą stronę niczym błysk światła albo uderzyć na lewo czy prawo, jak uderza kobra.

Dotarł do gongu i spojrzął pod najbliższy podcień. Za nim zobaczył tylko przyćmioną komnatę wyściełaną gruzem rozkładu. Gładzone marmurowe płyty posadzki pod gongiem nie ukazywały odcisków stóp, lecz w powietrzu unosiła się pewna woń – nikły fetor, którego nie potrafił określić; jego nozdrza rozdymały się niczym u dzikiego zwierza, kiedy na próżno usiłował go rozpoznać.

Odwrócił się ku podcieniom... Pozornie lite płyty posadzki pękły i ustąpiły pod jego stopami z przerażającą raptownością. W chwili gdy opadał, rozpostarł szeroko ramiona i złapał się krawędzi zionącego pod nim otworu. Krawędzie te skruszyły się w jego zaciśniętych dłoniach. Poleciał w dół, w mrok, w czarną, lodowatą wodę, która pochwyciła go i porwała swym wirem z odbierającą dech prędkością.



II

BOGINI SIĘ NUDZI



Z początku Cimmeryjczyk nie podejmował prób walki z prądem niosącym go przez nieoświetlony niczym mrok. Trzymał się powierzchni, ściskając w zębach miecz, którego nie porzucił nawet podczas upadku, i co więcej, nie usiłował zgadywać, jakież los jest mu pisany. Nagle ciemność przed nim przeszła smuga światła. Dostrzegł falującą, wzburzoną czarną powierzchnię wody; wrzała, jak gdyby zmacona przez jakiegoś potwora z głębin. I ujrzał strome kamienne ściany kanału zakrzywiające się ku sklepieniu wysoko w górze. Po obu stronach, tuż pod łukowatym stropem biegły wąskie półki, ale były one daleko poza jego zasięgiem. W jednym miejscu sufit pękł,

prawdopodobnie zapadł się, i światło wlewało się przez otwór. Poza jego snopem panowała całkowita ciemność i Cimmeryjczyka naszała panika, kiedy pojął, że zostanie poniesiony z dala od tej plamy światła znów w nieznaną czerń.

Wtem ujrzał coś jeszcze: spiżowe drabiny rozpostarte w regularnych odstępach od półek do powierzchni wody. Jedna znajdowała się właśnie przed nim. Błyskawicznie ruszył ku niej, walcząc z prądem, który utrzymywał go na środku nurtu. Ten wciągał go jakby prawdziwymi, żywymi, oślizłymi dłońmi, lecz bił ramionami w pędzący strumień z pełną desperacji siłą i zbliżał się coraz bardziej do brzegu, walcząc zaciekle o każdy cal. Obecnie znajdował się na równi z drabiną i gwałtownym, zapierającym dech rzutem pochwycił dolny szczebel, by zawisnąć na nim bez tchu.

Kilka chwil później wydostał się ze wzburzonej wody, niepewnie powierzając swój ogromny ciężar podniszczonym szczeblom. Gięły się one i wykrzywiały, ale trzymały, a on wgramolił się na wąską półkę, jaka biegła wzdłuż ściany ledwie o wysokość człowieka od zakrzywionego stropu. Kiedy wysoki Cimmeryjczyk wstał, zmuszony był pochylić głowę. Na równi ze szczytem drabiny w kamieniu objawiły się ciężkie spiżowe drzwi, ale nie poddały się wysiłkom Conana. Przełożył miecz pomiędzy zębów do pochwy, splunął krwią, gdyż podczas zacieklej walki z rzeką ostrze nacięło mu wargi, i skierował uwagę ku pękniętemu sufitowi.

Zdołał dosięgnąć rękoma pęknięcia i chwycić się jego krawędzi, a ostrożne badanie wykazało mu, iż utrzyma jego ciężar. Chwilę potem podciągnął się przez dziurę i znalazł w obszernej komnacie będącej w stanie wyjątkowej ruiny. Większość jej dachu się zapadła, podobnie jak ogromna część podłogi, którą położono na sklepieniu podziemnej

rzeki. Spękane łuki otwierały się na inne komnaty oraz korytarze i Conan uznał, że znajduje się nadal w wielkim pałacu. Zastanawiał się z niepokojem, ile komnat w owym pałacu stoi wprost nad podziemnymi wodami i kiedy pradawne płyty posadzki czy kafelki ustąpią ponownie, strącając go w nurt, z którego dopiero co się wygramolił.

Zastanawiał się też, na ile ten upadek był przypadkowy. Czy po prostu te zmurszałe płyty poddały się jego ciężarowi, czy też istniało bardziej złowróżbne wyjaśnienie? Przynajmniej jedna rzecz była jasna: nie jest jedyną żywą istotą w pałacu. Tamten gong nie rozbrzmiał sam z siebie, obojętnie, czy hałas ten miał zwabić go na śmierć czy nie. Cisza pałacu stała się nagle złowróżbna, brzemienista pełzającą groźbą.

Czy mógłby to być ktoś, kto przybył tu z taką samą misją jak on? Na wspomnienie tajemniczego Bit-Yakina naszała go raptowna myśl. Czyż nie jest prawdopodobne, że człowiek ów znalazł Zęby Gwahlura podczas swego długiego pobytu w Alkmeenonie i że jego słudzy zabrali je, kiedy odeszli? Możliwość, że podążył za błędnym ognikiem, rozsierdziła Cimmeryjczyka.

Wybrał jeden z korytarzy, gdyż uznał, że zawiedzie on go do tej części pałacu, do której wszedł na początku. Pospieszywszy nim, stąpił delikatnie, pamiętając o czarnej rzece, która burzyła się i pieniała gdzieś pod nogami.

Jego rozważania na powrót obracały się wokół komnaty wyroczni i jej tajemniczej mieszkanki. Gdzieś w pobliżu musi znajdować się klucz do zagadki skarbu, o ile rzeczywiście pozostaje on wciąż w miejscu swego odwiecznego ukrycia.

Wielki pałac trwał w typowej dla siebie ciszy mąconej tylko szybkimi krokami obutych w sandały stóp. Komnaty i hole, jakie

przemierzał, popadały w ruinę, ale kiedy tak się przemieszczał, spustoszenia uczynione przez rozkład stawały się mniej widoczne. Przez chwilę rozmyślał, w jakim celu powieszono drabiny na półkach nad podziemną rzeką, ale porzucił tę kwestię wraz ze wzruszeniem ramion. Mało obchodziły go rozważania nad nieprzynoszącymi korzyści starożytnymi zagadnieniami.

Nie był pewien, jakie jest dokładne położenie komory wyroczeni względem miejsca, do którego trafił, ale wkrótce znalazł się w korytarzu, który spod jednego z podcieni wiódł z powrotem do wielkiej sali tronowej. Podjął decyzję, iż bezsensowne jest błąkanie się bez celu po pałacu w poszukiwaniu skarbu. Zamierzał schować się gdzieś tutaj i zaczekać do przybycia kapłanów Keshanich, a potem, kiedy skończą już farsę z radzeniem się wyroczeni, podążyć za nimi do miejsca ukrycia klejnotów, do którego, czego był pewien, pójdą. Może zabiorą tylko kilka kamieni. On zadowoli się resztą.

Wiedziony niezdrową fascynacją drugi raz wszedł do komnaty wyroczeni i ponownie oczarowany jej lodowatym pięknem zapatrzył się na nieruchomą sylwetkę księżniczki, którą czczono jako boginię. Jakiż mroczny sekret zawarty został w tej zadziwiająco ukształtowanej postaci?

Nagle drgnął. Wdech zaświszczał mu między zębami, włoski zjeżyły się na karku. Ciało leżało wciąż tak, jak widział je po raz pierwszy, nieme, nieruchome, z napierśnymi płytkami z ozdobionego klejnotami złota, w pozłacanych sandałach i jedwabnej spódnicy. Lecz teraz pojawiła się drobna różnica. Smukłe członki nie były sztywne, policzki nabrały barwy kwitnącej brzoskwini, usta stały się czerwone...

Z panicznym przekleństwem Conan wyszarpnął swój miecz.

– *Na Croma! Ona żyje!*

Na jego słowa długie, ciemne rzęsy się uniosły. Oczy otworzyły się i zapatrzyły w niego nieodgadnionym wzrokiem mroczne, lśniące, tajemnicze. Przyglądał się im zamarły, pozbawiony mowy.

Księżniczka usiadła z gibką swobodą, nadal utrzymując magiczne spojrzenie.

Conan oblizwał wyschnięte usta i odzyskał głos.

– Ty... jesteś... jesteś Yelaya? – wykrztusił.

– Jestem Yelaya. – Głos miała melodyjny i przyjemnie brzmiący, przez co zapatrzył się na nią z nowym zdumieniem. – Nie bój się. Nie skrzywdzę cię, jeśli wypełnisz moje polecenie.

– Jak martwa kobieta może powrócić do życia po tych wszystkich wiekach? – pytał, jakby sceptyczny wobec tego, co podpowiadały mu zmysły. Błysk ciekawości przyćmił jego spojrzenie.

Ona zaś uniosła ramiona w mistycznym geście.

– Jestem boginią. Tysiąc lat temu spadło na mnie przekleństwo większych bogów, bogów ciemności spoza granic światła. Zmarła we mnie śmiertelniczka, bogini we mnie nie zdoła umrzeć nigdy. Oto spoczywam tu przez tak liczne wieki, by budzić się każdego wieczoru o zachodzie słońca i podtrzymywać swój dwór dni minionych wraz z widmami dobytymi z mroków przeszłości. Człowieku, jeśli nie pragniesz widoku, który rozerwie twą duszę na zawsze, idź stąd prędko! Rozkazuję ci! Idź! – Jej głos stał się władczy i nagłący, a smukłe ramię uniosło, wskazując kierunek.

Conan, z oczami jak płonące szparki, schował wolno miecz do pochwy, ale nie wypełnił jej rozkazu. Podszedł bliżej, jak gdyby napędzany potężnym zauroczeniem. Bez najmniejszego ostrzeżenia pochwycił ją w podobny niedźwiedziemu uścisk. Księżniczka

wrzasnęła wcale nie boskim krzykiem, a potem rozległ się odgłos rozdzieranego jedwabiu, kiedy Cimmeryjczyk jednym bezpardonowym szarpnięciem zerwał jej spódniczkę.

– Bogini! Ha! – rzucił z pełną złości pogardą. Nie zwracał uwagi na gorączkową szarpaninę swojej branki. – Stwierdziłem, że to dziwne, gdy księżniczka Alkmeenonu przemawia z corinthiańskim akcentem! Jak tylko pozbierałem myśli, pojąłem, że gdzieś już cię widziałem. Ty jesteś Muriela, corinthiańska tancereczka Zargheby. Potwierdza to przyrodzone znamię w kształcie półksiężyca na twym biodrze. Widziałem je już raz, kiedy Zargheba cię batożył. Bogini! Phi! – Plasnął otwartą dłonią głośno, wzgardliwie w zdradzieckie biodro, a dziewczyna zaskamlała żałośnie.

Zniknęła cała jej władczość. Nie była już tajemniczą postacią z pradawnych czasów, ale przerażoną i upokorzoną tancerką, jaką można kupić na prawie każdym shemickim targu. Rozpłakała się w głos i zawodziła bez jakichkolwiek oporów. Ten, który ją pojmał, mierzył ją złowrogo ze wściekłym tryumfem.

– Bogini! Ha! Zatem byłaś jedną z tych zawołowanych kobiet, jakie Zargheba sprowadził ze sobą do Keshii. Myślałaś, że zdołasz mnie okpić, mała idiotko? Rok temu widziałem cię w Akbitanie z tą świnią Zarghebą, a ja nie zapominam twarzy... i kobiecych sylwetek. Myślę...

Szarpiąc się w jego uścisku, zarzuciła smukłe ramiona wokół jego potężnego karku i poddała się przerażeniu; łzy żłobiły jej policzki, a drżący szloch pobrzmiwał nutą hysterii.

– Och, proszę, nie rób mi krzywdy! Nie! Musiałam tak uczynić! Zargheba sprowadził mnie tu, bym odegrała wyrocznie!

– Ech, ty mała bluźniercza bezwstydnico! – zadudnił Conan. – Nie

boisz się bogów? Na Croma, czyż nigdzie nie ma już uczciwości?

– Och, proszę! – błagała, drżąc, sponiewierana strachem. – Nie mogłabym nie posłuchać Zargheby. Och, cóż mam czynić? Zostanę przeklęta przez tych pogańskich bogów!

– Jak myślisz, co zrobią ci kapłani, jeśli odkryją, że nie jesteś tą, pod którą się podszywasz? – dopytywał.

Na tę myśl nogi odmówiły jej posłuszeństwa i opadła, trzęsąc się jak kupka nieszczęścia. Objęła Conanowe kolana, mieszając bezładne, usilne prośby o litość i obronę z żalnymi zapewnieniami o swej niewinności płynącej z braku złych zamiarów. W porównaniu z pozą pradawnej księżniczki stanowiło to jaskrawą odmianę, ale nie było zaskoczeniem. Strach, jaki nadawał jej wówczas tupet, obecnie ją rozbił.

– Gdzie jest Zargheba? – rzucił Cimmeryjczyk. – Przestań jazgotać, a niech cię, i odpowiadaj.

– Poza pałacem – wyskamląła. – Wygląda kapłanów.

– Ilu jest z nim ludzi?

– Nie ma nikogo. Przybyliśmy sami.

– Ha! – Zabrzmiało to niczym pełen zadowolenia pomruk polującego lwa. – Musieliście opuścić Keshię w kilka godzin po mnie. Wspinaliście się po urwiskach?

Pokręciła głową, zbyt zadławiona łzami, by mówić spójnie. Złorzeczając niecierpliwie, chwycił ją za szczupłe ramiona i potrząsał, aż złapała oddech.

– Przestaniesz się mazać i zaczniesz mi odpowiadać? Jak dostaliście się do doliny?

– Zargheba zna tajne przejście – wydyszała. – Kapłan Gwarunga powiedział o nim jemu i Thutmekriemu. Po południowej stronie

doliny znajduje się szerokie rozlewisko leżące u stóp urwiska. Pod powierzchnią wody jest wlot do jaskini niewidoczny dla przypadkowego spojrzenia. Zanurzyliśmy się i weszliśmy tam. Jaskinia od razu się wznosi, wynurza i prowadzi między urwiskami. Otwór po tej stronie przesłonięty jest gęstymi zaroślami.

– Ja się wspiąłem na urwisko po stronie wschodniej – mruknął. – Dobra, i co dalej?

– Przybyliśmy do pałacu i Zargheba ukrył mnie wśród drzew, a sam poszedł szukać komnaty wyroczni. Nie sądzę, aby w pełni zaufał Gwarundze. Kiedy go nie było, posłyszałam, jak sądzę, dźwięk gongu, ale nie byłam pewna. Wkrótce przyszedł Zargheba, zabrał mnie do pałacu i sprowadził do komory, gdzie na podwyższeniu leżała bogini Yelaya. Rozebrał ciało i ubrał mnie w ten strój i ozdoby. Wówczas poszedł, żeby ukryć ciało i wypatrywać kapłanów. Byłam przestraszona. Kiedy wszedłeś, chciałam zerwać się i błagać, abys zabrał mnie z dala od tego pałacu, lecz bałam się Zargheby. Kiedy odkryłeś, że jestem żywa, pomyślałam, że zdołam cię odstraszyć.

– Co miałaś powiedzieć jako wyrocznia? – zapytał.

– Miałam polecić kapłanom zabrać Zęby Gwahlura i dać kilka z nich Thutmekriemu jako porękę, tak jak chciał, a resztę umieścić w pałacu w Keshii. Miałam im oznajmić, że jeśli nie zgodzą się na propozycję Thutmekriego, Keshanowi grozić będzie straszne nieszczęście. Ach tak, i miałam im powiedzieć, że bezzwłocznie masz zostać żywcem oskórowany.

– Thutmekri chciał, aby skarb znalazł się tam, gdzie on albo Zembabwejczycy będą mogli łatwo położyć na nim ręce – wymamrotał Conan, lekceważąc uwagę dotyczącą jego samego. – Jeszcze wyrznię mu wątrobę... Gorulga jest oczywiście częścią tego

szwindlu?

– Nie. On wierzy w swoich bogów i jest niesprzedajny. Nic o tym nie wie. Będzie posłuszny wyroczni. To w całości plan Thutmekriego. Wiedząc, że Keshani będą radzić się wyroczni, kazał Zarghebie sprowadzić mnie wraz z poselstwem z Zembabwei szczelnie zasłoniętą i odizolowaną.

– Dobrze... A niech mnie! – mruknął Conan. – Kapłan, który szczerze wierzy w swą wyrocznię i nie da się go przekupić. Na Croma! Zastanawiam się, czy to Zargheba walnął w gong. Wiedział, że tu jestem? Czy mógł wiedzieć o zmurszałych chodnikach? Gdzie on teraz jest, dziewczyno?

– Ukrywa się w gąszczu lotosowych drzew w pobliżu pradawnej alei, która prowadzi od południowych ścian urwiska do pałacu – odparła. Potem jęła powtarzać natarczywe prośby: – Och, Conanie, ulituj się nade mną! Lękam się tego złego, pradawnego miejsca. Słyszałam niedaleko od siebie odgłosy skradających się kroków... Och, Conanie, zabierz mnie stąd! Zargheba mnie zabije, gdy wypełni jego cele. Wiem to! Kapłani też to zrobią, jeśli odkryją mój podstęp. To diabeł... Odkupił mnie od handlarza niewolników, który wykradł mnie z karawany kierującej się w stronę południowego Koth, i uczynił narzędziem swych intryg. Zabierz mnie od niego! Nie możesz być tak okrutny jak on. Nie zostawiaj mnie tu na rzeź! Proszę, proszę!

Kłęczała, trzymając się kurczowo Cimmeryjczyka. Jej piękna, znaczone łzami twarz zwrócona była ku górze, ku niemu, ciemne, jedwabiste włosy spływały w nieładzie na białe ramiona. Conan podniósł ją i umieścił sobie na kolanie.

– Posłuchaj mnie. Obronię cię przed Zarghebą. Kapłani nie powinni dowiedzieć się o twej podłości, ale musisz zrobić tak, jak ci powiem.

Wydukała obietnicę bezwzględnego posłuszeństwa, ściskając mocno węzły mięśni na jego karku, jak gdyby w tej styczności szukała bezpieczeństwa.

– Dobrze. Kiedy przybędą kapłani, odegrasz rolę Yelai, jak zaplanował Zargheba. Będzie ciemno, a przy świetle pochodni nie odkryją różnicy. Ty jednak powiesz im tak: „Wolą bogów jest, aby Stygijczyka i jego shemickie psy wypędzono z Keshanu. Są oni złodziejami i zdrajcami knującymi, jak ograbić bogów. Niech Zęby Gwahlura zostaną oddane pod opiekę naczelnego dowódcy Conana. Niech on powiedzie wojska Keshanu. W nim bogowie mają upodobanie”.

Zadrżała, a na jej twarzy odmalowała się rozpacz, lecz przytaknęła.

– Ale Zargheba?!... – zawołała. – On mnie zabije.

– Nie martw się Zarghebą – warknął. – Zajmę się tym psem. Zrób, jak ci mówiłem. Hej, ułóż sobie na nowo włosy. Opadły ci na ramiona. I wypadł z nich klejnot. – Włożył na miejsce wielki, jaśniejący szlachetny kamień, potakując z aprobatą. – On sam wart jest tylu niewolników, ilu pomieściłoby to miejsce. Dalej, włóż z powrotem spódniczkę. Jest rozdarta z jednej strony, ale kapłani w żaden sposób tego nie dostrzegą. Wytrzymaj sobie twarz. Bogini nie płacze jak wysmagana uczennica. Na Croma, ty wyglądasz jak Yelaya: twarz, włosy, sylwetka i w ogóle. Jeśli przed kapłanami zagrasz boginię tak dobrze, jak zrobiłaś to wobec mnie, okpisz ich z łatwością.

– Postaram się – odparła i zadygotała.

– Dobrze. Idę poszukać Zargheby.

Na to ona znów zaczęła panikować.

– Nie! Nie zostawiaj mnie samej! Tutaj straszy!

– Nie ma tu niczego, co mogłoby cię skrzywdzić – zapewnił ją

niecierpliwie. – Niczego poza Zarghebą, a o niego zamierzam się zatroszczyć. Niedługo powrócę. Będę czuwał blisko, na wypadek gdyby coś poszło nie tak podczas ceremonii, lecz jeśli zagrasz swą rolę właściwie, wszystko pójdzie dobrze.

I odwróciwszy się, wyszedł pośpiesznie z komnaty wyroczni, a za jego plecami Muriela skwitowała odejście żalnym piskiem. Zapadł zmierzch. Wielkie pomieszczenia i hole stały się cieniste, rozmyte; miedziane fryzy lśniły matowo w półmroku. Conan kroczył po wielkich salach niczym zjawa, mając odczucie, iż z ciemnych zakamarków obserwują go niewidzialne duchy przeszłości. Nic dziwnego, że w takim otoczeniu dziewczyna robiła się nerwowa.

Z mieczem w dłoni sunął w dół po marmurowych stopniach niczym skradająca się pantera. Nad doliną panowała cisza, a ponad krawędzią urwisk zaczynały migotać gwiazdy. Jeśli kapłani z Keshii weszli do doliny, nie zdradzała ich żaden dźwięk ani żaden ruch wśród zieleni. Wydostał się na starożytną, wyłożoną spękanyymi płytami aleję, która odchodząc na południe, ginęła pośród masy wielkich liści i grubolistnych krzaków. Podążył nią ostrożnie, trzymając się krawężnika, gdzie zgęstniałe krzewy rzucały głębokie cienie, nim przed sobą ujrzał niewyraźnie w półmroku kępę drzew lotosu, szczególnych roślin specyficznych dla czarnych ziem Kush. Tam, zgodnie ze słowami dziewczyny, powinien czaić się Zargheba. Conan skradał się jak duch. Niczym aksamitnostopy cień zlał się z zaroślami.

Zbliżał się do lotosowego zagajnika ruchem okrężnym, a jego przejście znaczył ledwie szelest liści. Na skraju drzew przystanął nagle, przyczał się wśród zwartych krzewów jak podejrzliwa pantera. Przed nim, pomiędzy gęstymi liśćmi, ukazał się blady owal,

niewyraźny w ciemniejącym świetle. Mógł to być jeden z wielkich białych kwiatów, które jaśniały gęsto między gałęziami. Conan wszak wiedział, że to ludzka twarz. I to skierowana w jego kierunku. Cofnął się szybko głębiej w mrok. Czy Zargheba go dojrzała? Patrzył wprost w jego stronę. Chwile mijały. Owo przyćmione oblicze nie poruszało się. Conan dostrzegł, że ciemna kępka poniżej stanowi krótką czarną brodę.

I raptem Cimmeryjczyk uświadomił sobie coś nienaturalnego. Zargheba, co wiedział, nie był człowiekiem wysokim. Stojąc wyprostowany, z trudem dosięgał głową do ramienia Conana. Tymczasem tamto oblicze znajdowało się na poziomie jego twarzy. Czyżby ów człowiek na czymś stał? Conan pochylił się i wyjrzał w stronę ziemi poniżej miejsca, gdzie widać było twarz, ale widok przesłoniły mu poszycie i grube pnie drzew. Ujrzał wszak coś jeszcze i zeszywniał. Przez otwór w poszyciu dojrzał pień drzewa, pod którym najwyraźniej stał Zargheba. Jego oblicze znajdowało się dokładnie w jednej linii z tym drzewem. Poniżej twarzy powinien był ujrzeć nie pień, lecz ciało Zargheby, ale ciała tam nie było.

Raptem, naprężony bardziej niż tygrys podchodzący ofiarę, Conan wśliznął się głębiej w zarośla, a chwilę później odciągał liściastą gałąź i spoglądał w twarz, która się nie poruszała. I z własnej woli nie miała poruszyć się nigdy więcej. Oto spoglądał na odciętą głowę Zargheby zawieszoną na gałęzi za długie, czarne włosy.

III

POWRÓT WYROCZNI



Conan okręcił się zwinnie, omiatając mrok dzikim, badawczym spojrzeniem. Po ciele zamordowanego nie było ani śladu, tylko nieco dalej wysoka, bujna trawa została zdeptana i połamana, a murawa zbryzgana na ciemno i mokro. Wsłuchując się z napięciem w ciszę, Cimmeryjczyk stał i ledwie oddychał. Drzewa i krzaki wraz z ich bezbarwnymi kwiatami odcinały się na tle zapadającego zmierzchu, ciemne, nieruchome, złowrogie.

W umyśle Conana poszeptywać zaczęły pierwotne lęki. Czy to

robota kapłanów z Keshanu? Jeśli tak, gdzież oni są? Koniec końców, czy to Zargheba był tym, kto uderzył w gong? Ponownie zbudziło się w nim wspomnienie o Bit-Yakinie i jego tajemniczych sługach. Bit-Yakin był martwy – wysuszony kadłubek pomarszczonej skóry na zawsze związany ze swą pustą kryptą, z której wita wschodzące słońce. Jednak słudzy Bit-Yakina pozostawali nierozpoznani. Nie było żadnego dowodu na to, że kiedykolwiek opuścili dolinę.

Cimmeryjczyk pomyślał o Murieli, samej i niestrzeżonej w wielkim cienistym pałacu. Odwrócił się i pobiegł przyćmioną aleją, jak biegają nieufne pantery; nawet wyciągając nogi, gotów był obrócić się na prawo czy lewo i zadać zabójcze ciosy.

Pałac wynurzał się spomiędzy drzew, a on ujrzał coś jeszcze – blask ognia odbijający się na czerwono od wygładzonych marmurów. Wtopił się w krzaki, jakie wyznaczały splekaną ulicę, przemknął przez gęste zarośla i dotarł na skraj otwartej przestrzeni przed portykiem. Doszły go głosy; pochodnie podskakiwały, a ich migotliwe światło jaśniało na połyskliwych hebanowych ramionach. Przybyli kapłani z Keshanu.

Nie nadeszli szeroką, pozarastaną aleją, jak oczekiwał po nich Zargheba. Widocznie istniało więcej niż jedno tajne wejście do doliny Alkmeenonu.

Wspinali się rzędem po szerokich marmurowych stopniach, trzymając pochodnie wysoko. Na czele dostrzegł Gorulę – jego wykuty z miedzi profil odcięty w blasku światła. Resztę stanowili akolici, ogromni czarni ludzie, z których skór pochodnie krzesły jaskrawe błyski. Na końcu procesji kroczył ogromny negroid o niezwykle nikczemnie ukształtowanym obliczu. Na jego widok Conan spochmurniał. To był Gwarunga, wymieniony przez Murielę jako

człowiek, który ujawnił Zarghebie sekret wejścia przez rozlewisko. Cimmeryjczyk zastanawiał się, jak głęboko ów człowiek tkwi w intrygach Stygijczyka.

Pospieszył w kierunku portyku, okrążając otwartą przestrzeń, aby trzymać się zalegających dookoła cieni. Nie zostawili nikogo, by strzegł wejścia. Pochodnie przepływały przez ciemny hol w równym rytmie. Zanim dotarli do dwuskrzydłowych drzwi na drugim końcu, Conan wspiął się po zewnętrznych stopniach i znalazł w holu za nimi. Przemykając prędko wzdłuż skrytych za rzędami kolumn ścian, osiągnął wielkie drzwi, kiedy tamci przemierzali ogromną salę tronową. Ich pochodnie odpychały mrok. Nie oglądali się za siebie. Strusie pióropusze kiwały się pojedynczym rzędem. Tuniki ze skór lamparcich kontrastowały dziwnie z marmurem i pokrytym arabeskami metalem starożytnego pałacu. Przemierzyli wskroś rozległe pomieszczenie i zatrzymali się na chwilę u złotych drzwi po lewej stronie od podwyższenia tronu.

Głos Gorulgi huknął głucho i niesamowicie w wielkiej, pustej przestrzeni, wyrażając donośnie zwroty niezrozumiałe dla przyczajonego słuchacza. Potem najwyższy kapłan pchnięciem rozwarł złote drzwi i wszedł, kłaniając się raz po raz nisko, a za nim pochodnie opadały i wznosiły się, rozsiewając drobinki ognia, kiedy czciciele naśladowali swego mistrza. Złote drzwi zamknęły się za nimi, odcinając obraz i dźwięk. Conan wystrzelił przez komnatę tronową do wnęki za tronem. Czynił mniej hałasu niż wiatr przewiewający komnatę.

Kiedy podważył tajemny panel, przez otwory w ścianach wlały się maleńkie strumyki światła. Wśliznąwszy się do wnęki, wyjrzał przez nie. Muriela siedziała wyprostowana na podwyższeniu z założonymi

rękoma i odchyłoną głową wspartą o ścianę kilka cali od jego oczu. Delikatny aromat burzy jej włosów przeniknął do jego nozdrzy. Nie mógł oczywiście widzieć twarzy, ale jej postawa sprawiała, że wyglądała tak, jak gdyby ze spokojem wpatrywała się w jakąś odległą otchłań kosmosu ponad i za ogolonymi głowami czarnych olbrzymów, jacy klęczeli przed nią. Conan wyszczerzył zęby z uznaniem.

– Ta mała wywłoka jest prawdziwą aktorką – rzekł do siebie. Wiedział, że ona aż skręca się z przerażenia, ale nie pokazuje tego po sobie. W niepewnym, migotliwym świetle pochodni wyglądała dokładnie tak jak bogini, którą widział uprzednio leżącą na tym samym podwyższeniu. O ile ktoś byłby w stanie wyobrazić sobie boginię przesyconą tętniącym życiem.

Z nieznanym Conanowi akcentem Gorulga wyhuczał rodzaj pieśni, która prawdopodobnie była jakąś inwokacją w starożytnym języku Alkmeenonu przekazywaną z pokolenia na pokolenie najwyższych kapłanów. Zdawała się nie mieć końca, a Conan stawał się coraz bardziej niespokojny. Im dłużej cała sprawa trwała, tym straszliwszą cenę przyjdzie zapłacić Murieli za napięcie. Gdyby pękła... Przesunął swój miecz i sztylet naprzód. Nie mógłby patrzeć, jak ta mała ulicznica jest torturowana i zabijana przez czarnych.

Jednak pieśń – tubalna, w niskim tonie i nie do opisanego złowieszczą – ostatecznie dobiegła końca, a wykrzyczana przez akolitów aklamacja postawiła po niej kropkę. Podnosząc głowę i wznosząc ramiona ku niemej postaci na podwyższeniu, Gorulga zawołał głębokim, dźwięcznym głosem, który stanowił naturalny przymiot kapłana Keshanich:

– O, wielka bogini, mieszkająca wespół z wielkimi ciemnościami, niech

serce twe stopnieje, niech usta twe otworzą się dla uszu twego niewolnika, którego oblicze spoczywa w prochu u twych stóp! Przemów, wielka bogini świętej doliny! Tyś jest znająca ścieżki przed nami. Ciemność, która nas trapi, dla ciebie jest niczym światło południowego słońca. Rozsiej blask swej mądrości na ścieżki sług twoich! Powiedz nam, mówczyni w imieniu bogów, jaka jest ich wola w sprawie Stygijczyka Thutmekriego?

Wysoko upięta, połyskująca burza włosów, w której ogniki z pochodni błyskały matowym brązem, drgnęła nieznacznie. W piersi czarnych zrodziło się głębokie westchnienie, na wpeł z szacunku, a na wpeł ze strachu. Głos Murieli w ciszy nieprzerwanej nawet oddechem dochodził do uszu Conana wyraźnie i zdawał się zimny, obojętny, bezosobowy, choć wojownik skrzywił się nieco na corinthiański akcent.

– Wolą bogów jest, aby Stygijczyka i jego shemickie psy wypędzono z Keshanu – powtarzała dokładnie jego słowa. – Są oni złodziejami i zdrajcami knującymi, jak ograbić bogów. Niech Zęby Gwahlura zostaną oddane pod opiekę naczelnego dowódcy Conana. Niech on wiedzie wojska Keshanu. W nim bogowie mają upodobanie! – Na koniec w jej głosie pojawiło się drżenie i Cimmeryjczyk zaczął się pocić, uznawszy, że znalazła się na skraju histerycznego załamania.

Ale czarni tego nie zauważyli. Żaden z nich nie rozpoznał także corinthiańskiego akcentu, o którym nie wiedzieli nic. Uderzając delikatnie, złączyli dłonie i mamrotali o cudzie, a podziw w nich narastał. Oczy Gorulgi skrzyły się fanatycznie w blasku pochodni.

– Yelaya przemówiła! – zawołał podniosłym głosem. – Taka jest wola bogów! Dawno temu, za dni naszych przodków, uczyniono z nich tabu i skryto na rozkaz bogów, którzy wyrwali je ze strasznej

paszczy Gwahlura, króla ciemności, u narodzin świata. Na rozkaz bogów Zęby Gwahlura zostały ukryte. Na ich rozkaz zostaną wydane światu ponownie. Och, zrodzona wśród gwiazd bogini. Wydajże nam pozwolenie, by pójść w sekretne miejsce ukrycia Zębów i zabezpieczyć je dla tego, którego miłują bogowie!

– Macie me pozwolenie, by iść! – powiedziała fałszywa bogini z władczym gestem, który sprawił, że Conan wyszczerzył zęby ponownie, a kapłani wycofali się tyłem. Strusie pióra i pochodnie unosiły się i opadały w rytmie bitych przez nich pokłonów.

Złote drzwi się zamknęły, a bogini z jękiem opadła bezwładnie na podwyższenie.

– Conanie! – zaskamlała słabo. – Conanie!

– Ciii! – syknął przez otwory.

Obróciwszy się, wysliznął się z wnęki i zamknął panel. Przelotne spojrzenie rzucone przez próg rzeźbionych drzwi ukazało mu pochodnie oddalające się poprzez wielkie pomieszczenie z tronem. W tej samej chwili uświadomił sobie istnienie poświęty, która nie pochodziła od pochodni. Poczuł się zaintrygowany, ale rozwiązanie ujawniło się natychmiast. Wszedł wczesny księżyc i jego światło padało skosem przez otwory przebite w kopule sklepienia, która dzięki niezwykłemu kunsztowi wzmacniała blask. Jaśniejąca kopuła Alkmeenonu nie była więc bajką. Być może jej wnętrze wykonano z osobliwego, błyszczącego białą kryształu znajdowanego jedynie na wzgórzach czarnych krajów. Światło zalało salę tronową i sączyło się do bezpośrednio przylegających komnat.

Ale gdy Conan zmierzał już w kierunku drzwi, które wiodły do sali tronowej, uderzył go nagły hałas, jaki zdawał się dobiegać z przejścia wychodzącego z wnęki. Wpatrzony w nie, przyczaił się u jego wylotu,

wspominając brzęk gongu, jaki pobrzmiwał w nim echem, by zwabić go w pułapkę. Światło z kopuły wnikało na niewielką jedynie odległość w ten wąski korytarz i ukazywało mu wyłącznie pustą przestrzeń. Jednak mógł przysiąc, że gdzieś w jego głębi posłyszał odgłosy ukradkowych stąpień.

Gdy wahał się, co dalej, wstrząsnął nim zdławiony kobiecy krzyk za plecami. Skoczywszy przez drzwi za tronem, w krystalicznym świetle ujrzał niespodziewany widok. Pochodnie kapłanów znikły z wielkiego holu na zewnątrz, ale jeden z nich był nadal w pałacu: Gwarunga. Jego nikczemne rysy wykrzywiła wściekłość. Ścisnął przerażoną Murielę za gardło i dławiąc jej wysiłki, by krzyczeć i błagać, potrząsał nią brutalnie.

– Zdrajczyń! – Jego głos syczał jak u kobry spomiędzy mięsistych, czerwonych ust. – Co za grę prowadzisz? Czy Zargheba nie powiedział ci, co mówić? Także rzekł mi Thutmekri! Czyż zdradzasz swego pana albo on zdradza swych przyjaciół za twym pośrednictwem? Wywłoko! Ukręcę ci ten fałszywy łeb... Ale najpierw...

Rozszerzające się śliczne oczy branki, kiedy zapatrzyła się przez jego ramię, ostrzegły ogromnego czarnego. Puścił ją i odwrócił się, dokładnie gdy miecz Conana świstał w dół. Wskutek ciosu padł jak długi na plecy na marmurową posadzkę, gdzie legł w drgawkach, a krew sączyła się z poszarpanej głębokiej rany w jego czaszce.

Cimmeryjczyk ruszył ku niemu, by dokończyć dzieła, gdyż wiedział, że nagły ruch czarnego sprawił, iż klinga uderzyła płazem, ale Muriela zarzuciła nań konwulsyjnie ramiona.

– Zrobiłam tak, jak mi nakazałeś! – dyszała histerycznie. – Zabierz mnie stąd! Och, proszę, zabierz mnie stąd!

– Jeszcze nie możemy odejść – burknął. – Chcę pójść za kapłanami i zobaczyć, skąd wezmą klejnoty. Może tam być więcej ukrytych łupów. Ale możesz iść ze mną. Gdzie jest ten szlachetny kamień, który nosiłaś we włosach?

– Musiał wypaść na podwyższeniu – wydukała z żalem. – Byłam tak przerażona... Kiedy kapłani wyszli, wybiegłam, by cię odnaleźć, a ten wielki bydlak pozostał z tyłu i mnie pochwycił...

– Dobra, idź po niego, a ja pozbędę się tego ścierwa – zakomenderował. – No, dalej! Ten klejnot sam w sobie wart jest fortunę.

Zawahała się, jak gdyby z odrazą myśląc o powrocie do tajemnej komory, a następnie, kiedy on złapał Gwarungę za pas i pociągnął go do wnęki, obróciła się i weszła do pomieszczenia wyroczeni. Conan rzucił pozbawionego zmysłów czarnego na podłogę i wzniósł miecz. Cimmeryjczyk mieszkał zbyt długo w dzikich miejscach świata, by żywić złudzenia co do litości. Jedynym bezpiecznym wrogiem był wróg bezgłowy. Zanim jednak uderzył, przenikliwy wrzask wstrzymał uniesione ostrze. Dobiegł on z komnaty wyroczeni.

– Conanie! Conanie! *Ona wróciła!* – Piskliwy wrzask zakończyły charkot i odgłosy szurania.

Cimmeryjczyk wypadł z wnęki z przekleństwem i przez podwyższenie tronu pomknął do komnaty wyroczeni, prawie jeszcze nim ów dźwięk ucichł. Tam przystanął, patrząc w oszołomieniu. Wszystko wskazywało na to, że Muriela leży spokojnie na podwyższeniu z oczami zamkniętymi, jak gdyby we śnie.

– Co ty robisz, do diabła?! – zapytał cierpko. – To nie czas na wygłupy...

Umilkł. Przebiegł wzrokiem po bieluśkim udzie opiętym ściśle

przylegającą jedwabną spódniczką. Spódniczka ta winna być rozerwana od pasa po sam skraj. Wiedział o tym, ponieważ to jego dłoń ją rozdarła, kiedy bezpardonowo zdierał strój z ciała miotającej się tancerki. Ale spódniczka nie miała żadnych rozdarć. Jeden skok przeniósł go na podwyższenie. Położył dłoń na bieluśkim ciele i... poderwał ją, jak gdyby napotkała rozpaloną stal zamiast zimnego bezruchu śmierci.

– Na Croma! – mruknął, a jego oczy stały się szczelinami gorejącymi ogniem. – To nie Muriela! To Yelaya!

Teraz pojawił ten gorączkowy wrzask, jaki buchnął z ust Murieli, kiedy weszła do komory. Bogini wróciła. Ciało zostało rozebrane przez Zarghebę, by zapewnić wyposażenie pozorantce. Jednak obecnie było ono odziane w jedwab i klejnoty, tak jak Conan ujrzał je po raz pierwszy. Wśród krótkich włosków na karku poczuł charakterystyczne ciarki.

– Muriela! – zawołał nagle. – Muriela! Gdzie, u diabła, jesteś?!

Mury z drwiną odbiły jego głos. Poza złotymi drzwiami nie dostrzegął tu żadnego innego wejścia, a nikt nie był w stanie wejść lub wyjść przez nie bez jego wiedzy. Bezdyskusyjne było jak dotąd to, że Yelaya została umieszczona na podwyższeniu w ciągu kilku minut, jakie upłynęły, odkąd Muriela po raz pierwszy opuściła komorę i pochwycił ją Gwarunga. W uszach Cimmeryjczyka wciąż pobrzmiwało echo jej wrzasku, jednak Corinthianka przepadła, jak gdyby rozplynęła się w powietrzu. Jeżeli odrzucić mroczniejsze domysły, które sugerowały zjawiska nadprzyrodzone, pozostawało tylko jedno wyjaśnienie – gdzieś w tym pomieszczeniu znajdowały się sekretne drzwi. I w tej samej chwili, kiedy myśl o nich przemknęła mu przez głowę, ujrzał je.

W czymś, co zdawało się kurtyną z litego marmuru, ukazała się pionowa szczelina, a z tejże szczeliny zwisał skrawek jedwabiu. W jednej chwili Cimmeryjczyk pochylał się już nad nim. Strzęp ten pochodził z rozdartej spódniczki Murieli. Wniosek był oczywisty. Został on przyciśnięty przez zamykające się drzwi i oderwany, kiedy jakieś posępne istoty porwały ją i przenosiły przez próg. Kawałek materiału nie dopuścił, aby drzwi idealnie wpasowały się w obramowanie.

Wcisnąwszy sztych sztyletu w szparę, Conan napał na dźwignię poznaczonym sznurami mięśni przedramieniem. Klinga zgięła się, ale wykonano ją z niełamliwej akbitaniańskiej stali. Marmurowe drzwi się otwarły. Zagląając w otwór za nimi, Conan wzniósł miecz, ale nie dostrzegł zagrożenia pod żadną postacią. Światło sączące się do komnaty wyroczeni odsłoniło krótką klatkę schodową wyciętą w marmurze. Pchnąwszy drzwi tak, iż rozwarły się na całą szerokość, wetknął sztylet w szparę w posadzce, by je zaklinować. Potem zszedł po stopniach bez wahania. Nie widział nic, nic nie słyszał. Po tuzinie stopni schody kończyły się wąskim korytarzem, który wybiegał prosto w mrok.

Zatrzymał się nagle u stóp schodów niczym statua, przypatrując się malowidłom, jakimi ozdobiono ściany na wpół widoczne w przyćmionym świetle, które przesączało się tu gdzieś z góry. Nieomylnie była to sztuka pelishtimska; widział freski o identycznych cechach na murach Asgalunu. Ale zobrazowane sceny nie miały żadnego związku z czymkolwiek, co pelishtimskie, z wyjątkiem jednej ludzkiej postaci pojawiającej się często: chudego, białobrodego starca, którego rasowa przynależność nie pozostawiała wątpliwości. Rysunki zdawały się odzwierciedlać rozmaite części pałacu powyżej. Kilka

scen ukazywało komnatę, którą rozpoznał jako komorę wyroczni z postacią Yelai rozciągniętą na hebanowym podwyższeniu i ogromnymi czarnymi ludźmi klęczącymi przed nią. A oto za ścianą, we wnęce zaczął się starożytny Pelishtim. I były też inne postaci – postaci, które krążyły po opustoszałym pałacu i wykonując polecenia Pelishtima, wyciągały nienazwane przedmioty z podziemnej rzeki.

Conan zastygł na parę chwil. Niepojęte dotychczas frazy z pergaminowego manuskryptu rozbłysły w jego umyśle z mrozącą krew w żyłach wyrazistością. Pojedyncze kawałki schematu wskoczyły na miejsce. Tajemnica Bit-Yakina nie stanowiła już tajemnicy, zagadką nie byli także słudzy Bit-Yakina.

Cimmeryjczyk obrócił się i spojrzał w ciemność, a lodowaty dreszcz przepętlął mu po grzbiecie. Potem ruszył korytarzem, stąpając jak kot, i bez wahania zagłębiał się coraz bardziej w mrok, w miarę jak oddalał się od schodów. Powietrze było ciężkie od smrodu, jaki wywęszył na dziedzińcu z gongiem.

Wkrótce w całkowitej czerni posłyszał przed sobą jakiś dźwięk – szuranie nagich stóp albo szelest luźnego odzienia trącego o kamień. Czego dokładnie, nie potrafił stwierdzić. Jednak chwilę później wyciągniętą ręką natrafił na przeszkodę, którą rozpoznał jako masywne drzwi z rzeźbionego metalu. Naparł na nie bezowocnie, a sztych jego miecza na próżno poszukiwał szczelin. Drzwi wpasowane były w próg i ościeżnicę, jak gdyby zostały odlane wraz z nimi. Natężył wszystkie siły, stopy wbił w podłogę, żyły wystąpiły mu na skroniach. Nadaremnie. Nawet szarża słoni ledwo co wstrząsnęłaby tym potężnym wejściem.

Kiedy oparł się o drzwi, wychwycił po drugiej stronie jakiś dźwięk, który jego uszy natychmiast rozpoznały – był to zgrzyt zardzewiałej

stali, niczym dźwigni szorującej o szczelinę. Instynktowne działanie podążyło za tym dźwiękiem tak samorzutnie, że bodziec i akcja wystąpiły praktycznie jednocześnie. I kiedy wielgachny sus poniósł go do tyłu, z góry dotarł odgłos jakiejś pędzącej masy, a grzmiący łomot wypełnił tunel ogłuszającym pogłosem. Uderzyły go kawałki przelatujących odłamków – ogromny blok z kamienia, jak ocenił po dźwięku, opadł w miejsce, które właśnie opuścił. Odrobinę wolniejszy pomyślunek bądź działanie, a zostałby zgnieciony jak mrówka.

Conan się wycofał. Gdzieś po drugiej stronie tych metalowych drzwi przebywała zniewolona Muriela, o ile wciąż jeszcze żyła. Nie mógł wszak już przez nie przejść, a gdyby pozostał w tunelu, opaść mógł kolejny blok, on zaś nie miałby tyle szczęścia. Niewiele dałoby dziewczynie, gdyby został zgnieciony na krwawą miazgę. Nie mógł kontynuować swych poszukiwań w tym kierunku. Musiał wydostać się z podziemi i poszukać jakiejś innej drogi.

Obrócił się, pospieszył w stronę schodów i odetchnął, kiedy znalazł się we względnym zasięgu poświaty. Ale kiedy postawił stopę na pierwszym stopniu, światło przygasło, a marmurowe drzwi powyżej zamknęły się szybko z rozchodzącym się pogłosem.

Wówczas Conana opanowało coś na kształt paniki. Schwytyany w czarnym tunelu, odwrócił się na schodach, wzniósł miecz i wpatrując się morderczo wściekłym wzrokiem w ciemność przed sobą, spodziewał się natarcia upiornych napastników. Ale w głębi tunelu nie pojawił się żaden dźwięk ani ruch. Czyżby ludzie za drzwiami – o ile byli oni ludźmi – uznali, że został unieszkodliwiony przez kamień z sufitu, który niewątpliwie wyzwolono za pomocą jakiegoś rodzaju maszynierii? Zatem dlaczego drzwi powyżej zostały zamknięte? Porzuciwszy spekulacje, Conan zaczął szukać po omacku drogi po

stopniach w górę – przy każdym kroku skóra cierpła mu w oczekiwaniu na nóż wbity w plecy – pragnąc do cna zatopić nękającą go panikę w barbarzyńskim wybuchu upuszczania krwi.

Pchnął drzwi na szczycie i odkrywwszy, że nie poddają się jego wysiłkom, zaklął z głębi serca. Następnie uniósł miecz prawą ręką, chcąc ciosać marmur, ale lewa natrafiła na metalowy rygiel, który najwyraźniej zasunął się na miejsce przy zamykaniu. W jednej chwili wyszarpnął ów rygiel i wówczas drzwi ustąpiły pod jego pchnięciem. Skoczył do komnaty niczym wcielenie furii, ze zwięzonymi oczami i obnażonymi zębami, dziko żądny zetrzeć się z wrogiem, kimkolwiek był ten, co nań nastawał.

Sztylet z podłogi zniknął. Komora była pusta, podobnie jak podwyższenie. Yelaya przepadła ponownie.

– Na Croma! – mruknął Cimmeryjczyk. – Czyli mimo wszystko jednak żyje?

Skonsternowany wkroczył do sali tronowej i wtem, trafiony nagłą myślą, wszedł za tron i zajrzał do alkowy. W miejscu, gdzie rzucił nieprzytomne ciało Gwarungi, na gładkim marmurze znalazł krew – to wszystko. Czarny przepadł, tak jak Yelaya.



IV

KOPUŁA ZĘBÓW GWAHLURA



Myśli Conana Cimmeryjczyka mącił pełen konsternacji gniew. Wiedział niewiele więcej o tym, co robić dalej, aby znaleźć Murielę, niż o tym, co robić, żeby odszukać Zęby Gwahlura. Do głowy przyszła mu tylko jedna myśl: pójść za kapłanami. Być może w miejscu ukrycia skarbu objawią mu się jakieś wskazówki. Była na to

nikła szansa, ale lepsze to niż błąkanie się dookoła bez celu.

Kiedy podążał przez wielki, przyciemniony hol, który prowadził pod portyk, niemal spodziewał się, iż majaczące cienie za nim ożyją, gotowe rozerwać go kłami i szponami. Ale w świetle księżyca, które naznaczyło cętkami migoczący marmur, towarzyszyło mu tylko przyspieszone bicie własnego serca.

U stóp szerokich schodów w jasnym księżycowym świetle począł rozglądać się za jakimś znakiem, który wskaże kierunek, w jakim winien pójść. I znalazł go – płatki leżące na murawie powiedziały mu, gdzie ręka bądź odzienie otarły się o obsypaną kwieciami gałąź. Trawa została zgnieciona ciężkimi stopami. Conan, który tropił wilki na swych rodzimych wzgórzach, nie miał najmniejszych trudności w podążaniu śladem kapłanów Keshanich.

Wiódł on z pałacu przez gąszcz egzotycznie pachnących zarośli, gdzie wielkie, jasne kwiaty rozpościerały swe lśniące płatki, przez bujną plątaninę krzaków, które sypały kwieciami przy lada dotyku, aż doszedł w końcu do zwałowiska skał, jakie sterczało niczym zamek gigantów z urwiska w miejscu najbliższym pałacu, jakkolwiek tenże ukryty był niemal przed wzrokiem przez splecione pnączami drzewa. Najwyraźniej kapłan gadała w Keshii się mylił, mówiąc, iż Zęby zostały ukryte w pałacu. Trop wywiódł go z dala od miejsca, gdzie zniknęła Muriela, ale w Conanie narastało przekonanie, że każda część doliny jest połączona z pałacem podziemnymi przejściami.

Czając się w głębokim, aksamitnym mroku krzaków, taksował skalną sterczynę, która w blasku księżyca rysowała się wyraźną rzeźbą. Pokryta była dziwnymi, groteskowymi płaskorzeźbami ukazującymi ludzi, zwierzęta i na wpół dzikie stworzenia, które mogły być bogami lub diabłami. Styl tych obrazów różnił się tak

uderzająco od spotykanego w reszcie doliny, że Conan zastanawiał się, czy nie reprezentują odmiennej epoki i rasy oraz czy same w sobie nie stanowią reliktu ery zapomnianej już wówczas, gdy obojętnie jak niewyobrażalnie dawno lud Alkmeenonu odnalazł nawiedzoną dolinę i wszedł do niej.

Wielkie drzwi stały otworem w pionowej kurtynie urwiska, a wokół nich wyrzeźbiono gigantyczny smoczy łeb, tak że otwarte wrota były niczym jego rozdziawiona paszcza. Wykonano je z rzeźbionego spiżu i wyglądało, iż waży kilka ton. Nie można było dostrzec zamka, ale zestaw rygli widocznych wzdłuż krawędzi masywnego wejścia, gdy było otwarte, mówił Cimmeryjczykowi, że istnieje jakaś metoda zamykania i otwierania – metoda znana bez wątpienia wyłącznie kapłanom Keshanu.

Trop wskazywał, że Gorulga i jego pochlebcy minęli już drzwi. Jednak Conan się wahał. Czekać, aż z nich wyjdą, znaczyłoby prawdopodobnie ujrzeć drzwi zamykające się mu przed nosem, tak że mógłby nie dać rady rozwiązać zagadki ich otwierania. Z drugiej strony, jeśli pójdzie za nimi do środka, oni mogą wyjść i zamknąć go w jaskini.

Rzucając wszystko na jedną szalę, prześliznął się pod wielkim portalem. Gdzieś w tej jaskini znajdowali się kapłani, Zęby Gwahlura i być może wskazówka co do losu Murieli. Ryzyko osobiste jeszcze nigdy nie odwiodło go od celu.

Blask księżyca rozświetlał szeroki tunel, w jakim się znalazł, na kilka jardów. Gdzieś przed sobą dostrzegł nikłą poświatę i postyszał echo niesamowitych śpiewów. Kapłani byli bliżej, niż przypuszczał. Zanim światło księżyca przestało docierać, tunel się rozszerzył w obszerne pomieszczenie, pustą jaskinię niewielkich rozmiarów, ale o

wyniosłym, sklepionym suficie jaśniejącym fosforyzującą inkrustacją, która, co Conan wiedział, stanowiła zjawisko powszechne w tej części świata. Dawała ona niezwykle, upiorne półświatło, w którym zdołał dostrzec zwierzęcą figurę przycupniętą w miejscu kultu oraz czarne wyloty sześciu czy siedmiu tuneli wychodzących z komory. W głębi najszerszego z nich – tego bezpośrednio za przykucniętą podobizną, która znajdowała się na wprost wyjścia na zewnątrz – uchwycił chwiejny przebłysk pochodni, podczas gdy fosforyzująca łuna świeciła równo, i usłyszał coraz głośniejsze śpiewy.

Wszedł tam, podejmując ryzyko, i wkrótce zaglądał do jaskini większej od tej, z której dopiero co wyszedł. Tutaj nie było fosforu, ale światło pochodni padało na większy ołtarz oraz bardziej sprośnego i odrażającego boga, który przysiadł na nim jak ropucha. Przed tym odstręczającym bóstwem klęczał Gorulga i jego akolici, bijący w ziemię czołem, a jednocześnie wznoszący jednostajną pieśń. Conan pojął, dlaczego postępowali tak wolno. Widocznie podejście do tajnej krypty z Zębami stanowiło zawiły i wymyślny rytuał.

Cimmeryjczyk wiercił się niecierpliwie, nim pieśni i pokłony dobiegły końca, ale niebawem wierni powstali i weszli do tunelu, który otwierał się za bożkiem. Ich pochodnie oddalały się, podskakując pod zaciemnionym sklepieniem, a on prędko ruszył ich śladem. Niebezpieczeństwo, że zostanie odkryty, nie było zbyt wielkie. Mknął pośród mroku niczym stworzenie nocy, a czarni kapłani byli całkowicie pogrążeni w swej uroczystej maskaradzie. Najwyraźniej nie zauważyli nawet nieobecności Gwarungi.

Wchodząc do ogromnej jaskini, dookoła której na wznoszących się łukiem ścianach niczym galerie rozciągały się warstwami wąskie półki, na nowo rozpoczęli wielbienie przed ołtarzem, który był

wiekszy, i bóstwem, które było jeszcze obrzydliwsze niż wszystkie dotąd napotkane.

Conan przyczaił się u czarnego wylotu tunelu, spoglądając na ściany odbijające krwawą łunę pochodni. Dojrzał wycięte kamienne schody wijące się pomiędzy kondygnacjami galerii; sufit niknął w ciemnościach.

Drgnął gwałtownie, a śpiew urwał się, gdy klęczący czarni poderwali głowy. W górze, wysoko nad nimi, huknął nieludzki głos. Tamci zastygli na kolanach, z uniesionymi twarzami o upiornie błękitnym odcieniu od nagłego rozbłysku niesamowitego światła, które wybuchło oślepiająco w górze, pod wyniosłym sufitem, a potem zapłonęło pulsującą luminescencją. Ów porażający blask oświetlił galerię i dobył krzyk z gardła najwyższego kapłana, powtórzony pełnym grozy echem przez jego akolitów. W błysku ukazała się im na krótko smukła, jasna postać stojąca prosto w połysku jedwabiu i migotaniu nabijanego klejnotami złota. Potem blask przygasł do tętniącej pulsem poświaty, w której nic nie było wyraźne, a owa smukła postać stała się ledwie migoczącą plamą bieli.

– *Yelayo!* – wrzasnął Gorulga, a jego brązowa twarz spopieliała. – Czemu podążasz za nami? Czym możemy ci służyć?

Budzący grozę nieludzki głos spłynął spod sufitu, odbijając się wielokrotnie echem pod łukiem sklepienia, które wzmocniło go i odmieniło nie do poznania.

– Biada niewiernym! Biada fałszywym dzieciom Keshii! Zguba tym, którzy wyparli się swojej bogini!

Kapłani wydali okrzyk przerażenia. Gorulga wyglądał w blasku pochodni niczym wstrząśnięty sęp.

– Nie rozumiem... – wyjąkał. – Pozostajemy wierni. W komnacie

wyroczeni powiedziałaś nam...

– Nie zważajcie na to, coście usłyszeli w komnacie wyroczeni! – Straszliwy głos przetoczył się, zwielokrotniany, aż stał się jak gdyby niezliczonym mnóstwem głosów, grzmiących i szemrzących tę samą przestrożę. – Strzeżcie się fałszywych proroków i fałszywych bogów! Demon podszyty pode mnie przemawiał do was w pałacu, głosząc kłamliwe proroctwo. Teraz posłuchajcie i bądźcie posłuszni, gdyż tylko ja jestem prawdziwą boginią i daję wam jedną szansę na ocalenie od zguby! Zabierzcie Zęby Gwahlura z krypty, gdzie umieszczono je dawno temu. Alkmeenon utracił swą świętość, bo został zbezczeszczony przez bluźnierców. Złóżcie Zęby Gwahlura w ręce Stygijczyka Thutmekriego, by umieścił je w świątyni Dagona i Derketo. Tylko to może ocalić Keshan od nieszczęścia zgotowanego mu przez demony nocy. Weźcie Zęby Gwahlura i odejdźcie. Powróćcie niezwłocznie do Keshii, oddajcie klejnoty Thutmekriemu, pochwyćcie tego cudzoziemskiego diabła Conana i obedrzyjcie go żywcem ze skóry na wielkim placu.

W zastosowaniu się do tych słów nie było wahania. Szczękając ze strachu zębami, zerwali się i pobiegli ku drzwiom, jakie otwarły się za bestialskim bogiem. Przewodził im Gorulga. Na chwilę stłoczyli się w progu, skowycząc z bólu, gdy pochodnie, którymi dziko wymachiwali, dotykały wijących się czarnych ciał, ale potem wpełnęli się do środka, a pospieszny tupot ich stóp zamilkł w głębi tunelu.

Conan nie ruszył ich śladem. Trawiła go wściekła żądza poznania prawdy o tym fantastycznym zdarzeniu. Czy naprawdę była to Yelaya, jak podpowiadał mu zimny pot na plecach i dłoniach, czy ta mała ladacznica Muriela, która koniec końców przemieniła się w

zdrajczynię? Jeśli to była...

Zanim ostatnia pochodnia znikła w głębi tunelu, on, pragnąc zemsty, pędził już susami w górę schodów. Niebieska łuna bladła, ale wciąż był w stanie dojrzeć białą postać stojącą nieruchomo na galerii. Kiedy zbliżył się do niej, w żyłach poczuł stygnącą krew, lecz się nie zawahał. Podszedł z uniesionym mieczem, górując niczym groźba śmierci nad zagadkową postacią.

– Yelaya! – warknął. – Martwa tak samo jak od tysiąca lat! Ha!

Z mrocznego wylotu tunelu za nim wypadła ciemna postać. Jednak nagły, śmiertelny pęd nieobutych stóp dotarł do wyczulonych uszu Cimmeryjczyka. Okręcił się niczym kot i wykonał unik przed ciosem skierowanym zabójczo w jego plecy. Kiedy lśniąca stal w ciemnej dłoni świsnęła obok niego, przypuścił kontratak z zawziętością i furią podrażnionego pytona, a napastnik nadział się na długie, proste ostrze, które wyszło mu spomiędzy łopatek na półtorej stopy.

– Aha! – Cimmeryjczyk wyszarpnął miecz, gdy jego ofiara padła na podłogę, łapiąc z trudem dech i charcząc. Człowiek ów wił się jeszcze przez chwilę i zeszywniał. W nienaturalnym świetle Conan ujrzał czarne ciało i hebanowe oblicze, ohydne w błękitnym blasku. Zabił Gwarungę.

Od zwłok zwrócił się ku bogini. Rzemienie wokół jej kolan i piersi utrzymywały ją w pionie opartą o kamienny filar, a jej gęste włosy przywiązane do kolumny trzymały prosto głowę. Z odległości kilku jardów więzy te pozostawały niewidzialne przy niepewnym świetle.

– Musiał dojść do siebie po tym, jak zszedłem do tunelu – wymamrotał Conan. – Musiał przypuszczać, że tam jestem, więc wyciągnął sztylet – schylił się i wyszarpnął taką samą broń ze

sztynniejących palców, obrzucił ją spojrzeniem i umieścił przy swoim pasie – i zamknął drzwi. Potem zabrał Yelayę, żeby okpić swych braci kretynów. To on krzyczał przed chwilą. Nie można było rozpoznać jego głosu pod tym niosącym echo sufitem. I ten wybuchający błękitny płomień... Stwierdziłem, że wygląda znajomo. To sztuczka stygijskich kapłanów. Thutmekri musiał pokazać parę z nich Gwarundze.

Ten człowiek mógł z łatwością dotrzeć do jaskini przed swymi kompanami. Najwyraźniej zaznajomiony z rozkładem jaskiń przez pogłoski bądź mapy przekazywane jako spuścizna kapłanów, wszedł później niż pozostali, dźwigając boginię, podążył określoną drogą przez tunele i komory i schował się wraz ze swym brzemieniem na balkonie, podczas gdy Gorulga oraz inni akolici byli zajęci niekończącymi się rytuałami.

Błękitny blask wygasł, lecz teraz Conan uświadomił sobie istnienie innej poświaty, płynącej z wylotu jednego z korytarzy, jakie wychodziły na półkę. Gdzieś w głębi niego znajdowało się kolejne pole fosforu, gdyż rozpoznał nikłą, stabilną łunę. Korytarz ten prowadził w kierunku, który obrali kapłani, więc postanowił nim podążyć, zamiast zstępować w mrok wielkiej jaskini poniżej. Niewątpliwie łączył się on z następną galerią w jakiejś innej komorze, która mogła stanowić cel wyprawy kapłanów. Pospieszył nim, a w miarę jak postępował, oświetlenie stawało się coraz mocniejsze, aż potrafił dostrzec podłogę i ściany tunelu. W dole przed sobą znów postyszał śpiewających kapłanów.

Nagle przejście w ścianie po lewej stronie rozświetlone zostało fosforyzującą poświatą, a do jego uszu doszedł cichy, histeryczny szloch. Odwrócił się i spojrzał do wnętrza. Zaglądał do wyciosanej w

litej skale komory, niebędącej jaskinią naturalną, jak pozostałe. Kopoła sufitu jaśniała fosforyzującym światłem, a ściany były niemal w całości pokryte arabeskami z kutego złota.

Pod ścianą po drugiej stronie, na granitowym tronie, wpatrzony na zawsze w łukowate wejście, siedział potworny i sprośny Pteor, bóg Pelishtimów, wykuty w mosiądzu z wyolbrzymionymi atrybutami odzwierciedlającymi ordynarność jego kultu. A na jego kolanach leżała bezwładna jasna postać...

– No, a niech mnie lichu! – mruknął Conan. Rozejrzał się podejrzliwie po komorze i nie dostrzegłszy żadnych innych wejść albo dowodów czyjejś obecności, podszedł bezgłośnie i spojrzał na dziewczynę, której szczupłe ramiona wstrząsane były łkaniem w skrajnej niedoli. Twarz zatopiła w ramionach.

Od grubych obręczy ze złota na ramionach bożka cienkie złote łańcuchy biegły do mniejszych obręczy na jej nadgarstkach. Położył dłoń na jej nagim ramieniu, a ona drgnęła konwulsyjnie, krzyknęła przenikliwie i obróciła zapłakaną twarz w jego stronę.

– *Conan!* – Podjęła spazmatyczny wysiłek, by objąć go jak zwykle, ale łańcuchy ją powstrzymały.

Przeciął miękkie złoto tak blisko jej nadgarstków, jak tylko mógł, burcząc:

– Będziesz musiała nosić te bransoletki, dopóki nie znajdę dłuta albo pilnika. Puszczaj mnie, do licha! Wy, aktorki, jesteście diabelnie naduczuciowe. Ale mniejsza z tym. Co się z tobą działo?

– Kiedy weszłam z powrotem do komnaty wyroczni – chlpała – ujrzałam boginię spoczywającą na podwyższeniu, tak jak widziałam ją po raz pierwszy. Wzywałam cię i zaczęłam uciekać do drzwi, lecz wtedy coś porwało mnie od tyłu. Dłonią zatkało mi usta i uniosło

przez panel w ścianie, kilka stopni w dół i ciemnym korytarzem. Nie widziałam, czym jest to, co mnie trzyma, dopóki nie minęliśmy dużych metalowych drzwi i weszliśmy do tunelu, którego sufit był rozświetlony, tak jak w tej komorze. Och, kiedy zobaczyłam, omalże zemdlałam! Oni nie są ludźmi! To szare, włochate diabły, które chodzą jak ludzie i mówią takim bełkotem, że żaden człowiek nie zdołałby go pojąć. Stali tam i zdawali się czekać, a ja naraz stwierdziłam, że słyszę kogoś, jak próbuje się z drzwiami. Wtedy jeden z tych stworów pociągnął metalową dźwignię w ścianie i coś roztrzaskało się po drugiej stronie drzwi. Potem nieśli mnie coraz dalej krętymi tunelami i kamiennymi schodami do tejże komory, gdzie przykuli mnie na kolanach tego wstrętnego bożka, po czym odeszli. Och, Conanie, czym oni są?

– Sługami Bit-Yakina – burknął. – Znalazłem manuskrypt, który powiedział mi parę rzeczy, a potem wpadłem na kilka fresków, które dopowiedziały resztę. Bit-Yakin był Pelishtimem, który zawędrował do doliny ze swymi sługami po tym, jak lud Alkmeenonu ją porzucił. Znalazł ciało księżniczki Yelai i odkrył, że kapłani wracają od czasu do czasu, by składać jej ofiary, gdyż już wówczas czczono ją jako boginię. To on uczynił z niej wyrocznię i sam był jej głosem, przemawiając z wnętrza, jaką wyciął w ścianie za podwyższeniem z kości słoniowej. Kapłani nigdy niczego nie podejrzewali, nigdy nie widzieli ani jego, ani sług, gdyż ci zawsze ukrywali się, kiedy tamci nadchodzili. Bit-Yakin żył tu i umarł nieodkryty przez kapłanów. Crom wie, jak długo tu zamieszkiwał, ale musiały to być całe wieki. Mędrzy Pelishtimów wiedzą, jak zwiększyć długość życia o setki lat. Sam widziałem kilku z nich. Dlaczego mieszkał tu sam i czemu odgrywał rolę wyroczni, tego zwykły człowiek nie odgadnie, ale

uważam, iż zadaniem wyroczni było zachować miasto nietykalne i święte, tak by on mógł mieć niezmałony spokój. Jadł żywność, którą kapłani przynosili na ofiarę dla Yelai, a jego słudzy jedli inne rzeczy... Od zawsze wiedziałem o istnieniu podziemnej rzeki wypływającej z jeziora, do którego lud z puntyjskich wyżyn wrzuca swych zmarłych. Ta rzeka ma bieg pod pałacem. Mają tu drabiny wiszące nad wodą, na których mogą zawisnąć i łowić przepływające zwłoki. Bit-Yakin zapisał wszystko na pergaminie i wymalował na ścianie. W końcu jednak umarł, a jego słudzy zmumifikowali go zgodnie z zaleceniami, jakie dał im przed śmiercią, i wsadzili do groty na urwisku. Resztę łatwo odgadnąć. Jego słudzy, którzy okazali się nawet bardziej długowieczni, mieszkali tu nadal, lecz następnym razem, gdy najwyższy kapłan przybył, by poradzić się wyroczni, nie mając pana, który by ich powstrzymał, rozszarpali go na kawałki. Odtąd więc – przed Gorulgą – nikt nie przychodził rozmawiać z wyrocznią. To oczywiste, że wymieniali szaty i odnawiali ozdoby bogini, skoro widzieli, że robi to Bit-Yakin. Niewątpliwie istnieje gdzieś dobrze zabezpieczona komnata, w której chroni się jedwabie przed zniszczeniem. Ubrali boginię i przynieśli z powrotem do sali wyroczni, po tym jak Zargheba usunął ją potajemnie. Och, a tak przy okazji, odjęli Zarghebie głowę i zawiesili w zaroślach.

Dziewczynę przeszedł dreszcz, ale w tej samej chwili odetchnęła z ulgą.

– Już nigdy więcej mnie nie wychłosta.

– Nie po tej stronie piekła – przytaknął Conan. – Chodźmy jednak. Tą przywłaszczoną sobie boginią Gwarunga zniszczył mi okazję. Zamierzam iść śladem kapłanów i spróbować wykraść im łup po tym, jak go dobędą. A ty trzymaj się blisko mnie. Nie mogę poświęcać

całego czasu na szukanie ciebie.

– Ale ci sładzy Bit-Yakina... – wyszeptała przerażona.

– Musimy skorzystać z okazji – mruknął. – Nie wiem, co siedzi im w głowie, ale jak dotąd nie wykazywali żadnej chęci do wyjścia z ukrycia i otwartej walki. Dalej, chodź.

Chwyciwszy ją za nadgarstek, wyprowadził z komory i powiódł dalej korytarzem. W miarę przemieszczania się usłyszeli śpiewy kapłanów mieszające się z niskim, posępnym odgłosem pędzącej wody. Światło stało się mocniejsze, kiedy wyłonili się na wysoko umieszczonej galerii wielkiej jaskini, i ujrzeli z góry scenę niesamowitą i fantastyczną.

Ponad nimi jaśniał fosforyzujący sufit, sto stóp poniżej rozciągała się gładka kamienna podłoga jaskini. W dalszej części ową podłogę przecinał głęboki, wąski strumień wypełniający po brzegi skaliste koryto. Wylewając się z impetem z nieprzeniknionego mroku, kotłował się przez jaskinię i ponownie ginął w ciemności. Widoczne obszary powierzchni odbijały poświatę z góry – ciemne, wzburzone wody połyskiwały jak upstrzone żywymi klejnotami, mroźnym błękitem, krwawą czerwienią, migoczącą zielenią i nieustannie zmieniającą się irydyscencją.

Conan i jego towarzyszka stali na jednej z wąskich półek, które niczym galerie opasywały łuki wyniosłych ścian. Z ich półki ponad ogromną przepaścią jaskini strzelał w górę naturalnym kamiennym mostem zapierający dech w piersiach łuk łączący się ponad rzeką ze znacznie mniejszą półką po przeciwnej stronie. Dziesięć stóp poniżej jaskinię spajał następny, szerszy łuk. Na obu krańcach do szczytów owych unoszących się łuków dochodziły schody.

Spojrzenie Conana, podążając za krzywizną łuku wychodzącego z

ich półki, pochwyciło przeblysk światła, którego źródłem nie był niesamowity blask fosforu w jaskini. Na półce po przeciwnej stronie w ścianie znajdował się otwór, przez który migotały gwiazdy.

Jednak całą jego uwagę przyciągnęła rozgrywająca się w dole scena. Kapłani dotarli do celu wyprawy. Tam, w narożniku z oczyszczonych ścian jaskini stał kamienny ołtarz, lecz nie było na nim bożka. Czy może znajdował się on za nim, Conan nie potrafił stwierdzić, ponieważ figle płatane przez światło albo odchylenie ścian pozostawiały przestrzeń za ołtarzem w całkowitej ciemności.

Kapłani zatknęli pochodnie w otworach kamiennej podłogi, formując półokrąg ognia w odległości kilku jardów przed ołtarzem. Potem sami stanęli w półkolu wewnątrz półksiężyca pochodni, a Gorulga, wznosząc wysoko ramiona w inwokacji, zbliżył się do ołtarza i złożył na nim dłonie. Ten uniósł się i odchylił do tyłu na krawędzi niczym wieko skrzyni, odsłaniając małą kryptę.

Sięgnąwszy długim ramieniem w głąb wnęki, Gorulga wyciągnął niewielką mosiężną szkatułkę. Opuścił ołtarz na miejsce, postawił nań szkatułkę i odrzucił w tył pokrywę. Skwapliwym obserwatorom na wysokiej galerii zdało się, jakby czyn ten uwolnił blask żywego ognia, który pulsował i drżał dookoła skrzynki. Serce Conana skoczyło, a ręka złapała za rękojeść miecza. Zęby Gwahlura, w końcu! Skarb zdolny uczynić swego właściciela najbogatszym człowiekiem świata! Oddychał szybko przez zaciśnięte zęby.

Wtem zdał sobie sprawę z nowego czynnika, który wkroczył w światło pochodni i fosforyzującego sufitu, czyniąc je nieskutecznym. Dookoła ołtarza zapanowała ciemność, z wyjątkiem plamy paskudnej poświaty rzucanej przez Zęby Gwahlura, która narastała coraz bardziej. Czarni zastygli niczym bazaltowe posągi, ich cienie

rozlewały się za nimi, groteskowe i olbrzymie.

Ołtarz był teraz oblany łuną, a rysy zdumionego Gorulgi uwydatniły się z ostrą wyrazistością. Potem tajemnicza przestrzeń za ołtarzem skąpana została w rozszerzającej się iluminacji, a wraz z rozchodzącym się światłem powoli widzialne stawały się postacie, niczym figury wyłaniające się z nocy i ciszy.

Z początku owe postacie wydawały się szarymi kamiennymi statuami – nieruchome, włochate, podobne do ludzi, jednak w sposób odrażający. Ich oczy były wszak żywe – zimne skry szarego, lodowatego ognia. A kiedy niesamowita łuna oświetliła ich zwierzęce oblicza, Gorulga wrzasnął i upadł na wznak, wyrzucając długie ramiona przed siebie w geście szaleńczego przerażenia.

Jednak dłuższe ramię wystrzeliło ponad ołtarzem i pokraczna dłoń zamknęła się na jego gardle. Wrzeszczący najwyższy kapłan został przeciągnięty przez ołtarz, a podobna do młota pięść trzasnęła i krzyki Gorulgi ucichły. Bezwładny i zmiażdżony zawisł na ołtarzu, mózg zaś wyciekał mu ze strzaskanej czaszki. I wówczas słudzy Bit-Yakina, niczym niszczący przypływ z piekła, natarli falą na czarnych kapłanów, którzy stali jak oślepienie strachem figury.

To była rzeź – nieubłagana i porażająca.

Conan ujrzał czarne ciała miotane niczym plewy nieludzkimi dłońmi zabójców, przeciw których sile i zwinności sztylety i miecze kapłanów okazały się nieskuteczne. Widział ludzi, których unoszono, by roztrzaskać ich głowy wprost na kamiennym ołtarzu. Widział płonącą pochodnię wepchniętą przez potworną dłoń do gardła dręczonego nieszczęśnika, który na próżno wyrywał się z przyszpilających go rąk. Widział człowieka rozerwanego na dwie części, jak można by rozerwać kurczaka, i krwawe ochłapy ciskane po

całej jaskini. Masakra był tak krótka i niszczycielska jak natarcie huraganu. I zakończyła się w jednym wybuchu krwawej, bezdennej zaciekłości, z wyjątkiem nieszczęśnika, który umknął, wrzeszcząc, drogą, jaką przybyli kapłani, ścigany przez chmarę zbryzganych krwią postaci rodem z horroru, które wyciągały za nim wysmarowane na czerwono łapska. Uciekinier i prześladowcy zniknęli w głębi czarnego tunelu, a ludzkie wrzaski docierały coraz cichsze i niewyraźne z powodu odległości.

Muriela padła na kolana, uczepona kurczowo nogi Conana, z twarzą przyciśniętą do jego uda i mocno zaciśniętymi powiekami. Stanowiła drążący, roztrzęsiony wzorzec skrajnego przerażenia. Cimmeryjczyk był wszak ożywiony. Szybki rzut oka przez dziurę, gdzie jaśniały gwiazdy, rzut oka w dół, na szkatułkę, która wciąż otwarta płonęła blaskiem na umazanym krwią ołtarzu... Popatrzył i podjął desperacką, ryzykowną grę.

– Idę po szkatułkę – wychrypiał. – Zostań tutaj!

– Och, na Mitrę, nie! – Udręczona strachem padła na ziemię i chwyciła się jego sandałów – Nie! Nie! Nie opuszczaj mnie!

– Leż spokojnie i trzymaj głowę zamkniętą! – Żachnął się, uwalniając z gorączkowego uścisku.

Zignorował kręte schody. Spuszczał się z półki na półkę w szaleńczym pośpiechu. Gdy jego stopy dotknęły podłogi, nie było ani śladu potworów. Kilka pochodni wciąż płonęło w zagłębieniach. Fosforyzująca poświata drżała i pulsowała, a rzeka przepływała z niemal wymownym pomrukiem, iskrząc się nieprawdopodobnym blaskiem. Luna, która zapowiadała pojawienie się sług, zniknęła wraz z nimi. Tylko światło klejnotów w mosiężnej szkatułce migotało drżąc.

Pochwycił skrzynkę, obrzuciwszy jednym pożądliwym spojrzeniem jej zawartość – dziwne, osobliwie ukształtowane kamienie, które płonęły lodowatym, nieziemskim ogniem. Zatrzasnął wieko, wcisnął szkatułkę pod pachę i pobiegł z powrotem w górę po schodach. Nie miał ochoty na spotkanie z piekielnymi sługami Bit-Yakina. Przelotny widok ich w akcji rozwiął wszelkie złudzenia dotyczące zdolności bojowych tych potworów. Dlaczego czekali tak długo, zanim uderzyli na intruzów, tego nie był w stanie orzec. Jakież człowiek może odgadnąć pobudki czy myśli takiej potworności? To, że posiadli zręczność i inteligencję równą ludzkiej, zostało wykazane. Na podłodze jaskini zaległy szkarłatne dowody ich bestialskiego okrucieństwa.



Corinthianka wciąż kuliła się na galerii, gdzie ją zostawił. Złapał ją za nadgarstek i szarpnięciem postawił na nogi, mrużąc:

– Sądzę, że czas iść!

Zbyt oszołomiona przerażeniem i nie w pełni świadoma tego, co się dzieje, poddała się mu, kiedy przeprowadzał ją po budzącym zawroty głowy prześle. I dopiero gdy stanęli chwiejnie nad pędzącą wodą,

spojrzała w dół, wydała pełen przestachu skowyt i byłaby spadła, gdyby nie zatrzymało jej potężne ramię Conana. Złapał ją, powarkując wprost do ucha, po czym chwycił wolną ręką pod pachę i porwał, machając bezradnie rękami i nogami, po łuku do otworu, jaki otwierał się na drugim końcu. Nie zawracając sobie głowy stawianiem jej na nogach, pospieszył przez krótki tunel, w który ów otwór przechodził. Chwilę później wyłonili się na wąskiej półce po zewnętrznej stronie urwisk, jakie otaczały dolinę. Niespełna sto stóp pod nimi w świetle gwiazd falowała dżungla.

Patrząc w dół, Conan pozwolił sobie na głębokie westchnienie ulgi. Uznał, że będzie w stanie zejść, choćby nawet obciążony klejnotami i dziewczyną, jakkolwiek wątpił, czy nawet on, bez obciążenia, byłby w stanie wspiąć się do tego miejsca. Szkatułkę nadal pomazaną krwią Gorulgi i skrzepami jego mózgu postawił na półce i już miał zdjąć pas, by przywiązać nim skrzynkę do pleców, kiedy odgłos z tyłu pobudził go do działania – odgłos złowrogi, nie do pomylenia z czymkolwiek innym.

– Zostań tutaj! – rzucił zdezorientowanej Corinthiance. – Nie ruszaj się! – I dobywszy miecza, wśliznął się do tunelu, wpatrując się zajadle we wnętrze jaskini.

W połowie drogi przez górne przesło ujrzał szarą, bezkształtną sylwetkę. Jeden ze sług Bit-Yakina był na jego tropie. Nie ulegało wątpliwości, że bydlak dostrzegł ich i podążył ich śladem. Conan się nie zawahał. Mogło być łatwiej bronić się u wylotu tunelu, ale tę walkę należało skończyć szybko, zanim wrócą pozostali słudzy.

Wybiegł na przesło wprost na nadciągającego potwora. Nie był to małpolud ani też człowiek. Była to powłócząca nogami groza spłodzona w zagadkowych, bezimiennych dżunglach południa, gdzie

dziwne życie kłębiło się w smrodzie zgnilizny bez dominacji człowieka, a bębny grzmiały w świątyniach, które nigdy nie zaznały kroków ludzkich stóp. Jak pradawny Pelishtim uzyskał panowanie nad nimi, a wraz z nim wieczne wygnanie spośród rodzaju ludzkiego, stanowiło cuchnącą zagadkę, o którą Conan nie dbał na tyle, by snuć domysły, nawet gdyby miał tę możliwość.

Człowiek i potwór spotkali się w najwyższym punkcie przęsła, pod którym – sto stóp w dole – pędziła wściekle czarna woda. Kiedy potworna postać o chorobliwie szarym ciele i rysach niehumanoidalnego, jaskiniowego bożka zamajaczyła przy nim, Conan uderzył, jak uderza ranny tygrys, wkładając w cios każdą cząstkę siły potężnych mięśni oraz furii. To cięcie rozplątałoby ludzkie ciało na pół, ale kości sługi Bit-Yakina były jak odpuszczona stal. Jednak nawet odpuszczona stal nie mogła całkowicie oprzeć się temu wściekłemu uderzeniu. Rozszczepiło ono żebra i łopatkę, a z wielkiej, głębokiej rany trysnęła krew.

Nie było czasu na kolejny cios. Zanim Cimmeryjczyk zdołał wznieść ponownie ostrze albo odskoczyć, wymach olbrzymiej łapy strącił go z przęsła, jakby ktoś muchę strzepnął ze ściany. Gdy poleciał w dół, szum rzeki zabrzmiał mu w uszach niby żałobny zaśpiew, ale jego obracające się ciało opadło częściowo na niższy łuk i chwiało się niepewnie przez jedną mrożącą krew chwilę, po czym zagięte jak szpony palce zahaczyły o przeciwległy koniec, a on sam wgramolił się bezpiecznie na górę. Jego miecz tkwił nadal w drugiej dłoni.

Kiedy skoczył na nogi, dostrzegł potwora, który choć okropnie tryskał krwią, pędził w kierunku krańca mostu po stronie urwiska, wyraźnie zamierzając zejść po schodach łączących łuki i wznowić walkę. Na samej półce bydlę zatrzymało się w pół kroku. Conan ujrzał

również Murielę ze szkatułką klejnotów pod pachą, która stała u wylotu tunelu, tocząc dzikim wzrokiem.

Z głębokim, tryumfalnym rykiem potwór zagarnął ją pod pachę, drugą ręką chwycił szkatułkę, bo ją upuściła, i obróciwszy się, poczłapał ociężale z powrotem przez most. Conan zaklął namiętnie i również pobiegł na drugi koniec. Wątpił, czy zdoła wspiąć się na czas po schodach na wyższy łuk, by dorwać bydlę, nim zanurkuje ono w labirynty tuneli po tamtej stronie.

Ale potwór zwalniał jak tracący siłę napędową mechanizm. Krew buchała strumieniami ze straszliwej rany na piersi, a on sam chwiały się z boku na bok. Nagle potknął się, zatoczył i runął z łuku, lecąc głową w dół. Dziewczyna i szkatułka z klejnotami wypadły z pozbawionych czucia rąk. Muriela wrzasnęła przeraźliwie, głośniejsz od ryku wody poniżej.

Conan znajdował się niemal pod miejscem, z którego spadł potwór. Uderzył on o niższy łuk, odbił się i zleciał, a wijąca się dziewczyna upadła i przywarła do niego, skrzynka zaś huknęła na skraju przesła niedaleko niej. Jeden spadający obiekt upadł po jednej, drugi po drugiej stronie Conana. Oba znalazły się na wyciągnięcie ręki – przez ułamek sekundy szkatuła chybotwała się na krawędzi mostu, a Muriela zawisała na jednej ręce z twarzą zwróconą desperacko w stronę Conana. Jej oczy rozszerzył strach przed śmiercią, usta zaś rozwarły się w niedającym spokoju krzyku rozpacz.

Conan się nie wahał, nawet nie spojrział w stronę szkatułki mieszczącej epokowe bogactwo. Z prędkością, która zawstydziłaby skaczącego głodnego jaguara, rzucił się, złapał rękę dziewczyny, akurat kiedy jej palce ześliznęły się z gładkiego kamienia, i poderwał ją na przesło jednym gwałtownym dźwignięciem. Szkatułka zwała

się dalej i uderzyła w wodę dziewięćdziesiąt stóp niżej, tam gdzie właśnie przepadło ciało sługi Bit-Yakina. Plusk i tryskający strumień piany oznaczyły miejsce, w którym Zęby Gwahlura zniknęły na zawsze z ludzkich oczu.

Conan poświęcił im ledwie przelotne spojrzenie. Wystrzelił wzdłuż przęsła i wbiegł po schodach przy urwisku niczym kot, unosząc bezwładną dziewczynę, jak gdyby była niemowlęciem. Okropne zawrodozenie sprawiło, że kiedy osiągnął wyższy łuk, zerknął przez ramię, by ujrzeć pozostałe sługi napływające z powrotem do jaskini poniżej z krwią ściekającą z obnażonych kłów. Pognali oni schodami, które wiły się w górę z kondygnacji na kondygnację, rycząc mściwie, ale on bez ogródek przerzucił sobie dziewczynę przez ramię, popędził przez tunel i zaczął schodzić po urwisku sam niczym małpolud, opadając i skacząc od uchwytu do uchwytu z karkołomną brawurą. Kiedy dzikie oblicza wyjrzały znad półki przy otworze, mogły zobaczyć Cimmeryjczyka oraz dziewczynę znikającą w tropikalnym lesie, który otaczał urwiska.

– Dobra – rzekł Conan, stawiając dziewczynę na nogi pod osłoną z gałęzi. – Teraz możemy się już nie spieszyć. Nie sądzę, żeby te bydlaki poszły za nami na zewnątrz doliny. Tak czy owak, mam konia uwiązanego u źródła niedaleko, o ile nie zjadły go lwy. Na diabły Croma! O co teraz ryczysz?

Muriela skryła zapłakaną twarz w dłoniach, a jej szczupłymi ramionami wstrząsał szloch.

– Zgubiłam klejnoty dla ciebie – zawodziła żałośnie. – To moja wina. Gdybym posłuchała cię i została na zewnątrz na półce, to bydlę nigdy by mnie nie dostrzegło. Powinieneś był łapać kamienie, a mnie pozwolić utonąć!

– Tak, sądzę, że powinienem – zgodził się. – Ale zapomnij o tym. Nigdy się nie martw o to, co minęło. I przestań płakać, dobrze? Tak lepiej. Chodź.

– To znaczy, że zamierzasz mnie zatrzymać? Zabrać mnie ze sobą? – spytała pełna nadziei.

– A co innego mógłbym z tobą zrobić? – Przebiegł aprobującym spojrzeniem po jej zmysłowych kształtach i uśmiechnął się szeroko na widok rozdartej spódniczki, która odkryła obfite przestrzenie kuszących krągłości o barwie kości słoniowej. – Umiem zrobić użytek z aktorki takiej jak ty. Powrót do Keshii jest bez sensu. W Keshanie nie ma obecnie nic, czego bym chciał. Udamy się do Puntu. Lud Puntu czci kobietę z kości słoniowej i wypłukuje złoto z rzek wiklinowymi koszykami. Powiem im, że Keshan spiskuje z Thutmekrim, by ich zniewolić – co jest prawdą – i że bogowie zesłali mnie, bym ich chronił w zamian za górę złota. Jeśli zdołam przemycić cię do ich świątyni i zamienić miejscami z ich bieluteńką boginią, oskórujemy ich po same trzonowce, póki z nimi nie skończymy.



Za Rzeką Czarną

Za Rzeką Czarną

I

CONAN TRACI TOPOREK



Bezruch duktu wiodącego przez puszcę był tak pierwotny, że stąpanie miętko obutych stóp stanowiło zdumiewający zamęt. Przynajmniej tak zdawało się uszom wędrowca, choć poruszał się ścieżką z ostrożnością, którą musiał opanować każdy, kto zaryzykował przebycie Rzeki Grzmiącej. Był młodym mężczyzną

średniego wzrostu, o szczerym obliczu i czuprynie zmierzwionych, jasnobrązowych włosów niespętanych czepecem ani hełmem. Jego strój był dość powszechny w tej krainie: zgrzebna tunika przepasana w biodrach, krótkie, wąskie skórzane spodnie i miękkie buty z kozłej skóry, które dochodziły prawie do kolan. Zza cholewy jednego z nich sterczała rękojeść noża. Szeroki skórzany pas podtrzymywał krótki, ciężki miecz i trzos z kozłej skóry. Nie było niepokoju w otwartych szeroko oczach, którymi uważnie lustrował zielone ściany, jakie okalały szlak. Choć niewysoki, był dobrze zbudowany, a jego ramiona, które odsłaniały krótkie i szerokie rękawy tuniki, nabite były węzłami mięśni.

Wędrował nieporuszony, chociaż ostatnia chałupa osadników leżała mile za jego plecami, a każdy krok przenosił go bliżej ponurej grozy, która spowiła pradawną puszcę niczym majaczący cień.

Nie czynił tak wiele hałasu, jak mu się zdawało, jakkolwiek wiedział dobrze, iż najłżejsze stąpienie obutej stopy będzie niby dzwon alarmowy dla uszu mogących czyhać w zdradliwej zielonej warowni. Jego beztroska poza nie była szczerą, oczy i uszy pozostawały dojmująco czujne; zwłaszcza uszy, gdyż spojrzenie nie mogło przebić liściastej plątaniny na więcej niż kilka stóp w każdą stronę.

Ale to instynkt bardziej niż jakiegokolwiek ostrzeżenie podsunięte przez zmysły sprawił, że zatrzymał się nagle z dłonią na rękojeści miecza. Stał znieruchomiały pośrodku szlaku, nieświadomie wstrzymując oddech i zastanawiając się, co też posłyszał i czy właściwie posłyszał cokolwiek. Cisza wydawała

się absolutna. Żadnej szczebiocącej wiewiórki czy ćwierkającego ptaka. Wtedy jego spojrzenie spoczęło na wielkiej gęstwie krzaków obok szlaku kilka jardów przed nim. Nie wiał najłżejszy wiatr, a jednak dostrzegł drzenie gałęzi. Krótkie włosy na jego głowie stanęły dęba, a on tkwił tak przez chwilę niezdecydowany, pewien, że ruch w którąkolwiek stronę sprowadzi nań śmierć, która pomknie ku niemu z tychże krzaków.

Za liśćmi rozległ się trzask ciężkiego ciosania. Krzaki zatrzęśły się gwałtownie i jednocześnie spomiędzy nich wyleciała ze świstem błędna strzała, która zniknęła pośród drzew przy szlaku. Wędrowiec dostrzegł ją w mgnieniu oka, kiedy uskakiwał gorączkowo za najbliższą osłonę.

Skuliwszy się za grubym pniem z mieczem drżącym w dłoni, zobaczył, jak krzaki się rozstępują i na szlak wychodzi bez pośpiechu wysoka postać. Podróżnik zagapił się zaskoczony. Pod względem butów i spodni obcy odziany był tak samo jak on, chociaż te drugie miał z jedwabiu, a nie ze skóry. W miejsce tuniki nosił wszak kolczugę bez rękawów wykonaną z drobnych oczek, a na czarnej grzywie włosów spoczywał hełm. Hełm ów przyciągnął wzrok wędrowca. Nie miał pióropusza, ale przystrojony został krótkimi byczymi rogami. Tego okrycia głowy nie wykuła żadna cywilizowana dłoń. Ani też twarz pod nim nie należała do człowieka cywilizowanego – ciemna, poznaczona bliznami, o tłących się błękitem oczach była tak nieposkromiona jak pierwotny las, który tworzył dla niej tło. Człowiek ów trzymał w prawej dłoni szeroki miecz, a jego krawędź umazana była szkarłatem.

– Wyłaź! – zawołał z akcentem nieznanym wędrowcowi. – Już jest bezpiecznie. Był tylko jeden z tych psów. Wyłaź.

Tamten wyłonił się niepewnie i zagapił na nieznanomego. Poczul się dziwnie bezradny i bezsilny, gdy popatrzył na rozmiary człowieka z lasu – potężną, przybraną w stal pierś oraz ciemno opalone przez słońce i wypiętrzone węzłami mięśni ramię, które dzierżyło poczerwieniały miecz. Poruszał się on z niebezpieczną lekkością pantery, zbyt dziki i gibki, by być wytworem cywilizacji, nawet tego skraju cywilizacji, jaki powstał na zewnętrznych rubieżach.

Obróciwszy się, podszedł z powrotem do krzaków i rozgarnął je. Wędrowiec ze wschodu, wciąż niepewny, co właściwie zaszło, zbliżył się i utkwil w nich wzrok. Leżał tam człowiek – niski, ciemny, mocno umięśniony mężczyzna, nagi z wyjątkiem przepaski biodrowej, naszyjnika z ludzkich zębów i mosiężnej naramiennicy. Przy pasie od przepaski zatknięty miał krótki miecz, a jedna z dłoni nadal ścisnęła ciężki czarny łuk. Człowiek ów miał długie czarne włosy. To było wszystko, co wędrowiec mógł powiedzieć o jego głowie, gdyż oblicze stało się maską z krwi i mózgu. Czaszkę rozszczepioną miał po zęby.

– O bogowie, Pikt! – wykrzyknął wędrowiec.

Płonące błękitne oczy skierowały się w jego stronę.

– Jesteś zaskoczony?

– Cóż, mówiono mi w Velitrium i w chałupach osadników po drodze, że te diabły czasem przekradają się przez granicę, ale nie spodziewałem się spotkać jednego z nich tak daleko w głębi kraju.

– Znajdujesz się tylko cztery mile na wschód od Rzeki Czarnej

– poinformował go obcy. – Trafiano na nich milę od Velitrium. Żaden osadnik pomiędzy Rzeką Grzmiącą a Fortem Tuscelan nie jest naprawdę bezpieczny. Podjąłem ślad tego psa trzy mile na południe od fortu dziś rano i od tego czasu podążałem za nim. Podszedłem do niego od tyłu, akurat gdy naciągał strzałę na ciebie. Jeszcze chwila i w piekle witaliby nowego przybysza. Ale popsułem mu celowanie.

Wędrowiec wpatrzył się w większego towarzysza szeroko rozwartymi oczami, oniemiały na myśl, że ów naprawdę wytropił jednego z tych leśnych diabłów i zabił go, kiedy tamten niczego nie podejrzewał. To oznaczało łowieckie umiejętności na poziomie niewyobrażalnym nawet jak na Conajoharę.

– Jesteś z załogi fortu? – zapytał.

– Nie jestem żołnierzem. Odbieram żołd i racje żywnościowe oficera liniowego, ale swą robotę odrabiam w lesie. Valannus wie, że więcej korzyści ma ze mnie, gdy odbywam patrole wzdłuż rzeki, niż gdybym miał gnieździć się w forcie.

Mimochodem zabójca wepchnął stopą ciało głębiej w zarośla, zasunął krzaki i obróciwszy się, ruszył szlakiem. Jego towarzysz podążył jego śladem.

– Mam na imię Balthus – przedstawił się. – Byłem w Velitrium ostatniej nocy. Nie zdecydowałem jeszcze, czy zająć skrawek ziemi, czy nająć się do służby w forcie.

– Najlepsza ziemia w pobliżu Rzeki Grzmiącej jest już zajęta – mruknął zabójca. – Mnóstwo dobrej ziemi jest pomiędzy Strugą Skalpów – przekroczyłeś ją parę mil wstecz – a fortem, ale tu robi się diabelnie blisko do rzeki. Piktowie przenikają tutaj, by palić i mordować, tak jak ten. Nie zawsze przychodzą pojedynczo.

Pewnego dnia spróbują wypchnąć osadników z Conajohary. I może im się to udać. Prawdopodobnie się uda. Ta sprawa z kolonizacją to w każdym razie szaleństwo. Jest wiele dobrej ziemi na południe od marchii bossoniackich. Gdyby Aquilończycy okroili trochę posiadłości swoich baronów i posiali pszenicę tam, gdzie teraz tylko polują na jelenie, nie musieliby przekraczać granicy i odbierać ziem Piktom.

– Dziwaczna to mowa jak na człowieka w służbie gubernatora Conajohary – zaproponował Balthus.

– Mnie nic do tego – odciął się tamten. – Jestem najemnikiem. Sprzedaję swój miecz dającemu najwięcej. Nigdy nie uprawiałem pszenicy i nigdy nie będę, tak długo jak inne żniwa można zebrać mieczem. Ale wy, Hyboryjczycy, rozpleniliście się na tyle, na ile wam dano. Przekroczyliście marchie, spaliliście kilka wiosek, wycięliście parę klanów i odsunęliście granicę do Rzeki Czarnej. Ja jednak wątpię, czy będziecie w stanie utrzymać nawet to, co podbiliście. Nigdy nie przesuniecie granicy dalej ku zachodowi. Wasz ogłupiały król nie rozumie tutejszych warunków. Nie przyśle wystarczających posiłków, a nie ma tu dość osadników, żeby wytrzymać cios zmasowanego ataku przez rzekę.

– Ale Piktowie podzieleni są na małe klany – upierał się Balthus. – Nigdy się nie zjednoczą. Możemy zetrzeć każdy klan.

– Albo trzy czy cztery – przyznał zabójca. – Jednak któregoś dnia powstanie jakiś człowiek i zjednoczy trzydzieści lub czterdzieści klanów, tak jak stało się między Cimmeryjczykami, kiedy lata temu Gundermani próbowali przesunąć granicę ku północy. Usiłowali skolonizować południowe marchie Cimmerii. Zniszczyli kilka małych klanów, zbudowali miasto-fort

Venarium... Słyszałeś tę opowieść.

– Ano, słyszałem, rzeczywiście – rzekł Balthus, krzywiąc się. Wspomnienie tej krwawej klęski stanowiło czarną plamę w kronikach tego dumnego i wojowniczego ludu. – Mój wuj był w Venarium, kiedy Cimmeryjczycy przewalili się przez mury. Był jednym z niewielu, którzy umknęli z tej rzezi. Słyszałem, jak opowiadał tę historię, mnóstwo razy. Barbarzyńcy spłynęli ze wzgórz wygłodniałą hordą bez ostrzeżenia i uderzyli na Venarium z taką furją, że nikt nie mógł dotrzymać im pola. Mężczyźni, kobiety i dzieci zostali wyrżnięci. Venarium obrócili w kupę zwęglonych ruin, i tak jest do dziś. Aquilończyków wyparli poza marchie i od tamtego czasu nigdy nie próbowali oni kolonizować kraju Cimmeryjczyków. Ale mówisz o Venarium jak ktoś obeznany. Może tam byłeś?

– Byłem – burknął tamten. – Byłem jednym z hordy, która przewaliła się przez mury. Nie miałem jeszcze piętnastu śniegów, ale moje imię już wymieniano wielokrotnie przy ogniskach rady.

Balthus cofnął się mimowolnie, wytrzeszczając oczy. Wydawało się niewiarygodne, że ten człowiek idący spokojnie u jego boku mógł być jednym z tych wyjących, żądnych krwi diabłów, jacy owego dawno minionego dnia przelali się przez mury Venarium, aby sprawić, że jego ulice spłynęły szkarłatem.

– Więc ty także jesteś barbarzyńcą? – wykrzyknął mimowolnie.

Tamten potaknął, nie biorąc tego do siebie.

– Jestem Conan Cimmeryjczyk.

– Słyszałem o tobie!

Oczy Balthusa zapłonęły nowym zainteresowaniem. Nic dziwnego, że Pikt padł ofiarą tego samego rodzaju

wyrafinowania. Cimmeryjczycy byli barbarzyńcami równie srogimi jak Piktowie i dużo bardziej inteligentnymi. Najwyraźniej Conan spędził dużo czasu pomiędzy ludźmi cywilizowanymi, choć ta styczność w sposób oczywisty go nie zmiękczyła ani nie osłabiła żadnego z jego pierwotnych instynktów. Lęk Balthusa przemienił się w podziw, kiedy odnotował łatwość kociego kroku i ciszę, z jaką Cimmeryjczyk bez wysiłku przemieszczał się po dukcie. Naoliwione ogniwa jego zbroi nie podzwaniały i Balthus pojął, że Conan mógłby prześliznąć się przez najgęstsze zarośla i najbardziej splątany zagajnik tak cicho jak którykolwiek z Piktów nago.

– Nie jesteś Gundermanem? – Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Balthus pokręcił głową.

– Jestem z Tauranu.

– Widywałem dobrych myśliwych z Tauranu. Ale Bossoniacy osłaniali was, Aquilończyków, przed dziczą z zewnątrz przez zbyt wiele wieków. Potrzebujecie stwardnieć.

To była prawda. Marchie bossoniackie z ich ufortyfikowanymi wioskami, wypełnione zdeterminowanymi łucznikami, długo służyły Aquilonii za bufor przed barbarzyńcami. Teraz między osadnikami za Rzeką Grzmiącą dorastało pokolenie ludzi lasu zdolnych podjąć barbarzyńców na własnych zasadach, lecz ich liczba była nadal skąpa. Większość ludzi pogranicza była jak Balthus – bardziej osadnicy niż łowcy.

Słońce nie zaszło, lecz zniknęło już z pola widzenia, ukryte tak naprawdę za gęstą ścianą puszczy. Cienie się wydłużały, gęstniały w lesie, kiedy towarzysze dalej kroczyli szlakiem.

– Zrobi się ciemno, nim dotrzemy do fortu – zauważył Conan swobodnie i nagle dodał: – *Posłuchaj!*

Staął w miejscu, na wpół przyczajony, z mieczem w gotowości, przemieniony w dzikie uosobienie podejrzliwości i groźby, gotowy skoczyć i szarpać. Balthus posłyszał to również – dziki wrzask, który urwał się przy najwyższym dźwięku. Był to krzyk człowieka skrajnie przerażonego albo umierającego.

Conan ruszył natychmiast, pędząc dalej duktem i z każdym krokiem zwiększając odległość od wyteżającego siły towarzysza. Balthus wysapał przekleństwo. Pośród osad Tauranu uznawany był za dobrego biegacza, ale Conan zostawił go za sobą z irytującą łatwością. Wtem zapomniał o podrażnionej ambicji, jego uszy rozdarł bowiem najstraszniejszy krzyk, jaki kiedykolwiek słyszał. Nie wydał go człowiek – było to demoniczne, przeraźliwe zawroźnienie ohydneho tryumfu, który zdawał się uniesieniem nad upadkiem człowieczeństwa i znajdował oddźwięk w czarnych otchłaniach poza ludzkim pojęciem.

Balthus zgubił rytm biegu, a lepki pot sperlił się mu na ciele. Conan wszak się nie zawahał, wystrzelił za zakręt szlaku i zniknął, a Balthus w panice, jako że znalazł się sam z owym strasznym wrzaskiem, którego przeraźliwe echo nadal przeszywało las dreszczem grozy, zwiększył jeszcze prędkość i podążył za nim.

Aquilończyk pośliznął się, potknął i zatrzymał. Niemal wpadł na Cimmeryjczyka, który stał na szlaku nad zmasakrowanym ciałem. Conan jednak nie patrzył na zwłoki, które zaległy w przesiąkniętym szkarłatem pyle. Wpatrywał się gniewnie w głęboki las po obu stronach duktu.

Balthus wymamrotał pełne zgrozy przekleństwo. Ciało leżące na szlaku należało do człowieka: niskiego, grubego mężczyzny odzianego w przeszywane złotą nicią buty i – mimo upału – lamowaną gronostajami szatę bogatego kupca. Jego tłusta, blada twarz zastygła w grymasie osłupiałego przerażenia, grube gardło miał rozchlastane od ucha do ucha jak gdyby ostrzem brzytwy. Krótki miecz tkwił w pochwie, co zdawało się wskazywać, że mężczyzna został powalony bez szans na walkę o życie.

– To Pikt? – wyszeptał Balthus, zwróciwszy badawcze spojrzenie ku gęstniejącym cieniom lasu.

Conan pokręcił głową i wyprostował się, marszcząc brwi nad trupem.

– Leśny diabeł. To już czwarty, na Croma!

– Co masz na myśli?

– Słyszałeś kiedyś o piktyjskim czarowniku zwanym Zogar Sag?

Balthus pokręcił głową zażenowany.

– Mieszka on w Gwaweli, najbliższej wiosce za rzeką. Trzy miesiące temu ukrył się przy drodze i wykradł rząd jucznych mułów z karawany kierującej się do fortu... Jakoś oszołomił poganiaczy. Muły należały do tego człowieka – Conan od niechcienia wskazał zwłoki u swych stóp – Tiberiasa, kupca z Velitrium. Załadowane były baryłkami z piwem, a stary Zogar zatrzymał się, by je pożłopać, nim przekroczy rzekę. Wytropił go łowca imieniem Soractus i zaprowadził Valannusa wraz z kilkoma żołnierzami do miejsca, gdzie tamten leżał w krzakach zalany w trupa. Za sprawą natarczywości Tiberiasa Valannus wtrącił Zogara Saga do celi, co jest największą zniewagą, jaką

możesz wyrzucić Piktowi. Tamten zdołał zabić strażnika i uciec, a potem przesłał wieść, iż zamierza zabić Tiberiasa oraz czterech ludzi, którzy go pojмали, w sposób, który sprawi, że Aquilończycy przez wieki będą wzdragać się przed wyprawą. No i Soractus oraz żołnierze nie żyją. Soractus został zabity nad rzeką, żołnierze tuż za ogrodzeniem fortu. A teraz nie żyje Tiberias. Nie zabił ich żaden Pikt. Wszystkim ofiarom – z wyjątkiem Tiberiasa, jak widzisz – brakowało głów, które bez wątpienia zdobią obecnie ołtarz osobistego bóstwa Zogara Saga.

– Skąd wiesz, że nie zostali zabici przez Piktów? – dopytywał Balthus.

Conan wskazał na zwłoki kupca.

– Myślisz, że zrobiono to nożem albo mieczem? Przypatrz się bliżej, a zobaczysz, że tylko *szpon* mógł zadać taką ranę. Ciało jest rozprute, nie przecięte.

– Być może pantera?... – podsunął Balthus bez przekonania.

Conan niecierpliwie pokręcił głową.

– Człowiek z Tauranu nie powinien mylić śladów pazurów pantery. Nie. To leśny diabeł wezwany przez Zogara Saga, by dopełnić jego zemsty. Tiberias był głupcem, wypuszczając się do Velitrium samotnie i tak blisko zmierzchu. Ale każda ofiara zdawała się tknięta szaleństwem, zanim dopadła je zagłada. Popatrz tutaj. Te znaki są dostatecznie wyraźne. Tiberias nadjechał szlakiem na swym mule, może z pękiem dorodnych surowych skór wydr u siodła na sprzedaż w Velitrium, a ten stwór skoczył na niego od tyłu zza tego krzaka. Zobacz tam, gdzie gałęzie są połamane. Tiberias wydał jeden wrzask, a potem jego gardło zostało rozszarpane i zaczął sprzedawać skóry wydr

w piekle. Jego muł uciekł w las. Posłuchaj! Nawet teraz słysząc, jak miota się pod drzewami. Demon nie miał dość czasu, by zabrać głowę Tiberiasa. Przestraszył się, kiedy się zbliżyliśmy.

– Kiedy ty się zbliżyłeś – poprawił go Balthus. – Musi być to stworzenie nie bardzo przerażające, skoro umyka przed jednym uzbrojonym człowiekiem. Skąd jednak wiesz, że nie był to Pikt z jakimś hakiem, który rozdziera zamiast rozcinać? Widziałeś je?

– Tiberias był uzbrojony – mruknął Conan. – Jeśli Zogar Sag potrafi sprowadzić sobie demony do pomocy, może powiedzieć im, których ludzi zabić, a których zostawić w spokoju. Nie, nie widziałem go. Dostrzegłem tylko trzęsące się krzaki, gdy coś opuszczało szlak. Ale jeśli chcesz dalszych dowodów, popatrz tutaj!

Zabójca wstąpił w kałużę krwi, w której leżał trup. Pod krzakami, na skraju ścieżki, w twardej glinie znajdował się krwawy odcisk stopy.

– Czy człowiek zostawiłby coś takiego? – dopytywał.

Balthus poczuł, jak włosy stają mu na głowie. Żaden człowiek ani zwierzę, które kiedykolwiek widział, nie mogli zostawić tego dziwnego, potwornego trójpalczastego odcisku, który w osobliwy sposób stanowił połączenie śladu ptaka i gada, nie będąc wszelako tak naprawdę żadnym z nich. Rozpostarł dłoń ponad odciskiem, uważnie, by go nie dotknąć, i mruknął popędliwie. Nie był w stanie zakryć śladu.

– Co to jest? – wyszeptał. – Nigdy nie widziałem zwierzęcia, które zostawia taki trop.

– Niewielu przy zdrowych zmysłach widziało – odparł Conan ponuro. – To diabeł bagienny... Niech to piekło... Na bagnach za

Rzeką Czarną roi się od nich jak od nietoperzy. Kiedy gorącą nocą wiatr zawiewa mocno od południa, można posłyszeć, jak wyją niczym potępione dusze.

– Co powinniśmy zrobić? – zapytał Aquilończyk, zerkając niespokojnie w głębokie błękitne cienie. Prześladowała go twarz martwego, która zastygła w przestrachu. Zastanawiał się, jakież ów nieszczęśnik ujrzał obrzydliwy łeb, który szczerząc się, wypadł nań spomiędzy liści, by zmrozić mu krew przerażeniem.

– Nie ma sensu próbować iść za demonem – burknął Conan, wyciągając z pasa krótki toporek myśliwego. – Próbowałem go tropić po tym, jak zabił Soractusa. Zgubiłem ślad na przestrzeni tuzina kroków. Mógł równie dobrze wypuścić skrzydła i odlecieć, jak zapaść się pod ziemię do piekła. Nie wiem. Za tym mułem też nie pójdę. Albo przybłąka się z powrotem do fortu, albo trafi do którejś z chałup osadników.

To powiedziawszy, Conan zabrał się do pracy swym toporkiem przy skraju szlaku. Kilkoma ciosami ściął dwa młode drzewka wysokie na dziewięć, dziesięć stóp i oczyścił je z gałęzi. Potem uciął długie pnącze, które wiło się jak wąż wśród pobliskich krzaków, i przywiązawszy je do jednej z tyczek kilka stóp od końca, szybko zarzucił na drugą i przeplótł w tę i z powrotem. W ciągu paru chwil stworzył toporne, lecz mocne nosze.

– Jeśli to ode mnie zależy, demon nie dostanie głowy Tiberiasa – warknął. – Przeniesiemy ciało do fortu. To nie więcej jak trzy mile. Nigdy nie lubiłem tego tłustego bękarta, ale nie możemy pozwolić tym przeklętym piktyjskim diabłom poczynać sobie tak swobodnie z głowami białych ludzi.

Piktowie należeli do rasy białej, tyle że byli śniadzi, ale ludzie

znad granic nigdy tak o nich nie mówili.

Balthus chwycił z tyłu nosze, na które Conan bezceremonialnie zwałił pechowego kupca, i ruszyli dalej szlakiem tak prędko, jak tylko to było możliwe. Cimmeryjczyk objuczony posępnym ładunkiem nie czynił więcej hałasu niż nieobciążony. Z kupieckiego pasa zrobił pętlę przy końcach tyczek i niósł swą część ciężaru jedną ręką, podczas gdy druga ścisnęła obnażony szeroki miecz. Niespokojnym spojrzeniem błędził po złowrogich ścianach wokół nich. Cienie gęstniały. Ciemniejąca błękitna mgiełka zdawała się rozmywać kontury listowia. Zmierzch wypełniał mrokiem puszcę, która stała się siną kryjówką dającą schronienie tajemniczemu, nieodgadnionemu stworom.

Musieli przebyć więcej niż milę i mięśnie krzepkich ramion zaczęły pobolewać Balthusa, kiedy wstrząsający krzyk rozległ się w lesie, którego błękitne cienie gęstniały, nabierając barwy fioletu.

Conan drgnął gwałtownie, a Balthus niemal upuścił tyczki.

– Kobieta! – zawołał młodszy mężczyzna. – Wielki Mitro, to krzyczy kobieta!

– Jakaś żona osadnika zabłąkana w lesie – warknął Conan, odstawiając swój koniec noszy. – Szukała pewnie krowy i... Zostań tutaj! – Zanurkował w liściasty mur niczym polujący wilk.

Balthusowi zjeżyły się włosy.

– Zostać tu samemu z tym trupem i diabłem skrywającym się w lesie? – wykrzyknął żałościwie. – Idę z tobą!

I przekuwając słowa w czyn, skoczył za Cimmeryjczykiem. Conan przelotnie zerknął na niego w tył, ale nie zgłosił zastrzeżeń, chociaż nie spowolnił też kroku, żeby dostosować go

do krótszych nóg towarzysza. Kiedy Balthus tracił dech na przeklinanie, Cimmeryjczyk znów oddalił się od niego, przemykając niczym zjawa między drzewami. Wtem wypadł na przyćmioną przesiekę i zatrzymał się, przyczajony, z uniesionym mieczem.

– Po co stajesz? – wydyszał Balthus, ocierając pot z oczu i ściskając krótki miecz.

– Wrzask dochodził z tej przesieki albo z jej okolic – odpowiedział Conan. – Nie myślę się co do umiejscowienia dźwięków, nawet w lesie. Ale gdzie...

Raptem ów głos zabrzmiał ponownie... *za nimi*, w kierunku szlaku, który właśnie opuścili. Wznosił się przesywający, żalospny – krzyk szaleńczo przerażonej kobiety. A potem szokująco zmienił się w wyjący, drwiący śmiech, który mógł buchnąć tylko z ust demona z najgłębszego piekła.

– Co, w imię Mitry?!... – Twarz Balthusa stanowiła w mroku bladą plamę.

Z płomiennym przekleństwem Conan obrócił się i rzucił z powrotem drogą, którą przybyli, a oszołomiony Aquilończyk, potykając się, podążał za nim. Na ślepo wpadł na Conana, gdy ten stanął jak wryty, i odbił się od jego ogorzałych ramion jak od stalowej statuy. Łapiąc wskutek tego z trudem oddech, posłyszał, jak Conan nabiera z sykiem powietrza przez zęby. Wydawało się, że zastygł w posadach. Spojrzawszy mu przez ramię, Balthus poczuł, jak włosy stają mu dęba. Coś przemieszczało się wśród gęstych krzaków, jakie okalały drogę – coś, co ani nie szło, ani nie leciało, lecz zdawało się prześlizgiwać niczym wąż. Ale nie był to wąż. Jego zarysy pozostawały niewyraźne, lecz było wyższe od

człowieka i nie bardzo zwaliste. Wydzielało poświatę niesamowitego światła – niby słaby niebieski blask. Tak naprawdę ów upiorny ogień był jedyną namacalną rzeczą z tym związaną. Mógł to być wcielony blask przemieszczający się celowo z jakiegoś powodu przez czerniejący las.

Conan wywarczał wściekle przekleństwo i cisnął swym toporkiem z okrutną zawziętością. Ale stwór przemykał dalej, nie zmieniając kierunku. Po prawdzie, widzieli go tylko przez kilka ulotnych mgnień oka – wysoki, skryty w cieniu twór z zamglonego blasku przepływający przez zarośla. Potem zniknął i las przyczaił się w bezruchu, powstrzymując oddech.

Krzywiąc się gniewnie, Conan przebił się przez stojące mu na drodze listowie i wypadł na szlak. Błuznierstwo, jakie rzucił, kiedy Balthus wyplątał się za nim, było straszne i żarliwe. Cimmeryjczyk stał nad noszami, na których leżało ciało Tiberiasa. Ciało to nie miało już głowy.

– Zmylił nas tym przeklętym miauczeniem! – pieklił się Conan, wściekle wymachując swym wielkim mieczem. – Mogłem się tego domyślić! Mogłem odgadnąć tę sztuczkę! Teraz pięć głów będzie zdobić ołtarz Zogara.

– Ale co to za stwór, który potrafi krzyczeć jak kobieta i śmiać się jak diabli, a przemykając wśród drzew, świeci niczym błędne ognie? – wysapał Balthus, ścierając pot z poblądłej twarzy.

– Diabeł bagienny – odparł Cimmeryjczyk posepnie. – Chwytaj za tyczki. Ciało zabierzemy tak czy owak. Przynajmniej nasz ładunek jest nieco lżejszy.

Po tych słowach złapał za skórzaną pętlę i pomaszerował dalej szlakiem.



II

CZAROWNIK Z GWAWELI



Fort Tuscelan wznosił się na wschodnim brzegu Rzeki Czarnej, której pływy obmywały jego ostrokół. Zbudowano go z bali, tak jak wszystkie budynki wewnątrz, włącznie z donżonem, któremu nazwa ta dodawać miała dostojęstwa, a w którym mieściła się siedziba gubernatora wychodząca na palisadę i mętną rzekę. Za rzeką rozpościerała się ogromna puszcza, która z gęstością podobną do dżungli podchodziła do gąbczastych brzegów. Ludzie wydeptywali ścieżki wzdłuż balustrady z kłód, dzień i noc

obserwując gęsty zielony mur. Rzadko pojawiała się jakaś groźna postać, ale wartownicy wiedzieli, że także są obserwowani, zapalczywie, chciwie, z bezlitosną starożytną nienawiścią. Puszcza za rzeką mogła wydać się niewprawnemu oku opustoszała, pozbawiona życia, lecz życie tam obfitowało nie tylko w ptaki czy gady, ale również w ludzi, najsrozsze spośród polujących bestii.

Tam, pod fortem, kończyła się cywilizacja. Nie była to pusta fraza. Fort Tuscelan stanowił ostatnią wysuniętą placówkę cywilizowanego świata, był najdalszym zachodnim przyczółkiem przeważających ras hyboryjskich. Za rzeką, w cienistych puszczech, wciąż rządziły pierwotne prawa. Znajdowały się tam pokryte pooblamywanymi gałęziami chaty obwieszane ludzkimi czaszkami i gliniane zagrody, w których płonęły ogniska i dudniły bębny, a włócznie ostrzyły ręce ciemnych, milczących ludzi o zmierzwionych czarnych włosach i oczach węża. Te oczy spoglądały często złym wzrokiem spomiędzy krzaków przez rzekę na fort. Kiedyś ciemnoskórzy budowali swe chaty tam, gdzie stał fort. Tak, ich chaty wznosiły się tam, gdzie obecnie znajdowały się pola oraz chałupy z bali stworzone przez jasnowłosych osadników – daleko poza Velitrium, tym nieokrzesanym, burzliwym miasteczkiem na brzegach Rzeki Grzmiącej, aż po brzegi tamtej innej rzeki, która opasywała granicę marchii bossoniackich. Przybywali tu kupcy i kapłani Mitry, którzy wędrowali pieszo bez butów i z pustymi rękoma i umierali w straszliwy sposób, większość z nich. Jednak ich śladem przybyli żołnierze i ludzie z toporami w dłoniach, i kobiety, i dzieci na wozach ciągniętych przez woły. Rzezią i masakrą tubylcy byli spychani do Rzeki Grzmiącej i dalej, za Rzekę Czarną. Ale ciemnoskóry lud nie

zapomniał, że niegdyś Conajohara należała do niego.

Strażnik wewnątrz wschodniej bramy wywrzeszczał wezwanie do zatrzymania. W zakratowanym otworze zamigotało światło pochodni, połyskując na stalowym czepcu i w podejrzliwych oczach pod nim.

– Otwieraj bramę – prychnął Conan. – Widzisz, że to ja, co?

Wojskowa dyscyplina doprowadzała go do ostateczności.

Wierzeje uchyliły się do środka i Cimmeryjczyk wraz z towarzyszem je minęli. Balthus zauważył, że brama otoczona jest z obu stron wieżami, których szczyty wznosiły się ponad ostrokół. Dostrzegł małe okrągłe otwory strzelnicze dla łuków.

Strażnicy warknęli gardłowo, kiedy ujrzeli brzemię dźwigane przez mężczyzn. Ich piki zachrzęściły o siebie, kiedy ze zwieszonymi głowami zatrzaszkiwali bramę, a Conan spytał podrażniony:

– Nigdy wcześniej nie widzieliście ciała bez głowy?

Oblicza żołnierzy w blasku pochodni wyglądały blado.

– To Tiberias – wyrzucił z siebie jeden z nich. – Poznaję tę lamowaną futrem szatę. Zatem Valerius winien mi jest pięć lun. Mówiłem mu, że Tiberias posłyszał zew szaleństwa, kiedy wyjeżdżał przez bramę na swym mule ze szklistymi oczyma. Obstawiałem, że wróci bez głowy.

Conan mruknął zagadkowo, pokazał Balthusowi, żeby spuścił nosze na ziemię, a potem poszedł w kierunku kwatery gubernatora z Aquilończykiem depczącym mu po piętach. Młodzian o rozczochranych włosach ochoczo i ciekawie rozglądał się, dostrzegając szeregi obiektów koszarowych wzdłuż ogrodzenia, stajnie, maleńkie kramy kupców, górujący nad nimi blokhauz oraz

inne budynki, z otwartym placem pośrodku, gdzie ćwiczyli żołnierze, a gdzie obecnie tańczyły ogniska i rozkładali się ludzie mający wolne. Ci spieszyli teraz, aby dołączyć do tłumu, jaki z chorobliwą ciekawością gromadził się wokół noszy przy bramie. Smukłe sylwetki aquilońskich pikinierów i leśnych kurierów mieszały się z niższymi, przysadzistymi postaciami bossoniackich łuczników.

Nie był wielce zaskoczony tym, że gubernator przyjmuje ich osobiście. Autokratyczna społeczność z jej sztywnymi prawami kastowymi funkcjonowała na wschód od marchii. Valannus był wciąż człowiekiem młodym, dobrze zbudowanym, o starannie wygolonym obliczu już przekutym przez trud i odpowiedzialność w poważną maskę.

– Powiedziano mi, że opuściłeś fort, nim nastał dzień – rzekł do Conana. – Zacząłem się bać, że Piktowie w końcu cię schwytali.

– Kiedy będą zabawiać się moją głową, cała rzeka dowie się o tym – burknął tamten. – Aż po Velitrium słychać będzie zawodzenia kobiet Piktów nad zmarłymi... Byłem na samotnym zwiadzie. Nie mogłem spać. Stale słyszałem przez rzekę gadające bębny.

– Gadają co noc – przypomniał gubernator, a jego bystre oczy pociemniały, kiedy przyjrzał się Conanowi uważnie. Poznał już, jak niemądrze jest nie brać pod uwagę instynktów dzikiego człowieka.

– Tej nocy – warknął Conan – było inaczej niż zazwyczaj, odkąd Zogar Sag przedostał się z powrotem przez rzekę.

– Powinniśmy byli obdarować go prezentami i odesłać do domu albo też powiesić – westchnął gubernator. – Radziłeś tak, ale...

– Ale trudno wam, Hyboryjczykom, nauczyć się sposobów myślenia z krain zewnętrznych – rzekł Conan. – Dobra, teraz nie

można na to nic poradzić, ale nie będzie pokoju na granicy, póki Zogar żyje i pamięta celę, w której gnił. Podążałem za wojownikiem, który się prześliznął, aby dołożyć kilka białych karbów na swym łuku. Po tym, jak rozszczepiłem mu czerep, napotkałem tego chłopaka, który ma na imię Balthus, a który przybył z Tauranu pomóc utrzymać granicę.

Valannus z aprobatą otaksował szczere oblicze i mocną budowę młodego mężczyzny.

– Miło mi cię powitać w forcie, młody panie. Pragnąłbym, aby przybyło więcej twego ludu. Potrzebujemy ludzi nawykłych do leśnego życia. Wielu naszych żołnierzy i niektórzy osadnicy pochodzą ze wschodnich prowincji i nie wiedzą nic o leśnym bytowaniu, a nawet o życiu z roli.

– Niewielu jest tych, co wychowali się po tej stronie Velitrium – mruknął Conan. – Choć to miasto jest pełne takowych. Posłuchaj wszak, Valannusie. Znaleźliśmy na szlaku martwego Tiberiasa. – I w kilku słowach zdał relację z tego strasznego wydarzenia.

Valannus pobladł.

– Nie wiedziałem, że opuścił fort. Musiał oszaleć!

– Owszem – rzekł Cimmeryjczyk. – Jak pozostała czwórka. Każdy w swoim czasie wychodził i spieszył między drzewa, by napotkać śmierć niczym zając wbiegający w gardziel pytona. Coś przyzwało ich z głębi puszczy, coś, co ludzie zwykli zwać szaleństwem przez brak lepszego miana, ale tylko przekłęci zdołali to posłyszeć. Zogar Sag użył magii, której aquilońska cywilizacja nie zdołała przemóc.

Aż po ten przytyk Valannus nie odpowiadał. Przecierał czoło drżącą dłonią.

– Czy żołnierze o tym wiedzą?

– Zostawiliśmy ciało przy bramie wschodniej.
– Powinniście byli je ukryć... schować zwłoki gdzieś w lesie. Żołnierze są już wystarczająco niespokojni.

– I tak by to odkryli. Gdybym ukrył ciało, powróciłoby do fortu, tak jak zwłoki Soractusa: uwiązane z zewnątrz do bramy, żeby ludzie znaleźli je o poranku.

Valannus się wzdrygnął, obrócił, podszedł do okiennego otworu i popatrzył w milczeniu przez rzekę, czarną i lśniąca pod przebłyskami gwiazd. Za rzeką dżungla wznosiła się niczym hebanowy mur. Ciszę przerwał odległy skrzek pantery. Noc zdawała się napierać, zacierając odgłosy wydawane przez żołnierzy na zewnątrz i przyćmiewając ogniska. Wiatr szeptał pośród czarnych gałęzi, marszczył okrytą zmierzchem wodę. Na jego skrzydłach nadleciał rytmiczny tętent, złowrogi niczym odgłosy stąpnąć lamparta.

– Ostatecznie – stwierdził Valannus, jak gdyby wypowiadał na głos własne myśli – co my wiemy, albo ktokolwiek wie, o sprawach, jakie ta dżungla może ukrywać? Mamy niejasne pogłoski o wielkich bagnach i rzekach, i puszczy, która rozciąga się w dal nieskończonymi połaciami, i wreszcie o wzgórzach sięgających oceanu zachodniego. Ale jakież sprawy mieszczą się pomiędzy tą rzeką a tamtym oceanem, nie ośmielamy się zgadywać. Żaden biały człowiek nie wniknął nigdy do tej twierdzy, by powrócić żywy i opowiedzieć nam, co też odnalazł. Jesteśmy mądrzy naszą cywilizowaną wiedzą, ale sięga ona tylko dotąd, do zachodniego brzegu tej pradawnej rzeki! Któż wie, jakie ziemskie i nieziemskie twory mogą czaić się za przyćmionym kręgiem światła, jakie roztacza nasza wiedza? Kto wie, jakich bogów czci się w mrokach

tej pogańskiej puszczy albo jakie diabły wypełzają z czarnych wydzielin bagien? Kto może być pewien, że wszyscy mieszkańcy czarnego kraju są z tego świata? Zogar Sag... Mędrzec z miast wschodnich wydrwiłby jego prymitywne czarowanie jak maskaradę fakira, a jednak doprowadził on do szaleństwa i zabił pięciu ludzi w sposób, jakiego żaden człowiek wyjaśnić nie potrafi. Zastanawiam się, czy on sam jest w pełni tylko człowiekiem.

– Gdybym mógł dostać się na odległość rzutu toporem od niego, wyjaśniłbym tę kwestię – warknął Conan, dobierając się do wina gubernatora i podsuwając szklanicę Balthusowi, który wziął ją z wahaniem, spoglądając niepewnie w stronę Valannusa.

Gubernator obrócił się w kierunku Cimmeryjczyka i popatrzył nań zamyślony.

– Żołnierze, którzy nie wierzą w duchy czy diabły – odezwał się – są bliscy paniki ze strachu. Ty, który wierzysz w duchy, ghule, chochliki i wszelkie gatunki tych niesamowitych stworów, nie boisz się niczego z tego, w co wierzysz.

– Nie ma we wszechświecie niczego, czego nie przecięłaby zimna stal – odparł Conan. – Rzuciłem toporkiem w demona, a on nie doznał żadnej krzywdy, ale mogłem chybić w mroku albo liście zmyliły jego lot. Nie zamierzam zbaczać z drogi, szukając diabłów, ale nie ustąpię ze swej ścieżki, żeby dać przejść jakiemuś.

Valannus podniósł głowę i spojrzał Cimmeryjczykowi prosto w oczy.

– Conanie, od ciebie zależy więcej, niż sądzisz. Znasz słabość tej prowincji, smukłego klina wbitego w nieokiełznaną dzicz. Wiesz, że życie wszystkich ludzi na zachód od marchii zależy od tego fortu. Gdyby on padł, czerwone topory będą łupać drzazgi z bram

Velitrium, zanim jeździec zdoła przebyć marchie. Jego wysokość albo doradcy jego wysokości zignorowali moje błagalne apele o przysłanie większych oddziałów dla utrzymania granicy. Nie wiedzą nic o tutejszych warunkach i są przeciwni przesyłaniu jakichkolwiek dalszych pieniędzy w tym kierunku. Los granicy zależy od ludzi, którzy obecnie ją podtrzymują. Wiesz, że większość wojska, które podbiło Conajoharę, została wycofana. Wiesz, że siły, jakie mi pozostawiono, są niedostateczne, szczególnie odkąd ten diabeł Zogar Sag zdołał zatruć nasze zapasy wody i czterdziestu ludzi zmarło jednego dnia. Wielu innych jest chorych: albo zostali ukąszeni przez węża, albo poszarpani przez dzikie zwierzęta, które zdają się coraz liczniej roić w sąsiedztwie fortu. Żołnierze wierzą w przechwałki Zogara, iż potrafi zawezwać leśne bestie, by zabijały jego wrogów. Mam trzystu pikinierów, czterystu bossoniackich łuczników i może z pięćdziesięciu mężczyzn, którzy tak jak ty są nauczeni bytowania w lesie. Są warci dziesięć razy więcej niż inni żołnierze, ale jest ich tak niewielu... Szczerze mówiąc, Conanie, moja sytuacja staje się niepewna. Żołnierze szepczą o dezercji. Ich morale jest niskie, bo wierzą, że Zogar Sag spuścił na nas swe diabły. Boją się czarnej zarazy, którą nam wygrażał, straszliwej czarnej śmierci z bagnistych terenów. Kiedy widzę chorego żołnierza, pocę się ze strachu, że ujrzę, jak robi się czarny, kurczy i umiera na moich oczach. Conanie, jeżeli spadnie na nas zaraza, żołnierze zdezerterują całą gromadą. Granica pozostanie niestrzeżona i nic nie powstrzyma napływu ciemnoskórych hord aż po same bramy Velitrium, a może i dalej! Jeżeli nie zdołamy utrzymać fortu, jak tamci podołają utrzymaniu miasta? Conanie, Zogar Sag musi umrzeć, jeżeli mamy utrzymać Conajoharę!

Wnikałeś w nieznane głębiej niż ktokolwiek z fortu. Wiesz, gdzie mieści się Gwawela, i wiesz co nieco o leśnych szlakach wzdłuż rzeki. Weźmiesz dzisiaj w nocy grupę ludzi i podejmiesz próbę zabicia bądź pojmania go? Och, wiem, że to szalone. Szansa, że ktokolwiek z was powróci żywy, nie jest większa niżli jeden do tysiąca. Ale jeśli go nie dostaniemy, będzie to znaczyło śmierć dla wszystkich. Możesz wziąć tylu ludzi, ilu zechcesz.

– Tuzin jest lepszy do takiej roboty niż pułk – rzekł Conan. – Pięciuset ludzi nie zdołałoby wywalczyć sobie drogi do Gwaweli i z powrotem. Tuzin jednak może wśliznąć się, a potem wyśliznąć. Daj mi wybrać ludzi. Nie chcę żadnych żołnierzy.

– Pozwól mi iść – wykrzyknął ochoczo Balthus. – Przez całe życie w Tauranie polowałem na jelenie.

– W porządku. Valannusie, zjemy w budzie, gdzie gromadzą się leśnicy, i wybiorę sobie ludzi. Wyruszymy za godzinę, w łodzi spłyniemy rzeką do miejsca poniżej wioski, a potem przekradniemy się do niej wśród drzew. Jeśli dożyjemy, powinniśmy być z powrotem u progu dnia.



III

PEŁZAJĄC W CIEMNOŚCI



Rzeka stanowiła niewyraźny szlak pomiędzy ścianami z hebanu. Wiosła, które sterowały długą łodzią pełznącą powoli wzdłuż gęstych cieni wschodniego brzegu, zanurzały się w wodzie cicho, nie czyniąc więcej hałasu niż dziób czapli. Szerokie ramiona człowieka naprzeciw Balthusa stanowiły w gęstym mroku rozmazaną plamę. Wiedział, że nawet bystre oczy mężczyzny, który klęczał na dziobie, nie są w stanie rozróżnić niczego w odległości kilku stóp. Conan wyczuwał drogę za sprawą swych

instynktów oraz dogłębnej znajomości rzeki.

Nikt się nie odzywał. Balthus przyjrzał się dobrze swym towarzyszom w forcie, zanim wysliznęli się poza ostrokół i dalej, wzdłuż brzegu do czekającego czółna. Stanowili nowy chów, wyrosły w surowym świecie pogranicza – mężczyźni, których znajomości lasu nauczyła nieubłagana konieczność. Co do jednego byli to Aquilończycy z zachodnich prowincji, mający ze sobą wiele wspólnego. Ubierali się podobnie – w buty z kozłej skóry, obcisłe skórzane spodnie i kurtki ze skór jeleni, z szerokimi pasami, które podtrzymywały toporki oraz krótkie miecze – i wszyscy byli chudzi, poznaczeni bliznami, milkliwi i żyłaści, o twardym spojrzeniu.

Byli na swój sposób ludźmi dzikimi, jednak pomiędzy nimi a Cimmeryjczykiem istniała wciąż bezdenne przepaść. Byli synami cywilizacji, którzy z powrotem stali się na wpół barbarzyńcami. On był barbarzyńcą z barbarzyńców od tysiąca pokoleń. Tamci zdolność bycia niewidzialnym oraz zręczność swą nabyli, on się z tymi umiejętnościami urodził. Przewyższał ich nawet w kwestii zwinnych, oszczędnych ruchów. Oni byli wilkami, on zaś tygrysem.

Balthus podziwiał ich oraz przywódcę i poczuł dumę, że dopuszczono go do tej kompanii. Był dumny, że jego wiosło nie robi więcej hałasu niż ich. Przynajmniej pod tym względem był im równy, choć wiedza o bytowaniu w lesie zdobyta podczas polowań w Tauranie nigdy nie mogła równać się tej wrytej w dusze ludzi dzikiego pogranicza.

Poniżej fortu rzeka zataczała szeroki łuk. Światła placówki szybko zniknęły, lecz czółno trzymało się obranej drogi przez blisko milę, unikając sterczących gałęzi czy pływających kłód z

niesamowitą wręcz precyzją.

Wtem rozległ się cichy pomruk przywódcy, a oni zmienili kierunek i pomknęli w stronę przeciwległego brzegu. Wyłonienie się z czarnych ciemności krzewów, jakie okalały brzeg, i wypłynięcie na otwartą przestrzeń pośrodku nurtu wytworzyło szczególne złudzenie nieostrożnego odsłonięcia. Gwiazdy wszak dawały mało światła i Balthus wiedział, że o ile ktoś ich nie wypatrywał, nawet najbystrzejsze oczy nie mogły dojrzeć przyćmionego kształtu czółna przecinającego rzekę.

Przybili pod zwisającymi poza skraj wody krzakami zachodniego brzegu, a Balthus po omacku znalazł sterczący korzeń i go złapał. Nie padło ani jedno słowo. Wszystkie wskazówki zostały przekazane, zanim oddział zwiadowczy opuścił fort. Cicho, niczym wielka pantera, Conan prześliznął się przez burtę i zniknął w krzakach. Dziewięciu mężczyzn poszło jego śladem równie bezdźwięcznie. Balthusowi, ściskającemu korzeń z wiosłem na kolanach, zdało się niewiarygodne, żeby dziesięciu ludzi mogło w ten sposób rozplątać się w plątaninie puszczy, wydając tyle dźwięków co tamci.



Usadowił się i czekał. Z mężczyzną, który został z nim, nie zamienił ani słowa. Mniej więcej o milę na północny zachód mieściła się wioska Zogara Saga, opasana gęstym lasem. Balthus rozumiał swoje rozkazy – on i jego towarzysze mieli zaczekać na powrót oddziału wypadowego. Gdyby Conan i jego ludzie nie wrócili o pierwszym brzasku, mieli pospieszyć z powrotem w górę

rzeki do fortu i zameldować, że puszcza znów pobrała swe odwieczne myto od rasy najeźdźców.

Panowała przytłaczająca cisza. Żaden dźwięk nie dochodził z czarnego lasu niewidocznego zza hebanowego gąszczu, jaki stanowiły obwisłe krzaki. Balthus nie słyszał już bębnow. Zamilkły na całe godziny. On zaś mrugał, bezwiednie próbując przeniknąć wzrokiem głęboki mrok. Wilgotne zapachy nocnej rzeki i namokłej puszczy go przytłaczały. Gdzieś w pobliżu rozległ się chlupot dużej ryby, która wyskoczyła i opadła do wody. Przez lekkie drżenie, jakie wstrząsnęło łodzią, Balthus uznał, że musiała skoczyć tak blisko, iż uderzyła w jej bok. Rufa zaczęła lekko odsuwać się od brzegu. Człowiek za jego plecami musiał puścić to, czego się trzymał. Balthus wykręcił głowę, żeby wysyczyć ostrzeżenie, a mimo to był w stanie dojrzeć tylko sylwetkę swego towarzysza – lekko czarniejszą plamę wśród czerni.

Człowiek ów nie odpowiedział. Zastanawiając się, czy nie zapadł w sen, Balthus złapał go za ramię. Ku jego zdziwieniu tamten zgiął się pod dotykiem i opadł na dno czołna. Błądzącymi dłońmi przesunął po gardle mężczyzny... Tylko konwulsyjny szczękocisk zdusił w zarodku krzyk, jaki narósł mu w gardle. Palcami natrafił na ziejącą ranę, z której toczyła się krew... Gardło jego towarzysza zostało podcięte od ucha do ucha.

W owej chwili przerażenia i paniki Balthus skoczył na nogi, a wówczas umięśnione ramię wystające z ciemności zamknęło się gwałtownie wokół jego gardła, dusząc wszelki krzyk. Czołno zakołysało się szaleńczo. Nóż Balthusa znalazł się w jego dłoni, chociaż nie pamiętał, jak wyszarpnął go z buta, więc zapamiętałe dźgnął nim na oślep. Poczuł, że ostrze wnika głęboko, a w uszach

zadźwięczał mu demoniczny wrzask, który uzyskał przerażającą odpowiedź. Ciemność wokół niego zdała się ożywać. Ze wszystkich stron dochodził dziki zgiełk i inne ręce wyciągnęły się po niego. Dźwigające mnóstwo miotających się ciał czółno przechyliło się, lecz zanim znalazł się pod nim, coś trzasnęło Balthusa w głowę i noc na krótko rozjaśnił oślepiający wybuch ognia, który potem ustąpił ciemności, w jakiej nawet gwiazdy nie świecą.



IV

BESTIE ZOGARA SAGA



Ogień znów oślepił Balthusa, kiedy ten zaczął powoli odzyskiwać zmysły. Zamrugał i potrząsnął głową. Jaskrawe światło raziło go w oczy. Otoczyła go mieszanina bezładnych dźwięków nabierająca wyrazistości wraz z jasnością jego umysłu. Podniósł głowę i rozejrzał się tępo dookoła. Otaczały go czarne postaci odcinające się na tle języków szkarłatnych płomieni.

Pamięć i pojmowanie napływały falą. Był przywiązany do słupa na otwartej przestrzeni okrążonej dzikimi i strasznymi postaciami.

Poza ich pierścieniem płonęły ogniska dogłądane przez ciemnoskóre kobiety. Za ogniskami ujrzał chaty z gliny i wikliny przykryte liśćmi. Za chatami zaś znajdował się ostrokół z szeroką bramą. Ale te rzeczy dostrzegał tylko mimochodem. Nawet tajemnicze ciemne kobiety z niezwykłymi fryzurami zauważał jedynie nieumyślnie. Ze straszną fascynacją całą uwagę skupił na stojących wokół i przeszywających go wzrokiem ludziach.

Niscy, o szerokich ramionach, pokaźnej piersi i wąskich biodrach byli nadzy, jeśli nie liczyć skąpych przepasek biodrowych. Światła ognisk uwypuklały wyraźną rzeźbę i grę ich nabitych mięśni. Ciemne twarze pozostawały nieruchome, lecz wąskie oczy skrzyły się ogniem, jaki rozpala wzrok skradającego się tygrysa. Zwichrzone czupryny związane były z tyłu obręczami z miedzi. Ostrza i topory trzymali w rękach. Członki poniektórych owijały prymitywne bandaże, a na ciemnych skórach nosili zaschnięte smugi krwi. Niedawno toczyli morderczą walkę.

Odwrócił wzrok przed wbitym weń spojrzeniem ciemieźców i stłumił okrzyk przerażenia. Kilka stóp od niego wznosiła się niewielka, ohydna piramida: zbudowano ją z zakrwawionych ludzkich głów. Martwe oczy wpatrywały się szklistym wzrokiem w czarne niebo. Odrętwiały rozpoznawał oblicza zwrócone w jego stronę. Były to głowy ludzi, którzy poszli w puszcę za Conanem. Nie potrafił stwierdzić, czy głowa Cimmeryjczyka jest wśród nich. Widocznych było tylko kilka twarzy. Wyglądało mu na to, że musi tam być przynajmniej dziesięć albo jedenaście głów. Dopadły go mordercze mdłości. Zwalczył pragnienie, by zwymiotować. Za głowami leżały ciała pół tuzina Piktów, a on poczuł na ten widok niepoahamowane uniesienie. Przynajmniej leśni kurierzy pobrali

zapłatę.

Wykręcając głowę jak najdalej od upiornego widoku, uświadomił sobie, że obok niego stoi kolejny słup – pal pomalowany na czarno tak jak ten, do którego był przytroczony. Na więzach wisiał na nim człowiek, nagi z wyjątkiem obcisłych skórzanych spodni, które Balthus rozpoznał jako należące do jednego z Conanowych ludzi lasu. Krew ściekała mu z ust i sączyła się z głębokiej rany w boku. Uniósłszy głowę, oblizał on zsiniałe wargi, a wzniósłszy się z trudnością ponad demoniczny jazgot Piktów, wymamrotał:

– Więc ciebie też dorwali!

– Podkradli się wodą i poderżnęli gardło temu drugiemu – wystękał Balthus. – Nie posłyszeliśmy niczego, póki na nas nie spadli. Mitro, jak cokolwiek może poruszać się tak cicho?

– To są diabły – wymamrotał pogranicznik. – Musieli obserwować nas od momentu, gdy opuściliśmy nurt. Wpadliśmy w pułapkę. Strzały ze wszystkich stron zasypały nas, zanim się zorientowaliśmy. Większość z nas obaliła pierwsza salwa. Trzech czy czterech przedarło się przez krzaki i starło wręcz. Ale ich było zbyt wielu. Conan mógł ujść. Jego głowy nie widziałem. Byłoby lepiej dla ciebie i dla mnie, gdyby zabili nas na miejscu. Nie mogę winić Conana. Nie dostalibyśmy się do wioski nieodkryci. Oni nie trzymają szpicli na brzegu tak daleko w dole rzeki, gdzie myśmy wylądowali. Musieliśmy wpaść na dużą grupę idącą w górę rzeki z południa. Szykuje się jakieś diabelstwo. Za dużo tu Piktów. Nie wszyscy to Gwaweli. Są tu ludzie z zachodnich plemion oraz z góry i dołu rzeki.

Balthus zapatrzył się na dzikie postaci. Mało wiedział o piktyjskich zwyczajach, był wszak świadom, iż liczba mężczyzn

cisnących się wokół nich przerasta rozmiary wioski. Nie było dość chat, żeby wszystkich zakwaterować. Wtedy zauważył, że istnieją różnice w barbarzyńskich wzorach plemiennych wymalowanych na ich twarzach i piersiach.

– Jakieś diabelstwo – wymamrotał leśny kurier. – Mogli zgromadzić się, by oglądać czary Zogara. Pewnie poczaruje nieco nad naszymi trupami. Cóż, człowiek znad granicy nie oczekuje, że umrze w łóżku. Ale chciałbym, żebyśmy zginęli z resztą.

Wilcze wycia Piktów narosły uniesieniem i z poruszenia w ich szeregach – skwapliwego falowania i tłoku – Balthus wywnioskował, że nadchodzi ktoś wysokiej rangi. Wykręcając głowę, dostrzegł, że pale umieszczono przed długim budynkiem, większym niż inne chaty, ozdobionym ludzkimi czaszkami zwisającymi spod okapu. Drzwi tej konstrukcji przekraczała, tańcząc, dziwaczna postać.

– Zogar! – wyszeptał człowiek lasu, a jego skrwawione oblicze zastygło w wilczym grymasie, podczas gdy ciało bezwiednie napięło więzy.

Balthus ujrzał chudą postać średniego wzrostu niemal skrytą za strusimi piórami osadzonymi w uprzęży ze skóry i miedzi. Spomiędzy piór wyzierała odrażająca i złośliwa twarz. Owe pióra zdziwiły Balthusa. Wiedział, że źródło ich pochodzenia leży o pół świata na południe. Łopotały one i szeleściły paskudnie, kiedy szaman skakał i płasał.

W niesamowitych susach i podrygach wkroczył do kręgu i zawirował przed swymi związanymi i milczącymi jeńcami. Przy kimś innym mogłoby to się wydać śmieszne – głupi dzikus uprawiający bezsensowne wygibasy z wirującymi piórami. Ale ta

zawzięta twarz, miotająca złe spojrzenia z rozedrganej chmury piór, nadawała owej scenie ponure znaczenie. Żaden człowiek o takim jak to obliczu nie mógł wydawać się śmieszny; nie mógł to być też nikt inny, tylko diabeł.

Nagle zastygł w posągowym bezruchu; pióra zafalowały i opadły wokół niego. Wyjący wojownicy zamilkli. Zogar Sag stanął wyprostowany, nieruchomy i zdawał się powiększać – rosnąć i poszerzać. Balthus doświadczył złudzenia, iż Pikt góruje nad nim, przypatrując się mu wzgardliwie z wielkiej wysokości, chociaż widział, że szaman nie jest tego wzrostu, co on. Otrząsnął się z tego złudzenia z trudnością.

Teraz szaman przemawiał z chropawą, gardłową intonacją, która niosła w sobie syk kobry. Wysunął osadzoną na długiej szyi głowę w kierunku rannego mężczyzny przy palu; jego oczy jaśniały czerwienią jak krew w świetle ognia. W odpowiedzi pogranicznik splunął mu w twarz.

Z demonicznym wyciem Zogar wyskoczył gwałtownie w powietrze, a wojownicy rozpoczęli niosące grozę ujadanie na całe gardło, które wzbiło się do gwiazd, jakie spoglądały znad szczytów wielkich drzew opasujących wioskę. Ruszyli ku mężczyźnie przy palu, lecz szaman cofnął ich na miejsce. Wywarknięty rozkaz pchnął ludzi biegiem do bramy. Rozwarli ją pędem i pognali z powrotem do kręgu. Pierścień mężczyzn rozłączył się, rozchodząc w szaleńczym pośpiechu na prawo i lewo. Balthus dostrzegł kobietę oraz nagie dzieci mknące do chat. Zerkały one ukradkiem zza okien i drzwi. Szeroka, pusta alejka ciągnęła się do otwartej bramy, za którą majaczyła czarna, nieoświetlona blaskiem ognisk puszcza wpychająca się posępnie w wykarczowaną przestrzeń.

Zapanowała napięta cisza, kiedy Zogar Sag odwrócił się w stronę lasu, wspiął na palce i wydał niesamowity, nieludzki zew niosący się przenikliwie w noc. Gdzieś daleko w czarnej puszczy odpowiedziało mu głębsze wołanie. Balthus zadrżał. Z jego barwy wnosił, iż nie wydało go ludzkie gardło. Pamiętał, co powiedział Valannus: że Zogar przechwalał się, iż potrafi zavezwać dzikie bestie, by wypełniały jego polecenia. Człowiek lasu posiniał pod maską z krwi. Spazmatycznie oblizał wargi.



Wioska wstrzymała oddech. Zogar Sag stał nieruchomo niczym

statua, a pióra wokół niego drżały nieznacznie. Nagle bowiem brama nie była już pusta.

Wioskę omiotło tchnienie grozy i mężczyźni pospiesznie cofnęli się, tłocząc i upychając pomiędzy chatami. Balthus poczuł, jak krótkie włosy podnoszą mu się na głowie. Stworzenie, które stało w bramie, było niczym wcielenie koszmarnych opowieści. Jego umaszczenie znamionowała niezwykła bladość, która sprawiała, że w przyćmionym świetle zdawało się upiorne i nierzeczywiste. Nie było jednak nic nierzeczywistego w nisko zwieszonym dzikim łbie i wielkich, zakrzywionych kłach, jakie połyskiwały blaskiem ognisk. Na bezszelestnych, miękkich łapach przybliżyło się jak zjawa z przeszłości. Był to relikw starzej, posępnej epoki, ogr z wielu starożytnych legend: tygrys szablastozębny. Żaden Hyboryjczyk nie oglądał tych pierwotnych bestii przez wieki. Odwieczne mity używały owym stworzeniom zdolności nadprzyrodzonych powodowane ich upiorną barwą oraz demoniczną krwiożerczością.

Bestia, która przybliżała się do mężczyzn przy palach, była dłuższa i cięższa od zwykłego pasiastego tygrysa, prawie tak zwalista jak niedźwiedź. Jej grzbiet i przednie łapy były tak masywne i mocno umięśnione, że nadawały stworzeniu dziwnie niezgrabny wygląd, chociaż zad był potężniejszy niż u lwa. Szczęki były ogromne, a głowa grubo ciosana. Pojemność umysłu była niewielka. Nie było tam przestrzeni na żadne instynkty z wyjątkiem tych związanych z zagładą. Mięsożerny wybryk postępu, szaleństwo ewolucji popadłej w amok grozy kłów i szponów.

Była to potworność, którą Zogar Sag przywołał z puszczy. Balthus nie wątpił już w prawdziwość magii szamana. Tylko czarne sztuki mogły osiągnąć panowanie nad tą potężnie zbudowaną

bestią o maleńkim mózdzku. Niczym szept z głębin świadomości wyrosło niejasne wspomnienie imienia starożytnego, pradawnego boga ciemności i pierwotnego strachu, któremu niegdyś kłaniali się tak ludzie, jak i zwierzęta, a którego dzieci – jak szeptano – wciąż czaiły się w mrocznych zaułkach świata. Nowa groza nasyciła spojrzenie, jakim Balthus przeszywał Zogara Saga.

Potwór minął stertę ciał i stos okrwawionych głów, nie okazując nawet, że je zauważył. Nie był padlinożercą. W swej naturze oddany wyłącznie masakrze, polował jedynie na istoty żywe. W ogromnych, nieruchomych ślepiach płonął zielenią straszny głód – głód płynący nie tylko z pustego brzucha, ale z żądzы zadawania śmierci. Jego otwarta paszcza ociekała śliną. Szaman się usunął, jego ręka machnęła w kierunku człowieka lasu.

Wielki kot opadł przyczajony, a odrętwiały Balthus wspomniął opowieści o jego przerażającym okrucieństwie: o tym, jak potrafi skoczyć na słońca i wbić podobne mieczom kły tak głęboko w czaszkę tytana, że nie da się ich już wyciągnąć, ale przytrzymują go przyszpilonego do ofiary, aż zdechnie z głodu. Szaman krzyknął przenikliwie, a potwór skoczył z rozdzierającym uszy rykiem.

Balthusowi taki skok nigdy się nie śnił, tak rozpędzone wcielenie zniszczenia uosobione w ogromnym cielsku ze stalowych mięśni i rwących pazurów. Uderzył wprost w pierś człowieka lasu, a pal rozprysł się i trzasnął u podstawy, waląc wskutek ciosu o ziemię. Wtem szablatozębny mknął już w stronę bramy, na wpół wlokąc, na wpół niosąc odrażający szkarłatny zewłok, który tylko słabo przypominał człowieka. Balthus przypatrywał mu się niemal sparaliżowany, jego umysł odmawiał wiary w to, co ujrzał.

Swym skokiem wielka bestia nie tylko obłamała pal, lecz zdarła

także zmalretowane ciało ofiary ze słupa, do którego było przywiązane. Ogromne pazury w chwili zetknięcia wypatroszyły i częściowo rozczłonkowały mężczyznę, a olbrzymie kły rozerwały całkowicie szczyt czaszki, wrzynając się w nią równie łatwo jak w ciało. Mocne rzemienie z surowej skóry poddały się jak papier. Tam, gdzie więzy wytrzymały, ciało i kości nie dały rady. Balthusowi nagle zrobiło się niedobrze. Polował na niedźwiedzie i pantery, ale nigdy nie śnił nawet o żywej bestii, która może ludzką istotę sprowadzić do krwawych strzępów w mgnieniu oka.

Szablastożębny zniknął za bramą i parę chwil później w puszczy rozbrzmiał niski ryk słabnący w oddali. Ale Piktowie nadal kulili się pod chatami, a szaman stał zwrócony twarzą do bramy, która była niczym czarny otwór dający przystęp nocy.

Na ciele Balthusa wystąpił nagle obficie zimny pot. Jakaż nowa groza nadejdzie przez tę bramę, by przemienić jego ciało w ścierwo? Ogarnęła go przyprawiająca o mdłości panika, napiął się daremnie pod rzemieniami. Noc poza światłem ognisk napierała głębią czerni i okropieństwa. Same ogniska błyszczały jaskrawo niczym ognie piekieł. Poczul na sobie spojrzenia Piktów – setki wygłodniałych, okrutnych spojrzeń, w których odbijały się żądze dusz, wedle jego wiedzy, całkowicie pozbawionych człowieczeństwa. Nie wydawali się już ludźmi – byli diabłami czarnej dżungli tak nieludzkimi jak stworzenia, do których demon w drżących piórach pokrzykiwał przez mrok.

Zogar posłał w noc kolejny budzący grozę zew i był on zupełnie niepodobny do pierwszego zawołania. Brzmiało w nim ohydne świszczenie... Na myśl o konsekwencjach Balthusa przeniknął chłód. Gdyby wąż potrafił syczeć głośno, wydałby właśnie taki

dźwięk.

Tym razem nie było odpowiedzi, tylko okres zapierającej dech ciszy, w której łomot serca Taurańczyka omal go nie zadławił. Wtem za bramą rozległ się szmer, beznamiętny szelest, który przeszył krzyż Balthusa dreszczem. I znów oświetlona ogniem brama powitała ohydneho gościa.

I znów Balthus rozpoznał potwora ze starożytnych legend. Ujrzał i poznał pradawnego złego węża, który się tam kołysał. Jego klinowaty łeb, ogromny jak u konia, unosił się na poziomie głowy wysokiego człowieka, a lśniące blado cielsko o przekroju beczki falowało za nim. Rozwidlony język wysuwał się i chował, światła ognisk migotały zaś na odsłoniętych zębach.

Balthus stał się niezdolny do jakichkolwiek uczuć. Groza własnego losu go sparaliżowała. Był to gad, którego starożytni zwali Widmowym Wężem – blady, wstrętny postrach, który z dawien dawna wślizgiwał się nocą do chat, żeby pożerać całe rodziny. Miażdżył swe ofiary niczym pyton, jednak inaczej niż u pozostałych dusicieli, jego zęby zawierały truciznę, która przynosiła szaleństwo i śmierć. On także od dawna uznawany był za wymarłego. Wszelako Valannus prawił prawdziwie. Żaden biały człowiek nie wiedział, jakie stwory straszą w wielkich puszczech za Rzeką Czarną.

Wąż podpełzał cicho, wijąc się po ziemi, jego szkaradny łeb utrzymywał się na tym samym poziomie, a kark lekko zgięty był do uderzenia. Zaszklonym, zahipnotyzowanym wzrokiem Balthus wpatrywał się w głąb obmierzłej gardzieli, w której niedługo się pogrzeży, i pozostawał nieświadom innych doznań, z wyjątkiem niejasno odczuwanych mdłości.

I wtedy coś mignęło jasną smugą z mroku pomiędzy chatami, a wielki gad zaczął młócić dookoła, wpadając błyskawicznie w konwulsje. Niby we śnie Balthus dostrzegł rzut krótką włócznią, która przeszła potężny kark tuż poniżej rozwartej paszczy; drzewce sterczało z jednej, a stalowy grot z drugiej strony.

Pętłąc się i wijąc obrzydliwie, oszalały gad wtoczył się na krąg mężczyzn, którzy usiłowali się od niego odsunąć. Włócznia nie przerwała kręgosłupa, ale zaledwie przeszła mięśnie wielkiego karku. Wściekle chłuszczący ogon skosił z tuzin ludzi, a szczęki kłapały konwulsyjnie, pryskając wokół trucizną, która paliła jak płynny ogień. Wyjąc, przeklinając i wrzeszcząc, rozpierzchli się gorączkowo przed nim. Przewracali się nawzajem w pośpiechu, tratowali obalonych, roztrącali chaty. Olbrzymi wąż wtoczył się w ogień, siejąc iskrami i płonącymi żagwiami, a ból pobudzał go do jeszcze bardziej szaleńczych wysiłków. Ściana chaty zapadła się pod ciosem podobnego do tarana młócaącego ogona, wyrzucając na zewnątrz wyjących ludzi.

Mężczyźni przebiegali w popłochu przez ogniska, roztrącając kłody na lewo i prawo. Płomienie wznosiły się, a potem gasły. Krwawa, przyćmiona poświata stanowiła całe oświetlenie tej koszmarnej sceny, gdzie olbrzymi gad przetaczał się, bijąc dookoła, a pochwyceni w szpony strachu uciekali, wrzeszcząc zapamiętale.

Balthus poczuł, jak coś szarpie jego nadgarstek, a potem cudem został uwolniony i silna ręka pociągnęła go za słup. Oszołomiony ujrzał Conana, poczuł na swym ramieniu żelazny uścisk człowieka lasu.

Na kolczudze Cimmeryjczyka była krew, zaschnięta krew znajdowała się też na mieczu w jego prawej dłoni; majaczył

niewyraźnie, olbrzymi w przyćmionym świetle.

– Dalej! Zanim opanują panikę!

Balthus poczuł trzonek siekiery wciśnięty w dłoń. Zogar Sag zniknął. Conan włókł młodzieńca za sobą, dopóki otępiały umysł tegoż się nie przebudził, a nogi nie zaczęły poruszać we własnym rytmie. Potem Cimmeryjczyk puścił go i wbiegł do budynku obwieszanego czaszkami. Balthus podążył za nim. Przelotnie dostrzegł ponury kamienny ołtarz oświetlony słabo przez łunę z zewnątrz. Szczyrzyło się na nim pięć ludzkich głów, a rysy najświeższej były straszliwie znajome – głowa kupca Tiberiasa. Za ołtarzem stał bożek, przyciemniony, niewyraźny, zwierzęcy, jednak z sylwetki niejako podobny do człowieka. Wtem nowe przerażenie zdławiło Balthusa, kiedy ów kształt zakołysał się nagle, grzechocząc łańcuchami i unosząc w półmroku długie, bezkształtne ramiona.

Miecz Conana opadł niczym cep, przerąbując ciało i kości, i już Cimmeryjczyk ciągnął Balthusa wokół ołtarza, obok skulonego kosmatego cielska na podłodze, ku drzwiom na tyłach długiej chaty. Wskoczyli przez nie, ponownie na teren ogrodzony, ale kilka jardów od nich majaczył ostrokół.

Za chatą z ołtarzem było ciemno. Szaleńczy popłoch Piktów nie przywiódł ich w tym kierunku. Pod ścianą Conan zatrzymał się, chwycił Balthusa i dźwignął go na długość ramion w powietrze, tak jakby podnosił dziecko. Ten złapał ostre końcówki stojących prosto kłód osadzonych w wysuszonej na słońcu glinie i wgramolił się na nie, ignorując uszkodzenia skóry. Opuścił dłoń do Cimmeryjczyka, kiedy zza rogu chaty wyskoczył umykający Pikt. Zatrzymał się, obrzucając spojrzeniem w słabej łunie ognisk człowieka na ogrodzeniu. Conan cisnął swą siekierką, mierząc zabójczo, lecz usta

wojownika już otwały się do ostrzegawczego wycia i wzniosło się ono ponad ogólną wrzawę, ucięte, kiedy padł z roztrzaskaną czaszką.

Ślepe przerażenie nie stłumiło wszystkich wrodzonych instynktów. Kiedy dzikie wycie wzniosło się ponad zgiełk, nastąpiła natychmiast cisza i wtem z jakiejś setki gardeł wydarła się zaciekle odpowiedź, a wojownicy ruszyli w podskokach odpierać atak przepowiadany tym ostrzeżeniem.

Conan podskoczył wysoko, łapiąc nie Balthusową dłoń, ale jego rękę blisko ramienia, i podciągnął się. Balthus zacisnął zęby, wytrzymując napięcie mięśni, i zaraz Cimmeryjczyk znalazł się koło niego na ogrodzeniu. Zbiegowie zeskoczyli po drugiej stronie.



V

DZIECI JHEBBALA SAGA



– Z której strony jest rzeka? – Balthus był zdezorientowany.

– Teraz nie zdołamy dotrzeć do rzeki – mruknął Conan. – Las pomiędzy wioską a rzeką roi się od wojowników. Chodź! Podążymy w tę stronę, z której się nas nie spodziewają: na zachód!

Obejrzawszy się, kiedy wkraczali w gęste zarośla, Balthus dostrzegł ogrodzenie upstrzone punkcikami czarnych głów, gdyż dzicy wyglądali ponad nim. Piktowie byli oszołomieni. Nie dotarli do ogrodzenia na czas, żeby ujrzeć chowających się zbiegów.

Ruszyli ku palisadzie, oczekując, iż będą musieli odpierać zmasowany atak. Ale w polu widzenia nie pojawił się żaden wróg.

Balthus zdał sobie sprawę, iż jeszcze nie wiedzą, że ich więzień uciekł. Z innych dźwięków wnosił, że wojownicy kierowani przenikliwym głosem Zogara Saga dobijają strzałami rannego węża. Potwór wyrwał się spod kontroli szamana. Chwilę później ton wyjącej wrzawy się zmienił. Noc rozbrzmiała skrzeczącymi wrzaskami wściekłości.

Conan zaśmiał się ponuro. Prowadził Balthusa wąskim szlakiem, który pod czarnymi gałęziami biegł na zachód. Kroczył tak szybko i pewnie, jakby stąpał dobrze oświetloną główną ulicą. Taurańczyk, potykając się, podążał za nim, kierując się dotykiem gęstych ścian po obu stronach.

– Teraz pójda za nami. Zogar odkrył, że cię nie ma, i wie, że mojej głowy nie było na stosie przed chatą z ołtarzem. To pies! Gdybym miał drugą włócznię, przebiłbym go, nim razilem węża. Trzymaj się szlaku. Nie zdołają nas wytropić w świetle pochodni, a jest trochę ścieżek, które wychodzą z wioski. Najpierw podążą tymi, co prowadzą do rzeki... Roztoczą kordon wojowników na mile wzdłuż brzegu, oczekując, że spróbujemy się przebić. Nie wleziemy do lasu, póki nie będziemy musieli. Osiągniemy lepszy czas na szlaku. Teraz zepnij się i biegnij, jak nie biegłeś nigdy dotąd.

– Diabelnie szybko opanowali panikę – wysapał Balthus, dostosowując się do nowej, większej prędkości.

– Oni niczego nie obawiają się zbyt długo – burknął Conan.

Przez jakiś czas nie rozmawiali. Skupili całą uwagę na przemierzaniu odległości. Z każdym krokiem zanurzali się coraz głębiej w dzicz i odsuwali od cywilizacji, lecz Balthus nie podważał

mądrości Conana. Cimmeryjczyk wkrótce zwolnił, by mruknąć:

– Kiedy będziemy wystarczająco daleko od wioski, zawrócimy ku rzece wielkim kołem. Na mile od Gwaweli nie ma żadnej innej wsi. Wszyscy Piktowie zgromadzili się w jej pobliżu. Okrążymy ich szerokim łukiem. Nie są w stanie tropić nas przed nastaniem dnia. Wtedy obiorą naszą ścieżkę, ale my opuścimy szlak przed świtem i wleziemy do lasu.

Podążali dalej. Wrzaski za nimi ucichły. Oddech Balthusa świszcział mu przez zęby. Odczuwał ból w boku. Bieg stał się torturą. Nadziewał się na krzaki po obu stronach szlaku. Conan zatrzymał się nagle, odwrócił i przypatrzył zaciemnionej ścieżce. Gdzieś wschodził księżyc, przyćmiona jasna poświata pośród płataniny gałęzi.

– Wleziemy do lasu? – sapnął Balthus.

– Daj mi swój toporek – wymamrotał Conan cicho. – Coś jest blisko za nami.

– Więc lepiej opuśćmy szlak! – wykrzyknął Taurańczyk.

Conan potrząsnął głową i pociągnął towarzysza w gęste krzewy. Księżyc wzniósł się wyżej, rzucając na ścieżkę przyćmione światło.

– Nie możemy walczyć z całym plemieniem! – wyszeptał Balthus.

– Żadna ludzka istota nie odnalazłaby naszego tropu tak szybko ani nie podążała za nami tak prędko – wymruczał Conan. – Bądź cicho.

Nastała pełna napięcia cisza, przy której Balthus odnosił wrażenie, że łomot jego serca słychać na mile. Wtedy raptownie, bez jakiegokolwiek dźwięku zapowiadającego jego przybycie, w półmroku ścieżki pojawił się dziki łeb. Serce skoczyło Balthusowi do gardła; na pierwszy rzut oka wystraszył się, że spogląda na

straszliwy łeb szablastozębnego. Ten był jednak mniejszy, węższy. Był to lampart, który stał tam, szczerząc kły i powarkując cicho, i wpatrywał się błyszczącymi ślepiami w szlak. Jakowyś wiatr był [sic!] powiał w stronę schowanych mężczyzn, skrywając ich woń. Bestia opuściła łeb i obwąchała szlak, a potem ruszyła przed siebie niepewnie. Dreszcz przebiegł Balthusowi po grzbiecie. Zwierz niewątpliwie ich tropił.

I był podejrzliwy. Podniósł łeb – jego ślepie jaśniały jak kule ognia – i warknął cicho, gardłowo. W tejże chwili Conan cisnął toporkiem.

W rzut włożył całą moc ramienia i pod przyćmionym księżycem toporek stał się srebrną smugą. Zanim zdał sobie sprawę z tego, co się stało, Balthus ujrzał, jak lampart tarza się po ziemi w śmiertelnych mękach. Trzonek wystawał z jego łba, a głowica broni rozszczepiła jego wąski czerep.

Conan wyskoczył z krzaków, szarpnięciem uwolnił toporek i zaciągnął bezwładne truchło między drzewa, ukrywając je przed przypadkowym spojrzeniem.

– Teraz chodźmy, i to szybko! – burknął, obierając drogę ku południu, z dala od szlaku. – Za tym kotem przyjdą wojownicy. Jak tylko odzyskał rozum, Zogar posłał go za nami. Piktowie pójną jego śladem, ale zostawił ich daleko w tyle. Okrążył wioskę, zanim trafił na nasz trop, i wtedy pomknął za nami jak błyskawica. Nie mogli za nim nadążyć, ale mają ogólne pojęcie o kierunku, jaki obraliśmy. Pójną w jego stronę, nasłuchując krzyku. Cóż, nie usłyszą go, ale znajdą krew na szlaku, rozejrzą się i odkryją trupa w krzakach. Tam podejmą nasz ślad, o ile zdołają. Idź ostrożnie.

Sam bez wysiłku unikał chwytnych korzeni i zwisających gałęzi,

prześlizgując się między drzewami bez dotykania pni i zawsze stawiając stopy w miejscach obliczonych na to, aby zostawić słabszy dowód przejścia. Jednak dla Balthusa było to bardziej mozolne zajęcie.

Zza pleców nie dochodził ich żaden dźwięk. Pokonali więcej niż milę, gdy Taurańczyk zapytał:

– Czy Zogar Sag łapie lamparcie szczenięta i ćwiczy je na swe gończe psy?

Conan pokręcił głową.

– To był lampart, którego wezwał z lasu.

– Ale skoro może nakazać dzikim zwierzętom wypełniać swe polecenia – nie ustępował Balthus – dlaczego nie rozbudzi ich wszystkich i nie puści za nami? Puszcza pełna jest lampartów. Dlaczego posłał za nami tylko jednego?

Conan nie odpowiadał przez chwilę, a kiedy to zrobił, był niezwykle oszczędny:

– Nie może rozkazywać wszystkim zwierzętom, a jedynie takim, które pamiętają Jhebbala Saga.

– Jhebbala Saga? – Balthus z wahaniem powtórzył starożytne imię. Słyszał je nie więcej niż trzy albo cztery razy w całym swoim życiu.

– Niegdyś czciły go wszystkie żywe istoty. Było to dawno temu, kiedy dzikie zwierzęta i ludzie mówili jednym językiem. Ludzie go zapomnieli. Nawet zwierzęta zapominają. Tylko kilka pamięta. Ludzie, którzy pamiętają Jhebbala Saga, i zwierzęta, które pamiętają, są braćmi i mówią tym samym językiem.

Balthus nie odpowiedział. Sam tkwił uwiązany u piktyjskiego pala i widział, jak nocna dżungla na zew szamana odpowiada

opatrzoną kłami grozą.

– Ludzie cywilizowani się śmieją – rzekł Conan – ale nikt nie jest w stanie powiedzieć mi, jak Zogar Sag przyzywa z dziczy pytony, tygrysy i lamparty i sprawia, że robią, co im każe. Powiedzieliby, że to kłamstwo, gdyby się ośmielili. Tak to jest z ludźmi cywilizowanymi. Gdy nie potrafią wyjaśnić czegoś za pomocą swej niedowarzonej nauki, odmawiają w to wiary.

Lud Tauranu był bliższy temu, co pierwotne, niż większość Aquilończyków. Pozostały mu przesady, których źródła zaginęły w zamierzchłym świecie. A Balthus widział rzeczy, od których cierpła mu skóra. Nie umiał podważyć konsekwencji, które płynęły ze słów Conana.

– Słyszałem, że gdzieś w tej puszczy znajduje się pradawny gaj poświęcony Jhebbalowi Sagowi – stwierdził Cimmeryjczyk. – Nie wiem gdzie. Nigdy go nie widziałem. Ale w tej krainie pamięta go więcej zwierząt niż gdziekolwiek indziej.

– Zatem na naszym tropie będą też inne?

– Już są – padła niepokojąca odpowiedź. – Zogar nigdy nie zostawiłby tropienia tylko jednej bestii.

– Cóż więc mamy robić? – zapytał Balthus nerwowo, chwytając za swój toporek i przypatrując się mrocznym sklepieniom nad nimi. Skóra ścierpła mu w oczekiwaniu na rwące szpony i kły wyskakujące z ciemności.

– Czeka!

Conan odwrócił się, kucnął i w czarnej ziemi zaczął rysować nożem dziwny symbol. Nachyliwszy się, by spojrzeć na niego, Balthus poczuł drętwienie skóry na grzbiecie i nie wiedział dlaczego. Nie czuł na twarzy wiatru, ale nad nimi rozlegał się szum

liści, a między gałęziami pobrzmiwały niesamowicie upiorne jęki. Conan popatrzył w górę nieodgadnionym wzrokiem, potem podniósł się i stał, wpatrując ponuro w symbol, który narysował.

– Co to jest? – wyszeptał Balthus. Dla niego wyglądał on staro i bezsensownie. Przypuszczał, że to nieznamość sztuki nie pozwala mu rozpoznać w nim jednego z tradycyjnych wzorów jakiejś rozpowszechnionej kultury. Ale nawet gdyby był największym erudyta na świecie, nie znalazłby się bliżej rozwiązania.

– Widziałem go na skale jaskini, której żaden człowiek nie odwiedzał przez miliony lat – wymamrotał Conan. – W niezamieszkanym górach za morzem Vilayet, o pół świata stąd. Później widziałem, jak czarny łowca wiedźm z Kush wydrapuje go w piasku bezimiennej rzeki. Ujawnił mi część jego znaczenia: jest poświęcony Jhebbalowi Sagowi i stworzeniom, które go czczą. Uważaj!

Cofnęli się o kilka jardów w gęste listowie i czekali w napiętym milczeniu. Na wschodzie szemrały bębny, a gdzieś na północy i zachodzie odpowiadały im inne. Balthus zadrżał, chociaż wiedział, że długie mile dzielą go od wygrywających na nich bębniarzy. Głuche dudnienie rozbrzmiewało złowieszczą uwerturą, która ustawiała ciemną scenę pod krwawy dramat.

Balthus się zorientował, że wstrzymuje oddech. Wtem z lekkim drżeniem liści krzaki się rozchyliły i ukazała się wspaniała pantera. Światło księżyca sączące się miejscami poprzez liście jaśniało na jej błyszczącej sierści, która falowała wraz z grą wielkich mięśni pod spodem.

Trzymając łeb nisko, sunęła w ich stronę. Węszyła trop. Potem się zatrzymała, jak gdyby zastygła, pyskiem prawie dotykając symbolu

na ziemi. Przez dłuższą chwilę czaiła się nieruchomo. Przywarła do ziemi swym długim cielskiem i złożyła łeb przed znakiem. Balthus poczuł, jak podnoszą mu się włoski na karku, gdyż postawa wielkiego mięsożercy wyrażała zarazem bojaźń i uwielbienie.

Następnie pantera powstała i wycofała się ostrożnie z brzuchem prawie na ziemi. Dotarłszy zadem w krzaki, obróciła się, jak gdyby zdjęta nagle paniką, i umknęła niczym błysk migającego światła.

Balthus przetarł czoło drżącą dłonią i spojrział na Conana.

Oczy barbarzyńcy tliły się ogniem, jaki nigdy nie rozświetli oczu ludzi wychowanych do założeń cywilizacji. W tej chwili stał się całkowicie dziki, zapomniał o człowieku u swego boku. W jego płonącym spojrzeniu Balthus dostrzegł przez mgnienie oka i rozpoznał zamglone, dziewicze obrazy i na wpół ucieleśnione wspomnienia, mroki istniejące o brzasku Życia, zapomniane i odrzucone przez zadziwiające rasy – pradawne, pierwotne, nienazwane i bezimienne przywidzenia.

Potem owe głębsze ognie się skryły i Conan milcząco obrał dalszą drogę głębiej w las.

– Zwierząt nie musimy się już bać – stwierdził po chwili – ale ludziom zostawiliśmy znak do odczytania. Podążanie naszym tropem nie pójdzie im łatwo i dopóki nie znajdą symbolu, nie będą wiedzieć na pewno, że skręciliśmy na południe. A nawet wówczas nie będzie prosto wywęszyć nas bez pomocy dzikich zwierząt. Wszak las na południe od szlaku pełen będzie szukających nas wojowników. Jeśli będziemy się przemieszczać po nastaniu dnia, z pewnością wpadniemy na kilku z nich. Jak tylko znajdziemy dobre miejsce, ukryjemy się i przeczekamy do następnej nocy, żeby zawrócić i przebyć rzekę. Musimy ostrzec Valannusa, ale nie

przydamy mu się zbyt, jeśli pozwolimy się zabić.

– Ostrzec Valannusa?

– Do diabła, lasy wzdłuż rzeki roją się od Piktów! To dlatego nas dopadli. Zogar warzy wojenne czary, nie zwykłą napaść tym razem. Zrobił coś, czego żaden Pikt nie uczynił za mojej pamięci: zjednoczył tylu, że będzie z piętnaście albo szesnaście klanów. Jego magia to sprawiła. Za czarownikiem pójdą dalej niż za wodzem. Widziałeś tłum w wiosce, a były i setki ukrywające się wzdłuż rzeki, których nie widziałeś. Więcej przybywa z odleglejszych wiosek. Będzie miał przynajmniej trzy tysiące wojowników. Leżałem w krzakach i posłyszałem ich rozmowę, kiedy przechodzili. Zamierzają zaatakować fort. Kiedy, nie wiem, ale nie będą długo zwlekać. Zogar się nie ośmieli. Zebrał ich i wprowadził w amok. Jeśli nie powiedzie ich prędko w bój, popadną w spory między sobą. Są jak żądne krwi tygrysy. Nie wiem, czy są w stanie wziąć fort czy nie. Ale musimy przedostać się z powrotem przez rzekę i zanieść ostrzeżenie. Osadnicy na drodze do Velitrium muszą także dostać się do fortu albo wycofać do miasta. Podczas gdy Piktowie zaczną oblegać fort, ich oddziały przeczeszą drogę daleko na wschód. Mogą nawet przekroczyć Rzekę Grzmiącą i napaść na gęsto zasiedloną krainę za Velitrium.

To mówiąc, obierał drogę coraz głębiej w pradawną dzicz. Wkrótce mruknął z zadowoleniem. Dotarli do miejsca, gdzie poszycie było rzadsze i ukazała się kamienna wychodnia ciągnąca się ku południu. Balthus poczuł się bezpieczniej, gdy nią podążyli. Nawet Pikt nie był w stanie tropić ich na nagiej skale.

– Jak udało ci się ujść? – zapytał wkrótce.

Conan poklepał swą kolczugę i hełm.

– Gdyby więcej mieszkańców pogranicza nosiło broje, mniej czaszek wisiałoby na chatach z ołtarzem. Ale większość ludzi robi hałas, kiedy nosi broję. Czekali po obu stronach ścieżki, nie ruszając się. A gdy Pikt staje w bezruchu, nawet dzikie zwierzę z puszczy mija go niezauważonego. Widzieli, jak przekraczamy rzekę, i zajęli pozycje. Gdyby przygotowywali zasadzkę, kiedy odeszliśmy od brzegu, wyczułbym coś. Jednak oni już czekali i nawet liść nie drgnął. Sam diabeł nie spodziewałby się niczego. Pierwszych podejrzeń nabrałem, gdy posłyszałem strzałę ocierającą się o łuk podczas naciągania. Padłem i wrzasnąłem na ludzi z tyłu, by też padli, ale byli zbyt wolni... Ot, wzięci z zaskoczenia. Większość zginęła po pierwszej salwie, jaka przeczesła nas z obu stron. Niektóre strzały przeleciały nad ścieżką, trafiając Piktów naprzeciwko. Słyszałem, jak wyją. – Drapieźnie wyszczerzył się ze złośliwą satysfakcją. – Ci z nas, którzy pozostali, rzucili się w las i starli z tamtymi. Kiedy dostrzegłem, że cała reszta została powalona bądź pojmana, przedarłem się i w ciemności wyrwałem tym malowanym diabłom. Byli wszędzie. Biegłem i czołgałem się, skradałem, a czasami leżałem na brzuchu pod krzakiem, podczas gdy oni mijali mnie ze wszystkich stron. Próbowałem dostać się na brzeg, lecz odkryłem, że obstawili go murem, czekając na choćby najmniejszy ruch. Wyciąłem jednak sobie drogę i podjąłem ryzyko przepłynięcia rzeki, tyle że posłyszałem bębny dudniące w wiosce i domyśliłem się, że wzięli kogoś żywcem. Byli tak zaabsorbowani czarami Zogara, że zdołałem wspiąć się na ogrodzenie za chatą z ołtarzem. Był tam wojownik mający pilnować tego miejsca, lecz akurat kuczał za chatą i z za rogu zerkał na ceremonię. Zaszedłem go od tyłu i złamałem mu kark, nim pojął, co się dzieje. To jego

włócznie rzuciłem w węża i to jego toporek nosisz.

– Ale co to było... ten stwór, którego zabiłeś w chacie z ołtarzem?
– zapytał Balthus, drżąc na wspomnienie dostrzeżonej niewyraźnie grozy.

– Jeden z bogów Zogara. Jedno z dzieci Jhebbala, które straciło pamięć i musiało zostać przykute łańcuchem do ołtarza. Byczy małpolud. Piktowie uważają, że zostali poświęceni Jedynemu Włochaczowi, który mieszka na Księżycu: bogu-goryłowi Gullahowi. Rozjaśnia się. Tu mamy dobre miejsce, żeby się ukryć, póki nie zobaczymy, jak blisko są na naszym tropie. Żeby przebić się z powrotem do rzeki, prawdopodobnie musimy zaczekać aż do wieczora.

Niskie wzgórze wznosiło się, opasane i zasłonięte zwartymi drzewami i krzakami. Blisko szczytu Conan wśliznął się w płataninę sterczących skał zwieńczonych gęstymi krzakami. Leżąc wśród nich, widzieli dżunglę poniżej, sami nie będąc widziani. Było to dobre miejsce do ukrycia i obrony. Balthus nie sądził, by nawet Pikt zdołał wytropić ich na skalistym gruncie ostatnich czterech czy pięciu mil, ale obawiał się bestii słuchających Zogara Saga. Jego wiara w niezwykły symbol zachwiała się nieco. Conan jednak odrzucił możliwość, iż wężą za nimi zwierzęta.

Upiorna jasność rozpostarła się, przenikając przez gęste gałęzie. Widoczne skrawki nieba zmieniły odcień – przeszły z różu w błękit. Balthus poczuł dręczący głód. Przy strumieniu, który przebyli, ugasił chociaż pragnienie. Trwała zupełna cisza, z wyjątkiem sporadycznego szczebiotu ptaka. Bębnow nie było już więcej słyhać. Myśli Balthusa powróciły do ponurej sceny przed chatą z ołtarzem.

– Te pióra, jakie nosił Zogar Sag, były strusie – rzekł. – Widziałem je na hełmach rycerzy, który jeździli ze Wschodu w odwiedziny do baronów w marchiach. W tej puszczy nie ma strusi, prawda?

– Pochodzą z Kush – rzekł Conan. – O wiele marchii na zachód stąd znajduje się morski brzeg. Statki z Zingary przybywają tam od czasu do czasu i handlują bronią i ozdobami, a także winem z plemionami nadbrzeżnymi, wymieniając je na skóry, miedź oraz złoty piasek. Czasami handlują strusimi piórami, jakie mają od Stygijczyków, którzy z kolei dostają je od czarnych plemion z Kush leżącego na południe od Stygii. Piktyjscy szamani wielce je cenią. Ale w takim handlu tkwi niemałe ryzyko. Piktowie bywają nadzwyczaj skłonni do zajęcia statku, a i wybrzeże bywa niebezpieczne. Żeglowałem wzdłuż niego, kiedy przebywałem z piratami z Wysp Barachańskich, które leżą na południowy zachód od Zingary.

Balthus popatrzył na swego towarzysza z podziwem.

– Wiem, że nie spędziłeś życia na granicy. Wspomniałeś o kilku odległych miejscach. Dużo podróżowałeś?

– Włóczyłem się daleko, dalej, niż kiedykolwiek zawędrował ktokolwiek z mojej rasy. Widziałem wszystkie wielkie miasta Hyboryjczyków, Shemitów i Hyrkańczyków. Wędrowałem po nieznanym krajach na południe od czarnych królestw Kush i na wschód od morza Vilayet. Byłem dowódcą najemników, korsarzem, kozakiem, włóczęgą bez grosza, głównodowodzącym... Do diabła, byłem każdym z wyjątkiem króla i może zostanę nim, zanim umrę.

Ten pomysł mu się spodobał, więc uśmiechnął się szeroko. Potem wzruszył ramionami i wyciągnął swe potężne ciało na skale.

– To życie równie dobre jak każde inne. Nie wiem, jak długo

pozostanę na granicy... tydzień, miesiąc, rok. Jestem łągą, ale na pograniczu jest równie dobrze jak gdziekolwiek indziej.

Balthus umościł się tak, by obserwować puszcę pod nimi. Chwilami spodziewał się ujrzeć dzikie, umalowane twarze wyłaniające się z zarośli. Ale w miarę jak mijały godziny, żadne odgłosy ukradkowych kroków nie zakłócały zalegającej ciszy. Uznał, że Piktowie zgubili ich ślad i zrezygnowali z pościgu. Conan stawał się coraz bardziej niespokojny.

– Powinniśmy widzieć grupki przetrzāsające las, by nas odszukać. Jeśli porzucili pościg, to dlatego, że czeka ich większa rozgrywka. Mogą zbierać się do przekroczenia rzeki i ataku na fort.

– Doszliby tak daleko na południe, gdyby zgubili ślad?

– Zgubili ślad, w porządku. Inaczej już mielibyśmy ich na karku. W zwyczajnych okolicznościach przeczesywaliby las na mile w każdym kierunku. Niektórzy z nich powinni przejść w zasięgu wzroku ze wzgórza. Muszą przygotowywać się do przebycia rzeki. Trzeba podjąć ryzyko i dostać się na brzeg.

Gramoląc się po skałach, Balthus czuł, jak skóra mu cierpie między łopatkami, gdy chwilami oczekiwał suchego świstu strzał z zielonej gęstwiny. Bał się, że Piktowie odkryli ich i leżą teraz dookoła w zasadzce. Conan był jednak przekonany, że w pobliżu nie ma żadnych nieprzyjaciół, i miał rację.

– Jesteśmy o mile na południe od wioski – mruknął Cimmeryjczyk. – Uderzymy na wprost, ku rzece. Nie wiem, jak daleko w dół rzeki zaszli. Musimy mieć nadzieję, że dotrzemy do niej dalej od nich.

W pośpiechu, który wydał się Balthusowi brawurowy, ruszyli na wschód. Las zdawał się pozbawiony życia. Conan uznał, że

wszyscy Piktowie zgromadzili się w sąsiedztwie Gwaweli, o ile nie przekroczyli jeszcze rzeki. Nie wierzył, że zrobią to za dnia.

– Jakiś człowiek lasu ujrzałby ich z pewnością i wszczął alarm. Przekroczą rzekę powyżej i poniżej fortu poza zasięgiem wzroku wartowników. Potem inni wsiądą do czółen i pomkną wprost ku ogrodzeniu od strony rzeki. Jak tylko zaatakują, tamci, ukryci w lesie na wschodnim brzegu, napadną na fort z drugiej strony. Próbowali tego wcześniej i nadziali się, wypruwając sobie tylko flaki. Tym razem jednak mają dość ludzi, by spaść prawdziwą nawałą.

Parli naprzód bez przerwy, chociaż Balthus spoglądał tęsknie na śmigające wśród gałęzi wiewiórki, które mógłby strącić toporkiem. Z westchnieniem podciągnął szeroki pas. Nieustanne cisza i półmrok pierwotnej puszczy zaczynały go przygnębiać. Przyłapał się na rozmyślaniu o luźnych gajach dębowych i skąpanych w słońcu łąkach Tauranu, o rubasznej wesołości domu swego ojca ze stromym dachem i fasetkowymi oknami, o tłustych krowach brodzących pośród głębokich, bujnych traw i o budującym towarzystwie krzepkich oraczy i poganiaczy o szerokich ramionach.

Poczuł się samotny, w przeciwieństwie do swego towarzysza. Conan był w równej mierze częścią tej dziczy, jak on pozostawał jej obcy. Cimmeryjczyk mógł spędzić całe lata pośród wielkich miast, przechadzać się w towarzystwie władców cywilizacji, mógł nawet pewnego dnia spełnić swój dziki kaprys i rządzić jakimś cywilizowanym narodem – zdarzały się rzeczy dziwniejsze. Jednak nie stał się ani odrobinę mniej barbarzyńcą. Troszczył się jedynie o kwestie zasadnicze. Ciepłe zażyłości, sprawy pocziwe, sentyment i zachwycające banały, które wypełniają życie ludzi cywilizowanych,

dla niego były bez znaczenia. Wilk nie stawał się mniej wilkiem, ponieważ kaprys losu rzucił go w gonitwę razem ze stróżującymi psami. Rozlew krwi, przemoc i okrucieństwo stanowiły naturalne składniki życia, jakie Conan znał. Nie potrafił i nigdy by nie zrozumiał drobnych spraw, które są tak drogie duszom cywilizowanych mężczyzn i kobiet.

Cienie już się wydłużały, gdy dotarli do brzegu i wyjrzeni przez zasłaniające ich krzaki. Mieli widok w górę i w dół rzeki na jakąś milę. Mętny bieg pozostawał opustoszały. Spoglądając na drugi brzeg, Conan zmarszczył brwi.



– Tu znów musimy podjąć ryzyko. Trzeba przebyć rzekę. Nie wiemy, czy oni już ją przekroczyli czy nie. Tamtejszy las może być ich pełen. Powinniśmy zaryzykować. Jesteśmy jakieś sześć mil na południe od Gwaweli.

Obrócił się gwałtownie i przysiadł, gdy zabrzęczała cięciwa. Coś niczym błysk światła przecięło krzaki. Balthus pojął, że to strzała.

Potem Conan tygrysim skokiem znalazł się w zaroślach. Taurańczyk wyłapał błysk stali, gdy tamten machnął mieczem, i posłyszał śmiertelny wrzask. W następnej chwili przedarł się przez krzaki za Cimmeryjczykiem.

Na ziemi leżał Pikt z roztrzaskaną czaszką, jego dłonie spazmatycznie zaciskały się na trawie. Pół tuzina innych roło się wokół Conana ze wzniesionymi toporami. Odrzucili łuki bezużyteczne w starciu na tak śmiertelnie małą odległość. Dolne szczęki wymalowane mieli bielą kontrastującą wyraźnie z ich ciemnymi twarzami, a wzory na umięśnionych piersiach różniły się od wszystkich, jakie Balthus kiedykolwiek widział.

Jeden z nich cisnął toporem w Balthusa i ruszył za nim z uniesionym nożem. Balthus przysiadł i złapał za nadgarstek, który prowadził nóż liżący już jego gardło. Razem padli na ziemię, przetaczając się po sobie. Pikt był niczym dzika bestia. Mięśnie miał twarde jak stalowe łańcuchy.

Taurańczyk usiłował utrzymać nadgarstek dzikusa i wprowadzić do gry własny toporek, ale walka stała się tak szybka i zaciekła, że każda próba zadania ciosu była blokowana. Pikt wykręcał się wściekle, aby uwolnić rękę z nożem, uczeplił się też toporka i wbijał kolana w pachwinę młodzieńca. Nagle spróbował przerzucić nóż do wolnej ręki i w tym momencie Balthus, podnosząc się z trudem na kolano, rozrąbał umalowaną głowę desperackim ciosem.

Skoczył na nogi i powiódł dookoła dzikim wzrokiem, spodziewając się ujrzeć swego towarzysza przytłoczonego liczbą przeciwników. Wtedy zdał sobie w pełni sprawę z siły i zajadłości Cimmeryjczyka. Conan przekroczył dwóch napastników pociętych prawie na kawałki jego straszliwym szerokim mieczem. Podczas

gdy tak patrzył, Cimmeryjczyk sparował pchnięcie zadane krótkim mieczem i uniknął ciosu toporem poprzez koci uskok w bok, który przywiódł go na wyciągnięcie ręki od przysadzistego dzikusa schylającego się po łuk.

Zanim Pikt zdołał się wyprostować, czerwony miecz opadł ze świstem i rozplątał go od ramienia po środek mostka, gdzie ostrze utknęło. Pozostali wojownicy skoczyli naprzód, po jednym z każdej strony. Balthus cisnął toporkiem z celnością, która pomniejszyła ich liczbę do jednego, a Conan, porzucając wysiłki, by oswobodzić miecz, obrócił się i stanął naprzeciw samotnego Pikta z gołymi rękami. Krępy wojownik, o głowę niższy od swego wysokiego przeciwnika, skoczył, uderzając toporem i dźgając morderczo nożem. Nóż złamał się na kolczudze Cimmeryjczyka, a topór zatrzymał w pół drogi, gdy palce Conana zamknęły się niczym stal na opadającym ramieniu. Kość chrupnęła głośno i Balthus ujrzał, jak Pikt krzywi się i chwieje. W następnej chwili został porwany z nóg i uniesiony wysoko ponad głowę Cimmeryjczyka. Szamotał się przez moment w powietrzu, wierzgając i młóćąc rękami, po czym został rzucony na złamanie karku o ziemię z taką siłą, że odbił się i legł nieruchomo. Jego bezwładna postać zdradzała potrzaskane członki i złamany kręgosłup.

– Dalej! – Conan szarpnięciem uwolnił swój miecz i złapał leżący topór. – Chwytaj łuk i garść strzał. Szybko! Znów musimy zaufać naszym nogom. Słyszeli ten jazgot. Będą tu migiem. Jeśli spróbujemy teraz przepłynąć, podziurawią nas strzałami, zanim osiągniemy środek nurtu.

W górze rzeki rozbrzmiało gwałtowne wycie. Balthus wzdrygnął się na myśl, że wychodzi ono z ludzkich ust. Ściskając pochwyconą

broń, podążył za Conanem, który zanurkował w zarośla z dala od brzegu i biegł niby szybujący cień.

VI

CZERWONE TOPORY Z POGRANICZA



Conan nie zanurzył się głęboko w puszcze. Kilkaset jardów od rzeki

zmienił kierunek biegu z odchodzącego na równoległy do nurtu. Balthus rozumiał ponurą determinację, aby nie dać się odegnać od rzeki, którą musieli przebyć, jeśli mieli ostrzec ludzi w forcie. Za nimi podniosły się jeszcze głośniejsze zawodzenia ludzi puszczy. Taurańczyk uznał, że Piktowie dotarli do przesieki, gdzie leżały porzucone ciała. Potem jazgot zdawał się wskazywać, że dzikusy, ruszając w pogoń, skierowały się w las. Tropem, jaki zostawiali, zdołałby podążyć każdy Pikt.

Conan zwiększył prędkość, a Balthus ponuro zacisnął zęby i trzymał się tuż za nim, chociaż czuł, iż w każdej chwili może paść. Zdawało się, że minęły wieki, odkąd jadł ostatni raz. Przebierał nogami bardziej za pomocą siły woli niż czegokolwiek innego. Krew tętniła mu tak wściekle w uszach, że nie uświadomił sobie, iż jazgot za ich plecami ucichł.

Conan zatrzymał się raptownie. Balthus oparł się o drzewo i sapał.

– Odpuścili! – burknął Cimmeryjczyk, marszcząc brwi.

– Pod-kra-da-ją-się-do-nas – wydyszał Balthus.

Conan pokręcił głową.

– Przy krótkim pościgu, jak ten, zawodziliby na każdym kroku. Nie. Wycofali się. Myślę, że słyszałem kogoś wyjącego za ich plecami kilka chwil przed tym, jak ten hałas zaczął słabnąć. Zostali odwołani. To dobrze dla nas, ale diabelnie źle dla ludzi w forcie. Oznacza to, że wojownicy zostali wywołani z lasu do ataku. Ci mężczyźni, na których wpadliśmy, byli wojownikami z plemienia w dole rzeki. Niewątpliwie kierowali się ku Gwaweli, by przyłączyć się do napaści na fort. A niech to! Jesteśmy obecnie jeszcze dalej, niż byliśmy dotąd. Musimy przedostać się przez rzekę.

Zawróciwszy na wschód, pospieszył przez zarośla, w ogóle nie usiłując się kryć. Balthus podążał za nim, po raz pierwszy czując klucie skaleczeń na piersi i ramionach, gdzie pokąsał go wściekły Pikt. Przeciskał się przez bujne krzaki, jakie porastały brzeg, kiedy Conan pociągnął go w tył. Wtedy postłyszał rytmiczny plusk i wyglądając pomiędzy liśćmi, ujrzał wydrążone z pnia czółno zdążające w górę rzeki. Płynął nim mocno zbudowany Pikt z czaplim piórem zatkniętym za miedzianą opaskę, jaka podtrzymywała jego prosto przyciętą grzywę.

– To człowiek z Gwaweli – mruknął Conan. – Posłaniec od Zogara. Wskazuje na to białe pióro. Zawiózł pokojowe przesłanie plemionom w dole rzeki i teraz próbuje dostać się z powrotem i przyłożyć rękę do rzezi.

Samotny posłaniec znajdował się prawie na wysokości ich kryjówki, gdy nagle Balthus nieomal wyskoczył ze skóry. Tuż przy jego uchu zabrzmiał chrapliwy, gardłowy głos Pikta. Wtem zdał sobie sprawę, że to Conan woła wiosłarza w jego języku. Tamten rozejrzał się, zlustrował wzrokiem krzaki i coś odkrzyknął. Potem rzucił zaskoczonym spojrzeniem przez rzekę, schylił się nisko i wystrzelił czółnem wprost w kierunku zachodniego brzegu. Niczego nierozumiejący Balthus patrzył, jak Conan zabiera mu łuk, wychodzi na przesiekę i nakłada strzałę.

Pikt dotarł swym czółnem w pobliże brzegu, zapatrzył się w krzaki i coś wykrzyknął. Odpowiedzią był brzęk cięciwy i lot strzały, która zatopiła się w szerokiej piersi po lotki. Ze zdławionym sapnięciem mężczyzna padł na bok i stoczył się na płycznę. W jednej chwili Conan znalazł się na brzegu i brodząc w wodzie, pochwycił dryfujące czółno. Balthus, potykając się, ruszył za nim i

niewielco oszołomiony wpadł do łódki. Conan wskoczył do środka, złapał wiosło i wystrzelił czółnem w stronę wschodniego brzegu. Taurańczyk odnotował z zazdrosnym podziwem grę wielkich mięśni pod opaloną skórą. Cimmeryjczyk zdawał się człowiekiem ze stali, który nie zna zmęczenia.

– Co rzekłeś temu Piktowi? – spytał Balthus.

– Powiedziałem mu, żeby przybił do brzegu. Mówiłem, że po drugiej stronie jest biały leśny kurier próbujący go zastrzelić.

– To, zdaje się, nie w porządku – zaproponował Balthus. – Uznał, że mówi do niego przyjaciel. Naśladowałeś Pikta doskonale...

– Potrzebowaliśmy jego łodzi – burknął Conan, nie ustając w swej pracy. – To był jedyny sposób, by zwabić go do brzegu. Co jest gorsze – zwieść Pikta, który z przyjemnością by nas obu żywcem oskórował, czy zaprzedać ludzi za rzeką, których życie zależy od tego, czy się przedostaniemy?

Balthus rozmyślał chwilę nad tą subtelną kwestią etyczną, po czym wzruszył ramionami i zapytał:

– Jak daleko jesteśmy od fortu?

Conan wskazał potok, który wpływał do Rzeki Czarnej ze wschodu, o kilkaset jardów poniżej.

– To Struga Południowa. Od jej ujścia do fortu jest dziesięć mil. To południowa granica Conajohary. Na południe są mokradła na całe mile. Nie ma zagrożenia napaścią z tej strony. Dziewięć mil powyżej fortu Struga Północna tworzy drugą granicę. Za nią też są mokradła. To dlatego atak musi nadejść od zachodu, przez Rzekę Czarną. Conajohara jest niczym włócznia o grocie szerokim na dziewiętnaście mil wetknięta w piktyjską dzicz.

– Dlaczego nie weźmiemy czółna i nie popłyniemy?

– Ponieważ biorąc pod uwagę prąd, musimy wyteżać siły. Na rzece są też zakręty, więc możemy iść szybciej pieszo. Ponadto pamiętaj, że Gwawela znajduje się na południe od fortu. Jeśli Piktowie przekraczają rzekę, wpadniemy prosto na nich.

Zaczął zapadać zmierzch, kiedy wyszli na wschodni brzeg. Nie zatrzymując się, Conan ruszył dalej ku północy krokiem, który przypawił krzepkie nogi Balthusa o ból.

– Valannus chciał pobudować forty u ujścia Strugi Północnej i Południowej – mruknął Conan. – Wówczas rzekę można by patrolować nieustannie. Ale władze tego nie zrobiły. Brzuchaci głupcy siedzący na aksamitnych poduszkach z nagimi dziewczynami podającymi im na kolanach schłodzone wino... Znam ten gatunek. Nie widzą niczego, co jest poza murami ich pałaców. Dyplomacja... Do diabła! Walczą z Piktami swymi teoriami o ekspansji terytorialnej. Valannus i ludzie tacy jak on muszą wysłuchiwać rozkazów zbieraniny przeklętych głupców. Już nigdy nie zagrabia żadnych piktyjskich ziem za Venarium, o ile odbudują je kiedykolwiek. Może nadejść czas, kiedy ujrzą barbarzyńców rojących się na murach wschodnich miast!

Tydzień wcześniej Balthus by się roześmiał, usłyszawszy tak absurdalną sugestię. Teraz nic nie powiedział. Sam widział nieokiełznaną gwałtowność ludzi, którzy mieszkają poza granicami. Drżał, rzucając spojrzenia na mętną rzekę ledwie widoczną poprzez krzaki pod sklepieniem drzew stłoczonych blisko jej brzegów. Miał w pamięci to, iż Piktowie mogli już przekroczyć rzekę i zalec w zasadzce między nimi a fortem. Szybko robiło się ciemno.

Delikatny odgłos przed nimi sprawił, że serce skoczyło mu do gardła, a miecz Conana rozbłysnął w powietrzu. Cimmeryjczyk

opuścił go, kiedy pies – wielkie, wychudłe zwierzę – wychynał spośród krzaków i stanął, przypatrując się im.

– Ten pies należał do osadnika, który próbował pobudować dom na brzegu rzeki kilka mil na południe od fortu – mruknął Conan. – Piktowie przemknęli się i zabili go oczywiście, po czym spalili chałupę. Pośród żarzących się zgliszczy znaleźliśmy jego trupa i tego psa leżącego bez zmysłów przy trzech Piktach, których zagryzł. Sam był niemal porąbany na kawałki. Zabraliśmy go do fortu i opatrzyliśmy mu rany, ale gdy wydobrzeł, umknął w las i zdziczał. Co jest, Slasher, polujesz na ludzi, którzy zabili twego pana?

Potężny łeb obrócił się z boku na bok, a jego ślepia zajaśniały zielenią. Nie warknął ani nie szczeknął. Cicho niczym zjawa wyśliznął się za nimi.

– Daj mu podejść – wymamrotał Cimmeryjczyk. – Potrafi wyczuć tych diabłów, nim my zdołamy ich dojrzeć.

Balthus się uśmiechnął i pieszczotliwie położył dłoń na łbie psa. Wargi zwierzęcia odsunęły się bezwiednie, odsłaniając lśniące kły. Potem wielki zwierz pochylił zafrasowany łeb, a jego ogon poruszył się szarpany niepewnością, jak gdyby jego właściciel niemal zapomniał, czym jest przyjaźń. Taurańczyk przyrównał w myślach wielkie, wychudłe, twarde ciało do tłustych, lśniących psów myśliwskich tłoczących się hałaśliwie w kojcu jego ojca. Westchnął. Życie na granicy było dla zwierząt nie mniej trudne niż dla ludzi. Ten pies niemal zapomniał o sensie życzliwości i przyjaźni.

Slasher wysunął się naprzód, a Conan pozwolił mu objąć prowadzenie. Ostatnie barwy zmierzchu zniknęły całkiem w ciemności. Dziesięć mil umknęło pod ich równym krokiem. Slasher

zdawał się pozbawiony głosu. Nagle zatrzymał się spięty, z podniesionymi uszami. Chwilę później mężczyźni też to posłyszeli – demoniczny jazgot w górze rzeki przed nimi, słaby niczym szept.

Conan zaklął jak szaleniec.

– Zaatakowali fort! Spóźniliśmy się! Dalej!

Wydłużył krok, ufając, iż pies wyczuje pułapki przed nimi. W powodzi pełnego napięcia podenerwowania Balthus zapomniał o swym głodzie i znużeniu. W miarę jak postępowali, jazgot stawał się głośniejszy, a ponad diabelskie wrzaski wznosiły się niskie pokrzykiwania żołnierzy. Gdy tylko Balthus zaczął się bać, że mogliby wpaść na dzikusów, którzy najwyraźniej wyli prosto przed nimi, Conan począł oddalać się od rzeki po wielkim półokręgu. Ten przywiódł ich na niskie wzniesienie, z którego mogli spojrzeć na puszcę. Ujrzeni fort oświetlony pochodniami wystawionymi ponad parapety na długich drągach. Rzuciły one migoczące, niepewne światło na wykarczowaną przestrzeń dookoła i w tymże świetle zobaczyli tłum nagich, wymalowanych postaci okalających karczowisko. Rzeka roiła się od czółen. Piktowie otoczyli fort całkowicie.



Ostrokół był zasypywany bezustannym gradem strzał z lasu i z rzeki. Niski brzęk ciężw wznosił się ponad wycie. Zawodząc jak wilki, parę setek nagich wojowników z toporami w dłoniach wybiegło spod drzew i popędziło w kierunku bramy wschodniej. Byli już o sto pięćdziesiąt jardów od celu, kiedy miazdząca salwa strzał z ogrodzenia zasłała ziemię zwłokami, a ocalałych odrzuciła

między drzewa. Ludzie w czółnach popchnęli swe łodzie w kierunku ogrodzenia od strony rzeki i napotkali kolejną chmurę długich na jard strzał oraz salwę z małych balist zamontowanych na wieżach po tej stronie ostrokołu. Kamienie i kłody zawirowały w powietrzu, roztrzaskując i topiąc pół tuzina czółen oraz zabijając ich załogi. Pozostałe łodzie wycofały się poza zasięg rażenia. Głęboki ryk tryumfu wzniósł się ponad ogrodzenie fortu. Odpowiedziało mu zwierzęce wycie z każdej strony.

– Spróbujemy się przebić? – zapytał drżący z zapału Balthus.

Conan pokręcił głową. Stał z założonymi rękami i lekko opuszczoną głową – posepna, zadumana postać.

– Los fortu jest przesądzony. Piktowie pałają żądzą krwi i nie ustana, dopóki wszyscy nie zginą. I jest ich zbyt wielu, by ludzie w formie zdołali wszystkich wybić. Nie bylibyśmy w stanie się przebić, a gdybyśmy to uczynili, nie można by zrobić nic więcej, niż zginąć z Valannusem.

– Zatem nie możemy zrobić nic poza ocaleniem własnej skóry?

– Musimy ostrzec osadników. Wiesz, czemu Piktowie nie próbują spalić fortu płonącymi strzałami? Ponieważ nie chcą płomieni, które mogłyby ostrzec ludzi na wschodzie. Planują stłamsić fort i wtedy pomknąć na wschód, zanim ktokolwiek dowie się o jego upadku. Mogą przekroczyć Rzekę Grzmiącą i wziąć Velitrium, zanim ludzie zrozumieją, co się dzieje. W końcu unicestwią każdą istotę pomiędzy fortem a Rzeką Grzmiącą. Zawiedliśmy, nie ostrzegłszy fortu, i widzę teraz, że gdyby nam się udało, wiele by to nie zmieniło. Jest zbyt słabo obsadzony. Jeszcze kilka szturmów, a Piktowie znajdą się na ogrodzeniu i wyłamią bramy. Ale możemy wyprawić osadników w kierunku Velitrium. Dalej! Jesteśmy na

zewnątrz okręgu, jaki Piktowie rozciągnęli wokół fortu. Będziemy trzymać się z dala od niego.

Wymknęli się szerokim łukiem, słuchając to narastających, to cichnących zawodzeń oznajmiających każdy szturm i jego odparcie. Ludzie w forcie wciąż się bronili, a jazgotliwe wrzaski nie stały się mniej dzikie. Drżały tonem, w którym pobrzmiwała pewność ostatecznego zwycięstwa.

Zanim Balthus zdał sobie sprawę, że zbliżyli się do niej, wyszli na drogę prowadzącą na wschód.

– Teraz biegiem! – warknął Conan, a Balthus zacisnął zęby.

Do Velitrium było dziewiętnaście mil, dobre pięć do Potoku Skalpów, za którym zaczynało się osadnictwo. Aquilończykowi zdawało się, że walczą i biegają od wieków. Ale nerwowe podniecenie, które burzyło jego krew, pobudzało go do nadludzkiego wysiłku.

Slasher biegł przed nimi z łbem przy ziemi, powarkując cicho. Był to pierwszy dźwięk, jaki od niego słyszeli.

– Piktowie przed nami! – warknął Conan, opadając na kolano i lustrując oświetlone przez gwiazdy podłoże. Pokręcił głową skonsternowany. – Nie umiem powiedzieć ilu. Prawdopodobnie tylko mała grupka. Paru, którzy nie mogli doczekać się wzięcia fortu. Wysforowali się, żeby zarzynać osadników w ich łóżkach! Dalej!

Wkrótce ujrzeli między drzewami przed sobą niewielki pożar i posłyszeli dzikie, zapalczywe śpiewy. Szlak zmieniał tu kierunek, więc porzuciwszy go, przecięli zakręt przez zarośla. Kilka chwil później spoglądali na odrażający widok. Na drodze stał zaprzężony w woły wóz ze skromnym wyposażeniem domostwa; płonął, a

woły leżały w pobliżu z poderżniętymi gardłami. Na drodze spoczywali mężczyzna i kobieta, obnażeni i okaleczeni. Pięciu Piktów tańczyło dookoła nich w dziwacznych susach i podskokach, wymachując skrwawionymi toporami. Jeden z nich wywijał unurzana we krwi suknią kobiety.

Na ten widok oczy Balthusa zasnuła czerwona mgła. Uniósłszy łuk, wymierzył w podrygującą postać, czarną na tle ognia, i zwolnił cięciwę. Morderca podskoczył konwulsyjnie i padł martwy z sercem przeszytym strzałą. Potem dwaj biali mężczyźni i pies spadli na zaskoczoną resztę. Conana ożywiał jego bojowy duch oraz dawna, bardzo dawna rasowa nienawiść, lecz w Balthusie zapłonął świeżo rozniecony gniew.

Pierwszemu napotkanemu Piktowi przeciwstawił srogi cios, który rozszczepił wymalowany czerep, potem przeskoczył opadające ciało, by zetrzeć się z resztą. Jednak Conan zabił już jednego z dwóch, których sobie obrał, i sus Aquilończyka okazał się o chwilę spóźniony. Przebity długim mieczem wojownik legł, zanim jeszcze toporek Balthusa zdołał się wznieść. Odwróciwszy się w stronę ostatniego Pikta, Balthus ujrzał Slasherę, który podnosi się znad ofiary, a jego wielkie szczęki ociekają krwią. Nic nie rzekł, spojrzawszy na godne litości postaci na drodze obok płonącego wozu.

Oboje byli młodzi, kobieta niewiele starsza niżli dziewczynka. Jakimś kaprysem losu Piktowie pozostawili jej twarz nieoszczeconą i nawet pośród katuszy straszliwej śmierci pozostała piękna. Jej delikatne młode ciało było wszak obrzydliwie porżnięte wieloma nożami... Spojrzenie Balthusa zasnuła mgła, z trudem przełknął ślinę. Ta tragedia przygniotła go przez moment. Poczul ochotę, by

upaść i zawodząc, bić o ziemię.

– Jakaś młoda para chcąca wybić się na swoje – rzekł Conan, beznamiętnie wycierając miecz. – Byli w drodze do fortu, kiedy napotkali Piktów. Może chłopak chciał wstąpić do wojska na granicy, może zająć ziemię nad rzeką. Cóż, oto, co stanie się z każdym mężczyzną, kobietą czy dzieckiem po tej stronie Rzeki Grzmiącej, jeśli szybko nie dostaną się do Velitrium.

Balthusowi, gdy podążał za Conanem, trzęsły się kolana i zrobiło się niedobrze. W długim, lekkim kroku Cimmeryjczyka nie było najmniejszych oznak słabości. Istniało jakieś pokrewieństwo między nim a wielką wychudłą bestią pomykającą obok niego. Slasher nie warczał już, trzymając łeb przy szlaku. Droga przed nimi stała otworem. Zawodzenia znad rzeki dochodziły do nich słabo, ale Balthus wierzył, że fort wciąż się broni. Conan zatrzymał się raptownie, przeklinając.

Pokazał Balthusowi dukt, który prowadził na północ od drogi. Był to stary szlak, częściowo zarośnięty nową, młodą roślinnością; roślinność ta została niedawno zgnieciona. Taurańczyk zdał sobie z tego sprawę, bardziej wyczuwając, niż widząc, jakkolwiek Conan zdawał się widzieć w ciemności jak kot. Cimmeryjczyk pokazał mu głęboko odcisnięty w czarnoziemie puszczy szeroki ślad wozu, tam gdzie ten skręcał z głównego szlaku.

– Osadnicy jadący do lizawek po sól – burknął. – Znajdują się na skraju mokradeł, około dziewięciu mil stąd. Do pioruna! Zostaną odcięci i wyrżnięci co do jednego! Posłuchaj! Jeden człowiek jest w stanie ostrzec ludzi na drodze. Idź naprzód, pobudź ich i zagoń do Velitrium. Ja pójdę i wydostanę ludzi zbierających sól. Rozbiją obóz przy lizawkach. Nie wrócimy na drogę. Obierzemy trasę wprost

przez las.

Bez dalszych komentarzy Conan skręcił ze szlaku i pospieszył mroczną ścieżką, a Balthus, po tym jak patrzył za nim parę chwil, ruszył dalej drogą. Pies został przy nim i mknął cicho u jego stóp. Kiedy uszedł kilka prętów, posłyszał, jak zwierzę warczy. Obróciwszy się gwałtownie, obrzucił złowrogim spojrzeniem drogę, którą przybył, i drgnął, widząc niewyraźną upiorną poświatę znikającą w puszczy w kierunku, jaki obrał Conan. Slasher zawarczał gardłowo, szczecina na grzbiecie mu się zjeżyła, ślepia stały się kulami zielonego ognia. Balthus przypomniał sobie groźną zjawę, która zabrała głowę kupca Tiberiasa niedaleko od tego miejsca, i zawahał się. Stwór musiał podążać za Conanem. Jednak olbrzymi Cimmeryjczyk raz za razem wykazywał się stosownymi zdolnościami, by o siebie zadbać, a Balthus czuł się w obowiązku ruszyć ku bezbronny osadnikom, którzy spali na trasie krwawego huraganu. Groza ognistego widma została przyćmiona grozą tych bezwładnych, zbezczeszczonych ciał obok płonącego wozu.

Pospieszył dalej drogą, przekroczył Potok Skalpów i dotarł na odległość wzroku od pierwszej z chałup osadników – długiej, niskiej konstrukcji z ciosanych siekierą kłód. Po chwili łomotał do drzwi. Zaspany głos dopytywał, czym może służyć.

– Wstawajcie! Piktowie przekroczyli rzekę!

Jego słowa wywołały natychmiastową reakcję. Odbiły się echem w cichym krzyku i wówczas drzwi rozwarła gwałtownie kobieta w skąpej koszuli. Włosy opadły jej w nieładzie na nagie ramiona. W jednej ręce trzymała świecę, a w drugiej topór. Jej twarz była bezbarwną maską, oczy miała otwarte szeroko z przerażenia.

– Wchodź! – poprosiła. – Utrzymamy dom!

– Nie. Musimy postarać się dotrzeć do Velitrium. Fort nie zdoła ich powstrzymać. Może już padł. Bierzcie dzieci i ruszajcie.

– Ale mój mąż wyjechał wraz z innymi po sól! – podniosła lament, załamując ręce. Zza niej wyglądały trzy potargane maluchy, mrugające oczami i oszołomione.

– Conan po nich poszedł. Sprowadzi ich bezpiecznie. Musimy pospieszyć drogą, żeby ostrzec inne chałupy.

Na jej oblicze wypłynęła ulga.

– Niech Mitrze będą dzięki! – zawołała. – Jeśli Cimmeryjczyk po nich poszedł, to będą bezpieczni, o ile śmiertelnik może ich ocalić.

W rozgardiaszu porwała najmniejsze z dzieci i popędziła resztę przez drzwi przed sobą. Balthus wziął świecę, rzucił ją i zdeptał obcasem. Przez chwilę nasłuchiwał. Z ciemnej drogi nie dochodził żaden dźwięk.

– Masz konia?

– W stajni – jęknęła. – Och, szybciej!

Odsunął ją na bok, gdyż gmerała nieporadnie przy skoblu drżącymi dłońmi. Wyprowadził konia i wsadził dzieci na jego grzbiet, mówiąc im, by trzymały się grzywy i siebie nawzajem. Spoglądały na niego poważnie, nie podnosząc krzyków. Kobieta chwyciła kantar i ruszyła drogą. Wciąż ścisnęła siekiere, a Balthus wiedział, że gdyby została przyparta do muru, walczyłaby z desperacką odwagą pantery.

Sam trzymał się z tyłu, nasłuchując. Dręczyło go przekonanie, że szturmowany fort został wzięty, że ciemnoskóre hordy wlewają się już na drogę w kierunku Velitrium, pijane rzezią i łaknące krwi. Przybyliby wówczas z prędkością głodujących wilków.

Wkrótce ujrzeli przed sobą majaczącą kolejną chałupę. Kobieta

zaczęła wykrzykiwać przestrogi, ale Balthus ją powstrzymał. Pospieszył do drzwi i zapukał. Odpowiedział mu kobiecy głos. Powtórzył ostrzeżenie i wkrótce chałupa wypluła swoich mieszkańców: staruszkę, dwie młode kobiety i czwórkę dzieci. Podobnie jak mąż tej wcześniejszej, mężczyźni tych wyruszyli do solnych lizawek dzień wcześniej, nie podejrzewając żadnego zagrożenia. Jedna z młodych kobiet zdawała się oszołomiona, druga była bliska hysterii. Jednak staruszka, zaprawiona weteranka znad granicy, uciszyła je szorstko. Pomogła Balthusowi wyprowadzić dwa konie, które pasły się w zagrodzie za chałupą, i posadzić na nich dzieci. Balthus nalegał, aby sama wsiadła wraz z nimi, ale ona pokręciła głową i pozwoliła jechać jednej z młodszych kobiet.

– Będzie mieć dziecko – mruknęła. – Ja mogę iść... i walczyć też. Gdyby doszło co do czego.

Kiedy wyruszyli, odezwała się młoda kobieta:

– Jakaś młoda para przejeżdżała drogą przed zmierzchem. Radziliśmy im, żeby spędzili noc w naszej chałupie, ale się niecierpliwili, chcąc dotrzeć do fortu dziś wieczór... Czy... czy...

– Napotkali Piktów – odrzekł Balthus krótko, a kobieta załkała ze zgrozą.

Ledwie chałupa zniknęła im z pola widzenia, w pewnej odległości za nimi powietrze zadrgało przeciągłym piskliwym zawodzeniem.

– Wilk! – wykrzyknęła jedna z kobiet.

– Umalowany wilk z toporem w dłoni – burknął Balthus. – Jazda! Obudźcie pozostałych osadników wzdłuż drogi i zabierzcie ich ze sobą. Ja rozejrzę się z tyłu.

Staruszka bez słowa popędziła swych podopiecznych przed siebie. Kiedy znikali w ciemnościach, Balthus widział jasne owale wykręconych wstecz twarzątek dzieci spoglądających przez ramię w jego stronę. Wspomniał własny lud w Tauranie i na moment ogarnęły go przyprawiające o zawrót głowy mdłości. W chwili słabości jęknął i osunął się na drogę. Jego umięśnione ramię opadło na potężny kark Slasher, a na twarzy poczuł dotyk ciepłego, wilgotnego psiego języka.

Uniósł głowę i uśmiechnął się z bolesnym wysiłkiem.

– Dalej, chłopcze – wymamrotał, podnosząc się. – Mamy robotę do wykonania.

Nagle między drzewami ukazała się czerwona łuna. Piktowie podpalili ostatnią chatę. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Jakże pieniałby się Zogar Sag, gdyby wiedział, iż jego wojownicy dopuścili, by ich niszczycielska natura wzięła górę. Ogień ostrzeże ludzi w dalszej części drogi. Zostaną zbudzeni i zaalarmowani, kiedy dotrą do nich uchodźcy. Jednak twarz Balthusa zasnuła ponurość. Kobiety podróżowały powoli, pieszo i na przeładowanych koniach. Szybkonodzy Piktowie dościgną je na przestrzeni mili, chyba że... Zajął pozycję za płataniną zwalonych kłód obok szlaku. Droga na zachód oświetlona była płonąca chałupą i kiedy Piktowie nadeszli, ujrzał ich pierwszy – czarne, skradające się postaci odcinające się na tle odległego blasku.

Naciągnąwszy strzałę, wypuścił ją i jedna z postaci padła. Reszta rozplynęła się w lesie po obu stronach drogi. Obok niego skamlał żądny mordy Slasher. Raptem pod drzewami na skraju szlaku pojawiła się jakaś postać i zaczęła przemykać w stronę zwalonych bali. Cięciwa Balthusowego łuku brzęknęła, a Pikt krzyknął z bólu,

zachwiał się i padł w ciemności z udem przeszytym strzałą. Slasher przeskoczył bale i jednym susem znalazł się w krzakach. Zatrzęsły się one gwałtownie, a kiedy pies podkraść się z powrotem do boku Taurańczyka, jego pysk miał barwę szkarłatu.

Nikt więcej nie pojawił się już na szlaku. Balthus zaczął się obawiać, że przekradają się przez las, omijając jego stanowisko, i kiedy posłyszał cichy dźwięk po swej lewej stronie, wypuścił strzałę na oślep. Zaklął, gdy usłyszał, jak drzewce rozpryskuje się o drzewo, lecz Slasher wymknął się cicho niczym zjawa i wkrótce rozległy się szamotanie oraz charkot, a potem pies nadszedł przez krzaki niczym duch i przytulił swój wielki, zbroczony szkarłatem łeb do jego ręki. Krew sączyła mu się z rany na grzbiecie, lecz odgłosy w lesie umilkły na dobre.

Ludzie czający się przy drodze najwyraźniej wyczuli los swego towarzysza i zdecydowali, że otwarty szturm będzie lepszy od zaciągnięcia w ciemność przez diabelską bestię, której nie mogli ani zobaczyć, ani usłyszeć. Może zdali sobie sprawę, że tylko jeden człowiek zalega za kłodami. Nadciągnęli gwałtownym pędem, porzucając osłony z obu stron szlaku. Trzech padło przeszytych strzałami, pozostali dwaj się zawahali. Jeden odwrócił się i pobiegł z powrotem drogą, lecz drugi przeskoczył zaporę ze wzniesionym toporem. Jego oczy i zęby jaśniały w przyćmionym świetle. Balthus się pośliznął, gdy raptownie wstawał, lecz ów poślizg uratował mu życie. Opadający topór zgolił pukiel włosów z jego głowy, a Pikt stoczył się z kłód pod wpływem siły swego chybionego ciosu. Zanim zdołał się podnieść, Slasher rozerwał mu gardło.

Potem nastąpił okres oczekiwania, w trakcie którego Balthus zastanawiał się, czy człowiek, który umknął, był jednym ocalałym z

tej grupki. Stanowili oni, rzecz jasna, małą bandę, która bądź to opuściła walczących pod fortem, bądź badała teren przed głównymi siłami. Każda mijająca chwila zwiększała szanse na ratunek dla kobiet i dzieci spieszących w kierunku Velitrium.

Wtem bez ostrzeżenia grad strzał zaświstał nad jego schronieniem. Dzikie wycie uniosło się z lasu wzdłuż szlaku. Bądź to ocalały dotarł po pomoc, bądź kolejna grupka dołączyła do wcześniejszej. Płonąca chata wciąż dogorywała, użyczając trochę światła. Potem podeszli go, przemykając między drzewami obok szlaku. Wypuścił trzy strzały i odrzucił łuk. Jak gdyby wyczuwając jego trudne położenie, nadciągnęli teraz bez wycia, lecz w śmiertelnej ciszy, którą rozpraszały tylko odgłosy szybkich kroków wielu stóp.

Balthus zapalczywie utulił łeb wielkiego psa warczącego u jego boku i wymruczał:

– W porządku, chłopie, zrobmy im piekło!

Skoczył na nogi, dobywając swego toporka, a wówczas ciemne postaci przelały się falą ponad zaporą i złączyły z nimi w burzy młójących toporów, dźgających noży i rwących kłów.

VII

DIABEŁ Z OGNIA



Kiedy Conan skręcił z drogi do Velitrium, oczekiwał, że przebiegnie jakieś dziewięć mil i sprawa będzie załatwiona. Ale nie przebył jeszcze czterech, gdy usłyszał odgłosy jakiejś grupki ludzi przed sobą. Z hałasu, jaki czynili podczas drogi, poznał, że nie są Piktami. Pozdrowił ich.

– Kto tam? – zapytał szorstki głos. – Stój, gdzie jesteś, zanim cię

nie rozpoznamy, albo przesyjemy cię strzałą.

– W tych ciemnościach nie zdołalibyście trafić słonia – odparł Conan niecierpliwie. – Dalej, głupcze, to ja, Conan. Piktowie przeszli rzekę.

– Tyle się domyśliliśmy – odpowiedział przywódca mężczyzn, którzy kroczyli w jego stronę, wysokich, smukłych ludzi o surowych twarzach, z łukami w dłoniach. – Jeden z naszej grupki zranił antylopę i tropił ją aż po Rzekę Czarną. Posłyszał ich wyjących w dole rzeki i przybiegł z powrotem do obozu. Zostawiliśmy sól i wozy, puściliśmy woły luzem i przybyliśmy tak prędko, jak zdołaliśmy. Jeśli Piktowie oblegają fort, grupy bojowe rozejdą się wzdłuż drogi w kierunku chałup.

– Wasze rodziny są bezpieczne – burknął Conan. – Mój towarzysz poszedł przodem, żeby zabrać je do Velitrium. Jeśli cofniemy się do głównej drogi, możemy wpaść na całą horde. Uderzymy na południowy wschód, przez las do wycinki. Idźcie przodem. Ja będę trzymać tyły.

Parę chwil później cała grupa spieszyła ku południowemu wschodowi. Conan podążał za nimi wolniej, trzymając się na odległość dźwięku. Przeklinał hałas, jaki czynią; tylu Piktów albo Cimmeryjczyków poruszałyby się po tym lesie, robiąc nie więcej hałasu niż wiatr, kiedy wieje pośród czarnych gałęzi.

Właśnie przeszedł małą przecinkę i obrócił się, odpowiadając przekonaniu podsuniętemu przez jego pierwotne instynkty, za którymi podążał. Stojąc nieruchomo pośród krzaków, słyszał niknące odgłosy uciekających osadników. Wtem jakiś słaby głos zawołał z drogi, którą przybył:

– Conanie! Conanie! Zaczekaj na mnie, Conanie!

– Balthus! – zaklął zdezorientowany.

– Zaczekaj na mnie, Conanie! – Głos dochodził coraz wyraźniej.

Conan wyszedł z mroku ze zmarszczonym czołem.

– Co ty, u diabła, tutaj robisz... Na Croma!

Skulił się, skóra ścierpła mu na grzbiecie. Ten, który wyłaniał się po drugiej stronie przesieki, nie był Balthusem. Niesamowita łuna zapłonęła pomiędzy drzewami. Zmierzała w jego stronę, migocząc nieziemsko... Zielony błędny ognik, który poruszał się z rozmysłem i w konkretnym celu.

Dziwo zatrzymało się parę stóp od niego i Conan przyjrzał mu się dokładnie, próbując rozróżnić mglisto-ogniste zarysy. Drżący płomień otaczał zwarty trzon; płomień stanowił jedynie zielone odzienie, które zakrywało jakąś ożywioną i złą istotę, jednak Cimmeryjczyk nie był w stanie wyodrębnić jej kształtów ani podobieństwa do czegokolwiek.

Potem z wnętrza słupa ognia przemówił wstrząsający głos.

– Czemu stoisz jak baran oczekujący rzeźnika, Conanie?

– Baran? – Wściekłość Cimmeryjczyka wzięła górę nad chwilową bojaźnią. – Myślisz, że obawiam się przekłętego piktyjskiego bagiennego diabła? Wołał mnie przyjaciel.

– To ja wołałem cię jego głosem – rzekł tamten. – Ludzie, za którymi podążasz, należą do mojego brata. Nie okradłbym jego noża z ich krwi. Ale ty jesteś mój. Och, głupcze, przybyłeś z odległych, szarych wzgórz Cimmerii, by spotkać swój los w puszczach Conajohary.

– Miałeś już ze mną swoją okazję – prychnął Conan. – Czemu nie zabiłeś mnie wtedy, jeśli mogłeś?

– Mój brat nie pomalował dla ciebie czaszki na czarno i nie cisnął

jej w ogień, który płonie wiecznie na czarnym ołtarzu Gullaha. Nie wyszeptał twego imienia czarnym duchom, jakie nawiedzają wyżyny Mrocznego Kraju. Ale ponad Górami Umarłych przeleciał nietoperz i zarysował krwią twój obraz na skórze białego tygrysa, która wisi przed długą chatą, gdzie śpi Czterech Braci Nocy. Wielki wąż wiję się wokół ich stóp, a gwiazdy płoną w ich włosach niczym świetliki.

– Dlaczego bogowie ciemności skazali mnie na śmierć? – warknął Conan.

Coś – dłoń, stopa bądź szpon, nie był w stanie powiedzieć co – wysunęło się z ognia i szybko wyryło w czarnoziemie jakiś znak. Symbol zajaśniał znaczony ogniem i zniknął, ale nie dość szybko, by Cimmeryjczyk nie zdążył go rozpoznać.

– Ośmieliłeś się nakreślić symbol, który ważą się stawiać tylko kapłani Jhebbala Saga. Grzmot przetoczył się przez Góry Umarłych i chatę z ołtarzem Gullaha zwałił wiatr z Otchłani Duchów. Nur, który jest posłańcem Czterech Braci Nocy, przyleciał prędko i wyszeptał mi do ucha twoje imię. Twój wyścig dobiegł końca. Jesteś już martwy. Twoja głowa zawiśnie na chacie z ołtarzem mego brata. Twoje ciało pożrą czarnoskrzydłe, ostrodziobe Dzieci Jhila.

– Kto, do diabła, jest twoim bratem? – dopytywał Conan. Obnażony miecz spoczywał w jego dłoni. Delikatnie poluzowywał też toporek u pasa.

– Zogar Sag, dziecię Jhebbala Saga, który wciąż, jak trafi się okazja, nawiedza swe święte gaje. Kobieta z Gwaweli spała w gaju poświęconym Jhebbalowi Sagowi. Jej dzieckiem był Zogar Sag. Ja także jestem synem Jhebbala Saga, z ognistej istoty z dalekiego królestwa. Zogar Sag wezwał mnie z Mglistych Krajów.

Inkantacjami, czarami i własną krwią zmaterializował mnie w ciele ze swej planety. Jesteśmy jednością, połączeni niewidzialnymi więzami. Jego myśli są moimi myślami, jeśli go uderzyć, ja odczuwam stłuczenie. Jeśli ja się zranię, on krwawi. Ale dość już nagadałem. Wkrótce twój duch rozmawiać będzie z duchami w Mrocznym Kraju i one opowiedzą ci o starych bogach, którzy nie są martwi, lecz śpią w zewnętrznych otchłaniach, przebudzając się od czasu do czasu.

– Chciałbym ujrzeć, jak wyglądasz – wymamrotał Conan, całkowicie uwalniając toporek. – Ty, który pozostawiasz ślady niczym ptak, który płoniesz niczym ogień i jeszcze przemawiasz ludzkim językiem.

– Ujrzysz zatem – rzekł głos z ognia. – Ujrzysz i zaniesiesz tę wiedzę do Mrocznego Kraju.

Płomienie skoczyły i opadły, kurcząc się i przygasając. Twarz zaczęła przybierać zaciemniony kształt. Z początku Conan myślał, że to sam Zogar Sag jest tym, który stoi spowity w zielony ogień. Ale to oblicze znajdowało się wyżej niż jego i było w nim coś demonicznego... W rysach, które wyłoniły się przed nim, Conan zauważył rozmaite odstępstwa od fizjonomii Zogara Saga: skośność oczu, ostro zakończone uszy, wilczą cienkość warg. Jego oczy były czerwone niczym węgle z żywego ognia.

Dało się dojrzeć więcej szczegółów: smukły tors pokryty węzowymi łuskami, który wszelako był ludzki w swym kształcie, i podobne do ludzkich ramiona, poniżej zaś długie, żurawie nogi zakończone rozcapierzonymi trójpalczastymi stopami, jak u jakiegoś ogromnego ptaka. Wzdłuż tych potwornych członków przebiegały i furkotały zielone płomienie. Widział to jakby przez

lśniąca mgłę.

Wtem potwór raptownie zbliżył się, górując nad Conanem, choć ten nie dostrzegł, aby wykonał on ruch w jego stronę. Długa ręka, która – co zauważył po raz pierwszy – uzbrojona była w zakrzywione, sierpowate szpony, wzniosła się wysoko i opadła mu na kark. Z wściekłym krzykiem przełamał czar i uskoczył w bok, ciskając toporkiem. Demon uniknął trafienia nieprawdopodobnie szybkim ruchem swej wąskiej głowy i znów napał na niego z sykiem przeskakujących płomieni.

Ale kiedy zabijał inne ofiary, strach walczył po jego stronie. Conan się nie bał. Wiedział, że każdą istotę odzianą w materialne ciało można zabić materialną bronią, jakkolwiek straszliwa może być to postać.

Jeden z młócących, uzbrojonych w szpon członków strącił mu hełm z głowy. Trochę niżej, a byłby go zdekapitował. Conana ogarnęła wszak gwałtowna radość, kiedy jego dziko wyprowadzony miecz zatopił się głęboko w pachwinie potwora. Odkoczył w tył przed kolejnym ciosem, wyrwawszy swój miecz. Szpony przeorały mu pierś, przecinając ogniwa kolczugi, jak gdyby był to materiał. Doskoczył z powrotem jak głodujący wilk. Znalazł się pomiędzy bijącymi ramionami i wbił miecz głęboko w brzuch potwora. Poczul, jak ręce tamtego zamykają się wokół niego, a szpony zdzierają mu kolczugę z pleców w poszukiwaniu witalnych organów. Trwał ściśnięty i oślepiiony niebieskim ogniem, zimnym niczym lód. Potem wyrwał się gwałtownie ze słabnących ramion, a jego miecz przeciął powietrze z głośnym świstem.

Demon zachwiał się i rozciągnął jak długi na boku, jego głowa wisiała tylko na strzępach ciała. Ognie, które go przesłaniały,

skoczyły żywo w górę, czerwone teraz jak tryskająca krew, skrywając postać przed wzrokiem. Nozdrza Conana wypełniła woń palonego ciała. Strząsnąwszy krew i pot z oczu, obrócił się i pobiegł chwiejnie przez las. Z członków ciekła mu krew. Gdzieś, o mile na południe, dojrzał słabą łunę płomieni, które mogły oznaczać płonącą chałupę. Za nim, od strony drogi, rozbrzmiało odległe wycie, które skłoniło go do zwiększonego wysiłku.

VIII

NIGDY WIĘCEJ CONAJOHARY



Walki toczyły się na Rzece Grzmiącej, zajadłe walki u murów Velitrium, topór i pochodnia uwijały się w górę i w dół wzdłuż brzegu i wiele osadniczych chałup spłonęło, zanim odparto wymalowaną horde.

Po tej burzy nastąpiła dziwna cisza, podczas której ludzie gromadzili się i rozmawiali ściszymi głosami, a mężczyźni w splamionych czerwienią bandażach pili w milczeniu piwo w gospodach wzdłuż brzegu rzeki.

Tam to do Conana Cimmeryjczyka, ponuro pociągającego ze skórzanego kubka, podszedł wychudły leśnik z obandażowaną głową i ręką na temblaku. Był jednym z ocalałych z Fortu Tuscelan.

– Pojechałeś z żołnierzami do ruin fortu?

Conan przytaknął.

– Ja nie byłem w stanie – wymamrotał tamten. – Nie było trzeba walczyć?

– Piktowie wycofali się za Rzekę Czarną. Coś musiało skruszyć ich werwę, choć tylko diabeł, który ich stworzył, wie co.

Człowiek lasu popatrzył na jego obandażowaną rękę i westchnął.

– Mówią, że nie było ciał, którymi warto by się zająć.

Conan pokręcił głową.

– Popioły. Piktowie usypali z nich w forcie stos i podłożyli ogień, zanim przekroczyli rzekę. Z własnych martwych i z ludzi Valannusa.

– Valannus został zabity pośród ostatnich, w walce wręcz, kiedy przełamali barykady. Próbowali wziąć go żywcem, ale sprawił, że go zabili. Dziesięciu z nas wzięli jako więźniów, gdy byliśmy tak osłabieni, że nie mogliśmy dalej walczyć. Dziewięciu rozplatali na miejscu. A kiedy Zogar Sag umarł, zyskałem szansę, by uciec, i wykorzystałem ją.

– Zogar Sag nie żyje?! – wykrzyknął Conan.

– Tak jest. Widziałem, jak umarł. To dlatego Piktowie nie napierali podczas walk o Velitrium tak zapalczywie jak przeciwko fortowi. To było dziwne. Nie odniósł żadnych ran w bitwie. Tańczył wśród pomordowanych, wymachując toporkiem, którym dopiero co roztrzaskał głowę ostatniemu z moich towarzyszy. Zbliżył się do mnie, wyjąc jak wilk, i wtedy się zachwiał, upuścił topór i począł zataczać się po okręgu, wrzeszcząc tak, jak nigdy dotąd nie słyszałem, by wrzeszczał człowiek albo zwierzę. Padł pomiędzy mną a ogniskiem, jakie zbudowali, by mnie upiec, dławiąc się i

tocząc pianę z ust, i nagle zeszywniał, a Piktowie krzyczeli, że nie żyje. Podczas zamieszania wyśliznąłem się z więzów i uciekłem w las. – Zawahał się, nachylił do Conana i zniżył głos. – Widziałem, jak leżał w świetle ognisk. Nie tknęła go żadna broń. Jednak w pachwinie, na brzuchu i szyi pojawiły się czerwone znaki, jak rany po mieczu. Ta ostatnia wyglądała tak, jakby jego głowa była niemal odrąbana od ciała. Co ty na to?

Conan nic nie odpowiedział, a leśnik, świadom małomówności barbarzyńcy w pewnych kwestiach, kontynuował:

– Żył jakoś przez magię i od magii umarł. To zagadka jego śmierci odebrała Piktom serce. Żaden z tych, którzy to widzieli, nie walczył pod Velitrium. Pospieszyli z powrotem przez Rzekę Czarną. Ci, co oparli się o Rzekę Grzmiącą, byli wojownikami, którzy wyruszyli, zanim Zogar Sag umarł. Nie było ich dość, żeby wziąć miasto. Szedłem drogą za ich głównymi siłami i wiem, że nikt z fortu nie podążał za mną. Przekradłem się przez ich linie i dostałem do miasta. Ty przywiodłeś osadników, w porządku, ale ich kobiety i dzieci dostały się do Velitrium tuż przed tymi malowanymi diabłami. Gdyby młody Balthus i stary Slasher nie powstrzymali ich przez chwilę, zarżnęliby wszystkie kobiety i dzieci w Conajoharze. Mijałem miejsce, z którego Balthus i pies uczynili swój ostatni szaniec. Leżeli pośród sterty martwych Piktów... Naliczyłem siedmiu z głowami roztrzaskanymi toporkiem albo wypatroszonych psimi kłami, a na drodze byli inni z tkwiącymi w nich strzałami. Bogowie, cóż to musiała być za walka.

– Był mężczyzną – rzekł Conan. – Przepijam do jego ducha i do ducha tego psa, który nie znał strachu. – Pociągnął porcję wina, a

potem opróżnił resztę na podłogę dziwnym pogańskim gestem i roztrzaskał kubek. – Głowy dziesięciu Piktów będą zapłatą za niego, a siedem głów za psa, który był lepszym wojownikiem niż wielu ludzi.

A leśnik, wpatrując się w posepne, żarzące się niebieskie oczy, pojął, że barbarzyńska przysięga zostanie dotrzymana.

– Nie odbudują fortu.

– Nie. Conajohara jest dla Aquilonii stracona. Granica została cofnięta. Jej nową linią będzie Rzeka Grzmiąca.

Człowiek lasu westchnął i zapatrzył się na swą stwardniałą dłoń zniszczoną w kontakcie z trzonem topora i rękojeścią miecza. Conan wyciągnął swe długie ramię po dzban wina. Leśnik przypatrywał mu się, porównując go z ludźmi dookoła, z ludźmi, którzy zginęli wzdłuż utraconej rzeki; porównując go z innymi dzikimi ludźmi nad tą rzeką. Conan zdawał się nieświadom jego spojrzenia.

– Barbarzyństwo jest naturalnym stanem gatunku ludzkiego – rzekł pogranicznik, wciąż patrząc ponuro na Cimmeryjczyka. – Cywilizacja jest czymś nienaturalnym. To kaprys okoliczności. I barbarzyństwo musi zawsze ostatecznie zwyciężyć.



Czarny przybysz

Czarny przybysz

I

WYMALOWANI MĘŻCZYŹNI



W jednej chwili polanka była pusta, w następnej jakiś mężczyzna stał czujnie przy krawędzi krzaków. Nie rozległ się żaden dźwięk, który ostrzegłby szare wiewiórki o jego nadejściu. Ale barwne ptaki fruujące dookoła w świetle słońca przestraszyły

się jego nagłego pojawienia i poderwały zgiełkliwą chmurą. Człowiek ów zmarszczył brwi i spojrzał szybko wstecz drogą, którą przybył, jak gdyby bojąc się, że ich lot zdradził jego pozycję komuś niewidocznemu. Potem przeszedł polankę, stawiając ostrożnie stopy. Przy całej swej potężnej, muskularnej budowie poruszał się z miękką pewnością pantery. Był nagi, jeśli nie liczyć szmaty zawiniętej wokół bioder, a jego członki, poprzecinane zadrapaniami od wrzośców, oklejało zaschnięte błoto. Wokół lewego, mocno umięśnionego ramienia nosił zasupłany, pokryty brązowym strupem bandaż. Twarz pod zmatowiałą czarną grzywą włosów była zaschnięta i wychudzona, a oczy płonęły niczym ślepią rannej pantery. Utykał lekko, podążając przyćmioną ścieżką, która prowadziła przez otwartą przestrzeń.

Kiedy puszcze wprawił w drżenie przeciągły, wibrujący zew, zatrzymał się nagle w pół drogi przez polankę i kocim ruchem szybko odwrócił, stając przodem do drogi, którą nadszedł. Dla kogoś innego byłoby to jedynie wycie wilka. Ale ów człowiek wiedział, że to nie był wilk. Sam był Cimmeryjczykiem i rozpoznawał głosy dziczy tak, jak mieszczuch poznaje głosy swych przyjaciół.

Gniew zapłonął czerwienią w jego nabiegłych krwią oczach, gdy odwrócił się raz jeszcze i pospieszył dalej ścieżką, która opuszczając polankę, biegła wzdłuż skraju gęstych zarośli rosnących zwartą zieloną kępą pośród drzew i krzaków. Potężna kłoda, głęboko zatopiona w porosłej trawą ziemi, zalegała równolegle do krawędzi zarośli, pomiędzy nimi a ścieżką. Kiedy Cimmeryjczyk ujrzał kłodę, zatrzymał się i spojrzał wstecz przez polankę. Nie było znaków, które przeciętnemu oku mówiłyby, że

tędy przechodził. Były wszak dowody widzialne dla jego wyostrzonego przez dzicz spojrzenia, a zatem także dla równie przenikliwych oczu tych, którzy go prześladowali. Warknął cicho, wzmożony gniew narósł w jego oczach – wojowniczy szal ściganej bestii, która, przyparta do muru, gotowa jest zwrócić się przeciwko dręczycielom.

Przeszedł szlakiem ze względłą beztroską, tu i tam zgniatając źdźbła traw pod stopami. Potem, kiedy dotarł do drugiego końca wielkiej kłody, wskoczył na nią, odwrócił się i przebiegł po niej ostrożnie z powrotem. Korę zniszczyło długie działanie sił natury, nie zostawił więc żadnego znaku wskazującego najbystrzszemu oku z puszczy, że przeszedł tym tropem dwukrotnie. Kiedy dotarł do najgęstszego miejsca zarośli, zniknął w nich jak cień, ledwie drzenie liści znaczyło jego drogę.

Minuty się ciągnęły. Szare wiewiórki znów zaszczebiotały na gałęziach... Wtem, przywarłszy do nich, nagle umilkły. Ponownie wtargnięto na polankę. Równie cicho, jak pojawił się pierwszy mężczyzna, trzech kolejnych ukazało się ze wschodniego skraju. Byli ciemnoskórzy, lichej postury, o mocno umięśnionej piersi i ramionach. Nosili obszyte paciorkami przepaski biodrowe z koziej skóry, a w każdą z czarnych grzyw wetknięte mieli orle pióro. Byli silnie uzbrojeni i wymalowani w odrażające wzory.

Uważnie zlustrowali przesiekę, zanim ukazali się na otwartej przestrzeni, gdyż zwartym szeregiem wyszli z krzaków bez wahania, stąpając miękko jak lamparty, pochyleni, by przypatrzeć się ścieżce. Podążali tropem Cimmeryjczyka, ale nie było to zadanie łatwe nawet dla tych gończych psów w ludzkiej

skórze. Poruszali się powoli na wskroś polanki i wtedy jeden zeszywniał, mruknął gardłowo i wskazał swą włócznią assegai o szerokim grocie zgniecione źdźbła traw tam, gdzie ścieżka ponownie wkraczała do puszczy. Wszyscy zatrzymali się natychmiast, a spojrzenia ich paciorkowatych, czarnych oczu taksowały ściany lasu. Ale ich zdobycz była dobrze ukryta. Nie dostrzegli niczego, co wzbudziłoby podejrzenia, i wkrótce ruszyli naprzód, trochę szybciej, idąc śladem słabych znaków, jakie zdawały się wskazywać, że ich ofiara staje się nieostrożna, czy to przez słabość, czy przez desperację.

Właśnie minęli miejsce, gdzie zarośla stłoczyły się najbliżej pradawnego szlaku, kiedy Cimmeryjczyk wyskoczył na ścieżkę za nimi i zatopił nóż między łopatkami ostatniego. Atak był tak szybki i niespodziewany, że Pikt nie miał szans. Ostrze utkwilo w jego sercu, zanim pojął, że znalazł się w niebezpieczeństwie. Pozostali dwaj odwrócili się gwałtownie z natychmiastową, błyskawiczną prędkością dzikusów, ale w tej samej chwili, gdy jego nóż sięgał celu, Cimmeryjczyk wyprowadził potężny cios trzymanym w prawej ręce wojennym toporem. Drugi Pikt właśnie się obracał, gdy topór opadł. Rozszczepił mu czaszkę po zęby.

Ostatni Pikt – wódz, wnosząc ze szkarłatnej końcówki jego orlego pióra – przystąpił do wściekłego ataku. Wyprowadził pchnięcie w pierś Cimmeryjczyka, a ten w tym samym czasie wyszarpnął topór z głowy trupa. Rzucił ciało na wodza i w ślad za nim zaatakował z furią i zaciekłością, z jaką szarżuje ranny tygrys. Pikt, chwiejąc się od uderzenia zwłok, nie podjął próby sparowania ociekającego topora; instynkt zabijania zagłuszył

nawet instynkt przetrwania; zajadłe pchnął włócznią w szeroką pierś wroga. Cimmeryjczyk miał przewagę wyższej inteligencji oraz broń w obu dłoniach. Topór odbił włócznię w bok, a nóż w lewej dłoni Cimmeryjczyka wszedł od dołu w wymalowany brzuch.

Z ust Pikta buchnęło straszliwie wycie, gdy zgiął się wypatroszony – nie krzyk strachu czy bólu, ale bezsilnej, zwierzęcej wściekłości, piskliwy wrzask konającej pantery. Odpowiedział mu chór zawodzeń w pewnej odległości na południe od polanki. Cimmeryjczyk drgnął gwałtownie i obrócił się przyczajony, niczym dziki stwór przyparty do muru, z wykrzywionymi ustami, strząsając pot ze swej twarzy. Spod bandaża na ręce spływała mu strużka krwi.

Ciężko wysapał nieskładne złorzeczenie, odwrócił się i pomknął ku zachodowi. Nie obrał teraz poprzedniej drogi, lecz biegł z pełną prędkością swych długich nóg, odwołując się do głębokich, niewyczerpanych pokładów wytrzymałości, jakimi natura rekompensuje barbarzyński żywot. Za nim las na pewnej przestrzeni pozostawał cichy, potem demoniczne wycie buchnęło z miejsca, które niedawno opuścił, i pojął, że prześladowcy odnaleźli ciała jego ofiar. Brakło mu tchu na przeklinanie kropli krwi, jakie skapywały na ziemię ze świeżo otwartej rany, pozostawiając ślad, którym podążyc mogło nawet dziecko. Myślał, że może tych trzech Piktów to wszyscy wciąż ścigający go członkowie zbrojnej grupy, jaka szła za nim przez ponad sto mil. Ale mógł się domyślić, że te wilki w ludzkiej skórze nigdy nie porzucają krwawego tropu.

Las znów stał się cichy, a to znaczyło, że go ścigają, on zaś,

znacząc ścieżkę zdradzieckimi kroplami krwi, nie mógł się zatrzymać. Wiatr od zachodu wiał mu ponownie w twarz, niosąc słoną wilgoć, jaką rozpoznawał. Zdziwił się. Skoro znalazł się tak blisko morza, przewlekła pogoń była nawet dłuższa, niż zdawał sobie sprawę. Jednak była prawie na ukończeniu. Nawet jego wilcza witalność słabła pod wpływem strasznego napięcia. Z trudem nabierał tchu, a w boku odczuwał ostry ból. Nogi drżały mu ze zmęczenia, ta kulejąca zaś bolała jak cięta po ścięgniach nożem, ilekroć stawiał stopę na ziemi. Podążał za instynktami dziczy, która go wykarmiła, spinając każdy nerw i mięsień, wyczerpując dla przetrwania całą finezję i przebiegłość. Teraz, znalazłszy się na skraju, posłuszny był kolejnemu instynktowi, poszukując miejsca, gdzie mógłby zwrócić się przeciwko swym prześladowcom i sprzedać życie za krwawą zapłatę.

Nie opuszczał szlaku na rzecz splątanej gęstwiny po obu stronach. Wiedział, że daremne byłoby złudzenie, iż wymknie się teraz swym prześladowcom. Biegł dalej szlakiem, podczas gdy krew tętniła mu w uszach coraz głośniejsze, a każdy oddech, jaki łapał wyschniętymi ustami, stanowił dręczący haust. Szaleńcze ujadanie za nim ucichło, znacząc, iż są blisko i spodziewają się dopędzić swą ofiarę szybko. Zaraz nadciągną chyżo jak głodujące wilki, wyjąc przy każdym podskoku.

Raptem wypadł z gęstwiny drzew i zobaczył, że ziemia wznosi się przed nim, a pradawny szlak wspina skalnymi występami między poszczerbionymi głazami. Wszystko pływało mu przed oczyma w przyprawiającej o zawrót głowy czerwonej mgle, ale to było wzgórze, dla którego tu przybył – poszarpany skalny ostaniec wyrastający nagle z puszczy u ich stóp. I niewyraźny

szlak wijący się w górę do szerokiej półki blisko szczytu.

Półka ta będzie równie dobrym miejscem, by umrzeć, jak każde inne. Pokuśtykał szlakiem, w bardziej stromych miejscach idąc na czworakach z nożem w zębach. Nie dotarł jeszcze do sterczącej półki, kiedy ze czterdziestu dzikusów wypadło spomiędzy drzew, wyjąc jak wilki. Na widok ofiary ich wrzaski przeszły w diabelskie crescendo i popędzili do stóp skalnego ostańca, szyjąc z łuków. Grad strzał spadał wokół człowieka, który wchodził zawzięcie pod górę, a jedna utkwiała w jego łydce. Nie przerwawszy wspinaczki, wyrwał ją i odrzucił, nie zważając na mniej celne pociski, jakie roztrzaskiwały się na skale dookoła. Nieustępliwy, podciągnął się na skraj półki i odwrócił, dobywając toporka i biorąc w rękę nóż. Legł, przypatrując się złym okiem swym prześladowcom ponad krawędzią. Widoczne były tylko błyszczące oczy i grzywa jego włosów. Pierś mu falowała, kiedy czerpał powietrze wielkimi, przyprawiającymi go o dreszcz wdechami. Zaciskał zęby, by powstrzymać wymioty.

Tylko kilka strzał świsnęło pod górę. Horda wiedziała, że jej ofiara została przyparta do muru. Wojownicy ruszyli w przód, wyjąc i przeskakując zwinnie nad skałami u stóp wzgórza z wojennymi toporami w dłoniach. Pierwszy dotarł do ostańca krzepki śmiałek. Jego orle pióro zabarwione zostało szkarłatem jako oznaka przywództwa. Zatrzymał się na chwilę z jedną nogą na wznoszącym się szlaku, założył strzałę i odciągnął ją do połowy, odrzucił głowę, a jego usta rozwarły się w pełnym uniesienia wyciu. Ale cięciwa nigdy nie została zwolniona. Zastygł w bezruchu, żądza krwi w jego czarnych oczach zaś ustąpiła wstrząśniętemu spojrzeniu pełnemu zrozumienia. Cofnął

się z okrzykiem, rozrzucając szeroko ramiona, by powstrzymać swych wyjących śmiazków. Człowiek przykucnięty na półce ponad nimi rozumiał język piktyjski, ale był zbyt daleko, by wyłapać istotę rwanych fraz wyszczekiwanych do wojowników przez wodza ze szkarłatnym piórem.

Wszyscy wszelako przestali skowyczeć i stali niemo zapatrzeni w górę – nie na człowieka na półce, jak mu się zdawało, ale na samo wzgórze. Potem, nie wahając się dłużej, zlurowali łuki, wrzucili je do sakw z koziej skóry u pasa, odwrócili się i pokłusowali przez otwartą przestrzeń, by wtopić się w las bez spojrzenia wstecz.

Cimmeryjczyk przypatrywał się temu zadziwiony. Znał naturę Piktów zbyt dobrze, by nie rozpoznać definitywności wyrażanej przez to odejście. Wiedział, że nie wrócą. Kierowali się do swych wiosek o setki mil na wschód.

Nie potrafił jednak tego pojąć. Co takiego było w jego schronieniu, że piktyjski oddział porzucił pościg, który prowadził tak długo z zacięciem głodnych wilków? Wiedział, że istnieją miejsca święte, obszary ustanawiane na uboczu jako sanktuaria przez rozmaite klany, i że zbieg, obierając schronienie w jednym z takich sanktuariów, pozostawał bezpieczny ze strony klanu, który je wzniósł. Ale jedne plemiona rzadko szanowały sanktuaria innych plemion, a ludzie, którzy go ścigali, z pewnością nie mieli żadnych świętych miejsc w tej okolicy. Byli ludźmi Orła, których wioski leżały daleko na wschodzie, przylegając do kraju Piktów Wilków.

To Wilki pojmały go podczas najazdu na aquilońskie osady wzdłuż Rzeki Grzmiącej i oddały Orłom w zamian za

schwytanego przez nich wodza Wilków. Ludzie Orła mieli krwawe porachunki z olbrzymim Cimmeryjczykiem, a obecnie były one jeszcze krwawsze, gdyż jego ucieczka kosztowała życie wspomnianego wodza i wojownika. To dlatego podążali jego śladem tak zawzięcie, przez szerokie rzeki, wzgórza i długie ligi mrocznej puszczy, tereny łowieckie wrogich plemion. I teraz, kiedy odnaleźli i schwytali przeciwnika w pułapkę, ci, którzy przeżyli ten długi pościg, zawrócili. Pokręcił głową, niezdolny tego zrozumieć.

Podniósł się ostrożnie, oszołomiony mordęgą, ledwie zdolny pojąć, że to już koniec. Członki miał zeszywniałe, rany bolały. Splunął tym, co miał w wyschniętych ustach, i zaklął, przecierając swe płomienne, nabiegłe krwią oczy wierzchem masywnej dłoni. Zamrugął i otaksował otoczenie. Pod nim zielona dzicz falowała i burzyła się zwartą masą coraz odległej, a ponad jej zachodnią krawędzią wznosiła się stalowobłękitna mgiełka wisząca, jak wiedział, nad oceanem. Wiatr zmierzwił czarną grzywę jego włosów, a słony posmak powietrza go ocucił. Wyprostował swą ogromną pierś i wypełnił ją nim.

Potem obrócił się sztywno i boleśnie dookoła, powarkując na rwanie w krwawiącej łydce i badając półkę, na której stał. Za nią, po szczyt ostańca, jakieś trzydzieści stóp wyżej, wznosiło się strome skalne urwisko. W skale wyryte były podobne do drabiny wąskie stopnie z uchwyty na ręce. A parę stóp od jej podstawy w ścianie znajdowała się szczelina wystarczająco szeroka i wysoka, aby mógł w nią wejść mężczyzna.

Cimmeryjczyk pokuśtykał do szczeliny, zajrzał w nią i mruknął pod nosem. Słońce wiszące wysoko ponad zachodnim lasem

rzucało w nią skośne światło, odsłaniając podobną do tunelu pieczarę, i pokładało swój odkrywczy promień na łuku, którym ów tunel się kończył. W łuku tym umieszczono ciężkie, okute żelazem dębowe drzwi!

To było niesamowite. Ten kraj stanowił głuchą dzicz. Cimmeryjczyk wiedział, że przez tysiące mil zachodnie wybrzeże ciągnie się puste i niezamieszkane, z wyjątkiem wiosek srogich plemion nadbrzeżnych, które były mniej cywilizowane nawet od ich zamieszkujących puszcę braci.

Najbliższe przyczółki cywilizacji stanowiły osady graniczne wzdłuż Rzeki Grzmiącej, setki mil na wschód. Cimmeryjczyk wiedział, że jest jedynym białym człowiekiem, jaki kiedykolwiek przebył dzicz leżącą między tamtą rzeką a wybrzeżem. Jednak owe drzwi nie były robotą Piktów.

Jako zjawisko niewytłumaczalne stawały się obiektem podejrzeń i podejrzliwie się do nich zbliżył z toporem i nożem w gotowości. Potem, gdy jego nabiegłe krwią oczy przyzwyczyły się do łagodnego półmroku, jaki czał się po obu stronach wąskiej smugi słonecznego światła, zauważył coś jeszcze – ciężkie, okute żelazem skrzynie porozstawiane pod ścianami. W jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. Schylił się nad jedną, ale wieko oparło się jego wysiłkom. Wzniósł toporek, by strzaskać pradawny zamek, po czym zmienił zdanie i pokuśtykał w kierunku sklepionych drzwi. Jego obejście było teraz bardziej pewne siebie, broń zwisała mu u boku. Pchnął zdobnie rzeźbione drzwi, a te odchyliły się do wewnątrz, nie stawiając oporu.

Wtedy jego zachowanie zmieniło się ponownie z nagłością błyskawicy. Cofnął się, przeklinając, wstrząśnięty; nóż i toporek

błysnęły na pozycjach obronnych. Przez moment zastygł tak, niczym statua okrutnej groźby, wyciągając potężną szyję, by zerknąć przez drzwi. W dużej naturalnej komorze, do której zaglądał, było ciemniej, ale przyćmiona poświata biła od wielkiego klejnotu, jaki ustawiono na maleńkim postumencie z kości słoniowej pośrodku wielkiego hebanowego stołu, dookoła którego siedziały milczące postaci, których widok tak wstrząsnął intruzem.

Nie poruszały się, nie odwróciły głów w jego stronę.

– Dobra – rzekł ochryple. – Czy wszyscyście pijani?

Nie padła żadna odpowiedź. Nie należał do ludzi, których łatwo speszyć, jednakże teraz poczuł się zbity z tropu.

– Moglibyście zaproponować mi szklanicę wina, które wychylacie – warknął. Niezręczność całej sytuacji pobudziła jego naturalną zadziorność. – Na Croma, okazujecie diabelnie marną uprzejmość człowiekowi, który należał do waszego bractwa. Zamierzacie... – Jego słowa przeszły w milczenie i tylko stał i przyglądał się przez chwilę tym dziwacznym sylwetkom siedzącym tak cicho dookoła wielkiego hebanowego stołu. – Oni nie są pijani – wymamrotał po chwili. – Nawet nie piją. Cóż to za diabelska gra?

Przekroczył próg i natychmiast podjął walkę o życie z zabójczymi, niewidzialnymi dłońmi, jakie chwyciły go za gardło.

II

LUDZIE Z MORZA



Belesa leniwie trąciła morską muszlę palcami stóp obutymi w delikatny pantofel, porównując w myślach jej delikatnie różowe krawędzie z pierwszą różową mgiełką świtu powstającego nad mglistymi plażami. Nie był to już świt, ale słońce znajdowało się na niebie od niedawna i jego światło nie rozproszyło jeszcze perłowoszarych chmur unoszących się nad wodami.

Uniosła swą cudnie kształtną głowę i zapatrzyła się na tę obcą jej i odstręczającą, choć posepnie znajomą w każdym szczególe scenę. Jasnobrązowy piasek wybiegał jej spod zgrabnych stóp na spotkanie łagodnie bijących fal, które ciągnęły się ku zachodowi, by zniknąć w błękitnej mgiełce na horyzoncie. Stała na południowej

krzywiźnie rozległej zatoki, a na południe od niej ziemia się wznosiła, przechodząc w niski pagórek tworzący jeden z zakrzywionych półwyspów opasujących zatokę. Z tegoż pagórka, jak wiedziała, można było popatrzeć skroś pustych wód ku południu – w nieskończone odległości tak samo nieogarnione jak widok ku zachodowi i ku północy.

Spojrzała apatycznie ku lądowi, nieobecny wzrokiem obrzuciła fortecę, która była jej domem przez miniony rok. Na tle mgliście perłowomodrego porannego nieba powiewał złoto-szkarłatny sztandar jej domu – chorągiew niebudząca entuzjazmu w młodzieńczej piersi, choć łopotała ona tryumfalnie ponad wieloma skrwawionymi polami na dalekim Południu. Dostrzegała sylwetki ludzi trudzących się w ogrodach i na polach, jakie skupiały się wokół fortu, zdając się kurczyć pod mrocznym wałem puszczy, która okalała pas otwartej przestrzeni ze wschodu, rozciągając się tak daleko na północ i południe, jak tylko mogła dojrzeć. Bała się tej puszczy, a strach ów podzielał każdy w tej maleńkiej osadzie. I nie był to bezpodstawny strach – w tej szeleszczącej gęstwinie czaiła się śmierć, śmierć prędką i straszna, śmierć powolną i odrażającą, ukryta, wymalowana, niezmordowana, bezlitosna.

Westchnęła i ruszyła obojętnie w stronę wody, nie mając żadnego wyraźnego celu. Wszystkie ciągnące się dni miały ten sam przebieg, a świat miast, dworów i zabaw wydawał się oddalony nie tylko o tysiące mil, ale i całe wieki. Znów na próżno usiłowała znaleźć przyczynę, która sprawiła, że hrabia Zingary ze swym orszakiem umknął na to dzikie wybrzeże, tysiące mil od ziemi, która go zrodziła, zamieniając zamek przodków na chatę z drewnianych bali.

Jej spojrzenie złagodniało na odgłos lekkiego tupotu bosych stópek po piasku. Dziewczynka nadbiegała przez niski, piaszczysty pagórek, całkiem naga; jej drobne ciało ociekało wodą, a mokre lniane włosy oklejały główkę. Rozmarzone oczy miała szeroko otwarte z podniecenia.

– Pani Beleso! – zawołała, oprawiając zingarańskie słowa miękką ophirską intonacją. – Och, pani Beleso!

Pozbawiona tchu wskutek pędu, jąkała się i wykonywała nieskładne gesty. Belesa się uśmiechnęła i objęła dziecko ramieniem, nie zważając na to, że jej jedwabna suknia zetknęła się z wilgotnym, ciepłym ciałem. W swym samotnym życiu w odosobnieniu obdarzyła czułością tkliwego z natury charakteru tę żalosną sierotę, którą odebrała jej brutalnemu panu napotkanemu podczas długiej podróży z południowego wybrzeża.

– Co próbujesz mi powiedzieć, Tino? Nabierz tchu, dziecko.

– Statek! – krzyknęła dziewczynka, wskazując ku południu. – Kąpałam się w sadzawce, którą morski pływ zostawił w piasku po drugiej stronie pagórka, i go zobaczyłam! Statek nadpływający z południa!

Nieśmiało pociągnęła Belesę za rękę, jej smukłe ciało zadrżało. A Belesa sama poczuła, jak serce zabiło jej szybciej na zwykłą myśl o nieznanym gościu. Nie widzieli żagla, odkąd przybyli na ten jałowy brzeg.

Tina pomknęła przed nią po żółtym piasku, okrążając maleńkie sadzawki, które odpływ zostawił w płytkich zagłębieniach. Wspięły się na niski, pofalowany pagórek i Tina tam zamarła – smukła, jasna sylwetka na tle czystego nieba. Mokre lniane włosy powiewały wokół jej szczupłej twarzy, kruche, drżące ramię sterczało

wyciągnięte.

– Popatrz, o pani!

Belesa już go dostrzegła – wydęty biały żagiel napełniony ożywczym południowym wiatrem halsujący wzdłuż wybrzeża o kilka mil od nich. Serce skoczyło jej w piersi. Małe rzeczy potrafią wzbudzić poważny niepokój w bezbarwnym, odosobnionym życiu, ale Belesa miała przecucie niezwykle, gwałtownych zdarzeń. Poczuła, że nie przypadkiem żagiel ów manewruje w górę tego samotnego wybrzeża. Na północy nie było miasta portowego, choćby kto żeglował po sam skraj lodu, a najbliższy port na południu znajdował się o tysiąc mil stąd. Co przywiodło nieznanego do odludnej zatoki Korvela?

Tina przywarła mocno do swej pani z twarzą ściągniętą obawą.

– Kto to może być, pani? – wydukała. Wiatr wychłostał rumieniec na jej poblądłych policzkach. – Czy to człowiek, którego hrabia się boi?

Belesa spojrzała na nią, marszcząc czoło.

– Czemu tak mówisz, dziecko? Skąd wiesz, że mój wuj kogoś się boi?

– Musi – odparła prostolinijnie Tina – inaczej nigdy by się nie ukrył w tak odludnym miejscu. Popatrz, o pani, jak szybko nadpływa!

– Musimy pójść i zawiadomić wuja – wymamrotała Belesa. – Łodzie rybackie jeszcze nie wypłynęły, więc żaden mężczyzna nie dostrzegł żagla. Zabierz swoje rzeczy, Tino. Szybko!

Dziewczynka pognęła w dół niskiego stoku do sadzawki, w której się kąpała, kiedy ujrzała statek, i chwyciła pantofle, tunikę oraz pas pozostawiony na piasku. Wróciła na pagórek w

groteskowych podskokach, przywdziewając po drodze swój skąpy strój.

Belesa, niespokojnie obserwując zbliżający się żagiel, złapała ją za rękę i obie pospieszyły w stronę fortu. Kilka chwil po tym, jak wkroczyły do bramy w palisadzie z kłód, która otaczała budynek, przenikliwy dźwięk trąbki wstrząsnął robotnikami w ogrodach i mężczyznami otwierającymi właśnie drzwi hangarów, by zepchnąć łodzie rybackie po rolkach na wodę.

Każdy poza fortem rzucał swe narzędzia albo przerywał, cokolwiek robił, i biegł ku ostrokołowi, nie przystając, by się rozglądać za przyczyną alarmu. Rozproszone szeregi uciekających zbiegały się u otwartej bramy, a wszystkie głowy wykręcały, wpatrując się strachliwie w ciemną linię drzew na wschodzie. Nikt nie spoglądał ku morzu.

Przewalali się przez bramę, wykrzykując pytania do wartowników, którzy patrolowali ławę ogniową zbudowaną poniżej szczytów zaostzonych, ustawionych pionowo bali palisady.

– Co jest? Czemu zostaliśmy wezwani? Piktowie nadchodzą?

W odpowiedzi jeden z milkliwych zbrojnych w wytartych skórach i pordzewiałej stali wskazał ku południu. Z jego punktu obserwacyjnego żagiel był już widoczny. Mężczyźni poczęli wspinać się na ławę, patrząc w stronę morza.

W małej wieży obserwacyjnej na dachu dworu, który zbudowany był z bali jak pozostałe budynki, hrabia Valenso oglądał wyłaniający się żagiel, kiedy ten okręzał kraniec południowego cypla. Hrabia był szczupłym, żyłastym mężczyzną średniego wzrostu, w zaawansowanym wieku średnim. Miał ciemną skórę i

posepne oblicze. Jego pludry i dublet wykonane zostały z czarnego jedwabiu, do stroju kolor wносиły jedynie klejnoty, jakie błyszczały na rękojeści broni, oraz ciemnowiśniowy płaszcz przerzucony niedbale przez ramię. Nerwowo podkręcił cienkiego, czarnego węża i zwrócił swe mroczne spojrzenie na seneszala – mężczyznę o twardym obliczu, w stali i atłasie.

– Co ty na to, Galbro?

– Karaka – odrzekł seneszal. – To karaka zbalastowana i ożaglowana jak jednostka barachańskich piratów... Popatrz tam!

Jego krzykowi zawtórował chór głosów pod nimi. Statek minął przylądek i ciął na wskroś wody zatoki. Wszyscy dostrzegli banderę, która nagle wyłoniła się na topie – czarną, z purpurową czaszką lśniąca w słońcu.

Lud za ostrokołem wpatrzył się obłądnym wzrokiem w ten przerażający emblemat, po czym wszystkie oczy zwróciły się w kierunku wieży, gdzie stał ponuro władca fortu. Jego płaszcz łopotał na wietrze.

– To Barachańczyk, bez wątpienia – mruknął Galbro. – I o ile nie oszalałem, to *Czerwona Dłoń Stroma*. Co on robi na tym pustym wybrzeżu?

– Nie przynosi nam nic dobrego – warknął hrabia. Spojrzenie rzucone w dół ukazało mu zamknięte potężne wrota i połyskującego stałą dowódcę zbrojnych, który kierował swych ludzi na stanowiska: niektórych na ławę, innych do niżej położonych okrągłych otworów strzelniczych. Główne siły zbierał wzdłuż zachodniego ogrodzenia, pośrodku którego znajdowała się brama.

Za Valensem na wygnanie podążyła setka ludzi: żołnierzy, wasali

i podległych chłopów. Wśród nich ze czterdziestu było zbrojnych, noszących hełmy, ubranych w kolczugi i wyposażonych w miecze, topory oraz kusze. Resztę stanowili pracownicy bez zbroi z wyjątkiem kaftanów z utwardzonej skóry. Byli wszelako mężnymi siłaczami wprawnymi w użyciu swych łowieckich łuków, siekier drwali i włóczni na dziki. Zajęli stanowiska, groźnie spoglądając na odwiecznych wrogów. Piraci z Wysp Barachańskich, maleńkiego archipelagu na południowy zachód, u wybrzeży Zingary, nękali lud ze stałego lądu od ponad wieku.

Mężczyźni na ostrokole ścisnęli łuki oraz włócznie na dziki i zapatrzyli się posępnie na karakę z mosiężnymi, błyszczącymi w słońcu wykończeniami, wchodzącą na wody przybrzeżne. Mogli dostrzec sylwetki rojące się na pokładzie i dosłyszeć żywiołowe wrzaski ludzi morza. Wzdłuż relingu błyszczała stal.

Hrabia opuścił wieżę, wyrzucając z niej przedtem swą siostrzenicę i jej krewką protegowaną, wdział hełm oraz kirys i udał się ku palisadzie, by pokierować obroną. Jego poddani obserwowali go ze smętną beznadzieją. Zamierzali sprzedać swe życie tak drogo, jak tylko zdołają, lecz mieli nikłą nadzieję na zwycięstwo, pomimo mocnej pozycji. Przytłaczało ich przekonanie o nieuchronności losu. Rok na pustym wybrzeżu, z wiszącą nieustannie nad nimi, mającą za plecami groźbą ze strony tego nawiedzonego przez diabła lasu, przyćmił ich dusze mrocznymi przeczuciami. Kobiety stały, milcząc, na progach chat zbudowanych wewnątrz ostrokołu i uciszały zgiełk własnych dzieci.

Belesa i Tina przyglądały się temu skwapliwie z wyżej położonego okna dworu. Belesa poczuła, jak napięte ciało dziewczynki drży całe objęte jej obronnym ramieniem.

– Rzuca kotwicę niedaleko hangaru – wymamrotała Belesa. – Tak! Oto poszła kotwica, sto jardów od brzegu. Nie trzęś się tak, dziecko! Nie zdołają wziąć fortu. Być może chcą tylko świeżej wody i zapasów. Może sztorm przywiał ich na te wody.

– Płyną do brzegu barkasami! – wykrzyknęła dziewczynka. – Och, moja pani, lękam się! To duzi ludzie w zbrojach! Popatrz, jak słońce krzesze skry na ich pikach i burgonetach! Czy oni nas zjedzą?

Pomimo obaw Belesa wybuchła śmiechem.

– Oczywiście, że nie! Któż nawkładał ci do głowy takich pomysłów?

– Zingelito powiedział mi, że Barachańczycy zjadają kobiety.

– Drażnił się z tobą. Barachańczycy są okrutni, ale nie gorsi od zingarańskich renegatów, którzy sami zwą się bukanierami. Zingelito był niegdyś bukanierem.

– Był okrutny – mruknęła dziewczynka. – Cieszę się, że Piktowie odcięli mu głowę.

– Cicho, dziecko. – Belesa wzdrygnęła się lekko. – Nie wolno ci tak mówić. Popatrz, piraci dotarli na brzeg. Ustawiają się na plaży, a jeden z nich idzie w stronę fortu. To musi być Strom.

– Ahoj, tam w forcie! – zabrzmiało pozdrowienie rzucone głosem porywistym niczym wiatr. – Przybywam pod flagą rozejmu!

Nad ostrzami palisady pojawiła się skryta pod hełmem głowa hrabiego – srogie oblicze przybrane w stal. Posępnie przyjrzał się piratowi. Strom zatrzymał się w odległości, z której było go dobrze słychać. Był dużym mężczyzną o odkrytej głowie, jego jasnobrązowe włosy powiewały na wietrze. Z wszystkich morskich rozbójników zamieszkujących Barachany żaden nie sływał ze swej

diaboliczności bardziej niż on.

– Mów! – rozkazał Valenso. – Mam nikłą potrzebę, by prowadzić rozmowę z kimś twego pokroju.

Strom zaśmiał się ustami, nie oczami.

– Kiedy twój galeon uciekł mi zeszłego roku w tym szkwale przy Trallibach, nigdy nie myślałem, że spotkam cię ponownie na wybrzeżu piktyjskim, Valenso! – rzekł. – Chociaż wówczas zastanawiałem się, co też może być twym celem. Na Mitrę, gdybym wiedział, już wtedy podążyłbym za tobą! Przed chwilą odżyłem na nowo, kiedy ujrzałem twego szkarłatnego sokoła powiewającego nad fortecą tam, gdzie nie spodziewałem się ujrzeć niczego prócz nagiej plaży. Znalazłeś go, oczywiście?

– Co znalazłem? – odburknął hrabia niecierpliwie.

– Nie próbuj przede mną udawać! – Krewki charakter pirata objawił się na chwilę w niecierpliwym wybuchu. – Wiem, dlaczego tu przybyłeś... I ja przybyłem z tego powodu. Nie zamierzam dać się powstrzymać. Gdzie jest twój statek?

– To nie twoja sprawa.

– Nie masz żadnego – stwierdził pewien siebie pirat. – Widzę kawałki masztu galeonu w tym ostrokole. Musiał jakoś ulec zniszczeniu, po tym jak tu wylądowałeś. Gdybyś miał statek, odpłynąłbyś ze swym łupem dawno temu.

– O czym ty mówisz, do cholery?! – wrzasnął hrabia. – Moim łupem? Czyż jestem Barachańczykiem, żeby palić i grabić? A nawet gdyby, cóż miałbym zagrabić na tym pustym wybrzeżu?

– To, co przybyłeś odnaleźć – odrzekł zimno pirat. – Tę samą rzecz, po którą przybyłem tu ja... I zamierzam ją dostać. Ale mogę dobić targu: oddaj mi łup, a pójde swoją drogą i zostawię was w

pokoju.

– Chyba oszalałeś – warknął Valenso. – Przybyłem tu, by znaleźć samotność i odosobnienie, którym się cieszyłem, dopóki nie wypełzłeś z morza, ty płowogłowy psie. Idź precz! Nie prosiłem się o układy, a teraz jestem zmęczony tą pustą gadaniną. Zabierz swych łotrów i idź własną drogą.

– Kiedy odejdę, zostawię tę budę w zgliszczach! – ryknął pirat w przypływie gniewu. – Po raz ostatni... Oddasz mi łup w zamian za wasze życie? Jesteście osaczeni, a ja mam stu pięćdziesięciu ludzi gotowych podciąć wam gardła na jedno me słowo.

W odpowiedzi hrabia wykonał szybki gest ręką poniżej ostrzy palisady. Niemal natychmiast przez jeden z otworów strzelniczych brzęknęło jadowicie drzewce i roztrzaskało się na napierśniku Stroma. Pirat wrzasnął dziko, odskoczył wstecz i pobiegł w stronę plaży otoczony zewsząd świszczącymi strzałami. Jego ludzie ryknęli i ruszyli naprzód niczym fala z ostrzami błyszczącymi w słońcu.

– A niech cię, psie! – wściekł się hrabia, powalając odzianą w stal pięścią łuczника, który wyprowadził go z równowagi. – Czemu nie strzelałeś w gardło powyżej obojczyka? Przygotujcie łuki, ludzie... Oto nadchodzą!

Strom jednak dotarł do swojej załogi i powstrzymał jej szaleńczy pęd. Piraci rozproszyli się w długi szereg, który sięgał aż za krańce zachodniego ogrodzenia, i postępowali naprzód ostrożnie, wypuszczając strzały podczas marszu. Ich bronią były długie łuki, a ich łucznicy lepsi od Zingarańczyków. Ci ostatni byli jednak chronieni przez osłonę. Długie strzały zataczały łuk ponad ostrokołem i wbijały się, drżąc, pionowo w ziemię. Jedna trafiła w

parapet okna, z którego wyglądała Belesa, wyrywając krzyk strachu z ust Tiny, która odskoczyła skulona z szeroko rozwartymi oczyma utkwionymi w jadowite, drgające drzewce.

W zamian Zingarańczycy posyłali swe bełty i myśliwskie strzały, celując i strzelając bez nadmiernego pośpiechu. Kobiety zagnały dzieci do chat i teraz ze stoickim spokojem oczekiwały na los, jaki bogowie trzymali dla nich w zanadrzu.

Barachańczycy słynęli z zapalczywego stylu walki na oślep, lecz byli równie czujni, jak okrutni i nie zamierzali na próżno marnować sił w bezpośrednich natarciach na obwarowanie. Utrzymali szeroko rozrzucony szyk, przemieszczając się powoli i korzystając z każdego naturalnego zagłębienia czy odrobiny roślinności, której nie było zbyt wiele, gdyż obszar dookoła fortu został oczyszczony ze względu na groźbę piktyjskich napaści.

Kilka ciał zaległo nieruchomo twarzą do piaszczystej ziemi, pancerze na ich plecach połyskiwały w słońcu, drzewce bełtów wystawały im spod pach albo z szyi. Ale piraci byli szybcy jak koty, nieustannie zmieniający stanowiska, chronieni nadto przez lekkie zbroje. Ich ostrzał stanowił ustawiczne zagrożenie dla ludzi za ostrokołem. Było wszak nadal jasne, iż tak długo, jak bitwa pozostanie wymianą strzał, przewaga musi pozostać po stronie osłoniętych Zingarańczyków.

Ale dalej, przy hangarze na plaży, jacyś ludzie wzięli się do pracy siekierami. Hrabia zaklął siarczyście, kiedy ujrział spustoszenia, jakie czynili pośród jego łodzi, które w trudzie zbudowano z desek odciętych od masywnych kłód.

– A niech ich... Budują pluteję! – szalał. – Teraz wycieczka, zanim ją skończą... Póki są rozproszeni...

Galbro pokręcił głową, spoglądając na pozbawionych zbroi poddanych z ich nieporadnymi pikami.

– Ich strzały zrobią z nas sito, a nadto nie dostoimy im w walce wręcz. Musimy trzymać się za ogrodzeniem i ufać naszym łucznikom.

– Całkiem nieźle – warknął Valenso. – O ile zdołamy utrzymać ich za ogrodzeniem.

Wkrótce zamiary piratów stały się jasne dla wszystkich, kiedy grupa około trzydziestu mężczyzn postąpiła naprzód, pchając wielką tarczę sporządzoną z desek łodzi i drewna samego hangaru. Znaleźli wózek od wołu i umieścili pluteję na kołach – wielkich, solidnych kręgach z dębiny. Gdy toczyli ją niemrawo przed sobą, skrywała ich przed wzrokiem obrońców, z wyjątkiem widywanych w przelocie poruszających się stóp.

Pluteja toczyła się w stronę bramy, a rozproszony szereg łuczników począł zbiegać się w jej kierunku, strzelając w ruchu.

– Strzelajcie! – wrzasnął siniejący Valenso. – Zatrzymajcie ich, nim dotrą do bramy!

Chmura strzał świsnęła zza palisady i utknęła nieszkodliwie w grubym drewnie. Odpowiedzią na salwę było prześmiewcze zawodzenie. Teraz, kiedy piraci podciągnęli bliżej, ich strzały odnajdywały otwory strzelnicze i jakiś żołnierz spadł z ławy, dławiąc się, z gardłem przebitym długim na jard drzewcem.

– Strzelajcie im w stopy! – wrzasnął Valenso, a po chwili dodał: – Czterdziestu ludzi z pikami i toporami pod bramę! Reszta utrzymuje ogrodzenie!

Bełty pruły piach przed sunącą tarczą. Żądne krwi wycie oznajmiło, że jeden odnalazł cel pod dolną krawędzią, i jakiś

utykający człowiek pojawił się na widoku, przeklinając w nadziei, że uda mu się wyciągnąć pocisk, który trafił go w stopę. W jednej chwili utkwiał w nim tuzin myśliwskich strzał.

Jednak pluteję dopchnięto z gardłowym okrzykiem do ogrodzenia i przez otwór pośrodku tarczy wyskoczył ciężki, zwieńczony stalą bom, który zaczął łomotać w bramę, wiedziony krzepkimi ramionami o węzłowatych mięśniach i wycofywany z żądną krwi furją. Potężna brama jęczała i chwiała się, podczas gdy zza ostrokołu równomiernym gradem wylewały się bełty i niektóre trafiały. Ale dzicy ludzie morza rozpaleni byli żądzą walki.

Kołysali taranem z głębokim okrzykiem, a pozostali zbliżali się ze wszystkich stron ośmieleni słabnącym ogniem zza ogrodzenia, strzelając mocno i szybko.

Przeklinając jak szaleniec, hrabia skoczył z ogrodzenia i pobiegł do bramy, dobywając miecza. Za nim, ściskając włócznie, cisnęła się grupka zdesperowanych zbrojnych. Za moment brama miała runąć, a oni mieli wypełnić lukę swoimi ciałami.

Wówczas w zgiełk bitwy wdarł się nowy ton. Była to trąbka dmąca przeraźliwie ze statku. Jakaś postać na salingu machała rękami i gestykulowała dziko.

Dźwięk ten uszy Stroma zarejestrowały w chwili, gdy użyczał swej siły do rozhuśtania tarana. Napiął potężne mięśnie i powstrzymał pozostałych, zapierając się nogami, żeby utrzymać odwiedziony taran. Obrócił głowę, pot ściekał mu po twarzy.

– Czekaście! – ryknął. – Czekaście, przekłęci! *Słuchajcie!*

W ciszy, jaka zastąpiła ten cały bawoli ryk, dźwięk trąbki stał się wyraźny, ale głos, który coś wykrzykiwał, był niezrozumiały dla ludzi wewnątrz ostrokołu.

Strom jednak zrozumiał, gdyż jego głos rozbrzmiał ponownie, wydając plugawe komendy. Taran został zwolniony, a pluteja poczęła wycofywać się spod bramy tak szybko, jak nadciągała.

– Popatrz! – krzyknęła Tina przy swoim oknie, podskakując w miejscu z szalonym podnieceniem. – Uciekają! Wszyscy! Biegną na plażę! Popatrz! Porzucają tarczę tuż za zasięgiem strzału! Wskakują do łodzi i wiosłują na statek! Och, pani, czy zwyciężyliśmy?

– Myślę, że nie. – Belesa wpatrywała się w morze. – Popatrz!

Rozsunęła kotary i wychyliła się przez okno. Jej czysty, młody głos wzniósł się ponad zdziwionymi okrzykami obrońców, kierując ich głowy w stronę, którą wskazała. Wydali głęboki jęk, gdy ujrzeli kolejny statek opływający majestatycznie południowy cypel. Kiedy tak patrzyli, podniósł on złotą królewską banderę Zingary.

Piraci Stroma chmarą ładowali się z obu stron na swą karakę, podnosząc kotwicę. Zanim przybysz przebył połowę zatoki, *Czerwona Dłoń* zniknęła już za cyplem północnym.



III

PRZYBYCIE CZARNEGO CZŁOWIEKA



- Na zewnątrz, szybko! - rzucił hrabia, szarpiąc zasuwę wrót. - Zniszczcie tę pluteję, zanim ci obcy zdołają wylądować!
- Ale Strom umknął - zaproponował Galbro - a tamten statek to

zingarańczyk.

– Rób, co każe! – ryknął Valenso. – Nie wszyscy moi wrogowie są obcokrajowcami! Na zewnątrz, psy! Trzydziestu z was, z siekierami. Zróbcie z tej plutei drewno na podpałkę. Koła sprowadźcie za ostrokół.

Trzydziestka z siekierami pognęła w kierunku plaży – krzepcy mężczyźni w tunikach bez rękawów, z ostrzami błyszczącymi w słońcu. Zachowanie ich pana sugerowało możliwość zagrożenia ze strony przybywającego statku, więc z ich pośpiechu wyzierała panika. Ludzie w forcie widzieli dobrze roztrzaskiwane drewno świszczącymi siekierami i już rębacze wracali pędem przez piaski, ciągnąc wielkie dębowe koła, zanim jeszcze zingarański statek opuścił kotwicę w miejscu, gdzie stał wcześniej okręt piracki.

– Dlaczego hrabia nie otworzy bramy i nie wyjdzie im na spotkanie? – zastanawiała się Tina. – Czyżby obawiał się, że człowiek, którego się boi, może być na tym statku?

– Co masz na myśli? – dopytywała niespokojna Belesa. Hrabia nigdy nie zniżył się do ujawnienia powodu tego samowygnańca. Nie był typem człowieka uciekającego przed wrogiem, mimo że miał ich wielu. Jednakże to przeświadczenie Tiny było niesamowite, wręcz niepokojące.

Tina najwyraźniej nie dosłyszała pytania.

– Ludzie z siekierami są na powrót za ostrokołem – rzekła. – Bramę znów zamknięto i zaryglowano. Utrzymują swoje pozycje wzdłuż ogrodzenia. Jeśli ten statek ścigał Stroma, czemu go nie goni? Ale to nie jest okręt. To karaka, jak tamta. Popatrz, łódź płynie do brzegu. Na dziobie widzę jakiegoś mężczyznę owiniętego w ciemny płaszcz.

Kiedy łódź osiadła na brzegu, człowiek ów ruszył wolnym krokiem

po piasku. Za nim podążało trzech innych. On sam był wysokim, muskularnym mężczyzną odzianym w czarny jedwab i polerowaną stal.

– Stójcie! – ryknął hrabia. – Będę rozmawiać wyłącznie z waszym przywódcą!

Wysoki przybysz zdjął swój morion i wykonał dworski ukłon. Jego towarzysze stanęli, otulając się szerokimi płaszczami, a marynarze z tyłu, za nimi, wsparli się na wiosłach i przypatrywali sztandarowi powiewającemu nad palisadą.

Kiedy tamten podszedł na odległość głosu od bramy, rzekł:

– Cóż, na tych pustych wodach z pewnością nie powinno być podejrzliwości między ludźmi kulturalnymi.

Valenso patrzył nań podejrzliwie. Przybysz był ciemny, o szczupłej, drapieżnej twarzy i wąskim, czarnym wąsiku. Pod szyją nosił obfite koronki, które miał także przy mankietach.

– Znam cię – powiedział z wolna Valenso. – Ty jesteś Czarny Zarono, bukanier.

Przybysz ponownie skłonił się z wyniosłą elegancją.

– A któż mógłby nie rozpoznać czerwonego sokoła Korzettów!

– Zdaje się, że to wybrzeże stało się miejscem spotkań wszystkich łotrów z mórz południowych – warknął Valenso. – Czego chcesz?

– Ależ, ależ, mój panie! – oburzył się Zarono. – To grubiańskie powitanie wobec kogoś, kto właśnie oddał ci przysługę. Czy to nie ten argoseański pies Strom dobijał się dopiero co do waszej bramy? I czyż nie zmył się prędko, kiedy ujrzał, że okrążam cypel?

– Fakt – mruknął hrabia niechętnie. – Jakkolwiek niewielka jest różnica między piratem a renegatem.

Zarono roześmiał się bez urazy i podkręcił wąsa.

– Jesteś szczery w swej wymowie, mój panie. Chcę tylko pozostać na kotwicy w twojej zatoce, żeby pozwolić swym ludziom zapolować na mięso i poszukać wody w tym lesie, a samemu być może, wypić szklaninę wina przy twoim stole.

– Nie wiem, jak miałbym cię powstrzymać – warknął Valenso. – Ale zrozum jedno, Zarono: żaden człowiek z twojej załogi nie wejdzie za tę palisadę. Jeśli któryś zbliży się na mniej niż sto stóp, wkrótce znajdzie strzałę w swym bebechu. I żądam, byś nie czynił szkód w moich ogrodach ani bydłu w zagrodach. Dla świeżego mięsa możecie wziąć trzy woły, nie więcej. A gdybyś pomyślał inaczej, zdołamy utrzymać ten fort przed twoimi zbójami.

– Nie trzymaliście się zbyt udanie przeciwko Stromowi – wytknął bukanier z drwiącym uśmiechem.

– Nie znajdziecie drewna do budowy plutei, chyba że zrabiecie drzewa albo zerwiecie je z własnego statku – zapewnił go posepnie hrabia. – A twoi ludzie nie są barachańskimi łucznikami. Nie lepsi z nich strzelcy od moich. Ponadto marny łup, jaki byście znaleźli w tej warowni, nie byłby wart swej ceny.

– Kto tu mówi o grabieniu i walkach? – zaprotestował Zarono. – Nie, moi ludzie aż się palą, żeby rozprostować nogi na brzegu i uwolnić się od szkorbutu po żuciu solonej wieprzowiny. Gwarantuję ich dobre zachowanie. Mogą zejść na brzeg?

Valenso niechętnie wyraził zgodę, a Zarono uklonił się nieco ironicznie i oddalił krokiem tak równym i wyniosłym, jak gdyby stapał po krystalicznie wypolerowanej posadzce królewskiego pałacu w Kordavie, gdzie istotnie, jeśli plotki nie kłamały, był niegdyś postacią znaną.

– Niech nikt nie wychodzi za ostrokół – Valenso rozkazał Galbro. –

Nie ufam temu renegackiemu psu. To, że odpędził Stroma spod naszej bramy, nie stanowi gwarancji, że nie zechce poderżnąć nam gardła.

Galbro przytaknął. Miał głęboką świadomość wrogości, jaka istniała pomiędzy piratami a zingarańskimi bukanierami. Piraci byli głównie argosseńskimi [sic!] żeglarzami, którzy zwrócili się przeciw prawu; do pradawnych waśni pomiędzy Argos a Zingarą w przypadku korsarzy dochodził konflikt interesów. Obie te nacje łupiły flotę handlową oraz miasta przybrzeżne i polowały na siebie z równą drapieżnością.

Nikt więc nie wychylał się za palisadę, podczas gdy bukanierzy zeszli na brzeg – ludzie o ciemnych twarzach, w jaskrawych szatach i polerowanej stali, z głowami przewiazanymi chustami i złotymi obręczami w uszach. Rozbili obóz na plaży, coś ponad stu siedemdziesięciu, a Valenso zauważył, iż Zarono posłał na oba cypłe obserwatorów. Nie nękali ogrodów i tylko trzy bydłeta wskazane przez krzyżącego z palisady Valensa zostały wypędzone i zarżnięte. W pasie plaży rozpalono ogniska i odszpuntowano wyciągniętą na brzeg pełną piwa baryłkę z drewna akacjowego.

Pozostałe kegi napełniono wodą ze źródła, które było w niewielkiej odległości na południe od fortu, i ludzie zaczęli rozłazić się w stronę lasu z kuszami w dłoniach. Widząc to, Valenso posunął się do tego, by krzyknąć do Zarona przechadzającego się w tę i z powrotem po obozie:

– Nie pozwól swoim ludziom wchodzić do puszczy. Weź jeszcze jednego wołu z zagrody, jeśli nie dość wam było mięsa. Gdy zaczną rozbijać się po lesie, mogą zdrzeć z Piktami. W głębi puszczy mieszkają całe plemiona tych wymalowanych diabłów. Odparliśmy

ich atak krótko po tym, jak wylądowaliśmy, a od tego czasu przy różnych okazjach w tej puszczy sześciu moich ludzi zostało zamordowanych. Akurat teraz panuje między nami pokój, ale wisi on na włosku. Nie ryzykuj podrażnienia.

Zarono obrzucił zaskoczonym spojrzeniem posepnie groźną puszcę, jak gdyby spodziewał się ujrzeć hordy czających się tam dzikich postaci. Potem ukłonił się i rzekł:

– Dziękuję ci za to ostrzeżenie, mój panie.

Przywołał swych ludzi zgrzytliwym głosem, jaki kontrastował dziwnie z jego dworskim tonem, którym zwracał się do hrabiego.

Gdyby Zarono zdołał przejrzeć liściastą zasłonę, miałby większe obawy, gdyż ujrzaliby złowrogą postać, która się tam czaiła, obserwując przybyszów nieprzeniknionymi, czarnymi oczyma – odrażająco wymalowanego wojownika, nagiego poza przepaską biodrową z sarniej skóry i piórem tukana zwisającym mu zza lewego ucha.

Kiedy nadciągnął wieczór, cienka pokrywa szarości wypełzła spoza krawędzi wód i przesłoniła niebo. Słońce opadło, pławiąc się w szkarłacie i barwiąc krwście wierzchołki czarnych fal. Znad morza nasunęła się mgła, która owionęła stopy puszczy, kłębiąc się wokół ostrokołu wełniastymi smugami.

Ogniska na plaży świeciły poprzez mgłę mętym szkarłatem, a śpiewy bukanierów zdawały się stłumione i odległe. Przewieźli z karaki stare płótna żaglowe i zrobili z nich schronienia wzdłuż plaży, gdzie wołowina wciąż się piekła, a piwo wydane im przez kapitana rozdzielane było oszczędnie.

Wielka brama pozostawała zamknięta i zaryglowana. Żołnierze beznamiętnie przemierzali ławę palisady z pikami na ramieniu i

paciorkami wilgoci połyskującymi na stalowych czepcach. Niespokojnie spoglądali ku ogniskom na plaży, patrząc z większą wytrwałością w kierunku puszczy będącej teraz niewyraźną ciemną linią pośród pełzającej mgły. Pobliskie otoczenie, pozbawione życia, puste, stanowiło pociemniałą przestrzeń. Przez szczeliny chat prześwitywały słabo świece, tylko z okien dworu wylewał się strumień światła. Z wyjątkiem odgłosów kroków strażników, wody kapiącej z okapów oraz odległych śpiewów bukanierów panowała cisza.

Jakieś nikłe echo owych śpiewów przenikało do wielkiej sali, gdzie Valenso siedział przy winie z niezapowiedzianym gościem.

– Twoi ludzie głośno się radują, mój panie – burknął hrabia.

– Cieszą się, że znów czują piach pod stopami – rzekł Zarono. – To była żmudna podróż... Tak, długi i srogi pościg. – Wytwornie wzniosł puchar ku obojętnej dziewczynie, która siedziała po prawicy gospodarza, i przepił do niej z namaszczeniem.



Beznamiętni świadkowie stali pod ścianami – żołnierze z pikami, w hełmach, sładzy w atłasowych sukmanach. Domostwo hrabiego w tym dzikim kraju stanowiło mgliste odbicie dworu, jaki utrzymywał w Kordavie.

Dwór – nalegał, by tak go zwać – był na tym wybrzeżu czymś cudownym. Budując go, stu ludzi pracowało miesiącami dzień i noc. Zewnętrzne ściany z bali pozbawione były ozdób, ale w środku stanowił on, na ile to możliwe, niemal kopię zamku Korzetta. Belki,

jakie tworzyły ściany sali, przykryte były ciężkimi jedwabnymi tapiseriami wyszywanymi złotem.

Pokładniki, zabejcowane i wypolerowane, tworzyły belki stropowe wspierające wyniosły sufit. Podłoga pokryta została kosztownymi dywanami. Szerokie schody, jakie prowadziły z sali w górę, podobnie pokryte były dywanami, a ich masywna balustrada stanowiła niegdyś reling galeonu.

Ogień w obszernym kamiennym kominku rozpraszał chłód nocy. Świece w wielkim srebrnym kandelabrze na środku szerokiego mahoniowego blatu oświetlały salę, rzucając długie cienie na schody. Hrabia Valenso siedział u szczytu tego stołu, przewodząc towarzystwu złożonemu z jego siostrzenicy, ich pirackiego gościa, Galbra oraz dowódcy straży. Skromność kompanii uwydatniała rozmiary obszernego blatu, u którego pięćdziesięciu gości mogło zasiąść z łatwością.

– Płynąłeś w ślad za Stromem? – zapytał Valenso. – Zapędziłeś go aż tak daleko?

– Płynąłem w ślad za Stromem – zaśmiał się Zarono – ale on nie umknął przede mną. Strom nie jest człowiekiem, który umyka przed kimkolwiek. Nie, on przybył, szukając czegoś, czego i ja pragnę.

– Cóż może zwabić pirata czy bukaniera do tego pustego kraju? – wymamrotał Valenso, przypatrując się skrzęcej zawartości swego pucharu.

– A co skusiło hrabiego Kordavy? – odciął się Zarono, a w jego oczach na chwilę zapłonął ogień chciwości.

– Zgnilizna królewskiego dworu może zbrzydnąć człowiekowi honoru – stwierdził Valenso.

– Pełni honoru Korzettowie znosili tę zgniliznę ze spokojem przez

kilka pokoleń – rzekł otwarcie Zarono. – Zaspokój mą ciekawość, panie... Dlaczego sprzedałeś ziemię, zapakowałeś swój galeon wyposażeniem swego zamku i pożeglowałeś za horyzont bez wiedzy króla oraz nobilów Zingary? I czemu osiadłeś tutaj, kiedy twój miecz oraz twe imię mogłyby ci wyciąć miejsce w każdym cywilizowanym kraju?

Valenso bawił się złotym, potwierdzającym jego godność łańcuchem na szyi.

– Gdy chodzi o to, dlaczego opuściłem Zingarę – odezwał się – to moja sprawa. Ale to przypadek rzucił mnie tutaj. Sprowadziłem na brzeg ludzi i wiele z wyposażenia, o którym wspomniałeś, z zamiarem wybudowania tymczasowego miejsca zamieszkania. Jednak mój statek, zakotwiczony tam, w zatoce, został zepchnięty na klify północnego cypla i strzaskany przez niespodziewany sztorm od zachodu. Takie sztormy są czymś powszechnym o pewnych porach roku. Potem nie pozostało już nic innego, jak tylko zostać i żyć, jak się da.

– Zatem powróciłbyś do cywilizacji, gdybyś mógł?

– Nie do Kordavy. Lecz może w jakieś inne strony... do Vendhyi albo Khitaju.

– Czy pobyt tutaj nie jest nużący, moja pani? – zapytał Zarono, po raz pierwszy zwracając się bezpośrednio do Belesy.

Tego wieczoru dziewczynę przywiodło do wielkiej sali łąknienie, by ujrzeć nową twarz i usłyszeć nowy głos. Jednak teraz żałowała, że nie została w komnacie wraz z Tiną. Nie było wątpliwości co do wymowy spojrzenia, jakie zwrócił ku niej. Jego mowa była obyczajna i stosowna, a wyraz twarzy stateczny i pełen szacunku, lecz była to maska, przez którą prześwitywał gwałtowny i złowieszczy duch tego

człowieka. Nie potrafił powstrzymać pożądania płonącego mu w oczach, kiedy patrzył na młodą arystokratyczną piękność w atlasowej sukni o głębokim dekolcie, z wyszywaną klejnotami przepaską.

– Mało tu różnorodności – odrzekła cichym głosem.

– Gdybyś miał statek – Zarono otwarcie spytał gospodarza – opuściłbyś to siedlisko?

– Być może – powiedział hrabia.

– Ja mam statek – oznajmił Zarono. – Gdyby udało się nam osiągnąć porozumienie...

– Co za porozumienie? – Valenso uniósł głowę, przypatrując się podejrzliwie swemu gościowi.

– Sprawiedliwy i równy podział – rzekł Zarono, kładąc na blacie dłoń z szeroko rozstawionymi palcami. Gest ten osobliwie przywodził na myśl wielkiego pająka. Jednak palce drżały mu od dziwnego napięcia, a oczy zapłonęły nowym światłem.

– Podział czego? – Valenso wpatrywał się w niego z jawną konsternacją. – Złoto, które przywiozłem ze sobą, poszło na dno na moim statku i odmiennie niż połamane drwa, nie zostało wyrzucone na brzeg.

– Nie tego! – Zarono machnął niecierpliwie ręką. – Bądźmy szczerzy, mój panie. Czy tylko udajesz, że to przypadek spowodował, iż wylądowałaś dokładnie w tym miejscu, mając tysiąc mil wybrzeża do wyboru?

– Nie ma potrzeby udawać – odparł Valenso. – Moim szyprem był niejaki Zingelito, niegdysiejszy bukanier. Żeglował wzdłuż tego wybrzeża i to on nakłonił mnie, bym wylądował tutaj, mówiąc, iż ma jakiś powód, który wyjawi później. Jednak powodu owego nie ujawnił nigdy, ponieważ nazajutrz po tym, jak wylądowaliśmy, zniknął w

lesie, a jego bezgłowe ciało zostało znalezione później przez grupę myśliwych. Najwidoczniej został schwyty w pułapkę i zarżnięty przez Piktów.

Zarono wpatrywał się chwilę w Valensa nieruchomymi oczyma.

– Niechże utonę! – rzekł w końcu. – Wierzę ci, mój panie. Korzettowie, niezależnie od innych swoich osiągnięć, nie posiadli biegłości w kłamstwie. A ja uczynię ci propozycję. Przyznam, kiedy kotwiczyłem w tej zatoce, miałem w głowie inne plany. Przypuszczając, że już pozyskałeś skarb, zamierzałem wziąć ten fort sposobem i podciąć wam wszystkim gardła. Ale okoliczności zmuszają mnie do zmiany zdania... – Obrzucił spojrzeniem Belesę, co wywołało na jej twarzy rumieniec i sprawiło, że pełna oburzenia uniosła głowę. – Mam statek, by wywieźć was z tego wygnania – stwierdził bukanier – razem z dobytkiem i tymi dworzanami, których wybierzesz. Reszta może zatroszczyć się o siebie sama.

Podwładni przy ścianach obrzucili jeden drugiego niespokojnym wzrokiem. Zarono kontynuował, zanadto brutalny i cyniczny, żeby taić swe zamiary.

– Najpierw jednak musisz pomóc mi zdobyć skarb, po który płynąłem tysiąc mil.

– Jaki skarb, w imię Mitry? – dopytywał hrabia ze złością. – Ujadasz teraz jak ten pies Strom.

– Słyszałeś kiedykolwiek o Krwawym Tranicosie, największym z barachańskich piratów? – spytał Zarono.

– A kto nie słyszał? Zajął wyspę zamkową księcia Tothmekriego wygnanego ze Stygii, wyciął ludzi i wywiózł skarb, jaki księżę zabrał ze sobą, kiedy umykał z Khemi.

– Tak jest! I ta opowieść sprowadziła ludzi z Czerwonego Bractwa,

którzy zarobili się niczym sępy wokół padliny: piratów, bukanierów, nawet czarnych korsarzy z Południa. Bojąc się zdrady swoich dowódców, umknął on ku północy jednym statkiem i słuch po nim zaginął. Było to blisko sto lat temu. Opowieść ta wszak obstaje przy tym, że jeden człowiek przeżył tę ostatnią podróż i powrócił na Barachany tylko po to, żeby dać się schwytać zingarańskiemu okrętowi. Zanim go powieszono, własną krwią opowiedział na pergaminie swoją historię i wyrysował mapę, którą jakoś przemycił w sposób niedostępny dla tych, co go pojмали. Oto relacja, jaką przekazał: Tranicos popłynął daleko poza szlaki żeglugowe, aż przybył do zatoki na pustym wybrzeżu i tam zakotwiczył. Zszedł na brzeg, zabierając skarb i jedenastu najbardziej zaufanych dowódców, którzy towarzyszyli mu na statku. Wykonując jego rozkazy, okręt odpłynął, aby powrócić w ciągu tygodnia i zabrać swego głównodowodzącego oraz jego dowódców. W tym czasie Tranicos zamierzał ukryć skarb gdzieś w okolicach zatoki. Statek powrócił w wyznaczonym czasie, ale nie było śladu Tranicososa i jego jedenastu dowódców, z wyjątkiem zgrzebnego lokum, jakie zbudowali na plaży. Było ono zniszczone, a dookoła znajdowały się ślady stóp, nie było wszak żadnych śladów, które by wskazywały, że stoczono jakąś walkę. Nie było również ani śladu skarbu, ani też śladu, jaki ukazywałby, gdzie został on ukryty. Piraci zagłębili się w puszcze w poszukiwaniu swego wodza oraz jego dowódców, ale zostali zaatakowani przez dzikich Piktów i zepchnięci na statek. Utraciwszy wszelką nadzieję, podnieśli kotwicę i odpłynęli, lecz nim poinformowali Barachańczyków, co zaszło, straszliwy sztorm roztrzaskał statek i tylko jeden człowiek przeżył. Oto jest opowieść o skarbie Tranicososa, którego ludzie poszukują na próżno od blisko

wieku. Wiadomo, że mapa istnieje, lecz miejsce, w jakim się znajduje, pozostaje zagadką. Raz przelotnie widziałem tę mapę. Strom i Zingelito byli ze mną i Nemedyczyk, który żeglował z Barachańczykami. Oglądaliśmy ją w szopie w pewnym zingarańskim mieście portowym, gdzie ukrywaliśmy się w przebraniu. Ktoś przewrócił lampę, ktoś zawył w ciemności, a kiedy ponownie zapaliliśmy światło, stary kutwa, który posiadał mapę, okazał się martwy z dirkiem w sercu. Mapy nie było, a straż nocna już nadbiegała, grzechocząc pikami, aby zbadać ten zgiełk. Rozproszyliśmy się i każdy poszedł swoją drogą. Od tego czasu obserwowaliśmy się ze Stromem, obaj przypuszczając, iż ten drugi ma mapę. Cóż, jak się okazało, żaden jej nie miał, ale niedawno doszły mnie wieści, że Strom udał się ku północy, więc podążyłem za nim. Oglądałeś koniec tego pościgu. Widziałem mapę tylko przelotnie, kiedy leżała na stole tego starego sknery, i nie potrafiłem nic o niej powiedzieć. Ale posunięcia Stroma wskazywały, iż wie, że to jest ta zatoka, gdzie zakotwiczył Tranicos. Uważam, że ukryli skarb gdzieś w tej puszczy, a gdy wracali, zostali zaatakowani i zabici przez Piktów. Piktowie nie dostali skarbu. Różni ludzi handlujący w górę i w dół tego wybrzeża nie wiedzą nic o skarbie, a żadnej złotej ozdoby ani rzadkiego klejnotu w posiadaniu plemion przybrzeżnych nigdy nie widziano. Oto moja propozycja: połączmy nasze siły. Strom jest gdzieś niedaleko. Umknął z obawy, że znajdzie się w potrzasku między nami, ale powróci. Sprzymierzeni możemy wszelako śmiać się z niego. Możemy wyprawić się z fortu, pozostawiwszy tutaj dość ludzi, by się utrzymali, jeżeli zaatakuje. Ufam, że skarb ukryty jest w pobliżu. Dwunastu ludzi nie mogło go przenieść daleko. Znajdziemy skarb, załadujemy na mój statek i odpłyniemy do jakiegoś

zagranicznego portu, gdzie zdołam ukryć swą przeszłość za złotem. Mam dość tego życia. Chcę powrócić do cywilizowanego kraju i żyć jak nobil: z bogactwem i niewolnikami, i zamkiem... i żoną o szlachetnej krwi.

– No i? – dopytywał hrabia, zmrużywszy podejrzliwie oczy.

– Daj mi swą siostrzenicę za żonę – zażądał wprost bukanier.

Belesa wykrzyknęła i zerwała się na nogi. Valenso powstał również posiniały, jego palce zacisnęły się kurczowo na pucharze, jak gdyby rozważał, czy cisnąć nim w gościa. Zarono się nie poruszył. Siedział nieruchomo z jedną ręką na stole i palcami zagiętymi niby szpony. Jego oczy żarzyły się ognistym pożądaniem i przemożną groźbą.

– Jak śmiesz?! – wykrzyknął Valenso.

– Zdajesz się zapominać, że utraciłeś swoją wysoką pozycję, hrabio Valenso – warknął Zarono. – Nie jesteśmy na kordawańskim dworze, mój panie. Na tym pustym wybrzeżu szlachectwo mierzy się siłą ludzi i broni. A w tym cię przewyższam. Obcy przechadzają się po zamku Korzetta, a fortuna Korzettów leży na dnie morza. Umrzesz tu, wygnańcze, chyba że dam ci skorzystać z mojego statku. Nie będziesz miał powodu żałować połączenia naszych domów. Pod nowym imieniem, z nową fortuną odkryjesz, że Czarny Zarono może zająć miejsce między arystokratami tego świata i stać się zięciem, którego nawet Korzetta nie musi się wstydzić.

– Jesteś szalony, skoro tak myślisz! – wykrzyknął gwałtownie hrabia. – Ty... Kto tam?

Jego uwagę odwrócił tupot stóp w miękkich pantofelkach. Do sali pospiesznie weszła Tina i zawahała się, kiedy dostrzegła utkwione w sobie spojrzenie rozeźlonego hrabiego. Dygnęła nisko i prześliznęła się wokół stołu, by wepchnąć swe małe rączki w dłonie Belesy. Lekko

dyszała, jej pantofle były wilgotne, a lniane włosy lepiły się jej do głowy.

– Tino! – wykrzyknęła zaniepokojona Belesa. – Gdzie byłaś? Myślałam, że już od wielu godzin jesteś w swojej komnacie.

– Byłam – rzekła dziewczynka, z trudem łapiąc oddech – ale zgubiłam naszyjnik z koralami, który mi podarowałaś... – Uniosła go, trywialną błyskotkę, lecz cenniejszą niż wszystko, co posiadała, ponieważ był to pierwszy dar od Belesy dla niej. – Obawiałam się, że gdybyś się dowiedziała, nie pozwoliłabyś mi pójść... Żona jednego żołnierza pomogła mi wydostać się za ostrokół i wrócić... Proszę, moja pani, nie każ mi mówić, kim ona jest, ponieważ obiecałam tego nie czynić. Znalazłam naszyjnik przy sadzawce, w której kąpałam się dziś rano. Proszę, ukarż mnie, jeśli źle zrobiłam.

– Tino! – jęknęła Belesa, przytulając dziecko. – Nie będę cię karać. Ale nie powinnaś wychodzić za palisadę, kiedy ci bukanierzy obozują na plaży, a dookoła mogą czaić się Piktowie. Zabiorę cię do twej komnaty, zmienimy te wilgotne rzeczy...

– Tak, pani – wymamrotała Tina – lecz najpierw pozwól mi powiedzieć o tym czarnym człowieku...

– Co? – Pełen zaskoczenia wtęret był krzykiem, który wyrwał się z ust hrabiego Valensa. Jego puchar zabrzęczał na podłodze, kiedy chwycił się stołu obiema rękami. Gdyby trafił go piorun, postawa pana tej fortecy nie mogłaby zmienić się bardziej pokrętnie i strasznie. Twarz mu posiniała, oczy prawie wyskoczyły z orbit. – Co powiedziałaś? – wydyszał, świdrując szaleńczym wzrokiem dziewczynkę, która oszołomiona cofnęła się, tuląc do Belesy. – Coś widziała, dziewczko?

– Czarnego człowieka, mój panie – wydukała, podczas gdy Belesa,

Zarono i wszyscy obecni wpatrzyli się w niego z zadziwieniem. – Zobaczyłam go, kiedy zeszłam do sadzawki po mój naszyjnik. Wiatr jęczał niesamowicie, a morze zawodziło jak jakiś bojący się stwór, i wtem nadszedł. Wystraszyłam się i ukryłam za pagórkiem z piasku. Przybył z morza i dziwnej czarnej łodzi o igrającym dookoła niej niebieskim ogniu, ale nie miał żadnej pochodni. Wciągnął swą łódź na piasek poniżej południowego cypla i poszedł w kierunku puszczy, wyglądając we mgle niczym olbrzym: wielki, wysoki mężczyzna, czarny jak Kushita...

Valenso zatoczył się, jak gdyby otrzymał śmiertelny cios. Chwytał się za gardło i pod wpływem gwałtownych emocji rozerwał z hukiem złoty łańcuch. Z twarzą szaleńca przetoczył się wokół stołu i wyrwał wrzeszczące dziecko z ramion Belesy.

– Ty mała wywłoko! – wydyszał. – Kłamiesz! Słyszałaś, jak mamrocę przez sen, i wypowiedziałaś to kłamstwo, aby mnie dręczyć! Mów, że skłamałaś, nim zedrę ci skórę!

– Wuju! – krzyknęła Belesa, w pełnym wzburzenia oszołomieniu próbując uwolnić Tinę z jego uścisku. – Czyś ty oszalał? O co ci chodzi?

Z drapieżnym warknięciem oderwał jej dłoń od swego ramienia i pchnął ją, chwiejącą się, w ramiona Galbra, który pochwycił ją, niewiele się przy tym siląc, by ukryć pożądliwe spojrzenie.

– Litości, mój panie! – załkała Tina. – Ja nie skłamałam!

– Powiedziałem, że skłamałaś! – ryknął Valenso. – Gebbrelo!

Ów beznamiętnie usłużny człowiek złapał drżącą dziewczynkę i obnażył ją jednym brutalnym szarpnięciem, które zdarło z jej ciała skąpy strój. Obróciwszy ją, przeciągnął sobie smukłe ramiona przez bark, unosząc z podłogi jej wierzgające stopy.

– Wuju! – wrzasnęła Belesa, szamocząc się daremnie w lubieżnym uścisku Galbra. – Oszalałeś! Nie możesz... Och, nie możesz!... – Głos utknął jej w gardle, kiedy Valenso złapał jeździecki pejcz o nabitej klejnotami rękojeści i spuścił go na kruche ciało dziewczynki z dziką siłą, która pozostawiła czerwoną pręgę na nagich ramionach.

Belesa jęknęła; boleść we wrzasku Tiny przyprawiła ją o mdłości. Świat nagle oszalał. Jak w sennym koszmarze widziała oblicza żołnierzy i sług – oblicza zwierzęce, oblicza wołów nieodzwoiercedlające ani żalu, ani współczucia. Lekko szydercze oblicze Zarena stanowiło część tego koszmaru. Nic pośród szkarłatnej mgły nie było rzeczywiste z wyjątkiem nagiego jasnego ciała Tiny, pociętego czerwonymi bruzdami od ramion po kolana, żaden dźwięk poza ostrymi krzykami udręczonej dziewczynki i zdyszanyymi sapaniami Valensa, kiedy smagał na odlew, patrząc wzrokiem szaleńca, i wrzeszczał:

– Kłamiesz! Kłamiesz! A niech cię... Kłamiesz! Przyznaj się do winy albo obedrę twoje uparte ciało ze skóry! On nie zdołałby podążyć za mną aż tutaj...

– Och, miej litość, mój panie! – wrzeszczało dziecko, szarpiąc się daremnie na krzepkich plecach sługi, zbyt odrętwiałe ze strachu i bólu, by znaleźć na tyle rozumu i ratować się kłamstwem. Krew spływała szkarłatnymi paciorkami po jej drżących udach. – Widziałam go! Nie kłamie! Litości! Proszę! Aaach!

– Głupcze! *Ty głupcze!* – wrzeszczała Belesa, prawie wychodząc z siebie. – Nie widzisz, że ona mówi prawdę? Och, ty bestio! Bestio! Bestio!

Raptem strzępy zdrowego rozsądku najwyraźniej zaczęły powracać w umyśle hrabiego Valensa Korzetty. Upuściwszy pejcz, zatoczył się

w tył i opadł na stół, chwytając na oślep za jego krawędź. Trząśnięcie jak w febrze. Włosy przylgnęły mu do czoła wilgotnymi strąkami, a pot skapywał z posiniałego oblicza, które było niczym wyrzeźbiona maska Strachu. Tina, wypuszczona przez Gebbrela, osunęła się na podłogę niby skamlące nieszczęście. Belesa wyrwała się Galbrowi, podbiegła do niej i łkając, opadła na kolana i zamknęła nieszczęsną sierotę w swoich ramionach. Uniosła straszną twarz ku wujowi, by wylać na niego czarę swego gniewu... Ale on na nią nie patrzył. Zdało się, że zapomniał tak o niej, jak i o swojej ofierze. Zamroczona niedowierzaniem, posłyszała, jak mówi do bukaniera:

– Przyjmuję twoją propozycję, Zarono. W imię Mitry, znajdziemy ten diabelski skarb i wynieśmy się z tego przeklętego wybrzeża.

Na to ogień jej wściekłości szczył na popiół. W ogłuszającej ciszy uniosła dziecko w swych ramionach i wyniosła schodami w górę. Spojrzenie rzucone wstecz ukazało jej Valensa raczej przycupniętego niż siedzącego przy stole, pociągającego wino z ogromnego pucharu, który ścisnął trzęsącymi się dłońmi, podczas gdy Zarono górował nad nim jak posepny, drapieżny ptak, oszołomiony obrotem zdarzeń, ale prędko do skorzystania z szokującej przemiany, jaka zaszła w hrabim. Przemawiał cichym, zdecydowanym głosem, a Valenso potakiwał w niemym przyzwoleniu niczym ktoś, kto ledwie zważa na to, o czym się mówi. Galbro stał cofnięty w mroku, podskubując podbródek kciukiem i palcem wskazującym, a podwładni pod ścianami zerkali ukradkiem po sobie, skołowani zapaścią swego pana.

U góry, w swej komnacie, Belesa złożyła na wpół przytomną dziewczynkę na łóżku i usadowiła się, by przemyć oraz nałożyć kojące maści na pręgi i rozcięcia na jej delikatnej skórze. Czuła się tak, jak gdyby świat runął jej na głowę. Czuła obrzydzenie i dezorientację,

psychiczne wyczerpanie, jej nerwy drżały od brutalnego szoku po tym, czego doświadczyła. W jej duszy narosły strach i nienawiść do wuja. Nigdy go nie kochała; był szorstki i wyraźnie pozbawiony przyrodzonych uczuć, zaborczy i zachłanny. Uważała go jednak za sprawiedliwego i nieulekłego. Odrazą zatrzęsała ją na wspomnienie jego wytrzeszczonych oczu i pozbawionej krwi twarzy. Jakiś potworny strach wzbudził ów szal; i z powodu tegoż strachu Valenso potraktował tak brutalnie jedyną istotę, którą kochała i o którą się troszczyła; z powodu tegoż strachu sprzedawał ją, swą siostrzenicę, nikczemnemu banicie. Cóż takiego tkwi za tym szaleństwem? Kim jest ów czarny człowiek, którego widziała Tina?

Dziewczynka mamrotała, na wpół majacząc.

– Nie kłamałam, pani! Naprawdę! To był czarny człowiek w czarnej łodzi, która płonęła na wodzie jak błękitny ogień! Wysoki mężczyzna, czarny jak negroid, otulony w czarny płaszcz! Wystraszyłam się, kiedy go ujrzałam, i zmroziło mi krew. Zostawił swą łódź na piasku i wszedł do puszczy. Dlaczego hrabia wychłostał mnie za to, że go zobaczyłam?

– Cicho, Tino – uspokajała ją Belesa. – Leż cicho. Boleści niedługo miną.

Drzwi za jej plecami otwarły się, a ona odwróciła się gwałtownie, chwytając nabijany klejnotami sztylet. W drzwiach stał hrabia. Na jego widok ścierpła jej skóra. Wyglądał, jakby przybyło mu lat, twarz miał szarą i wynędzniałą, a oczy spoglądały w sposób, który w jej piersi zrodził strach. Nigdy nie była mu bliska; teraz czuła, jak gdyby oddzielała ich otchłań. Ten, który tam stał, nie był jej wujem, lecz obcym przybyłym, by jej zagrozić.

Uniosła sztylet.

– Jeśli znowu ją tkniesz – wyszeptała spierzchniętymi wargami – to przysięgam przed Mitrą, że zatopię to ostrze w twojej piersi.

Nie zwrócił na nią uwagi.

– Rozmieściłem silną straż wokół dworu – powiedział. – Jutro Zarono wprowadzi swoich ludzi za ostrokół. Nie odpłynie, dopóki nie odnajdzie skarbu. Kiedy go znajdzie, wypłyniemy niezwłocznie w stronę jakiegoś portu. Jeszcze nie zdecydowaliśmy którego.

– A ty sprzedasz mnie jemu? – wyszeptała. – W imię Mitry...

Utkwił w niej mroczne spojrzenie, z którego rozterki poza troską o siebie samego zostały wyparte. Wzdrygnęła się, ujrawszy w nim gorączkowe okrucieństwo, jakie opętało tego człowieka w tajemniczym strachu.

– Zrobisz, jak rozkażę – rzekł po chwili; w jego głosie nie było więcej ludzkich uczuć niż w brzęku krzemienia o stal. I odwróciwszy się, opuścił komnatę.

Porażona nagłym napływem przerażenia Belesa padła omdlała obok łóżka, na którym spoczywała Tina.

IV

CZARNY BĘBEN WARCZY



Belesa nie miała pojęcia, jak długo leżała zdruzgotana i nieprzytomna. Najpierw zdała sobie sprawę, że obejmują ją ramiona Tiny i że w jej uszach rozbrzmiewa łkanie dziewczynki. Machinalnie wyprostowała się i przyciągnęła ją w objęcia. Usiadła z suchymi oczyma, wpatrując się niewidomym wzrokiem w migoczącą świecę. W fortecy nie rozbrzmiewał żaden dźwięk. Ucichły śpiewy bukanierów na plaży. Tępo, prawie bezosobowo przemyśliwała swoją bolączkę.

Valenso oszalał, popadłszy w obłąd za sprawą historii o

tajemniczym czarnym człowieku. To dla ucieczki przed tym przybyszem chciał porzucić osadę i umknąć wraz z Zaronem. To było w pewien sposób oczywiste. Równie oczywisty był fakt, iż gotów jest poświęcić ją w zamian za ową możliwość ucieczki. W mroku ducha, który ją spowił, nie dostrzegała najmniejszego przebłysku światła. Służący tu ludzie byli tępymi, gruboskórnymi brutalami, a ich kobiety głupie i apatyczne. Ani by się nie odważyli, ani nie zatroszczyli o to, by jej pomóc. Była całkowicie bezsilna.

Tina uniosła zalaną łzami twarz, jak gdyby wsłuchując się w podpowiedzi jakiegoś wewnętrznego głosu. Zrozumienie, jakie dziewczynka wykazywała dla najskrytszych myśli Belesy, było omalże niesamowite, tak jak odczytywanie przez nią nieuchronnych kolei losu oraz jedynych wyjść pozostałych słabym.

– Musimy odejść, moja pani! – wyszeptała. – Zarono cię nie weźmie. Odejźmy w puszcę, daleko stąd. Będziemy szły, dopóki nie zdołamy iść dalej, a wówczas ułożymy się i umrzemy razem.

Siła tragizmu, która stanowi ostatni azyl słabych, natchnęła duszę Belesy. To była jedyna ucieczka przed upiorami, jakie zbierały się wokół niej od tego dnia, w którym umknęli z Zingary.

– Pójdziemy, dziecko.

Wstała i zaczęła szukać płaszcza, kiedy okrzyk Tiny sprawił, że się odwróciła. Dziewczynka zerwała się na nogi z palcem przyciśniętym do warg i szeroko otwartymi oczyma jaśniejącymi przerażeniem.

– Co jest, Tino?

Wystraszony wyraz twarzy dziewczynki skłonił ją do znizienia głosu do szeptu. Przeniknęła ją niewymowna obawa.

– Ktoś jest na zewnątrz, w holu – szepnęła Tina, chwytając ją

kurczowo za rękę. – Zatrzymał się pod naszymi drzwiami, a potem poszedł dalej, w kierunku komnaty hrabiego po drugiej stronie.

– Twój słuch jest ostrzejszy niż mój – stwierdziła cicho Belesa. – Ale nie ma w tym nic dziwnego. Może to sam hrabia lub Galbro. – Szła otworzyć drzwi, ale Tina gorączkowo zarzuciła jej ramiona na szyję i Belesa poczuła szaleńcze bicie jej serca.

– Nie, nie, moja pani! Nie otwieraj drzwi! Boję się! Nie wiem czemu, ale czuję, że blisko nas czai się jakaś zła istota!

Przejęta Belesa pogłaskała ją uspokajająco i sięgnęła w stronę złotego krążka, który przesłaniał maleńki wizjer pośrodku drzwi.

– Idzie z powrotem. – Dziewczynka zadrżała. – Słyszę go!

Belesa także coś posłyszała – dziwne, ukradkowe stąpnięcia, które, jak uznała przeniknięta chłodem niewymownego strachu, nie były krokami nikogo, kogo zna. Nie był to krok Zarona ani żadnego innego obutego człowieka. Czyż bukanier mógłby skradać się potajemnie po holu boso, by zabić swego gospodarza, podczas gdy ten śpi? Wspomniała żołnierzy, którzy trzymają straż na dole. Gdyby bukanier pozostał na noc we dworze, przed drzwiami jego komnaty postawiono by zbrojnego. Któż jednak skradał się korytarzem? Oprócz niej, Tiny oraz hrabiego nikt z wyjątkiem Galbra nie sypiał na górze.

Szybkim ruchem zgasiła świecę, by nie mogła prześwitywać przez otwór w drzwiach, i odsunęła złoty krążek. W holu, który zwykle oświetlony był świecami, wszystkie światła wygaszono. Ktoś przemieszczał się po zaciemnionym korytarzu. Wyczuła bardziej, niż ujrzała, zamazaną wielką postać mijającą jej próg, ale nie potrafiła dojrzeć bliżej jej kształtów poza tym, że przypominała człowieka. Jednak zalała ją zimna fala przerażenia, więc skuliła się

oniemiała, niezdolna do wrzasku, który zastygł jej na ustach. Nie było to takie przerażenie, jakie tchnął w nią obecnie jej wuj, ani strach, jak ten przed Zaronem czy nawet przed posepną puszczą. Było to ślepe, niczym nieuzasadnione przerażenie, które złożyło lodowatą dłoń na jej duszy i sprawiło, że język przymarzył jej do podniebienia.

Postać przeszła do szczytu schodów, gdzie na moment została oświetlona słabą łuną dochodzącą z dołu, i na widok niewyraźnej czarnej sylwetki na tle czerwieni Belesa omal nie zemdląła.

Kuliła się tak w ciemności, oczekując okrzyku, który oznajmiłby, że żołnierze w wielkiej sali zauważyli intruza. Dwór jednak pozostawał cichy, wiatr zawodził gdzieś przenikliwie. I to wszystko.

Dłonie Belesy wilgotne były od potu, kiedy próbowała namacać i ponownie zapalić świecę. Wciąż była wstrząśnięta i przerażona, jakkolwiek nie potrafiła rozstrzygnąć, co takiego było w czarnej postaci widocznej na tle czerwonej poświaty, że wzbudziła ona w jej duszy tak zapamiętały wstręt. Była ludzka w swym kształcie, ale jej sylwetka dziwnie obca, nienaturalna, choć dziewczyna nie mogła jasno określić, czym jest owa nienaturalność. Wiedziała jednak, że istota, którą widziała, nie jest człowiekiem, jak również, że widok ten pozbawił ją całej na nowo zyskanej stanowczości. Straciła ducha, stała się niezdolna do działania.

Świeca zapłonęła, oświetlając jasną twarz Tiny żółtym blaskiem.

– To był ten czarny człowiek! – wyszeptała Tina. – Ja wiem! Zmroziło mi krew jak wtedy, gdy widziałam go na plaży. Na dole są żołnierze. Dlaczego oni go nie widzieli? Mamy iść i powiadomić hrabiego?

Belesa pokręciła głową. Nie miała ochoty na powtórkę sceny, jaka nastąpiła po pierwszej wzmiance Tiny o czarnym człowieku. W żadnym wypadku nie ośmieliłaby się zaryzykować wejścia do zaciemnionego korytarza.

– Nie poważymy się pójść do puszczy! – Tina wzdrygnęła się. – On będzie się tam czał...

Belesa nie spytała dziewczynki, skąd wie, że czarny człowiek będzie w puszczy; było to logiczne miejsce na kryjówkę dla wszystkich złych istot – ludzi czy diabłów. I wiedziała, że Tina ma rację: nie poważą się teraz na opuszczenie fortu. Jej zdecydowanie, którego nie zachwiała perspektywa pewnej śmierci, ustąpiło wobec myśli o przemierzaniu mrocznego lasu, w którym swobodnie porusza się ten czarny, człapiący stwór. Usiadła i bezsilnie zanurzyła twarz w dłoniach.

Tina zasnęła wkrótce na leżance, popłakując od czasu do czasu przez sen. Łzy się skrzyły na jej długich rzęsach. Zbolałe ciało rzucało się w niespokojnym śnie. Im bliżej świtu, tym bardziej Belesa zdawała sobie sprawę, że robi się coraz duszniej. Gdzieś znad morza posłyszała łoskot grzmotu. Zgasiwszy świecę, która wypaliła się do cna, podeszła do okna, skąd mogła ujrzeć zarówno ocean, jak i pas puszczy za fortem. Mgła zniknęła, ale w dali nad wodą ciemne masy wznosiły się nad horyzontem. Zamigotała tam błyskawica i rozległ się niski pomruk grzmotu. Odpowiedział mu łoskot dochodzący z czarnego lasu. Drgnąwszy, odwróciła się, by popatrzeć na puszcze, złowieszczy czarny wał. Do jej uszu dotarł dziwny, pulsujący rytm – warczący pogłos, który nie był monotonnym dźwiękiem piktyjskiego bębna.

– Bęben! – załkała Tina, spazmatycznie otwierając i zamykając

dłonie we śnie. – Czarny człowiek... bijący w czarny bęben... w czarnym lesie! Och, ocal nas!...

Belesa się wzdrygnęła. Wzdłuż wschodniego horyzontu przebiegała jasna, cienka kreska, która przepowiadała świt. Ale czarny obłok na zachodnim firmamencie kłębił się i burzył, narastał i rozlewał. Przypatrywała się w zdumieniu, gdyż na tym wybrzeżu burze o tej porze roku nie były znane, a ona nigdy nie widziała obłoku takiego jak ten.

Nadciągał, wylewając się z za kraju świata w wielkiej, kipiącej masie czerni pociętej żyłami ognia. Przewalał się i kłębił wraz z wiatrem w swych trzewiach. Jego grzmoty wprawiały powietrze w drgania. I kolejny dźwięk zmieszał się, budząc grozę, z pogłosem burzy – głos wiatru, który gnał przed nim. Atramentowy horyzont rozdierany był i wstrząsany ogniami błyskawic, w dali nad morzem ujrzała zwieńczone białymi grzywami, gnane wiatrem fale. Posłyszała warczący ryk, rosnący w siłę wraz z jego zbliżaniem się ku brzegowi. Póki co jednak wiatr nie uderzył w ląd. Powietrze było gorące, zapierało dech. Wokół tego kontrastu powstało poczucie nierealności – tam wiatr, grzmoty i chaos nacierające ku lądowi, lecz tu przytłaczająca cisza. Gdzieś w dole trzasnęła okiennica, płosząc pełną napięcia ciszę, i podniósł się kobiecy głos, piskliwy od niepokoju. Większość ludzi w forcie najwyraźniej jednak spała, nieświadoma nadciągającego huraganu.

Zdała sobie sprawę, że wciąż słyszy tajemniczy warkot bębna, i zapatrzyła się w stronę czarnej puszczy; jej ciało zdrewniało. Nie była w stanie dojrzeć niczego, lecz jakiś niepojęty instynkt bądź intuicja podsuwały jej wyobrażenie czarnej, odrażającej postaci przysiadłej pod czarnymi gałęziami i odgrywającej niewysłowione

inkantacje na czymś, co brzmiało jak bęben...

Rozpaczliwie otrząsnęła się z tego upiornego wyobrażenia i popatrzyła ku morzu, w chwili gdy płomień błyskawicy wściekle rozszczepił niebo. W jej oślepiającym blasku dostrzegła zarysy masztów statku Zaron; ujrzała namioty bukanierów na plaży, piaszczyste pagórki południowego cypla oraz skały klifów na północnym tak wyraźnie jak w południowym słońcu. Ryk wiatru narastał i oto dwór się przebudził. Na schodach zadudniły zmierzające na górę stopy i rozległ się zawodzący, graniczący ze strachem głos Zaron.

Trzasnęły drzwi i Valenso odpowiedział mu, krzycząc, by słyszeć go było pośród ryku sił natury.

– Czemu nie ostrzegłeś mnie przed sztormem z zachodu? – zawył bukanier. – Jeśli kotwice nie wytrzymają...

– O tej porze roku burza nigdy dotąd nie nadchodziła z zachodu!
– wrzasnął Valenso, wyskakując ze swej komnaty w nocnej koszuli; twarz miał posiniałą, a włosy stały mu sztywno dęba. – To robota...
– Jego słowa się rozmyły, kiedy wbiegał szaleńczo po drabinie, która prowadziła na wieżę obserwacyjną, z podążającym za nim przeklinającym bukanierem.

Belesa skuliła się przy oknie, zalekniona i ogłuszona. Wicher stawał się coraz głośniejszy, aż zagłuszył wszelkie inne dźwięki – wszystkie z wyjątkiem przyprawiającego o szaleństwo warkotu, który teraz niósł się niczym nieludzka pieśń tryumfu. Wicher z rykiem wdarł się na brzeg, gnając przed sobą spienionego, długiego na ligę białego grzywacza... I wówczas na wybrzeżu uwolnione zostały piekło i zniszczenie.

Deszcz padał ulewnymi strugami, omiatając plażę ze ślepych

szalem. Wicher uderzył niczym huk pioruna, wprawiając w drżenie ściany fortu. Fala przyboju ryknęła ponad piaskami, zatapiając węgle ognisk, jakie pobudowali marynarze. W oślepiającym świetle błyskawic Belesa ujrzała poprzez kurtynę siekącego deszczu namioty bukanierów rwane na szmaty i zmywane przez wodę i dostrzegła ludzi zmierzających chwiejnie w kierunku fortu, wbitych niemal w piasek furią potoków i podmuchów.

I ujrzała na tle błękitnego błysku zarys statku Zarona wyrwanego z trzymających go kotwic, pchanego na oślep na postrzępione klify, które strzelały w górę, gotowe na jego przyjęcie...

V

CZŁOWIEK Z DZICZY



Burza roztrwoniła swą furję. Przepiękny brzask zbudził się na błękitnym, czystym, obmytym przez deszcz niebie. Kiedy słońce uniosło się w blasku świeżego złota, jaskrawo ubarwione ptaki stworzyły na drzewach narastający chór. Na liściach krople wody skrzyły się jak brylanty, drżąc w delikatnej porannej bryzie.

Przy małym strumyku, który wił się po piasku, żeby złączyć się z morzem, ukryty na skraju drzew i krzaków człowiek pochylił się, by obmyć ręce i twarz. Dokonał ablucji zgodnie z manierami swej rasy, prychnając donośnie z lubością i chlapiąc niczym bizon. Ale w trakcie owego chlapania uniósł nagle głowę – jego jasnobrązowe włosy ociekały wodą, która spływała strumykami po krzepkich

ramionach. Przykucnął w postawie wyczekującej na ułamek chwili, wtem zerwał się, stając przodem w stronę lądu z mieczem w dłoni – wszystko jednym ruchem. I tak zastygł, zapatrzony, z szeroko otwartymi ustami.

Przez piaski kroczył w jego stronę jakiś człowiek, równie wielki jak on, nie podejmując żadnych prób skradania. Oczy pirata rozszerzyły się, gdy popatrzył na ściśle dopasowane jedwabne spodnie, wysokie buty z wywiniętą cholewą, płaszcz o szerokich połach oraz nakrycie głowy rodem sprzed stu lat. W dłoni obcego spoczywał szeroki kordelas, a jego krok zdradzał nieomylnie stanowczość.

Pirat pobladł, a oczy mu błysnęły, gdy rozpoznał przybysza.

– To ty! – wykrzyknął z niedowierzaniem. – Na Mitrę, *to ty!*

Przekleństwa wylały się z jego ust, gdy zamachnął się swym kordelasek. Ptaki zerwały się jaskrawą chmurą z drzew, gdy brzęk stali przerwał im trel. Spod smagających ostrzy tryskały niebieskie skry, a piasek skrzypiał i zgrzytał pod stąpającymi po nim obcasami. Wtem wraz ze świstem i chrzęstem szczęk stali ustał, a jeden z mężczyzn ze zdławionym sapnięciem opadł na kolana. Rękojeść uciekła mu z pozbawionej czucia dłoni, a on sam rozciągnął się jak długi na piasku, który poczerwieniał od jego krwi. Przedśmiertnym wysiłkiem pogrzebał u pasa i wyciągnąwszy coś zza niego, próbował unieść to do ust, lecz wtedy zeszywniał konwulsyjnie i zwiotczał.

Tryumfator schylił się i bezlitośnie wyrwał spomiędzy sztywniejących placów ów przedmiot zmięty w desperackim uścisku.

Zarono i Valenso stali na plaży, przypatrując się dryfującemu

drewnu, jakie zbierali ich ludzie – rejom, kawałkom masztów, połamanym wręgom. Sztorm tłukł statkiem Zarona o niskie klify tak wściekle, że większość uratowanego drewna nadawała się na podpałkę. W niewielkiej odległości za nimi stała Belesa i przysłuchiwała się ich rozmowie, obejmując jedną ręką Tinę. Dziewczynka była blada i zubożała, apatyczna wobec wszystkiego, co szykował jej los. Słuchała, co mówili mężczyźni, ale z małym zainteresowaniem. Była zdruzgotana świadomością, iż stała się zaledwie pionkiem w grze, bez względu na to, jak miała ona zostać rozegrana – czy miał to być żalosny żywot wlekący się na tym odludnym wybrzeżu, czy dokonany w jakiś sposób powrót do którejś z cywilizowanych krain.

Zarono klął zajadle, ale Valenso zdawał się ogłuszony.

– To nie jest pora roku na burze z zachodu – mamrotał, przypatrując się nieprzytomnym wzrokiem ludziom wciągającym szczątki wraku na plażę. – To nie przypadek przywiódł ten sztorm z głębin, żeby roztrzaskać statek, którym zamierzałem uciec. Uciec? Zostałem schwytyany w pułapkę jak szczur, tak jak miało być. Nie... Wszyscy jesteśmy schwytanymi szczurami...

– Nie wiem, o czym mówisz. – Zarono wyszczerzył się, zajadle szarpiąc swój wąs. – Nie byłem w stanie wydobyć z ciebie nic sensownego, odkąd ta lnianowłosa wywłoka tak bardzo wytrąciła cię z równowagi swą dziwną opowieścią o czarnych ludziach przybywających z morza. Ale wiem, że nie mam zamiaru spędzić życia na tym przeklętym wybrzeżu. Dziesięciu moich ludzi poszło do diabła wraz ze statkiem, ale mam jeszcze stu sześćdziesięciu. Ty masz stu. W twoim forcie są narzędzia, a w tamtej puszczy mnóstwo drzew. Zbudujemy statek. Wyznaczę ludzi do wycinki,

jak tylko wyciągną to, co dryfuje, poza zasięg fal.

– To zajmie całe miesiące – burknął Valenso.

– A niech tam! Jest jakiś lepszy sposób na zabicie czasu? Jesteśmy tu i dopóki nie zbudujemy statku, dopóty się stąd nie wydostaniemy. Będziemy musieli wznieść swego rodzaju tartak, ale jeszcze nigdy nie napotkałem czegoś, co powstrzymałoby mnie na długo. Mam nadzieję, że sztorm rozwalił Stroma na kawałki... Tego argosseańskiego psa! Podczas budowy statku będziemy tropić łupy starego Tranicoso.

– Nigdy nie ukończymy statku – stwierdził posepnie Valenso.

– Boisz się Piktów? Mamy dość ludzi, by się im przeciwstawić.

– Nie mówię o Piktach. Mówię o czarnym człowieku.

Zarono odwrócił się ku niemu ze złością.

– Zacziesz mówić rozsądnie? *Kim* jest ten przeklęty czarny człowiek?

– Przeklęty, w rzeczy samej – rzekł Valenso zapatrzony ku morzu. – Upiór mojej zbrukanej krwią przeszłości, zbudzony, by zagnać mnie do piekła. Z jego powodu umknąłem z Zingary, mając nadzieję, że zgubi mój ślad na wielkim oceanie. Powinienem był wszak wiedzieć, że w końcu mnie wywęszy.

– Jeśli taki człowiek zszedł na brzeg, musi ukrywać się w lesie – warknął Zarono. – Przeczeszemy puszcę i znajdziemy go.

Valenso zaśmiał się szorstko.

– Szukanie cienia, który dryfuje pod chmurą skrywającą księżyc, łapanie po omacku kobry w ciemności, tropienie mgły, która wyłania się z mokradła o północy.

Zarono rzucił mu niepewne spojrzenie, wyraźnie wątpiąc w jego zdrowe zmysły.

– Kim jest ten człowiek? Skończ z tymi dwuznacznościami.
– Zjawą zrodzoną z mego szaleńczego okrucieństwa i ambicji, grozą, która wyłoniła się z zapomnianych wieków, nie śmiertelnym człowiekiem z krwi i kości, tylko...

– Żagiel na horyzoncie! – przerwał mu obserwator na północnym cyplu.

Zarono odwrócił się gwałtownie, a jego głos smagnął niczym wichur.

– Poznajesz go?

– Tak jest – nadeszła cicha odpowiedź. – To *Czerwona Dłoń*!

Zarono zaklął jak szalony.

– Strom! Diabeł troszczy się o swoich! Jak udało mu się wyjść z tej nawałnicy? – Głos bukaniera przerodził się we wrzask, który niósł się w górę i w dół plaży. – Cofnąć się do fortu, psy!

Zanim *Czerwona Dłoń* poobijana nieco z wyglądu, ominęła dziobem cypel, plaża opustoszała, a palisada najeżyła się hełmami i głowami w chustach. Bukanierzy zaakceptowali przymierze z łatwością umiejących przystosować się do sytuacji awanturników, służąc hrabiemu z obojętnością poddanych.

Zarono zgrzytnął zębami, kiedy barkas wsunął się z wolna na plażę, a na dziobie ujrzał jasnobrązową głowę rywala. Łódź zaszurała i Strom począł kroczyć w kierunku fortu samotnie.

W pewnej odległości zatrzymał się i krzyknął. Jego byczy ryk poniósł się czysto w ciszy poranka.

– Ahoj, forcie! Chcę pertraktować!

– Dobra, czemu więc, u diabła, nie zaczniesz? – warknął Zarono.

– Ostatnim razem, kiedy przyszedłem pod flagą rozejmu, strzała rozbiła się o moją pierś! – ryknął pirat. – Chcę obietnicy, że znów

tak nie będzie!

– Masz moją obietnicę! – zawołał Zarono szyderczo.

– Do diabła z twoją obietnicą, ty zingarański psie! Chcę słowa Valensa.

Hrabiemu zostały jeszcze jakieś pokłady godności. Gdy odpowiadał, w jego głosie pojawiło się ostrze władzy.

– Podejź, ale trzymaj swych ludzi z daleka. Nie będziesz ostrzelany.

– To mi wystarczy – rzekł Strom natychmiast. – Jakikolwiek by były grzechy Korzetty, jeśli raz da słowo, można mu zaufać. – Postąpił naprzód i zatrzymał się pod bramą, śmiejąc się z pociemniałego od nienawiści oblicza Zaroni wystającego powyżej.

– Dobra, Zaroni – zadrwił – masz o jeden statek mniej, od kiedy widziałem się z tobą ostatni raz! Ale wy, Zingarańczycy, nigdy nie byliście materiałem na żeglarzy.

– Jak ocaliłeś swój statek, ty messantyjski ściekowy śmieciu? – Bukanier się wyszczerzył.

– Parę mil na północ jest mała zatoczka chroniona ramieniem lądu z wysokim wzniesieniem, które złamało potęgę wichury – odpowiedział Strom. – Kotwiczylem za nim. Kotwice się ciągnęły, ale utrzymały mnie z dala od brzegu.

Zaroni zmarszczył się okrutnie. Valenso nic nie powiedział. Nie wiedział wcześniej o tej zatoczce. Poczytał skąpe badania swojej dziedziny. Strach przed Piktami oraz brak ciekawości trzymały jego i jego ludzi blisko fortu. Zingarańczycy z natury nie byli ani odkrywcami, ani kolonistami.

– Przychodzę dokonać wymiany – rzekł Strom lekkim głosem.

– Nie mamy nic na wymianę z tobą, poza ciosami miecza –

warknął Zarono.

– Uważam inaczej. – Pirat uśmiechnął się szeroko z zaciśniętymi ustami. – Wyjawiliś swoje plany, gdy zamordowałeś mojego pierwszego oficera Galacusa i go obrabowałeś. Do dzisiejszego ranka przypuszczałem, że Valenso ma skarb Tranicosy. Ale gdyby któryś z was go miał, nie zadawalibyście sobie trudu śledzenia mnie i zabicia mojego oficera, żeby zdobyć mapę.

– Mapę? – wykrzyknął Zarono, sztywniejąc.

– Och, nie udawajcie! – zaśmiał się Strom, ale w jego oczach gniew zapłonął na niebiesko. – Wiem, że ją macie. Piktowie nie noszą butów!

– Ale... – zaczął skonsternowany hrabia, lecz zamilkł, gdy szturchnął go Zarono.

– A jeśli mamy tę mapę? – odezwał się bukanier. – Cóż takiego masz na wymianę, czego my moglibyśmy potrzebować?

– Dajcie mi wejść do fortu – podsunął pirat. – Wtedy możemy pomówić.

Nie był na tyle wylewny, żeby obrzucić spojrzeniem ludzi zerkających na nich wzdłuż ogrodzenia, ale jego dwaj słuchacze zrozumieli. Podobnie jak owi ludzie. Strom miał statek. Fakt ten musiał mieć znaczenie we wszelkich rozmowach albo w bitwie. Ale zdoła on unieść ograniczoną liczbę pasażerów, niezależnie od tego, kto nim dowodzi. Nie wszyscy odpłyną, niektórych przyjdzie zostawić. Przez cichy tłum przy palisadzie przebiegła fala pełnych napięcia domysłów.

– Twoi ludzie zostaną tam, gdzie są – ostrzegł Zarono, wskazując zarówno łódź wyciągniętą na plażę, jak i statek zakotwiczony w zatoce.

– Tak jest. Ale niech wam nie przyjdzie do głowy, że mnie pochwycicie i będziecie trzymać jako zakładnika. – Roześmiał się groźnie. – Chcę słowa Valensa, że pozwoli mi opuścić fort żywym i zdrowym w ciągu godziny, bez względu na to, czy dojdziemy do porozumienia czy też nie.

– Masz moją obietnicę – powiedział hrabia.

– Zatem w porządku. Otwórzcie bramę i pogadajmy otwarcie.

Brama otwarła się i zamknęła, przywódcy zniknęli z pola widzenia, a ludzie z obu stron poczęli na nowo przyglądać się sobie z uwagą – mężczyźni na palisadzie i mężczyźni przycupnięci przy łodzi, z rozległą łachą piasku między nimi, a za pasem błękitnej wody karaka ze stalowymi czepcami wzdłuż relingów.

Na szerokim stopniu ponad wielką salą przysiadły Belesa i Tina ignorowane przez mężczyzn poniżej. Ci zasiedli przy obszernym stole: Valenso, Galbro, Zaroni i Strom. Poza nimi sala była pusta.

Strom pochłonął wino jednym haustem i odstawił pusty puchar na stół. Szczerości zawartej w jego kłamliwej minie przeczyły ognie okrucieństwa i zdrady tańczące w szeroko otwartych oczach. Przemawiał wszak całkiem wprost.



– Wszyscy chcemy skarbu starego Tranicosa ukrytego gdzieś w pobliżu tej zatoki – rzekł nagle. – Każdy ma coś, czego trzeba pozostałym. Valenso ma robotników, zaopatrzenie i ostrokół, by osłonić nas przed Piktami. Ty, Zarono, masz moją mapę. Ja mam statek.

– Chciałbym wiedzieć jedną rzecz – włączył się Zarono. – Jeśli

miałeś tę mapę przez te wszystkie lata, czemu nie przybyłeś po łup wcześniej?

– Nie miałem jej. To ten pies Zingelito w ciemnościach zadźgał starego kutwę i ukradł mapę. Ale nie miał ani statku, ani załogi i zdobycie ich zajęło mu ponad rok. Kiedy przybył po skarb, Piktowie nie dopuścili do lądowania, a ludzie mu się zbuntowali i zmusili go, by pożegłował z powrotem do Zingary. Jeden z nich wykradł mu mapę i niedawno sprzedał ją mnie.

– To dlatego Zingelito poznał tę zatokę – mruknął Valenso.

– To ten pies cię tu przywiódł, hrabio? Mogłem się tego domyślić. Gdzie on jest?

– Niewątpliwie w piekle, jako że niegdyś był bukanierem. Piktowie go zarżnęli, najwyraźniej podczas gdy poszukiwał skarbu w lesie.

– Dobrze! – z całego serca ucieszył się Strom. – Cóż, nie wiem, skąd dowiedzieliście się, że mój oficer ma mapę. Ufałem mu, a ludzie ufali mu bardziej niż mnie, więc dałem mu ją na przechowanie. Ale dziś rano poszedł włóczyć się w głębi lądu z kilkoma innymi, oddzielił się od nich i znaleźliśmy go potraktowanego szablą na śmierć blisko plaży, a mapa zniknęła. Ludzie gotowi byli oskarżyć mnie o zabicie go, ale pokazałem tym głupcom ślady pozostawione przez siepacza i udowodniłem, że moje nogi do nich nie pasują. I wiedziałem, że to nikt z mojej załogi, ponieważ żaden z nich nie nosi butów, które zostawiają tego rodzaju ślady. A Piktowie wcale nie noszą butów. Musiał być to zatem Zingarańczyk. Dobra, wy macie mapę, ale nie macie skarbu. Gdybyście go mieli, nie dalibyście mi wejść za ostrokół. Mam was pod kluczem w tym forcie. Nie możecie się wydostać, by poszukać

łupu, a nawet gdybyście go zdobyli, nie macie statku, na którym moglibyście się stąd wyrwać. Oto moja propozycja: Zarono, daj mi mapę, a ty, Valenso, daj mi świeże mięso i inne zapasy. Po długiej podróży moim ludziom brakuje świeżej żywności. W zamian zabiorę waszą trójkę, panią Belesę i jej dziewczynę i zostawię was na brzegu w pobliżu jakiegoś zingarańskiego portu... albo wysadzę Zaronę na brzeg niedaleko jakiegoś miejsca spotkań bukanierów, jeśli tak zechce, jako że w Zingarze czeka go niewątpliwie stryczek. I żeby dobić targu, dam każdemu z was hojny udział w skarbie.

Bukanier szarpał wąsa w zamyśleniu. Wiedział, że Strom nie dotrzyma żadnych układów, o ile do nich dojdzie. Dlatego Zarono nie rozważał nawet przystania na jego propozycję. Jednak jawna odmowa oznaczać będzie pchnięcie spraw w stronę zbrojnego starcia. Poszukiwał w swym bystrym umyśle planu przechytrzenia pirata. Pragnął statku Stroma równie gorliwie, jak pożądał zaginionego skarbu.

– Cóż przeszkodzi nam zatrzymać cię jako zakładnika i zmusić twych ludzi do oddania nam statku w zamian za ciebie? – zapytał.

Strom go wyśmiał.

– Sądzicie, że jestem głupcem? Moi ludzie mają rozkaz wybrać kotwicę i odpłynąć stąd, jeśli nie pojawię się z powrotem w ciągu godziny albo jeśli zaczną podejrzewać zdradę. Nie oddaliby wam statku, nawet gdybyście oskórowali mnie na plaży żywcem. Ponadto mam słowo hrabiego.

– Nie rzucam obietnic na wiatr – rzekł posepnie Valenso. – Skończ z tymi groźbami, Zarono.

Zarono nie odpowiedział, jego umysł bowiem w całości zaprzątnięty był problemem, jak zdobyć statek Stroma i

podtrzymywać pertraktacje, nie zdradzając się z tym, iż nie ma mapy. Zastanawiał się, kto, w imię Mitry, *ma* tę przeklętą mapę.

– Pozwól mi zabrać na statek moich ludzi – odezwał się. – Nie mogę porzucić wiernych mi stronników...

Strom parsknął.

– Czemu nie poprosisz o mój kordelas, żeby przetrząść mi gardło? Porzucić wiernych... Phi! Porzuciłbyś brata przed diabłem, gdybyś mógł na tym cokolwiek zyskać. Nie! Nie sprowadzisz na pokład dość ludzi do podniesienia buntu i przejęcia mego statku.

– Daj nam jeden dzień, aby to przemyśleć – nalegał Zarono, chcąc zyskać na czasie.

Ciężka pięść Stroma grzmotnęła w stół, huśtając winem w szklanicach.

– Nie, na Mitrę! Dajcie mi odpowiedź teraz!

Zarono zerwał się z miejsca, jego żarliwy gniew przeważył nad przebiegłością.

– Ty barachański psie! Dam ci tę twoją odpowiedź... w bebecz...

Odrzucił płaszcz na bok i złapał za rękojeść broni. Strom podniósł się z rykiem, a jego krzesło trzasnęło, przewracając się na podłogę. Valenso skoczył na równe nogi, rozpościerając między przeciwnikami ramiona, kiedy ci z wykrzywionymi twarzami i na wpół wyciągniętymi ostrzami mierzyli się wzrokiem ponad blatem.

– Panowie, koniec z tym! Zarono, on dostał moją obietnicę...

– Parszywe demony zeżrą twoją obietnicę! – Bukanier się wyszczerzył.

– Nie stawaj pomiędzy nami, panie – warknął pirat głosem nabrzmiałym żądzą zabijania. – Twoje słowo stanowiło, iż nie zostanę potraktowany zdradziecko. Nie będzie uznane za

pogwałcenie twej obietnicy, jeśli z tym psem skrzyżujemy ostrza w równej walce.

– Dobrze powiedziane, Strom! – Zza ich pleców doszedł głęboki, mocny głos przesycony ponurą wesołością. Wszyscy odwrócili się nagle i zapatrzili w zdumieniu z otwartymi ustami. Wyżej, na schodach, Belesa zerwała się z mimowolnym okrzykiem.

Jakiś mężczyzna wyszedł zza kotary, jaka zakrywała drzwi komnaty, i postąpił w stronę stołu bez pośpiechu czy też wahania. Nagle to on zdominował całą grupę i wszyscy poczuli, jak sytuacja subtelnie przybiera nowy, dynamiczny obrót.

Przybysz był równie wysoki jak obaj korsarze i potężniej zbudowany od każdego z nich, jednakże przy całym swym rozmiarze w swych wysokich butach z wywiniętą cholewą poruszał się z miękkością pantery. Jego uda okrywały ściśle dopasowane spodnie z białego jedwabiu, płaszcz w kolorze błękitnego nieba, o szerokich połach rozchyłał się, odsłaniając białą, niewiązaną pod szyją koszulę i szkarłatną szarfę, która opasywała go w talii. Płaszcz ze srebrnymi guzikami w kształcie żółędzi zdobiły wyszywane złotą nicią mankiety i klapy kieszeni oraz aksamitny kołnierz. Lakierowany kapelusz dopełniał stroju przestarzałego o niemal sto lat. U boku noszącego go człowieka zwisał ciężki kordelas.

– Conan! – wykrzyknęli razem korsarze, a Valenso i Galbro wstrzymali oddech, usłyszawszy to imię.

– Któż by inny? – Olbrzym podszedł do stołu, wyśmiewając ironicznie ich zdziwienie.

– Co... Co ty tu robisz? – wyjąkał seneszał. – Jak tu wszedłeś, nieproszony i niezapowiedziany?

– Wspiąłem się na palisadę po wschodniej stronie, podczas gdy

wy, głupcy, spieraliście się przy bramie – odrzekł Conan. – Wszyscy ludzie w forcie wyciągali szyje ku zachodowi. Wszedłem do dworu, kiedy Stroma wpuszczano przez bramę. Od tego czasu przebywałem w tamtej komnacie i podsłuchiwałem.

– Myślałem, że jesteś martwy – rzekł powoli Zaron. – Trzy lata temu na jakimś koralowym wybrzeżu widziano strzaskany kadłub twojego statku, a o tobie na Main nigdy już nie słyszano.

– Nie utonąłem ze swoją załogą – powiedział Conan. – Potrzeba oceanu większego niż ten, by mnie utopić.

Na górze, na schodach, Tina w podnieceniu trzymała się kurczowo Belesy zapatrzona przez balustradę.

– Conan! Moja pani! To jest Conan! Och, popatrz!

Belesa patrzyła. Było to niczym spotkanie z legendarną postacią we własnej osobie. Któż pośród wszystkich ludzi morza nie słyszał szalonych, krwawych opowieści snutych o Conanie, dzikim włóczędze, który niegdyś był dowódcą barachańskich piratów i jednym z największych koszmarów morza? Dziesiątki ballad opiewały jego okrutne i zuchwałe wybryki. Tego człowieka nie dało się lekceważyć; żywiłowo wkroczył na scenę, by stworzyć kolejny, dominujący element pogmatwanej intrygi. Pomimo przerażającej fascynacji kobieca intuicja podsuwała Belesie rozmaite domysły co do postawy Conana wobec niej – czy będzie podobna do brutalnej obojętności Stroma, czy też gwałtownego pożądania Zaron?

Valenso dochodził do siebie po wstrząsie, jakim było odkrycie obcego w jego własnej sali. Wiedział, że Conan jest Cimmeryjczykiem, zrodzonym i wychowanym na pustkowiach dalekiej północy, i dlatego nie podlega ograniczeniom, które kierują człowiekiem cywilizowanym. Nie było aż tak dziwne to, że potrafi

wejść do fortu niepostrzeżenie, lecz Valenso wzdrygnął się na myśl, iż inni barbarzyńcy mogliby powtórzyć ten wyczyn – ciemni, cisi Piktowie na przykład.

– Czego tu chcesz? – zapytał. – Przybyłeś z morza?

– Przyszedłem z lasu. – Cimmeryjczyk wskazał głową na wschód.

– Mieszkałeś razem z Piktami? – spytał zimno Valenso.

Chwilowy gniew zamigotał na niebiesko w oczach olbrzyma.

– Nawet Zingarańczyk powinien wiedzieć, że pomiędzy Piktami a Cimmeryjczykami pokoju nigdy nie było i nie będzie – odciął się, przeklinając. – Nasze waśnie z nimi są starsze niż świat. Gdybyś powiedział to jednemu z moich gwałtowniejszych braci, miałbyś już rozszczepiony łeb. Ale ja mieszkałem wśród was, ludzi cywilizowanych, wystarczająco długo, by pojąć waszą ignorancję i brak zwykłej uprzejmości... grubiaństwo każące wypytywać o jego sprawy człowieka, który zjawia się u waszych drzwi z liczącej tysiąc mil dziczy. Mniejsza o to. – Odwrócił się ku korsarzom, którzy stali, przypatrując mu się chmurnie. – Z tego, co podsłuchałem – oznajmił – wnoszę, iż zaistniała jakaś scysja w związku z mapą. To ta? – Uśmiechnął się złośliwie i wyciągnął z kieszeni jakiś zmięty świstek: arkusz pergaminu poznaczony szkarłatnymi kreskami.

Strom drgnął gwałtownie, blednąc.

– Moja mapa! – wykrzyknął. – Skąd ją masz?

– Wziąłem twojemu oficerowi Galacusowi, kiedy go zabiłem – odrzekł Conan z drapieżnym zadowoleniem.

– Ty psie! – Rozjuszony Strom odwrócił się do Zarony. – Nie miałeś tej mapy! Kłamałeś...

– Nie mówiłem, że ją mam – warknął Zarony. – Sam

wprowadziłeś się w błąd. Nie bądź głupcem. Conan jest sam. Gdyby miał załogę, już dawno poderżnęłoby nam gardła. Odbierzemy mu mapę...

– Nawet jej nie tkniecie! – Cimmeryjczyk roześmiał się gwałtownie.

Obaj mężczyźni skoczyli na niego, klnąc. On, cofnąwszy się o krok, zmiął pergamin i cisnął go w żarzące się węgle ogniska. Strom rzucił się, mijając go z nieartykułowanym rykiem, i otrzymał potężny cios tuż za uchem, który rozciągnął go półprzytomnego na podłodze. Zarono wyciągnął swe ostrze ze świstem, ale nim zdołał pchnąć, kordelas Conana wytrącił mu je z ręki.

Zarono zatoczył się na stół, a w jego oczach gorzało piekło. Strom podniósł się z trudem, oczy miał szkliste, krew skapywała z draśniętego ucha. Conan przechylił się lekko przez stół, jego wyciągnięty kordelas tylko dotknął piersi hrabiego Valensa.

– Nie wzywaj swoich żołnierzy, hrabio – rzekł cicho Cimmeryjczyk. – Ani słowa od ciebie... ani też od ciebie, psia mord! – Tak nazwał Galbra, który nie wykazywał zamiaru stawiania czoła jego gniewowi. – Mapa spłonęła na popiół i nikomu nic nie przyjdzie z przelewu krwi. Siadajcie, wszyscy.

Strom się zawahał, wykonał chaotyczny gest w kierunku rękojeści, po czym wzruszył ramionami i opadł posepnie na krzesło. Inni podążyli za jego przykładem. Conan stał, górując nad stołem, podczas gdy jego wrogowie obserwowali go z zaciekle gniwem w oczach.

– Targowaliście się – stwierdził. – To samo ja przychodzę uczynić.

– A cóż masz na wymianę? – Zarono uśmiechnął się z pogardą.

– *Skarb Tranicoso!*

– Co? – Wszyscy czterej mężczyźni zerwali się z miejsc i pochylili w jego stronę.

– Siadać! – ryknął, waląc płazem ostrza w stół.

Opadli na miejsca, spięci i pobladli z podniecenia.

Wyszczrzył zęby, rozkoszując się sensacją, jaką wywołały jego słowa.

– Tak! Znalazłem go, nim zdobyłem mapę. To dlatego ją spaliłem. Nie potrzebuję jej. Teraz nikt go nie odnajdzie, chyba że pokażę mu, gdzie się znajduje.

Wpatrywali się w niego z żądzą mordy w oczach.

– Kłamiesz – odezwał się Zarono bez przekonania. – Już raz skłamałeś. Powiedziałeś, że przyszedłeś z lasu, jednak twierdzisz, że nie mieszkałeś z Piktami. Wszyscy wiedzą, że ta kraina to dzicz zamieszкана tylko przez dzikusów. Najbliższy przyczółek cywilizacji stanowią aquilońskie osady nad Rzeką Grzmiącą, setki mil ku wschodowi.

– Stamtąd właśnie przybyłem – odpowiedział mu Conan niewzruszenie. – Sądzę, że jestem pierwszym białym człowiekiem, który przemierzył Piktyjską Dzicz. Przekroczyłem Rzekę Grzmiącą, by podążać za łupieżczym oddziałem, który nękał pogranicze. Poszedłem za nimi głęboko w dzicz i zabiłem ich dowódcę, ale podczas tego starcia zostałem ogłuszony kamieniem z procy i te psy pojmały mnie. To byli ludzie Wilka, ale przehandlowali mnie klanowi Orła za swojego wodza, którego Orły schwytały. Orły uprowadziły mnie blisko sto mil ku zachodowi, żeby spalić w wiosce swojego wodza, ale pewnej nocy zabiłem ich wodza-wojownika oraz trzech czy czterech innych i wyrwałem się im. Nie mogłem zawrócić. Byli za mną i stale spychali mnie ku zachodowi.

Parę dni temu zdołałem się od nich uwolnić i, na Croma, miejsce, które obrałem za swe schronienie, okazało się schowkiem skarbu starego Tranicos! Znalazłem go w całości: kufry ze strojami i bronią – to stamtąd mam te rzeczy i to ostrze – stosy monet i drogich kamieni oraz złotych ozdób, a pośrodku tego wszystkiego klejnoty Tothmekriego jaśniejące niczym mroźne światło gwiazd! A stary Tranicos i jego jedenastu dowódców siedzieli dookoła hebanowego stołu i wpatrywali się w niego, jakby patrzyli tak ze sto lat!

– Co?

– Tak jest! – Zaśmiał się. – Tranicos umarł pośród swych skarbów i wszyscy inni wraz z nim! Ich ciała nie zgniły ani się nie zeschły. Siedzą tam w swoich wysokich butach, obszernych płaszczach i lakierowanych kapeluszach, ze szklanicami wina w zeszywniałych rękach, dokładnie tak, jak siedzieli przez całe stulecie!

– To jakaś przeklęta sprawa – wymamrotał Strom niespokojnie, ale Zarono warknął:

– No i co z tego? To skarb, którego chcemy. Mów dalej, Conanie.

Cimmeryjczyk usadowił się za stołem, napełnił puchar i osuszył go, nim odpowiedział.

– To pierwsze wino, jakie piję, odkąd opuściłem Conawagę, na Croma! Te przeklęte Orły były za mną tak blisko, że ledwie miałem czas, by pochrupać jakieś orzechy czy korzenie, które znajdowałem. Czasami łapałem żaby i jadłem je na surowo, gdyż nie ośmieliłem się rozpaść ogniska.

Niecierpliwi słuchacze obwieścili mu bluzgami, że nie są ciekawi jego przygód, zanim znalazł skarb.

Conan uśmiechnął się nieznacznie i podjął opowieść:

– Dobra, po tym, jak wpadłem na schowek, dobrzałem tam, odpoczywałem przez kilka dni i robiłem sidła, by chwytać króliki, a moim ranom dać wyzdrowieć. Widziałem dym na zachodnim niebie, lecz myślałem, że to jakaś piktyjska wioska na plaży. Spoczywałem blisko, ale jak to bywa, łup ukryto w miejscu, które Piktowie omijają z dala. Jeśli mnie śledzili, nigdy się nie pokazali. Ubiegłej nocy ruszyłem ku zachodowi, zamierzając wyjść na plażę kilka mil na północ od miejsca, gdzie widziałem dym. Byłem niedaleko brzegu, gdy ta burza uderzyła. Schroniłem się pod skałą i czekałem, aż przejdzie. Potem wspiąłem się na drzewo, by poszukać Piktów, i z niego ujrzałem na kotwicy twoją karakę, Strom, oraz twych ludzi schodzących na brzeg. Zmierzałem w kierunku waszego obozu na plaży, kiedy spotkałem Galacusa. Pchnąłem go ostrzem, ponieważ istniała pomiędzy nami pewna stara waśń. Nie dowiedziałbym się, że miał mapę, gdyby nie próbował zjeść jej, nim zmarł. Oczywiście zobaczyłem, co to jest, i rozważałem, jaki też mogę uczynić z tego użytek, gdy nadeszła reszta twoich psów i znalazła ciało. Leżałem w zaroślach, niecały tuzin jardów od was, podczas gdy ty spierałeś się w tej kwestii ze swymi ludźmi. Uznałem wtedy, że czas dla mnie nie jest sposobny po temu, by się ujawniać! – Roześmiał się, widząc wściekłość i upokorzenie rysujące się na twarzy Stroma. – Cóż, kiedy tak leżałem, słuchając waszych rozmów, pojąłem całą sytuację i z rzeczy, jakie sobie wyrzucaliście, dowiedziałem się, że Zaroni i Valenso znajdują się o kilka mil na południe na plaży. Zatem kiedy posłyszałem, jak mówisz, że to Zaroni musiał dokonać zabójstwa i zabrać mapę i że zamierzasz pójść z nim pertraktować, szukając sposobności, by go zamordować i ją odzyskać...

– Psie! – warknął Zarono.

Strom posiniał, lecz roześmiał się niewesoło.

– Myślisz, że grałbym uczciwie z takim zdradliwym psem jak ty?... Mów dalej, Conanie.

Cimmeryjczyk uśmiechnął się szeroko. Było jasne, że umyślnie rozdmuchuje płomień nienawiści między nimi.

– Nic takiego już nie zostało do opowiedzenia. Poszedłem prosto przez las, podczas gdy wy halsowaliście wzdłuż brzegu, i dobrnąłem do fortu przed wami. Twoje przypuszczenie, iż burza zniszczyła statek Zaroną, okazało się słuszne... Znałeś ukształtowanie tej zatoki. Oto cała historia. Ja mam skarb, Strom ma statek, Valenso ma zapasy. Na Croma, Zarono, nie widzę, gdzie ciebie wpasować w ten układ, lecz aby uniknąć swarów, włączyłem cię do niego. Moja propozycja jest dość prosta. Rozdzielimy skarb na cztery części. Strom i ja odpłyniemy z naszymi udziałami na pokładzie *Czerwonej Dłoni*. Ty i Valenso weźmiecie swoje i pozostaniecie panami na dziczy albo zbudujecie statek z pni drzew, wedle życzenia.

Valenso struchlał, a Zarono zaklął, podczas gdy milczący Strom wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Jesteś na tyle głupi, by samemu wejść na pokład *Czerwonej Dłoni* ze Stromem? – warknął Zarono. – Poderżnie ci gardło, zanim stracisz łąd z oczu!

Conan się zaśmiał z autentyczną uciechą.

– To dylemat z owcą, wilkiem i kapustą – przyznał. – Jak przewieźć je przez rzekę tak, by nie pożarły jedno drugiego?

– I nawiązuje do twojego cimmeryjskiego poczucia humoru – przyznał Zarono.

– Nie zostanę tutaj! – krzyknął Valenso z dzikim błyskiem w ciemnych oczach. – Skarb czy nie skarb, muszę płynąć!

Conan rzucił mu spod przymkniętych powiek pełne domysłów spojrzenie.

– Dobrze zatem – rzekł. – A co wy na taki plan: dzielimy łup, jak zaproponowałem. Potem Strom odpływa z Zaronem, Valensem i tymi członkami hrabiowskiego gospodarstwa, których zechce wybrać, pozostawiając mnie dowództwo nad fortem, resztą ludzi Valensa i wszystkimi ludźmi Zarona. Zbuduję sobie własny statek.

Zarono wyglądał, jakby mu było trochę niedobrze.

– Mam więc wybór: pozostać tu, na wygnaniu, albo porzucić swą załogę i płynąć samotnie na *Czerwonej Dłoni*, dać poderznąć sobie gardło?

Śmiech Conana poniósł się gromko po sali, a on sam klepnął go jowialnie w plecy, ignorując pragnienie mordu we wściekłym spojrzeniu bukaniera.

– Tak to jest, Zarono! – oznajmił. – Zostań tu, podczas gdy ja i Strom odpłyniemy, albo odpłyni ze Stromem, zostawiając swych ludzi ze mną.

– Wolałbym zabrać Zarona – rzekł Strom szczerze. – Ty, Conanie, zwróciłbyś moich ludzi przeciwko mnie i poderznął mi gardło, zanim dotarlibyśmy do Barachanów.

Z posiniałej twarzy Zarona ściekał pot.

– Ani ja, ani hrabia czy jego siostrzenica nigdy nie dotrzemy na ląd żywi, jeśli wypłyniemy z tym diabłem – stwierdził. – W tej sali obaj jesteście w mojej mocy. Otaczają ją moi ludzie. Co powstrzyma mnie przed zarżnięciem was obu?

– Zupełnie nic – przyznał wesoło Conan – z wyjątkiem faktu, iż

jeśli to zrobisz, ludzie Stroma odpłyną i zostawią cię wyrzuconego na brzeg, gdzie Piktowie wkrótce poderzną gardła wam wszystkim, faktu, iż po mojej śmierci nigdy nie odnajdziesz skarbu, oraz faktu, że rozszczępię twą czaszkę po szczękę, jeśli spróbujesz przywołać swych ludzi.

Conan śmiał się, przemawiając, jak gdyby była po temu jakaś cudaczna okazja, ale nawet Belesa wyczuwała, że robi, jak powiedział. Jego obnażony kordelas spoczywał mu na kolanach, a ostrze Zaroną znajdowało się pod stołem, poza zasięgiem bukaniera. Galbro nie był typem człowieka wojowniczego, Valenso zaś zdawał się niezdolny do decyzji czy działania.

– Tak jest! – odezwał się Strom, przeklinając. – Nie znajdziesz w nas obu łatwych ofiar. Jestem skłonny zgodzić się na propozycję Conana. Co ty o tym powiesz, Valenso?

– Muszę opuścić to wybrzeże! – wyszeptał toczący pustym wzrokiem Valenso. – Muszę się pospieszyć... Muszę odpłynąć... Odpłynąć daleko... Szybko!

Strom zmarszczył czoło, zmieszany dziwnym zachowaniem hrabiego, i ze złośliwym uśmiechem zwrócił się do Zaroną:

– A ty, Zaronó?

– Co mogę rzec? – Zaronó skrzywił się. – Daj mi zabrać trzech oficerów i czterdziestu ludzi na pokład *Czerwonej Dłoni*, a dobijemy targu.

– Oficerów i trzydziestu ludzi.

– Bardzo dobrze.

– No to załatwione!

Nie było ściskania dłoni ani ceremonialnego przepijania winem dla przypieczętowania układu. Dwóch dowódców spoglądało na

siebie jak głodne wilki. Hrabia podskubywał węża drżącą ręką, pochłonięty własnymi posepnymi myślami. Conan przeciągnął się niczym wielki kot, popił wina i uśmiechnął się szeroko do całego zgromadzenia, lecz był to złowróźbny uśmiech podkradającego się tygrysa. Belesa wyczuwała panujące w sali mordercze zamysły, zdradzieckie intencje, jakie zdominowały myśli wszystkich mężczyzn. Ani jeden nie zamierzał dotrzymać swojej części układu, wyłączając prawdopodobnie Valensa. Obaj korsarze chcieli zarówno statku, jak i całego skarbu. Żaden nie zadowoli się czymś mniejszym. Ale jak? Co się dzieje w ich bystrych umysłach? Belesa poczuła się przytłoczona duszną atmosferą nienawiści i zdrady. Cimmeryjczyk, przy całej swej brutalnej szczerości, nie mniej był przebiegły od pozostałych... A nawet niebezpieczniejszy. Jego panowanie nad całą sytuacją miało nie tylko charakter fizyczny, chociaż olbrzymie barki i potężne członki zdawały się zbyt wielkie nawet dla tej ogromnej sali. Otaczała tego człowieka jakaś żelazna żywotność, która przyćmiewała nawet bezsporny wigor pozostałych korsarzy.

– Prowadź nas do skarbu! – zażądał Zaron.

– Poczekaj trochę – rzekł Conan. – Musimy utrzymać nasze siły równomiernie rozłożone, tak by żaden nie zyskał przewagi nad pozostałymi. Osiągniemy to w ten sposób: ludzie Stroma zejną na brzeg, wszyscy poza tuzinem albo coś koło tego, i rozbiją obóz na plaży. Ludzie Zaroni wyjdą z fortu i podobnie rozbiją obóz na plaży, tak by łatwo było ich zobaczyć. Wtedy obie załogi mogą mieć się na oku i patrzeć, czy za nami, którzy pojedziemy po skarb, nikt się nie wyśliznie, żeby schwytać któregoś w zasadzkę. Ci, którzy zostaną na pokładzie *Czerwonej Dłoni*, wyprowadzą ją na wody

zatoki, poza zasięg obu grup. Ludzie Valensa pozostaną w forcie, ale brama będzie otwarta. Pójdiesz z nami, hrabio?

– Pójść do puszczy? – Valenso wzdrygnął się i owinął ramiona płaszczem. – Nie, nawet za całe złoto Tranicoso!

– W porządku. Potrzeba będzie około trzydziestu ludzi, żeby przenieść łup. Weźmiemy po piętnastu z każdej załogi i wyruszymy tak szybko, jak się da.

Belesa, wyczulona na każdy zwrot dramatu rozgrywającego się u jej stóp, widziała, jak Zarono i Strom rzucili sobie ukradkowe spojrzenia, po czym szybko spuścili wzrok, podnosząc szklanice, by ukryć mroczne zamysły czające się w ich oczach. Dostrzegła w planie Conana zgubną słabość i zastanawiała się, jak mógł ją przeoczyć. Może był zbyt arogancki, ufny we własną waleczność. Wiedziała wszak, że nigdy nie wyjdzie z puszczy żywy. Kiedy tylko skarb znajdzie się w ich garści, tamci zawrą łotrowskie przymierze wystarczająco trwałe, by pozbyć się człowieka, którego nienawidzą. Zadrzała, przypatrując się z niezdrową fascynacją mężczyźnie, o którym wiedziała, iż jego los jest już przesądzony. Dziwnie było tak spoglądać na tego siedzącego potężnego wojownika w sile wieku, śmiejącego się i popijającego wino, wiedząc, że czekają go zguba i brutalna śmierć.

Cała sytuacja stała się brzemenna w mroczne i krwawe zwiastuny. Zarono, jeśli zdoła, oszuka i zabije Stroma, a widziała, że Strom naznaczył już piętnem śmierci Zarono i niewątpliwie jej wuja oraz ją samą. Jeśli Zarono zwycięży w ostatecznej bitwie bezlitosnych umysłów, ich życie będzie bezpieczne... Jednak patrząc na bukaniera, kiedy tak siedział i przygryzał wąsa z ciemnym obliczem dobitnie ukazującym zło jego natury, nie

potrafiła zdecydować, co jest jej bardziej wstrętne: śmierć czy Zaron.

– Jak to daleko? – zapytał Strom.

– Jeśli ruszymy w ciągu godziny, możemy wrócić przed północą – odrzekł Conan. Opróżnił swoją szklanicę, wstał, poprawił pas i rzucił okiem na hrabiego. – Valenso – powiedział – czyś ty oszalał, żeby zabijać Pikta w barwach myśliwskich?

Valenso drgnął.

– Co masz na myśli?

– Czy chcesz powiedzieć, że nie wiesz, iż twoi ludzie zabili zeszłej nocy w lesie piktyjskiego myśliwego?

– Żaden z moich ludzi nie był w lesie zeszłej nocy.

– Dobra, ktoś jednak był – burknął Conan, gmerając w kieszeni. – Widziałem jego głowę przyszpiloną do drzewa blisko skraju puszczy. Nie była wymalowana na wojnę. Nie znalazłem żadnych śladów butów, z czego wywnioskowałem, że musiała zostać tam przybita przed burzą. Ale było mnóstwo innych znaków... ślady mokasynów na mokrej ziemi. Piktowie tam byli i widzieli tę głowę. To ludzie z jakiegoś innego klanu, bo by ją zdjęli. Jeśli okaże się, że trwają w pokoju z klanem, do którego należał zabity, pospieszą w te pędy do jego wioski, by o tym donieść.

– Może to oni go zabili? – podsunął Valenso.

– Nie, to nie oni. Wiedzieli jednak kto z tego samego powodu, z którego wiem ja. Ten łańcuch został zapętłony wokół kikuta odciętej szyi. Musisz być kompletnym wariatem, żeby potwierdzać swe rękodzieło w ten sposób.

Wyciągnął coś i rzucił na stół przed hrabim, ten zaś zerwał się chwiejnie, krztusząc, a jego ręka skoczyła do gardła. Był to złoty,

potwierdzający godność łańcuch, jaki zwyczajowo nosił na szyi.

– Rozpoznałem znak Korzettów – rzekł Conan. – Obecność tego łańcucha powie każdemu Piktowi, że była to robota obcokrajowca.

Valenso nie odpowiedział. Usiadł, wpatrując się w łańcuch jak gdyby w jadowitego węża.

Conan popatrzył nań krzywo i omiółł pytającym wzrokiem pozostałych. Zarono wykonał szybki gest, by pokazać, że z głową hrabiego nie wszystko jest dobrze.

Cimmeryjczyk schował kordelas do pochwy i nałożył swój lakierowany kapelusz.

– W porządku, chodźmy.

Dowódcy przełknęli swe wino i powstali, podciągając pasy z bronią. Zarono położył dłoń na ramieniu Valensa i potrząsnął nim lekko. Hrabia drgnął, rozejrzał się dookoła, po czym podążył za resztą na zewnątrz niczym zamroczony z łańcuchem zwisającym mu z dłoni. Nie wszyscy jednak opuścili salę.

Belesa i Tina, zapomniane na schodach, zerkając przez tralki, ujrzały, jak Galbro opóźnia wyjście z innymi, ociągając się, dopóki ciężkie drzwi nie zamknęły się za nimi. Wówczas pospieszył do paleniska i począł ostrożnie rozgarniać żarzące się węgle. Opadł na kolana i przyglądał się z bliska czemuś przez długą chwilę. Wtem wyprostował się i ukradkiem wymknął z sali innymi drzwiami.

– Co Galbro znalazł w ognisku? – szepnęła Tina.

Belesa pokręciła głową, a wówczas, posłuszna podszeptom własnej ciekawości, wstała i zeszła do pustej sali. Chwilę później klęczała w miejscu, gdzie wcześniej klęczał seneszał, i patrzyła na to, co widział.

Były to zwęglone resztki mapy, którą Conan rzucił w ogień.

Gotowa była się rozpaść przy najmniejszym dotknięciu, ale nikłe kreski oraz urywki zapisków wciąż dało się na niej rozróżnić. Belesa nie potrafiła odczytać zapisów, ale była w stanie prześledzić zarysy czegoś, co zdawało się obrazem jakiegoś wzgórza czy skalnego rumowiska otoczonego znakami oddającymi niewątpliwie gęste drzewa. Nie umiała nic z tym zrobić, lecz z zachowania Galbra wywnioskowała, iż rozpoznał on rysunek jako przedstawiający znaną mu panoramę bądź właściwości topograficzne. Wiedziała, że seneszał przenikał w głąb lądu dalej niż ktokolwiek w osadzie.

VI

ŁUP MARTWYCH



Belesa zeszła po schodach i zatrzymała się na widok siedzącego przy stole hrabiego Valensa obracającego w dłoniach zerwany łańcuch. Patrzyła na niego bez ciepłych uczuć i z wyraźnie większym strachem. Zmiana, jaka w nim zaszła, była szokująca. Wydawał się zamknięty całkowicie we własnym ponurym świecie wraz ze strachem, który wyzuł go ze wszelkich cech ludzkich.

Forteca trwała dziwnie cicha w upale południowego słońca, jaki nadszedł po porannej burzy. Wewnątrz ostrokołu głosy ludzi rozbrzmiewały przyciszone, stłumione. Taka sama senna cisza panowała na zewnątrz, na plaży, gdzie rywalizujące załogi zaległy podejrzliwe, w zbrojnej gotowości, oddzielone kilkoma setkami

jardów piasku. Daleko w zatoce stała na kotwicy *Czerwona Dłoń* z garstką ludzi na pokładzie gotową wyrwać ją poza zasięg wszystkich, kiedy zdarzy się coś, co będzie świadczyć o zdradzie. Karaka była kartą atutową Stroma, jego najlepszym poręczeniem przeciwko sztuczkom współników.

Conan bystro kombinował, żeby z obu stron wyeliminować ryzyko zasadzki w puszczy. Ale dokąd tylko Belesa potrafiła sięgnąć wzrokiem, całkowicie zawiódł w kwestii zapewnienia sobie bezpieczeństwa przed zdradą ze strony swych towarzyszy. Zniknął w lesie, prowadząc dwóch dowódców oraz ich trzydziestu ludzi, a Zingaranka była pewna, że nigdy już nie ujrzy go żywego.

Po chwili przemówiła, a jej głos we własnych uszach był napięty i szorstki.

– Barbarzyńca poprowadził dowódców do puszczy. Kiedy będą mieć złoto w swoich rękach, zabiją go. Ale kiedy powrócą ze skarbem, co wtedy? Mamy wejść na pokład statku? Możemy zaufać Stromowi?

Valenso z roztargnieniem pokręcił głową.

– Strom by nas wszystkich zamordował dla naszych udziałów w łupie. Jednak Zarono w tajemnicy szepnął mi o swoich zamiarach. Nie wejdziemy na pokład *Czerwonej Dłoni*, chyba że jako jej dowódcy. Zarono dopilnuje, aby noc złapała wyprawę po skarb, tak że zmusi ich do obozowania w puszczy. Znajdzie sposób, aby zabić Stroma i jego ludzi we śnie. Wtedy bukanierzy podejną ukradkiem pod plażę. Tuż przed świtem pošlę paru mych rybaków z fortu, aby opłynęli statek i zajęli go. Strom o tym nie pomyślał, ani Conan. Zarono ze swoimi ludźmi wyjdzie z puszczy i wraz z bukanierami rozbitymi na plaży w ciemnościach uderzy na piratów, podczas gdy

ja poprowadzę swoich zbrojnych z fortu, by dokończyć pogromu. Bez dowódcy będą pozbawieni ducha i słabsi liczebnie. Łatwa ofiara dla mnie i Zaronu. Wówczas odpłyniemy statkiem Stroma z całym skarbem.

– A co ze mną? – spytała ze spierzchniętymi wargami.

– Przyobiecałem cię Zaronowi – odrzekł surowo. – Tylko za tę obietnicę nas zabierze.

– Nigdy go nie poślubię – stwierdziła bezradnie.

– Poślubisz – stwierdził chmurnie i bez najlżejszego tchnienia współczucia. Uniósł łańcuch tak, że pochwycił on blask słońca wpadającego skosem przez okno. – Musiałem upuścić go na piasku – wymamrotał. – *On* był tak blisko... Na plaży...

– Nie upuściłeś go na plaży – powiedziała Belesa głosem równie pozbawionym litości jak jego; jej dusza zdawała się obracać w kamień. – Zerwałeś go z szyi przypadkiem w tej sali, zeszłego wieczoru, kiedy biczowałeś Tinę. Widziałam go na podłodze, zanim wyszłam z sali.

Podniósł wzrok, jego twarz była szara od potwornego strachu.

Roześmiała się gorzko, wyczuwając nieme pytanie w jego rozszerzonych oczach.

– Tak! Czarny człowiek! Był tutaj! W tej sali! Musiał znaleźć łańcuch na podłodze. Strażnicy go nie zauważyli, ale był u twych drzwi zeszłej nocy. Ja go widziałam krocącego cicho korytarzem u góry.

Przez chwilę myślała, że padnie trupem z czystego przerażenia. Opadł na krzesło, łańcuch wysunął mu się z bezwładnych palców i szcęknął o stół.

– We dworze – wyszeptał. – Myślałem, że rygle, kraty i zbrojne

straże zdołają utrzymać go z dala. Jakimże głupcem byłem! Nie mogę obronić się przed nim, tak jak od niego uciec! U mych drzwi! U mych drzwi! – Ta myśl napełniła go grozą. – Czemu nie wszedł? – wrzasnął piskliwie, szarpiąc koronkę swego kołnierza, jak gdyby ten go dusił. – Dlaczego tego nie skończył? Śniłem o przebudzeniu w swej pociemniałej komnacie po to, by ujrzeć go przyczajonego nad sobą z niebieskimi, piekielnymi ogniami igrającymi mu wokół rogatego łba! Czemu?... – Paroksyzm minął i zostawił go osłabłego i trzęsącego się. – Rozumiem! – wysapał. – Bawi się ze mną jak kot z myszą. Zarznąć mnie zeszłej nocy w komnacie byłoby zbyt łatwo, zbyt litościwie. Zniszczył zatem okręt, na którym mogłem mu uciec, usiekł tego nieszczęsnego Pikta i pozostawił na nim mój łańcuch, aby dzikusy uwierzyły, że to ja go zabiłem... Widzieli łańcuch na mej szyi wiele razy. Ale czemu? Jakież utajone diabelstwo tkwi w jego umyśle, cóż za pokrętnie dążenie, którego żaden ludzki rozum nie zdoła ogarnąć i pojąć?

– Kim jest ten czarny człowiek? – zapytała Belesa, a zimny strach przepętlął jej po grzbiecie.

– Demonem uwolnionym przez mął chciwość i żądzę, by dręczył mnie na wieczność! – wymamrotał. Rozpostarł długie, szczupłe palce na stole przed sobą i popatrzył na nią pustymi, dziwnie świeącymi oczyma, które zdawały się jej zupełnie nie widzieć, tylko spoglądać w dal poza nią, ku jakiemuś mrocznemu przeznaczeniu. – Za młodu miałem na dworze wroga – rzekł, mówiąc jak gdyby bardziej do siebie niż do niej. – Potężnego człowieka, który stał na drodze ku moim ambicjom. W swej żądzynie bogactwa i władzy poszukałem pomocy u ludzi czarnej sztuki... Czarnych magów, którzy zgodnie z mym pragnieniem dobyli z

zewnątrznych otchłani istnienia demona i odziali go w postać człowieka. Zmiażdżył on i zabił mego wroga. Stałem się wielki i bogaty i nikt nie mógł się ze mną mierzyć. Ale wpadłem na myśl, aby oszukać mego demona co do ceny, jaką musi zapłacić śmiertelnik, który wzywa *czarny lud* do wykonywania swoich poleceń. Swymi ponurymi sztukami magicy oszukali pozbawionego duszy sierotę ciemności i spętali go w piekle, gdzie wył na próżno... Jak przypuszczałem, na wieczność. Ale ponieważ czarnoksiężnik nadał demonowi postać człowieka, nie potrafił całkowicie zerwać więzów łączących go ze światem materialnym ani zupełnie zamknąć kosmicznych korytarzy, którymi uzyskał on dostęp do tej planety. Rok temu w Kordavie dotarła do mnie wieść, iż ów mag, już staruszek, został zamordowany w swoim zamku, na gardle zaś miał odciski palców demona. Wówczas pojąłem, że to ów czarny uciekł z piekła, gdzie spętał go mag, i że będzie szukał zemsty na mnie. Pewnej nocy ujrzałem jego demoniczne oblicze spoglądające ku mnie znacząco z mroku w sali mego zamku... Nie było to jego materialne ciało, ale duch posłany, by mnie trapić... Jego duch nie mógł podążyć za mną przez wietrzne wody. Zanim zdołał cieleśnie dotrzeć do Kordawy, odpłynąłem, żeby postawić między sobą a nim rozległe morza. On ma swoje ograniczenia. Aby podążać mym śladem przez morza, musi pozostać w swej ludzkiej postaci z ciałem. Ciało to jednak nie jest ciałem człowieka. Można go zabić, jak myślę, ogniem, chociaż mag, który wydobył go stamtąd, okazał się niezdolny go zabić... Takie oto są granice nałożone na moce czarnoksiężników. Ów czarny jest wszak zbyt przebiegły, żeby dać się schwytać w pułapkę lub zabić. Kiedy się ukrywa, żaden człowiek nie jest w stanie go znaleźć. Skrada się niczym cień

pośród nocy, nic sobie nie robiąc z rygli czy krat. Oślepia oczy strażników snem. Potrafi wzniecać burze i rozkazywać węzom z głębin oraz demonom nocy. Liczyłem, że utopię swój ślad pośród błękitnych, falujących pustkowi... Ale on mnie wytropił, żeby odebrać srogą należność. – Niesamowite oczy płonęły mu jasno, kiedy wpatrywał się przez obwieszane tapiseriami ściany w odległe, niewidoczne horyzonty. – Jeszcze go przechytrzę – wycharczał. – Niechże zwleka, by uderzyć jeszcze w tę noc... Świt zastanie mnie ze statkiem pod stopami i znów cisnę ocean pomiędzy siebie a jego zemstę.

– Na ognie piekielne!

Conan stanął jak wryty, patrząc wściekle w górę. Marynarze za nim zatrzymali się – dwie zwarte grupy z łukami w dłoniach, o postawie przesyconej podejrzliwością. Podążali starą ścieżką wytyczoną przez piktyjskich myśliwych, która prowadziła prosto na wschód, i chociaż uszli tylko jakieś trzydzieści jardów, plaża przestała już być widoczna.

– Co jest? – zapytał podejrzliwie Strom. – Po co się zatrzymujesz?

– Ślepy jesteś? Popatrz tam!

Z grubej odnogi drzewa zwisającej ponad szlakiem szczyrzyła się do nich głowa – ciemna, wymalowana twarz okolona gęstymi czarnymi włosami, w których zatknięte pióro tukana zwisało za lewym uchem.

– Zdjąłem tę głowę i ukryłem w krzakach – warknął Conan, przyglądając się uważnie otaczającym ich ściśle drzewom. – Co za głupiec zatknął ją tam z powrotem? Wygląda, jak gdyby komuś cholernie zależało, żeby ściągnąć Piktów na osadę.

Mężczyźni spojrzeli po sobie pochmurnym wzrokiem; do

wrzącego kotła doszedł nowy element podejrzliwości.

Conan wspiął się na drzewo, pochwycił głowę i zaniósł w krzaki, gdzie cisnął ją do strumienia i patrzył, jak tonie.

– Piktowie, których ślady znajdują się wokół tego drzewa, nie są Tukanami – warknął, powróciwszy przez zarośla. – Dość żeglowałem u tych wybrzeży, by nauczyć się czegoś o nadmorskich plemionach. Jeśli prawidłowo odczytuję ślady ich mokasynów, to Kormorany. Mam nadzieję, że są w stanie wojny z Tukanami. Gdyby mieli pokój, skierowaliby się prosto do wioski Tukanów, a ci zrobili nam piekło. Nie wiem, jak daleko stąd jest ta wioska, ale jak tylko dowiedzą się o tym mordzie, przybędą przez puszcę niczym głodujące wilki. To najgorsza zniewaga dla Pikta – zabić człowieka w innych barwach niż wojenne i zatknąć jego głowę na drzewie dla sępów na żer. Piekielnie osobliwe rzeczy dzieją się na tym wybrzeżu. Ale zawsze tak jest, kiedy ludzie cywilizowani przybywają do dziczy. Są diabło szaleni. Idziemy dalej.

Wkraczając głębiej w puszcę, mężczyźni poluzowali ostrza w pochwach i strzały w kołczanach. Ludzie morza, nawykli do rozkołysanych bezmiarów szarych wód, czuli się niepewnie pośród tajemniczych zielonych ścian z drzew i pnączy, jakie ich osaczały. Ścieżka wiła się i skręcała, aż większość z nich prędko straciła poczucie kierunku i nie wiedziała nawet, po której stronie leży plaża.

Conan pozostawał niespokojny z innego powodu. Stale lustrował szlak i w końcu burknął:

– Ktoś przechodził tędy niedawno... Nie więcej niż godzinę przed nami. Ktoś w butach, nieznający lasu. Czy to ten głupiec, który znalazł głowę Pikta i zatknął ją ponownie na tamtym

drzewie? Nie, to nie mógł być on. Nie znalazłem jego śladów pod drzewem. Ale kto to był? Nie znalazłem tam żadnych innych śladów, z wyjątkiem tych Piktów, które widziałem już wcześniej. I kimże jest ten typ spieszący przed nami? Czy któryś z was, bękarty, z jakiegoś powodu posłał człowieka przed nami?

Zarówno Strom, jak i Zarono głośno odrzucili zarzut o tego typu działanie, patrząc po sobie złym okiem z obopólnym niedowierzaniem. Żaden nie potrafił dostrzec znaków, które wskazywał Conan; nikt nie odcisnął, które on zauważył na pozbawionym trawy, twarde ubitym szlaku, pozostawały niewidoczne dla ich niewycwiczonych oczu.

Cimmeryjczyk przyspieszył kroku, a oni pospieszyli za nim; pojawiły się nowe węgle podejrzeń podsycające żarzący się płomień nieufności. Wkrótce ścieżka skręciła nagle ku północy i Conan ją porzucił, przedzierając się pomiędzy gęstymi drzewami w kierunku południowo-wschodnim. Strom obrzucił skrycie Zaronę niespokojnym spojrzeniem. To mogło wymusić zmianę w ich planach. Po kilkuset stopach od szlaku obaj poczuli się beznadziejnie zagubieni i byli przekonani o własnej niezdolności do odnalezienia drogi powrotnej do ścieżki. Ostatecznie zatrzęśli się ze strachu, że Cimmeryjczyk ma jakieś siły pod swoją komendą i prowadzi ich w zasadzkę.

Podejrzeenie to narastało, w miarę jak postępowali naprzód, i przybrało nieomal rozmiary paniki, kiedy wyłonili się spośród gęstych drzew i ujrzeli przed sobą nagi, postrzępiony skalny załom sterczący z leśnego podłoża. Przyćmiona ścieżka wychodząca spod drzew od wschodu biegła między skupiskami głazów i wiła się pod górę załomu na ułożone stopniami kamienne półki aż po szerszy

występ blisko szczytu.

Conan się zatrzymał – niezwykła postać w pirackim oporządzeniu.

– To tym szlakiem podążałem, uciekając od Piktów Orłów – stwierdził. – Prowadzi do jaskini za tamtym występem. W jaskini są ciała Tranicoza i jego dowódców oraz skarb, jaki zagrabił Tothmekriemu. Ale jedno słówko, zanim wejdziemy na górę po niego: jeśli mnie tu zabijecie, nigdy nie znajdziecie drogi powrotnej do szlaku, jakim podążaliśmy z plaży. Jesteście ludźmi przywykłymi do życia na morzu. W gęstym lesie stajecie się bezradni. Oczywiście plaża znajduje się prosto na zachód, ale jeśli obciążeni łupem będziecie musieli przedzierać się przez płataninę lasu, zabierze to wam nie godziny, lecz dni. Nie sądzę, aby ten las był bezpieczny dla białych ludzi, kiedy Tukani dowiedzą się o swym myśliwym. – Roześmiał się upiornym, wisielczym śmiechem, z którego poznali, że domyślił się ich zamiarów względem siebie. Przewidział nadto myśl, która zrodziła się w głowie każdego z nich: pozwolić barbarzyńcy pozyskać dla nich łup i odprowadzić się do szlaku na plażę, nim go zabiją.

– Wszyscy zostają tutaj, z wyjątkiem Stroma i Zaronu – rzekł Conan. – Nas trzech wystarczy do spakowania skarbu z jaskini.

Strom uśmiechnął się ponuro.

– Wejść na górę samemu z tobą i Zaronem? Bierzesz mnie za głupca? Przynajmniej jeden człowiek pójdzie ze mną! – I wyznaczył swego bosmana, krzepkiego olbrzyma o beznamiętnej twarzy, nagiego po szeroki skórzany pas, ze złotymi obręczami w uszach oraz ze szkarłatną szarfą zawiniętą wokół głowy.

– A ze mną pójdzie mój kat! – warknął Zaronu. Skinął na chudego

morskiego rozbójnika o twarzy niczym z pergaminu obciągniętego na gołej czaszce, który na kościstym ramieniu niósł dwuręczny simitar.

Conan wzruszył ramionami.

– Bardzo dobrze. Chodźcie za mną.

Trzymali się blisko niego, gdy kroczył pod górę wijącą się ścieżką i wspinał na występ. Cisnęli się za nim, kiedy przechodził przez szczelinę w ścianie, a ich oddechy zaświszczały chciwie przez zaciśnięte zęby, gdy zwrócił ich uwagę na okute żelazem kufry po obu stronach podobnej do tunelu groty.

– Obfity ładunek – rzucił beztrąsko. – Jedwabie, koronki, stroje, ozdoby, broń... Łup z południowych mórz. Ale prawdziwy skarb spoczywa za tymi drzwiami.

Potężne drzwi były uchylone. Conan zmarszczył brwi. Pamiętał, jak je zamykał, nim opuścił jaskinię. Nie napomknął jednak o tym swym pazernym towarzyszą, kiedy usuwał się na bok, by dać im spojrzeć do środka.

Zagłądali do rozległej jaskini oświetlonej dziwną niebieską poświatą, która migotała pośród unoszącej się niczym opar mgiełki. Na środku stał wielki hebanowy stół, a na rzeźbionym krześle o wysokim oparciu i szerokich poręczach, które mogło niegdyś stać w zamku jakiegoś zingarańskiego barona, siedziała olbrzymia postać, niewiarygodna i wspaniała – Krwawy Tranicos. Jego wielka głowa opadła na pierś, a ręka nadal ścisnęła wysadzany klejnotami puchar, w którym błyszczało wino. Oto był Tranicos w lakierowanym kapeluszu, wyszywanym złotem płaszczu o guzikach z klejnotów, które migwały w niebieskim świetle, w butach o szerokich cholewach i z szamerowanym złotem pendentem, który

podtrzymywał w złożonej pochwie broń o rękojeści nabijanej klejnotami.

A dookoła stołu, z głowami spuszczoneymi na przystrojone koronkami piersi, siedziało jedenastu dowódców. Niebieskie światło igrało niesamowicie na nich oraz na olbrzymim przywódcy, jakby wypływało z ogromnego klejnotu na małym postumencie z kości słoniowej, krzeszącego błyski mroźnego światła ze stosu fantastycznie oszlifowanych szlachetnych kamieni, które jaśniały przed miejscem zajmowanym przez Tranicosa – łup z Khemi, klejnoty Tothmekriego! Kamienie, których wartość była większa od wartości wszystkich pozostałych znanych klejnotów na świecie razem wziętych!

Twarze Zaroni i Stroma wyglądały blado w niebieskiej poświacie; ich ludzie zaglądali im przez ramię, otwierając głupekowato usta ze zdumienia.

– Idźcie i weźcie je – zachęcił ich Conan, usuwając się na bok, a Zaroni i Strom przecisnęli się zachłannie obok niego, przepychając się nawzajem w pośpiechu. Ich podwładni deptali im po piętach.

Zaroni kopniakiem otworzył drzwi i zatrzymał się z jedną stopą na progu, ujrawszy na podłodze postać wcześniej skrywaną przed wzrokiem przez uchylone drzwi. Był to mężczyzna, leżący na brzuchu, wykręcony, z głową odrzuconą do tyłu i pobielającą twarzą wyszczerzoną w śmiertelnej męce, trzymający się za gardło zaciśniętymi palcami.

– Galbro! – wykrzyknął Zaroni. – Martwy! Co?... – Wiedziony raptownym podejrzeniem wetknął głowę za próg w niebieskawą mgłę, która wypełniała jaskinię, i wrzasnął zdławionym głosem: – W tym dymie tkwi śmierć!

W chwili gdy wrzasnął, Conan z całej siły pchnął czwórkę mężczyzn ściśniętych w przejściu, posyłając ich chwiejnie – lecz nie na złamanie karku – do wypełnionej mgłą jaskini, tak jak zaplanował. Wzdrygnęli się na widok trupa, zdawszy sobie sprawę z pułapki i jego gwałtownego pchnięcia, podczas go ono zwaliło ich z nóg, nie dając jednakowoż rezultatów, jakich oczekiwał Cimmeryjczyk. Strom i Zarono padli przez próg na czworaka, bosman potknął się o ich nogi, a kat trzasnął o ścianę. Nim Conan zdołał zrealizować bezwzględny zamysł wkopania leżących mężczyzn do jaskini i przytrzymania drzwi, dopóki trująca mgła nie wykona swej zabójczej pracy, musiał odwrócić się i bronić przed wściekłym atakiem kata, który pierwszy odzyskał równowagę i jasność umysłu.

Bukanier wziął potężny zamach swym katowskim ostrzem, ale chybił, gdy Cimmeryjczyk przysiadł, i wielka broń rąbnęła o kamienną ścianę, tryskając niebieskimi iskrami. W następnej chwili jego podobna do trupiej głowa toczyła się po podłożu jaskini od ciosu Conanowego kordelasa.

W kilka sekund, jakie pochłoneła ta szybka akcja, bosman stanął na nogi i runął na Cimmeryjczyka, zasypując go ciosami kordelasa, które przemogłyby człowieka o lichtszej posturze. Kordelas napotkał kordelas z brzękiem stali, który w wąskiej jaskini brzmiał ogłuszająco. Dwóch dowódców odtoczyło się od progu, dławiąc się i dysząc – purpurowi na twarzy i zbyt bliscy uduszenia, żeby podnieść krzyk – a Conan zdwoił wysiłki w celu pozbycia się przeciwnika i ciął rywala, zanim tamci zdołali dojść do siebie po skutkach trucizny. Bosman spływał krwią przy każdym kroku, odrzucony przez srogi atak, i zaczął rozpaczliwie nawoływać

swych towarzyszy. Jednak nim Conan zdołał zadać ostateczny cios, dwóch wodzów, dyszących i zabójczych, rzuciło się na niego z ostrzami w dłoniach, wołając swych ludzi skrzekliwym głosem.

Cimmeryjczyk odskoczył w tył i wypadł na zewnątrz, na półkę. Czuł się na siłach dorównać całej trójce, chociaż każdy był uznanym szermierzem, ale nie miał ochoty dać się złapać w pułapkę przez załogi, które na odgłos bitwy nadciągały biegiem.

Jednak ludzie ci nie przybyli tak prędko, jak się spodziewał. Byli zdezorientowani odgłosami i zduszonymi krzykami dochodzącymi z jaskini nad nimi, ale nikt nie ośmielił się ruszyć ścieżką ze strachu przed ostrzem we własnych plecach. Obie grupy mierzyły się w napięciu, ściskając broń, lecz niezdolne do podjęcia decyzji, a kiedy ujrzały Cimmeryjczyka wyskakującego na półkę, nadal się wahały. Podczas gdy ci stali tak z założonymi strzałami, on wbiegł po drabinie uchwytów wyżłobionych w skale obok szczeliny i rzucił się na brzuch na szczycie załomu, poza ich polem widzenia.

Dowódcy wypadli na występ wściekli, potrząsając ostrzami, a ich ludzie, widząc, że nie walczą ani nie obrzucają się pogroźkami, patrzyli oszołomieni.

– Psie! – wrzasnął Zaron. – Zaplanowałeś, że nas otrujesz! Zdrajco!

Conan drwił z nich z góry.

– A czego się spodziewałeś? Wy dwaj planowaliście poderżnąć mi gardło, jak tylko wydobędę wam łup. Gdyby nie ten głupiec Galbro, miałbym waszą czwórkę i wyjaśnił ludziom, jak rzuciliście się na łeb, na szyję ku swej zgubie!

– A mając nas obu martwych, zabrałbyś mój statek, a także cały łup! – pienił się Strom.

– Tak jest! I szpicę każdej z załóg! Chciałem dostać się z powrotem na Main od miesiący, a to była dobra okazja! To odciski stóp Galbra widziałem na szlaku. Zastanawiam się, skąd ten głupiec dowiedział się o tej jaskini albo jak zamierzał samemu wynieść łup.

– Ale gdyby nie widok jego ciała, weszlibyśmy w śmiertelną pułapkę – wymamrotał Zaron; jego śniada twarz pozostawała szara. – Ten niebieski dym był niczym niewidzialne palce miażdżące mi gardło.

– Dobra, *co* zamierzacie zrobić? – wykrzyknął sardonicznie ich niewidoczny dręczyciel.

– Co robimy? – rzucił Zaron do Stroma. – Jaskinia ze skarbem wypełniona jest tym trującym oparem, chociaż z jakichś powodów nie przepływa on przez próg.

– Nie zdołacie wydostać skarbu – zapewnił ich Conan, zadowolony ze swego naskalnego siedliska. – Ten dym was zadusi. Tak jak zrobił prawie ze mną, gdy tam wszedłem. Posłuchajcie, opowiem wam historię, którą Piktowie snują w swych chatkach, kiedy ogień płonie już nisko! Niegdyś, dawno temu, dwunastu niezwykłych ludzi przybyło z morza i znalazło jaskinię, i złożyło tam stosy złota oraz klejnotów. Ale piktyjski *szaman* odczynił czary i zatrzęsała się ziemia, a z ziemi wyszedł dym i udusił tamtych w miejscu, gdzie siedzieli przy winie. Dym ten, który był dymem od piekielnego ognia, został związany w jaskini magią czarownika. Opowieść tę przekazywano od plemienia do plemienia i wszystkie klany omijały szerokim łukiem to przeklęte miejsce. Kiedy wdrapałem się tam podczas ucieczki przed Piktami Orłami, zdałem sobie sprawę, że dawna legenda jest prawdziwa i odnosi się do

starego Tranicosa i jego ludzi. Trzęsienie ziemi rozdarło podłóżę jaskini, gdy on i jego dowódcy siedzieli przy winie, i uwolniło opar z głębi ziemi – niewątpliwie z piekła, tak jak mówią Piktowie. Śmierć strzeże skarbu Tranicosa!

– Sprowadźmy tu ludzi! – pienił się Strom. – Wdrapiemy się i strącimy go na dół.

– Nie bądź głupcem – warknął Zaron. – Myślisz, że ktokolwiek na ziemi wejdzie po tych uchwytych na pastwę jego miecza? Ustawmy ludzi tu u góry, w miejscu dość dobrym, żeby naszpikować go strzałami, jak tylko odważy się pokazać. Ale wydostaniemy także kamienie. On miał jakiś plan na zdobycie łupu, inaczej nie sprowadziłby trzydziestu ludzi do jego wyniesienia. Jeśli on zdołałby go dobyć, to i my możemy. Zegnijmy ostrze kordelasa i zrobimy hak, przywiążemy go do liny i zarzucimy wokół nogi stołu, po czym przyciągniemy go do drzwi.

– Dobra myśl, Zaron! – dobiegł z góry drwiący głos Conana. – Dokładnie to miałem na myśli. Ale jak odnajdziesz drogę do ścieżki na plażę? Zrobi się ciemno, na długo zanim dotrzecie na plażę, jeśli będziecie poruszać się wolno przez las, a ja pójdę za wami i zabiję w mroku jednego po drugim.

– To nie czcze przechwałki – mruknął Strom. – On potrafi poruszać się i uderzać w ciemności tak niepostrzeżenie i cicho jak duch. Jeśli zapoluje na nas w czasie powrotu przez puszczy, niewielu dożyje, by ujrzeć plażę.

– Zatem zabijmy go tutaj. – Zaron zgrzytnął zębami. – Część z nas będzie strzelać do niego, podczas gdy reszta wdrapie się na załom. Jeśli nie trafią go strzały, kilku z nas dosięgnie go swymi szablami. Posłuchaj! Czemu on się śmieje?

– Bo słucham trupów snujących intrygi – dobiegł posepnie rozbawiony głos Conana.

– Nie zwracaj na niego uwagi. – Zarono się nasrożył i podnosząc głos, zawołał na ludzi poniżej, żeby dołączyli do niego i Stroma na półce.

Marynarze ruszyli pochyłym szlakiem i jeden zaczął wykrzykiwać jakieś pytanie. Jednocześnie rozległ się bzyk niczym wścieklej pszczoły, który zakończył się wyraźnym głuchym odgłosem. Bukanier sapnął i z jego otwartych ust trysnęła krew. Osunął się na kolana, ściskając czarne drzewce, które drżało w jego piersi. Jego towarzysze wydali przenikliwy okrzyk trwogi.

– Co się dzieje? – krzyknął Strom.

– *Piktowie!* – wydarł się jeden z piratów, unosząc łuk i strzelając na oślep. Człowiek u jego boku stęknął i padł z gardłem przebitym strzałą.

– Chowajcie się, głupcy! – wrzasnął Zarono. Ze swego miejsca miał dobry widok i dostrzegał wymalowane postaci przemierzające się w krzakach. Jeden z ludzi na wijącej się ścieżce padł na plecy martwy. Reszta rzuciła się pospiesznie między skały wokół podnóża załomu. Obierali osłony nieporadnie, nienawykli do tego rodzaju walki. Strzały śmigały z krzaków, roztrzaskując się na gałkach. Mężczyźni na półce przypadli do ziemi.

– Jesteśmy w pułapce! – Twarz Stroma była blada. Pozostawał nader śmiały, mając pokład pod stopami. To ciche, okrutne starcie wstrząsnęło jego nieulekłą odwagą.

– Conan powiedział, że boją się tych skał – rzekł Zarono. – Kiedy zapadnie noc, ludzie muszą wspiąć się tutaj. Utrzymamy te załomy. Piktowie nas nie zaatakują.

– Tak jest! – zakpił Conan nad nimi. – Nie będą wspinać się na załomy, żeby dobrać się do was, to prawda. Oni zwyczajnie okrążają je i przetrzymają was, aż wszyscy pomrzecie z głodu i pragnienia.

– Prawdę mówi – stwierdził bezsilnie Zaron. – Co mamy robić?

– Zawrzemy z nim rozejm – wymamrotał Strom. – Jeśli ktokolwiek jest w stanie wydostać nas z tych kłopotów, to on. Potem dość będzie czasu, żeby mu poderżnąć gardło. – Podniósłszy głos, zawołał: – Conanie, zapomnijmy o naszej waśni na jakiś czas. Jesteś w takiej samej biedzie jak my. Zejdź i pomóż nam wydostać się z niej.

– Jak do tego doszedłeś? – odciął się Cimmeryjczyk. – Muszę tylko poczekać do zmierzchu, zejść po drugiej stronie tych załomów i zniknąć w puszczy. Potrafię przebrnąć przez szyki, jakie Piktowie rozstawili wokół tego wzgórza, i powrócę do fortu, aby zameldować, że wszyscyście zostali zabici przez dzikusów, co niedługo będzie prawdą!

Zaron i Strom popatrzyli po sobie w bezwładnym milczeniu.

– Jednak nie zamierzam tego robić! – ryknął Conan. – Nie dlatego, że pałam jakąkolwiek sympatią do was, psy, ale dlatego, że biały człowiek nie pozostawia białych ludzi, nawet wrogów, Piktom na rzeź. – Zmierzwiona czarna głowa Cimmeryjczyka wyłoniła się znad szczytu skał. – Teraz słuchajcie uważnie. Tam, w dole, to tylko mała banda. Widziałem, jak skradają się przez zarośla, kiedy śmiałem się chwilę temu. W każdym razie, gdyby było ich wielu, wszyscy u stóp załomów byliby już martwi. Myślę, że to grupa bystrostopych młodych mężczyzn posłanych przed główną wyprawą wojenną, by odciąć nas od plaży. Jestem pewien, że wielka grupa bojowa kieruje się w naszą stronę. Rozstawili się

kordonem wokół zachodniej strony ostańca, ale nie sądzę, żeby byli jacyś po wschodniej. Zejdę po tamtej stronie, dostanę się do puszczy i znajdę ich od tyłu. W tym samym czasie wy spełnicie na ścieżkę i dołączycie do swoich ludzi między skałami. Powiecie im, by zlurowali łuki, a wyciągnęli ostrza. Kiedy posłyszycie mój wrzask, rzucicie się ku drzewom po zachodniej stronie polany.

– A co ze skarbem?

– Do diabła ze skarbem! Będziemy mieć szczęście, jeśli wydostaniemy się stąd z głową na karku.

Okolona czarną grzywą głowa zniknęła. Nasłuchiwali dźwięków wskazujących, że Conan pełźnie ku niemal pionowej wschodniej ścianie i pokonuje drogę w dół, ale nie posłyszeli niczego. Także w puszczy nie rozległ się żaden dźwięk. Żadne drzewca nie uderzały więcej o skały, gdzie ukrywali się żeglarze. Wszyscy wiedzieli jednak, że zawzięte czarne oczy obserwują ich z morderczą cierpliwością. Strom, Zarono i bosman zaczęli zsuwać się uważnie krętą ścieżką. Byli w połowie drogi, kiedy czarne strzały zaczęły gwizdać wokół nich. Bosman stęknął i runął bezwładnie w dół zbocza trafiony w samo serce. Strzały odbijały się od hełmów i napierśników wodzów, podczas gdy ci gnali, potykając się, w gorączkowym pośpiechu stromym szlakiem. Razem dotarli do podnóża w chaotycznym pędzie i padli między głazami, dysząc i klnąc, zasapani.

– To następna ze sztuczek Conana? – zastanawiał się Zarono.

– W tej kwestii możemy mu zaufać – zapewnił go Strom. – Ci barbarzyńcy żyją w zgodzie z własnym, szczególnym kodeksem honorowym i Conan nigdy nie wydałby ludzi o tym samym co jego kolorze skóry na rzeź ludowi innej rasy. Pomoże nam przeciwko

Piktom, mimo że sam planuje nas zabić... *Posłuchaj!*

Ciszę przeszył mrozący krew w żyłach wrzask. Doszedł on z lasu na zachodzie, a jednocześnie jakiś przedmiot wyleciał łukiem spomiędzy drzew, uderzył o ziemię i potoczył się, podskakując, w kierunku skał – odcięta ludzka głowa, odrażająco wymalowana twarz zastygła w grymasie śmierci.

– Sygnał Conana! – ryknął Strom, a zdesperowani korsarze wypadli ławą zza skał i popędzili na złamanie karku w stronę lasu.

Z krzaków świsnęły strzały, ale lot nadano im chaotycznie, w pośpiechu; zginęło tylko trzech ludzi. Potem dzicy ludzie morza wniknęli przez skraj listowia i spadli na nagie, wymalowane postaci, które unosiły się w mroku przed nimi. Nastąpiła zabójcza chwila sapnięć, okrutnego znoju, walki wręcz, kordelasów zbijających wojenne topory, obutych stóp tratujących nagie ciała. I nagle gołe stopy zabębniły między krzakami w karkołomnej ucieczce, gdy ocalali z tej krótkiej masakry wyszli ze zwarcia, pozostawiając siedem nieruchomych, wymalowanych postaci rozciągniętych na umazanych krwią liściach, jakie zaścielały ziemię. Dalej, w głębi zarośli, zabrzmiały ciosy i stęknięcia, po czym umilkły, a na widoku pojawił się Conan. Jego lakierowany kapelusz przepadł, płaszcz miał podarty, kordelas w dłoni ociekał krwią.

– Co teraz? – wysapał Zaron. Wiedział, że natarcie powiodło się tylko dlatego, że niespodziewany atak Conana na tyły Piktów odebrał ducha wymalowanym mężczyznom i zapobiegł ich wycofaniu się przed szturmem. Ale wybuchł przekleństwami, gdy Cimmeryjczyk przeszył kordelasem bukaniera, który skręcał się na ziemi z roztrzaskanym biodrem.

– Nie mogliśmy go nieść – mruknął Conan. – Ani zostawić na

wzięcie żywcem przez Piktów. Dalej!

Tłoczyli się blisko za nim, kiedy kroczył między drzewami. Sami by się mozolili i bładzili wśród zarośli godzinami, zanim by znaleźli szlak na plażę... o ile znaleźliby go kiedykolwiek. Cimmeryjczyk prowadził ich tak nieomylnie, jak gdyby podążał oznakowanym szlakiem, a morscy zbóje aż krzyknęli z niepohamowaną ulgą, gdy wypadli nagle na szlak, który biegł ku zachodowi.

– Głupcze! – Conan walnął dłonią po ramieniu pirata, który począł zrywać się do biegu, i pchnął go z powrotem między towarzyszy. – Rozsadzi ci serce i padniesz po tysiącu jardów. Jesteśmy o całe mile od plaży. Utrzymujcie spokojny krok. Może będziemy musieli przebiec bardzo szybko ostatnią milę. Zachowajcie na to nieco tchu. A teraz w drogę.

Ruszył nagle szlakiem, biegnąc miarowym truchtem. Marynarze podążyli jego śladem, dostosowując własny krok do niego.

Słońce dotknęło fal zachodniego oceanu. Tina stała przy oknie, z którego Belesa wcześniej oglądała burzę.

– Zachodzące słońce przemienia ocean w krew – odezwała się. – Żagiel karaki stanowi białą kropkę pośród szkarłatnych wód. Las już pociemniał od gromadzących się cieni.

– A co z marynarzami na plaży? – zapytała ospale Belesa. Na wpół leżała na pościeli z zamkniętymi oczami i rękami złożonymi pod głową.

– Oba obozy szykują kolację – stwierdziła Tina. – Gromadzą wyrzucone z morza drewno i budują ogniska. Słyszę, jak pokrzykują na siebie wzajemnie... *Co to?*

Raptowne napięcie w głosie dziewczynki sprawiło, że Belesa podniosła się na leżance. Tina ścisnęła okienny parapet, twarz jej

zbielała.

– Posłuchaj! Wycie, daleko, niczym mnóstwa wilków!

– Wilki? – Belesa skoczyła na równe nogi; strach ścisnął jej serce. – Wilki nie polują w sforach o tej porze roku...

– Och, popatrz! – krzyknęła dziewczynka piskliwym głosem, coś pokazując. – Z puszczy wybiegają jacyś ludzie!

W jednej chwili Belesa znalazła się obok niej, przypatrując się szeroko rozwartymi oczami małym z tej odległości postaciom wylewającym się z lasu.

– Żeglarze! – odetchnęła. – Z pustymi rękami! Widzę Zaronę... Stroma...

– Gdzie jest Conan? – wyszeptała dziewczynka.

Belesa pokręciła głową.

– Posłuchaj! Och, posłuchaj! – zakwiliła dziewczynka, przywierając do niej. – To Piktowie!

Teraz słyszał to już każdy w forcie – zawodzenie niezliczonych głosów, pełne szaleńczego uniesienia i żądzy krwi, z głębi ciemnej puszczy.

Ten odgłos zdopingował dyszących ludzi biegnących i zataczających się w stronę palisady.

– Szybciej! – dyszał Strom; jego twarz ściągnęła maska wyczerpania wysiłkiem. – Niemal depczą nam po piętach. Mój statek...

– Jest za daleko, poza naszym zasięgiem – wycharczał Zaron. – Damy radę dotrzeć do ostrokołu. Patrzcie, ludzie obozujący na plaży nas dostrzegli! – Zamachał ramionami w pozbawionej tchu pantomimie, a ludzie na plaży zrozumieli i odczytali wymowę dzikiego wycia przechodzącego w tryumfalne crescendo.

Marynarze porzucili swe ogniska oraz garnki i pomknęli ku bramie ostrokołu. Wlali się przez nią, gdy uchodźcy z puszczy okrążyli południowy narożnik i poczęli zataczać się ku bramie – chwiejna, rozgorączkowana zgraja, na wpół martwa z wyczerpania. Brama została zatrzaśnięta w szaleńczym pośpiechu, a marynarze poczęli wspinać się na ławę ogniową, by dołączyć do obecnych już tam zbrojnych.

Belesa stanęła przed Zaronem.

– Gdzie jest Conan?

Bukanier machnął kciukiem w kierunku ciemniejącego lasu; pierś falowała mu ciężko, pot lał się po twarzy.

– Ich zwiadowcy deptali nam po piętach, zanim sięgnęliśmy plaży. Zatrzymał się, żeby usieć kilku i dać nam czas na ucieczkę.

Odtoczył się, słaniając, by zająć miejsce na ławie, gdzie wspiał się już Strom. Stał tam Valenso – posepna, spowita w płaszcz postać, dziwnie milcząca i powściągliwa. Był niczym zaczarowany.

– Patrzcie! – zaskowyczał któryś pirat ponad ogłuszającym wyciem jeszcze niewidocznej hordy.

Z puszczy wyłonił się jakiś człowiek i pędził przez pas otwartej przestrzeni.

– Conan!

Zarono wyszczerzył zęby w wilczym grymasie.

– Jesteśmy bezpieczni za ostrokołem i wiemy, gdzie jest skarb. Nie ma powodu, dla którego nie moglibyśmy przeszyć go teraz strzałą.

– Nie! – Strom złapał go za rękę. – Będziemy potrzebowali jego miecza! Patrz!

Za szybkonogim Cimmeryjczykiem z puszczy wypadła dzika,

wyjąca w biegu horda – nadzy Piktowie, całe setki. Jeszcze kilka kroków i Conan sięgał wschodniej części ostrokołu, skoczył wysoko, złapał za ostre końcówki bali i podciągnąwszy się, przeskoczył nad nimi z kordelasem w zębach. Jadowite strzały zadudniły tępo o kłody w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się jego ciało. Olśniewający płaszcz przepadł, biała jedwabna koszula była podarta i splamiona krwią.

– Zatrzymajcie ich! – ryknął, gdy jego stopy dotknęły ziemi po wewnętrznej stronie. – Jeśli dostaną się na ogrodzenie, już po nas!

Piraci, bukanierzy i zbrojni zareagowali natychmiast i w nadciągającą hordę wdarł się deszcz strzał oraz bełtów.

Conan dojrzał Belesę wraz z Tiną przytuloną do jej dłoni, a język, którym to wyraził, był bardzo ekspresyjny.

– Pakuj się do dworu – rozkazał na zakończenie. – Ich strzały będą przelatywać łukiem nad ogrodzeniem... Co ci powiedziałem?

– Gdy czarna strzała ugrzęzła w ziemi u stóp Belesy i zadrżała niczym łeb węża, Conan złapał długi łuk i skoczył na ławę ogniową.

– Przygotujcie pochodnie! – ryknął ponad narastającym zgiełkiem bitwy. – Nie możemy zwalczyć ich w ciemności!

Słońce opadło w falujące morze krwi. Na wodach zatoki ludzie na pokładzie karaki odcięli łańcuch kotwiczny i *Czerwona Dłoń* poczęła gwałtownie maleć na szkarłatnym horyzoncie.



VII

LUDZIE Z LASU



Zapadła noc, ale wzdłuż plaży rozlały się pochodnie, ukazując w niesamowitym świetle obłąkańcze sceny. Nadzy, umalowani

mężczyźni roili się na piasku; ruszali ku palisadzie z obnażonymi zębami i błyszczącymi oczami jaśniejącymi w blasku pochodni przerzucanych nad ogrodzeniem. Pióra tukana falowały w czarnych grzywach, jak i pióra kormorana oraz rybołowa. Kilku wojowników, najdzikszych i najbardziej barbarzyńskich ze wszystkich, nosiło zęby rekina wplecione w splątane pukle. Nadmorskie plemiona z całego wybrzeża gromadziły się, aby oczyścić kraj z białoskórych najeźdźców.

Nadciągali pod palisadę, wypuszczając przed sobą deszcz strzał, i ruszali do walki w nawale strzał i bełtów, które odrzucały ich masy od ostrokołu. Czasami podchodzili tak blisko, że rąbali bramę bojowymi toporami i miotali włóczniami przez otwory strzelnicze. Ale za każdym razem ich napływ był odpierany – nie wdarli się na palisadę, pozostawiając sterty trupów. W tego typu walce korsarze byli najmocniejsi – ich strzały i bełty wyrywały dziury w nacierającej hordzie, a kordelasy ścinały ludzi z palisady, na którą tamci starali się wspiąć.

Jednak ludzie z lasu powracali znów i znów na rzeź z upartą zjadłością, jaka zrodziła się w ich zapalczywych sercach.

– Są jak oszalałe psy! – dyszał Zaron, rąbiąc po ciemnych dłoniach, które chwyciły się szczytu palisady; wykrzywione ciemne twarze wpatrywały się w niego pod górę.

– Jeżeli zdołamy utrzymać fort do świtu, stracą serce do walki – burknął Conan, rozplątując upierzoną czaszkę z zawodową precyzją. – Nie podtrzymają długiego oblężenia. Popatrz, wycofują się.

Natarcie się zwinęło, a mężczyźni na ogrodzeniu strząsnęli pot z oczu, policzyli martwych i z nowym zapałem ścisnęli śliskie od

krwi rękojeści swych ostrzy. Niczym łaknące krwi wilki, odegnane pomimo chęci od swej zapędzonej w kozi róg ofiary, Piktowie cofnęli się, przyczajeni, poza krąg pochodni. Tylko ciała zabitych zalegały przed palisadą.

– Odeszli? – Strom odrzucił swe mokre jasnobrązowe pukle. Kordelas w jego garści był poszczerbiony i czerwony, a krzepkie nagie ramię zbryzgane krwią.

– Nadal tam są. – Conan skinął głową w stronę odległego mroku, który otaczał pierścieniem krąg pochodni, jeszcze głębszy w ich świetle. W ciemnościach dostrzegał przelotnie ruch, błysk oczu i matowy połysk stali. – Chociaż odpuścili na trochę – rzekł. – Rozmieście wartowników na ogrodzeniu, a reszcie dajcie jeść i pić. Jest po północy. Walczyliśmy przez wiele godzin bez przerwy.

Wodzowie zwlekli się z ław, zwołując swych ludzi z ogrodzenia. Strażników umieszczono pośrodku każdej kurtyny: wschodniej, zachodniej, północnej i południowej, a paru zbrojnych pozostawiono przy bramie. Piktowie, aby dotrzeć do ogrodzenia, musieliby nacierać przez rozległy, oświetlony pochodniami obszar, a obrońcy byli w stanie zająć ponownie miejsca na długo przed tym, jak napastnicy zdołają dostać się do palisady.

– Gdzie jest Valenso? – dopytywał Conan, stojąc obok ogniska, jakie zbudowano na placu pośród tej ludzkiej zbieraniny, i ogryzając ogromny wołowy udziec. Piraci, bukanierzy i poddani hrabiego wymieszali się, pochłaniając z wilczym apetytem mięso i piwo przyniesione im przez kobiety i pozwalając przewiązywać sobie rany.

– Zniknął jakąś godzinę temu – mruknął Strom. – Walczył na ogrodzeniu obok mnie, kiedy nagle stanął jak wryty i zapatrzył się

wielkimi oczyma w mrok, jak gdyby ujrzał zjawę. „Popatrz! – wyskrzecztał. – Czarny diabeł! Widzę go! Tam, pośród nocy!” Cóż, mógłbym przysiąc, że dostrzegłem jakąś poruszającą się wśród ciemności postać, która była za wysoka na Pikta. Ale było to zaledwie mgnienie oka i już jej nie było. Valenso jednak zeskoczył z ławy ogniowej i ruszył chwiejnym krokiem do dworu niczym człowiek śmiertelnie ranny. Od tej pory go nie widziałem.

– Prawdopodobnie ujrzał diabła puszczy – stwierdził spokojnie Conan. – Piktowie mówią, że to wybrzeże roi się od nich. Tym, czego obawiam się bardziej, są płonące strzały. Piktowie mogą zacząć szyć nimi w każdej chwili. Co to? Brzmiało jak wołanie o pomoc.

Kiedy w walce nastał spokój, Belesa i Tina podpełzły do okna, od którego odepchnęło je niebezpieczeństwo ze strony przelatujących strzał. W milczeniu patrzyły na mężczyzn gromadzących się wokół ogniska.

– Na ostrokole nie ma dość ludzi – odezwała się Tina.

Przeciwstawiając się mdłościom, jakie wywołał u niej widok zwłok rozrzuconych wokół palisady, Belesa poczuła się zmuszona roześmiać.

– Uważasz, że wiesz więcej na temat wojen i oblężenia od korsarzy? – złążała ją łagodnie.

– Na ogrodzeniach powinno być więcej ludzi – upierała się dziewczynka. – Sądysz, że ten czarny człowiek wróci?

Belesa wzdrygnęła się na tę myśl.

– Lękam się – wymamrotała Tina. – Mam nadzieję, że Strom i Zaroni zostali zabici.

– A Conan nie? – spytała zaciekawiona Belesa.

– Conan nie zrobi nam krzywdy – stwierdziła dziewczynka z przekonaniem. – On żyje zgodnie ze swym barbarzyńskim kodeksem honorowym, a tamci są ludźmi, którzy wszelki honor utracili.

– Jesteś mądra ponad swój wiek, Tino – powiedziała Belesa z niejasnym niepokojem, jaki często budziła w niej przedwczesna dojrzałość dziewczynki.

– Popatrz! – Tina zeszywniała. – Strażnik z południowego ogrodu przepadł! Widziałam go na ławie przed chwilą, a teraz zniknął.

Z ich okna szczyty południowej palisady były ledwie widoczne ponad spadzistymi dachami rzędu chat, który stał równoległe do tamtego ogrodu prawie na całej jego długości. Pomędzy ostrokołem a tyłami chat pobudowanych zwartym szeregiem powstało coś w rodzaju korytarza z otwartym dachem szerokiego na trzy, cztery jardy. Chaty te zajmowane były przez służbę.

– Gdzie mógł przepaść ten strażnik? – wyszeptała Tina niespokojnie.

Belesa obserwowała koniec rzędu chat, który znajdował się niedaleko wejścia do dworu. Mogłaby przysiąc, że widziała jakąś tajemniczą postać wyslizgującą się zza chat i znikającą w drzwiach. Czy był to zaginiony strażnik? Dlaczego porzucił ogrodu i dlaczego miałby przemykać się tak skrycie do dworu? Nie sądziła, aby ten, którego widziała, był strażnikiem, i nienazwany strach zmroził jej krew.

– Gdzie jest hrabia, Tino? – zapytała.

– W wielkiej sali, moja pani. Siedzi sam przy stole owinięty w płaszcz i pije wino z twarzą poszarzałą jak po śmierci.

– Idź i powiedz mu, co widziałyśmy. Ja będę dalej wyglądać przez okno, czy Piktowie nie przekradają się przez niestrzeżone ogrodzenie.

Tina wybiegła. Belesa słyszała jej stopy w pantoflach tupoczące korytarzem i cichnące, gdy zbiegała po schodach. Wtem, niespodziewanie, rozbrzmiał straszliwy wrzask tak dojmującego strachu, że wstrząśnięte nim serce Belesy omal stanęło. Znalazła się na zewnątrz komnaty i gnała korytarzem, zanim uświadomiła sobie, że niosą ją nogi. Zbiegła po schodach... I zatrzymała się, jakby skamieniała.

Nie wrzasnęła tak, jak wrzasnęła Tina. Nie była w stanie poruszyć się czy wydać jakiegokolwiek dźwięku. Zobaczyła Tinę, miała świadomość małych rączek ściskających ją gorączkowo. Był to wszak jedyny realny element sceny zrodzonej z najczarniejszego koszmaru, szaleństwa i śmierci, opanowanej przez potworną antropomorficzną zjawę, która rozpostarła straszne ramiona na tle jaskrawego, piekielnego blasku.

Na zewnątrz, na ostrokole, na pytanie Conana Strom pokręcił głową.

– Ja niczego nie słyszałem.

– A ja słyszałem! – Dzikie instynkty Conana zbudziły się; cały był spięty, jego oczy błyszczały. – To dobiegło z południowego ogrodzenia, za tamtymi chatami!

Wyciągnąwszy kordelas, ruszył długimi krokami w kierunku palisady. Od strony placu zgromadzeń ogrodzenie na południu oraz strażnik tam ustawiony pozostawały niewidoczne, ukryte za chatami. Strom, któremu udzieliło się zachowanie Cimmeryjczyka, podążył jego śladem.

Na skraju otwartej przestrzeni pomiędzy chatami a ogrodzeniem Conan zatrzymał się czujnie. Przestrzeń owa była niejasno rozświetlona przez pochodnie płonące w każdym narożniku ostrokołu. I mniej więcej w połowie tego naturalnego korytarza na ziemi leżała jakaś stłamszona postać.

– Bracus! – Strom zaklął, wybiegając naprzód i opadając obok niego na kolano. – Na Mitrę, gardło ma poderżnięte od ucha do ucha!

Conan omiółł przestrzeń dookoła szybkim spojrzeniem lecz nie dostrzegł nikogo poza sobą, Stromem i trupem. Zerknął przez otwór strzelniczy. W pierścieniu pochodni na zewnątrz fortu nikt żywy się nie poruszał.

– Któż to mógł uczynić? – zastanawiał się.

– Zarono! – Strom skoczył na równe nogi, prychnąwszy z wściekłością niczym dziki kot; włos mu się zjeżył, twarz wykrzywiła konwulsyjnie. – Kazał swoim złodziejom dźgać moich ludzi w plecy! Planuje pozbawić mnie życia zdradą! Diabły! Zostałem osaczony z zewnątrz i od wewnątrz!

– Czekaj! – Conan wyciągnął rękę, by go powstrzymać. – Nie wierzę, że Zarono...

Jednak oszalały pirat wyrwał mu się i popędził do krańca rzędu chat, dysząc nienawiścią. Conan pobiegł za nim, klnąc. Strom udał się wprost do ogniska, przy którym widać było wysoką, szczupłą sylwetkę Zaronę; wódz bukanierów popijał piwo z kubka.

Jego zadziwienie osiągnęło najwyższy stopień, kiedy kubek ów został gwałtownie wytrącony mu z dłoni, bryzgając na napierśnik pianą, a on sam odwrócony szarpnięciem, by spojrzeć prosto w wykrzywioną furią twarz dowódcy piratów.

– Ty morderczy psie! – ryknął Strom. – Będziesz za moimi plecami wycinać mi ludzi, podczas gdy oni walczą o twoją zawszoną skórę tak jak o moją?

Conan spieszył ku nim, a ludzie ze wszystkich stron przerwali jedzenie i picie, żeby popatrzeć ze zdziwieniem.

– Co masz na myśli? – wykrztusił zdezorientowany Zarono.

– Kazałeś swoim ludziom zadźgać moich na stanowiskach! – wrzeszczał oszalały Barachańczyk.

– Kłamiesz! – Tłąca się nienawiść wybuchła nagłym płomieniem.

Wyjął nieskładnie, Strom zamachnął się kordelasem i ciął w głowę bukaniera. Zarono sparował cios opancerzoną lewą ręką, aż skry poleciały, i cofnął się chwiejnie, wyszarpując własną broń.

W jednej chwili obaj dowódcy walczyli jak szaleni, ich ostrza płonęły i błyskały w świetle ogniska. Ich załogi zareagowały natychmiast, na ślepo. Rozległ się głęboki ryk, kiedy piraci i bukanierzy wyciągnęli ostrza i rzucili się na siebie. Ludzie pozostawieni na ogrodzeniach porzucili stanowiska i zeskoczyli z ostrokołu z bronią w dłoni. Plac zgromadzenia przeistoczył się w pole walki, na którym zwarte, miotające się grupy mężczyzn tłukły się i cięły w ślepej furii. Niektórzy zbrojni i słudzy zostali wciągnięci w potyczkę, a żołnierze przy bramie odwrócili się i patrzyli w zadziwieniu, zapominając o wrogu, który czał się na zewnątrz.

Wszystko to stało się tak szybko – tłące się namiętności eksplodowały w nagłej bitwie – że ludzie walczyli wszędzie dookoła, zanim Conan zdołał dotrzeć do oszalałych wodzów. Ignorując ostrza, oderwał ich od siebie z taką gwałtownością, że obaj zatoczyli się w tył, a Zarono potknął się i padł jak długi.

– Przekleńci głupcy, chcecie, byśmy wszyscy postradali życie?

Strom penił się z wściekłości, a Zarono darł o wsparcie. Jakiś bukanier podbiegł do Conana od tyłu i ciął go w głowę. Cimmeryjczyk w półobrocie złapał go za ramię, wstrzymując uderzenie w pół drogi.

– Patrzcie, głupcy! – zaryczał, wskazując swym ostrzem.

Coś w jego głosie przyciągnęło uwagę walczącej szaleńczo hałasty. Mężczyźni zastygli w miejscu z uniesioną bronią, Zarono klęczał na jednym kolanie i wszyscy obrócili głowy, by popatrzeć. Conan wskazywał żołnierza na ławie ogniowej. Człowiek ów zataczał się, trzepiąc rękami powietrze, i krztusił, próbując krzyżeć. Nagle padł jak długi na ziemię i każdy mógł ujrzeć czarną strzałę wystającą mu spomiędzy ramion.

W zbiorowisku podniósł się alarmowy krzyk. Tuż za nim dobiegł zgiełk mrozących krew w żyłach wrzasków, trzask toporów rąbiących w bramę. Płonące strzały przeleciały ponad ogrodzeniem i utkwily w balach; wąskie smużki błękitnego dymu poczęły się wznosić i wić. Potem z za chat rozciągających się wzdłuż południowego ogrodzenia nadciągnęły podejrzone postaci gnające przez plac zgromadzenia.

– Piktowie w środku! – ryknął Conan.

Po jego okrzyku nastął obłęd. Korsarze porzucili wzajemne waśnie, niektórzy się odwrócili, by stawić czoło dzikusom, inni skoczyli na ogrodzenie. Dzicy wylewali się z za chat i rozprzestrzeniali po placu, ich topory szczękały w starciu z kordelasami żeglarzy.

Zarono podnosił się z trudem na nogi, kiedy jakiś wymalowany dzikus rzucił się na niego i roztrzaskał mu głowę bojowym

toporem.

Conan z garstką skupionych za nim marynarzy walczył z Piktami wewnątrz ostrokołu, a Strom z większością swych ludzi wspinał się właśnie na ławę ogniową, siekąc ciemne postaci przewalające się już tłumnie przez ogrodzenie. Piktowie, którzy podczołgali się niezauważeni i otoczyli fort, podczas gdy obrońcy walczyli między sobą, atakowali ze wszystkich stron. Żołnierze Valensa skupieni byli przy bramie i próbowali utrzymać ją wobec wyjącej chmary demonów w ekstazie.

Coraz więcej dzikich wylewało się zza chat, wspiąwszy się na niebronione południowe ogrodzenie. Strom i jego piraci zostali odrzuceni z innych stron od palisady i w jednej chwili plac zaroił się od nagich wojowników. Osaczyli obrońców niczym wilki; bitwa obróciła się w szalejące wiry wymalowanych postaci opływające niewielkie grupki zdesperowanych białych mężczyzn. Piktowie, marynarze i poddani hrabiego zaściełali ziemię, deptani przez nieuważne nogi. Umazani krwią śmiałkowie wskakiwali, wyjąc, do chat, a wrzaski, jakie rodziły się w ich wnętrzach, gdzie pod krwawymi toporami ginęły kobiety i dzieci, wznosiły się ponad wrzawę bitwy. Zbrojni porzucili bramę, kiedy postyszeli te żałosne krzyki, i Piktowie w jednej chwili wyważyli ją, wlewając się za palisadę także w tym miejscu. Chaty poczęły stawać w płomieniach.

– Przebijać się do dworu! – ryknął Conan i jakiś tuzin ludzi stłoczył się za jego plecami, kiedy niewzruszenie wycinał drogę przez szczyżącą zęby sforę.

Strom był u jego boku, młócąc swym kordelasem jak cepem.

– Nie zdołamy utrzymać dworu – burknął.

– Czemu nie? – Conan był zbyt zajęty krwawą robotą, by

poświęcić mu choćby przelotne spojrzenie.

– Ponieważ... uch! – Nóż w ciemnej dłoni zanurzył się głęboko w plecach Barachańczyka – Niech cię diabeł zeżre, draniu! – Strom obrócił się chwiejnie i rozplątał łeb dzikusa po zęby. Potem zatoczył się i padł na kolana, z ust popłynęła mu krew. – Dwór płonie! – wychrypiał i opadł w proch ziemi.

Conan rozejrzał się szybko. Ludzie, którzy podążali za nim, leżeli wszyscy we krwi. Pikt, który właśnie wyzionął ducha pod stopami Cimmeryjczyka, był ostatnim z grupy, jaka tarasowała mu drogę. Wszędzie dookoła panował bitewny zamęt, ale w tej chwili był sam. Znajdował się niedaleko południowego ogrodzenia. Kilka kroków i zdołałby wskoczyć na ławę, przebyć ostrokół i zniknąć wśród nocy. Pamiętał jednak o bezbronnych dziewczynach we dworze, z którego obecnie unosiły się obfite kłęby dymu. Pobiegnął w tamtą stronę.

Przybrany piórami wódz odwrócił się gwałtownie od drzwi, wznosząc swój topór bojowy, a szeregi szybkonogich śmiałków zbiegały się ku niemu za pędzącym Cimmeryjczykiem. Nie zwolnił kroku. Jego tnący z góry kordelas napotkał i odbił topór oraz rozszczepił czaszkę jego posiadacza. Chwilę później Conan był już za drzwiami, zatrzasnął je i zaryglował, przeciwstawiając toporom rąbiącym drewno.

Wielka sala pełna była unoszących się smug dymu, przez które błędził, na wpół ślepy, po omacku. Gdzieś łkała jakaś kobieta; cichy, ujmujący, histeryczny szloch wywołany szargającą nerwy grozą. Wyłonił się z kłębu dymu i zamarł zupełnie, wpatrując się wielkimi oczami w głąb pomieszczenia.

Sala była przyćmiona i zaciemiona przez unoszący się dym;

srebrny kandelabr został przewrócony, świece zgasły; jedyne oświetlenie stanowiła jaskrawa poświata z wielkiego kominka oraz ściany, przy której go umieszczono, gdzie od płonącej podłogi wznosiły się płomienie, liżąc dymiące belki stropowe.

Conan ujrzał oświetloną tym jaskrawym blaskiem ludzką postać huśtającą się z wolna na końcu liny. Martwa twarz obróciła się w jego stronę, kiedy ciało się zakołysało – była zniekształcona nie do poznania. Conan jednak wiedział, że to hrabia Valenso powieszony na belce stropowej.

W sali było coś jeszcze. Cimmeryjczyk widział to poprzez unoszący się dym – potworna czarna sylwetka zarysowana na tle piekielnej jasności. Jej zarys był poniekąd ludzki, ale cień rzucany na płonąca ścianę nie przypominał człowieka.

– Na Croma! – mruknął Conan wstrząśnięty i sparaliżowany świadomością, że stoi wobec istoty, przeciwko której jego ostrze jest bezsilne. Dostrzegł Belesę i Tinę, obejmujące się kurczowo, przycupnięte u dołu schodów.

Czarny potwór się wyprostował, jego gigantyczna sylwetka zamajaczyła na tle płomieni, rozłożył szeroko wielkie ramiona. Niewyraźne przez unoszący się dym oblicze wyrażało pogardę – na wpół ludzkie, demoniczne, straszliwe. Conan widział przez chwilę umieszczone blisko siebie rogi, rozwartą paszczę i ostro zakończone uszy. Stwór stąpał ociężale poprzez dym w jego stronę, a wraz z desperacją zbudziło się u Cimmeryjczyka pewne stare wspomnienie.

Niedaleko od niego stała masywna srebrna ława, bogato rzeźbiona, niegdyś element świetności zamku Korzettów. Conan schwycił ją mocno i wznosił wysoko ponad głowę.

– Srebro i ogień! – ryknął głosem niczym poryw wichru i cisnął ławą z całą siłą swych potężnych mięśni. Huknęła prosto w wielką czarną pierś – sto funtów srebra lecące ze straszliwą prędkością. Nawet ta czarna istota nie potrafiła się oprzeć takiemu pociskowi. Została zwalona z nóg i rzucona jak długa na plecy, do otwartego kominka, który stanowił ryczącą gardziel płomieni. Salą wstrząsnął straszliwy wrzask, krzyk nieziemskiego stwora, nagle w uścisku ziemskiej śmierci. Obramowanie pękło i z wielkiego komina opadły kamienie, na wpół przykrywając wijące się czarne członki, które płomienie pożerały z pierwotną furią. Płonące belki zwały się z sufitu i grzmotnęły na kamienie, a całą tę stertę spowił z rykiem buchający ogień.

Płomienie parły już w dół schodów, kiedy Conan do nich dotarł. Złapał słaniającą się dziewczynkę pod pachę i podciągnął Belesę na nogi. Pośród trzasku i huku ognia dało się słyszeć łoskot drzwi rozwalonych wojennymi toporami.

Cimmeryjczyk rozejrzył się, dostrzegł drzwi naprzeciw schodów i pospieszył nimi, unosząc Tinę i na wpół ciągnąc Belesę, która zdawała się otumaniona. Kiedy weszli do komnaty, odgłos za drzwiami oznajmił, że sufit po drugiej stronie się wali. Poprzez ścianę duszącego dymu Conan ujrzał otwarte, prowadzące na zewnątrz drzwi. Taszcząc swe podopieczne przez pomieszczenie, zauważył, że odrzwia zwisają na wyłamanych zawiasach, a zamek i rygiel są strzaskane i zgruchotane jak gdyby pod wpływem straszliwej siły.

– Przez te drzwi wszedł czarny człowiek! – załkała histerycznie Belesa. – Widziałam go... Ale nie wiedziałam...

Wyłonili się na oświetlonym ogniem placu kilka stóp od rzędu

chat, które stały równoległe do południowego ogrodzenia. Jakiś Pikt skradał się w stronę drzwi, jego oczy były czerwone w świetle ognia, topór wzniesiony. Odwróciwszy ramię z dziewczynką z dala od ciosu, Conan wbił kordelas w pierś dzikusa, a potem, poderwawszy Belesę z ziemi, pobiegł w kierunku południowego ogrodzenia, niosąc obie dziewczyny.

Plac pełen był skłębionych chmur dymu, które skrywały wykonywaną tu krwawą robotę, uchodźców jednak dojrzano. Nagie postaci, czarne na tle stłumionego blasku, wyskoczyły z dymu, potrząsając błyszczącymi toporami. Wciąż byli o całe jardy za Conanem, kiedy ten wpadł w przestrzeń między chatami a ogrodzeniem. Po drugiej stronie korytarza dostrzegł kolejne wyjące sylwetki biegnące, by odciąć mu drogę. Zatrzymał się nagle, rzucił Belesę na ławę ogniową i skoczył za nią. Przełożywszy ją przez palisadę, opuścił na piasek na zewnątrz, a po niej Tinę. Rzucony topór trzasnął o kłodę przy jego ramieniu, a potem on także znalazł się za ogrodzeniem, podnosząc swe oszołomione i bezradne podopieczne. Kiedy Piktowie dotarli do ogrodzenia, przestrzeń przed palisadą była całkowicie pusta z wyjątkiem trupów.



VIII

PIRAT POWRACA NA MORZE



Brzask zabarwił ciemne wody szaroróżowym odcieniem. Daleko na

podbarwionych wodach wyłoniła się z mgły biała kropka – żagiel, który zdawał się powieszony na perłowym niebie. Na krzaczastym cyplu Conan Cimmeryjczyk trzymał zszargany płaszcz nad ogniskiem ze świeżego drewna. Kiedy poruszał płaszczem, kłęby dymu unosiły się, drżąc na tle świtu, i znikały.

Belesa przycupnęła blisko niego, jednym ramieniem obejmując Tinę.

– Myślisz, że zobaczą to i zrozumieją?

– Zobaczą, z pewnością – uspokoił ją. – Odpływali i podpływali do brzegu przez całą noc w nadziei, że ujrzą jakichś ocalałych. Są odrętwiali ze strachu. Jest ich tylko pół tuzina i żaden nie potrafi prowadzić statku na tyle dobrze, by pożeglować stąd na Wyspy Barachańskie. Zrozumieją moje sygnały; to piracki kod. Mówię im, że dowódcy nie żyją, tak jak wszyscy marynarze, i żeby przybili do brzegu i zabrali nas na pokład. Wiedzą, że umiem nawigować, i będą zadowoleni, stanowiąc moją załogę. Muszą. Jestem jedynym pozostałym dowódcą.

– A nie sądzisz, że dym dostrzegą Piktowie? – Wzdrygnęła się, spoglądając za siebie ponad zamglonymi piaskami i krzakami wiele mil na północ, gdzie w nieruchomym powietrzu wznosiła się kolumna dymu.

– Nikła szansa, że go zobaczą. Po tym, jak ukryłem was w lesie, podpełzłem z powrotem i widziałem, jak wyciągają ze składów beczki wina i piwa. Większość z nich już się zataczała. Do tego czasu wszyscy będą leżeć wokół zbyt pijani, by się ruszyć. Gdybym miał setkę ludzi, mógłbym zetrzeć całą tę horde. Popatrz! Idzie rasa z *Czerwonej Dłoni*! To oznacza, że przybędą, by nas zabrać!

Conan zdeptał ognisko, podał płaszcz z powrotem Belesie i

przeciągnął się niczym wielki, leniwy kot. Belesa obserwowała go z podziwem. Jego niewzruszona postawa nie była udawana; noc ognia, krwi i rzezi, a potem ucieczka przez czarny las nie poruszyły go. Był równie spokojny, jakby spędził noc na biesiadowaniu i hulance. Belesa nie bała się go; czuła się bezpieczniej niż przez cały czas, odkąd wylądowała na tym dzikim wybrzeżu. On nie był taki jak korsarze, ludzie cywilizowani, którzy odrzucili wszelkie honorowe normy i żyli bez nich. Conan żył zgodnie z kodeksem swego ludu, który był barbarzyński i krwawy, ale przynajmniej utrzymywał własne, specyficzne normy honoru.

– Myślisz, że on nie żyje? – zapytała, zdałoby się, niezobowiązująco.

Nie dociekał, do kogo odnosi się pytanie.

– Tak sądzę. Srebro i ogień są zabójcze dla złych duchów, a ten dostał w bród i tego, i tego.

Żadne z nich nie mówiło już więcej na ten temat. Umysł Belesy wzdragał się przed przywołaniem tamtej sceny, kiedy czarna postać zakradła się do wielkiej sali i długo odkładana zemsta została straszliwie dopełniona.

– Co zrobisz, gdy dostaniesz się z powrotem do Zingary? – zapytał Conan.

Pokręciła bezradnie głową.

– Nie wiem. Nie mam ani przyjaciół, ani pieniędzy. Nie uczono mnie, jak zarabiać na swe utrzymanie. Może byłoby lepiej, gdyby jedna z tamtych strzał trafiła mnie w serce.

– Nie mów tak, moja pani! – błagała ją Tina. – Będę pracować na nas obie.

Conan wydobył z za pasa mały skórzany mieszek.

– Nie dostałem klejnotów Tothmekriego – zadudnił – ale masz tu parę błyskotek znalezionych w kufrze, w którym były rzeczy, jakie noszę. – Wysypał na dłoń garść płomiennych rubinów. – Warte są fortunę. – Wrzucił je z powrotem do mieszka i wręczył go dziewczynie.

– Ale ja nie mogę wziąć tych... – zaczęła.

– Oczywiście, że je weźmiesz. Równie dobrze, jak zabrać z powrotem do Zingary, byś głodowała, mógłbym zostawić cię Piktom na oskalpowanie – rzekł. – Wiem, co to znaczy być bez grosza na hyboryjskiej ziemi. Obecnie w moim kraju pojawia się czasem głód, ale ludzie są głodni tylko wówczas, gdy na naszej ziemi nie ma w ogóle jedzenia. W cywilizowanych państwach wszelako widywałem ludzi chorych z obżarstwa, podczas gdy inni głodowali. Tak jest, widywałem ludzi padających i umierających z głodu pod murami sklepów i składów zapchanych jedzeniem. Też bywałem głodny, ale wówczas brałem to, czego chciałem, sztychem miecza. Ty jednak tego uczynić nie możesz. Weź więc te rubiny. Możesz sprzedać je i kupić zamek, niewolników i przednie szaty, a z nimi nietrudno będzie zdobyć męża, ponieważ wszyscy cywilizowani mężczyźni pragną żon z taką własnością.

– Ale co z tobą?

Conan wyszczerzył zęby w uśmiechu i wskazał na *Czerwoną Dłoń* nadciągającą prędko ku brzegowi.

– Statek i załoga są wszystkim, czego chcę. Jak tylko postawię stopę na pokładzie, będę miał statek, a gdy dotrę na Barachany – załogę. Chłopaki z Czerwonego Bractwa są chętni pływać ze mną, ponieważ zawsze wiodę ich po wyjątkowy łup. I jak tylko odstawię ciebie i dziewczynę na brzeg w Zingarze, pokażę tym psom, jak się

grabi! Nie, nie, dzięki! Czym jest dla mnie garść szlachetnych kamieni, kiedy cały łup południowych mórz będzie mój na wyciągnięcie ręki?



Ludożercy z Zambouli

Ludożercy z Zambouli

I

ODZYWA SIĘ BĘBEN



– W domu Arama Baksha kryje się niebezpieczeństwo!

Głos mówiącego drżał od szczerzej gorliwości, a gdy chrypiał swe ostrzeżenie, jego szczupłe, opatrzone czarnymi paznokciami palce zacisnęły się na potężnie umięśnionej ręce Conana. Był żylastym, ogorzałym od słońca mężczyzną o bujnej, czarnej

brodzie, jego podarty strój zaś ujawniał w nim nomadę. Wyglądał jeszcze bardziej przeciętnie, skromnie w zestawieniu z olbrzymim Cimmeryjczykiem z jego czarnymi brwiami, szeroką pierśią i potężnymi członkami. Stali na narożniku Bazaru Płatnerzy, a z obu stron opływał ich wielojęzyczny i wielobarwny ludzki strumień z ulic Zambouli – egzotyczny, mieszany, olśniewająco kolorowy i zgiełkliwy.

Conan odwrócił wzrok, którym podążał za czerwonoustą Ghanarką o śmiałym spojrzeniu – jej krótka, rozcięta suknia odsłaniała brązowe udo przy każdym wyniosłym kroku – i marszcząc brwi, popatrzył na swego natrętnego towarzysza.

– Co rozumiesz przez niebezpieczeństwo? – zapytał.

Zanim odpowiedział, człowiek pustyni rzucił przez ramię ukradkowe spojrzenie i ściszył głos.

– Kto to może powiedzieć? Niemniej różni ludzie pustyni i podróżni *sypiali* w domu Arama Baksha i słuch o nich zaginął! Co się z nimi stało? *On* sam zaklinał się, że wstali i poszli swoją drogą... I prawdą jest, że żaden obywatel tego miasta w tym domu nigdy nie zniknął. Ale podróżnych nikt już więcej nie widział, a ludzie mówią, że towary i oporządzenie rozpoznane jako ich widywano na bazarach. Jeśli to nie Aram je sprzedawał, pozbywszy się właścicieli, jak się tam znalazły?

– Ja nie mam towarów – warknął Conan, trącając owiniętą jaszczurem rękojeść szerokiego miecza, który zwisał mu u pasa. – Sprzedałem nawet swego konia.

– Ale nie tylko bogaci przybysze znikają nocą z domu Arama Baksha! – trajkotał Zuagir. – Nie! Ubodzy ludzie pustyni *sypiali* tam, ponieważ jego stawki są niższe niż w innych gospodach... I

nie widziano ich już więcej! Pewnego razu jeden z wodzów Zuagirów, którego syn przypadł, poskarżył się satrapie Jungirowi Khanowi, ten zaś nakazał żołnierzom przeszukanie domu.

– A ci znaleźli piwnicę pełną zwłok? – zapytał Conan, pokpiwając wesoło.

– Nie! Nie znaleźli niczego! A wodza przepędzili z miasta z groźbą i przekleństwem! Ale – przysunął się bliżej Conana i zadrżał – znaleziono coś innego! Na skraju pustyni, za domami, jest kępa palm, a pośród tego gaju głęboka jama. I w tejże jamie znaleziono ludzkie kości, zwęglone i poczerniałe! Nie raz, ale wiele razy!

– Co dowodzi czego? – mruknął Cimmeryjczyk.

– Że Aram Baksh jest demonem! Po prawdzie, w tym przekętym mieście, które zbudowali Stygijczycy, a którym władają Hyrkańczycy, gdzie białe, brązowe i czarne ludy mieszają się, wydając hybrydy o każdym bezbożnym odcieniu skóry i każdego chowu, któż zdoła powiedzieć, kto jest człowiekiem, a kto demonem w przebraniu? Aram Baksh jest demonem w ludzkiej postaci! W nocy przyjmuje swą prawdziwą postać i porywa swych gości na pustynię, gdzie inne znane mu demony z pustkowi spotykają się na tajne zgromadzenia!

– Dlaczego zawsze pozbywa się obcych? – zapytał Conan sceptycznie.

– Lud miasta nie ścierpiałby, gdyby zabijał ich ludzi! Ale w ogóle nie dbają o obcych, którzy wpadają w jego ręce. Conanie, ty jesteś z Zachodu i nie znasz tajemnic tych pradawnych ziem. Ale od zarania czasów demony pustyni czciły Yoga, Pana Pustych Przybytków, ogniem... ogniem, który pochłania ludzkie ofiary!

Strzeż się! Tyś mieszkał w namiotach Zuagirów przez wiele księżyców i tyś stał się naszym bratem! Nie idź do domu Arama Baksha!

– Zejdź z widoku – rzekł nagle Conan. – Nadchodzi oddział straży miejskiej. Jeśli cię zobaczą, mogą przypomnieć sobie o koniu, którego skradziono ze stajni satrapy...

Zuagir sapnął i poruszył się gwałtownie. Dał nura pomiędzy kram a kamienne koryto dla koni, zatrzymując się tylko, by zatrajkotać:

– Strzeż się, bracie mój! W domu Arama Baksha mieszkają demony!

Potem wystrzelił wąską alejką i zniknął.

Conan podciągnął szeroki pas z mieczem, tak jak lubił, i spokojnie odwzajemnił badawcze spojrzenie skierowane na niego przez oddział przechodzących obok strażników. Przypatrywali mu się ciekawie, z podejrzliwością, gdyż był człowiekiem, który wyróżniał się nawet pośród tak pstrokatego tłumu, jaki tłoczył się na krętych ulicach Zambouli. Jego niebieskie oczy i obce rysy odróżniały go od wschodnich społeczności, a prosty miecz u pasa dodawał kolejny element do rasowej odmienności.

Strażnicy go nie zaczepili, poszli dalej ulicą, podczas gdy tłum sam otwierał przed nimi drogę. Byli Pelishtimami, krępyimi, o haczykowatych nosach i czarnobłękitnych brodach omiatających im napierśniki. Najemnicy pracujący dla rządzących Turańczyków, mający wszystkich w pogardzie i nie mniej z tego powodu znienawidzeni przez mieszaną ludność.

Conan spojrzał przelotnie na słońce chowające się właśnie za domami o płaskich dachach po zachodniej stronie bazaru i

poprawiwszy jeszcze raz pas, ruszył w kierunku gospody Arama Baksha.

Krokiem górala przemieszczał się wśród nieustannie zmieniającej się palety kolorów ulicy, gdzie podarte tuniki zawodzących nędzarzy ocierały się o lamowane gronostajami *chałaty* nobliwych kupców i wyszywany perłami aksamit bogatych metres. Olbrzymi czarni niewolnicy przechadzali się niedbale, potracając błękitnobrodych włóczęgów z miast shemickich, obszarpanych nomadów z okolicznych pustyń, handlarzy i awanturników ze wszystkich krajów Wschodu.

Miejscowa ludność była nie mniej różnorodna. Wieki temu przybyły tu wojska Stygii, wycinając sobie imperium ze wschodniej pustyni. Zamboula była wówczas jedynie miasteczkiem handlowym leżącym pośród kręgu oaz i zamieszkanym przez potomków nomadów. Stygijczycy przebudowali ją na wielkie miasto i zasiedlili własnym ludem oraz shemickimi i kushickimi niewolnikami. Niekończące się karawany przekraczały pustynię ze wschodu na zachód i z powrotem, przynosząc bogactwa i jeszcze większe wymieszanie ras. Wtedy nadeszli żądni podbojów Turańczycy, przybywający ze Wschodu, by cofnąć granice Stygii, i obecnie od około jednego pokolenia Zamboula była najbardziej na zachód wysuniętą placówką rządzoną przez turańskiego satrapę.

Mieszanina niezliczonych głosów biła Cimmeryjczyka po uszach, kiedy ruchliwy wzór kolejnych ulic Zambouli spletał się dookoła niego, przecinany tu i ówdzie tętentem oddziału konnych – wysokich, szczupłych wojowników Turanu o ciemnych, orlich twarzach, pobrzękujących metalem i

zakrzywionymi ostrzami. Tłum pierzchał spod kopyt ich koni, gdyż byli panami Zambouli. Jednak wysocy, posępni Stygijczycy, trzymający się na uboczu, w mroku, łypali na nich pochmurnie spode łba, rozpamiętując swą starożytną chwałę. Mieszana ludność niewiele obchodziło, czy król panujący nad ich losem mieszka w mrocznym Khemi czy też w lśniącym Aghrapurze. Zamboulą władał Jungir Khan, a ludzie szeptali, że Nafertari, kochanka satrapy, włada Jungirem Khanem. Ale ludzie chadzali własnymi drogami, obnosząc się z bezlikiem barw po ulicach, targując, dyskutując, uprawiając hazard, chlejąc i kochając się, jak lud Zambouli czynił przez te wszystkie wieki, kiedy wieże i minarety miasta wznosiły się ponad piaskami Kharamunu.

Spizowe latarnie, rzeźbione w szczerzące się wymownie smoki, zapłonęły na ulicach, zanim Conan dotarł do domu Arama Baksha. Gospoda była ostatnim zajęтым budynkiem na ulicy, która biegła na zachód. Od domów położonych bardziej na wschód oddzielał ją otoczony murem obszerny ogród, w którym gęsto rosły palmy daktylowe. Po zachodniej stronie oberży znajdował się kolejny gaj palmowy, przez który ulica – będąca obecnie traktem – wychodziła, wijąc się, na pustynię. Po drugiej stronie drogi naprzeciw gospody stał rząd pustynnych chat ocienionych bujnymi palmami i zajmowanych tylko przez nietoperze oraz szakale. Idąc ową drogą, Conan zastanawiał się, czemu nędzarze, tak liczni w Zambouli, nie zawłaszczyli tych pustych domów na noclegownie. Światła pozostały w pewnej odległości za nim. Tu nie było latarni, z wyjątkiem jednej, wiszącej przed bramą gospody, tylko gwiazdy, miazgi pyłu drogi pod stopami i szum palmowych liści na lekkim pustynnym wietrze.

Brama Baksha nie wychodziła na drogę, lecz na alejkę, jaka biegła pomiędzy gospodą a ogrodem palm daktylowych. Conan szarpnął mocno za sznur, który zwisał u dzwonu obok latarni, i wzmocnił jego hałas, łomocząc o okutą żelazem bramę z drewna tekowego ręką swego miecza. Okienko w bramie się otwarło i zerknęła przez nie czarna twarz.

– A niech cię... Otwieraj! – zażądał Conan. – Jestem gościem. Zapłaciłem Aramowi za pokój i pokój ten mieć będę, na Croma!

Czarny wyciągnął szyję, by przyjrzeć się oświetlonej blaskiem gwiazd drodze za Conanem, ale otworzył bramę bez uwag i zamknął ją za Cimmeryjczykiem, obracając klucz i ryglując. Mur był niezwykle wysoki, ale w Zambouli znajdowało się wielu złodziei, a dom na skraju pustyni musiał bronić się przed nocnymi napaściami nomadów. Conan kroczył przez ogród, w którym wielkie, rozkwitłe kwiaty daktyli kołysały się w świetle gwiazd, i wszedł do wyszynku, gdzie pewien Stygijczyk z ogoloną głową adepta siedział przy stole zasepiony nad jakimiś niewysłowionymi tajemnicami, a w rogu kilku nijakich typów sprzeczało się nad grą w kości.

Stąpając miękko, naprzeciw wyszedł mu Aram Baksh – korpulentny mężczyzna z czarną brodą, która omiatała mu pierś, sterczącym, haczykowatym nosem i małymi czarnymi oczkami, które nigdy nie spoczywały nieruchomo.

– Życzysz sobie jedzenia? – zapytał. – Picia?

– Zjadłem udziec wołowy i bochenek chleba na suku – burknął Conan. – Przynieś mi dzban ghazańskiego wina... Zostało mi akurat tyle, by zań zapłacić. – Rzucił miedziaka na poplamiony winem blat.

– Nie wygrałeś przy stołach gry?

– Jak mogłem, mając na początek tylko garść srebra? Dziś rano zapłaciłem za pokój, ponieważ wiedziałem, że prawdopodobnie przegram. Chciałem być pewien, że nocą będę miał dach nad głową. Nie zauważyłem, aby ktokolwiek sypiał na ulicach Zambouli. Najnędnieszy żebrak poluje na niszę, w której mógłby zabarykadować się przed zmrokiem. Miasto musi być pełne złodziei z gatunku szczególnie żądnych krwi.

Z zadowoleniem przełknął tanie wino i wyszedł z wyszynku w ślad za Aramem. Za jego plecami gracze przerwali grę, by popatrzeć za nim z tajemniczym domysłem w oku. Nie mówili nic, ale Stygijczyk zaśmiał się upiornym śmiechem niehumanicznego cynizmu i drwiny. Pozostali niespokojnie opuścili wzrok, unikając wzajemnych spojrzeń. Sztuki studiowane przez stygijskiego adepta nie są obliczone na to, by sprawić, że będzie podzielał uczucia zwykłej ludzkiej istoty.

Conan podążał za Aramem korytarzem oświetlonym miedzianymi lampami, a bezgłośnie, jak zauważył, krok gospodarza nie ucieszył go. Nogi Arama były obute w miękkie pantofle, a połowę drogi wyścielały puszyste turańskie chodniki, ale zamboulańczykowi towarzyszyło nieprzyjemne wrażenie wrodzonej niedostrzegalności. Przy końcu krętego korytarza Aram zatrzymał się pod drzwiami, w poprzek których w metalowych mocowaniach spoczywała ciężka, stalowa sztaba. Podniósł ją i pokazał Cimmeryjczykowi dobrze urządzonej komnatę, której okna, co Conan zauważył natychmiast, były małe i solidnie opatrzone gustownie złożonymi, splecionymi prętami ze stali. Na podłodze leżały chodniki, stała leżanka na wschodnią

modłę i bogato zdobione taborety. Była to komnata znacznie bardziej wyszukana niż te, jakie Conan mógł uzyskać za tę cenę bliżej centrum miasta – fakt, który skusił go w pierwszej kolejności, kiedy rano odkrył, jak szczupły portfel pozostawiły mu hulanki kilku minionych dni. Przyjechał do Zambouli z pustyni tydzień temu.

Aram zapalił spiżową lampę i teraz zwracał uwagę Conana na dwoje drzwi zaopatrzonych w ciężkie rygle.

– Dzisiejszej nocy możesz spać bezpiecznie, Cimmeryjczyku – rzekł, stając w drzwiach, mrugnawszy sponad swej krzaczastej brody.

Conan mruknął coś i rzucił swój obnażony szeroki miecz na leżankę.

– Twe rygle i kraty są mocne, ale ja zawsze sypiam ze stalą u boku.

Aram nic nie powiedział. Stał, bawiąc się swą brodą przez chwilę, kiedy to przypatrywał się groźnemu orężu. Potem wycofał się cicho, zamykając za sobą drzwi. Conan zatrzasnął rygiel na miejsce, przeszedł przez pomieszczenie, otworzył drzwi po przeciwnej stronie i wyjrzał na zewnątrz. Pokój znajdował się w skrzydle domu, które stało frontem do drogi wybiegającej z miasta na zachód. Drzwi otwierały się na mały dziedziniec, który sam zamknięty był własnym murem. Skrajne mury, które odcinały go od reszty budynków gospody, były wysokie i pozbawione przejść, lecz mur, który biegł równolegle do traktu, był niski, a na bramie nie było zamka.

Zza pleców Conana dochodził blask spiżowej lampy. Stał przez chwilę w drzwiach, spoglądając na trakt w miejscu, gdzie niknął

on pośród gęstych palm. Ich liście szumiały zgodnie na lekkim wiateryku; za nimi leżała naga pustynia. Daleko na ulicy, w drugą stronę, jaśniały światła, a do niego dochodziły słabe odgłosy miasta. Tu były tylko światło gwiazd, szepcące liście palm, a za niskim murem pył traktu i opuszczone chaty wciskające swe płaskie dachy pomiędzy świecące nisko gwiazdy. Gdzieś za palmowym gajem odezwał się bęben.

Powróciły doń niezborne ostrzeżenia Zuagira, teraz jakoś mniej fantastyczne, niż zdawały się na zatłoczonych, rozświetlonych słońcem ulicach. Ponownie rozważał zagadkę tych pustych chat. Dlaczego żebracy omijali je z dala? Wrócił do komnaty, zamknął drzwi i zarygłował je.

Światło zaczęło migać, a on odkrył, przeklinając, kiedy to badał, że olej palmowy w lampie niemal się wyczerpał. Zaczął wołać Arama, po czym wzruszył ramionami i zdmuchnął płomień. W miękkim mroku rozciągnął się, całkowicie ubrany, na leżance, jego umięśniona dłoń instynktownie poszukała i zamknęła się na rękojeści szerokiego miecza. Wpatrując się pusto w gwiazdy ujęte w ramy zakratowanych okien, ze szmerem lekkiego wiatru wśród palm w uszach, zanurzył się w sen, mając mętłą świadomość bębna mruczącego gdzieś na pustyni – niskie dudnienie i pomruk obciążonego wyprawioną skórą bębna bitego miękkimi, rytmicznymi uderzeniami otwartej czarnej dłoni...



II

SKRADAJĄCY SIĘ NOCĄ



Ukradkowe otwarcie drzwi zbudziło Conana. Ale ocknął się nie jak człowiek cywilizowany, senny, otumaniony i ogłupiały. Przebudził się nagle, z czystym umysłem, rozpoznając dźwięk, który przerwał mu sen. Leżąc tak w napięciu w ciemności, zobaczył, jak drzwi prowadzące na zewnątrz powoli się uchylają. W poszerzającym się pasie rozświetlonego gwiazdami nieba ujrzał wielkie, czarne cielsko – szerokie, przygarbione ramiona i nieforemny łeb przesłaniający gwiazdy.

Conan poczuł, jak skóra cierpie mu na plecach. Zaryglował drzwi solidnie. Jak więc mogły się teraz otwierać, jeśli nie za sprawą czynnika nadprzyrodzonego? I jaka ludzka istota mogła mieć taki

łeb jak ten zarysowany na tle gwiazd? Wszystkie opowieści, jakie słyszał w namiotach Zuagirów o diabłach i chochlikach, powróciły, by zrosić mu ciało lepkiem potem. Wkrótce potwór wśliznął się bezgłośnie do pomieszczenia w pozycji przykucniętej, powłócząc nogami, a w nozdrza Cimmeryjczyka wdarła się znajoma woń, lecz nie przyniosła mu pocieszenia, gdyż zuagirskie legendy ukazywały demony jako pachnące w ten sposób.

Conan bezszelestnie podwinął nogi pod siebie. Obnażony miecz znajdował się w jego prawej dłoni i kiedy uderzył, był gwałtowny i zabójczy niczym tygrys wyskakujący z mroku. Nawet demon nie byłby w stanie uniknąć tak porywczego ataku. Jego miecz trafił i rozszczepił ciało oraz kość i coś upadło ciężko na podłogę ze zduszonym okrzykiem. Conan przykucnął nad tym w ciemności z ociekającym mieczem w rękę. Diabeł, dzikie zwierzę czy człowiek – stwór leżał martwy na podłodze. Cimmeryjczyk wyczuł śmierć tak, jak wyczuwa ją każde dzikie stworzenie. Spojrzał złym okiem przez wpółotwarte drzwi na oświetlony blaskiem gwiazd dziedziniec. Brama stała otworem, ale dziedziniec był pusty.

Zamknął drzwi, ale ich nie zaryglował. Macając w mroku, odszukał lampę i zapalił ją. Było w niej dość oleju, by paliła się przez minutę czy coś koło tego. Chwilę później schylał się nad postacią rozciągniętą na podłodze w kałuży krwi.

Był to olbrzymi czarny człowiek, nagi poza opaską biodrową. W dłoni wciąż ścisnął maczugę o sękatej głowicy. Jego kędzierzawe kudły ułożono w podobne do rogów wałki za pomocą gałązek i błota. Ta barbarzyńska fryzura nadawała głowie w świetle gwiazd jej nieforemny wygląd. Wyposażony w klucz do zagadki Conan rozsunął mięsiste czerwone wargi i mruknął gardłowo, gdy

popatrzył na ostro spiłowane zęby.

Teraz rozumiał tajemnicę przybyszów, którzy znikali z domu Arama Baksha, zagadkę czarnego bębna buczonego gdzieś za palmowym gajem i jamy zwęglonych kości – owej jamy, w której mięso przybyszów można było upiec pod gwiazdami, podczas gdy czarne bestie siadały dookoła, by nasycić odrażający głód. Mężczyzna na podłodze był niewolnikiem kanibalem z Darfaru.

W mieście było wielu jemu podobnych. Kanibalizmu w Zambouli nie tolerowano otwarcie. Conan pojął wszak teraz, dlaczego ludzie zamykali się tak solidnie na noc i czemu nawet żebracy unikali otwartych alei czy pozbawionych drzwi ruin. Mruknął z niesmakiem, gdy wyobraził sobie bestialskie czarne cienie skradające się wte i wewte spowitymi nocą ulicami w poszukiwaniu ludzkiej zdobyczy... I ludzi takich jak Aram Baksh, otwierających im drzwi. Właściciel oberży nie był demonem, był kimś gorszym. Niewolnicy z Darfaru to notoryczni złodzieje; nie ulegało wątpliwości, że niektóre z wykradzonych przez nich łupów znajdowały drogę do rąk Arama Baksha. A on w zamian sprzedawał im ludzkie mięso.

Zdmuchnął płomień, podszedł do drzwi, otworzył je i przebiegł dłonią po zdobieniach od strony zewnętrznej. Jedno z nich ruszało się i zawiadywało rygiel w środku. Pokój był pułapką do łapania ludzkich ofiar niczym królików. Ale tym razem zamiast królika złapał się tygrys szablatozębny.

Cimmeryjczyk powrócił do drugich drzwi, uniósł rygiel i naparł na nie. Nie dały się ruszyć, a on wspomniał rygiel po drugiej stronie. Aram nie musiał się obawiać niczego zarówno ze strony ofiar, jak i ludzi, z którymi się dogadywał. Zapiął swój pas z

mieczem, Conan wyszedł szybko na dziedziniec i zamknął za sobą drzwi. Nie miał zamiaru odkładać uregulowania rachunku z Aramem Bakshem. Zastanawiał się, jak wielu biednych diabłów zostało zatłuczonych we śnie, wyciągniętych z tego pomieszczenia i powleczonych dalej drogą, która biegła przez cieniste palmowe gaje, na upieczenie w jamie.

Zatrzymał się na dziedzińcu. Bęben wciąż szemrał, a pośród gaju ujrzał lśnienie migoczącego czerwonego blasku. Kanibalizm był czymś więcej niż zboczonym apetytem czarnych ludzi z Darfaru; stanowił integralną część ich upiornego kultu. Czarne sępy zleciały się już na tajne spotkanie. Jednak jakiegokolwiek mięso zapełni dzisiaj ich brzuchy, nie będzie jego mięsem.

Aby dotrzeć do Arama Baksha, musiał wspiąć się na jeden z murów, które oddzielały małą ogrodzoną przestrzeń od części zasadniczej. Były one wysokie, mierzone na to, by utrzymać z dala ludożerców, lecz Conan nie był czarnym mężczyzną wyrosłym na bagnach. Jego mięśnie zostały przekute w stal za czasów chłopięctwa na stromych, wyniosłych skałach jego ojczystych wzgórz. Stał właśnie u stóp bliższego muru, kiedy spod drzew rozszedł się echem jakiś krzyk.

W jednej chwili Cimmeryjczyk czaił się już przy bramie, wyglądając złym okiem na trakt. Dźwięk ów dobiegł z mroku chat po przeciwnej stronie. Posłyszał gorączkowy, zdławiony charkot, który mógł być skutkiem rozpaczliwej próby wrzasku z czarną dłonią przyciśniętą do ust ofiary. Z mroku za chatami wyłoniła się mocno ściśnięta grupa postaci i ruszyła traktem – trzech wielkich czarnych mężczyzn niosących pomiędzy sobą smukłą, zmagającą się z nimi postać. Conan wyłapał w blasku gwiazd przebłysk

skręcających się jasnych członków i w tym samym momencie spazmatycznym szarpnięciem ofiara wyrwała się z uścisku brutalnych dłoni i poczęła umykać ulicą – gibka młoda kobieta, naga jak w dniu, gdy się narodziła. Conan widział ją wyraźnie, zanim zbiegła z drogi w mrok pomiędzy chatami. Czarni deptali jej po piętach. W ciemnościach ich postaci się zlały i zabrzmiał nieznośny wrzask udreki i grozy.

Doprowadzony upiornością tego zdarzenia do najwyższej wściekłości Cimmeryjczyk popędził przez drogę.

Ani ofiara, ani porywacze nie byli świadomi jego obecności, dopóki cichy szum pyłu wokół jego stóp nie sprawił, że się obrócili, a wówczas był już prawie przy nich, nadciągając z porywistą furią górskiego wichru. Dwaj czarni odwrócili się, wznosząc swe maczugi, by stawić mu czoło. Ale nie oszacowali właściwie prędkości, z jaką przybywał. Jeden z nich padł wypatroszony, zanim zdołał uderzyć, a Conan, obróciwszy się jak kot, uniknął ciosu krótką maczugą drugiego i odpowiedział świszczącym cięciem. Głowa czarnego wzbiła się w powietrze, a bezgłowe ciało wykonało trzy chwiejne kroki, bryzgając krwią i straszliwie drąc powietrze na oślep rękami, i opadło w proch ziemi.

Ostatni kanibal, podawszy tyły ze zduszonym zawodzeniem, odepchnął branke od siebie. Ta potknęła się i potoczyła w pyle, a czarny umknął w ślepej panice w kierunku miasta. Conan deptał mu po piętach. Strach uskrzydlał czarne stopy, lecz zanim dotarli do wysuniętej najdalej na wschód chaty, tamten wyczuł na plecach śmierć i ryknął głosem podobnym do wołu w ubojni.

– Czarny psie rodem z piekła! – Cimmeryjczyk wbił mu miecz między łopatki z taką furią, że szerokie ostrze wyszło z czarnej

piersi na pół długości. Czarny potknął się i ze zdławionym krzykiem padł jak długi, a Conan zaparł się nogami i wyciągnął miecz z leżącej ofiary.



Jedynie lekki wietrzyk poruszał liśćmi. On zaś potrząsnął głową, tak jak lew potrząsa grzywą, i wywarczał swą nieokiełznaną żądzę

krwi. Żadne inne postaci nie wychynęły wszak z mroku, a oświetlony gwiazdami trakt przed chatami był pusty. Odwrócił się gwałtownie na szybki tupot stóp za plecami, ale to była tylko dziewczyna, która pędząc, rzuciła się na niego i objęła mu szyję w desperackim uścisku, rozgorączkowana z przerażenia obmierzłym losem, przed którym właśnie uciekała.

– Spokojnie, dziewczyno – burknął. – Już dobrze. Jak cię złapali?

Załkała coś niezrozumiale. Zapomniał już zupełnie o Aramie Bakshu i przyjrzał się jej uważnie w blasku gwiazd. Była biała, choć skórę miała zdecydowanie oliwkową – najwyraźniej jeden z wielu mieszanych typów Zambouli. Była wysoka, o smukłej, gibkiej figurze, a on miał dobre pole obserwacji. W jego srogim spojrzeniu zapłonął zachwyt, gdy popatrzył na jej okazałą pierś i szczupłe członki, które wciąż drżały od strachu i wysiłku. Otoczył ramieniem jej prężną talię i rzekł uspokajająco:

– Przestań się trząść, dziewczyno. Jesteś zupełnie bezpieczna.

Jego dotyk zdawał się przywracać jej zszargany zdrowy rozsądek. Odrzuciła do tyłu gęste, błyszczące pukle i skierowała pełne obawy spojrzenie za siebie, a jednocześnie przywarła mocniej do Conana, jak gdyby poszukując w tej bliskości bezpieczeństwa.

– Złapali mnie na ulicy – wymamrotała, wzdragając się. – Leżeli i czekali pod ciemną arkadą... czarni mężczyźni jak wielkie, niezgrabne małpoludy! Secie, zmiłuj się nade mną! Będzie mi się to śniło!

– Co robiłaś na ulicy o tej porze nocy? – dociekał, zafascynowany jedwabistym dotykiem jej gładkiej skóry pod swymi błędzącymi dłońmi.

Przeczesała palcami włosy, odrzuciwszy je do tyłu, i zapatrzyła

się w jego twarz pustym wzrokiem. Zdawała się nieświadoma jego pieśczoł.

– Mój ukochany... – powiedziała. – Mój ukochany sprawił, że znalazłam się na ulicy. Oszalał i próbował mnie zabić. Gdy przed nim umknęłam, zostałam pochwycona przez te bestie.

– Uroda taka jak twoja może doprowadzić mężczyznę do szaleństwa – oznajmił Conan, przebiegając dla próby dłońmi po jej lśniących kędziorach.

Potrząsnęła głową jak ktoś budzący się z oszołomienia. Nie drżała już, a jej głos stał się pewny.

– To przez złośliwość tego kapłana... Totrasmeka, najwyższego kapłana Hanumanu, który pragnie mnie dla siebie... Pies!

– Nie trzeba go za to przeklinać. – Conan wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ta stara hiena ma lepszy gust, niż myślałem.

Zignorowała ten szorstki komplement. Szybko odzyskiwała równowagę.

– Mój ukochany jest... jest młodym turańskim żołnierzem. Żeby mi zrobić na złość, Totrasmek podał mu jakiś specyfik, który przywiódł go do szaleństwa. Dzisiejszego wieczoru złapał miecz i ruszył w obłądnie, by mnie zabić, ale umknęłam przed nim na ulicę. Ci negroidzi pochwycili mnie i przynieśli w to... *Co to było?*

Conan był już w ruchu. Bezdźwięcznie niczym cień wciągnął ją za najbliższą chatę, pod bujne palmy. Trwali w pełnym napięcia bezruchu, podczas gdy ciche mamrotanie, jakie posłyszeli, robiło się głośniejsze, aż dźwięki stały się rozpoznawalne. Grupa negroidów, jakichś dziewięciu czy dziesięciu, nadchodziła traktem od strony miasta. Dziewczyna ścisnęła mocno ramię Conana, a on poczuł pełne przerażenia drżenie wspartego na nim gibkiego ciała.

Obecnie mogli zrozumieć gardłowe pomruki czarnych.

– Nasi bracia zebrali się już przy jamie – rzekł jeden. – Nie mieliśmy dziś szczęścia. Mam nadzieję, że mają dość i dla nas.

– Aram obiecał nam jakiegoś mężczyznę – wymamrotał następny, a Conan w myślach przyobiecał coś Bakshowi.

– Aram dotrzymuje słowa – mruknął kolejny. – Wielu już wzięliśmy z jego gospody. Ale płacimy mu dobrze. Ja sam oddałem mu dziesięć bel jedwabiu, jakie ukradłem swemu panu. Na Seta, to był dobry jedwab!

Czarni przeszli obok, szurając nogami – ich nagie, płaskie stopy wzbijały pył – aż głosy na drodze ucichły.

– Dobrze to dla nas, że tamte zwłoki leżą za chatami – wymamrotał Conan. – Gdyby zajrzeli do pokoju śmierci Arama, znaleźliby kolejne. Wynośmy się.

– Tak, pospieszmy się – błagała dziewczyna, ponownie bliska hysterii. – Mój kochanek włóczy się gdzieś samotnie ulicami. Negroidzi mogą go porwać.

– To iście diabelskie upodobanie – warknął Conan, gdy wiódł ją w stronę miasta równoległe do traktu, lecz trzymając się za chatami i bujnymi drzewami. – Dlaczego obywatele nie pozbędą się tych czarnych psów?

– Są cennymi niewolnikami – mruknęła dziewczyna. – Jest ich tak wielu, że mogliby się zbuntować, gdyby odmówiono im mięsa, którego pragną. Lud Zambouli wie, że skradają się nocą ulicami, i każdy dba o to, by pozostawać za zamkniętymi drzwiami, z wyjątkiem sytuacji, kiedy wydarzy się coś nieprzewidzianego, jak mnie. Czarni czyhają na każde stworzenie, które mogą złapać, ale rzadko łapią kogokolwiek poza obcymi. Lud Zambouli nie

przejmuje się obcymi, którzy podróżują przez miasto. Ludzie tacy jak Aram Baksh sprzedają owych obcych czarnym. Nie odważyłby się spróbować czegoś takiego z obywatelem.

Conan splunął z obrzydzeniem i chwilę potem wyprowadził swą towarzyszkę na trakt, który tutaj stawał się ulicą z cichymi, nieoświetlonymi domami po obu stronach. Przekradanie się w mroku było obce jego naturze.

– Dokąd chcesz pójść? – zapytał.

Dziewczyna, zdało się, nie miała nic przeciwko jego ramieniu wokół swej talii.

– Do mego domu, zbudzić sługi – odparła. – By nakazać im poszukiwanie mego kochanka. Nie chcę, żeby miasto... kapłani... ktokolwiek dowiedział się o jego szaleństwie. On... on jest młodym oficerem o obiecującej przyszłości. Być może zdołamy odegnać od niego obłąd, jeśli uda się nam go znaleźć.

– Jeśli *my* go znajdziemy? – zadudnił Conan. – Co każe ci myśleć, że chcę spędzić noc na przetrząsaniu ulic za obłąkanym?

Rzuciła mu szybkie spojrzenie i właściwie zinterpretowała błysk w jego niebieskich oczach. Każda kobieta pojęłaby, że pójdzie za nią, dokądkolwiek go poprowadzi – przynajmniej przez jakiś czas. Ale będąc kobietą, ukryła swą wiedzę na ten temat.

– Proszę... – zaczęła odrobinę płacziwym głosem. – Nie mam nikogo innego, by prosić go o pomoc... Ty byłeś tak miły...

– W porządku – mruknął. – W porządku! Jakże ma na imię ten młody potępieniec?

– No... Alafdhal. Ja jestem Zabibi, tancerka. Tańczyłam często przed satrapą Jungirem Khanem i jego metresą Nafertari, i przed wszystkimi panami oraz damami dworu Zambouli. Totrasmek

mnie pragnie, a ponieważ go odrzuciłam, czyni ze mnie niewinnej narzędzie swej zemsty na Alafdhalu. Poprosiłam Totrasmeka o miłosny eliksir, nie podejrzewając głębi jego podstępności i nienawiści. Dał mi jakiś specyfik, bym zmieszała go z winem mego ukochanego, i przysiągł, że kiedy Alafdhal go wypije, pokocha mnie jeszcze bardziej szaleńczo niż dotąd. Ale wypiwszy, mój ukochany popadł we wściekły obłąd i sprawy między nami przybrały taki obrót, o jakim ci opowiadałam. Przeklęty Totrasmek, wężowy mieszaniec... Ach!

Kurczowo złapała Conana za ramię i przystanęli nagle. Weszli do dzielnicy sklepów i kramów; wszystkie pozostawały opustoszałe i nieoświetlone, gdyż godzina była późna. Mijali jedną z alejek, a u jej wylotu stał nieruchomo, w milczeniu jakiś mężczyzna. Głowa zwisała mu nisko, lecz Conan pochwycił niesamowity blask strasznych oczu patrzących na nich bez mrugnięcia. Skóra mu ścierpła, nie ze strachu przed mieczem w dłoni owego człowieka, ale z powodu przejawów niezwykłości w jego postawie i milczeniu. Zdradzały one obłąd. Conan odepchnął dziewczynę na bok i wyciągnął miecz.

– Nie zabijaj go! – błagała. – W imię Seta, nie morduj go! Jesteś silny... Obezwładnij go!

– Zobaczymy – mruknął Cimmeryjczyk, chwytając mocniej miecz prawą dłonią i zaciskając lewą w podobną do młota pięść.

Zrobił ostrożny krok w kierunku alei... i Turańczyk ze straszliwym, jękliwym śmiechem zaatakował. Gdy ruszył, zamachnął się swym ostrzem, aż stając na palcach, gdyż włożył w ten cios całą siłę swego ciała. Iskry zapłonęły błękitem, kiedy Conan odbił ostrze, i w następnej chwili szalenie legł od błyskawicznego

uderzenia lewą pięścią Cimmeryjczyka rozciągnięty bez zmysłów w pyle.

Dziewczyna podbiegła.

– Och, on nie... On nie...

Conan pochylił się prędko, odwrócił mężczyznę na bok i szybko przebiegł po nim dłońmi.

– Nie odniósł wielkiej szkody – mruknął. – Krwawi z nosa, ale tak byłoby pewnie z każdym po trafieniu w szczękę. Wydobrzeje po jakimś czasie i może jego umysł będzie w porządku. Tymczasem zwiążę mu pasem ręce... Tak. Dokąd mam go teraz zabrać?

– Zaczekaj! – Uklękła obok nieprzytomnej postaci, złapała związane ręce i z zapalem przyjrzała się im uważnie. Potem powstała, kręcąc głową jak gdyby z pełnym zdziwieniem rozczarowaniem. Podeszła blisko olbrzymiego Cimmeryjczyka i złożyła dłonie na jego sklepionej piersi. Czarne oczy, niczym mokre klejnoty w blasku gwiazd, wpatrywały się w niego.

– Jesteś mężczyzną! Pomóż mi! Totrasmek musi umrzeć. Zabij go dla mnie!

– I oddać głowę na turański stryczek? – odburknął.

– Nie! – Smukłe ramiona, mocne niczym giętka stal, objęły jego węzłowatą szyję. Jej gibkie ciało przywarło drżąco do niego. – Hyrkańczycy nie darzą Totrasmeka miłością. Kapłani Seta boją się go. To kundel, który włada ludźmi za pomocą strachu i przesądów. Ja czczę Seta, a Turańczycy kłaniają się Erlikowi, ale Totrasmek składa ofiary Hanumanowi przekłętemu! Gdyby został zabity nocą w swej świątyni, nie szukaliby jego zabójcy zbyt dokładnie.

– A co z jego magią? – zahuczał Conan.

– Jesteś wojownikiem – odparła. – Ryzykować życie to część

twego zawodu.

– Za zapłatę – przyznał.

– Będzie i zapłata! – Wzięła głęboki oddech, stając na palcach, by spojrzeć mu w oczy. Bliskość jej pełnego życia ciała sprawiła, że w żyłach poczuł ogień. Aromat jej oddechu uderzył mu do głowy. Jednak gdy jego ramiona zamknęły się wokół jej gibkiej sylwetki, uchyliła się przed nimi zwinnym ruchem, mówiąc: – Zaczekaj! Najpierw oddaj mi przysługę w tej sprawie.

– Wymień swą cenę – przemówił z pewną trudnością.

– Podnieś mego umiłowanego – zarządziła, a Cimmeryjczyk schylił się i z łatwością przerzucił wysoką postać przez swe szerokie ramię. W tej chwili czuł, że z równą łatwością mógłby zwalić pałac Jungira Khana. Dziewczyna wymamrotała nieprzytomnemu mężczyźnie jakieś czułe słówka, a w jej nastawieniu nie było hipokryzji. Najwyraźniej szczerze kochała Alafdhala. Jakikolwiek interes ubiła z Conanem, nie będzie on miał żadnego wpływu na jej związek z Alafdhalem. Kobiety są w tych sprawach bardziej praktyczne niż mężczyźni. Alafdhala nie zaboli to, o czym nigdy się nie dowie. – Chodź za mną!

Pospieszyła ulicą, podczas gdy Cimmeryjczyk kroczył lekko za nią, nie odczuwając żadnych niedogodności z powodu bezwładnego ciężaru. Czujnie wypatrywał czarnych cieni skradających się pod arkadami, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. Ludzie z Darfaru zebrali się niewątpliwie wszyscy u jamy do pieczenia. Dziewczyna skręciła w wąską boczną uliczkę i wkrótce zapukała ostrożnie w sklezione drzwi.

Niemal natychmiast w górnym skrzydle otworzyło się okienko i wyjrzała z niego czarna twarz. Dziewczyna pochyliła się ku

otworowi, szepcząc prędko. Rygle szczęknęły w zapadniach i drzwi się otwały. Stał tam olbrzymi czarny mężczyzna okolony miękką poświatą miedzianej lampy. Szybkie spojrzenie utwierdziło Conana, że ów człowiek nie jest z Darfaru. Zęby miał niespiłowane, a kędzierzawe włosy obcięte tuż przy skórze. Ten był z Wadai.

Na jedno słowo Zabibi Conan oddał bezwładne ciało w ręce czarnego i widział, jak młodego oficera złożono na aksamitnej leżance. Nie okazywał on żadnych oznak powracającej świadomości. Cios, który odebrał mu przytomność, mógł powalić wołu. Zabibi pochyliła się nad nim na chwilę, nerwowo splatając i wyłamując palce. Następnie wyprostowała się i skinęła na Cimmeryjczyka.

Drzwi zamknęły się cicho, zamki za nimi kliknęły, a zamykający się wizjer odciął poświatę lamp. W blasku gwiazd padającym z ulicy Zabibi wzięła Conana za rękę. Jej dłoń drżała nieco.

– Nie zawiedziesz mnie?

Pokręcił głową z potężną na tle gwiazd grzywą.

– Zatem pójdz za mną do świątyni Hanumana i niech bogowie zlitują się nad naszymi duszami!

Przemieszczali się cichymi ulicami niczym upiory z pradawnej przeszłości. Szli w milczeniu. Być może dziewczyna myślała o swym ukochanym spoczywającym bez zmysłów na leżance pod miedzianymi lampami albo kuliła się ze strachu przed tym, co znajdowało się przed nimi w nawiedzanej przez demony świątyni Hanumana. Barbarzyńca rozmyślał tylko o kobiecie poruszającej się tak zwinnie obok niego. Aromat jej trefionych włosów napływał mu do nozdrzy, zmysłowa aura jej obecności wypełniała jego umysł, nie pozostawiając miejsca na żadne inne myśli.

Raz postyszeli brzęk podkutych mosiądzem podeszew i wsunęli się w mrok zacienionej arkady, podczas gdy oddział pelishtimskich strażników przeszedł obok. Było ich piętnastu. Maszerowali w zwartej formacji z pikami w gotowości, a mężczyźni na samym końcu nosili swe szerokie mosiężne tarcze na plecach, by chroniły ich przed ciosem noża od tyłu. Skradające się niebezpieczeństwo w postaci czarnych ludożerców stanowiło zagrożenie nawet dla ludzi uzbrojonych.

Gdy tylko brzęk ich sandałów umilkł w dalszej części ulicy, Conan i dziewczyna wyłonili się ze swej kryjówki i pospieszyli dalej. Kilka chwil później dostrzegli przysadzisty, płasko zwieńczony gmach, który majaczył przed nimi.

Świątynia Hanumana stała samotnie pośrodku rozległego placu, który pod gwiazdami jawił się cichy i opustoszały. Otaczał ją marmurowy mur z szerokim przejściem dokładnie na wprost portyku. Przejścia nie zamykała brama ani innego rodzaju zapora.

– Dlaczego czarni nie szukają zdobyczy tutaj? – mruknął pod nosem Conan. – Nie ma niczego, co trzymałoby ich z dala od świątyni.

Poczuł drżenie ciała Zabibi, kiedy ta przywarła mocno do niego.

– Boją się Totrasmeka, jak wszyscy w Zambouli, nawet Jungir Khan i Nafertari. Chodź! Chodź szybko, zanim moja odwaga odpłynie ode mnie niczym woda!

Strach dziewczyny był ewidentny, ale nie zawahała się. Conan wyciągnął miecz i ruszył przodem, gdy przemierzali otwartą bramę. Znał odrażające zwyczaje kapłanów ze Wschodu i był świadom, że intruz w świątyni Hanumana może spodziewać się spotkania z koszmarną grozą niemal każdego rodzaju. Wiedział, że

istnieje spora szansa, iż ani on, ani dziewczyna nie opuszczą świątyni żywi, ale już wcześniej ryzykował swe życie zbyt wiele razy, aby zaprzętać nadmiernie myśli takimi rozważaniami.

Weszli na dziedziniec wyłożony marmurem, który połyskiwał jasno w blasku gwiazd. Krótkie podejście z szerokich marmurowych stopni wiodło ku opatrzonemu kolumnami portykowi. Wielkie spizowe drzwi pozostawały szeroko otwarte, jakby od wieków. Jednak w środku nie było czcicieli palących kadzidła. Za dnia mężczyźni i kobiety mogli przychodzić nieśmiało do świątyni i składać ofiary małpoludzkiemu bogu na czarnym ołtarzu. Nocą ci ludzie omijali przybytek Hanumana szerokim łukiem, jak zające omijają legowisko węża.

Płonące kadzielnice skąpały wnętrze w miękkiej, niesamowitej poświacie, która tworzyła złudzenie nierealności. Blisko tylnej ściany, za czarnym kamiennym ołtarzem, zasiadał bóg ze spojrzeniem utkwionym na zawsze w otwartych drzwiach, którymi przez całe wieki nadchodziły jego ofiary przyciągane na łańcuchu własnego zadowolenia. Od progu do ołtarza biegło niewielkie zagłębienie i kiedy stopa Conana go dotknęła, zrobił krok w tył tak szybko, jakby nadepnął na węża. To zagłębienie wytarły słaniające się nogi mnóstwa tych, którzy umarli, wrzeszcząc na tym ponurym ołtarzu.

Bestialski w słabym świetle, Hanuman łypał okiem rzeźbionej maski. Siedział, a nie kuczał, jak byłby to czynił małpolud, a nadto ze skrzyżowanymi nogami, jak zrobiłby człowiek, lecz jego oczy stanowiły rubiny, które jaśniały czerwienią i lubieżną pożądlivością niczym węgle z najgłębszych piekielnych sztolni. Wielkie łapy złożone miał na podolku dłońmi ku górze, opatrzone

szponami palce były chciwie rozpostarte. W ordynarnym uwypukleniu jego atrybutów, w pożądliwości jego satyrowego oblicza odbijał się wstrętny cynizm zdegenerowanego kultu, jaki uczynił go swym bóstwem.

Dziewczyna obchodziła posąg, dążąc w kierunku tylnej ściany, i kiedy swym gładkim bokiem otarła się o rzeźbione kolano, uskokczyła i wzdrygnęła się, jak gdyby dotknął ją jakiś gad. Pomiedzy szerokimi plecami bożka a marmurową ścianą z fryzem ze złotych liści istniała przerwa na kilka stóp. Po obu stronach idola w owej ścianie umieszczono pod złotą arkadą drzwi z kości słoniowej.

– Te drzwi otwierają się z dwóch końców korytarza w kształcie opaski na włosy – rzekła pospiesznie. – Raz byłam w tej świątyni... Raz! – Zadrżała i skurcz targnął jej szczupłymi ramionami na to wspomnienie, przerażające i sprośne. – Korytarz wygina się jak podkowa, której każdy koniec wychodzi w tym pomieszczeniu. Komnaty Totrasmeka opasuje krzywizna korytarza, do której mają one wyjście. Jednak w tej ścianie są sekretne drzwi, które otwierają się bezpośrednio do wewnętrznej komnaty...

Zaczęła przebiegać dłońmi po gładkiej powierzchni, na której nie widać było żadnych pęknięć ani szczelin. Conan stał obok niej z mieczem w dłoni, rozglądając się czujnie. Bezruch i pustka świątyni wraz z wyobraźnią podpowiadającą mu, co może spoczywać za tą ścianą, sprawiały, że czuł się jak dzikie zwierzę wietrzące pułapkę.

– Ach! – Dziewczyna odnalazła w końcu ukryty przycisk, a w ścianie ukazał się ziejący czernią kwadratowy otwór. – *Na Seta!* – wrzasnęła i w tej samej chwili, kiedy Conan skoczył w jej stronę, ujrzał wielką bezkształtną rękę, która wczepiła się w jej włosy.

Zabibi została porwana w powietrze i wciągnięta przez otwór głową naprzód. Cimmeryjczyk sięgnął po nią bezskutecznie; czuł, jak palce ześlizgują mu się po nagiej kończynie, i w jednej chwili dziewczyna zniknęła, a mur zdawał się równie gładki jak przedtem. Tylko zza niego dobiegły krótkie, zduszone odgłosy zaciętej walki, jakiś słabo słyszalny wrzask i niski śmiech, który zmroził Conanowi krew w żyłach.

III

CZARNE RĘCE SIĘ ZACISKAJĄ



Przeklinając, Conan trzasnął o ścianę głowicą miecza ze straszliwą siłą, aż marmur skruszył się i osypał. Ale ukryte drzwi nie ustąpiły,

a rozsądek podpowiedział mu, że niewątpliwie zostały zaryglowane po drugiej stronie. Odwróciwszy się, skoczył przez komnatę do jednych z dwojga drzwi z kości słoniowej.

Już uniósł miecz, by strzaskać płyty, lecz podjął ryzyko i spróbował się z drzwiami najpierw lewą ręką. Odchyliły się łatwo, a on spoglądał w długi korytarz, który zakrzywiał się w półmroku w niesamowitym świetle kadzielnic podobnych do tych w świątyni. Na futrynie objawił mu się ciężki złoty rygiel i musnął go lekko opuszkami palców. Ulotne ciepło metalu mógł wykryć tylko człowiek, którego naturalne zdolności przypominały te u wilka. Rygla tego dotykano – i dlatego był odciągnięty – w kilku ostatnich chwilach. Cała sprawa przybierała coraz bardziej wygląd pułapki z przynętą. Powinien założyć, że Totrasmek dowie się o każdym, kto wejdzie do przybytku.

Wejście w korytarz było niewątpliwie wkroczeniem w pułapkę, jaką kapłan na niego zastawił. Ale Conan się nie wahał. Gdzieś w spowitym półmrokiem wnętrzu więziona była Zabibi, a znając specyfikę kapłanów Hanumana, był pewien, że pilnie potrzebuje jego pomocy. Wszedł ostrożnie w korytarz krokiem pantery, gotów uderzyć na lewo czy prawo. Po jego lewej stronie na korytarz wychodziły łukowate drzwi z kości słoniowej, a on próbował każdych z nich po kolei. Wszystkie były zamknięte. Uszedł może siedemdziesiąt pięć stóp, kiedy korytarz skręcił ostro w lewo, opasując krzywiznę, o której wspominała dziewczyna. Jedne z drzwi na tej krzywiznie otwarły się, ustępując pod jego dłonią.

Spoglądał do obszernej kwadratowej komnaty jakoś bardziej rozjaśnionej światłem niż korytarz. Jej ściany wykonane były z białego marmuru, posadzka z kości słoniowej, sufit z pokrytego

symetrycznymi wzorami srebra. Pod ścianami ujrzał leżanki z kosztownego atłasu, wykończone złotem podnóżki z kości słoniowej, stół w kształcie okręgu z jakiejś masywnej, przypominającej metal materii. Na jednej z leżanek spoczywał, półleżąc, patrzący w stronę drzwi mężczyzna. Zaśmiał się, kiedy napotkał zaskoczone spojrzenie Cimmeryjczyka.

Człowiek ów był nagi, z wyjątkiem przepaski biodrowej i wysoko sznurowanych sandałów. Miał brązową skórę, krótko obcięte czarne włosy i niespokojne czarne oczy uwydatniały zaś szeroką, arogancką twarz. Pod względem grubości i rozmiarów był olbrzymi, o ogromnych członkach, na których wielkie mięśnie nabrzmiwały i grały przy każdym, najlżejszym nawet ruchu. Dłonie miał większe od wszystkich, jakie Conan kiedykolwiek widział. Pewność olbrzymiej fizycznej siły przebijała z każdego jego ruchu.

– Czemu nie wejdiesz, barbarzyńco? – zawołał drwiąco, wykonując przerysowany gest zaproszenia.

Oczy Conana zaczęły żarzyć się złowróźnie, ale do komnaty wkroczył ostrożnie, z mieczem w gotowości.

– Kim ty, u diabła, jesteś? – warknął.

– Jestem Baal-pteor – odrzekł mężczyzna. – Niegdyś, dawno temu w dalekim kraju nosiłem inne imię. Ale to imię jest dobre, a dlatego Totrasmek nadał mi je, może powiedziec ci każda świątynna służka.

– Zatem jesteś jego psem – mruknął Conan. – Dobra, walić twą brązową skórę, Baal-pteorze. Gdzie jest ta dziewczka, którą wciągnąłeś przez ścianę?

– Mój pan ją zabawia! – Baal-pteor zaśmiał się. – Posłuchaj!

Zza drzwi znajdujących się naprzeciw tych, którymi wszedł Cimmeryjczyk, dobiegł się kobiecy wrzask, słaby i stłumiony przez odległość.

– Niech diabli porwą twą duszę! – Conan wykonał krok w stronę drzwi, wtem odwrócił się szybko, czując świerzbienie skóry. Baal-pteor śmiał się z niego i śmiech ten graniczył z groźbą, która podniosła włoski na karku Cimmeryjczyka, rozlewając mu w odpowiedzi przed oczami falę gwałtownej żądzy mordy.

Ruszył w kierunku Baal-pteora, knykcie palców zaciśniętych na mieczu mu pobiełały. Brązowy człowiek szybkim ruchem rzucił czymś w niego – lśniącą kryształową kulą, która połyskiwała niesamowitym światłem.

Conan uchylił się odruchowo, lecz jakimś cudem kula zatrzymała się gwałtownie kilka stóp od jego twarzy. Nie spadła na podłogę. Trwała w zawieszeniu, jak gdyby na niewidzialnych włóknach, jakieś pięć stóp nad podłogą. I kiedy tak przypatrywał się jej w zdumieniu, zaczęła obracać się z coraz większą prędkością. Wirując, rosła, powiększała się, stawała mglista, rozmazana. Wypełniła komnatę, spowiła go. Zasnuła meble, ściany, uśmiechnięte oblicze Baal-pteora. Zagubił się pośród oślepiającej błękitnej plamy wirującego pędu. Omiotły go straszliwe wichry, szarpiąc nim i targając, usiłując zwalić go z nóg, wciągnąć w wir, który kotłował się przed nim szaleńczo.

Cimmeryjczyk zatoczył się chwiejnie w tył ze zdławionym krzykiem, aż poczuł za plecami twardą ścianę. Pod wpływem tej styczności iluzja ustała. Wirująca olbrzymia kula zniknęła jak pękająca bańka. Wyprostował się, słaniając w pomieszczeniu o srebrnym suficie z szarą mgłą wijącą się wokół nóg, i dojrzał Baal-

pteora rozpartego na leżance, trzęsącego się od niemego śmiechu.

– Synu wywołki! – Conan rzucił się na niego. Ale mgła uniosła się z podłogi, wirując i rozmazując olbrzymią brązową postać. Błądząc po omacku w przewalającym się obłoku, który go oślepił, Cimmeryjczyk nabrał rozdzierającego poczucia zmiany położenia i wtem pomieszczenie, mgła oraz brązowy człowiek – wszystko zniknęło. On zaś stał samotnie wśród wysokich szuwarów mokradeł, a jakiś bawół rzucał się na niego ze spuszczonego łbem. Uskoczył w bok przed drącymi, zakrzywionymi jak simitar rogami i wbił mu swój miecz w bark, pomiędzy żebra, przesywając serce. A potem nie było już bawołu zdychającego w błocie, ale brązowoskóry Baal-pteor. Conan, przeklinając, uciął mu głowę, a ta uniosła się nad ziemią i kłapnęła go zwierzęcymi kłami w gardło. Całą swą mocą nie był w stanie jej oderwać. Dławił się, dusił... Potem nastąpił jakiś ruch i ryk w przestrzeni, wstrząs wskutek przemieszczenia o niewyobrażalnych skutkach, i znalazł się na powrót w komnacie z Baal-pteorem, którego głowa trzymała się solidnie na szyi, śmiejącym się bezgłośnie z niego ze swojej leżanki.

– Mesmeryzm! – wyszeptał Conan i przysiadłszy, zaparł się mocno stopami o marmur. Jego oczy jaśniały. Ten brązowy pies igrał sobie z nim, bawił się jego kosztem! Ale taka maskarada, dziecinna zagrywka z mgłą i zjawami zrodzonymi w umyśle nie mogły uczynić mu krzywdy. Musiał jedynie skoczyć i ciąć, a brązowy akolita stanie się stłamszonym trupem u jego stóp. Tym razem nie da się ogłupić iluzji... A jednak dał.

Na ścinający krew w żyłach warkot za plecami odwrócił się szybko i ciął migiem panterę przyczajoną do skoku na niego z metalicznego stołu. W chwili gdy uderzył, zjawa zniknęła, a ostrze

trzasnęło ogłuszająco o niewzruszoną powierzchnię. Natychmiast wyczuł coś niezwykłego. Ostrze przywarło do stołu! Szarpnął się dziko. Nie poddało się. To nie była hipnotyczna sztuczka. Stół był olbrzymim magnesem. Ścisnął rękojeść oburącz, kiedy głos u jego ramienia sprawił, że się obrócił, by stanąć twarzą w twarz z brązowym mężczyzną, który w końcu powstał z leżanki.

Troszkę wyższy od Conana i znacznie cięższy, Baal-pteor majaczył przed nim – deprymująca postać z przerośniętymi mięśniami. Jego potężne ramiona były nienaturalnie długie, a wielkie dłonie otwierały się i zamykały, drgając spazmatycznie. Cimmeryjczyk puścił rękojeść swego uwięzionego miecza i zapadł w milczenie, obserwując przeciwnika spod przymrużonych powiek.

– Twoja głowa, Cimmeryjczyku! – szydził Baal-pteor. – Wezmę ją gołymi rękami, ukręcając ci kark, jak ukręca się łeb ptakom! W ten sposób synowie Kosali składają ofiary Yajurowi! Barbarzyńco, oglądałeś Dusiciela Yota-ponga! Jako niemowlę zostałem wybrany przez kapłanów Yajura i przez całe dzieciństwo, chłopięctwo i młodość ćwiczyłem się w sztuce zabijania gołymi rękami, gdyż tylko wówczas ofiara jest godna. Yajur uwielbia krew, a my nie marnujemy ani kropli z żył ofiary! Kiedy byłem dzieckiem, dawano mi do zadławienia niemowlęta, kiedy byłem chłopcem, dusiłem młode dziewczyny, jako młodzian – kobiety, starców i młodych chłopców. Dopóki nie stałem się w pełni mężczyzną, dopóty nie dostałem silnego mężczyzny do zabicia na ołtarzu Yota-ponga. Przez całe lata składałem ofiary Yajurowi. Setki karków trzasnęło między tymi palcami. – Poruszał nimi przed wściekłymi oczyma Cimmeryjczyka. – Dlaczego umknąłem od Yota-ponga, by stać się sługą Totrasmeka, nie jest twoją sprawą. Za chwilę znajdziesz się

poza wszelką ciekawością. Kapłani Kosali, Dusieciele Yajura, są silni ponad ludzką miarę. A ja byłem silniejszy od innych. Własnymi rękami złamię ci kark, barbarzyńco!

I niczym uderzenie bliźniaczych kobr wielkie dłonie zamknęły się na gardle Conana. Cimmeryjczyk nie czynił żadnych prób uniku ani ich odepchnięcia, ale własnymi rękoma wystrzelił ku byczemu karkowi Kosalanina. Oczy Baal-pteora rozszerzyły się, gdy wyczuł grube sznury mięśni, jakie osłaniały gardło barbarzyńcy. Szczerząc zęby, wyteżył nieludzkie siły, a węzły, grudy i sznury jego mięśni uniosły się wzdłuż potężnych rąk. I wtem wyrwało mu się zdławione sapnięcie, gdy Conan zamknął swe dłonie na jego gardle. Przez chwilę stali tak jak statuy, ich twarze wykrzywił wysiłek, żyły zaczęły występować purpurą na skroniach. Wąskie usta Conana odsunęły się, odsłaniając zęby w szerokim grymasie. Oczy Baala wychodziły na wierzch; narosło w nich straszne zaskoczenie oraz przebłysk strachu. Stali nieruchomo jak posągi, z wyjątkiem mięśni pęczniejących na ich sztywnych rękach i zapartych nogach, ale tu bój toczyły siły ponad zwyczajne wyobrażenie – siły, które mogły wyrwać drzewa z korzeniami i miażdżyć czaszki byków.

Nagle spomiędzy otwartych ust Baal-pteora dobył się świszczący oddech. Jego twarz zrobiła się fioletowa. Strach wypełnił mu spojrzenie. Jego mięśnie zdawały się gotowe rozsądzić ręce i ramiona, jednak mięśnie grubego karku Cimmeryjczyka się nie poddawały, Desperacko wyczuwał je pod palcami, jakby zostały utkane ze stalowych sznurów. Ale jego własne ciało ustępowało pod żelaznymi dłońmi Cimmeryjczyka, które wpijały się coraz głębiej w uległe mięśnie karku, wgniatając je w żyłę szyjną i

tchawicę.

Posągowy bezruch tej sceny ustąpił nagłemu, szaleńczemu ruchowi, gdy Kosalanin począł szarpać się i kołysać, usiłując odskoczyć w tył. Puścił gardło Conana i złapał go za nadgarstki, próbując oderwać te bezlitosne dłonie.

Nagłym pchnięciem Conan rzucił go tak, iż trzasnął lędźwiami o stół. I dalej wyginał go przez krawędź, w tył i w tył, aż kręgosłup tamtego miał już chrupnąć.

Cichy śmiech Conana był bezlitosny jak brzęk stali.

– Ty głupcze! – ledwie wyszeptał. – Myślę, że nigdy wcześniej nie widziałeś mężczyzny z Zachodu. Roifeś sobie, że jesteś silny, ponieważ byłeś w stanie ukrećić głowę ludziom cywilizowanym, biednym słabeuszom o mięśniach jak przegniłe postronki. Do diabła! Złam kark dzikiemu cimmeryjskiemu bykowi, zanim nazwiesz się silnym. Ja to zrobiłem, nim stałem się w pełni dorosłym mężczyzną... O tak!

I z wściekłą siłą wykręcał głowę Baal-pteora, aż jego upiorna twarz poczęła łypać oczyma przez lewe ramię, a kręgi strzeliły jak spróchniała gałąź.

Conan cisnął wiotczące zwłoki na posadzkę, odwrócił się znów do miecza i chwycił mocno oburącz rękojeść, zapierając się nogami o podłogę. Krew ściekała po jego szerokiej piersi z ran, jakie wydarły palce Baal-pteora na jego szyi. Czarne włosy miał wilgotne, pot spływał mu po twarzy, a pierś unosiła się ciężko. Przy całej wyrażanej słowami pogardzie dla siły Baal-pteora w nieludzkim Kosalaninie spotkał niemal sobie równego. Nie przerywając jednak dla złapania oddechu, wyczerzył wszystkie siły w potężnym szarpnięciu, które oderwało miecz od magnesu w

miejscu, gdzie przywarł. W kolejnej chwili pchnięciem otworzył drzwi, zza których rozbrzmiewał wrzask, i popatrzył na długi, prosty korytarz oznaczony z obu stron drzwiami z kości słoniowej. Jego drugi koniec zamaskowany był kunsztowną zasłoną, a zza tejże dochodziły diabelskie dźwięki takiej muzyki, jakiej Conan jeszcze nigdy nie słyszał, nawet w koszmarach. Sprawiała ona, że włoski jeżyły mu się na karku. Zmieszane z nią były dyszenie oraz histeryczny szloch kobiety. Chwyciwszy pewnie miecz, pomknął korytarzem.



IV

PCHNIĘCIE MIECZEM PRZEZ ZASŁONĘ



Kiedy Zabibi została wciągnięta głową naprzód przez otwór, jaki otworzył się w ścianie za bożkiem, jej pierwszą, niespójną myślą było to, iż nadszedł jej czas. Instynktownie zacisnęła oczy i czekała na spadający cios. Ale zamiast niego poczuła, że została rzucona bezceremonialnie na gładką marmurową posadzkę, na której

stłukła kolana i biodro. Otworzyłszy oczy, rozejrzała się strachliwie, akurat gdy jakieś stłumione uderzenie zabrzmiało gdzieś zza ściany. Ujrzała stojącego nad nią brązowoskórego olbrzyma w przepasce biodrowej, a po drugiej stronie komnaty, do której się dostała, na leżance siedział mężczyzna zwrócony plecami do kunsztownej, czarnej, aksamitnej zasłony – obfitych kształtów, tłusty człowiek o grubych, jasnych dłoniach i węzowych oczach. I skóra jej cierpła, gdyż człowiekiem tym był Totrasmek, kapłan Hanumana, który przez lata osnuwał miasto Zambouli lepкими sieciami swej władzy.

– Ten barbarzyńca usiłuje wybić sobie drogę przez ścianę – rzekł Totrasmek sardonicznie – ale rygiel wytrzyma.

Dziewczyna spostrzegła, że ciężki złoty rygiel został zatrzaśnięty w poprzek ukrytych drzwi, które z tej strony muru były wyraźnie zauważalne. Rygiel i jego zapadnie oparłyby się szarży słonia.

– Idź, otwórz mu jedne z drzwi, Baal-pteorze – nakazał Totrasmek. – Zabij go w kwadratowej komnacie na drugim końcu korytarza.

Kosalanin skłonił się unizenie i wyszedł przez drzwi w bocznej ścianie komnaty. Zabibi powstała, wpatrując się strachliwie w kapłana, którego spojrzenie przebiegło lubieżnie po jej wspaniałej figurze. Nie pozostała na to obojętna. Tancerka z Zambouli przyzwyczajona była do nagości, jednak okrucieństwo w oczach tamtego wprowadziło jej członki w drżenie.

– Ponownie przychodzisz do mnie, do mego zacisza, moja piękna – wymruczał z cyniczną hipokryzją. – To niespodziewany zaszczyt. Zdawało się, iż poprzednia wizyta sprawiła ci tak mało przyjemności, że nie śmiałem mieć nadziei, iż ją powtórzysz. Jednak

uczyniłem wszystko, co w mojej mocy, aby zapewnić ci ciekawe przeżycie.

Dla zamboulańskiej tancerki zarumienić się jest rzeczą niemożliwą, ale w rozszerzonych oczach Zabibi żar gniewu zmieszał się ze strachem.

– Tłusta świnio! Wiesz, że nie przyszedłam tu z miłości do ciebie.

– Nie. – Totrasmek zaśmiał się. – Przyszłaś niczym idiotka, pełznąca przez noc z durnym barbarzyńcą, żeby poderżnąć mi gardło! Czemuż czyhasz na me życie?

– Wiesz czemu! – krzyknęła, zdając sobie sprawę z tego, iż daremnie byłoby próbować przeczyć.

– Myślisz o swoim kochanku. – Roześmiał się. – Fakt, że jesteś tu, nastając na moje życie, pokazuje, iż połknął specyfik, który ci dałem. Cóż, nie prosiłaś o niego? A ja nie posłałem ci tego, o co prosiłaś, wyzuwszy się z miłości, jaką ku tobie w sobie noszę?

– Prosiłam cię o środek, który sprawi, że zapadnie w sen na kilka godzin – rzekła z goryczą. – A ty... Ty posłałeś swego sługę ze specyfikiem, który przyprawił go o obłąd! Byłam głupia, w ogóle ci ufając. Mogłam była wiedzieć, że twe zapewnienia o przyjaźni są kłamstwem dla ukrycia nienawiści i złości.

– Dlaczego pragnęłaś, by twój umiłowany zasnął? – odciął się. – Bo mogłabyś mu wykraść jedyną rzecz, której nigdy by ci nie dał: pierścień z klejnotem zwanym Gwiazdą Khorali, gwiazdą wykradzioną królowej Ophiru, która da komnatę pełną złota za jej zwrot. Nie dałby ci go dobrowolnie, ponieważ wiedział, że zawiera magię, która, właściwie kierowana, zniewoli serce każdego płci przeciwnej. Pragnęłaś wykraść mu go, bojąc się, że jego magowie odkryją klucz do tej magii, a on zapomni o tobie w trakcie swych

podbojów pośród królowych tego świata. Odsprzedałabyś go królowej Ophiru, która pojmuje jego moc i użyłaby go do zniewalania mężczyzn, tak jak robiła to, zanim został skradziony.

– A czemu ty go chcesz? – dopytywała nadąsana.

– Ja pojmuje jego moc. Zwiększyłby potęgę mych sztuk.

– Dobra – rzuciła. – Teraz go masz!

– *Ja* mam Gwiazdę Khorali? Nie, mylisz się.

– Po co kłopotać się kłamstwem? – odparowała gorzko. – Miał go na palcu, kiedy wypędził mnie na ulicę. Nie miał go już, gdy odnalazłam go ponownie. Twój sługa musiał obserwować dom i zabrać mu go po tym, jak uciekłam. Do diabła z nim! Chcę z powrotem swego ukochanego, całego i zdrowego. Masz pierścień, ukarałeś nas oboje. Czemu nie przywrócisz mu rozumu? Potrafisz?

– Potrafiłbym – zapewnił ją, czerpiąc wyraźnie przyjemność z jej strapienia. Spod szaty wyjął jakąś ampułkę. – Tu jest sok ze złotego lotosu. Gdy twój kochanek to wypije, znów stanie się poczytalny. Tak, będę litościwy. Oboje krzyżowaliście me plany i lekceważyliście mnie nie raz, ale wiele razy. On stale sprzeciwiał się moim życzeniom. Ale będę litościwy. Podejdz i weź tę ampułkę z mych rąk.

Dziewczyna wpatrywała się w Totrasmeka, drżąc z pragnienia, aby przechwycić ampułkę, ale bała się, że to jakiś okrutny żart. Ruszyła przed siebie lekliwie z wyciągniętą ręką, a on roześmiał się bezdusznie i cofnął ampułkę poza jej zasięg. W tej samej chwili, w której rozwarła usta, aby go przekląć, jakiś instynkt poderwał jej spojrzenie ku górze. Ze złotonego sufitu spadały właśnie cztery naczynia o barwie jadeitu. Odskoczyła, tak że nie uderzyły w nią. Roztrzaskały się na podłodze wokół niej, tworząc cztery narożniki

kwadratu. A ona wrzasnęła znów, gdyż z każdej rozbitej skorupy uniósł się łąb z kapturem kobry i jedna z nich uderzyła w jej nagą nogę. Konwulsyjny ruch, by jej ująć, wprowadził ją w zasięg tej po drugiej stronie i znów musiała przesunąć się błyskawicznie, by uniknąć przemykającego odrażającego łąba.

Została schwytana w straszliwą pułapkę. Wszystkie cztery węże kołysały się i uderzały w stopy, kostki, łydki, kolana, uda, biodra, jakakolwiek część jej zmysłowego ciała im się nadarzyła, będąc jak najbliżej, a nie mogła ich przeskoczyć ani wydostać się pomiędzy nimi. Była w stanie jedynie wirować, uskakiwać na boki i wykręcać swe ciało dla uniknięcia razów, a ilekroć się przemieszczała, żeby się wymknąć jednemu węzowi, ruch ten sprowadzał ją w zasięg następnego, tak że musiała stale przesuwać się z prędkością światła. Mogła poruszać się we wszystkich kierunkach tylko na niewielkiej przestrzeni, a straszny rozłożony kaptur zagrażał jej w każdej chwili. Wyłącznie tancerka z Zambouli potrafiła przeżyć na tak straszliwym placu.

Sama stała się rozmazaną plamą w oszłamiającym ruchu. Łby chybiały jej o grubość włosa, ale chybiały, gdy wystawiała bystre stopy, śmigłe członki i doskonałe oko przeciw oślepiającej prędkości pokrytych łuską potworów, jakie jej przeciwnik wyczarował z powietrza.

Gdzieś zaczęła grać cicha, zawodząca muzyka mieszająca się z sykiem węży niczym złowrogi nocny wicher przewiewający na wskroś puste oczodoły czaszki. Nawet przy niesamowitej prędkości i nagłym pośpiechu dziewczyna zdała sobie sprawę, że ataki węży nie są już tak przypadkowe. Stały się one posłuszne złowróbnemu popiskiwaniu pełnej grozy muzyki. Raziły w

straszliwym rytmie, przymuszając siłą rzeczy jej gnące się, wijące i wirujące ciało do dostrojenia się do ich rytmu. Gorączkowe ruchy mieszały się z miarą tańca, w porównaniu z którym najbardziej obsceniczna tarantela z Zamory wydałaby się rozsądna i powściągliwa. Chora ze wstydu i przerażenia Zabibi posłyszała nienawistną radość jej bezlitosnego dręczyciela.

– Taniec Kobr, moja śliczna. – Totrasmek śmiał się. – Tak wieki temu dziewice tańczyły w ofierze Hanumanowi... Ale nigdy z takim wdziękiem i zwinnością. Tańcz, dziewczyno, tańcz! Jak długo zdołasz unikać zębów Jadowitego Ludu? Przez minuty? Godziny? W końcu się zmęczysz. Twe bystre, pewne stopy zmylą krok, nogi osłabną, biodra spowolnią obroty. Wtedy ich zęby zaczną zatapiać się w twym bielutkim ciele...

Zasłona za nim zatrzęsała się jak gdyby pod tchnieniem wiatru i Totrasmek wrzasnął. Jego oczy rozszerzyły się, a ręce złapały spazmatycznie kawał jasnej stali, który wyrósł raptem z jego piersi.

Muzyka urwała się nagle. Dziewczyna wygięła się zawrotnie w swym tańcu, krzycząc w zatrważającym oczekiwaniu na śmigające zęby... I wtem, gdy Totrasmek spadł z leżanki głową naprzód, wokół niej z podłogi uniosły się cztery wirujące smużki nieszkodliwego błękitnego dymu.

Conan wyszedł zza zasłony, wycierając szerokie ostrze. Patrząc zza story, widział dziewczynę tańczącą desperacko pomiędzy czterema kołyszącymi się spiralami dymu, ale zgadł, że dla niej ich wygląd był całkowicie odmienny. Wiedział, że zabił Totrasmeka.

Zabibi osunęła się na podłogę, dysząc, ale w tej samej chwili, gdy Conan ruszył w jej stronę, chwiejnie uniosła się ponownie, choć jej nogi trzęsły się z wyczerpania.

– Ampułka! – wysapała. – Ampułka!

Totrasmek nadal ścisnął ją w swej sztywniejącej dłoni. Bezlitośnie wyrwała ją spomiędzy zaciśniętych palców, a potem zaczęła gorączkowo przetrząsać jego odzienie.

– Czego, u diabła, szukasz? – dopytywał Conan.

– Pierścienia... Ukradł go Alafdhalowi. Musiał to zrobić, kiedy mój ukochany chodził w obłądzie ulicami. Na diabły Seta!

Przekonała się, że nie ma go przy Totrasmeku. Zaczęła miotać się po komnacie, rwąc obicie leżanki i story, wywracając naczynia.

Zatrzymała się i odgarnęła wilgotny pukiel włosów z oczu.

– Zapomniałam o Baal-pteorze!

– Jest w piekle ze złamanym karkiem – uspokoił ją Conan.

Na tę wieść odprężyła się z mściwym zadowoleniem, lecz chwilę później zaklęła siarczyście.

– Nie możemy tu zostać. Niewiele godzin jest do świtu. O każdej porze nocy kapłani mogą nawiedzić świątynię, a gdyby znaleźli nas tu z trupem, lud rozszarpałby nas na kawałki. Turańczycy nie zdołaliby nas ocalić.

Uniosła rygiel tajemnych drzwi i kilka chwil później byli już na ulicy, spiesząc jak najdalej od cichego placu, gdzie usadowiła się przed wiekami świątynia Hanumana.

Oddalwszy się trochę pośród krętych ulic, Conan przystanął i zatrzymał swą towarzyszkę, kładąc ciężką dłoń na jej nagim ramieniu.

– Nie zapomnij, że miała być zapłata...

– Nie zapomniałam! – Uwolniła się obrotem. – Ale musimy iść do... do Alafdhała wpierw!

Kilka minut później czarny niewolnik wpuścił ich przez

wyposażone w wizjer drzwi. Młody Turańczyk spoczywał na leżance, jego ramiona i nogi związane były mocnymi aksamitnymi sznurami. Oczy miał otwarte, ale wyglądały jak u oszalałego psa, piana pokrywała mu usta grubą warstwą. Zabibi się wzdrygnęła.

– Siłą rozewrzyj mu szczęki! – rozkazała, a żelazne dłonie Conana wykonały zadanie.

Zabibi opróżniła ampułkę w przetyk szaleńca. Skutek był jakby magiczny. Mężczyzna nagle się uspokoił. Blask zniknął z jego oczu; zapatrzył się na dziewczynę zaintrygowany, ale rozumnie i pojętnie. Potem zapadł w normalny sen.

– Gdy się przebudzi, będzie zupełnie zdrowy na umyśle – wyszeptała dziewczyna, gestem przywołując milczącego niewolnika. Ten z głębokim ukłonem podał jej małą skórzaną torebkę, a na ramiona zarzucił jedwabny płaszcz. Jej zachowanie zmieniło się nieznacznie, kiedy skinęła na Conana, by wyszedł za nią z komnaty.

Pod arkadą, która prowadziła na ulicę, odwróciła się do niego wyprostowana z odzyskaną na nowo godnością.

– Teraz muszę wyznać ci prawdę – powiedziała. – Nie jestem Zabibi. Jestem Nafertari. A *on* to nie Alafdhal, biedny dowódca strażników. To Jungir Khan, satrapa Zambouli.

Conan tego nie skomentował. Jego ciemne, poznaczone bliznami oblicze pozostało nieruchome.



– Okłamałam cię, ponieważ nie śmiałam ujawnić prawdy nikomu – stwierdziła. – Byliśmy sami, kiedy Jungir Khan popadł w obłąd. Nikt o tym nie wiedział poza mną. Gdyby się rozniosło, że satrapa Zambouli stał się szaleńcem, natychmiast wybuchłaby rewolta i rozruchy, dokładnie tak, jak zaplanował Totrasmek, który knuł, jak nas zniszczyć. Widzisz teraz, że niemożliwa jest nagroda, na którą

miałeś nadzieję. Metresa satrapy nie jest... nie może być twoja. Nie odejdiesz wszak bez nagrody. Oto sakiewka złota. Podała mu torebkę, którą otrzymała od niewolnika. – Idź teraz i kiedy słońce powstanie, przyjdź do pałacu. Sprawię, że Jungir Khan uczyni cię dowódcą straży. Jednak rozkazy będziesz przyjmował ode mnie, w tajemnicy. Twoim pierwszym zadaniem będzie poprowadzić oddział do świątyni Hanumana, oficjalnie, by poszukiwać wskazówek na temat zabójcy kapłana, w rzeczywistości, by poszukiwać Gwiazdy Khorali. Musi być gdzieś tam ukryta. Kiedy ją znajdziesz, przynieś do mnie. Teraz możesz odejść.

On zaś, nadal milcząc, skinął głową i odszedł. Dziewczyna, obserwująca jego kołyszące się ramiona, poczuła się urażona, nie widząc w jego obyciu niczego, co zdradzałoby, że jest w jakikolwiek sposób rozgoryczony czy zmieszany.

Kiedy skręcił za róg, spojrzął przelotnie za siebie, a potem zmienił kierunek i przyspieszył. Kilka chwil później znalazł się w kwartale miasta obejmującym Rynek Koński. Tam łomotał w pewne drzwi, dopóki z okna powyżej nie wyskoczyła brodata głowa, domagając się wyjaśnienia powodu tego zamieszania.

– Konia – zażądał Conan. – Najszybszego rumaka, jakiego masz.

– Nie otwieram bram o tej porze nocy – mruknął zrzędlawie handlarz końmi.

Cimmeryjczyk brzęknął monetami.

– Kanalio, psi synu! Nie widzisz, że jestem biały i sam? Złaż na dół, zanim roztrzaskam ci drzwi!

Wkrótce Conan jechał na gniadym ogierze w kierunku domu Arama Baksha.

Skręcił z traktu w alejkę, która znajdowała się pomiędzy

zabudowaniami gospody a ogrodem palm daktylowych, ale nie zatrzymał się u bramy. Pojechał dalej, do północno-wschodniego narożnika muru, potem skręcił i ruszył wzdłuż muru północnego, aby przystanąć w odległości kilku kroków od rogu północno-zachodniego. W pobliżu muru nie rosły żadne drzewa, ale było tam trochę niskich krzaków. Do jednego z nich przywiązał konia i już miał ponownie wspiąć się na siodło, kiedy zza narożnika usłyszał niski pomruk głosów.

Wyciągnąwszy nogę ze strzemienia, podkradł się do rogu i wyjrzał zza niego. Trzech mężczyzn przemieszczało się traktem w kierunku palmowego gaju, a po ślamazarnym chodzie rozpoznał negroidów. Zatrzymali się na jego cichy zew, zbiwszy razem, gdy wyszedł w ich stronę z mieczem w dłoni. Oczy połyskiwały im biało w świetle gwiazd. Bestialska żądza biła z hebanowych twarzy, ale wiedzieli, że ich trzy krótkie maczugi nie zdołają przeważyć nad jego mieczem, co wiedział także on.

– Dokąd idziecie? – rzucił wyzywająco.

– Żeby polecieć naszym braciom zgasić ognisko w jamie za gajem – padła posępna, gardłowa odpowiedź. – Aram Baksh obiecał nam człowieka, ale skłamał. Znaleźliśmy jednego z naszych braci martwego w komnacie pułapce. Tej nocy będziemy głodni.

– Nie sądzę. – Conan uśmiechnął się. – Aram Baksh da wam człowieka. Widzicie tamte drzwi? – Wskazał małe, okute żelazem wejście na środku zachodniego muru. – Zaczekajcie tam. Aram Baksh da wam człowieka.

Cofał się czujnie, aż znalazł się poza zasięgiem nagłego ciosu maczugą, po czym odwrócił się i rozplynał za północno-zachodnim rogiem muru. Dotarłszy do konia, zamarł, by nabrać pewności, że

czarni się za nim nie skradają, a wtedy wspiął się na siodło i stanął na nim wyprostowany, uspokajając rumaka cichymi słowami. Sięgnął w górę, złapał za zwieńczenie muru i podciągnął się. Stamtąd przez chwilę lustrował teren. Gospodę zbudowano w południowo-zachodnim narożniku ogrodzonego obszaru, którego pozostałą część zajmowały gaje i ogrody. Wokół budynku nie widział nikogo. Gospoda pozostawała ciemna i cicha. Wiedział, że wszystkie drzwi oraz okna zostały zaparte i zaryglowane.

Conan orientował się, że Aram Baksh sypia w komnacie, która wychodzi na okoloną cyprysami ścieżkę prowadzącą do drzwi w zachodnim murze. Niczym zjawa prześliznął się między drzewami i kilka chwil później pukał lekko do drzwi komnaty.

– Co tam? – rozległ się burkliwy głos wewnątrz.

– Aramie Bakshu – syknął Conan – czarni przekradają się przez mur!

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, ukazując gospodarza w samej koszuli, ze sztyletem w dłoni.

Wyciągnął szyję, aby przyjrzeć się twarzy Cimmeryjczyka.

– Co to za opowieści... *To ty!*

Mściwe dłonie Conana zdusiły wrzask w jego gardle. Razem padli na podłogę i Cimmeryjczyk wyszarpnął sztylet z ręki przeciwnika. Ostrze błysnęło w świetle gwiazd i trysnęła krew. Aram Baksh wydał kilka obrzydliwych dźwięków, sapiąc i krztusząc się łykaną krwią. Conan dźwignął go na nogi, a sztylet ciał ponownie i większa część kędzierzawej brody opadła na podłogę.

Wciąż ściskając gardło pojmanego – gdyż człowiek może wrzeszczeć nieskładnie nawet z porzniętym językiem – Conan

wyciągnął go z ciemnej komnaty i powlókł ocienioną cyprysami ścieżką do okutych żelazem drzwi w murze. Jedną ręką uniósł rygiel i pchnął drzwi, odsłaniając trzy mroczne postaci, które czekały na zewnątrz niczym czarne sępy. W ich to otwarte ramiona pchnął oberżystę.

Straszliwy, zdławiony krwią wrzask dobył się z gardła Zamboulańczyka, ale z cichej gospody nie było żadnej reakcji. Lud przywykł tutaj do wrzasków za murami. Aram Baksh walczył jak dziki, spojrzenie jego wybałuszonych oczu zwróciło się rozpaczliwie ku twarzy Cimmeryjczyka. Nie znalazł tam litości. Conan myślał wtedy o dziesiątkach nieszczęśników, którzy zawdzięczali swój krwawy los ohydnej chciwości tego człowieka.

Negroidzi powlekli go traktem z uciechą, drwiąc z jego szaleńczego bełkotu. Jakże mieli rozpoznać Arama Baksha w tej półnagiej, splamionej krwią, nieskładnie paplającej postaci z groteskowo przystrzyżoną brodą? Odgłosy szarpaniny dochodziły do Conana stojącego obok bramy nawet po tym, jak grupka postaci zniknęła wśród palm.

Ten, zamknąwszy za sobą drzwi, powrócił do swego konia, dosiadł go i skierował ku zachodowi, w stronę pustyni, okrążając szerokim łukiem złowieszczy pas palmowych gajów. W trakcie jazdy wyciągnął zza pasa pierścień, a w nim błyszczący klejnot, który dominował nad światłem gwiazd, opalizując migoczącą poświatą. Wzniósł go, aby podziwiać, obracając wte i wewte. Niewielka torba ze złotymi monetami pobrzękiwała delikatnie na łąku siodła niczym obietnica większych bogactw.

– Zastanawiam się, co by rzekła, gdyby wiedziała, że rozpoznałem w niej Nafertari, a w nim Jungira Khana w chwili, gdy

ich ujrzałem – dumał na głos. – O Gwieździe Khorali wiedziałem także. Będzie piękny spektakl, jeśli kiedykolwiek zgadnie, że zsunąłem mu ją z palca, podczas gdy wiązałem go jego pasem. Ale z taką przewagą, jaką zyskałem na początku, nigdy mnie nie złapią.

Rzucił okiem wstecz, na cieniste palmowe gaje, wśród których wznosił się czerwony blask. W noc wzbiła się pieśń pulsująca dzikim uniesieniem. I jeszcze jeden dźwięk się z nią zmieszał – szalony, bezładny wrzask, szaleńczy bełkot, w którym nie dało się rozróżnić słów. Odgłos ten podążał za Conanem, gdy pod blednącymi gwiazdami jechał ku zachodowi.

Czerwone ćwieki

Czerwone ćwieki

I

CZASZKA NA SKALE



Kobieta na koniu ściągnęła wodze znużonemu rumakowi. Stał on na szeroko rozstawionych nogach, łeb mu opadał, jak gdyby nawet uzda z czerwonej skóry ozdobionej złotymi chwastami była zbyt ciężka. Kobieta wysunęła obutą stopę ze srebrnego strzemienia i ześliznęła się z wykończonego złotem siodła. Przywiązała mocno lejce do rosochatego młodego drzewka i z

rękami na biodrach okręciła się dookoła, aby zbadać otoczenie.

Nie było ono pociągające. Olbrzymie drzewa otaczały małą sadzawkę, z której dopiero co pił jej koń. Kępy podszytu ograniczały widok oglądany w posepnym półmroku wyniosłych sklepień utworzonych przez splatające się gałęzie. Kobieta przeszedł dreszcz, od którego drgnęły jej wspaniałe ramiona. A potem zakłęła.

Była wysoka, o wydatnych piersiach, dorodnych członkach i zwartych barkach. Cała jej postać ujawniała niezwykłą siłę, nie umniejszając jej kobiecej powierzchowności. Była kobietą w każdym calu, mimo swego zachowania i ubioru dziwaczego zwłaszcza w perspektywie okolicy, w jakiej się znalazła. Zamiast spódniczki nosiła krótkie jedwabne spodnie o szerokich nogawkach kończących się o szerokość dłoni od kolan i podtrzymywanych jedwabną szarfą założoną jako przepaska. Buty z wywiniętymi cholewami z miękkiej skóry dochodziły prawie do kolan, a stroju dopełniała wydekoltowana koszula o szerokim kołnierzu i takichże rękawach. Na jednym kształtnym biodrze nosiła prosty miecz o obustronnym ostrzu, a na drugim długi dirk. Niesforne złociste włosy przycięte prosto u ramion podtrzymywała opaska ze szkarłatnego atłasu.

Na tle ponurej, pierwotnej puszczy bezwiednie prezentowała się malowniczo, dziwacznie i nie na miejscu. Tak powinna prezentować się na tle nadmorskich obłoków, malowanych masztów oraz kołujących mew. W jej wielkich oczach jawiła się barwa mórz. Zatem było tak, jak być powinno, ponieważ była to Valeria z Czerwonego Bractwa, której czyny sławiono w pieśniach i balladach, gdziekolwiek zbierali się morscy

włóczędzy.

Usiłowała przeniknąć wzrokiem posępny zielony dach z łukowatych gałęzi i dojrzeć niebo, które przypuszczalnie gdzieś tam się znajdowało, ale wkrótce z tego zrezygnowała, mnąc pod nosem przekleństwo.

Zostawiwszy spętanego konia, oddaliła się różnym krokiem w kierunku wschodnim, zerkając przelotnie od czasu do czasu w stronę sadzawki w celu utrwalenia marszruty w głowie. Cisza puszczy ją przygnębiała. Żaden ptak nie śpiewał pośród wyniosłych konarów ani żaden szelest w krzakach nie wskazywał na obecność jakichkolwiek zwierzątek. Przez całe ligi podróżowała w królestwie panującej ciszy przełamywanej tylko odgłosami jej ucieczki.

Wcześniej ugasiła pragnienie przy sadzawce, ale czuła dręczący głód i zaczęła rozglądać się za jakimiś owocami, którymi się żywiła, odkąd wyczerpała żywność przewożoną w sakwach.

Wkrótce ujrzała przed sobą wynurzającą się z ciemności podobną do krzemienia skałę, która odchyłała się ku górze, przechodząc w coś, co wyglądało jak postrzępione skalne załomy wznoszące się pośród drzew. Ich szczyt nikał z widoku w gąszczu okalających go liści. Być może wierzchołek wznosił się ponad szczyty drzew, a z niego mogłaby dojrzeć, co znajduje się za nimi – o ile rzeczywiście znajduje się za nimi cokolwiek więcej niż najwyraźniej bezkresna puszcza, przez którą jechała już tak wiele dni.

Wąski pagórek tworzył naturalną rampę, która prowadziła pod górę pionowego skalnego czoła. Wspiąwszy się na jakieś

pięćdziesiąt stóp, doszła do pasa liści, który otaczał skałę. Pnie drzew nie cisnęły się blisko załomów, ale końcówki ich niższych gałęzi wyciągały się dookoła, zasłaniając je swą gęstwiną. Błądziła dalej po omacku pośród liściastej zasłony, niezdolna dojrzeć niczego ani ponad, ani poniżej siebie. Wkrótce jednak mignął jej przed oczyma błękit nieba, a chwilę później wyszła w nieprzesłonięty niczym upalny, słoneczny blask i ujrzała rozciągające się u jej stóp sklepienie puszczy.

Stała na szerokiej półce, która znajdowała się mniej więcej na równi ze szczytami drzew, a od niej skała wznosiła się podobną do iglicy sterczyną stanowiącą ostatecznie wierzchołek załomów, na które się właśnie wspięła. Ale w tej chwili coś innego przykuło jej uwagę. Uderzyła stopą o coś w ściółce nawianych zeschniętych liści, jaka pokrywała półkę. Odkopała je na bok i spojrzała na ludzki szkielet. Wprawnym okiem przebiegła po zbiegających kościach, ale nie dostrzegła żadnych złamań czy innych oznak przemocy. Człowiek ten musiał umrzeć śmiercią naturalną, ale czemu wspinał się na wysoką skałę, żeby skonać, nie umiała sobie wyobrazić.

Wdrapała się na wierzchołek iglicy i spojrzała w stronę widnokregu. Sklepienie puszczy, które wyglądało z jej punktu obserwacyjnego jak posadzka, pozostawało nieprzeniknione, podobnie jak z dołu. Nie umiała nawet dojrzeć sadzawki, przy której zostawiła swego konia. Spojrzała ku północy, w kierunku, z którego przybyła. Widziała jedynie falujący ocean zieleni, rozciągający się coraz dalej i dalej, z jedyną, mglistą, błękitną linią w oddali, stanowiącą niewyraźną oznakę pasma wzgórz, które przekroczyła wiele dni temu, by zanurzyć się w to liściaste

pustkowie.

Od wschodu i zachodu widok był taki sam, jednak w obu kierunkach pozbawiony błękitnej linii wzgórz. Ale gdy zwróciła wzrok ku południu, zeszywniała i wstrzymała oddech. O milę dalej puszcza rzedła i kończyła się raptownie, ustępując miejsca upstrzonej kaktusami równinie. A pośrodku owej równiny wznosiły się mury i wieże miasta. Valeria zakłęła ze zdziwieniem. To przechodziło wszelkie wyobrażenie. Nie zdziwiłby jej widok ludzkich siedzib innego rodzaju – chat w kształcie uli budowanych przez czarny lud albo siedlisk w skalnych ścianach wykonanych przez tajemniczą brązową rasę, która, jak głosiły legendy, zamieszkiwała pewne obszary tego niezbadanego rejonu. Ale trafienie na otoczone murami miasto tutaj, tak wiele długich tygodni marszu od najbliższych przyczółków jakiegokolwiek cywilizacji, było wstrząsającym doświadczeniem.

Ręce jej zeszywniały od przytrzymywania się podobnej do pinakla iglicy, więc opuściła się na półkę, marszcząc brwi w rozterce. Dotarła tak daleko z obozu najemników pod przygranicznym miastem Sukhmet pośród gładkich trawiastych ziem, gdzie zdecydowani na wszystko awanturnicy wielu ras strzegli stygijskiej granicy przed napaściami, które nadchodziły z Darfaru niczym krwawe fale. Uchodziła na oślep w krainę, o której nie wiedziała absolutnie nic. I teraz wahała się pomiędzy impulsem, by pojechać wprost do tego miasta na równinie, a ostrożnym instynktem, który podpowiadał ominięcie go szerokim łukiem i kontynuację samotnej ucieczki.

Jej myśli rozsypały się za sprawą szumu liści poniżej. Obróciła

się szybko niczym kot, złapała za miecz i wtem zastygła w bezruchu, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w mężczyznę przed sobą.

Był wzrostu niemal olbrzyma, mięśnie grały mu płynnie pod skórą, którą słońce opaliło na brąz. Strój miał podobny do niej, z wyjątkiem tego, że zamiast przepaski nosił szeroki skórzany pas. U tegoż pasa zwisały szeroki miecz i puginał.

– Conan Cimmeryjczyk! – wykrzyknęła kobieta. – Co robisz na moim szlaku?

Wyszczrzył się okrutnie, a jego srogie niebieskie oczy zapłonęły blaskiem, który potrafiła pojąć każda kobieta, gdy przebiegał wzrokiem po jej wspaniałej postaci, zatrzymując się dłużej na wypukłościach okazałych piersi pod lekką koszulą i jasnym ciele wystawionym na pokaz między spodniami a cholewami butów.

– Nie wiesz? – Roześmiał się. – Czyż nie były wyraźne me zachwyty nad tobą, odkąd ujrzałem cię po raz pierwszy?

– Ogier nie zdołałby wyraźniej – odrzekła pogardliwie. – Ale nigdy bym się nie spodziewała spotkać cię tak daleko od beczek z piwem i garnków z mięsem w Sukhmet. Naprawdę podążasz za mną od obozu Zaralla czy też wygnali cię batogiem za to, żeś łotr?

Wyśmiał jej zuchwalstwo i napiął potężne bicepsy.

– Wiesz, że Zarallo nie ma dość nikkzemników, żeby wygnać mnie z obozu batogiem. – Wyszczrzył zęby. – Oczywiście, że podążałem za tobą. A to także twoje szczęście, dziewczko! Kiedy zadźgałaś tamtego stygijskiego oficera, utraciłaś względy i ochronę Zaralla, a dla Stygijczyków postawiłaś się poza prawem.

– Wiem o tym – rzekła posepnie. – Ale co innego mogłam zrobić? Wiesz, co mnie sprowokowało.

– Pewnie – zgodził się. – Gdybym tam był, sam bym go zadźgał. Ale skoro kobieta musi mieszkać w obozie wojskowym mężczyzn, może spodziewać się takich rzeczy.

– Dlaczego mężczyźni nie pozwalają mi żyć męskim życiem?

– To oczywiste! – Ponownie niemal pożarł ją skwapliwym wzrokiem. – Byłaś jednak na tyle mądra, by uciec. Stygijczycy by cię oskórowali. Brat tego oficera podążał twym tropem, nie wątpię, że szybciej, niż się spodziewałaś. Nie był daleko za tobą, gdy go dogoniłem. Jego koń był lepszy od twojego. Dognałby cię i poderżnął gardło na przestrzeni kilku kolejnych mil.

– No i? – dopytywała.

– No i co? – Wydawał się skonsternowany.

– Co z tym Stygijczykiem?

– Ech, a jak sądzisz? – odrzekł zniecierpliwiony. – Zabiłem go, oczywiście, i zostawiłem ścierwo sępom. To mnie jednak spowolniło i prawie zgubiłem twój trop, gdy przebyłaś skaliste rozwidlenie wzgórz. W przeciwnym razie dogoniłbym cię dawno temu.

– A teraz myślisz, że zawleciesz mnie z powrotem do obozu Zaralla. – Uśmiechnęła się szyderczo.

– Nie gadaj jak głupia – burknął. – Chodź, dziewczyno, nie bądź taką złością. Nie jestem jak ten Stygijczyk, którego zadźgałaś, wiesz o tym.

– Włóczęga bez grosza – zadrwiła.

Wyśmiał ją.

– A jak nazwiesz siebie? Nie miałaś dość pieniędzy, by kupić

nową łatę na siedzenie przy swoich portkach. Twoja wzdarda mnie nie zwiedzie. Wiesz, że dowodziłem większymi okrętami i większą liczbą ludzi niż ty kiedykolwiek w całym swym życiu. A co do braku grosza... Jakiemu piratowi nie brak go przez większość czasu? Przepuściłem tyle złota w portach tego świata, że zdołaloby zapełnić galeon. O tym także wiesz.

– Gdzie teraz są te znakomite okręty i dzielne chłopaki, którymi dowodziłeś? – szydziła.

– Głównie na dnie mórz – odparł pogodnie. – Zingarańczycy zatopili mój ostatni okręt u shemickiego wybrzeża... To dlatego przyłączyłem się do Wolnych Towarzyszy Zaralla. Przekonałem się wszak, że zostałem nabrany, gdy pomaszerowaliśmy nad granicę Darfaru. Żołąd był nędzny, a wino kwaśne. W dodatku nie lubię czarnych kobiet. A tylko takie przychodziły do naszego obozu pod Sukhmetem... z kólkami w nosach i spiłowanymi zębami... Faj! A czemu ty dołączyłaś do Zaralla? Sukhmet leży szmat drogi od słonych wód.

– Czerwony Ortho chciał mnie uczynić swoją metresą – odrzekła posępnie. – Pewnej nocy, gdy kotwiczyliśmy u kushickiego brzegu, skoczyłam za burtę i dopłynęłam do lądu. Było to pod Zabhelą. Tam shemicki handlarz powiedział mi, że Zarallo sprowadził Wolne Towarzystwa na południe, by strzegły granicy Darfaru. Innego zatrudnienia mi nie zaproponowano. Dołączyłam do kierującej się na wschód karawany i ostatecznie przybyłam do Sukhmetu.

– To, że wypuściłaś się na południe, było szaleństwem – zauważył Conan – ale było to również mądre, gdyż patrolom Zaralla nigdy nie przyszło na myśl szukać cię w tym kierunku.

Jedynie bratu tego człowieka, którego zabiłaś, udało się trafić na twój ślad.

– I co masz zamiar teraz robić? – dopytywała.

– Skręcić na zachód – odparł. – Byłem daleko na południu, ale nie tak daleko na wschodzie. Wielodniowa podróż na zachód zawiedzie nas na rozległe sawanny, gdzie czarne plemiona wypasają swe bydło. Mam wśród nich przyjaciół. Dostaniemy się na wybrzeże i znajdziemy statek. Mam dosyć dżungli.

– Idź zatem swoją drogą – poradziła mu. – Ja mam inne plany.

– Nie bądź głupia! – Po raz pierwszy okazał irytację. – Nie możesz dalej włóczyć się po tej puszczy.

– Mogę, jeśli zechcę.

– Ale co zamierzasz robić?

– To nie twoja sprawa – rzuciła ostro.

– Owszem, moja – odparł spokojnie. – Myślisz, że podążałem za tobą tak daleko, by odwrócić się i odjechać z pustymi rękami? Bądźże rozsądna, dziewczko, nie mam zamiaru cię skrzywdzić.

Ruszył w jej stronę, lecz ona odskoczyła w tył, wyciągając miecz ze świstem.

– Trzymaj się z dala, ty barbarzyński psie! Nadzieję cię jak pieczoną świnie!

Zatrzymał się nierad i zapytał:

– Chcesz, żebym zabrał ci tę zabawkę i dał nią klapsa?

– Słowa! Nic, tylko słowa! – drwiła, a w jej zuchwałych oczach tańczyły światła niczym odbłask słońca w błękitach wód.

Wiedział, że to prawda. Żaden żyjący mężczyzna nie zdołałby rozbroić Valerii z Bractwa gołymi rękami. Spojrzał gniewnie, jego odczucia stanowiły plątaninę sprzecznych emocji. Był zły, ale

także rozbawiony i przepętniony podziwem dla jej ducha. Płonął chęcią pochwycenia tej wspaniałej postaci i zmiżdżenia jej w swych żelaznych ramionach, jednak pragnął wielce nie skrzywdzić dziewczyny. Był rozdarty pomiędzy pragnieniem, by nią zdrowo potrząsnąć, a pragnieniem, by ją pieścić. Wiedział, że jeśli podejdzie bliżej, jej miecz wbije się w jego serce. Zbyt wiele razy widział, jak Valeria zabija mężczyzn w przygranicznych potyczkach i podczas rozrób w tawernach, by mieć co do niej jakiegokolwiek złudzenia. Wiedział, że jest szybka i zajadła jak tygrysica. Mógł wyciągnąć swój szeroki miecz, aby ją rozbroić, wytrącić ostrze z jej dłoni, ale myśl o wyjęciu miecza na kobietę, nawet bez zamiaru zranienia jej, była mu wyjątkowo wstrętą.

– A niech cię... Ty ladacznico! – wykrzyknął rozdrażniony. – Odbiorę ci twój...

Skierował się w jej stronę, rozpalony gniew odebrał mu rozwagę, a ona ustawiła się do zadania śmiertelnego pchnięcia. Wtem całą tę absurdalną, a zarazem groźną scenę przerwało coś zdumiewającego.

– *Co to było?*

To Valeria krzyknęła, ale oboje drgnęli gwałtownie i Conan odwrócił się szybko niczym kot, a wielki miecz błysnął mu w dłoni. Puszca w dole wybuchła mieszaniną przeraźliwych hałasów – kwiki przerażonych, ginących koni. Zmieszane z ich kwikiem dotarły trzaski kruszonych kości.

– Lwy zabijają konie! – zawołała Valeria.

– Żadne lwy! – prychnął Conan i jego oczy błyszczały. – Słyszałaś ryk lwa? Ja też nie! Przysłuchaj się temu trzaskowi kości... Nawet lew nie zdołałby zrobić tyle hałasu, zabijając

konia.

Pospieszył w dół naturalną rampą, a ona ruszyła w jego ślady; osobista waśń poszła w zapomnienie zdławiona instynktem awanturników, by jednoczyć siły przeciwko wspólnemu zagrożeniu. Ryki ucichły, kiedy przedzierali się w dół przez zieloną zasłonę liści, jakie omiatały skałę.

– Znalazłem twego konia uwiązanego przy sadzawce, o tam – wymamrotał, stąpając tak bezgłośnie, że już więcej się nie zastanawiała, jak zaskoczył ją na skałę. – Przywiązałem mego obok i poszedłem śladem twoich butów. Uważaj teraz!

Wynurzyli się z pasa liści i spojrzeli na dolne partie puszczy. Zielony dach nad nimi rozpościerał swój zaciemniony baldachim. Pod nimi słonecznego światła przenikało tyle, by wytworzyć półmrok o nefrytowym odcieniu. Olbrzymie pnie drzew, nie więcej niż sto stóp dalej, były ciemne i upiorne.

– Konie powinny się znajdować za tymi zaroślami, tam – wyszeptał Conan, a jego głos mógł być lekkim wietrzykiem powiewającym wśród gałęzi. – Posłuchaj!



|

Valeria już usłyszała i krew zastygła jej w żyłach; bezwiednie położyła jasną dłoń na umięśnionym ramieniu towarzysza. Zza zarośli dochodził głośny chrzęst kości oraz donośny dźwięk rozrywania mięsa wraz z odgłosami przeżuwania i mlaskania w trakcie straszliwej uczyty.

– Lwy nie robiłyby takiego hałasu – szepnął Conan. – Coś je nasze konie, ale to nie lew... Na Croma!

Hałas ustał raptownie, a Cimmeryjczyk zaklął pod nosem. Wzniesiony nagle wiaterek powiał z ich strony wprost w

kierunku miejsca, gdzie skrywał się niewidzialny zabójca.

– Oto nadchodzi! – mruknął, unosząc nieco miecz.

Zarośla zatrzęsły się gwałtownie, a Valeria ścisnęła mocno rękę Conana. Nie mając w ogóle wiedzy o dżungli, pojęła jednak, że żadne zwierzę, które kiedykolwiek widziała, nie targałoby wysokimi krzewami w taki sposób.

– Musi być wielkie jak słoń – mruczał pod nosem Conan, wtórując jej myślom. – Co, u diabła... – Głos mu zamarł w ogłuszającej ciszy.

Z zarośli wyłonił się łeb rodem z obłądu i koszmaru. Szczercząca się paszcza z obnażonymi rzędami ociekających posoką żółtych kłów, ponad opuszczoną szczęką – podobny jaszczurczemu pomarszczony pysk. Ogromne ślepia, niczym tysiącrocio powiększone ślepia pytona, wpatrywały się bez mrugnięcia w zastygłych ludzi przywierających do skały nad nim. Pokryte łuską obwisłe wargi wysmarowane były krwią kapiącą z olbrzymiej paszczy.

Łeb większy niż u krokodyla przechodził w długą, pokrytą łuską szyję, na której wznosiły się rzędy ząbkowanych kolców, a potem, miażdżąc kolczaste krzewy i młode drzewka, wytoczyło się cielsko olbrzyma – gigantyczny, beczkowaty korpus na absurdalnie krótkich nóżkach. Białawy brzuch niemal szorował o ziemię, podczas gdy najeżony zębami grzbiet wznosił się wyżej, niż Conan zdołałby dosięgnąć, stojąc na palcach. Za nim ciągnął się długi ogon zakończony szpikulcem, jak u gargantuicznego skorpiona.

– Z powrotem na skałę, prędko! – rzucił Conan, pchnąwszy stojącą za nim dziewczynę. – Nie sądzę, żeby zdołał się wspiąć,

ale może stanąć na zadnich łapach i nas dosięgnąć...

Rwąc i łamiąc krzaki oraz drzewka, potwór nadciągał pędem poprzez zarośla, a oni umknęli przed nim w górę po skałe niczym pędzone wiatrem liście. Kiedy Valeria zanurzyła się w liściastą osłonę, rzut oka wstecz ukazał jej olbrzyma wznoszącego się niebezpiecznie na potężnych zadnich łapach, tak jak przewidział Conan. Widok ten przepełnił ją narastającą paniką. Stojąc dęba, bestia zdawała się jeszcze ogromniejsza niż wcześniej; pociągły łeb górował wśród drzew. Wtem żelazna dłoń Conana zamknęła się na jej nadgarstku i szarpnięciem została wciągnięta na złamanie karku w oślepiający gąszcz liści, a potem w gorący słoneczny blask powyżej, akurat w chwili, gdy potwór opadł przednimi łapami na załomy, wprawiając skałę w drżenie.

Ogromny łeb wynurzył się z trzaskiem za uciekinierami spośród gałązek, a oni spoglądali przez przerażającą chwilę w okolone zielonymi liśćmi koszmarnie oblicze o płomiennych ślepiach i rozdziawionej paszczy. Wtem olbrzymie kły zatrzęsnęły się bezskutecznie, po czym łeb się cofnął, znikając im z oczu, jak gdyby zanurzył się w sadzawce.

Zerkając w dół między połamanymi gałęziami, które szorowały o skałę, ujrzeli stwora siedzącego na zadzie u stóp załomów i wpatrującego się w nich bez zmrużenia oka.

Valeria się wzdrygnęła.

– Jak sądzisz, długo będzie tam warował?

Conan kopnął czaszkę na usłanej liśćmi półce.

– Ten gość musiał wspiąć się tutaj, żeby mu uciec, albo innemu takiemu jak on. Musiał umrzeć z głodu. Nie ma połamanych kości. Stwór ten musi być smokiem, o którym czarne ludy mówią

w swych legendach. Jeśli tak, to nie odejdzie stąd, nim oboje nie będziemy martwi.

Valeria popatrzyła na niego pustym wzrokiem, zapominając o urazie. Zwalczyła napływ paniki. Dowodziła swej zuchwałej odwagi tysiące razy podczas dzikich bitew na morzu i lądzie, na śliskich od krwi pokładach płonących okrętów, w trakcie szturmów na warowne miasta i na udeptanych piaszczystych plażach, gdzie gotowi na wszystko ludzie z Czerwonego Bractwa nurzali nawzajem swe noże we krwi podczas walki o przywództwo. Jednak perspektywa, z którą przyszło się jej teraz mierzyć, zmroziła jej krew w żyłach. Cios kordelasa w ogniu bitwy był niczym; lecz siedzieć beczynn timer, biernie na nagiej skale, aż szczególnie z głodu napastowana przez potworny przeżytek dawnych epok... Ta myśl przepoiła jej umysł pulsującą paniką.

– Musi odejść, żeby jeść i pić – rzekła bezradnie.

– Nie będzie musiał chodzić daleko, by zrobić jedno i drugie – wyjaśnił jej Conan. – Właśnie obzał się końskim mięsem i jak prawdziwy wąż może teraz długo obejść się bez jedzenia i picia. Jednak zdaje się, że on nie śpi po jedzeniu jak prawdziwy wąż. Jakkolwiek by było, nie umie wspiąć się na te załomy.

Conan przemawiał niewzruszony. Był barbarzyńcą – straszliwa cierpliwość dziczy oraz jej dzieci była w równym stopniu częścią jego natury, jak żądze i szal. Umiał znosić sytuacje takie jak ta z opanowaniem niedostępnym osobie cywilizowanej.

– Nie możemy wspiąć się na drzewa i wydostać po nich, przemieszczając się jak małpoludy pomiędzy gałęziami? – spytała desperacko.

Pokręcił głową.

– Myślałem o tym. Gałęzie stykające się ze skałą tam, w dole, są zbyt delikatne. Połamałyby się pod naszym ciężarem. Ponadto mam wrażenie, że ten potwór potrafi wyrwać każde drzewo w okolicy razem z korzeniami.

– Dobra, to będziemy siedzieć na tyłkach, aż się zagłodzimy, jak ten? – krzyknęła wściekle, kopiąc czaszkę, która zaklekotała po półce. – Nie zrobię tego! Zejdę na dół i urznę mu ten przeklęty łeb...

Conan usadowił się na skalnym występie u stóp iglicy. Z iskrą zachwytu spojrzał na jej błyszczące oczy oraz napiętą, drżącą postać, ale zdając sobie sprawę, iż jest teraz w nastroju na każde szaleństwo, nie pozwolił, by ów zachwyt zabrzmiał w jego głosie.

– Siadaj – burknął, łapiąc ją za nadgarstek i przyciągając sobie na kolana. Była zbyt zaskoczona, by się opierać, kiedy wyciągnął jej z ręki miecz i wsadził do pochwy. – Siedź spokojnie i wycisz się. Tylko byś połamała stal na jego łuskach. Pochłonąłby cię na raz albo roztrzaskał jak jajko tym swoim spiczastym ogonem. Jakoś wybrniemy z kłopotu, ale nie zrobimy tego, dając się przeżuć i połknąć.

Nic nie odpowiedziała ani też nie starała się zepchnąć jego ramienia ze swej talii. Była przerażona, a to odczucie stanowiło nowość dla Valerii z Czerwonego Bractwa. Siedziała zatem na kolanie swego towarzysza – albo ciemieżyciela – z potulnością, jaka zdziwiłaby Zaralla, który wyklął ją jako diabolicę z piekielnego seraju.

Conan bawił się leniwie jej kędzierzawymi blond puklami, pozornie tylko pochłonięty swoim podbojem. Ani szkielet u jego

stóp, ani potwór czający się poniżej nie mąciły mu rozumu i nie stępiły jego zainteresowania.

Niespokojne oczy dziewczyny błędzące po liściach poniżej odkryły wśród zieleni kolorowe plamy. Były to owoce – duże, ciemnoszkarłatne kule zwisające z konarów drzewa, którego rozłożyste liście były szczególnie liczne i intensywnie zielone. Uświadomiła sobie, że jest zarazem głodna i spragniona, chociaż pragnienie nie nachodziło jej, dopóki nie dowiedziała się, iż nie może zejść z załomów, by znaleźć jedzenie i wodę.

– Nie musimy głodować – powiedziała. – Tam są owoce, których możemy dosięgnąć.

Conan rzucił okiem tam, gdzie wskazywała.

– Gdybyśmy to zjedli, nie potrzebowalibyśmy ukąszenia smoka – mruknął. – To coś, co czarny lud Kush zwie jabłkami Derkety. Derketa jest Królową Umarłych. Wypij trochę tego soku albo rozlej go po swym ciele, a będziesz martwa, nim zdołasz stoczyć się do stóp tych załomów.

– Och!

Valeria popadła w trwożliwe milczenie. Zdaje się, że z tych tarapatów nie ma wyjścia – rozmyślała ponuro. Nie widziała żadnej drogi ucieczki, a Conan wydawał się zainteresowany tylko jej gibką talią oraz kędzierzawymi lokami. Jeżeli próbował opracować plan ucieczki, nie okazywał tego.

– Jeżeli zdejmiesz ze mnie ręce na tyle długo, by wspiąć się na ten wierzchołek – odezwała się wkrótce – zobaczysz coś, co cię zaskoczy.

Obrzucił ją pytającym spojrzeniem, a potem posłuchał, wzruszywszy potężnymi ramionami. Przytrzymując się podobnej

do pinakla iglicy, popatrzył ponad sklepieniem puszczy.

Trwał długą chwilę w milczeniu, upozowany niczym spiżowa statua na skale.

– To warowne miasto, ani chybi – wymamrotał po jakimś czasie. – To tam zamierzałaś pójść, gdy próbowałaś odesłać mnie samego na wybrzeże?

– Ujrzałam je, zanim przybyłeś. Nie wiedziałam o nim nic, kiedy opuszczałam Sukhmet.

– Któż by pomyślał, że można tu napotkać miasto. Nie sądzę, aby Stygijczycy kiedykolwiek przeniknęli tak daleko. Czy czarny lud mógł zbudować miasto takie jak to? Nie widzę żadnych stad na równinie, żadnych śladów upraw ani przemieszczających się wokół ludzi.

– Jak możesz spodziewać się zobaczyć to wszystko z tej odległości? – dopytywała.

Wzruszył ramionami i opuścił się na półkę.

– Cóż, ludzie z tego miasta nie mogą nam obecnie pomóc. A może by i nie pomogli, nawet gdyby byli w stanie. Ludy Czarnych Krain są generalnie wrogie wobec obcych. Prawdopodobnie podziurawiliby nas włóczyniami...

Zatrzymał się nagle i stanął w milczeniu, jak gdyby zapomniał, o czym mówił, przypatrując się ze zmarszczonym czołem szkarłatnym kulom jaśniejącym wśród liści.

– Włócznie! – mruknął. – Jakiż przekłety ze mnie głupiec, że nie pomyślałem o tym wcześniej! To pokazuje, co ładna kobieta robi z umysłem mężczyzny.

– O czym ty mówisz? – zapytała Valeria.

Nie odpowiedziawszy na jej pytanie, zszedł do pasa liści i

spojrzał między nimi. Wielkie bydlę czaiło się poniżej, obserwując załomy z przerażającą cierpliwością gadziego ludu. Tak mógł jeden z jego rodu wpatrywać się w ich troglodyckich przodków zagnanych na sterczącą wysoko skałę u mrocznego zarania wieków. Conan przeklął go bez szczególnej wrogości i zaczął ciąć gałęzie, sięgając po nie i obcinając tak daleko od końca, jak tylko zdołał. Poruszenie wśród liści sprawiło, że potwór stał się niespokojny. Podniósł się z zadu i smagnął ogonem, łamiąc drzewka, jak gdyby były wykałaczkami. Conan obserwował go uważnie kątem oka i gdy tylko Valeria uznała, iż smok ma zamiar rzucić się ponownie na załomy, Cimmeryjczyk wycofał się i wspinał na półkę z gałęziami, które uciął. Miał trzy – smukłe drzewca długości jakichś siedmiu stóp, ale nie grubsze od kciuka. Uciął także kilka pędów mocnych, cienkich pnączy.

– Gałęzie są zbyt delikatne na trzonki włóczni, a pnącza nie grubsze od sznura – zauważył, wskazując listowie dookoła załomów. – Nie utrzymałyby naszej wagi... Ale siła w jedności. Tak aquilońscy renegaci zwykli mawiać Cimmeryjczykom, kiedy przybyli na wzgórza, by zebrać armię do najazdu na własny kraj. Ale my zawsze walczyliśmy w klanach i plemionach.

– Co to, u diabła, ma wspólnego z tymi kijami? – dopytywała.

– Poczekaj, to zobaczysz.

Zebrawszy kije w zwartą wiązkę, z jednego końca zaklinował między nimi rękojęść swego puginału. Potem związał je razem pnączami i kiedy skończył zadanie, uzyskał włócznie o niemałej sile rażenia i solidnym trzonku długim na siedem stóp.

– Co to nam pomoże? – dociekała. – Powiedziałeś, że ostrze nie zdołałoby przebić jego łusek...

– Nie z każdej strony ma łuski – odrzekł Conan. – Panterę można oskórować na wiele sposobów.

Przemieściwszy się w dół do skraju liści, sięgnął włócznią w górę i ostrożnie przebił ostrzem jedno z jabłek Derkety, odsuwając się na bok, żeby uniknąć ciemnopurpurowych kropli, jakie ściekały z owocu. Wkrótce cofnął ostrze i ukazał jej błękitną stal splamioną matowym fioletowawym szkarłatem.

– Nie wiem, czy to zrobi swoje czy nie – oznajmił. – Jest tu dosyć trucizny, żeby zabić słonia, ale... Dobra, zobaczymy.

Valeria szła blisko niego, gdy opuszczał się między liśćmi. Ostrożnie trzymając zatrutą włócznię z dala od siebie, wystawił głowę spośród gałęzi i przemówił do potwora:

– Na co czekasz tam, w dole, ty bękarci pomocie niewiadomych rodziców? – To było jedno z pytań jeszcze nadających się do druku. – Wytknij do góry ten swój paskudny łeb, długoszyje bydlę... Czy chcesz, żebym to ja zszedł tam, na dół, i przetrącił ci ten bękarci grzbiet?

Było tego więcej. Niektóre zdania zostały sklecone z elokwencją, która przyprawiła Valerię o wytrzeszcz oczu, pomimo jej wszechucznej edukacji nabytej wśród ludzi morza. No i wywarły one skutek. Jak ustawiczne ujadanie psa niepokoi i rozwściecza inne, cichsze z natury zwierzęta, tak hałaśliwy głos człowieka budzi strach w piersi jednych bestii i obłąkaną wściekłość u innych. Nagle z zastraszającą prędkością mastodontowe bydlę stanęło dęba na swych potężnych zadnich łapach i wyciągnęło ciało oraz szyję we wściekłym wysiłku dosięgnięcia tego wrzaskliwego karła, którego jazgot zakłócał pierwotną ciszę jego pradawnego królestwa.

Jednak Conan ocenił odległość właściwie. Jakieś pięć stóp pod nim potężny łeb wbił się strasznie, lecz bez efektu w liście. Kiedy potworna paszcza rozdziawiła się tak jak u węża, pchnął włócznią w załom utworzony przez zawias zuchwy. Uderzył w dół z całą siłą obu ramion, wrażając długie ostrze pugiuału w ciało, ścięgną i kości po rękojeść.

Szczęki zatrzasnęły się natychmiast konwulsyjnie, przecinając potrójne drzewce i prawie strącając Conana z jego wysoko położonego stanowiska. Spadłby, gdyby nie dziewczyna za nim, która chwyciła jego pas z mieczem w desperackim uścisku. On sam złapał się skalnego występu i wyszczerzył do niej zęby w podzięcie.

W dole, na ziemi, potwór tarzał się jak pies z pieprzem w ślepiach. Szarpał łbem z boku na bok, machał łapą i co chwila otwierał paszczę na całą szerokość. Po pewnym czasie sięgnął ogromną przednią łapą po kikut włóczni i zdołał wyszarpnąć ostrze. Potem rzucił łbem z rozwartą szczęką, tryskając krwią, i wlepił wściekłe spojrzenie w załomy na górze z taką skupioną, inteligentną furją, że Valeria zadrżała i wyciągnęła miecz. Łuski wzdłuż grzbietu i po bokach zmieniły się z rdzawobrazowych w jaskrawoczerwone. Co straszniejsze, potwór przerwał milczenie. Odgłos, jaki wydobył się ze spływającej krwią paszczy, nie brzmiał, jakby go mogło wydać ziemskie stworzenie.

Z chropawym, zgrzytliwym porykiwaniem smok rzucił się na załomy stanowiące bastion jego wrogów. Raz za razem potężny łeb wbijał się między gałęzie, kłapiąc daremnie paszczą w powietrzu. Rzuczał się całą swą ogromną masą na skałę, aż ta zaczęła drgać od podstawy po szczyt. I stanąwszy dęba, złapał ją

przednimi łapami jak człowiek i próbował wyrwać u korzenia, jakby była drzewem.

Ten pokaz pierwotnej furii zmroził krew w żyłach Valerii, ale Conan sam zbyt bliski był takiej dzikości, by poczuć cokolwiek poza pełnym zrozumieniem zainteresowaniem. Dla barbarzyńcy między innymi ludźmi a zwierzętami nie istniała taka przepaść jak w pojęciu Valerii. Potwór pod nim był dla Conana zwyczajną formą życia różniącą się od niego głównie kształtem. Przypisywał mu cechy charakterystyczne dla siebie samego i w jego złości dostrzegał odpowiednik własnego gniewu, w rykach i warkocie zaś zwyczajny gadzi ekwiwalent przekleństw, jakimi wcześniej go obrzucił. Czując pokrewieństwo ze wszystkimi dzikimi stworami, nawet ze smokami, nie mógł na widok brutalnej zajadłości doświadczyć tak chorobliwej grozy, jaka dopadła Valerię.

Conan usiadł, patrząc ze spokojem, i wskazywał rozmaite zmiany w głosie i ruchach potwora.

– Trucizna robi już swoje – rzekł z przekonaniem.

– Nie wierzę w to. – Valerii zdawało się niedorzeczne przypuszczenie, że cokolwiek, co nie jest zabójcze, może wywrzeć jakikolwiek wpływ na tę górę furii i mięśni.

– W jego głosie słyhać ból – oświadczył Cimmeryjczyk. – Najpierw był zwyczajnie wściekły z powodu ukłucia w szczękę. Teraz odczuwa ukąszenie trucizny. Popatrz! Zatacza się. Za kilka chwil oślepnie. A nie mówiłem?

Nagle smok, który się chwiał, począł oddalać się przez krzaki.

– Czy on ucieka? – dopytywała niespokojnie Valeria.

– Chce się dostać do sadzawki! – Conan zerwał się,

przygotowany do szybkiego działania. – Trucizna wywołała u niego pragnienie. Dalej! Za parę chwil będzie ślepy, ale może wywęszyć sobie drogę z powrotem do podnóża załomów i jeśli wyczuje naszą woń, będzie tu siedzieć, póki nie zdechnie. A inne z jego rodu mogą przybyć na jego wołanie. Chodźmy!

– Na dół? – Valeria osłupiała z przerażenia.

– Pewnie! Damy radę dostać się do miasta! Może utną nam tam głowy, ale to nasza jedyna szansa. Po drodze możemy wpaść na następny tysiąc smoków, lecz pozostać tutaj to pewna śmierć. Jeśli mamy czekać, aż ten zdechnie, lepiej miejmy do czynienia z kolejnym tuzinem. Za mną, szybko!

Zszedł po rampie równie prędko jak małpolud, zatrzymując się tylko, by pomóc mniej zwinnej towarzyszce, która – póki nie ujrzała wspinającego się Cimmeryjczyka – roiła sobie, że dorównuje każdemu mężczyźnie na takielunku statku czy stromym czole skalnego klifu.

Zeszli w półmrok pod gałęziami i cicho ześliznęli się na ziemię, choć Valeria miała wrażenie, że jej walące serce z całą pewnością słychać z daleka. Hałaśliwy bulgot i chłęptanie za gęstymi zaroślami wskazywały, że smok poi się u sadzawki.

– Jak tylko napełni brzuch, powróci – wymruczał cicho Conan.
– Mogą minąć godziny, nim trucizna go zabije... O ile w ogóle zabije.

Gdzieś za puszcza słońce opadało ku widnokręgowi. Stała się teraz mglistym, zaciemnionym miejscem złożonym z czarnych cieni i przyćmionych widoków. Conan złapał mocno Valerię za nadgarstek i pomknął z dala od podnóża skalnych załomów. Czynił mniej hałasu niż wietrzyk wiejący wśród gałęzi, lecz

Valerii zdawało się, że jej miękkie buty zdradzają całej puszczy ich ucieczkę.

– Nie sądzę, żeby udało mu się pójść naszym śladem – mamrotał Conan po cichu. – Ale jeśli wiatr przywieje mu woń naszych ciał, może nas wywęszyć.

– Mitro, daj, by ten wiatr nie powiał! – Valeria nabrała głęboko powietrza.

Jej twarz stanowiła w półmroku blady owal. W wolnej ręce ścisnęła miecz, ale dotyk owiniętej skórą rekina rękojeści wzmagął w niej tylko poczucie bezsilności.

Znajdowali się w pewnej odległości od skraju puszczy, gdy posłyszeli za sobą odgłosy łamania i miażdżenia. Valeria zagryzła wargę, by powstrzymać krzyk.

– Jest na naszym tropie! – wyszeptała gwałtownie.

Conan pokręcił głową.

– Nie wyczuł nas przy skale i błędzi dookoła po puszczy, usiłując podjąć nasz trop. Dalej! Teraz miasto albo nic! Zdołałby wyrwać każde drzewo, na jakie byśmy się wspięli. Jeśli tylko wiatr się nie zerwie...

Przekradali się dalej, póki drzewa nie zaczęły rzednąć. Za nimi puszcza stała się czarnym, nieprzeniknionym oceanem cieni. Złowieszcze trzaski wciąż rozbrzmiewały za ich plecami, kiedy smok błędził, obierając niewłaściwe kierunki.

– Przed nami równina. – Valeria wzięła głęboki oddech. – Jeszcze trochę, a będziemy...

– Na Croma! – zaklął Conan.

– Na Mitrę! – wyszeptała Valeria.

Z południa zerwał się wiatr.

Owiewał ich wprost ku czarnej puszczy za nimi. Natychmiast lasem wstrząsnął straszny ryk. Przypadkowe chrzęsty i trzaski krzaków przemieniły się w równomierny hałas, kiedy smok ruszył niczym huragan w stronę miejsca, z którego dochodziła woń wrogów.

– Biegiem! – warknął Conan; oczy płonęły mu jak wilkowi schwytanemu w pułapkę. – To wszystko, co możemy zrobić!

Marynarskie buty nie zostały stworzone do sprintów, a życie pirata nie czyni z nikogo biegacza. Na przestrzeni stu jardów Valeria poczęła dyszeć i słać się na nogach, a za nimi trzaski ustąpiły dudniącemu hukowi, kiedy potwór wydostał się z zarośli na bardziej otwartą przestrzeń.

Stalowe ramię Conana opasujące talię kobiety uniosło ją; jej stopy ledwie muskały ziemię, gdy była niesiona z prędkością, której sama by nigdy nie osiągnęła. Gdyby zdołał utrzymać się z dala od trasy bestii, być może zdradziecki wiatr by się zmienił... Ale wiatr się utrzymywał, a szybki rzut oka przez ramię powiedział Conanowi, że potwór prawie ich dopadł, nadciągając jak galera niesiona frontem huraganu. Odepchnął Valerię od siebie z siłą, która sprawiła, że odtoczyła się na tuzin stóp, by paść jak kupa nieszczęścia u podnóża najbliższego drzewa, a sam odwrócił się gwałtownie, stając na drodze pędzącego olbrzyma.

Przekonany, że śmierć go dopadła, Cimmeryjczyk postąpił zgodnie ze swym instynktem i rzucił się wprost na napierające nań okropne oblicze. Skoczył niczym żbik, zamachnął się i poczuł, jak miecz wrzyna się głęboko w łuski osłaniające potężny pysk... I wtem odrzuciło go straszne uderzenie, odbierając mu dech i połowę sił witalnych, aż potoczył się po nierównej ziemi na

pięćdziesiąt stóp.

Jak ogłuszony Cimmeryjczyk stanął na nogi, tego nawet on sam nie potrafił powiedzieć. Ale jedyna myśl, jaka wypełniała jego umysł, dotyczyła kobiety leżącej nieprzytomnie i bezradnie niemal na drodze pędzącego demona i zanim powietrze wróciło ze świstem do jego płuc, już stał nad nią z mieczem w dłoni.

Ona zaś leżała tam, gdzie ją cisnął, ale teraz usiłowała usiąść. Nie tknęły jej ani rwące kły, ani tratujące łapy. Conan został uderzony przednią łapą bądź barkiem, a oślepy potwór popędził dalej, w nagłych spazmach śmiertelnej agonii zapominając o ofiarach, za których wonią podążał. Gnał na złamanie karku w obranym kierunku, aż jego nisko zwieszony łeb huknął o olbrzymie drzewo stojące mu na drodze. Zderzenie wyrwało pień z korzeniami i musiało wybić mózg z nieforemnej czaszki. Drzewo i potwór padli razem, a oszołomieni ludzie ujrzeli gałęzie i liście wstrząsane konwulsjami stworzenia, które zakryły... Potem nastąpiła cisza.

Conan postawił Valerię na nogi i razem zaczęli chwiejnie biec. Kilka chwil później wydostali się na ogarniętą zmierzchem bezdrzewną równinę.

Conan zatrzymał się na moment i zerknął wstecz na hebanową warownię za nimi. Nie zadrżał nawet liść, żaden ptak nie zaszczebiotał. Trwała tak cicha, jaka musiała trwać, zanim został stworzony Człowiek.

– Chodź – mruknął, biorąc swą towarzyszkę za rękę. – Zrobiło się niebezpiecznie. Jeśli więcej smoków wyjdzie za nami z lasu...

Nie musiał kończyć tego zdania.

Miasto za równiną wydawało się bardziej odległe, niż to

wyglądało ze skał.

Serce Valerii łomotało, aż poczuła, jakby miało ją zadusić. Przy każdym kroku spodziewała się usłyszeć trzask krzaków i ujrzeć następny ogromny koszmar napierający na nich. Jednak nic nie zakłócało bezruchu zarośli.

Po pierwszej mili pomiędzy nimi a lasem Valeria odetchnęła spokojniej. Jej pełna animuszu pewność siebie poczęła znów przebijać się na powierzchnię. Słońce zaszło i ciemności zbierały się nad równiną rozświetlaną po trochu przez gwiazdy, które zwodziły, dobywając zjawy z rozrośniętych kaktusów.

– Żadnego bydła, żadnych ornych pól – mrucał Conan. – Z czego ci ludzie żyją?

– Może bydło jest w zagrodach na noc – podpowiedziała Valeria – a pola i pastwiska są po drugiej stronie miasta.

– Może – mruknął. – Ale ze skał nic nie widziałem.

Księżyc wzeszedł nad miastem, obrysowując czarne mury i wieże żółtym blaskiem. Valeria zadrżała. Czarne na tle księżyca, dziwne miasto miało złowieszczy, posepny wygląd. Być może takie samo odczucie udzieliło się Conanowi, gdyż przystanął, rozejrzał się i mruknął:

– Zatrzymamy się tutaj. Bez sensu zachodzić pod ich bramy nocą. Prawdopodobnie by nas nie wpuścili. Ponadto potrzebujemy odpoczynku, a nie wiemy, jak nas przyjmą. Kilkugodzinny sen da nam więcej sił do walki albo do ucieczki.

Obrał drogę ku skupisku kaktusów rosnących w kole – zjawisko powszechne na pustyniach południowych. Mieczem wyrąbał otwór i gestem wskazał Valerii, by weszła.

– Tu będziemy bezpieczni przynajmniej od węży.

Ona zaś strachliwie rzuciła okiem w stronę czarnej linii, która znaczyła puszcę o jakieś sześć mil dalej.

– Dopuszczasz myśl, że z lasu wyjdzie jakiś smok?

– Będziemy trzymać straż – odrzekł, chociaż nie zasugerował, co mieliby zrobić w takim wypadku. Wpatrywał się w miasto o kilka mil dalej. Ani światełko nie prześwitywało z jakiegó iglicy czy wieży. Wielka czarna, tajemnicza masa wznosząca się zagadkowo na tle rozświetlonego księżycem nieba. – Połóż się i śpij. Ja wezmę pierwszą wartę.

Zawahała się, spoglądając na niego niepewnie, lecz on zasiadł ze skrzyżowanymi nogami w wejściu, zwrócony przodem do równiny, z mieczem na kolanach. Bez dalszych uwag położyła się na piasku wewnątrz kolczastego kręgu.

– Zbudź mnie, kiedy księżyc będzie w zenicie – zarządziła.

Nie odpowiedział ani nie spojrzał w jej stronę. Ostatnim obrazem, kiedy zapadała w sen, była jego umięśniona sylwetka, nieruchoma jak statua wyciosana w spiżu, zarysowana na tle nisko wiszących gwiazd.



II

PRZY BLASKU OGNISTYCH KLEJNOTÓW



Valeria zerwała się, by zdać sobie sprawę, że nad równinę zakradł się szary świt. Usiadła, przecierając oczy. Conan kucnął obok kaktusa, odcinając mięsiste owoce i zręcznie wyrywając kolce.

– Nie zbudziłeś mnie – rzekła oskarżycielsko. – Dałeś mi spać całą noc!

– Byłaś zmęczona – powiedział. – Także siedzenie musiało cię boleć po tak długiej jeździe. Wy, piraci, nie nawykliście do

końskiego grzbietu.

– A co z tobą? – odcięła się.

– Byłem *kozakiem*, nim stałem się piratem – odrzekł. – Ci żyją w siodle. Chwytam krótkie drzemki niczym pantera czyhająca przy szlaku na przechodzącego jelenia. Moje uszy trzymają straż, gdy oczy śpią.

I rzeczywiście, olbrzymi barbarzyńca zdawał się tak odświeżony, jakby spał calutką noc w złoconym łożu. Usunąwszy ciernie i obrawszy twardą skórkę, podał dziewczynie mięsisty, soczysty liść kaktusa.

– Zatop zęby w tym owocu. To jedzenie i picie dla ludzi pustyni. Byłem niegdyś wodzem Zuagirów, którzy żyją z łupienia karawan.

– A kim jeszcze nie byłeś? – wypytywała dziewczyna na wpół prześmiewczo, na wpół z fascynacją.

– Nigdy nie byłem królem hyboryjskiego królestwa. – Wyszczrzył się w uśmiechu, odgryzając ogromny kęs kaktusa. – Ale śniłem nawet o tym. Może kiedyś nim będę. Czemu nie?

Pokręciła głową, zadziwiona jego spokojnym zuchwalstwem, i skupiła się na pochłanianiu swego owocu. Odkryła, iż nie jest nieprzyjemny jej podniebieniu, za to pełen chłodnego, zaspokajającego pragnienie soku. Kończąc posiłek, Conan wytarł dłonie w piasek, wstał, przeczesał palcami gęstą grzywę czarnych włosów, podciągnął pas z mieczem i rzekł:

– Dobra, chodźmy. Jeśli lud w tym mieście zamierza podciąć nam gardła, może równie dobrze uczynić to teraz, zanim nastanie upał.

Posępny humor pojawił się u niego bezwiednie, ale Valeria zastanawiała się, czy może być proroczy. Ona także poprawiła pas z mieczem i powstała. Paniczny strach z nocy odszedł w przeszłość.

Ryczące smoki z odległego lasu były niczym niewyraźny sen. W jej postawie pojawiła się buta, gdy poczęła kroczyć u boku Cimmeryjczyka. Jakiegokolwiek niebezpieczeństwo czai się przed nimi, ich wrogami będą ludzie. A Valeria z Czerwonego Bractwa nigdy jeszcze nie spoglądała w twarz człowieka, którego by się bała.

Conan zerkał na nią, kiedy tak szła obok swym kołyszącym się krokiem, który dopasowany był do jego.

– Chodzisz bardziej jak góral niż jak marynarz – stwierdził. – Musisz być Aquilonką. Słońce Darfaru nigdy nie opaliło twojej skóry na brąz. Wiele księżniczek by ci tego pozazdrościło.

– Jestem z Aquilonii – odrzekła. Jego komplementy już jej nie irytowały. Oczywisty podziw sprawiał jej przyjemność. Gdyby inny mężczyzna pilnował jej, gdy spała, rozzłościłoby ją to; zawsze zawzięcie nie znosiła, gdy jakiś mężczyzna próbował osłaniać ją albo chronić ze względu na płęć. Ale w tym, że ten to uczynił, odnalazła utajoną radość. I nie wykorzystał przewagi, jaką dawał mu jej strach oraz wynikająca z niego słabość. Koniec końców, pomyślała, jej towarzysz nie jest mężczyzną pospolitym.

Słońce powstało za miastem, nadając wieżom złowieszczą barwę szkarłatu.

– Ubiegłej nocy czarne na tle księżycy – burknął Conan. Jego spojrzenie spochmurniało od bezgranicznej przesądności barbarzyńcy. – Krwistoczerwone jak zapowiedź krwi na tle słońca o brzasku. Nie podoba mi się to miasto.

Zmierzali jednak dalej i kiedy tak szli, uwagę Conana zwrócił fakt, iż od północy nie prowadzi do miasta żadna droga.

– Bydło nie deptało równiny po tej stronie miasta – stwierdził. – Żaden lemiesz nie tknął tej ziemi od lat, może od wieków. Ale

popatrz: niegdyś ta równina była uprawiana.

Valeria dostrzegła pradawne rowy irygacyjne, które wskazał, miejscami na wpół zasypane i zarośnięte kaktusami. Skonsternowana zmarszczyła brwi, kiedy jej oczy omiotły równinę rozciągającą się ze wszystkich stron miasta po skraj puszczy, która obiegała ją rozległym, przyćmionym pierścieniem. Poza ów pierścień wzrok już nie sięgał.

Popatrzyła niespokojnie na miasto. Żadne hełmy ani grotty włóczy nie błyszczały na blankach, nie dźwięczały żadne trąbki, żaden okrzyk nie zabrzmiał z wież. Mury i minarety spowijała cisza równie bezwzględna jak ta w puszczy.

Słońce było już wysoko ponad wschodnim horyzontem, gdy stanęli przed wielką bramą w murze północnym, w cieniu wyniosłego obwarowania. Rdza upstrzyła stalowe podpory potężnego spiżowego wejścia. Pajęczne sieci połyskiwały grubą warstwą na zawiasach, progu oraz zaryglowanych odrzwiach.

– Nie otwierano ich od lat! – wykrzyknęła Valeria.

– Wymarłe miasto – mruknął Conan. – To dlatego rowy są poniszczone, a równina nietknięta.

– Ale kto je zbudował? Kto tu zamieszkiwał? Dokąd odeszli? Dlaczego je porzucili?

– Któż to może rzec? Może pobudował je wygnany klan Stygijczyków? A może nie. To nie wygląda na architekturę stygijską. Może tutejszy lud został wytracony przez wrogów albo wymarł od zarazy.

– W takim wypadku na ich skarbach w środku może nadal gromadzą się kurz i pajęczyny – podsunęła Valeria, w której zbudził się typowy dla jej profesji instynkt zdobywcy wzmagany

także przez kobiecą ciekawość. – Damy radę otworzyć bramę? Wejdźmy i rozejrzyjmy się nieco.

Conan przyjrzał się solidnemu wejściu z powątpiewaniem, ale wsparł na nim swe potężne ramię i pchnął z całą siłą umięśnionych łydek i ud. Z rozdzierającym zgrzytem zardzewiałych zawiasów brama wsunęła się opornie do środka, a Conan się wyprostował, wyciągając miecz. Valeria popatrzyła mu przez ramię i wydała dźwięk wskazujący na zaskoczenie.

Nie spoglądali na otwartą ulicę czy dziedziniec, jak można by się spodziewać. Uchylona brama czy też wrota dawały bezpośredni przystęp do długiego, obszernego holu biegnącego coraz dalej i dalej, tak że stawał się niewyraźny w oddali. Był on iście monstrualnych rozmiarów, a jego posadzkę wyłożono przyciętym w kwadratowe płytki dziwnym czerwonym kamieniem, który zdawał się żarzyć jak gdyby odbiciem ognia. Ściany wykonano ze świecącej zielonej materii.

– Nefryt albo jestem Shemitą! – zaklął Conan.

– Nie w takiej ilości! – sprzeciwiła się Valeria.

– Złupiłem go dość z khitajskich karawan, by wiedzieć, o czym mówię – trzymał się swego. – To nefryt!

Sklepiony sufit wykonano z lapis-lazuli zdobionego kiściami wielkich zielonych kamieni, które jaśniały jadowitą poświatą.

– Zielone ogniokamienie – warknął Conan. – Tak zowie je lud Puntu. Uważa się, że to skamieniałe oczy tych prehistorycznych węży, które starożytni nazywali Złotymi Wężami. Jaśnieją one w mroku jak ślepie kota. Nocą mogą rozświetlać ten hol, ale będzie to piekielnie niesamowite oświetlenie. Rozejrzyjmy się. Moglibyśmy znaleźć jakąś skrytkę z klejnotami.

– Zamknij drzwi – poradziła Valeria. – Nie zniósłabym myśli o konieczności ucieczki przed smokiem w głąb tego holu.

Conan uśmiechnął się szeroko i rzekł:

– Nie sądzę, żeby smoki kiedykolwiek opuszczały puszcę. – Niemniej uczynił to i wskazał pęknięty rygiel po wewnętrznej stronie. – Zdało mi się, że posłyszałem, jak coś trzasnęło, gdy je przesuwalem. Ten rygiel został świeżo urwany. Prawie przeżarła go rdza. Jeśli ludzie stąd uciekli, czemuż miałyby być zaryglowane od środka?

– Widocznie wyszli innymi drzwiami – odpowiedziała Valeria.

Zastanawiała się, ile wieków przeminęło, odkąd światło dnia przestało przenikać do tego wielkiego holu przez otwarte drzwi. Słoneczne światło jakoś znajdowało do niego drogę i wkrótce ujrzeli jego źródło. Wysoko na sklepieniu w przypominających szczeliny otworach umieszczono świetliki – prześwitujące płyty z jakiejś krystalicznej substancji. W plamach cienia pomiędzy nimi zielone klejnoty mrugały jak ślepia rozdrażnionych kotów. Posadzka jaśniejąca matowo pod stopami żarzyła się zmiennymi odcieniami oraz barwami ognia. Było to niczym kroczenie po podłodze piekieł z upiornymi gwiazdami migoczącymi nad głową.

Po obu stronach holu biegły trzy opatrzone balustradą galerie – jedna nad drugą.

– Budynek czterokondygnacyjny – mruknął Conan – a ten hol rozpościera się po dach. Jest długi jak ulica. Zdaje mi się, że widzę jakieś wrota na drugim końcu.

Valeria wzruszyła białymi ramionami.

– Zatem twoje oczy są lepsze od moich, chociaż wśród korsarzy uznawana jestem za bystrooką.

Skęcili w wybrane przypadkiem otwarte drzwi i przebyli ciąg pustych komnat wyłożonych posadzką taką jak w holu, o ścianach z tego samego zielonego nefrytu albo z marmuru, kości słoniowej czy chalcedonu, ozdobionych fryzami z brązu, złota bądź srebra. Na suficie umieszczono zielone ognioklejnoty, a ich światło było tak upiorne i złudne, jak przepowiedział Conan. W poświęceniu tych błędnych ogników intruzi poruszali się niczym widma.

W niektórych komnatach brakło tego oświetlenia, a wejścia do nich prowadzące wyglądały czarno niby paszcza Otchłani. Te Conan i Valeria omijali, trzymając się zawsze komnat oświetlonych.

W rogach zwisały pajęczyny, ale na podłodze nie było dostrzegalnych śladów nagromadzenia kurzu, podobnie też na stołach czy siedziskach z marmuru, nefrytu albo krwawnika, które wypełniały komnaty. Tu i tam porozkładane były chodniki z jedwabiu znanego jako khitajski, który jest właściwie niezniszczalny. Nigdzie nie znaleźli okien czy drzwi wychodzących na ulice albo dziedzińce. Każde drzwi prowadziły jedynie do następnej komnaty bądź holu.

– Czemu nie wychodzimy na ulicę? – zrzędziła Valeria. – To miejsce, czymkolwiek jest to, w czym się znaleźliśmy, musi być wielkie jak seraj króla Turanu.

– Nie mogli zostać wytraceni przez zarazę – rzekł Conan, kontemplując zagadkę opustoszałego miasta. – W przeciwnym razie znaleźlibyśmy szkielety. Może stało się nawiedzone i wszyscy uciekli, aż się kurzyło. Być może...

– Być może, do diabła! – przerwała mu szorstko Valeria. – Nigdy się nie dowiemy. Popatrz na te fryzy. Przedstawiają ludzi. Do jakiej rasy oni należą?

Conan zlustrował je uważnie i pokręcił głową.

– Nigdy nie widziałem ludzi takich jak ci. Jest w nich jednak powiew Wschodu... Może Vendhyi lub Kosali.

– Byłeś królem w Kosali? – zapytała, pod drwiną skrywając głębokie zaniepokojenie.

– Nie. Byłem wszak wodzem wojownikami Afghulich, którzy mieszkają w górach himeliańskich ponad granicami Vendhyi. Ci ludzie tutaj podobni są do Kosalan. Ale czemu Kosalanie mieliby budować miasto tak daleko na zachodzie?

Uwidocznionymi postaciami byli smukli mężczyźni oraz kobiety o oliwkowej skórze i wspaniale rzeźbionych, egzotycznych rysach. Wszyscy nosili cieniutkie szaty i wiele delikatnie wysadzanych klejnotami ozdób, a ukazani zostali głównie w pozach ucztowania, tańca bądź uprawiania seksu.

– Ludzie Wschodu, w porządku – mruknął Conan – ale skąd, tego nie wiem. Jednakowoż musieli wieść obrzydliwie pokojowe życie, bo mieliby sceny z wojen czy walk. Chodźmy na górę tymi schodami.

Tworzyły one spiralę z kości słoniowej, która wiła się w górę, począwszy od komnaty, w której stali. Minęli trzy kondygnacje i weszli do obszernej komnaty na czwartym piętrze, które wydawało się najwyżej położone w budynku. Świetliki w suficie oświetlały pomieszczenie, w którym blask płonących kamieni migotał blade. Zaglądając przez drzwi, ujrzeli rząd podobnie oświetlonych komnat wyłącznie po jednej stronie. Inne drzwi otwierały się na otoczoną balustradą galerię wiszącą ponad holem znacznie mniejszym od tego, który niedawno badali na niższym piętrze.

– Niech to piekło pochłonie! – Valeria usiadła zniesmaczona na

nefrytowej ławie. – Lud, który opuścił to miasto, musiał zabrać wszystkie skarby ze sobą. Jestem zmęczona tym przypadkowym błąkaniem się po ogołoconych pomieszczeniach.

– Wszystkie te górne komnaty wydają się oświetlone – stwierdził Conan. – Chciałbym, żebyśmy znaleźli jakieś okno wychodzące na miasto. Spójrzmy przez tamte drzwi.

– To spójrz – podsunęła Valeria. – Ja zamierzam tu posiedzieć i dać odpocząć stopom.

Conan zniknął w drzwiach umieszczonych naprzeciwko otwierających się na galerię, a Valeria odchyliła się do tyłu z rękoma założonymi pod głowę i wysunęła obute nogi przed siebie. Te ciche pomieszczenia i hole z ich jaśniejącymi zielonymi kiściami ozdób oraz płonącymi szkarłatem podłogami zaczynały ją przygnębiać. Pragnęła, żeby znaleźli drogę wyjścia z tego labiryntu, w który się wplątali, i wydostali się na jakąś ulicę. Rozmyślała leniwie, jakież to ukradkowe, ciemne stopy przemykały po tych płomiennych posadzkach w minionych wiekach, jak wiele okrutnych i tajemnych czynów rozświetlały te mrugające z sufitu szlachetne kamienie.

Z rozważań wyrwał ją nikły odgłos. Była już na nogach z mieczem w dłoni, zanim zdała sobie sprawę, co ją zaniepokoiło. Conan nie wrócił i wiedziała, że to nie jego słyszała.

Ów dźwięk doszedł gdzieś zza drzwi, które otwierały się na galerię.

Bezszelestnie w swych butach z miękkiej skóry prześliznęła się przez nie, zakradła na balkon i zerknęła w dół spomiędzy potężnych balasek.

Holem skradał się jakiś człowiek.

Widok ludzkiej istoty w tym, jak mniemali, opuszczonym mieście

stanowił wstrząs. Przykucnąwszy za kamienną balustradą, czując mrowienie każdego nerwu, Valeria gapiła się na skradającą się w dole postać.

Mężczyzna ów w żaden sposób nie przypominał postaci ukazanych na fryzach. Wzrostu trochę większego niż średni, bardzo ciemny, nie był wszak negroidem. Był nagi, poza skąpą jedwabną przepaską, która tylko częściowo zakrywała jego umięśnione biodra, i szerokim na dłoń skórzanym pasem wokół szczupłej talii. Długie, czarne włosy zwisały mu cienkimi pasemkami wokół ramion, nadając dziki wygląd. Był chudy, lecz węzły i sznury mięśni piętrzyły się na jego rękach i nogach bez miękkich wypełnień ciałem, które użyczają przyjemnej foremności obrysom. Zbudowany był tak oszczędnie, że niemal odstręczająco.

Jednak to nie wygląd, ale jego postawa wywarła na obserwującej go kobiecie takie wrażenie. Przemykał schylony w półprzysiadzie, głowa obracała mu się na wszystkie strony. W prawej dłoni ścisnął ostrze o szerokim sztychu; dostrzegła, że trzęsie się ono od natłoku trawiących go emocji. Był zalękniony, drżący w szponach jakiegoś okropnego przerażenia. Kiedy odwrócił głowę, pomiędzy cienkimi pasemkami czarnych włosów uchwyciła płomień jego dzikiego spojrzenia.

Nie dostrzegł jej. Na palcach prześliznął się przez hol i zniknął w otwartych drzwiach. Chwilę później usłyszała zdławiony krzyk, a potem znów zapadła cisza.

Trawiona przez ciekawość Valeria pomknęła wzdłuż galerii, aż doszła do drzwi umieszczonych ponad tymi, przez które wszedł tamten człowiek. Otwierały się one na następną, mniejszą galerię, która otaczała dużą komnatę.

Komnata ta znajdowała się na trzecim piętrze, a jej sufit nie był tak wysoki jak ten w holu. Oświetlały ją tylko ogniokamienie, a ich niesamowita zielona poświata pozostawiała przestrzeń pod balkonem w mroku.

Oczy Valerii się rozszerzyły. Mężczyzna, którego widziała wcześniej, przebywał nadal w komnacie.

Leżał na brzuchu na ciemnoszkarłatnym dywanie na środku pomieszczenia. Jego ciało było zwiotczałe, ramiona rozrzucone szeroko. Zakrzywione ostrze spoczywało blisko niego.

Zastanawiała się, dlaczego leży tak nieruchomo. Wtem jej oczy się zwężyły, gdy przyjrzała się kilimowi, na którym zaległ. Pod nim i dookoła niego materiał wykazywał nieco inną barwę, głębszą, jasnoszkarłatną.

Drżąc lekko, przycupnęła bliżej za balustradą, bacznie lustrując mrok pod nawisem galerii. Nie wyjawiał on jednak swoich sekretów.

Nagle w tym ponurym dramacie pojawiła się następna postać. Był to mężczyzna podobny do pierwszego, a wszedł drzwiami naprzeciw tych, które wiodły do holu.

Oczy mu błysły na widok człowieka na podłodze i wypowiedział szczekliwym głosem coś, co brzmiało jak „Chicmec!”. Ten drugi się nie poruszył.

Mężczyzna przemierzył szybko podłogę, schylił się, pochwycił mocno ramię leżącego i odwrócił go. Kiedy głowa tamtego opadła bezwładnie w tył, odsłaniając gardło rozcięte od ucha do ucha, wyrwał mu się zdławiony krzyk.

Mężczyzna ów pozwolił zwłokom opaść na zboczony krwią dywan i zerwał się na nogi, trzęsąc się niczym liść na wietrze. Jego

twarz stała się maską poszarzałą od strachu. Jednak z jedną nogą ugiętą do ucieczki zastygł nagle, znieruchomiał niczym posąg, wpatrując się w drugą stronę komnaty rozszerzonymi ze strachu oczami.

W mroku pod balkonem zaczęło jaśnieć i narastać upiorne światło, które nie było częścią blasku ogniokamieni. Obserwując je, Valeria poczuła, jak włosy podnoszą się jej na głowie, gdyż niewyraźnie widoczna w pulsującej poświacie unosiła się tam ludzka czaszka i to z tejże czaszki – ludzkiej, ale przerażająco koślawej – zdawało się emanować widmowe światło. Wisiała tam jak pozbawiona ciała głowa, wyczarowana z mroku i cieni, coraz bardziej i bardziej wyraźna; ludzka, a jednakowoż nieludzka według tego, jak ona sama pojmowała człowieczeństwo.

Mężczyzna stał nieruchomo – wcielenie paraliżującego przerażenia – ze wzrokiem utkwionym w zjawę. Ta zaś odsunęła się od ściany, a wraz z nią począł poruszać się groteskowy cień. Powoli cień ów stał się widoczny jako podobna do ludzkiej postać, której nagi tors i członki świeciły jasno barwą pobielających kości. Naga czaszka na jej ramionach szczyrzyła się, pozbawiona oczu, wśród diabelskiego obłoku, a stojący przed nią mężczyzna wydawał się niezdolny do oderwania od niej wzroku. Tkwił nieruchomo z mieczem zwisającym w odrętwiałej dłoni i wyrazem twarzy człowieka spętanego czarem mesmeryzmu.

Valeria zdała sobie sprawę, że to nie sam strach go sparaliżował. Jakaś piekielna właściwość tej pulsującej poświaty pozbawiła go sił do myślenia i działania. Ona sama, bezpieczna ponad rozgrywającą się sceną, poczuła delikatny wpływ nienazwanej emanacji, która stanowiła zagrożenie dla zdrowego rozsądku.

Groza posuwała się w kierunku swej ofiary, która w końcu się poruszyła, lecz tylko po to, by upuścić broń i opaść na kolana, zakrywając oczy dłońmi. Oniemiały mężczyzna oczekiwał ciosu ostrza, które teraz błysnęło w ręku zjawy, kiedy ta stanęła nad nim prosto niczym Śmierć tryumfująca nad ludzkością.

Valeria zadziałała zgodnie z pierwszym impulsem swej niesfornej natury. Jednym tygrysim ruchem przesadziła balustradę, opadając na podłogę za straszną postacią. Ta odwróciła się gwałtownie na głuchy łomot jej miękkich butów o posadzkę, ale w tej samej chwili, kiedy się obracała, ostry brzeszczot dziewczyny świsnął w dół i ogarnęło ją zajadłe uniesienie, gdy poczuła, jak krawędź rozszczepia realne ciało oraz śmiertelne kości.

Zjawa wykrzyknęła bulgotliwie i padła z rozplatanym ramieniem, mostkiem i kręgosłupem, a płonąca czaszka potoczyła się, odsłaniając mizerną czuprynę czarnych włosów oraz ciemną twarz wykrzywioną grymasem śmierci. Za tą przerażającą maskaradą skrywała się istota ludzka, człowiek podobny do tego, który klęczał ulegle na podłodze.

Podniósł on wzrok na odgłos ciosu oraz krzyk i teraz spoglądał z zadziwieniem szeroko rozwartymi, dzikimi oczami na białoskórą kobietę, która stała nad zwłokami z mieczem ociekającym krwią w dłoni.

Powstał chwiejnie, jazgocząc, jak gdyby ten widokomalże pomieszał mu zmysły. Był zdziwiony, gdy zdał sobie sprawę, że ona go rozumie. Bełkotał w języku stygijskim, ale w nieznanym jej dialekcie.

– Kto ty jesteś? Skądęś przybyła? Co robisz w Xuchotl? – Parł naprzód bez czekania na odpowiedź. – Ale jesteś przyjacielem...

boginią czy diabłem, nie robi różnicy. Zabiłaś Płonącą Czaszkę! Po wszystkim okazało się, że stał za nią tylko człowiek. Mniemaliśmy, że to demon, którego *tamci* przywołali z katakumb. *Postuchaj!*

Przerwał nagle swą gadaninę i zeszywniał, wyęzając słuch z bolesną intensywnością. Dziewczyna nie dosłyszała niczego.

– Musimy się pospieszyć – wyszeptał. – Znajdują się na zachód od Wielkiego Holu! Oni mogą być wszędzie dookoła nas! Mogą podchodzić nas nawet teraz!

Złapał jej nadgarstek w kurczowym uścisku, który trudno było jej przemóc.

– Kogo masz na myśli, mówiąc „oni”? – dopytywała.

Przez chwilę przypatrywał się jej, niczego nie pojmując, jak gdyby jej ignorancję ciężko było mu zrozumieć.

– Oni? – bąknął, zacinając się. – No... No, lud Xotalanc! Klan męczyzny, którego zarznęłaś. Ci, którzy mieszkają przy bramie wschodniej.

– Chcesz powiedzieć, że to miasto jest zamieszkane?! – wykrzyknęła.

– Tak! Tak jest! – Aż skręcał się niecierpliwie od obaw. – Chodźmy stąd! Chodźmy prędko! Musimy powrócić do Tecuhltli!

– Gdzie to jest? – dopytywała.

– To obszar przy bramie zachodniej! – Ponownie złapał jej nadgarstek i pociągnął ją w stronę drzwi, którymi wszedł. Z ciemnego czoła ściekały mu wielkie krople potu, a w jego oczach płonęło przerażenie.

– Poczekaj chwilę! – warknęła, wyrywając mu się. – Trzymaj ręce z dala ode mnie albo rozszczepię ci czaszkę. O co w tym wszystkim chodzi? Kim ty jesteś? Dokąd chcesz mnie zabrać?

Wziął się w garść i rzucając przelotne spojrzenia na wszystkie strony, zaczął mówić tak szybko, że jego słowa zlewały się ze sobą.

– Na imię mam Techotl. Jestem z Tecuhltli. Z tym mężczyzną, który leży z poderżniętym gardłem, przybyliśmy do Sal Ciszy, by spróbować zasadzić się na jakichś Xotalanców. Zostaliśmy jednak rozdzieleni, a powróciwszy tutaj, znalazłem go z rozplataną gardzielią. Zrobił to Płonąca Czaszka, wiem o tym. Tak jak byłby uśmiercił mnie, gdybyś go nie zabiła. Ale może nie był sam. Inni mogą skradać się tu z Xotalanc! Sami bogowie truchleją wobec losu tych, których tamci wezmą żywcem!

Na tę myśl zadygotał jak przy malarii, a jego ciemna skóra spopieliała. Zaintrygowana Valeria zmarszczyła brwi, patrząc na niego. Wyczuwała jakąś myśl w tym chaotycznym słowotoku, lecz dla niej był on bezsensowny. Obróciła się w stronę czaszki, która nadal jaśniała i pulsowała na podłodze, i sięgnął lekceważąco w jej kierunku obutą stopą, kiedy człowiek zwały się Techotlem skoczył naprzód z krzykiem.

– Nie dotykaj jej! Nawet na nią nie patrz! Czają się w niej śmierć i szaleństwo. Czarownicy Xotalanc pojęli jej tajemnicę... Znaleźli ją w katakumbach, gdzie zalegają kości straszliwych królów, którzy rządili w Xuchotl w czarnych wiekach przeszłości. Patrzenie na nią mrozi krew w żyłach i przyprawia o uwiąd umysł człowieka, który nie potrafi pojąć jej zagadki. Dotykanie jej powoduje obłąd i zatrącenie.

Niepewnie popatrzyła na niego spode łba. Z tą swoją chudą, poznaną węzłami mięśni sylwetką i wijącymi się puklami nie był postacią budzącą zaufanie. W jego oczach, poza blaskiem strachu, czaiło się niesamowite światło, którego nigdy nie

dostrzegą u człowieka o zdrowych zmysłach. Jednak zdawał się szczery w swym sprzeciwie.

– Chodź! – błagał, sięgając po jej dłoń, a potem cofając swoją, kiedy wspomniał jej ostrzeżenie. – Jesteś obca. Jak tu weszłaś, tego nie wiem, ale skoro jesteś boginią albo diabłem i przybyłaś z pomocą Tecuhltim, dowiesz się wszystkich rzeczy, o które mnie pytasz. Musisz być spoza wielkiej puszczy, skąd to przybyli nasi przodkowie. Ale ty jesteś naszą przyjaciółką, bo inaczej nie zabiłabyś mego wroga. Chodź prędko, zanim Xotalancowie odnajdą nas i zabiją!

Odrywając wzrok od jego odstręczającej, roznamiętnionej twarzy, obrzuciła spojrzeniem złowrogą czaszkę żarzącą się i jaśniejącą obok martwego mężczyzny. Była niczym czaszka oglądana we śnie, niezaprzeczalnie ludzka, jednak niepokojąco spaczona i zdeformowana w swym obrysie i kształcie. Za życia jej posiadacz musiał prezentować wygląd obcy i potworny. Życia? Ona, zdawało się, żyła swego rodzaju własnym życiem. Jej szczęki rozwarły się ku dziewczynie i zatrzasnęły. Jej promieniowanie stało się jaśniejsze, żywsze, jednak równocześnie narosło poczucie koszmaru; to sen; całe życie jest snem... Nagłący głos Techotla wyrwał ją z przyćmionych otchłani, w które ją zniosło.

– Nie patrz na czaszkę! Nie patrz na czaszkę! – Był to odległy krzyk spoza niezmierzonej pustki.

Valeria otrząsnęła się niczym lew potrząsający grzywą. Wzrok się jej oczyścił.

Techotl trajkotał:

– Za życia mieściła straszny umysł króla magów! Nadal zachowuje życie oraz płomień magii dobytej z zewnętrznych

przestrzeni!

Valeria z przekleństwem skoczyła zwinnie jak pantera i od uderzenia jej miecza czaszka roztrzaskana została na płonące kawałeczki. Gdzieś w pomieszczeniu bądź w pustce albo w przyćmionych krawędziach jej świadomości wykrzyknął w bólu i gniewie jakiś nieludzki głos.

Dłoń Techotla szarpała jej ramię, a on sam trajkotał:

– Rozbiłaś ją! Zniszczyłaś! Wszystkie czarne sztuki Xotalanc nie zdołają jej odtworzyć! Chodź stąd! Chodź stąd teraz prędko!

– Ale nie mogę pójść – zaprotestowała. – Mam tu gdzieś w pobliżu przyjaciela...

Błysk w jego oczach przerwał jej w pół słowa – patrzył obok niej, a wyraz jego twarzy stał się upiorny. Odwróciła się gwałtownie, akurat gdy wpadło czterech mężczyzn – każdy innymi drzwiami – zbiegając się ku parze pośrodku komnaty.

Byli podobni do innych, których widziała wcześniej – te same zawężlone mięśnie wybrzuszone na wychudłych członkach, te same mizerne, błękitnoczarne włosy, ten sam obłądny blask w szeroko rozwartych oczach. Odziani byli i uzbrojeni tak jak Techotl, ale na piersiach wszystkich wymalowano białą czaszkę.

Nie było wyzwania czy wojennych okrzyków. Mężczyźni z Xotalanc, niby oszalałe od krwi tygrysy, rzucili się swym wrogom do gardeł. Techotl stanął przeciw nim z furią i desperacją, przysiadł pod świszczącym ostrzem o szerokiej głowni, zwał się z jego posiadaczem i obalił go na podłogę, gdzie zaczęli toczyć się i mocować w morderczej ciszy.

Pozostali trzej ruszyli chmarą na Valerię, ich niesamowite oczy były czerwone jak u oszalałych psów.

Zabiła pierwszego, który wszedł w jej zasięg, nim ten zdołał zadać cios; długie, proste ostrze rozszczepiło mu czaszkę w tej samej chwili, kiedy do uderzenia wznosił własną broń. Krokiem w bok uniknęła pchnięcia i równocześnie sparowała cięcie. Jej spojrzenie płąsało, a usta śmiały się, pozbawione litości. Znów stała się Valerią z Czerwonego Bractwa i brzęk stali był dla niej niczym pieśń weselna.

Jej broń wystrzeliła obok ostrza, które usiłowało ją sparować, i zagłębiła się na sześć cali w osłoniętej skórą przeponie. Mężczyzna wydał ostatnie tchnienie i padł na kolana, lecz jego wysoki partner rzucił się ku niej w srożej ciszy, zadając cios za ciosem tak wściekle, że Valeria nie miała możliwości go skontrolować. Krok po kroku cofała się spokojnie, parując ciosy i wypatrując swej szansy na dojście do celu. Tamten nie mógł długo podtrzymać tego młócającego wiru. Jego ramię się zmęczyło, zabraknie mu tchu; osłabnie, zachwieje się, a wtedy jej ostrze wślizgnie się gładko w jego serce. Rzut oka w bok ukazał jej Techotla klęczącego na piersi wroga i usiłującego uwolnić nadgarstek z chwytu tamtego, by sztyletem trafić w cel.

Pot perlił się na czole mierzącego się z nią mężczyzny, a jego oczy były niczym płonące węgle. Rażąc w ten sposób, nie był w stanie przełamać ani zbić jej zasłon. Zaczął nabierać tchu świszczącymi haustami, a ciosy poczęły spadać nieregularnie. Wykonała krok wstecz, żeby się odsłonić, i poczuła, jak na jej udach zamyka się żelazny uścisk. Zapomniała o rannym mężczyźnie na podłodze.

Klęcząc, zamykał oba ramiona wokół jej nóg, a jego partner zarechotał z tryumfem i począł iść dookoła, by zająć ją z lewej strony. Valeria szarpała się i wyrywała dziko, lecz na próżno.

Mogła uwolnić się od tego przywierającego do niej niebezpieczeństwa jednym śmignięciem miecza, ale w tej samej chwili ostrze wysokiego wojownika roztrzaskałoby jej czaszkę. Ranny mężczyzna zaczął szarpać jej nagie udo zębami niczym dzika bestia.

Sięgnęła w dół lewą ręką i chwyciwszy mocno jego długie włosy, odciągnęła mu głowę tak, że białe zęby i wywracające się oczy błyszcząły w górę ku niej. Wysoki Xotalanc wykrzyknął dziko i skoczył, poruszając ramieniem z całą wściekłością. Niezręcznie sparowała cios, który zbił płazem jej ostrze na jej głowę, tak że ujrzała iskry migoczące przed oczami i zachwiała się. Broń tamtego znów poszła w górę z niskim, podobnym do zwierzęcego okrzykiem tryumfu... gdy nagle za Xotalankiem zamajaczyła jakaś olbrzymia postać, a stał błysnęła niczym zygzak błękitnej błyskawicy. Okrzyk wojownika urwał się w połowie i padł on jak wół pod rzeźnickim toporem – jego mózg wytrysnął z czaszki, która została rozszczepiona aż po gardło.

– Conan! – wydyszała Valeria. Z pasją zwróciła się do Xotalanca, którego długie włosy nadal ścisnęła w lewej dłoni: – Psie z piekła! – Jej ostrze świsnęło, przecięło powietrze rozmazanym po drodze, wznoszącym się łukiem i bezgłowe ciało padło, tryskając krwią. Cisnęła odciętą głowę przez pomieszczenie.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – Conan z szerokim mieczem w dłoni przekroczył zwłoki człowieka, którego zabił, ze zdziwieniem rozglądając się gniewnie.

Techotl właśnie powstawał znad drgającego ostatniego Xotalanca, strząsając czerwone krople ze swego sztyletu. Krwawił od głębokiego dźgnięcia w udo. Zapatrzył się na Conana

rozszerzonymi oczami.

– Co to wszystko znaczy? – Conan znów zażądał odpowiedzi, nie otrząsnąwszy się jeszcze, oszołomiony i zaskoczony, iż znalazł Valerię włączoną w dziką bitwę z tymi dziwacznymi postaciami w mieście, które uważał za puste i niezamieszkane. Powracając z bezcelowej wyprawy po górnych komnatach, aby odnaleźć Valerię, która zniknęła z pomieszczenia, gdzie ją zostawił, podążał za odgłosami walki, jakie ku jego zdumieniu wybuchły mu w uszach.

– Pięć martwych psów! – wykrzyknął Techotl, a w jego płonących oczach odbijało się upiorne uniesienie. – Pięciu zabitych! Pięć szkarłatnych ćwieków dla czarnego słupa! Bogom krwi niech będą dzięki!

Wzniósł ręce wysoko, a potem, z obliczem demona, splunął na zwłoki i przydepnął im twarze, tańcząc w makabrycznej uciechu. Jego niedawni sprzymierzeńcy przyglądali mu się w zdumieniu, a Conan spytał w języku aquilońskim:

– Kim jest ten szaleniec?

Valeria wzruszyła ramionami.

– Mówi, że ma na imię Techotl. Z tej paplaniny wnoszę, że jego lud mieszka na jednym końcu tego zwariowanego miasta, a ci pozostali na drugim. Może lepiej chodźmy z nim. Wydaje się nastawiony przyjaźnie, a łatwo dostrzec, że ten drugi klan taki nie jest.

Techotl przestał tańczyć i ponownie nasłuchiwał jak pies, z głową przechyloną na bok. Na jego odstręczającym obliczu tryumf walczył ze strachem.

– Chodźcie stąd, teraz! – wyszeptał. – Dość już zrobiliśmy! Pięć martwych psów! Mój lud was przyjmie! Uczci was! Ale chodźcie!

Do Tecuhtli jest daleko. W każdej chwili Xotalancowie mogą spaść na nas w liczbie zbyt wielkiej nawet dla waszych ostrzy.

– Idź przodem – burknął Conan.

Techotl natychmiast wspiał się na klatkę schodową wiodącą na galerię, skinąwszy na nich, by podążyli jego śladem, co uczynili, ruszając bystro, żeby utrzymać się za nim. Ten, osiągnąwszy galerię, zagłębił się w drzwi, które otwierały się na zachód, i pospieszył przez komnaty – wszystkie oświetlone przez świetliki zielonych ogniokamieni.

– Co to może być za miejsce? – mruknęła Valeria pod nosem.

– Crom wie! – odrzekł Conan. – Ale widziałem już wcześniej podobnych do *niego*. Mieszkają na brzegach jeziora Zuad, blisko granicy Kush. Są swego rodzaju mieszancami Stygijczyków i innej rasy, która przywędrowała do Stygii ze wschodu parę wieków temu i została przez nich wchłonięta. Zwą ich Tlazitlanami. Chociaż skłonny jestem się założyć, że nie oni zbudowali to miasto.

Strach Techotla zdawał się nie maleć, w miarę jak oddalali się od komnaty, gdzie zalegli martwi mężczyźni. Stale wykręcał głowę, by nasłuchiwać odgłosów pościgu, i wpatrywał się z palącą intensywnością w każde przejście, jakie mijali.

Na przekór sobie Valeria drżała. Nie bała się ludzi. Jednak niesamowita posadzka pod stopami, nieziemskie klejnoty nad głową, oddzielające je majzące cienie, ukradkowy krok i przerożenie ich przewodnika zrodziły w niej nienazwaną obawę, odczucie czyjś przyzajenia, nieludzkiego zagrożenia.

– Mogą być między nami a Tecuhtli! – wyszeptał w pewnej chwili. – Musimy się ich wystrzegać, bo mogli przyzaić się w ukryciu.

– Czemu nie wyjdziemy z tego piekielnego pałacu i nie skorzystamy z ulic? – dopytywała Valeria.

– W Xuchotl nie ma ulic – odrzekł – ani placów czy otwartych dziedzińców. Całe miasto zostało zbudowane niczym jeden olbrzymi pałac pod jednym wielkim dachem. Czymś najbliższym ulicy jest Wielki Hol, który przecina miasto od bramy północnej do bramy południowej. Jedynymi drzwiami otwierającymi się na świat zewnętrzny są miejskie bramy, jednakże żaden człowiek nie przekroczył ich od pięćdziesięciu lat.

– Jak długo tu mieszkacie? – spytał Conan.

– Ja urodziłem się w zamku Tecuhtli trzydzieści pięć lat temu. Nigdy nie postawiłem stopy poza miastem. Na miłość boską, idźmy cicho! Te sale mogą być pełne przyczajonych diabłów. Olmec opowie wam o wszystkim, gdy dotrzemy do Tecuhtli.

Przemykali zatem dalej w ciszy, zielone ogniokamienie mrugały im nad głowami, a płomienna posadzka żarzyła się pod stopami. Valerii zdało się, że umykają przez piekło, prowadzeni przez ciemnoskórego chochlika o mizernych włosach.

Conan jednak zatrzymał ich, kiedy przechodzili przez niezwykle rozległą komnatę. Jego wykształcony w dziczy słuch był lepszy nawet od słuchu Techotla wyostrzonego przecież przez życie wypełnione wojaczką w tych cichych korytarzach.

– Uważasz, że twoi wrogowie mogą znajdować się przed nami, czekając w zasadzce?

– Grasują po tych pomieszczeniach w każdy czas – rzekł Techotl – tak jak my. Hole i komnaty pomiędzy Tecuhtli oraz Xotalanc to teren sporny, nieobjęty przez nikogo. Zwiemy je Salami Ciszy. Czemu pytasz?

– Ponieważ w komnacie przed nami znajdują się ludzie – odparł Conan. – Słyszałem brzęk stali o kamień.

Techotla znów opanowały drgawki i zacisnął zęby, aby powstrzymać szcęknięcie.

– Może to twoi przyjaciele? – podsunęła Valeria.

– Nie powinniśmy ryzykować – wydyszał i ruszył z szalonym ożywieniem. Skręcił w bok i prześliznął się wejściem po lewej do komnaty, z której wychodziła klatka schodowa z kości słoniowej, wijąc się w dół, w mrok.

– Prowadzi ona do nieoświetlonego korytarza pod nami! – syknął, a wielkie krople potu wystąpiły mu na czoło. – Tam także mogą się czaić. To wszystko wygląda na sztuczkę, aby nas tam wciągnąć. Jednak musimy podjąć ryzyko i założyć, że zastawili zasadzkę w pomieszczeniach na górze. Chodźcie prędko!

Cicho niczym zjawy zeszli po schodach i znaleźli się u wylotu korytarza ciemnego jak noc. Przyczaili się tam, przez chwilę nasłuchując, a potem wtopili się w czerń. Kiedy się przemieszczali, chwilami skóra cierpła Valerii na grzbiecie w oczekiwaniu na pchnięcie ostrza w ciemności. Wszak poza żelaznymi palcami Conana ściskającymi jej ramię nie miała poczucia fizycznej obecności swego towarzysza. Nie wydawał on też więcej dźwięków, niż uczyniłby to kot. Ciemność była absolutna. Jedną wyciągniętą ręką dotykała ściany i od czasu do czasu wyczuwała pod palcami drzwi. Wydawało się, że korytarz nie ma końca.

Nagle zaniepokoił ich pewien odgłos, jaki rozległ się za nimi. Skóra ścierpła Valerii na nowo, gdyż rozpoznała ciche otwieranie drzwi. Jacyś ludzie wyszli na korytarz za ich plecami. Również z tą myślą potknęła się na czymś, co, jak wyczuła, było ludzką czaszką.

Potoczyła się ona po podłodze z zatrważającym klekotem.

– Biegiem! – zaskowyczał Techotl z nutą hysterii w głosie i popędził w głąb korytarza niczym lecący duch.

Valeria znów poczuła, jak ręka Conana unosi ją i ciągnie w biegu za ich przewodnikiem. Conan nie widział w ciemności lepiej od niej, ale posiadał swego rodzaju instynkt, który czynił jego krok nieomylnym. Bez jego przewodnictwa i wsparcia upadłaby lub wpadła na ścianę. Pędzili w głąb korytarza, podczas gdy odgłos biegnących stóp był coraz to bliżej i bliżej, a wtedy Techotl wysapał:

– Tu są schody! Za mną, prędko! Och, prędko!

Jego dłoń wyłoniła się z ciemności i złapała Valerię za nadgarstek, kiedy ta potknęła się, oślepla, na stopniach. Poczuła, że jest na wpół wleczona, a na wpół unoszona w górę krętych schodów, kiedy Conan puścił ją i zwrócił się ku schodom. Jego uszy oraz instynkt mówiły mu, że nieprzyjaciel prawie siedzi im na karku. *A nie wszystkie dźwięki wydawały ludzkie stopy.*

Coś wlażyło po stopniach, wijąc się, coś, co ślizgało się, szeleściło i niosło ze sobą zimny powiew. Conan smagnął w dół swym wielkim mieczem i poczuł, jak ostrze wnika w coś, co mogło być ciałem oraz kością, po czym wrzyna się głęboko w schody pod spodem. Coś dotknęło jego stopy i schłodziło ją jak tchnienie mrozu, a potem ciemność pod nim zaburzyło straszliwe młócenie i smaganie i jakiś człowiek wykrzyknął w agonii.

W następnej chwili Conan popędził krętą klatką schodową i przez drzwi stojące otworem u jej szczytu.

Valeria i Techotl już tam byli, a Techotl zatrzasnął drzwi i z hukiem zasunął w poprzek nich rygiel – pierwszy, jaki Conan ujrzał, odkąd opuścili bramę zewnętrzną.

Potem mężczyzna odwrócił się i przebiegł przez dobrze oświetloną komnatę, do której weszli, a kiedy mijali drzwi po drugiej stronie, Conan zerknął wstecz i ujrzał drzwi jęczące, uginające się pod ogromnym ciśnieniem gwałtownego naporu z drugiej strony.

Chociaż Techotl nie zmniejszył prędkości ani ostrożności, zdawał się obecnie bardziej pewny siebie. Nabrał cech człowieka, który wszedł na znajome terytorium, mając przyjaciół na zawołanie.

Conan jednak odnowił jego przerażenie, pytając:

– Czym był ten stwór, z którym walczyłem na schodach?

– To ludzie z Xotalanc – odrzekł Techotl, nie oglądając się. – Powiedziałem ci, że te sale były ich pełne.

– To nie był człowiek – burknął Conan. – To coś pełzło i było zimne jak lód. Myślę, że rozciąłem to na pół. Spadło z powrotem na ludzi, którzy szli za nami, i w przedśmiertnych drgawkach musiało zabić jednego z nich.

Techotl szarpnął głową, jego twarz znów spopieliała. Spazmatycznie przyspieszył kroku.

– To był Pełzacz! Potwór, którego sprowadzili z katakumb, by im pomagał! Co to jest, tego nie wiemy, ale znajdowaliśmy własnych ludzi ohydnie przez niego zabitych. W imię Seta, pospieszajcie! Jeśli poddadzą mu nasz trop, będzie podążać za nami po samo wejście do Tecuhltli!

– Wątpię w to – mruknął Conan. – Na schodach zadałem mu słuszne cięcie.

– Pospieszajcie! Pospieszajcie! – jęczał Techotl.

Przebiegli przez rząd oświetlonych na zielono komnat, przecięli szeroki hol i zatrzymali się przed olbrzymimi spiżowymi wrotami.

Techotl stwierdził:
– To jest Tecuhltli!

III

LUD ZRODZONY Z WAŚNI



Techotl załomotał w spiżowe drzwi pięścią, a potem odwrócił się bokiem, tak że poprzez hol mógł obserwować tyły.

– Ludzie bywali rażeni przed tymi drzwiami, kiedy myśleli, że są bezpieczni – rzekł.

– Dlaczego nie otwierają drzwi? – spytał Conan.

– Patrzą na nas przez Oko – odparł Techotl. – Są skonsternowani waszym widokiem. – Podniósł głos i zawołał: – Otwórz drzwi, Xecelanie! To ja, Techotl, z przyjaciółmi z wielkiego świata za puszczą!... Otworzą – zapewnił swych sprzymierzeńców.

– Niech więc lepiej uczynią to szybko – powiedział ponuro Conan. – Słyszę coś pełzającego po podłodze za holem.

Techotl znów spopielał i zaatakował drzwi pięściami, wrzeszcząc:

– Otwórzcie, głupcy! Otwierać! Pełzacz depcze nam po piętach!

Kiedy zaczął walić i krzyczeć, wielkie spiżowe wrota uchyliły się bezgłośnie wstecz, odsłaniając ciężki łańcuch wiszący w poprzek wejścia, ponad którym przez chwilę jeżyły się groty włóczni, a zawzięte oblicza mierzyły ich baczenie. Potem łańcuch opuszczono, a Techotl w nerwowej gorączce chwycił mocno ręce swych przyjaciół i wręcz przeciągnął ich przez próg. Rzut oka przez ramię, akurat wówczas, gdy drzwi się zamykały, ukazał Conanowi przyćmiony długi hol i niewyraźnie zarysowany na drugim końcu węzowaty kształt, który wił się mozolnie i powoli – przelewające się długaśne cielsko o ciemnym odcieniu, którego ohydny łeb chwiał się i kiwał. Potem zamykające się drzwi odcięły ten widok.

Wewnątrz kwadratowej komnaty, do której weszli, zaciągnięto w poprzek drzwi ciężkie rygle, a łańcuch umieszczono na swoim miejscu. Drzwi wykonano tak, by oparły się taranującemu naporowi. Na straży stało czterech mężczyzn o tak samo mizernych włosach, ciemnoskórego typu jak Techotl, z włóczniami w dłoniach i mieczami u boku. W ścianie blisko drzwi znajdowało się

skomplikowane urządzenie ze zwierciadeł – jak domyślił się Conan, owo Oko, o którym wspominał Techotl – tak rozmieszczonych, że przez wąską, zabudowaną krystaliczną taflą szczelinę w murze można było wyrzeć ze środka, nie będąc dostrzeżonym z zewnątrz. Czterech strażników przypatrywało się obcym ze zdumieniem, ale nie zadawało żadnych pytań; Techotl też nie raczył udzielić im informacji. Poruszał się teraz ze swobodą i pewnością siebie, jak gdyby w chwili przekroczenia progu zrzucił ciężar niezdecydowania i strachu.

– Chodźcie! – poganiał swych nowo poznanych przyjaciół, lecz Conan spojrzął przelotnie w stronę drzwi.

– A co z typami, którzy szli za nami? Nie spróbują szturmować tych drzwi?

Techotl pokręcił głową.

– Wiedzą, że nie są w stanie wyłamać Wrót Orła. Umkną z powrotem do Xotalanc ze swym pełzającym demonem. Chodźcie! Zabiorę was do władców Tecuhtli.

Jeden z czterech strażników otworzył wrota naprzeciw tych, którymi weszli, i przez nie dostali się na korytarz, który, jak większość pomieszczeń na tym poziomie, oświetlony był zarówno szczelinopodobnymi świetlikami, jak i kiściami mrugających ogniokamieni. Jednak w przeciwieństwie do pomieszczeń, jakie wcześniej przebyli, ta sala wykazywała dowody zamieszkania. Aksamitne tapiserie zdobiły połyskujące nefrytowe ściany, puszyste chodniki na szkarłatnych posadzkach oraz siedziska z kości słoniowej, ławy i leżanki wyściełane były atlasowymi poduszkami.

Hol kończył się zdobnymi wrotami, przed którymi nie było straży. Bezceremonialnie Techotl pchnął je i wprowadził swych

przyjaciół do obszernej komnaty, gdzie mniej więcej trzydziestka ciemnoskórych mężczyzn i kobiet zalegających leniwie na obitych atłasem otomanach zerwała się z okrzykiem zadziwienia.

Wszyscy mężczyźni z wyjątkiem jednego byli tego samego typu co Techołl, a kobiety równo ciemne, o dziwnych oczach, chociaż niebrzydkich w jakiś niesamowity, mroczny sposób. Nosiły sandały, złote płytki napierśne i skąpe jedwabne spódniczki podtrzymywane paskami nabitymi szlachetnymi kamieniami, a czarne włosy, przycięte prosto u nagich ramion, ściągnięte miały srebrnymi obręczami.

Na szerokim siedzisku z kości słoniowej siedzieli na nefrytowym podwyższeniu mężczyzna i kobieta, którzy delikatnie różnili się od pozostałych. On był olbrzymem o potężnie sklepionej piersi i ramionach byka. Inaczej niż reszta, był zarośnięty gęstą, błękitnoczarną brodą, która opadała prawie do jego szerokiego pasa. Nosił szatę z purpurowego jedwabiu, który przy każdym ruchu błyszczał odmiennym odcieniem, a jeden z rękawów, podciągnięty po łokieć, odsłaniał przedramię ze sznurami mięśni. Opaska, która podtrzymywała jego błękitnoczarne pukle, opatrzona została połyskującymi klejnotami.

Kiedy obcy weszli, kobieta obok niego zerwała się na równe nogi z okrzykiem zaskoczenia, a jej spojrzenie, przebiegłszy po Conanie, utkwilo z palącą intensywnością w Valerii. Była wysoka, smukła, zdecydowanie najpiękniejsza kobieta w pomieszczeniu. Odziana była nawet jeszcze bardziej skąpo niż pozostali, gdyż zamiast spódniczki miała na sobie ledwie szeroki pas wyszywanej złotem purpurowej tkaniny, upiętej pośrodku paska i opadającej poniżej kolan. Drugi pas materii u tyłu paska dopełniał tej części jej stroju,

który nosiła z cyniczną obojętnością. Płytki napierśne oraz obręcz na skroniach ozdobione były szlachetnymi kamieniami. W oczach, jako jedynej z całego ciemnoskórego ludu, nie czaił się ogarniający je blask obłądu. Po pierwszym okrzyku nie wypowiedziała ani słowa; stała pełna napięcia z zaciśniętymi dłońmi, wpatrując się w Valerię.

Mężczyzna na siedzisku z kości słoniowej nie powstał.

– Książę Olmecu – przemówił Techotl, kłaniając się nisko z wyciągniętymi przed siebie rękami i dłońmi zwróconymi wnętrzem ku górze. – Przywiodzę sprzymierzeńców ze świata za puszcza. W Komnacie Tezcotiego Płonąca Czaszka zabiła Chicmeca, mego towarzysza...

– Płonąca Czaszka! – Lud Tecuhtli przebiegł budzący dreszcz strachu szept.

– Tak jest! Potem nadszedłem i znalazłem Chicmeca leżącego z poderżniętym gardłem. Zanim zdołałem umknąć, dopadła mnie Płonąca Czaszka i kiedy na nią popatrzyłem, moja krew stała się niczym lód, a szpik mych kości się wytopił. Nie potrafiłem ani walczyć, ani uciekać. Mogłem tylko oczekiwać na cios. Wtedy przybyła ta białoskóra kobieta i powaliła ją swym mieczem. Ha! Był nią jedynie pies z Xotalanc, z biało pomalowaną skórą i ożywioną czaszką pradawnego czarownika na głowie! Obecnie czaszka leży w wielu kawałkach, a pies, który ją nosił, jest martwy!

W ostatnim zdaniu pojawiło się gwałtowne uniesienie nie do opisanego, a odpowiedziały mu ciche, dzikie okrzyki tłoczących się słuchaczy.

– Ale czekajcie! – wykrzyknął Techotl. – Jest jeszcze coś! Podczas gdy rozmawiałem z kobietą, dopadło nas czterech Xotalanców!

Jednego ja zabiłem... Kłuta rana w moim udzie niech poświadczy, jak desperacka była to walka. Dwóch zabiła kobieta. Byliśmy wszelako przyparci do muru, kiedy ten mąż włączył się do walki i rozszczepił czerep czwartego! Tak jest! Pięć szkarłatnych ćwieków ma zostać wbitych w słup zemsty!

Wskazał czarną kolumnę z hebanu, która stała za podwyższeniem. Setki czerwonych kropek kaleczyło jej połyskującą powierzchnię – jasnoszkarłatne łebki ciężkich miedzianych ćwieków wbitych w czarne drewno.

– Pięć czerwonych ćwieków za pięć żywotów Xotalanców! – entuzjazmował się Techotl, a straszliwe uniesienie na twarzach słuchaczy uczyniło je nieludzkimi.

– Kim są ci ludzie? – zapytał Olmec; jego głos brzmiał niczym ciche, głębokie huczenie odległego byka. Nikt z ludu Xuchotl nie przemawiał głośno. Było tak, jak gdyby wchłonęli w swe dusze ciszę pustych holów i opustoszałych komnat.

– Ja jestem Conan Cimmeryjczyk – odrzekł zwięźle barbarzyńca.
– Ta kobieta to Valeria z Czerwonego Bractwa, aquilońska piratka. Jesteśmy dezertarami z armii na granicy Darfaru, daleko na północy, i próbujemy dotrzeć na wybrzeże.

Kobieta na podwyższeniu przemówiła głośno, jej słowa złały się od pośpiechu.

– Nigdy nie dotrzecie na wybrzeże! Z Xuchotl nie ma ucieczki! Spędzicie resztę swego życia w mieście!

– Co masz na myśli? – warknął Conan, uderzając dłonią w rękojęść. Stał tak, aby jego twarz była zwrócona zarówno do podwyższenia, jak i reszty komnaty. – Powiadasz nam, że jesteśmy więźniami?

– Ona nie to miała na myśli – wtrącił Olmec. – Jesteśmy waszymi przyjaciółmi. Nie powstrzymamy was wbrew waszej woli. Boję się jednak, że inne okoliczności mogą sprawić, iż opuszczenie Xuchotl przez was będzie niemożliwe. – Na mgnienie oka obrzucił Valerię spojrzeniem i opuścił szybko oczy. – Ta kobieta to Tascela – powiedział. – Jest księżniczką Tecuhltli. Niechże jednak przyniosą naszym gościom jedzenie i picie. Niewątpliwie są głodni i znużeni po długiej podróży.

Wskazał stół z kości słoniowej, przy którym po wymianie szybkich spojrzeń usadowiło się dwoje awanturników. Cimmeryjczyk pozostawał podejrzliwy. Dzikie niebieskie oczy błędziły po komnacie, a miecz trzymał blisko, pod ręką. Jednak zaproszeniu do jedzenia i picia nigdy nie odmawiał. Jego wzrok zbłądził ku Tasceli, lecz księżniczka wpatrywała się wyłącznie w białoskórą towarzyszkę Conana.

Techotl przewiązał zranione udo paskiem jedwabiu i zajął miejsce przy stole, by spełniać zachcianki swych przyjaciół, uważając dbanie o ich potrzeby za przywilej i zaszczyt. Badał jedzenie i picie, jakie pozostali przynosili w złotych naczyniach i misach, a także smakował wszystko, zanim umieścił przed gośćmi. Podczas gdy ci jedli, Olmec siedział w milczeniu na swym siedzisku z kości słoniowej, obserwując ich spod obfitych czarnych brwi. Tascela siedziała obok niego z głową w dłoniach i łokciami spoczywającymi na kolanach. Jej ciemne, zagadkowe oczy płonące tajemniczym blaskiem na chwilę nawet nie opuszczały gibkiej postaci Valerii. Zza jej siedziska posępna przystojna dziewczyna wachlowała ją w powolnym rytmie wachlarzem ze strusich piór.

Jedzenie stanowiły owoce jakiegoś egzotycznego gatunku,

nieznane wędrowcom, lecz bardzo apetyczne, a do picia było lekkie szkarłatne wino, które wydzielało uderzający do głowy ostry aromat.

– Przybyliście z bardzo daleka – odezwał się w końcu Olmec. – Czytałem księgi naszych ojców. Aquilonia leży za ziemiami Stygijczyków i Shemitów, za Argos i Zingarą, a Cimmeria leży za Aquilonią.

– Oboje jesteście łązęgami – odparł Conan beztrąsko.

– Jak zdołaliście przedostać się przez puszcę, to mnie zdumiewa – oznajmił Olmec. – Za dni dawno minionych tysiąc wojowników było w stanie ledwie wyróżnić sobie drogę pośród jej niebezpieczeństw.

– Napotkaliśmy jakąś potworność rozmiarów mastodonta na rozlazłych łapach – stwierdził Conan niedbale, podstawiając swój puchar na wino, który Techotl napełnił z widoczną przyjemnością.

– Ale kiedy ją zabiliśmy, nie mieliśmy dalej kłopotów.

Naczynie z winem wysliznęło się z dłoni Techotla, by trzasnąć o podłogę. Jego smągła skóra poszarzała. Olmec zerwał się z miejsca – posąg oszołomionego zdumienia – a ciche tchnienie podziwu albo przerażenia dobyło się z piersi pozostałych. Niektórzy osunęli się na kolana, jak gdyby nogi nie zdołały ich utrzymać. Tylko Tascela zdawała się nie słyszeć. Conan rozejrzał się zdezorientowany.

– O co chodzi? Coście tak rozdziawili gęby?

– Wy... Wy zabiliście smokoboga?

– Boga? Zabiłem smoka. Czemu nie? Próbowałem nas zeżreć.

– Ale smoki są nieśmiertelne! – wykrzyknął Olmec. – Zabijają się nawzajem, lecz żaden człowiek nie zabił nigdy smoka! Tysiąc wojowników – naszych przodków, którzy wywalczyli sobie

przejście do Xuchotl – nie zdołało ich pokonać! Ich miecze łamały się na łuskach niczym gałązki!

– Gdyby wasi przodkowie wpadli na myśl, by umoczyć włócznie w trującym soku jabłek Derkety – oświadczył Conan z pełnymi ustami – i dźgać nimi w oczy, paszczę czy w podobne miejsca, zauważyliby, że smoki są tak samo nieśmiertelne jak każdy inny kawał wołowiny. Ścierwo leży przy skraju puszczy. Jeśli mi nie wierzysz, idź i sam zobacz.

Olmec pokręcił głową nie tyle z niewiarą, ile ze zdumieniem.

– To z powodu smoków nasi przodkowie obrali Xuchotl za schronienie – rzekł. – Nie ośmielali się przebyć równiny i zanurzyć w puszczy. Dziesiątkami byli chwytni i pożerani przez te potwory, nim zdołali dotrzeć do miasta.

– Zatem to nie wasi przodkowie zbudowali Xuchotl? – spytała Valeria.

– Było już pradawne, kiedy pierwsi przybyli na te ziemie. Jak długo tu stało, tego nawet jego zdegenerowani mieszkańcy nie wiedzieli.

– Wasz lud przybył znad jeziora Zuad? – dopytywał Conan.

– Tak jest. Ponad pół wieku temu plemię Tlazitlan zbuntowało się przeciwko stygijskiemu królowi i pokonane w bitwie, umknęło ku południu. Przez wiele tygodni wędrowało po trawiastych równinach, pustyni i wzgórzach, aż w końcu przybyło do wielkiej puszczy – tysiąc wojowników ze swymi kobietami oraz dziećmi. To tam, w puszczy, napadły ich smoki i rozerwały wielu na kawałki. Lud umykał więc przed nimi w gorączkowym strachu i w końcu wyszedł na równinę, i ujrzał miasto Xuchotl na jej środku. Rozbito obóz pod miastem, nie wążąc się opuścić równiny, gdyż noce

stawały się okropne od hałasów potworów walczących w puszczy. Nieustannie toczyły boje, jeden z drugim. Jednak nie wychodziły na równinę. Lud miasta zamknął bramy i z murów szył strzałami do naszych ludzi. Tlazitlanie zostali uwięzieni na równinie, jak gdyby pierścień puszczy był wielkim murem, albowiem zapuszczanie się w las byłoby szaleństwem. Owej nocy potajemnie przybył do ich obozu pewien niewolnik z miasta, jeden z ich krwi, który z grupą żołnierzy eksploratorów zawędrował do puszczy dużo wcześniej, kiedy był młodym człowiekiem. Smoki pożarły wszystkich jego towarzyszy, lecz on zdołał dostać się do miasta, by zamieszkać w nim jako niewolnik. Na imię miał Tolkemec. – Ogień błysnął w jego oczach na wspomnienie tego imienia, a niektórzy z ludu mruknęli nieprzyzwoicie i splunęli. – Obiecał otworzyć bramy przed wojownikami. Prosił tylko, żeby wszystkich wziętych jeńców dostarczono w jego ręce. O świcie otworzył bramy. Wojownicy wlali się chmarą i sale Xuchotl spłynęły krwią. Mieszkało tu ledwie parę setek ludzi: ginące resztki wielkiej niegdyś rasy. Tolkemec rzekł, iż przybyli oni ze wschodu, dawno, dawno temu, ze Starej Kosali, kiedy przodkowie tych, którzy teraz żyją w Kosali, nadeszli z południa i wyparli rdzennych mieszkańców tamtych ziem. Ci zawędrowali daleko ku zachodowi i ostatecznie znaleźli tę opasaną puszcza równinę zamieszkaną wtedy przez plemię ludzi czarnych. Ich to zniewolili i przymusili do budowy miasta. Ze wzgórz na wschodzie sprowadzili nefryt oraz marmur i lapis-lazuli, a także złoto, srebro i miedź. Stada słoni dostarczały im kości słoniowej. Kiedy miasto zostało ukończone, wybili wszystkich czarnych niewolników. A ich magowie poczynili straszliwe zaklęcia, by strzegły miasta; przez swe nekromanckie sztuki odtworzyli smoki,

które niegdyś zamieszkiwały tę zapomnianą ziemię, a których potworne kości odnaleźli w puszczy. Kości owe przybrali w ciało i życie, a żywe bestie zaczęły chodzić po ziemi, tak jak chodziły, kiedy Czas był jeszcze wczesny. Jednakże czarownicy utkali czar, który trzymał je w puszczy, i nie wychodziły na równinę.

Tak więc przez wiele wieków lud Xuchotl zamieszkiwał swe miasto, uprawiając żyzną równinę, aż jego mędrcy nauczyli się hodować owoce wewnątrz miasta – owoce, których nie sadi się w ziemi, ale które czerpią pożywienie z powietrza – a wtedy pozwolili rowom irygacyjnym wyschnąć i żyli w coraz to bardziej luksusowym lenistwie, aż dopadł ich rozkład. Byli rasą wymierającą, kiedy nasi przodkowie wyrwali się z puszczy i wyszli na równinę. Ich czarownicy pomarli, a lud zapomniał o starożytnej nekromancji. Nie potrafili już walczyć ani czarami, ani mieczem. Cóż, nasi ojcowie wybili lud Xuchotl, cały z wyjątkiem setki oddanej żywcem w ręce Tolkemeca, który wcześniej był ich niewolnikiem. I przez wiele dni i nocy te sale niosły się echem wrzasków agonii pod jego torturami. Tlazitlanie zamieszkali więc tutaj, przez chwilę w pokoju, rządzeni przez braci Tecuhtlięgo i Xotalanca oraz przez Tolkemeca. Tolkemec wziął dziewczynę z plemienia za żonę, a ponieważ otworzył bramy i poznał wiele sztuk Xuchotlanów, dzielił władzę nad plemieniem z braćmi, którzy poprowadzili rebelię oraz ucieczkę. Przez kilka lat mieszkali wówczas w pokoju w mieście, robiąc niewiele oprócz jedzenia, picia i uprawiania seksu, a także wychowywania dzieci. Nie było potrzeby uprawy równiny, gdyż Tolkemec nauczył ich hodować żywiące się powietrzem owoce. Ponadto zabicie Xuchotlanów przełamało czar, który trzymał smoki w puszczy, i przyłąziły

nocami, by ryczeć u bram miasta. Równina spłynęła krwią od toczonej przez nie wiecznie wojny, a było to wtedy, gdy... – Ugryzł się w język w połowie zdania.

Wkrótce kontynuował, ale Valeria i Conan poczuli, że powstrzymał się przed przyznaniem do czegoś, co uznał za niemądre.

– Pięć lat żyli w pokoju. Potem – spojrzenie Olmeca spoczęło na krótko na milczącej kobiecie u jego boku – Xotalanc wziął za żonę kobietę, której pragnęli zarówno Tecuhltli, jak i stary Tolkemec. Tecuhltli w swym szaleństwie wykradł ją mężowi. Tak jest, poszła całkiem chętnie. Tolkemec, na złość Xotalancowi, pomógł Tecuhltliemu. Xotalanc zażądał jej zwrotu, a rada plemienia postanowiła, że decyzję w tej kwestii winno się pozostawić kobiecie. Ta wybrała Tecuhltiego. W swej wściekłości Xotalanc usiłował odebrać ją siłą i stronnicy braci poczęli się wadzić w Wielkim Holu. Pojawiło się mnóstwo goryczy. Krew rozlana została po obu stronach. Kłótnia stała się waśnią, waśń otwartą wojną. Z tego zamętu wyłoniły się trzy frakcje: Tecuhltiego, Xotalanca oraz Tolkemeca. Już za dni pokoju podzielili oni miasto między siebie. Tecuhltli mieszkał w zachodniej jego części, Xotalanc we wschodniej, a Tolkemec ze swoją rodziną przy bramie południowej. Gniew, uraza i zazdrość zaowocowały przelewem krwi, gwałtem i mordem. Gdy raz dobyto miecza, nie było już odwrotu, gdyż krew wołała o krew, a zemsta podążała bystro śladem okrucieństwa, deptając mu po piętach. Tecuhltli walczył z Xotalankiem, a Tolkemec wspierał najpierw jednego, a potem drugiego, zdradzając obie frakcje tak, jak mu pasowało. Tecuhltli i jego ludzie wycofali się w rejon bramy zachodniej, gdzie teraz siedzimy. Xuchotl

zbudowane zostało w kształcie owalu. Tecuhtli, które przejęło swe miano od jego księcia, zajmuje zachodnią końcówkę tego owalu. Ludzie zablokowali wszystkie wrota łączące ten obszar z resztą miasta, z wyjątkiem jednych na każdym piętrze, które łatwo można obronić. Zeszli do lochów pod miastem i zbudowali mur odcinający zachodnią końcówkę katakumb, w których spoczywają ciała pradawnych Xuchotlanów oraz Tlazitlan zabitych podczas waśni. Zamieszkali tu jak w oblężonym zamku, czyniąc wycieczki i najazdy na swych wrogów. Ludzie Xotalanca podobnie umocnili wschodni obszar miasta, a Tolkemec uczynił tak samo z terenem przy bramie południowej. Środkowa część miasta pozostała pusta i niezamieszкана. Te opustoszałe hole i komnaty stały się polem bitwy i obszarem zawłaszczonym przez paniczny strach. Tolkemec wojował z oboma klanami. Był demonem w ludzkiej postaci, gorszym od Xotalanca. Znał wiele tajemnic miasta, o których nigdy nie powiedział pozostałym. W kryptach katakumb ograbił martwych z ich straszliwych tajemnic, tajemnic starożytnych królów i czarowników, dawno zapomnianych przez zdegenerowanych Xuchotlan, których zabili nasi przodkowie. Jednak cała jego magia nie pomogła mu tej nocy, kiedy my, Tecuhtli, uderzyliśmy na jego zamek i wyrzneliśmy wszystkich jego ludzi. Tolkemeca torturowaliśmy przez wiele dni.

Głos mu nabrzmiał pieśczośliwą przyganą, a w oczach zagościło odległe spojrzenie, jak gdyby patrzył wstecz poprzez lata na scenę, która sprawiała mu ogromną przyjemność.

– Tak jest, podtrzymywaliśmy w nim życie, dopóki nie wrzeszczał o śmierć jak o oblubienicę. W końcu zabraliśmy go żywego z komnaty tortur i rzuciliśmy do lochu, by szczury

ogryzały go, kiedy będzie umierał. Z tegoż lochu jakoś jednak zdołał uciec i dowlec się do katakumb. Tam bez wątpienia umarł, gdyż jedyna droga z katakumb poniżej Tecuhltli wiedzie przez Tecuhltli, a tą drogą nie wyszedł. Jego kości nigdy nie odnaleziono, bardziej przesądni wśród naszego ludu zaś przysięgają, że jego duch nawiedza tamte krypty po dziś dzień, zawodząc wśród kości umarłych. Dwanaście lat temu wyrzneliśmy ludzi Tolkemeca, lecz waśń między Tecuhltli i Xotalanc szalała dalej, jak szaleć będzie, aż ostatni mężczyzna i ostatnia kobieta będą martwi. Było to pięćdziesiąt lat temu, gdy Tecuhltli ukradł żonę Xotalanca. Pół wieku trwa już ta waśń. Ja urodziłem się w niej. Wszyscy w tej komnacie, z wyjątkiem Tasceli, się w niej urodzili. Spodziewamy się też w niej umrzeć. Jesteśmy rasą wymierającą, tak samo jak Xuchotlanie, których zabili nasi przodkowie. Kiedy wybuchła waśń, w każdej frakcji były po trzy setki. Teraz my, z Tecuhltli, liczymy tylko tylu, ilu widzicie przed sobą, plus mężczyzni, którzy strzegą wrót. Łącznie czterdziestu. Jak wielu jest Xotalanców, tego nie wiemy, ale wątpię, żeby byli wiele liczniejsi od nas. Przez piętnaście lat nie urodziło się nam żadne dziecko i żadnego nie widzieliśmy wśród Xotalanców. Wymieramy, lecz zanim umrzemy, zabijemy tylu ludzi z Xotalanc, ilu bogowie pozwolą.

Z płonącymi niesamowicie oczami Olmec przemawiał długo na temat owej straszliwej waśni toczonej w cichych komnatach i przyćmionych holach przy blasku zielonych ogniokamieni, na posadzkach żarzących się płomieniami piekieł, spryskiwanych ciemniejszym szkarłatem z rozciętych żył. W tej długotrwałej rzezi starto całe pokolenie. Xotalanc zginął dawno temu, zabity w ponurej bitwie na schodach z kości słoniowej. Tecuhltli zginął

obdarty żywcem ze skóry przez oszalałych Xotalanców, którzy go pojмали.

Olmec bez emocji opowiadał o odrażających bitwach toczonych w czarnych korytarzach, o zasadzkach na spiralnych schodach i o krwawych rzeziach. Z bardziej krwawym, bezdennym błyskiem w głębi ciemnych oczu prawił o mężczyznach i kobietach odzieranych żywcem ze skóry, okaleczanych i rozczłonkowsywanych, o jeńcach wyjątych na torturach tak upiornych, że budziły nawet pomruki barbarzyńskiego Cimmeryjczyka. Nic dziwnego, że Techotl drżał z przerażenia przed pojmaniem. Jednakże wyszedł stąd, aby zabijać, o ile zdoła, pchany przez nienawiść, która była mocniejsza od jego strachu. Olmec przemawiał dalej o mrocznych i zagadkowych sprawach, o czarnej magii i czarach wydobytych z czarnej nocy katakumb, o niesamowitych stworzeniach wywołanych z ciemności na przerażających sprzymierzeńców. W tym Xotalancowie mieli przewagę, gdyż to we wschodnich katakumbach spoczywały kości największych czarowników pradawnych Xuchotlan wraz z ich odwiecznymi sekretami.

Valeria słuchała z chorobliwą fascynacją. Waśń stała się straszną, pierwotną siłą pchającą mieszkańców Xuchotl nieuchronnie ku zagładzie i unicestwieniu. Wypełniała cały ich żywot. Urodzili się w niej i spodziewali się w niej umrzeć. Nigdy nie opuszczali swego odgrozonego zamku, z wyjątkiem wykradania się do Sal Ciszy, które leżały między przeciwnymi twierdzami, aby zabijać i zostać zabitym. Czasami zwiadowcy powracali z rozgorączkowanymi jeńcami czy z ponurymi dowodami zwycięstwa w walce. Czasami nie wracali wcale albo wracali jako odcięte członki rozrzucone pod zaryglowanymi spiżowymi wrotami. Ludzie ci wiedli upiorną,

nieprawdopodobnie koszmarną egzystencję, odcięci od reszty świata, pochwyceni niby wściekłe szczury w tę samą pułapkę, wyrzynając się nawzajem przez lata, czając się i skradając pozbawionymi słońca korytarzami, aby kaleczyć, dręczyć i mordować.

Podczas gdy Olmec przemawiał, Valeria czuła utkwione w siebie płomienne spojrzenie Tasceli. Księżniczka zdawała się nie słyszeć tego, co mówi Olmec. Wyraz jej twarzy, kiedy on snuł opowieść o zwycięstwach lub porażkach, nie odzwierciedlał dzikiego gniewu czy demonicznego uniesienia, jakie pojawiały się naprzemiennie na twarzach pozostałych Tecuhtlich. Waśń, która dla członków jej klanu stanowiła obsesję, dla niej wydawała się mało znacząca. Valeria uznała jej gruboskórną obojętność za bardziej odstręczającą od otwartej zjadłości Olmeca.

– I nie możemy nigdy opuścić miasta – rzekł Olmec. – Przez pięćdziesiąt lat nikt go nie opuścił, z wyjątkiem tych... – Znów się powstrzymał. – Nawet bez zagrożenia od smoków – kontynuował – my, którzy urodziliśmy się i wychowaliśmy w mieście, nie odważylibyśmy się go opuścić. Nigdy nie postawiliśmy stopy poza murami. Nie nawykliśmy do otwartego nieba i nieosłoniętego słońca. Nie, urodziliśmy się w Xuchotl i w Xuchotl pomrzemy.

– Dobra – odezwał się Conan – za waszym pozwoleniem podejmiemy walkę ze smokami. Ta waśń nie jest naszą sprawą. Jeśli pokażecie, jak dojść do bramy zachodniej, ruszymy własną drogą.

Dłonie Tasceli zacisnęły się i zaczęła mówić, lecz Olmec jej przerwał:

– Noc niemal zapadła. Jeśli powędrujecie na równinę nocą, zapewne padniecie ofiarą smoków.

– Przebyliśmy ją ubiegłej nocy i spaliśmy na dworze, nie widząc żadnego – rzekł Conan.

Tascela uśmiechnęła się niewesoło.

– Nie ośmielcie się opuścić Xuchotl!

Conan spojrzał na nią złym okiem z instynktowną wrogością, ona jednak nie patrzyła na niego, ale na kobietę naprzeciwko.

– Sądzę, że się ośmielą – odciął się jej Olmec. – Ale popatrzcie sami, Conanie i Valerio, to bogowie musieli nam was zesłać, by rzucić zwycięstwo na podolek Tecuhltlich! Jesteście zawodowymi wojownikami... Czemu nie mielibyście walczyć dla nas? Bogactwa mamy w obfitości... Drogocenne klejnoty są w Xuchotl równie powszechne jak kostki bruku w miastach świata. Niektóre Xuchotlanie przywieźli z Kosali. Inne, jak ogniokamienie, znaleźli na wzgórzach na wschodzie. Pomóżcie nam zetrzeć Xotalanców, a damy wam wszystkie klejnoty, jakie zdołacie udźwignąć.

– I pomożecie nam zgładzić smoki? – zapytała Valeria. – Z łukami i zatrutymi strzałami trzydziestu ludzi mogłoby wybić wszystkie smoki w puszczy.

– Tak jest! – odparł Olmec z miejsca. – Przez lata walki wręcz zapomnieliśmy, jak używać łuków, ale znów się nauczymy.

– A co ty powiesz? – Valeria zapytała Conana.

– Oboje jesteśmy włóczęgami bez grosza. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Mogę zabijać Xotalanców tak samo jak kogokolwiek innego.

– Zatem zgadzacie się? – wykrzyknął Olmec, podczas gdy Techotl popadł w zachwyty.

– Tak jest. A teraz oczekiwałbym, że pokażecie nam komnaty, gdzie możemy się przespać, tak byśmy jutro rześcy mogli

rozpocząć zabijanie.

Olmec przytaknął i machnął ręką, a Techotl oraz jakaś kobieta powiedli awanturników korytarzem, który wychodził przejściem na lewo od nefrytowego podwyższenia. Rzut oka w tył ukazał Valerii Olmeca siedzącego na swym tronie z głową na zamkniętej dłoni i patrzącego w ślad za nimi. Jego oczy płonęły niesamowitym ogniem. Tascela odchyliła się na swym siedzisku, szepcząc do Yasali, służki o posępnej twarzy, która pochylona, trzymała ucho przy poruszających się ustach księżniczki.

Korytarz nie był tak obszerny jak większość tych, które przemierzeli, był wszak długi. Wkrótce kobieta zatrzymała się, otworzyła drzwi i usunęła na bok przed Valerią, by ta weszła.

– Zaczekaj chwilę – warknął Conan. – A gdzie ja śpię?

Techotl wskazał komnatę po drugiej stronie korytarza, lecz o jedne drzwi dalej. Conan zawahał się i zdawał skłaniać ku wniesieniu sprzeciwu, lecz Valeria, uśmiechając się do niego złośliwie, zamknęła mu drzwi przed nosem. On zaś mruknął do siebie coś niepoehlebnego o kobietach i dumnym krokiem odszedł za Techotlem w głąb korytarza.

W zdobnej komnacie, w której miał spać, spojrzął w górę na szczelinowe świetliki. Niektóre były dość szerokie, żeby przepuścić szczupłego człowieka, zakładając, że szkło zostanie zbite.

– Dlaczego Xotalancowie nie przyjdą po dachach i nie roztrzaskają tych świetlików? – zapytał.

– Nie da się ich rozbić – odparł Techotl. – Ponadto po dachach trudno się wdrapywać. W większości to iglice, kopuły i strome wzniesienia.

Dobrowolnie udzielił więcej informacji o „zamku” Tecuhtli. Tak

jak reszta miasta, obejmował on cztery poziomy czy kondygnacje komnat z wieżami sterczącymi z dachu. Każda kondygnacja została nazwana; po prawdzie, lud Xuchotl miał nazwę dla wszystkich komnat, holów czy schodów w mieście, tak jak ludzie w zwyczajnych miastach oznaczają ulice i kwartały. W Tecuhltli piętra nazwano: Kondygnacją Orła, Kondygnacją Małpoluda, Kondygnacją Tygrysa oraz Kondygnacją Węża, w takiej kolejności, jak wyliczono. Kondygnacja Orła była najwyższym, czwartym piętrem.

– Kim jest Tascela? – zapytał Conan. – Żoną Olmeca?

Techotl wzdrygnął się i rozejrzył ukradkiem, zanim odpowiedział.

– Nie. Ona jest... Tascelą! Była żoną Xotalanca... Kobieta, którą Tecuhltli wykradli, wszczynając waśń.

– O czym ty mówisz? – dopytywał Conan. – Ta kobieta jest piękna i młoda. Próbujesz mi wmówić, że była czyjąś żoną pięćdziesiąt lat temu?

– Tak jest! Przysięgam! Była w pełni dojrzałą kobietą, kiedy Tlazitlanie wyruszyli znad jeziora Zuad. To przez to, że król Stygii pragnął mieć ją za konkubinę, Xotalanc i jego brat wszczęli bunt i umknęli w dzicz. Jest wiedźmą, która posiada sekret wiecznej młodości.

– Co nim jest? – zapytał Conan.

Techotl wzdrygnął się ponownie.

– Mnie nie pytaj! Nie odważę się o tym mówić. To zbyt straszne, nawet jak na Xuchotl!

I z palcem na ustach wyśliznął się z komnaty.



IV

WOŃ CZARNEGO LOTOSU



Valeria odpięła pas z mieczem i niewyjętą broń złożyła na pościeli, na którym miała spać. Zauważyła, że poszczególne drzwi

zaopatrzone zostały w rygle, i spytała, dokąd prowadzą.

– Te prowadzą do sąsiednich komnat – odparła kobieta, wskazując drzwi po prawej i lewej. – Te zaś – pokazała okute w miedz drzewi naprzeciw tych, które otwierały się na korytarz – prowadzą na korytarz, który biegnie do schodów wiodących do katakumb. Nie bój się. Nie spotka cię tu żadna krzywda.

– Kto mówi o strachu? – zachnęła się Valeria. – Po prostu chcę wiedzieć, w jakim porcie rzucam kotwicę. Nie, nie chcę, żebyś spała u stóp mego posłania. Nie jestem przyzwyczajona do obsługiwania... w każdym razie przez kobietę. Możesz odejść.

Gdy została sama, piratka zatrzasnęła rygle przy wszystkich drzwiach, kopniakiem pozbyła się butów i wyciągnęła komfortowo na posłaniu. Wyobraziła sobie Conana w podobnym położeniu po drugiej stronie korytarza, ale kobieca próżność podsunęła jej jego obraz jako gniewnie zmarszczonego i mamrocącego w upokorzeniu, gdy rzucał się na osobne posłanie, i uśmiechała się szeroko z radosną złośliwością, kiedy szykowała się do snu.

Na zewnątrz zapadła noc. W salach Xuchotl zielone ognioklejnoty jaśniały niczym ślepią prehistorycznych kotów. Gdzieś między ciemnymi wieżami nocny wiatr jęczał jak niespokojny duch. Ciemnymi przejściami, niczym bezcielesne cienie, poczęły przekradać się niezauważalne postacie.

Valeria zbudziła się nagle na swoim posłaniu. W przyciemnionej szmaragdowej poświacie ogniokamieni dostrzegła pochylającą się nad nią zacienioną postać. Przez chwilę zamroczenia zjawą wydawała się częścią snu, który śniła. Wydało się jej, że leży na posłaniu w komnacie, jak naprawdę leżała, podczas gdy nad nią pulsuje i tętni olbrzymie czarne kwiecie, tak ogromne, że zakrywa

sufit. Jego egzotyczny zapach przenikał jej istotę, wywołując rozkoszną, zmysłową omdlałość, która była czymś pomiędzy świadomością a snem. Zanurzała się w wonne opary tumaniącej błogości, kiedy coś dotknęło jej twarzy. Odurzone zmysły były nadzwyczaj czułe, tak że lekki dotyk był niczym potężny cios wyrywający ją brutalnie do pełnej przytomności. Potem zaś ujrzała nie monstrualne kwiecie, lecz stojącą nad sobą ciemnoskórą kobietę.

Ze świadomością nadeszły gniew i natychmiastowe działanie. Kobieta odwróciła się zwinnie, ale nim zdołała uciec, Valeria już była na nogach i złapała ją za rękę. Tamta walczyła przez chwilę jak żbik, a potem ustąpiła, kiedy poczuła się zgnieciona przeważającą siłą swej prześladowczyni. Piratka szarpnęła ją i obróciła twarzą do siebie, wolną ręką złapała za podbródek i zmusiła do spojrzenia w oczy. Była to owa posepna Yasala, służka Tasceli.

– Co, u diabła, robiłaś, schylając się nade mną? Co masz w ręce?

Kobieta nie odpowiedziała, lecz usiłowała odrzucić tę rzecz. Valeria wykręciła jej rękę, tak że znalazła się przed nią, a ów przedmiot upadł na podłogę – wielki, czarny egzotyczny kwiat na nefrytowozielonej łodydze, z całą pewnością rozmiaru głowy kobiety, lecz maleńki wobec przesadnej wizji, jaką miała wcześniej.

– Czarny lotos! – wycedziła Valeria przez zęby. – Kwiat, którego woń przynosi głęboki sen. Próbowalaś mnie otumanić! Gdybyś przypadkiem nie dotknęła mej twarzy płatkami, udałoby ci się... Czemu to robisz? Jaką grę prowadzisz?

Yasala utrzymywała posepne milczenie, a Valeria z przekleństwem obróciła ją gwałtownie dookoła, zmusiła do ukłęknięcia i wykręciła jej rękę za plecami.

– Gadaj albo wyrwę ci rękę ze stawu!

Yasala wiała się w udreće, kiedy jej ramię zostało potwornie wywinięte między łopatki, lecz gwałtowne potrząsanie głową stanowiło jedyną odpowiedź.

– Ty wywłoko! – Valeria odepchnęła ją tak, iż padła na podłogę. Piratka wpatrywała się w leżącą na brzuchu postać jaśniejącymi oczyma. Zbudziły się w niej strach oraz wspomnienie płomiennych oczu Tasceli, ożywiając wszystkie jej tygrysie instynkty samozachowawcze. Ten lud był dekadentcki; pośród niego można się było spodziewać wszelkiego rodzaju perwersji. Jednak Valeria wyczuwała tu coś, co nie było widoczne, jakieś tajemnicze zastraszenie paskudniejsze od powszechnej degeneracji. Ogarnęły ją strach i odraza do tego dziwnego miasta. Ci ludzie nie byli ani rozumni, ani normalni. Zaczynała nawet wątpić, czy byli ludźmi. Szaleństwo tłące się w oczach ich wszystkich... Wszystkich z wyjątkiem okrutnych, tajemniczych oczu Tasceli, które zawierały sekrety i zagadki głębsze niżli obłąd.

Uniosła głowę i nasłuchiwała bacznie. Sale Xuchotl były tak ciche, jak gdyby to miasto naprawdę wymarło. Zielone klejnoty zalewały komnatę koszmarną poświatą, w której zwrócone ku niej oczy kobiety na podłodze błyszcząły niesamowicie. Dreszcz paniki przeniknął Valerię, wypierając resztki litości z jej zapalczywej duszy.

– Dlaczego próbowałaś mnie otumanić? – burknęła, chwytając mocno kobietę za czarne włosy i odginając jej głowę do tyłu, by spojrzeć w posepne oczy o długich rzęsach. – Czy to Tascela cię tu przysłała?

Brak odpowiedzi. Valeria zakląła siarczyście i uderzyła kobietę otwartą dłonią najpierw w jeden policzek, a potem w drugi. Ciosy

rozbrzmiały echem w pomieszczeniu, lecz Yasala nie wydała z siebie okrzyku.

– Czemu nie wrzeszczysz? – dopytywała wściekle Valeria. – Boisz się, że ktoś cię posłyszyci? Kogóż się boisz? Tasceli? Olmeca? Conana?

Yasala nie odpowiedziała. Skuliła się, obserwując swą prześladowczynię oczami złowrogimi jak u bazyliuszka. Uparte milczenie zawsze podsycaci gniew. Valeria obróciła się i oderwała garść sznurów z pobliskiej zasłony.

– Ty nadęta wywłoko! – wycodziła przez zęby. – Zamierzam obedrzeć cię zupełnie do naga, przywiązać do tej leżanki i batożyć, póki nie powiesz mi, co tutaj robisz i kto cię przysłał!

Yasala nie zaprotestowała ani też nie stawiała oporu, kiedy Valeria wypełniła pierwszą część swej groźby z furją, która tylko zaostrzyła upór branki. Potem przez pewien czas w komnacie nie rozlegały się żadne dźwięki z wyjątkiem odgłosów uderzeń ściśle splecionych jedwabnych sznurów o nagie ciało. Yasala nie mogła poruszać mocno spętanymi rękoma i nogami. Jej ciało wiło się i drżało pod chłostą, głowa kiwała się z boku na bok w rytm razów. Zęby zatopiła w dolnej wardze i w miarę wymierzania kary pojawiła się na niej strużka krwi. Nie krzyczała jednak.

Sprężyste sznury nie robiły wiele hałasu, gdy natrafiały na drżące ciało branki, jedynie ostry trzask, ale każdy z nich pozostawiał na ciemnej skórze Yasali krwawą pręgę. Valeria egzekwowała karę z całą siłą swego zahartowanego w boju ramienia, z całą bezlitosnością nabytą przez życie, w którym ból i udręka stanowiły codzienność, oraz z cyniczną pomysłowością, którą tylko kobieta może okazać kobiecie. Yasala cierpiała fizycznie i mentalnie

bardziej, niż cierpiałaby pod batogiem, którym władałby mężczyzna, nawet najsilniejszy.

To właśnie dodatek owego kobiecego cynizmu w końcu poskromił Yasalę.

Z jej ust dobyło się ciche kwilenie, a Valeria przerwała z uniesionym ramieniem i odgarnęła w tył wilgotny blond pukiel.

– Dobra, będziesz gadać? – dopytywała. – Mogę tak całą noc, jeśli potrzeba.

– Litości! – wyszeptała kobieta. – Powiem.

Valeria odcięła sznury przy jej nadgarstkach i kostkach i postawiła ją na nogi. Yasala osunęła się na posłanie, na wpeł leżąc na nagim biodrze, wspierając się na rękę i rzucając przy zetknięciu zboląłego ciała z pościelą. Drżał każdy z jej członków.

– Wina! – błagała spierzchniętymi ustami, wskazując drżącą ręką złote naczynie na stole z kości słoniowej. – Daj mi się napić. Osłabłam z bólu. Wtedy ci powiem.

Valeria podała jej naczynie, a Yasala powstała niepewnie, by je odebrać. Wzięła je, uniosła do ust... i wtem bluznęła zawartością wprost w twarz Aquilonki. Valeria zatoczyła się w tył, strząsając i ścierając piekący płyn z oczu. Przez szczypiącą mgłę spostrzegła, jak Yasala wystrzeliła przez pomieszczenie, odrzuciła rygiel, pchnęła okute miedzią drzwi i pobiegła korytarzem. Piratka natychmiast ruszyła za nią z dobytym mieczem i pragnieniem mordy w sercu.

Jednak Yasala miała przewagę i biegła pobudzona zręcznością kobiety, którą właśnie chłostano aż po granicę histerycznego szaleństwa. Minęła zakręt korytarza o jardy przed Valerią i kiedy piratka skręciła, ujrzała jedynie pusty hol, a na drugim jego końcu

ziejące czernią drzwi. Cuchnęło od nich wilgotną, zapleśniałą wonią i Valeria zadrżała. Musiały to być owe drzwi, które wiodły do katakumb. Yasala obrała schronienie między umarłymi.

Valeria podeszła do drzwi i spojrzała w dół kamiennych stopni, które niknęły prędko w zupełnej czerni. Najwyraźniej był to szyb, który prowadził prosto do lochów pod miastem, bez wyjść na niższych piętrach. Zadrżała nieznacznie na myśl o tysiącach zwłok zalegających tam, w dole, w swych kamiennych kryptach, owiniętych w butwiejące tkaniny. Nie miała zamiaru po omacku szukać drogi w dół po tych kamiennych stopniach. Yasala niewątpliwie znała każdy skręt podziemnych tuneli.

Już zawracała, wściekła i zawiedziona, kiedy z ciemności wzniósł się rozszlochany krzyk. Zdawał się dochodzić z wielkiej głębi, ale z trudem dało się rozróżnić ludzkie słowa, i był to głos kobiety.

– Och, na pomoc! Pomocy, w imię Seta! Aaach!

Krzyk rozpląnął się w dali, a Valeria pomyślała, że pochwyciła echo upiornego chichotu.

Poczuła, jak skóra jej cierpnie. Co przydarzyło się Yasali tam, w dole, w gęstych ciemnościach? Nie było wątpliwości, że to ona krzyczała. Ale jaka groza mogła ją spotkać? Jakiś Xotalanca czający się tam, na dole? Olmec zapewniał ich, że katakumby pod Tecuhtli zostały odgradzone murem od reszty zbyt solidnie, by ich wrogowie mogli się przedostać. Ponadto ten chichot wcale nie brzmiał jak ludzki.

Valeria pospieszyła z powrotem korytarzem, nie zatrzymując się, by zamknąć drzwi, które prowadziły na schody. Dotarłszy do swojej komnaty, zamknęła za sobą drzwi i zatrzasnęła rygiel. Naciągnęła buty i zapięła pas z mieczem. Była zdecydowana

dotrzeć do pomieszczenia Conana i nakłonić go – o ile nadal żyje – by przyłączył się do niej w próbie wyrąbania sobie wyjścia z tego miasta diabłów.

Jednak w chwili, gdy dotarła pod drzwi na korytarz, w salach rozległ się przeciągły wrzask agonii, a w ślad za nim tupot stóp oraz głośny szczęk mieczy.

V

DWADZIEŚCIA CZERWONYCH ĆWIEKÓW



Dwóch wojowników rozsiadło się w wartowni na piętrze znanym jako Kondygnacja Orła. Ich zachowanie było swobodne, chociaż zwyczajowo czujne. Zawsze istniała możliwość ataku z zewnątrz na wielkie spiżowe wrota, lecz przez wiele lat takiego szturmu nie podejmowano z żadnej ze stron.

– Ci obcy są silnymi sprzymierzeńcami – rzekł jeden. – Uważam, że Olmec ruszy jutro na wroga.

Przemawiał tak, jak mógłby przemawiać człowiek na wojnie. W miniaturowym świecie Xuchotl każda garstka zwaśnionych stanowiła armię, a opustoszałe sale pomiędzy zamkami były krainą, w której toczyły swe kampanie.

Drugi zamyślił się na chwilę.

– Przypuśćmy, że z ich pomocą zniszczymy Xotalanców – odezwał się. – Co wtedy, Xatmecu?

– No – odrzekł Xatmec – wbijemy ćwieki za nich wszystkich. Jeńców spalimy, obedrzemy ze skóry i poćwiartujemy.

– Ale później? – drążył ten drugi. – Po tym, jak zabijemy ich wszystkich? Nie będzie to dziwne nie mieć wrogów, z którymi się walczy? Przez całe życie walczyłem i nienawidziłem Xotalanców. Kiedy waśń dobiegnie końca, co pozostanie?

Xatmec wzruszył ramionami. Jego myśli nigdy nie wybiegały poza zniszczenie nieprzyjaciół. Nie były w stanie wyjść poza to.

Nagle obaj mężczyźni zeszywnieli od hałasu, jaki rozległ się po zewnętrznej stronie wrót.

– Do drzwi, Xatmec – syknął ten, który odezwał się ostatni. – Ja popatrzę przez Oko...

Xatmec oparł się o spiżowe wierzeje z mieczem w dłoni, wyęzając słuch, by posłyszeć coś przez metal. Jego kolega spoglądał w zwierciadło. Drgnął spazmatycznie. Po drugiej stronie drzwi tłoczyli się mężczyźni – posępni mężczyźni o ciemnych twarzach, zaciskający miecze w zębach, z *palcami wciśniętymi w uszy*. Jeden, który nosił przybrane piórami nakrycie głowy, dzierżył zestaw piszczałek. Przystawił je do ust i w chwili, gdy Tecuhltli

zaczął wykrzykiwać ostrzeżenie, piszczałki zadźwięczały przenikliwie.

Krzyk zamarł w gardle strażnika, kiedy słaby, niesamowity pisk przeniknął metalowe wrota i uderzył jego uszy. Xatmec zastygł wsparty o drzwi, jak gdyby sparaliżowany w tej pozycji. Jego twarz stała się drewnianą maską, a na niej pojawił się wyraz przerażonego zasłuchania. Drugi strażnik, oddalony od źródła dźwięku, wyczuwał jednak narastającą grozę, straszliwą groźbę, jaką niosło demoniczne brzmienie fletu. Poczuł niesamowite napięcia szarpające niczym niewidoczne palce tkanę jego umysłu, wypełniające go obcymi emocjami i porywami szaleństwa. Jednak z rozdzierającym duszę wysiłkiem przełamał ten czar i wywrzeszczał przenikliwie ostrzeżenie głosem, którego nie uznał za swój.

Kiedy je wykrzykiwał, muzyka zmieniła się w nieznośny pisk, który dla bębenków w uszach był niczym nóż. Xatmec wrzasnął w raptownej męczarni i cały rozsądek spełził mu z twarzy niby płomyk zdmuchnięty na wietrze. Jak szaleniec zerwał łańcuch, szarpnął drzwi i wypadł do holu z uniesionym mieczem, zanim kolega zdołał go zatrzymać. Poraził go tuzin ostrzy, a po jego stłamszonym ciele Xotalancowie napłynęli do wartowni z długotrwałym, szaleńczym od krwi wyciem, które rozeszło się niecodziennym echem.

Umysł ocalałego strażnika zachwiał się od wywołanego tym wszystkim szoku. Skoczył na spotkanie z napastnikami, bodąc włócznią. Horror czarów, jakiego dopiero co był świadkiem, przesłoniła ogłuszająca świadomość, iż wróg znalazł się w Tecuhtli. I kiedy grot jego włóczni wdarł się w jakiś ciemnoskóry brzuch, on już nie czuł niczego, gdyż zataczający łuk miecz

roztrzaskał mu czaszkę w tej samej chwili, gdy dzikoocy wojownicy wlewali się do środka z komnaty za wartownią.

To ludzkie wycie oraz szczęk stali sprawiły, że Conan zeskoczył ze swego posłania zupełnie rozbudzony, z mieczem w dłoni. W jednej chwili dopadł drzwi, otworzył je gwałtownym szarpnięciem i wyrzwał na korytarz, akurat gdy pędził nim Techotl, którego oczy błyszczały szaleńczo.

– Xotalancowie! – wrzeszczał głosem omalże nieludzkim. – *Są w środku!*

Conan ruszył korytarzem, gdy ze swej komnaty wyłoniła się Valeria.

– Co jest, do diabła? – zawołała.

– Techotl mówi, że Xotalancowie są w środku – odrzekł pospiesznie. – Ten rejwach to chyba potwierdza.

Z Tecuhtlim depczącym im po piętach wpadli do pokoju tronowego i stanęli wobec sceny przekraczającej najbardziej rozgorączkowane sny o krwi i furii. Dwudziestka mężczyzn i kobiet z rozwianymi czarnymi włosami oraz białymi czaszkami jaśniejącymi na piersi zwarła się w walce z ludem Tecuhtli. Kobiety po obu stronach walczyły równie szaleńczo jak mężczyźni, a pomieszczenie i hol były już usłane zwłokami.

Olmec, nagi poza przepaską na biodrach, walczył przed tronem, a kiedy weszli awanturnicy, z jakiejś wewnętrznej komnaty wybiegła Tascela z mieczem w dłoni.

Xatmec i jego kolega nie żyli, więc nikt nie powiedział Tecuhtlim, jak nieprzyjaciele dostali się do ich bastionu. Nie było też nikogo, kto wyjaśniłby, co stało za podjęciem tej szaleńczej próby. Jednak straty Xotalanców były większe, ich sytuacja zaś

bardziej rozpaczliwa, niż myśleli Tecuhtli. Okaleczenie ich łuskowatego sprzymierzeńca, zagłada Płonącej Czaszki oraz wydyszana przez umierającego wieść, że zagadkowi białoskórzy sprzymierzeńcy dołączyli do ich wrogów, wtrąciła ich w desperacki amok i dziką determinację, by umrzeć, zadając śmierć pradawnym nieprzyjaciołom.

Tecuhtli, otrząsnąwszy się z szoku i zaskoczenia, które zepchnęły ich do pokoju tronowego i usłały podłogę trupami, poczęli oddawać ciosy z równie desperacką furją, podczas gdy strażnicy wrót z niższych pięter nadciągali pędem, by rzucić się w bój. Była to śmiertelna walka wściekłych wilków, zaślepionych, dyszących, bezlitosnych. Przesuwała się w tył i w przód, od drzwi do podwyższenia. Ostrza furczały i wbijały się w ciało, tryskała krew, stopy deptały szkarłatną posadzkę, na której tworzyły się czerwienisze kałuże. Strzaskane stoły z kości słoniowej powywracano, siedziska rozbito na kawałki, zerwane aksamitne kotary splamione zostały krwią. Była to krwawa kulminacja krwawego półwiecza i każdy tutaj to wyczuwał.

Jednak ostateczne rozstrzygnięcie było nieuniknione. Tecuhtli przewyższali liczebnie najeźdźców prawie dwa do jednego i ten fakt dodał im otuchy, podobnie jak włączenie się do bijatyki ich jasnoskórych sojuszników.

Ci weszli do walki z niszczycielskim skutkiem huraganu przeczesującego zagajnik młodych drzew. Pod względem samej siły i trzech Tlazitlan nie dorównałoby Conanowi, a mimo swej wagi był on szybszy od każdego z nich. Przesuwał się wśród wirującej, krążącej masy z pewnością i niszczącą siłą szarego wilka wśród ulicznych kundli i kroczy, pozostawiając za sobą zmasakrowane

ciała.

Valeria walczyła obok niego, jej usta się uśmiechały, a oczy jaśniały. Była silniejsza od przeciętnego mężczyzny, dalece szybsza i bardziej zawzięta. Miecz był w jej dłoni niczym żywa istota. Tam, gdzie Conan rozbijał oponentów samą masą i mocą swych ciosów, łamiąc włócznie, roztrzaskując czaszki i rozcinając piersi po mostek, Valeria angażowała finezyjną sztukę władania mieczem, która oszałamiała i dezorientowała jej przeciwników, zanim ich zabiła. Co rusz jakiś wojownik, biorąc zamach swym ciężkim ostrzem, odkrywał jej sztych w gardle, nim zdołał uderzyć. Conan, górujący nad placem, kroczył przez to kłębowisko, siekąc na prawo i lewo, tymczasem Valeria poruszała się jak łudząca zjawą, nieustannie się przemieszczająca, zadająca pchnięcia i cięcia w ruchu. Miecze omijały ją raz za razem, kiedy władający nimi cięli powietrze i umierali z jej sztychem w sercu albo w gardle oraz z jej drwiącym śmiechem w uszach.

Oszalali bojownicy nie zważali ani na płeć, ani na stan fizyczny. Pięć kobiet Xotalanców zostało powalonych z rozciętymi gardłami, zanim Conan i Valeria weszli do walki, a kiedy mężczyzna bądź kobieta padali pod tratujące nogi, zawsze znalazł się nóż przyszykowany na bezbronne gardło albo obuta w sandał stopa chętna do zmiżdżenia czaszki leżącego.

Fale boju przewalały się od ściany do ściany i od drzwi do drzwi, rozlewając się po sąsiednich komnatach. I wkrótce tylko Tecuhltli oraz ich białoskórzy sojusznicy stali prosto w wielkim pokoju tronowym. Ocalali spoglądali po sobie pusto i markotnie niby ocalali z Dnia Sądu albo zagłady świata. Na szeroko rozstawionych nogach, z dłońmi zaciśniętymi na poszczerbionych i ociekających

posoką mieczach z krwią sączącą się strużkami po rękach wpatrywali się jeden w drugiego nad stłamszonymi zwłokami przyjaciół i wrogów. Brakowało im tchu, by krzyczeć, ale z ich ust dobyło się szalone wycie. Nie był to ludzki okrzyk tryumfu. Było to wycie wściekłej wilczej sfory kroczącej między ciałami ofiar.

Conan chwycił Valerię za rękę i odwrócił ją.

– Masz ranę kłutą na łydce – burknął.

Spojrzała w dół, po raz pierwszy świadoma pieczenia w mięśniach nóg. Jakiś umierający na podłodze człowiek ostatnim wysiłkiem wbił jej sztylet.

– Sam wyglądasz jak rzeźnik. – Roześmiała się.

Strząsnął czerwony deszcz z rąk.

– To nie moja krew. Och, draśnięcie tu i tam. Nic, czym warto się martwić. Ale twoją łydkę należy opatrzyć.

Olmec przeszedł przez pobojuwisko; wyglądał jak ghul o potężnych, nagich ramionach zbryzganych krwią i z czarną brodą zwilżoną szkarłatem. Oczy miał czerwone jak odbicia płomieni w czarnej wodzie.

– Zwyciężyliśmy! – wychrypiał nieprzytomnie. – Waśń dobiegła końca! Psy z Xotalanc leżą martwe! Och, mieć jakiegoś jeńca, by żywcem obedrzeć go ze skóry! Ale dobrze jest patrzeć na ich martwe twarze. Dwadzieścia martwych psów! Dwadzieścia czerwonych ćwieków dla czarnej kolumny!

– Najlepiej dogładnijcie swych rannych – mruknął Conan, odwracając się od niego. – Ej, dziewczyno, daj mi obejrzeć swą nogę.

– Poczekaj chwilę! – Wyrwała mu się niecierpliwie. Ogień walki wciąż płonął jasno w jej duszy. – Skąd wiemy, że to wszyscy? Ci

mogli nas napaść na własną rękę.

– Nie rozdzieliliby klanu na taki najazd – stwierdził Olmec, kręcąc głową i odzyskując trochę zdrowego rozsądku. Bez swej purpurowej szaty zdawał się mniej księciem, a bardziej jakąś odrażającą polującą bestią. – Stawiam swoją głowę, że zabiliśmy wszystkich. Było ich mniej, niż mi się wydawało, i musieli być zdesperowani. Ale jak weszli do Tecuhtli?

Tascela podeszła, wycierając miecz o nagie udo i trzymając w drugiej dłoni przedmiot wyjęty z rąk przywódcy Xotalanców.

– Piszczalki szaleństwa – stwierdziła. – Jeden wojownik powiada mi, że Xatmec otworzył wrota Xotalancom i został rozsieczony, kiedy ci wdarli się do wartowni. Wojownik ten przybył do wartowni z wewnętrznego holu akurat na czas, by ujrzeć, jak to się dzieje, i posłyszeć ostatki niesamowitego rodzaju muzyki, która zmroziła głębię jego duszy. Bywało, że Tolkemec mówił o tych piszczalkach. Xuchotlanie przysięgali, iż zostały ukryte gdzieś w katakumbach wraz z kośćmi pradawnego czarownika, który korzystał z nich za życia. Psy z Xotalanc jakoś je odnalazły i poznały ich tajemnicę.

– Trzeba pójść do Xotalanc i zobaczyć, czy wszyscy nie żyją – rzekł Conan. – Ja pójdę, jeśli ktoś mnie poprowadzi.

Olmec obrzucił pobieżnym spojrzeniem resztkę swego ludu. Tylko dwudziestka pozostała przy życiu, a i z tych kilkoro leżało na podłodze, jęcząc. Tascela była jedyną z Tecuhtlich, która uniknęła ran. Księżniczka była nietknięta, chociaż walczyła równie wściekle jak każdy.

– Kto pójdzie z Conanem do Xotalanc? – zapytał Olmec.

Techotl pokuśtykał naprzód. Rana w jego udzie zaczęła krwawić na nowo, a miał jeszcze kolejną ciętą przez zebra.

– Ja pójdę!

– Nie, ty nie – zawyrokował Conan. – I ty także nie pójdziesz, Valerio. Za małą chwilę noga zacznie ci sztywnieć.

– Ja pójdę! – zaofiarował się jakiś wojownik, który właśnie zawiązywał opatrunek wokół przeciętego przedramienia.

– Bardzo dobrze, Yanath. Idź z Cimmeryjczykiem. I ty też, Topal.

– Olmec wskazał kolejnego mężczyznę, którego zranienia były niewielkie. – Lecz najpierw pomóżcie nam przenieść ciężko rannych na leżanki, gdzie możemy opatrzyć ich rany.

Uczyniono to prędko. Kiedy nachylali się, by podnieść kobietę, która została ogłuszona maczugą, broda Olmeca otarła się o ucho Topala. Conan miał wrażenie, że wymruczał on coś do wojownika, ale nie był tego pewien. Kilka chwil później książę prowadził swych towarzyszy w głąb holu.

Kiedy Conan wychodził poza wrota, rzucił okiem wstecz na jatkę, gdzie martwi leżeli na żarzącej się posadzce. Splamione krwią ciemne członki zasupały się w pozach zażartego wysiłku mięśni, ciemne twarze zastygły w maski nienawiści, szkliste oczy, rozwarte szeroko, wpatrywały się w zielone ognioklejnoty, które oblewały tę upiorną scenę ciemnymi szmaragdowymi błędnymi ognikami. Pośród martwych żywi przemieszczali się bez celu, jak ludzie poruszający się w transie. Conan posłyszał Olmeca, jak woła jakąś kobietę i nakazuje jej opatrzyć nogę Valerii. Piratka podążyła za kobietą do sąsiedniej komnaty, już nieco kulejąc.

Dwóch Tecuhltlich poprowadziło ostrożnie Conana przez hol za spiżowymi drzwiami i przez komnaty mieniące się od zielonego ognia. Nie widzieli nikogo, nie posłyszeli żadnego dźwięku. Po tym, jak przekroczyli Wielki Hol, który przecinał miasto z północy

na południe, ich ostrożność zwiększyła się przez świadomość bliskości wrogiego terytorium. Jednak komnaty i hole były puste, a oni przeszli w końcu szerokim, przyćmionym korytarzem i zatrzymali się przed spiżowymi wrotami podobnymi do Wrót Orła w Tecuhtli. Delikatnie spróbowali się z nimi, a te otwarły się cicho. Z lękiem wpatrywali się w oświetlone na zielono komnaty za nimi. Przez pięćdziesiąt lat żaden Tecuhtli nie wszedł do tych sal, chyba że jako więzień zmierzający ku ohydному przeznaczeniu. Pójść do Xotalanc oznaczało najgłębszą zgrozę, jaka mogła spaść na człowieka z zachodniego zamku. Paniczny lęk przed tym przemierzał ich sny od najwcześniejszego dzieciństwa. Dla Yanatha i Topala te spiżowe wrota były niczym wejście do piekła.

Cofnęli się skuleni z bezrozumną grozą w oczach, a Conan przepchnął się koło nich i wkroczył do Xotalanc.

Nieśmiało podążyli za nim. Kiedy każdy z nich stawiał stopę za progiem, patrzył i rozglądał się dziko dokoła. Ale ciszę zakłócał tylko ich szybki, pospieszny oddech.

Weszli do kwadratowej wartowni jak ta za Wrotami Orła w Tecuhtli. Wychodzący z niej hol przebiegał podobnie do obszernej komnaty, która była duplikatem pomieszczenia tronowego Olmeca.

Conan rzucił okiem w głąb tego holu z jego chodnikami, leżankami oraz kotarami i stanął, nasłuchując bacznie. Nie posłyszał żadnego dźwięku, a pomieszczenia dawały poczucie pustki. Nie sądził, aby w Xuchotl pozostali jacyś żywi Xotalancowie.

– Dalej – mruknął i ruszył holem.

Nie uszedł daleko, kiedy uświadomił sobie, że podąża za nim tylko Yanath. Odwrócił się gwałtownie i ujrzał Topala w pozie

pełnej grozy, z jedną ręką wyciągniętą jak gdyby dla odpędzenia jakiegoś grożącego mu niebezpieczeństwa. Jego wybałuszone oczy utkwione były z hipnotyczną intensywnością w coś wystającego spoza jakiejś leżanki.

– Co jest, do diabła? – Wtem Conan dostrzegł to, w co wpatrywał się Topal, i poczuł lekkie mrowienie na swym olbrzymim grzbiecie. Zza leżanki wystawał potworny łeb, gadzi łeb wielki jak łeb krokodyla, z zagiętymi w dół kłami, które zachodziły na dolną szczękę. Jednakże była w tym stworze jakaś nienaturalna wiotkość, a ohydne ślepia pozostawały zaszkłone.

Conan zerknął za leżankę. Był to wielki wąż, który leżał tam w bezwładzie śmierci, lecz taki wąż, jakiego nie widział nigdy podczas swoich wędrówek. Wokół niego panowały fetor i chłód głębi czarnej ziemi, a jego umaszczenie było barwy nieokreślonej, która zmieniała się w zależności od kąta, z którego mu się przyglądał. Wielka rana na karku mówiła, co wywołało jego zgon.

– To Pełzacz! – wyszeptał Yanath.

– To jest stwór, którego ciąłem na schodach – mruknął Conan. – Po tym, jak doszedł za nami do Wrót Orła, przywłókł się tutaj, by zdechnąć. Jak Xotalancowie zdołali panować nad tym bydlakiem?

Tecuhltli zadrżeli i pokręcili głowami.

– Sprowadzili go z czarnych tuneli *pod* katakumbami. Odkryli tajemnice nieznane Tecuhltlim.

– Dobra, jest martwy, a gdyby mieli ich więcej, sprowadziliby je ze sobą, kiedy przyszli do Tecuhltli. Ruszamy.

Tłoczyli się, depcząc mu po piętach, kiedy kroczył holem i pchnął zdobione srebrem drzwi po drugiej stronie.

– Jeśli nie znajdziemy nikogo na tym piętrze – rzekł – zejdziemy

nżej. Przebadamy Xotalanc od dachu po katakumby. Jeśli Xotalanc jest takie jak Tecuhtli, wszystkie pomieszczenia i hole na tej kondygnacji będą oświetlone... Co, u diabła?

Weszli do obszernej komnaty tronowej jakże podobnej do tej w Tecuhtli. Było tam takie samo nefrytowe podwyższenie i siedziska z kości słoniowej, takie same leżanki, chodniki i kotary na ścianach. Żadna czarna, pokaleczona czerwienią kolumna nie stała za podwyższeniem dla tronu, ale dowodów ponurej waśni nie brakowało.

Za podwyższeniem umieszczono wzdłuż ściany rzędy osłoniętych szkłem półek. A na tychże półkach setki ludzkich głów, doskonale zachowanych, wpatrujących się w zaskoczonych obserwatorów beznamiętnymi oczami, tak jak patrzyli przez nie wiadomo ile miesięcy i lat.

Topal wymruczał przekleństwo, lecz Yanath stał, milcząc, w jego oczach zaś narastał blask szaleństwa. Conan spojrział nań, marszcząc brwi i uznając, że zdrowy rozsądek Tlazitlanina wisi na włosku.

Nagle Yanath wskazał na upiorne relikty drżącą ręką.

– To jest głowa mego brata! – wymamrotał. – A to młodszego brata mojego ojca! A tam, za nimi, najstarszego syna mojej siostry!

Nagle zaczął zawodzić z suchymi oczyma chrapliwym, głośnym szlochem, który nim wstrząsał. Nie oderwał wzroku od głów. Jego łkania stały się jęgliwe i przemieniły w straszliwy piskliwy śmiech, a ten z kolei stał się nieznośnym wrzaskiem. Yanath kompletnie oszalał.

Conan położył dłoń na jego ramieniu, ów dotyk zaś jak gdyby uwolnił cały amok z duszy mężczyzny – Yanath wrzasnął i

odwrócił się gwałtownie, mierząc w Cimmeryjczyka swoim mieczem. Conan sparował cios, a Topal spróbował złapać Yanatha za rękę. Jednak szaleniec uchylił się przed nim i z pianą na ustach wbił miecz głęboko w ciało Topala. Ten osunął się z jękiem, a Yanath wirował przez chwilę niby zwariowany derwisz. Potem podbiegł do półek i począł siec mieczem szkło, skrzecząc bluźnierczo.

Conan skoczył na niego od tyłu, próbując złapać go znienacka i rozbroić, ale szaleniec obrócił się i rzucił na Cimmeryjczyka, wrzeszcząc jak zagubiona dusza. Ten, zdawszy sobie sprawę, iż wojownik jest bez reszty obłąkany, wykonał krok w bok i kiedy ów wariat go minął, wyprowadził cięcie, które przecięło obojczyk i pierś i rzuciło martwego obok jego umierającej ofiary.

Conan schylił się nad Topalem, widząc, że ten wydaje ostatnie tchnienia. Usiłowanie tamowania krwi tryskającej ze straszliwej rany było bezcelowe.

– Już po tobie, Topal – mruknął. – Masz jakieś wieści, które chcesz posłać swemu ludowi?

– Schyl się bliżej – wydyszał Topal, a Conan usłuchał... I chwilę później złapał go za nadgarstek, kiedy tamten wymierzył w jego pierś sztyletem.

– Na Croma! – zaklął Cimmeryjczyk. – Tyś także oszalał?

– Olmec tak rozkazał – wysapał konający. – Nie wiem czemu. Kiedy przenosiliśmy rannych na posłania, szepnął do mnie, polecając, bym cię zabił, gdy wrócimy do Tecuhltli... – I z nazwą swego klanu na ustach Topal umarł.

Zafrapowany Conan popatrzył na niego chmurnie. Cała ta sprawa wyglądała na czyste szaleństwo. Czy Olmec także oszalał?

Czy wszyscy Tecuhltli byli bardziej szaleni, niż przypuszczał? Ze wzruszeniem ramion wyszedł z holu i poza spiżowe wrota, zostawiwszy martwych Tecuhltlich leżących przed głowami krewniaków wpatrującymi się w nich martwymi oczami.

Conan nie potrzebował przewodnika, wracając przez labirynt, który przemierzyli. Jego pierwotne wyczucie kierunku wiodło go bezbłędnie drogą, jaką przyszli. Przebywał ją tak czujnie jak przedtem, z mieczem w dłoni, a jego oczy zawzięcie badały każdy zacieniony róg i zakamarek, gdyż obecnie to swych uprzednich sojuszników się obawiał, nie duchów zabitych Xotalanców.

Przebył Wielki Hol i wszedł do komnat za nim, gdy usłyszał, że coś porusza się przed nim – coś, co sapało i dyszało, i przemieszczało się z dziwnym odgłosem pełzania i szurania. Chwilę później Conan ujrzał człowieka czołgającego się po płomiennej posadzce w jego stronę – człowieka, za którym ciągnęła się szeroka krwawa smuga na żarzącej się powierzchni.

Był to Techotl, a jego oczy już robiły się szkliste. Z głębokiego nacięcia na piersi pomiędzy palcami uciskającej je dłoni miarowo tryskała krew. Drugą ręką pomagał sobie w ruchu.

– Conanie – zawołał zdławionym głosem. – Conanie! Olmec porwał jasnowłosą kobietę!

– Więc dlatego powiedział Topalowi, żeby mnie zabił! – wymamrotał Conan, opadając na kolano przy mężczyźnie, który, jak powiedziało mu wprawne oko, był umierający. – Olmec nie jest tak szalony, jak myślałem.

Błądzące po omacku dłonie Techotla zacisnęły się na ramieniu Conana. W zimnym, pozbawionym ciepłych uczuć i dogłębnie odrażającym życiu Tecuhltliego jego podziw i przywiązanie do

przybyszów ze świata zewnętrznego wytworzyły gorącą oazę człowieczeństwa, ustanowiły związek łączący go z naturalniejszym humanizmem, jakiego całkowicie brakło jego kamratom, których jedyne odczucia stanowiły nienawiść, cielesne pożądanie oraz pragnienie sadystycznego okrucieństwa.

– Usiłowałem mu się przeciwstawić – wyrzeźbił Techotl; krew pieniała się bąbelkami na jego ustach. – Ale mnie powalił. Myślał, że zabił, lecz odczołgałem się stamtąd. Ach, na Seta, jakże daleko doczołgałem się we własnej krwi! Strzeż się, Conanie! Olmec może zastawić na ciebie pułapkę, gdy wrócisz! Zabij Olmeca! To bestia. Zabierz Valerię i umykajcie! Nie bójcie się przejść przez puszcę. Olmec i Tascela kłamali w sprawie smoków. Wybiły się nawzajem całe lata temu, wszystkie poza najsilniejszym. Od tuzina lat był tylko jeden smok. Jeśli go zabięś, nie ma już w puszczy żadnego, który wyrządziłby wam krzywdę. On był bogiem czczonym przez Olmeca i Olmec karmił go ludzkimi ofiarami, bardzo starymi i bardzo młodymi, spętanymi i zrzucanymi z murów. Spiesz się! Olmec zabrał Valerię do Komnaty...

Jego głowa opadła gwałtownie. Był martwy, zanim spoczęła na podłodze.

Conan się zerwał, oczy miał niby żywe węgle. Zatem taką Olmec toczył grę, wpierw wykorzystując przybyszów do zgładzenia swych nieprzyjaciół! Powinien był wiedzieć, że coś takiego może zachodzić w umyśle tego czarnobrodego degenerata.

Cimmeryjczyk ruszył w stronę Tecuhltli z szaleńczą prędkością. W mig policzył swych uprzednich sojuszników. Ledwie dwudziestu jeden, licząc Olmeca, przeżyło demoniczny bój w pokoju tronowym. Od tamtego czasu umarło trzech, zostało zatem

siedemnastu wrogów, z którymi trzeba się liczyć. W swym gniewie Conan poczuł siłę, by porachować się z całym klanem jedną ręką.

Jednakże wrodzona w dziczy przebiegłość zbudziła się, by przewodzić jego bojowemu szałowi. Wspomniał na przestrożę Techotla o zasadzce. Było całkiem prawdopodobne, że księżę podejmie takie zabezpieczenie, na wypadek gdyby Topal zawiódł i nie wykonał jego rozkazu. Olmec będzie spodziewał się jego powrotu tą samą trasą, którą podążał do Xotalanc.

Conan spojrział na świetlik, pod którym przechodził, i wychwycił zamazane migotanie gwiazd. Nie zaczęły jeszcze błędnąć na znak świtu. Wydarzenia tej nocy stłoczyły się w stosunkowo krótkim czasie.

Skręcił w bok z obranej trasy i zszedł krętą klatką schodową piętro niżej. Nie wiedział, gdzie szukać wrót, które wpuszczą go do zamku na tym poziomie, ale wiedział, że potrafi je odnaleźć. Nie miał pojęcia, jak pokonać zamki; uznał, że wszystkie wrota do Tecuhtli będą zamknięte i zaryglowane, jeśli nie z innego powodu, to za sprawą nawyków ostatniego półwiecza. Nie pozostawało mu nic innego, czego mógłby spróbować.

Z mieczem w dłoni pospieszył bezgłośnie przez labirynt oświetlonych na zielono ciemnych pomieszczeń i holów. Wiedział, że musi być blisko Tecuhtli, kiedy jakiś odgłos zatrzymał go nagle. Rozpoznał, co to jest – ludzka istota próbująca krzyknąć przez duszący ją knebel. Dochodził on skądś przed nim, na lewo. W tych śmiertelnie cichych komnatach najmniejszy dźwięk niósł się daleko.

Conan skręcił w bok i ruszył na poszukiwanie źródła owego odgłosu, który powtarzał się ciągle. Wkrótce ujrzał przez jedno z przejść dziwną scenę. W pomieszczeniu, do którego zajrzał, na

podłodze leżał niski, podobny do stojaka stelaż ze stali, a na nim, przywiązana twarzą do dołu, olbrzymia postać. Jej głowa spoczywała na łożu ze stalowych kolców, których ostrza były już szkarłatne od krwi tam, gdzie przebiły skórę. Głowę opinało specyficzne, podobne do uprzęży urządzenie, jednakże nałożone tak, że skórzana opaska nie chroniła skóry przed kolcami. Uprząż ta połączona była niewielkim łańcuchem z mechanizmem, który podtrzymywał ogromną stalową kulę, jaką podwieszono nad owłosioną pierś uwięzionego. Dopóki człowiek ów zmuszał się do pozostawania w bezruchu, stalowa kula wisiała na miejscu. Lecz kiedy ból od stalowych ostrzy sprawiał, że unosił głowę, kula osuwała się w dół o kilka cali. Za jakiś czas jego zbolące mięśnie karku nie utrzymają głowy w tej nienaturalnej pozycji i znów opadnie ona na kolce. Było oczywiste, że ostatecznie kula zgniecie go na miazgę, powoli i nieubłaganie. Ofiara była zakneblowana, a ponad kneblem jej wielkie, czarne, bawole oczy zwróciły się dziko w kierunku mężczyzny w drzwiach, który stał w milczącym zdziwieniu. Człowiekiem na owym stojaku był Olmec, księżę Tecuhltli.



VI

OCZY TASCELI



– Dlaczego sprowadziłaś mnie do tej komnaty, by opatrzyć moje nogi? – dopytywała Valeria. – Nie mogłaś tego zrobić w pokoju tronowym?

Siedziała na leżance z wyciągniętą zranioną nogą, a Tecuhltlanka przewiązała ją jedwabną opaską. Zbroczony krwią miecz Valerii spoczywał obok niej. Mówiąc, zmarszczyła brwi. Kobieta wykonała

swe zadanie sprawnie i cicho, lecz piratce nie przypadł do gustu przeciągający się, pieszczotliwy dotyk szczupłych palców ani wyraz jej oczu.

– Resztę rannych zabrano do innych komnat – odparła kobieta delikatną mową Tecuhltli, która jakoś nie sugerowała delikatności ani łagodności mówcy. Chwilę wcześniej Valeria widziała ją, jak przebija pierś kobiety Xotalanców i wydeptuje gałki oczne rannemu mężczyźnie.

– Zwłoki odniosą na dół, do katakumb – dodała – żeby duchy nie uciekły do komnat i tam nie zamieszkały.

– Wierzysz w duchy? – zapytała Valeria.

– Wiem, że duch Tolkemeca zamieszkuje katakumby – odpowiedziała z drzeniem. – Raz go widziałam, kiedy zacząłam się w krypcie między kośćmi martwej królowej. Przechodził w postaci wiekowego człowieka o zwiewnej białej brodzie i puklach, i o świecących oczach, które jaśniały w ciemności. To był Tolkemec. Widziałam go żywego, kiedy byłam dzieckiem, a jego torturowano. – Jej głos obniżył się do bojaźliwego szeptu: – Olmec się śmieje, ale ja *wiem*, że duch Tolkemeca zamieszkuje katakumby! Mówią, że to szczury obgryzają ciało z kości świeżo umarłych... ale to duchy zjadają ciała. Kto wie, co poza tym...

Szybko spojrzała w górę, kiedy jakiś cień padł na leżankę. Valeria podniosła wzrok i ujrzała gapiącego się na nią Olmeca. Książę oczyścił ręce, tors oraz brodę z krwi, która je obryzgała. Nie przywdział jednak swej szaty, a jego wielkie, ciemnoskóre i bezwłose ciało ponownie wzbudzało wrażenie przyrodzonej mu bestialskiej siły. Jego głębokie, czarne oczy płonęły pierwotnym blaskiem, a drżenie palców szarpiących gęstą błękitnoczarną brodę

było wymowne.

Zapatrzył się nieruchomo w kobietę, a ta powstała i wyśliznęła się z komnaty. Kiedy minęła drzwi, przez ramię obrzuciła Valerię spojrzeniem pełnym cynicznej drwiny i sprośnego szyderstwa.

– Niechlujnie wykonała swą pracę – skrytykował księżę, podchodząc do leżanki i schylając się nad opatrunkiem. – Pozwól, że zobaczę...

Z prędkością zdumiewającą u kogoś o jego masie chwycił jej miecz i odrzucił go na drugą stronę komnaty. Kolejnym posunięciem było pochwycenie jej w olbrzymie ramiona.

Chociaż był to szybki i niespodziewany ruch, Valeria prawie mu dorównała, gdyż w chwili, gdy ją chwycił, dirk znalazł się w jej dłoni i dźgnęła go w gardło. Bardziej przez szczęście niż zręczność złapał jej nadgarstek i wówczas rozpoczęła się zapamiętała rozgrywka zapaśnicza. Walczyła z nim pięściami i stopami, kolanami, zębami i paznokciami z całą siłą swego wspaniałego ciała i wszelką wiedzą o starciach wręcz, jaką nabyła podczas lat włóczęgi oraz walk na morzu i lądzie. Nic to nie dało przeciwko jego brutalnej sile. Utraciła swój dirk w pierwszych chwilach starcia, a potem okazała się niezdolna do zadania jakiegoś znaczącego bólu olbrzymiemu napastnikowi.

Ogień w jego niesamowitych czarnych oczach się nie zmienił, a ich wyraz przeppełnił ją wściekłością podsycaną sardonycznym uśmiechem, który wydawał się przyklejony do jego zarośniętych ust. Oczy te i uśmiech zawierały w sobie cały okrutny cynizm, jaki kipiał pod powierzchnią wyrafinowanej i zdegenerowanej rasy, i po raz pierwszy w życiu Valeria doznała strachu przed mężczyzną. Było to niczym walka o życie przeciwko ogromnej, pierwotnej sile;

jego żelazne ramiona udaremniały jej wysiłki z łatwością, która napełniała członki paniką. Zdawał się nieczuły na ból, jaki mogła zadać. Tylko raz, kiedy dziko zatopiła białe zęby w jego nadgarstku, tak że popłynęła krew, zareagował. Otwartą dłonią uderzył ją brutalnie, z dużą siłą w bok głowy, tak że przed oczami błysnęły jej gwiazdy, a głowa opadła na ramiona.

Jej koszula rozdarła się w zmaganiu, a on potarł z cynicznym okrucieństwem swą gęstą brodą o jej nagą pierś, sprawiając, że jasna skóra podbiegła krwią, i wydobywając z niej krzyk bólu i pełnej wzburzenia furii. Jej konwulsyjny opór był bezowocny – została przygnieciona do leżanki i rozbrojona; dysząc, wpatrywała się w niego oczami płonącymi jak u schwytanej w pułapkę tygrysy.

Chwilę później pospiesznie wyszedł z komnaty, niosąc ją w swych ramionach. Nie stawiała oporu, lecz żar jej spojrzenia wskazywał, że przynajmniej jej duch pozostał nieujarzmiony. Nie wykrzykiwała. Wiedziała, że Conana nie ma w zasięgu głosu, a nie przyszło jej na myśl, że któryś z Tecuhltlich może przeciwstawić się swemu księciu. Zauważyła wszak, że Olmec przemykał się ukradkiem, z głową odchyłoną, jak gdyby nasłuchiwał odgłosów pościgu, i nie powrócił do komnaty tronowej. Poniósł ją przez drzwi mieszczące się po przeciwnej stronie do tych, przez które wcześniej wszedł, przeciął kolejne pomieszczenie i zaczął skradać się holem. Kiedy nabrała przekonania, że boi się jakiegoś sprzeciwu wobec tego uprowadzenia, odrzuciła głowę i wrzasnęła z całą mocą silnego głosu.

Nagrodą był policzek, który na wpół ją ogłuszył, a Olmec przyspieszył kroku do drepczącego biegu.

Ale jej krzyk rozszedł się echem i wykręcając głowę, Valeria poprzez łązy i gwiazdy, które częściowo ją oślepiały, dostrzegła kuśtykającego za nimi Techotla.

Olmec obrócił się, wykrzywiając twarz i umieszczając kobietę w niewygodnej, z pewnością mało chwalebnej pozycji pod ogromną pachą, gdzie przytrzymał ją, szarpiącą się i wierzgającą nadaremno, niczym dziecko.

– Olmecu! – zaoponował Techotl. – Nie możesz być takim psem i robić czegoś takiego! To kobieta Conana! Pomagała nam zabijać Xotalanców i...

Olmec bez słowa zwinął wolną dłoń w ogromną pięść i posłał pozbawionego zmysłów rannego wojownika do swych stóp. Pochyliwszy się, niepowstrzymany szamotaniem oraz złorzeczeniem swej branki, wyciągnął miecz Techotla z pochwy i dźgnął wojownika w pierś. Potem, odrzuciwszy broń na bok, pomknął korytarzem. Nie dostrzegł ciemnej kobiecej twarzy zerkającej ostrożnie na niego zza jednej z kotar. Wkrótce zniknęła, a Techotl po pewnym czasie jęknął, poruszył się, wstał nieprzytomnie i zataczając jak pijak, oddalił, wołając imię Conana.

Olmec pospieszył dalej korytarzem i zszedł po krętych schodach z kości słoniowej. Przeciął kilka korytarzy i zatrzymał się w końcu w obszernej komnacie, której drzwi były zasłonięte ciężkimi tapiseriami, z jednym wyjątkiem – masywnych spiżowych wrót podobnych do Wrót Orła piętro wyżej.

Był poruszony, kiedy wskazując na nie, zahuczał:

– To są jedne z zewnętrznych wrót Tecuhltli. Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat są niestrzeżone. Nie trzeba ich teraz pilnować, gdyż nie ma już Xotalanców.

– Dzięki Conanowi i mnie, przeklęty łotrze! – zauważyła pogardliwie Valeria, drżąc od furii i wstydu z fizycznego przymusu. – Ty zdradliwy psie! Conan poderżnie ci za to gardło!

Olmec nie kłopotał się wygłaszaniem przekonania, iż gardło samego Conana już wcześniej zostało podcięte zgodnie z wyszeptanym przez niego rozkazem. Był zbyt cyniczny, by interesować się jej przemyśleniami czy opiniami. Jego rozświetlone ognisćie oczy pożerały ją, zatrzymując płomienne wejrzenie na obfitych połaciach odsłoniętego białego ciała, tam gdzie koszula i spodnie zostały rozdarte podczas szarpaniny.

– Zapomnij o Conanie – powiedział chrapliwie. – Panem Xuchotl jest Olmec. Nie ma już Xotalanc. Nie będzie więcej walk. Spędzimy życie na picciu i seksie. Wpierw się napijmy!

Zasiadł na stole z kości słoniowej i przeciągnął ją sobie na kolana, niby ciemnoskóry satyr z białą nimfą w ramionach. Ignorując jej nie-nimfowe bluźnierstwa, przytrzymał ją, bezradną, jedną wielką ręką za talię, podczas gdy drugą sięgnął przez stół i pochwycił naczynie z winem.

– Pij! – rozkazał, przytykając je siłą do jej ust, kiedy ta szarpnięciami wykręcała głowę. Trunek się rozlał, piekąc jej usta i pryskając na nagie piersi.

– Twój gość nie lubi twego wina, Olmecu! – rozległ się chłodny, sardoniczny głos.

Olmec zeszywniał; w jego płomiennych oczach pojawił się strach. Z wolna obrócił swą wielką głowę i zapatrzył się na Tascełę, pozującą niedbale w zasłoniętym przejściu z jedną ręką na gładkim biodrze. Valeria wykręciła się w jego żelaznym uścisku, a kiedy napotkała spojrzenie płonących oczu Tasceli, po jej prężnych

plecach przebiegł chłodny dreszcz. Tej nocy dumną duszę Valerii zalewały nowe doznania. Niedawno poznała strach przed mężczyzną, a teraz dowiedziała się, co znaczy bać się kobiety.

Olmec siedział nieruchomo, pod jego śniadą skórą poczęła narastać szara bladość. Tascela wyciągnęła drugą rękę z za pleców i ukazała małe złote naczynie.

– Bałam się, że nie zasmakuje w twoim winie, Olmecu – wymruczała księżniczka – więc przyniosłam trochę swojego, odrobinę, jaką przywiozłam dawno temu znad brzegów jeziora Zuad... Czy rozumiesz, Olmecu?

Na czoło Olmeca wystąpiły nagle krople potu. Jego mięśnie się rozluźniły, a Valeria wyswobodziła się i odgrodziła od niego stołem. Jednak choć rozsądek mówił jej, by czmychać z pomieszczenia, jakieś zauroczenie, którego nie potrafiła zrozumieć, trzymało ją zeszywniałą, obserwującą tę scenę.

Tascela podeszła w stronę siedzącego księcia rozkołysanym, płynnym krokiem, który sam w sobie stanowił drwinę. Jej głos był miękki, uwłaczająco pieszczotliwy, lecz jej oczy błyszczały. Smukłymi palcami lekko pociągnęła go za brodę.

– Jesteś samolubny, Olmecu – zaszemrała, uśmiechając się. – Chciałbyś zatrzymać naszego atrakcyjnego gościa dla siebie, choć wiesz, że pragnę go ugościć. Wielka jest twoja wina, Olmecu!

Maska na moment opadła. Jej oczy błysnęły, twarz się wykrzywiła i w strasznym pokazie siły zamknęła kurczowo dłoń na jego czarnej brodzie, i wyrwała wielką garść włosów. Ten dowód nadnaturalnej siły był nie mniej przerażający od chwilowego obnażenia piekielnej furii, jaka szalała pod łagodną powierzchownością.

Olmec się zerwał, uskakując z rykiem, i stanął, kołysząc się niczym niedźwiedź; jego potężne dłonie zaciskały się i rozwierały.

– Wywłoko! – Jego huczący głos wypełnił pomieszczenie. – Wiedzmo! Diablico! Tecuhltli powinni byli oskórować cię pięćdziesiąt lat temu! Zbyt wiele znosiłem od ciebie! Ta białoskóra dziewczka jest moja! Precz stąd, nim cię zabiję!

Księżniczka się roześmiała i cisnęła mu w twarz ubabrane krwią kosmyki włosów. Jej śmiech był bardziej bezlitosny niż brzęk krzemienia o stal.

– Niegdyś przemawiałeś inaczej, Olmecu – szydziła. – Niegdyś, gdy byłeś młody, przemawiałeś słowami miłości. Tak jest, byłeś kiedyś moim kochankiem, lata temu, lecz ponieważ mnie kochałeś, usypiałeś w mych ramionach pod zaczarowanym lotosem... I tym samym złożyłeś w me dłonie łańcuchy, które cię zniewoliły. Wiedziałeś, że nie zdołasz stawić mi oporu. Wiesz, że muszę tylko spojrzeć w tve oczy z mistyczną siłą, której dawno temu nauczył mnie kapłan ze Stygii, a staniesz się bezsilny. Wspomnij na noc pod czarnym lotosem, który falował nad nami poruszany niezemskim powiewem; czujesz znów niezwykły aromat, który owładnął i uniósł się dookoła ciebie niczym obłok, by cię zniewolić. Jesteś mym niewolnikiem, jak byłeś tamtej nocy... I będziesz tak długo, jak długo pozwolę ci żyć, Olmecu z Xuchotl!

Jej głos przycichł do szmeru, który był niczym szemranie strumienia przepływającego przez rozświetloną gwiazdami ciemność. Przysunęła się blisko księcia i rozpostarła długie, stożkowate palce na jego olbrzymiej piersi. Oczy mu się zaszkliły, wielkie ręce zwisły bezwładnie po bokach.

Z uśmiechem okrutnej złośliwości Tascela uniosła naczynie i

przystawiła mu je do ust.

– Pij!

Olmec posłuchał bezwiednie. I nagle szklistość zniknęła z jego oczu, zalanych furją, zrozumieniem i okropnym strachem. Rozdziawił usta, lecz nie wydał żadnego dźwięku. Przez chwilę chwiał się na uginających się nogach, a potem padł jak niepotrzebny rupieć na podłogę.

Jego upadek wyrwał Valerię z odrętwienia. Obróciła się i skoczyła w stronę drzwi, lecz Tascela zjawiała się tam przed nią tak szybko, że zawstydziliby skaczącą panterę. Valeria wymierzyła w nią zaciśniętą pięść i włożyła w ten cios całą moc swego gibkiego ciała. Pozbawiłby on zmysłów i rzucił na podłogę nawet mężczyznę. Jednak Tascela zwinnym skrętem tułowia uniknęła tego ciosu i złapała nadgarstek piratki. W następnej chwili lewa ręka Valerii także została unieruchomiona, a Tascela, trzymając obie jej ręce jedną dłonią, spokojnie związała je sznurem, który wyjęła z za pasa. Valeria myślała, że tej nocy zasmakowała już ostatecznego upokorzenia, lecz jej wstyd ze sponiewierania przez Olmeca był niczym w porównaniu do odczuć, jakie obecnie targały jej gibką postacią. Zawsze miała skłonność do gardzenia reprezentantkami swej płci; spotkać inną kobietę, która poradziła sobie z nią jak z dzieckiem, było czymś druzgocącym. W ogóle niewiele się opierała, kiedy Tascela przymusiła ją, by usiadła na krześle, i wciągnąwszy związane nadgarstki pomiędzy jej kolana, przywiązała je do tegoż krzesła.

Niedbale przekroczywszy ciało Olmeca, Tascela podeszła do spiżowych drzwi, odsunęła rygiel i pchnęła je, odsłaniając wiodący dokądś korytarz.

– Do tego holu – zaznaczyła, przemawiając po raz pierwszy do swego więźnia – dochodzi komnata, której za dawnych czasów używano jako pokoju tortur. Kiedy usunęliśmy się do Tecuhltli, wzięliśmy większość przyrządów ze sobą, był wszak jeden nazbyt ciężki, by go ruszyć. Wciąż jest sprawny. Myślę, że będzie odpowiedni.

W oczach Olmeca pojawił się pełen zrozumienia płomień panicznego strachu. Tascela podeszła na powrót do niego, schyliła się i chwyciła go mocno za włosy.

– Został sparaliżowany tylko chwilowo – zaznaczyła. – Słyszysz, myśli i czuje... Tak jest, czuje naprawdę bardzo dobrze!

Z tą złowróżbną uwagą ruszyła w kierunku drzwi, wlokąc olbrzymie cielsko z łatwością, która sprawiła, że oczy piratki się rozszerzyły. Weszła do holu i posuwając się nim bez wahania, zniknęła wkrótce w komnacie, do której prowadził, a skąd krótko potem rozległ się szcęk stali.

Valeria zakłęta cicho i szarpnęła bezskutecznie, zaparłszy się nogami o krzesło. Sznury, które ją przytrzymały, były najwidoczniej nie do rozerwania.

Tascela wróciła wkrótce sama, zza niej, z tamtej komnaty rozlegały się stłumione jęki. Zamknęła drzwi, lecz ich nie zaryglowała. Była ponad pięta nawyków, tak jak była poza zasięgiem innych ludzkich instynktów i odczuć.

Valeria siedziała oniemiała, obserwując kobietę, w której smukłych dłoniach – co piratka pojęła – spoczywało obecnie jej przeznaczenie.

Tascela chwyciła mocno jej blond pukle i odgięła głowę do tyłu, patrząc bezosobowo w jej twarz. Jednakże błyski w oczach nie były

bezosobowe.

– Wybrałam cię do wielkiego zaszczytu – powiedziała. – Ty przywrócisz młodość Tasceli. Och, co tak patrzysz? Mój wygląd należy do młódki, lecz żyłami pełźnie mi oślizły chłód dobijających się lat, taki jaki czułam już wcześniej tysiące razy. Jestem stara, tak stara, że nie pamiętam swego dzieciństwa. Ale byłam niegdyś dziewczyną, a kapłan ze Stygii pokochał mnie i darował mi sekret nieśmiertelności i trwającej wiecznie młodości. Potem on umarł... Niektórzy mówili, że od trucizny. Ja wszak mieszkałam w swym pałacu nad brzegami jeziora Zuad, a mijające lata mnie nie tykały. Tak więc w końcu zapragnął mnie król Stygii, a mój lud zbuntował się i sprowadził mnie do tego kraju. Olmec nazwał mnie księżniczką. Nie mam krwi królewskiej. Jestem większa od księżniczki. Jestem Tascela, której młody wygląd przywróci twa wspaniała młodość.

Język przysechł Valerii do podniebienia. Wyczuwała tu zagadkę mroczniejszą od degeneracji, której oczekiwała.

Wyższa z kobiet odwiązała Aquilonce nadgarstki i podciągnęła ją na nogi. To nie strach przed przeważającą siłą, jaka czaiła się w członkach księżniczki, uczynił Valerię bezradnym, drżącym więźniem w jej rękach. Sprawily to płonące, hipnotyczne, straszne oczy Tasceli.

VII

ON PRZYBYWA Z CIEMNOŚCI



– No, jestem Kushitą!

Conan popatrzył złym okiem na mężczyznę na stalowym stelażu.

– Co ty, u diabła, robisz na tym czymś?

Zza knebla rozległy się jakieś bezładne dźwięki, więc Conan nachylił się i wyrwał go, wywołując u więzionego ryk strachu, gdyż działanie Cimmeryjczyka spowodowało, że stalowa kula jęła obsuwać się, aż niemal dotykała szerokiej piersi.

– Na miłość Seta, bądźże ostrożny! – błagał Olmec.

– Po co? – dopytywał Conan. – Myślisz, że dbam o to, co się z tobą stanie? Chciałbym tylko mieć czas, żeby tu zostać i oglądać, jak ten kawał żelastwa wyciska ci flaki. Ale się spieszę. Gdzie jest Valeria?

– Uwolnij mnie! – nalegał Olmec. – Powiem ci wszystko!

– Powiedz najpierw.

– Nigdy! – Potężne szczęki księcia zacisnęły się nieustępliwie.

– W porządku. – Conan usadowił się na pobliskiej ławce. – Odnajdę ją sam, po tym jak z ciebie zostanie marmolada. Ufam, że mogę przyspieszyć ten proces, wkręcając ci w ucho sztych mego miecza – dodał, wyciągając na próbę broń ku niemu.

– Zaczekaj! – Słowa popłynęły strumieniem z poszarzałych ust uwięzionego. – Zabrała mi ją Tascela. Nigdy nie byłem więcej niż marionetką w jej rękach.

– Tascela? – prychnął Conan i splunął. – Ha! Ty parszywa...

– Nie, nie! – sapnął Olmec – Jest gorzej, niż myślisz. Tascela jest stara... Ma setki lat. Odnawia swe życie i młodość dzięki ofiarom z pięknych, młodych kobiet. To jedna ze spraw, które pomniejszyły klan do obecnego stanu. Przeciągnie esencję życia Valerii we własne ciało i rozkwitnie świeżym wigorem i urodą.

– Wrota są zamknięte? – zapytał Conan, badając kciukiem ostrze

swego miecza.

– Tak jest! Ale znam sposób, jak dostać się do Tecuhtli. Tylko Tascela i ja go znamy, a ona myśli, że jestem bezsilny, a ty zabity. Uwolnij mnie, a przysięgam, że pomogę ci uratować Valerię. Bez mej pomocy nie zdołasz wedrzeć się do Tecuhtli, gdyż choćbyś nawet torturował mnie dla wyjawienia tej tajemnicy, nie dasz rady jej użyć. Wypuść mnie, a podkradniemy się do Tasceli i zabijemy ją, nim zdoła użyć swej magii... Nim jej spojrzenie zdoła paść na nas. Nóż rzucony od tyłu powinien zrobić swoje. Trzeba było zabić ją w taki sposób dawno temu, ale bałem się, że bez jej pomocy Xotalancowie nas pokonają. Ona także potrzebowała mojego wsparcia. To jedyny powód, dla którego pozwoliła mi żyć tak długo. Teraz każde z nas może obyć się bez drugiego i jedno musi umrzeć. Przysięgam, że kiedy zabijemy tę wiedźmę, ty i Valeria będziecie mogli odejść bez szwanku. Mój lud mnie usłucha, gdy Tascela będzie martwa.

Conan schylił się i przeciął liny, które przytrzymały księcia, a Olmec wysliznął się ostrożnie spod wielkiej kuli i wstał, potrząsając głową niczym byk i mrużąc złośczenia przy badaniu dłońmi pokaleczonej głowy. Stając ramię w ramię, ci dwaj mężczyźni prezentowali sobą budzący grozę obraz pierwotnej siły. Olmec był równie wysoki jak Conan i cięższy, ale było w Tlazitlaninie coś odstręczającego, bezdennego i potwornego, co kontrastowało z czysto ciosaną, zwartą srogością Cimmeryjczyka. Conan zrzucił resztki swej podartej, nasiąkniętej krwią koszuli i stanął, odsłaniając imponującą, niezwykle muskularną budowę. Ramiona miał szerokie tak jak Olmec i wyraźniej zarysowane, a jego ogromna, sklepiona pierś sięgała twardej talii, której brakło wydatnej grubości

brzucha tamtego. Mógł uchodzić za posąg pierwotnej siły wyciosany ze spiżu. Olmec był ciemniejszy, lecz nie od palącego słońca. O ile Conan stanowił postać zrodzoną u zarania Czasu, o tyle Olmec był człapiącą, ponurą figurą z mroków przedświtlu Czasu.

– Prowadź – zażądał Conan. – I trzymaj się przede mną. Nie ufam ci bardziej niż własnym czczym przechwałkom.

Książę obrócił się i począł kroczyć na przedzie, delikatnie skubiąc skołtunioną brodę drżącą lekko dłonią.

Olmec nie zaprowadził Conana z powrotem do spiżowych wrót, które, jak książę oczywiście przypuszczał, Tascela zamknęła, lecz do pewnej komnaty na granicy Tecuhltli.

– Ten sekret strzeżony był przez pół wieku – rzekł. – Nawet nasz klan go nie poznał, a Xotalancowie nigdy się o nim nie dowiedzieli. Tecuhltli sam zbudował to tajemne wejście, zabijając potem niewolników, którzy wykonali tę robotę, gdyż bał się, że pewnego dnia może zostać odcięty od własnego królestwa przez złośliwość Tasceli, której namiętność do niego wkrótce przemieniła się w nienawiść. Ona jednak odkryła sekret i zablokowała przed nim ukryte drzwi, kiedy umykał z nieudanego wypadu, a Xotalancowie złapali go i obdarli ze skóry. Ale pewnego razu, śledząc ją, ujrzałem, jak wchodzi do Tecuhltli tą trasą, i tak poznałem ów sekret.

Nacisnął złote zdobienie na ścianie i płyta wsunęła się, odsłaniając wiodące w górę schody z kości słoniowej.

– Schody te zostały wbudowane w ścianę – powiedział Olmec. – Wiodą w górę, do wieży ponad dachem, a stamtąd inne schody wiją się w dół, do innych komnat. Ruszaj!

– Za tobą, towarzyszu! – odciął się prześmiewczo Conan, kołysząc przy tym swym szerokim mieczem. Olmec wzruszył ramionami i wkroczył na klatkę schodową. Cimmeryjczyk natychmiast podążył jego śladem i drzwi się za nimi zamknęły. Daleko z góry grono ognioklejnotów czyniło z klatki schodowej studnię wypełnioną przyciemnionym smoczym blaskiem.

Wspinali się, aż się znaleźli, jak oszacował Conan, ponad poziomem czwartego piętra, i wówczas wyszli w cylindrycznej wieży, w której sklepieniu umieszczono kiść ognioklejnotów oświetlających schody. Przez zakratowane złotem okna ze wstawionymi nietłukącymi się krystalicznymi taflami – pierwsze okna, jakie ujrzał w Xuchotl – Conan dostrzegł przelotnie wysokie szczyty, kopuły oraz więcej wież majaczących ciemno na tle gwiazd. Patrzył na dachy Xuchotl.

Olmec nie spoglądał przez okna. Pospieszył jedną z kilku klatek schodowych, które wiły się w dół z wieży, a kiedy zeszli o parę stóp, schody przeszły w wąski korytarz, który biegł, kręty, przez pewien dystans. Skończył się u kolejnych stromych schodów wiodących w dół. Tam Olmec przystanął.

Z dołu wzniósł się stłumiony, lecz nieomylnie kobiecy wrzask zaprawiony strachem, wściekłością i wstydem. Conan rozpoznał głos Valerii.

W nagłym przyplýwie gniewu wzbudzonym owym krzykiem, ze zdumieniem zastanawiając się, jakaż groźba mogła wycisnąć tak piskliwy wrzask z zuchwałej Valerii, Conan zapomniał o Olmecu. Przepchnął się obok księcia i ruszył schodami w dół. Budzący się instynkt sprawił, iż obrócił się, akurat gdy Olmec wymierzył w niego swą wielką, podobną do młota pięść. Cios, cichy i srogi,

celował w podstawę czaszki Conana. Cimmeryjczyk odwrócił się jednak na czas, by zamiast tego przyjąć trafienie na bok szyi. Uderzenie skruszyłoby kręgi człowieka o skromniejszej budowie. Conan zakołysał się w tył, lecz w tej samej chwili upuścił miecz, bezużyteczny na tak małej przestrzeni, pochwycił wysuniętą rękę Olmeca i spadł, pociągając księcia za sobą. Polecieli po schodach na złamanie karku w obracającym się wirze członków, głów i korpusów. A kiedy tak opadali, żelazne dłonie Conana odnalazły i zamknęły się na byczym karku Olmeca.

Szyja i ramię barbarzyńcy zdrętwiały od ciosu ogromną jak młot kowalski pięścią Olmeca, za którą stała siła potężnego przedramienia, grubego tricepsa oraz wielkiego ramienia. Nie wpłynęło to wszak na jego zajadłość w jakiś znaczący sposób. Uczepił się księcia zaciekle niczym buldog, podczas staczania wstrząsany, obijany i tłuczony o stopnie, dopóki nie uderzyli o wzmocnione odrzwia z kości słoniowej z taką siłą, że roztrzaskali je w całości, przebijając się przez ich szczątki. Olmec jednak już nie żył, gdyż żelazne dłonie wydusiły z niego życie i złamały mu kark w trakcie spadania.

Conan powstał, strząsając drzazgi ze swych wielkich ramion i mruganiem pozbywając się krwi i kurzu ze swych oczu.

Znajdował się w wielkim pokoju tronowym. Oprócz niego w pomieszczeniu przebywało piętnaścioro ludzi. Pierwszą osobą, jaką ujrzał, była Valeria. Przed podwyższeniem tronowym stał dziwny czarny ołtarz. Rozstawione dookoła niego w złotych lichtarzach siedem świec wydzielało snujące się spirale gęstego zielonego dymu o niepokojącej woni. Owe spirale łączyły się w obłok w pobliżu sufitu, tworząc nad ołtarzem dymną arkadę. Na ołtarzu

spoczywała Valeria, zupełnie naga; jej białe ciało jaśniało we wstrząsającym zestawieniu z błyszczącym hebanowo kamieniem. Nie była związana. Leżała wyprostowana z rękoma wyciągniętymi za głowę. U szczytu ołtarza klęczał młody mężczyzna przytrzymujący ją mocno za nadgarstki. Na drugim końcu ołtarza klęczała młoda kobieta trzymająca ją za kostki. Piratka nie mogła się ani podnieść, ani poruszyć.

Jedenaścioro mężczyzn i kobiet Tecuhltlich klęczało niemo w półokręgu, obserwując tę scenę żarliwym, pełnym żądzy wzrokiem.

Na tronowym siedzisku z kości słoniowej rozwaliła się Tascela. Spiżowe misy z kadzidłem roztaczały wokół niej spirale dymu, jego smugi owijały się dookoła jej nagich członków niby pieszczotliwe dłonie. Nie potrafiła usiedzieć spokojnie; kręciła się i przesuwiała w zmysłowym pobudzeniu, jak gdyby znajdując przyjemność w styczności swego gładkiego ciała z równie gładką kością słoniową.

Trzask drzwi, kiedy wyłamały się pod uderzeniem rozpędzonych ciał, nie wywołał żadnych zmian w tej scenie. Klęczący mężczyźni i kobiety ledwie przelotnie spojrzeli bez zainteresowania na zwłoki księcia oraz na człowieka, który powstał ze szczątków drzwi, a potem chciwie przesunęli wzrok z powrotem na białą postać szarpiącą się na czarnym ołtarzu. Tascela popatrzyła na niego zuchwale i rozparła się na swym siedzisku, śmiejąc się drwiąco.

– Ty wywłoko! – Wzrok Conana zasnuł gniew. Jego dłonie zacisnęły się w stalowe młoty, kiedy ruszył ku niej. Przy pierwszym kroku coś szczęknięło głośno i w nogę ukąsiła go wściekle stal. Potknął się i prawie upadł, powstrzymany w swym pospiesznym marszu. Na nodze zamknęły mu się szczęki stalowej pułapki, a jej zęby wpiły głęboko i trzymały. Tylko przyzmy mięśni na jego łydce

uchroniły kość przed strzaskaniem. Ten przeklęty przedmiot wyskoczył z żarzącej się posadzki bez ostrzeżenia. Teraz dostrzegął szczeliny w podłodze tam, gdzie spoczywały wcześniej doskonale zamaskowane szczęki.

– Głupcze! – Tascela roześmiała się. – Myślisz, że nie zabezpieczyłabym się na ewentualność twojego powrotu? Wszystkie drzwi w tej komnacie strzeżone są takimi pułapkami. Stój tam i patrz, podczas gdy ja dopełnię przeznaczenia twej atrakcyjnej przyjaciółki! Potem zdecyduję o twoim.

Conan instynktownie sięgnął do pasa, tylko po to, by natknąć się na pustą pochwę. Jego miecz został na schodach. Puginał leżał hen, w puszczy, gdzie smok wyrwał go ze swej paszczy. Stalowe zęby w nodze były niby palące węgle, lecz ból nie był tak wściekły jak furia, która wrzała w jego duszy. Znalazł się w potrzasku niczym wilk. Gdyby miał miecz, odrąbałby sobie nogę i poczołgał się po podłodze, by zabić Tascelę. Oczy Valerii zwróciły się w jego stronę w niemym wołaniu o pomoc, a jego bezradność wypełniła mu umysł napływającymi falami skrajnego szaleństwa.

Opadłszy na kolano wolnej nogi, usiłował wetknąć palce między szczęki potrzasku, by rozerwać je siłą. Spod paznokci popłynęła krew, lecz szczęki obejmowały jego nogę obręczą, której fragmenty złączyły się doskonale, zaciskając, aż nie było już miejsca pomiędzy pokiereszowanym ciałem a zębatym żelastwem. Widok nagiego ciała Valerii dolał oliwy do ognia jego gniewu.

Tascela go ignorowała. Wstając ociężale ze swego siedziska, omiotła szeregi swoich poddanych badawczym spojrzeniem i zapytała:

– Gdzie są Xamec, Zlanath i Tachic?

– Nie powrócili z katakumb, księżniczko – odparł jeden z mężczyzn. – Jak pozostali z nas, zanosili ciała zabitych do krypt, lecz nie powrócili. Być może pochwycił ich duch Tolkemeca.

– Cicho bądź, głupcze! – nakazała ostro. – Ten duch to mit. – Zeszła z podwyższenia, bawiąc się cienkim sztyletem o złotej rękojeści. Jej oczy płonęły żarem z głębi piekieł. Zatrzymała się obok ołtarza i przemówiła w pełnej napięcia ciszy. – Twoje życie uczyni mnie młodą, biała kobieto! – stwierdziła. – Pochylę się nad twoją pierś, złożę swe usta nad twymi i powoli – ach, powoli! – zatopię to ostrze w twym sercu, tak że twoje życie, ulatując ze sztywniejącego ciała, wejdzie w moje i sprawi, że ponownie rozkwitnę młodością i życiem bez końca!



Wolno, niczym wąż wygięty w łuk w stronę ofiary, pochylała się przez wijące się dymy, coraz to bliżej nieruchomej obecnie kobiety, która wpatrywała się w jej błyszczące ciemne oczy – oczy, które stawały się większe i głębsze, świecąc w kołującym dymie jak czarne księżyce.

Kłęczący ludzie chwycili się mocno za ręce i wstrzymali oddech w napięciu przed krwawą kulminacją, a jedyny odgłos stanowiło gwałtowne sapanie Conana, kiedy usiłował wyrwać nogę z potrzasku.

Wszystkie oczy wlepione były w ołtarz i białą postać; hukowi błyskawicy trudno byłoby przełamać ów czar, jednak to cichy krzyk roztrzaskał stabilność całej sceny i sprawił, że wszyscy odwrócili się gwałtownie – krzyk cichy, wszelako jeden z tych, które stawiają dęba włosy na głowie. Popatrzyli i ujrzeni.

W futrynie drzwi po lewej stronie podwyższenia stała koszmarna postać. Był to mężczyzna z mierzwą białych włosów i skołtunioną białą brodą, która opadała mu na pierś. Łachmany tylko częściowo okrywały jego wychudłą sylwetkę, odsłaniając półnagie członki o dziwnie nienaturalnym wyglądzie. Jego skóra nie była taka, jak u zwykłego człowieka. Była w niej jakaś łuskowatość, jak gdyby właściciel żył długo w warunkach sprzecznych z tymi, w których rozwija się ludzkie życie. I w ogóle nie było nic ludzkiego w jego oczach, które płonęły pośród mierzwy białych włosów. Były one wielkimi, błyszczącymi kręgami, które patrzyły bez zmrużenia powiek, świetliste, białawe, bez odrobiny zwyczajnych odczuć czy zdrowego rozsądku. Jego usta się otworzyły, lecz nie wypowiedziały żadnych składnych słów, wydając tylko piskliwy chichot.

– Tolkemec! – wyszeptała poszarzała Tascela, podczas gdy pozostali skulili się, oniemiaли ze zgrozy. – To nie mit zatem, nie duch! Na Seta! Żyłeś dwanaście lat w ciemności! Dwanaście lat wśród kości umarłych! Jaką straszliwą strawę wynajdywałeś? Jaką obłądną parodię życia wiodłeś w zupełnej ciemności wiecznej nocy? Pojmuję teraz, dlaczego Xamec, Zlanath i Tachic nie powrócili

z katakumb... I nigdy nie powrócą. Ale czemu tak długo czekałeś, by uderzyć? Szukałeś kogoś w lochach? Jakiejś sekretnej broni, o której wiedziałeś, że tam ją ukryto? Odnalazłeś ją w końcu?

Jedyną odpowiedź Tolkemeca stanowił ten ohydny chichot, kiedy wskoczył do pomieszczenia długim susem, który przeniósł go nad tajemną pułapką przed drzwiami – przypadkiem albo dzięki jakiemuś niewyraźnemu wspomnieniu życia w Xuchotl. Nie był szalony, tak jak szalony bywa człowiek. Żył z dala od ludzkości tak długo, że sam przestał być człowiekiem. Jedynie nieprzerwana nić wspomnień ucieleśnianych przez nienawiść i pragnienie zemsty łączyła go z ludzkością, od której odcięty przebywał, i sprawiała, że wciąż czaił się blisko ludzi, których nienawidził. Tylko ta cienka więź powstrzymywała go przed pognaniem i wkroczeniem z werwą na zawsze już w czarne korytarze oraz królestwa podziemnego świata, które odkrył dawno temu.

– Poszukiwałeś czegoś ukrytego! – wyszeptała Tascela, kuląc się i cofając. – I odnalazłeś to! Pamiętasz o waśni! Po tych wszystkich latach ciemności ty pamiętasz!

W chudej dłoni Tolkemeca falowała niezwykła różdżka o barwie nefrytu, a na jej końcu żarzył się szkarłatny guz ukształtowany jak jabłko granatu. Tascela uskoczyła w bok, kiedy pchnął nią jak włócznią, a z granatu wystrzelił szkarłatny snop. Nie trafił on w Tascelę, ale na jego drodze znalazła się kobieta przytrzymująca kostki Valerii. Raził ją między łopatki. Rozległ się ostry, trzeszczący dźwięk, a promień ognia błysnął z jej piersi i uderzył w czarny ołtarz, strzelając niebieskimi iskrami. Kobieta zaś runęła na bok, w trakcie upadku kurcząc się i obsychając niczym mumia.

Valeria stoczyła się z ołtarza na drugą stronę i ruszyła na

czworakach ku przeciwległej ścianie. W pokoju tronowym martwego Olmeca rozpętało się piekło.

Mężczyzna, który przytrzymał ręce Valerii, zginął następny. Zerwał się do ucieczki, lecz zanim zrobił pół tuzina kroków, Tolkemec ze zwinnością zastraszającą przy takiej budowie obkoczył go tak, iż mężczyzna ów znalazł się między nim a ołtarzem. Znów rozbłysnął czerwony, ognisty snop i Tecuhtli potoczył się po podłodze bez życia, a snop zakończył swój bieg wybuchem niebieskich iskier na ołtarzu.

Wówczas rozpoczęła się rzeź. Ludzie miotali się po komnacie, wrzeszcząc bezrozumnie, objając się jeden o drugiego, potykając i upadając. A Tolkemec radośnie płażał i brykał między nimi, zadając śmierć. Nie mogli uciec przez drzwi, gdyż najwyraźniej metal framug służył, podobnie jak pokryty żyłami metalu ołtarz, do zamknięcia obwodu piekielnej energii, czymkolwiek ona była, błyskającej niczym gromy z czarodziejskiej różdżki w ręce, którą wymachiwał starzec. Kiedy chwycił mężczyznę albo kobietę pomiędzy sobą a drzwiami czy ołtarzem, osoba ta umierała natychmiast. Nie wybierał ofiar. Brał ich po kolei, w łachmanach, które łopotały przy dzikich zwrotach jego członków, i z donośnym echem chichotu omiatającym pomieszczenie głośniejsze niż wrzaski. Ciało padały wokół ołtarza i przy drzwiach niby opadające liście. Jeden z wojowników w desperacji rzucił się na niego, wznosząc sztylet po to tylko, by paść, nim zdołał uderzyć. Reszta jednak była jak oszalałe bydło, nie myśląc o stawianiu oporu i bez szansy na ucieczkę.

Ostatni Tecuhtli z wyjątkiem Tasceli padł, kiedy księżniczka dosięgła Cimmeryjczyka oraz dziewczyny, która schroniła się przy

nim. Tascela pochyliła się i dotknęła posadzki, przyciskając na niej jeden ze wzorów. Stalowe szczęki natychmiast uwolniły krwawiącą kończynę i wsunęły się w podłogę.

– Zabij go, jeśli możesz! – wydyszała i wcisnęła Conanowi w dłoń ciężki nóż. – Nie dysponuję magią zdolną mu się przeciwstawić.

Wyskoczył przed kobietę z pomrukiem, w gorączce żądy walki nie zważając na poszarpaną nogę. Tolkemec nadchodził właśnie ku niemu, niesamowite oczy miał rozjarzone, lecz na błysk noża w dłoni Cimmeryjczyka zawahał się. Wówczas rozpoczęła się ponura rozgrywka, kiedy to Tolkemec starał się obejść barbarzyńcę i dopaść go przed ołtarzem lub metalowymi drzwiami, podczas gdy Conan próbował tego uniknąć i sięgnąć celu nożem. Kobiety obserwowały to w napięciu, wstrzymując oddech.

Z wyjątkiem szelestu i szurania prędko przesuwanych stóp nie rozbrzmiewał żaden inny dźwięk. Tolkemec już nie brykał i nie płaśał radośnie. Zdał sobie sprawę, że mierzy się z rywalem groźniejszym od ludzi, którzy umierali, wrzeszcząc i umykając. W pierwotnym blasku oczu barbarzyńcy odczytał zamiar równie zabójczy jak własny. Kluczyli w tę i z powrotem, a kiedy jeden się przemieszczał, przesuwał się i drugi, jak gdyby pętały ich razem niewidzialne więzy. Cały czas jednak Conan przysuwał się coraz bliżej do swego wroga. Sploty mięśni na jego udach poczęły napinać się do skoku, kiedy Valeria krzyknęła. A to dlatego, że przez ułamek chwili spiżowe drzwi znalazły się w jednej linii z przesuwającym się ciałem Conana. Kiedy ten uskakiwał, na przypieczonym boku wyrosła mu czerwona krecha, a gdy się przemieszczał, cisnął nożem. Stary Tolkemec padł, w końcu naprawdę zabity, z ręką w pierś.

Tascela skoczyła – nie w kierunku Conana, lecz w stronę różdżki, która migotała na podłodze jak żywa istota. Podobnie jednak uczyniła Valeria – ze sztyletem odebranyemu z martwych – i ostrze wbite z całą mocą mięśni piratki przeszło księżniczkę Tecuhltlich tak, że wystawało jej między piersiami. Tascela wrzasnęła raz i padła martwa, a Valeria ze wzdrgnięciem odepchnęła obcasem leżące ciało.

– Musiałam zrobić choć tyle z szacunku do siebie! – wysapała, obracając się ku Conanowi ponad zwiotczymi zwłokami.

– Dobra, to usuwa waśń. – Odchrząknął. – To była piekielna noc! Gdzie ci ludzie trzymali jedzenie? Głodny jestem.

– Musisz opatrzyć tę nogę. – Valeria oderwała skrawek jedwabiu z kotary i przewiązała go sobie w talii, a potem urwała parę mniejszych pasków i sprawnie obwiązała poharataną kończynę barbarzyńcy.

– Mogę na niej stąpać – zaręczył. – Wynośmy się stąd. Na zewnątrz tego piekielnego miasta już świt. Mam dość Xuchotl. Dobrze się stało, że sami się wytępili. Nie chcę żadnych ich klejnotów. Mogą być przeklęte.

– Dość jest w świecie nieskażonych łupów dla ciebie i dla mnie – stwierdziła Valeria, prostując się przed nim wysoka i wspaniała.

Dawny ogień zapłonął z powrotem w jego oczach i tym razem nie opierała się, kiedy gwałtownie chwycił ją w ramiona.

– Do wybrzeża droga daleka – odezwała się po pewnym czasie, odsuwając swe usta od jego warg.

– Co z tego? – Roześmiał się. – Nie ma nic, czego byśmy nie pokonali. Staniemy na pokładzie statku, zanim Stygijczycy otworzą swoje porty na sezon handlowy. I wtedy pokażemy światu, co to

znaczy grabić!



Varia

Notatki bez tytułu

Westermarck: umiejscowiony pomiędzy marchiami Bossoniaków a piktyjską dziczą.

Prowincje: Thandara, Conawaga, Oriskonie, Schohira. Sytuacja polityczna: Oriskonie, Conawaga i Schohira rządzone były na mocy królewskiego nadania. Każda pod jurysdykcją barona z marchii zachodnich, które leżały tuż na wschód od marchii bossoniackich. Baronowie ci byli odpowiedzialni tylko przed królem Aquilonii. Teoretycznie mieli te ziemie na własność i pobierali pewien procent od dochodów. W zamian dostarczali oddziałów, by strzegły granicy przed Piktami, budowali twierdze i miasta, a także mianowali sędziów oraz innych oficjeli. W rzeczywistości ich władza nie była tak absolutna, jak się zdawało. Istniał swego rodzaju najwyższy zarząd, mieszczący się w największym mieście Conawagi, Scanadze, pod przewodem sędziego mianowanego bezpośrednio przez króla Aquilonii i przywilejem oskarżonego [sic!] było to, że mógł odwołać się do niego pod pewnymi warunkami. Thandara była prowincją wysuniętą najdalej na południe, Oriskonie – najdalej na północ i najrzadziej zasiedloną. Conawaga leżała na południe od Oriskonie, a na południe od Conawagi leżała leżała [sic!] Schohira, najmniejsza z prowincji. Conawaga był największa, najbogatsza oraz najgęściej zasiedlona i jedyna, w której ziemscy patrycjusze osiedlali się na całej rozciągłości. Thandara była w większości

provincją prawdziwych pionierów. Pierwotnie stanowiła tylko twierdzę o tej nazwie, zbudowaną nad Rzeką Starego Wiarusa na bezpośredni rozkaz króla Aquilonii i dowodzoną przez królewskie oddziały. Po podboju Conajohary przez Piktów osadnicy z tej prowincji przemieścili się ku południu i zasiedlili krainę w pobliżu twierdzy. Utrzymywali swą ziemię siłą i bronią i nikt nie otrzymał ani nie potrzebował żadnego nadania. Nie uznawali oni żadnych baronów za włodarzy. Ich gubernator był po prostu dowódcą wojskowym, którego wybierali spośród siebie, a ich wybór był zawsze przedkładany i aprobowany w kwestii formalnej przez króla Aquilonii. Do Thandary nie posyłano nigdy żadnych oddziałów. Sami budowali forty czy raczej blokhauzy, sami je obsadzali i formowali kompanie, a także inne militarne zespoły nazywane Zwiadowcami. Znajdowali się w stanie nieustającej wojny z Piktami. Kiedy nadeszła wieść, że Aquilonia jest szarpana wojną domową i że Cimmeryjczyk Conan mierzy w koronę, Thandara natychmiast opowiedziała się za Conanem, wypowiedziała poddaństwo królowi Namedesowi oraz posłała wieść, prosząc Conana, by zaaprobował wybranego przez nich gubernatora, co Cimmeryjczyk bezzwłocznie uczynił. To rozwścieczyło dowódcę fortu w marchiach bossoaniackich i pomaszerował on ze swymi wojskami splądrować Thandarę. Ale pogranicznicy spotkali się z nim u swych granic i zadali mu bezlitosną klęskę, po której nie podejmowano już prób wtrącania się w sprawy Thandary. Jednak prowincja pozostała w izolacji, oddzielona od Schohiry dziedziną niezamieszkaną dziczy, a za nią leżał kraj Bossoniaków, gdzie większość ludzi stanowili lojaliści. Baron Schohiry opowiedział się za Conanem i pomaszerował, by

dołączyć do jego armii, lecz nie wziął rekruta z Schohiry, gdzie naprawdę każdy człowiek był potrzebny, by strzec granicy. Jednakowoż w Conawadze było wielu lojalistów i baron Conawagi pojechał osobiście do Scandagi, żeby domagać się od ludu wsparcia go siłą w wyprawie na pomoc królowi Namedesowi. W Conawadze wybuchła wojna domowa, a jej baron zaplanował zmiążyć pozostałe prowincje i uczynić siebie gubernatorem ich wszystkich. Tymczasem w Oriskonie lud wygnał gubernatora mianowanego przez ich barona i zażarcie zwalczał tych lojalistów, jacy się tam skryli.

Wilki za granicami

Wersja A

ROZDZIAŁ 1

Tym, co mnie zbudziło, był pomruk bębna. Nadal leżałem między krzakami, gdzie się schroniłem. Natężyłem słuch, aby go zlokalizować, gdyż takie dźwięki w głębi puszczy bywają zwodnicze. W gęstym lesie dookoła nie rozlegał się żaden odgłos. Nade mną splecione pnącza i cierniste krzewy chyliły się, zwarte, tworząc zgęstniały dach, a powyżej niego majaczyła wyższa, mroczniejsza powoła z gałęzi wielkich drzew. Żadna gwiazdka nie prześwitywała przez to liściaste sklepienie. Nisko wiszące chmury zdawały się napierać na wierzchołki drzew. Księżyc nie świecił. Noc była ciemna jak nienawiść wiedźmy.

Tym lepiej dla mnie. Jeśli nie mogę zobaczyć swoich wrogów, oni także nie mogą widzieć mnie. Jednak złowróżbny szept bębna skradał się przez noc – dum!, dum!, dum! – stały, monotony, zdawał się przepowiadać straszliwe tajemnice. Tego dźwięku nie mogłem pomylić. Tylko jeden bęben na świecie wydaje dokładnie

taki głęboki, groźny, posepny grzmot: piktyjski bęben wojenny w rękach tych wymalowanych bestialskich dzikusów, który mieszkali w Dzicy za granicą Westermarcku.

A ja znajdowałem się za ową granicą, sam, ukryty pod cierniową osłoną pośrodku wielkiej puszczy, gdzie te nagie demony panowały od zarania Czasu.

W tej chwili umiejscowiłem źródło dźwięku; bęben bił na zachód ode mnie i, jak uznałem, w niewielkiej odległości. Prędko podciągnąłem pas, osadziłem wojenny topór oraz nóż w zdobionych paciorkami pochwach, napiąłem swój ciężki łuk i zobaczyłem, czy mój kołczan z jeleniej skóry znajduje się na miejscu przy lewym biodrze – błędząc palcami po omacku w całkowitej ciemności – a potem wyczołgałem się z zarośli i ruszyłem czujnie w kierunku dźwięku bębna.

Że dotyczy on akurat mnie, w to nie wierzyłem. Gdyby ludzie lasu mnie wykryli, oznajmiłby mi to nagle nóż w mym gardle, a nie bęben bijący w dali. Jednak warkot wojennego bębna niósł przesłanie, którego leśny kurier nie mógł zignorować. Jego posepne dudnienie stanowiło ostrzeżenie i groźbę, obietnicę zagłady dla owych białoskórych najeźdźców, których samotne chałupy i wyrąbane siekierami polanki stanowiły niebezpieczeństwo dla odwiecznej, głuchej dzicy. Oznaczało ogień i męczarnie, płonące strzały zlatujące poprzez ciemne niebo niczym spadające gwiazdy oraz ociekające topory wbijane z chrzęstem w czaszki mężczyzn, kobiet i dzieci.

Szedłem zatem poprzez czerń nocnej puszczy, delikatnie wymacując drogę między potężnymi pniami, niekiedy pełznąc na czworakach i co pewien czas, kiedy jakieś pnącze przecierało mi

twarz czy błędzącą po omacku dłoń, czując serce w gardle. A to dlatego, że w puszczy tej żyły ogromne węże, które niekiedy zwisały na ogonach z gałęzi wysoko w górze i tak zastawiały pułapkę na swe ofiary. Wszak istoty, jakich poszukiwałem, straszniejsze były od każdego węża i wraz z tym, jak bęben robił się coraz głośniejszy, szedłem tak ostrożnie, jak gdybym stąpał po obnażonych mieczach. I wkrótce dojrzałem przelotnie między drzewami czerwony blask i posłyszałem pomruk gwałtownych głosów mieszających się z rumorem bębna.

Jakakolwiek niesamowita ceremonia mogła się odbywać tam, pod czarnymi drzewami, prawdopodobne było, że wystawili czaty rozsiane dookoła, a wiedziałem, jak cicho i nieruchomo potrafi stać Pikt, zlewając się z naturalną roślinnością puszczy nawet w przyćmionym świetle, niedostrzegalny, dopóki jego ostrze nie przeszyje serca ofiary. Skóra ścierpła mi na myśl o zderzeniu w ciemności z jednym z tych srogich wartowników, wyciągnąłem więc nóż i trzymałem go przed sobą. Wiedziałem wszak, że nawet Pikt nie jest w stanie zauważyć mnie w tej czerni zrodzonej przez splątany dach puszczy oraz zasnuć chmurami niebo.

Światło tańczyło i migotało, i objawiło się jako ognisko, przed którym czarne sylwetki kroczyły w tę i z powrotem niby czarne diabły na tle czerwonych ogni piekieł. I wkrótce przyczałem się blisko w gęstych krzewach olszyn i jeżyn i patrzyłem na otoczoną czarnym murem polankę i poruszające się tam figury.

Piktów było czterdziestu albo pięćdziesięciu, nagich poza przepaskami biodrowymi, ohydnie wymalowanych. Siedzieli w kucki szerokim półokręgiem twarzą do ognia, plecami do mnie.

Dzięki jastrzębim piórom w gęstych, czarnych włosach dowiedziałem się, że są z Klanu Jastrzębia, to jest Skondagi. Na środku polanki znajdował się toporny ołtarz uczyniony z nierównych kamieni usypanych razem na stertę i na ten widok się wzdrygnąłem. A to dlatego, że na pustych, opustoszałych polankach widywałem owe piktyjskie ołtarze już wcześniej, każdy osmalony ogniem i splamiony krwią, nikt jednak nie wiedział, do czego dokładnie się ich używa, nawet najstarsi pogranicznicy. Teraz wszak wiedziałem instynktownie, że mogę zostać świadkiem potwierdzenia straszliwych opowieści snutych o nich oraz o przyozdobionych piórami szamanach, którzy ich używają.

Jeden z owych diabłów, powłócząc nogami, wykonywał pomiędzy ogniskiem a ołtarzem jakiś wolny taniec, który sprawiał, że jego pióropusz kołysał się i kiwał dookoła niego, ale w niepewnym świetle płomieni o rysach jego twarzy nie byłem w stanie nic powiedzieć.

Pomiędzy nim a półokręgiem siedzących w kucki wojowników stał mężczyzna, który odróżniał się od pozostałych tak bardzo, że jasne było, iż nie jest Piktem. A to dlatego, że był równie wysoki jak ja, a jego skóra jasna przy igrającym ogniu. Odziany był wszak jedynie w przepaskę biodrową z sarniej skóry oraz mokasyny, a w jego włosach tkwiło pióro jastrzębia, pojąłem więc, iż musi być Socandagą, jednym z tych białych dzikusów, którzy zamieszkiwali wielką puszcę w małych klanach, zwykle tocząc wojnę z Piktami, lecz niekiedy zawierając pokój. Piktowie także należą do rasy białej, nie są bowiem czarni, brązowi czy żółci, ale że są czarnoocy i czarnowłosi i mają ciemną skórę, ani o

nich, ani o Socandagach lud z Westermarcku nie mówi „biali”, określając w ten sposób ludzi krwi hyboryjskiej.

Kiedy tak patrzyłem, trzech Piktów przywlekło w krąg światła ogniska jakiegoś mężczyznę – kolejnego Pikta, nagiego i zbroczonego krwią, którego rzucili na ołtarz i związali mu ręce i nogi.

Wtedy szaman zaczął tańczyć ponownie, kreśląc wokół ołtarza i człowieka skomplikowane wzory, a ten, który bił w bęben, wprawił się w czyste szaleństwo, łomocząc jak opętany przez diabła, i wkrótce ze zwisających gałęzi opuścił się jeden z owych wielkich węży, o których mówiłem. Blask ognia połyskiwał na jego łuskach, kiedy wił się w kierunku ołtarza, jego paciorkowate ślepie lśniły, a rozszczepiony język strzelał w przód i chował się, lecz wojownicy nie okazywali strachu, choć wpełził pomiędzy nich o parę stóp od niektórych. Było to dziwne, gdyż zazwyczaj owe węże są jedynymi żywymi stworami, których boją się Piktowie.

Potwór wznosił łeb nad ołtarz i ponad trzęsącym się ciałem więźnia znalazł się pyskiem w twarz z szamanem. Szaman tańczył, wywijając ciałem oraz ramionami i ledwie poruszając w trakcie tego stopami, a wielki wąż tańczył, kołysząc się i splatając, jak gdyby zahipnotyzowany. I wkrótce podniósł się wyżej i począł oplatać ołtarz oraz człowieka na nim, aż ciało tegoż skryło się pod migoczącymi zwojami i tylko głowa pozostawała widoczna, z owym drugim łbem straszliwie kołyszącym się blisko nad nią.

Wtem szaman wykrzyknął przenikliwie i rzucił coś w ogień. Wokół ołtarza wzbił się i roztoczył wielki zielony obłok, tak że

skrywał znajdującą się na nim parę. Jednak pośrodku owego obłoku dostrzegłem odrażające szamotanie i *przemianę* i przez chwilę nie potrafiłem powiedzieć, która część należy do węża, a która do człowieka, i pełne grozy westchnienie omiotło zgromadzonych Piktów niby wiatr jęczący nocą wśród gałęzi.

Potem dym się rozwiął, a człowiek oraz wąż zalegli bezwładnie na ołtarzu, i uznałem, że obaj są martwi. Jednak szaman zwał ich z kamieni i pozwolił opaść bezwładnie na ziemię, i przeciął rzemienie z surowej skóry, które pętały uwięzionemu nadgarstki i kostki, i zaczął tańczyć i śpiewać nad nimi.

I wkrótce człowiek się poruszył. Nie podniósł się jednak. Jego głowa kołysała się z boku na bok i dostrzegłem, że jego język wystrzeliwuje w przód i chowa się, i znów. I – Mitro! – zaczął *odczołgiwać się* od ogniska, jak pełza wielki wąż, na brzuchu!

A wężem nagle wstrząsnęły konwulsje, wygiął się w łuk i uniósł prawie na całą długość, a potem opadł i ponownie próbował, raz za razem, straszliwie, niczym człowiek próbujący się podnieść, stanąć i chodzić prosto po pozbawieniu go członków.

I nocą wstrząsnęło dzikie wycie Piktów. Mnie tam, gdzie się zacząłem – pośród krzaków – zrobiło się niedobrze i zwalczyłem pragnienie, by zwymiotować. Ów szaman przeniósł duszę uwięzionego wroga w węża, tak iżby jego nieprzyjaciel musiał zamieszkać w ciele węża podczas kolejnej swej reinkarnacji.

I tak wili się oni u swego boku – człowiek i wąż – aż w dłoni szamana błysnął miecz i obich [sic!] głowy spadły razem, i... Bogowie! To tułów węża zadrżał i szarpnął się, a potem zaległ nieruchomo, ciało człowieka zaś przetaczało się, plątało i młóciło

niczym pozbawiony łba wąż.

Wówczas szaman zerwał się, obrócił twarzą ku pierścieniowi wojowników, odrzucił głowę i zawył niczym wilk. I kiedy blask ognia padł wprost na jego twarz, rozpoznałem go. Wraz z tym wszystkie myśli o grożącym mi niebezpieczeństwie zniknęły, a z nimi pamięć o mojej misji. Wszystko dlatego, że owym szamanem był stary Garogh z Jastrzębi, który spalił żywcem mego przyjaciela Jona, syna Galtera.

Wiedziony żądzą nienawiści zadziałąłem prawie instynktownie – naszykowałem łuk, założyłem [sic!] strzałę i wystrzeliłem. Światło ognia było niepewne... lecz odległość także niewielka, a my z Westermarcku żyjemy z brzęku cięciw. Ale on poruszył się akurat w chwili, gdy wystrzeliłem. Stary Garogh wrzasnął miaukliwie jak kot i odchylił wstecz, a jego wojownicy zawyli ze zdumieniem, widząc raptem drzewce drżące mu w ramieniu. Wysoki, jasnoskóry wojownik odwrócił się gwałtownie i – Mitro! – to był biały człowiek!

Straszliwy szok takiej niespodzianki sparaliżował mnie na chwilę i omal nie wykończył. A to dlatego, że Piktowie zerwali się nagle i ruszyli w puszcę niczym pantery, znając kierunek, z którego nadleciała strzała, a może nawet konkretne miejsce. Wtem wyrwałem się spod czaru zdumienia i grozy, uwolniłem się i popędziłem w ciemność, wykonując uniki oraz uchylając się przed drzewami, które omijałem bardziej dzięki instynktowi niż czemu innemu, gdyż ciemno było jak zawsze.

Skierowałem się na południe i wkrótce posłyszałem za sobą obrzydliwe wycie, którego owładnięta krwawym szaleństwem furia wystarczała, by zmrozić krew w żyłach nawet leśnemu

kurierowi. Uznałem, że wyrwali strzałę z ramienia szamana i odkryli, że to drzewce białego człowieka.

Lecz ja umykałem dalej, moje serce waliło ze strachu, podniecenia oraz grozy koszmaru, którego byłem świadkiem. A to, że ten biały, Hyboryjczyk, przebywał tam, zapewne jako mile widziany i zaszczytny gość, było tak potworne, że zastanawiałem się koniec końców, czy cała ta sprawa nie była jakimś nocnym koszmarem. Nigdy wcześniej bowiem żaden biały człowiek nie obserwował piktyjskiej ceremonii, poza więźniami czy szpiegami, tak jak ja. A jakiej potwornej sprawy to był zwiastun, tego nie wiedziałem, byłem jednak wstrząśnięty tą zapowiedzią i przerażony na samą myśl o niej.

I to z powodu przerażenia szedłem bardziej nieostrożnie, niż mam w zwyczaju, zyskując na pośpiechu kosztem ukradkowości, i sporadycznie wpadałem na drzewa, które mógłbym ominąć, gdybym bardziej uważał. I nie wątpię, że to kolejne odgłosy ściągnęły na mnie owego Pikta, gdyż nie był on w stanie dostrzec ani mnie, ani śladów moich stóp w tak przenikliwych ciemnościach.

Skoro jednak zakradł się na kilkanaście stóp ode mnie, zlokalizował mnie po nikłych odgłosach, jakie wydawałem, i wyłonił się z czerni nocy niczym diabeł. Dowiedziałem się o nim za sprawą cichego tupotu jego bystrych, nagich stóp, odwróciłem gwałtownie i nie byłem nawet w stanie wypatrzeć jego niewyraźnej postaci, lecz wiedziałem, że on musi widzieć mnie, gdyż Piktowie widzą w mroku jak koty. Nie mógł mnie wszelako widzieć za dobrze, gdyż nadział się na nóż, którym pchnąłem na ślepo, a jego przedśmiertny skowyt, kiedy padł, zadźwięczał pod

dachem puszczy niby ton zwiastujący nieszczęście. Odpowiedziało mu za mną kilkanaście dzikich okrzyków. A ja odwróciłem się i uciekałem teraz ile sił, porzucając ukradkowość dla prędkości, ufny w szczęście, że uda mi się w ciemności nie roztrzaskać łba o pień jakiegoś drzewa.

I tak dotarłem do miejsca, gdzie mało było poszycia i coś podobnego do światła prześwitywało między gałęziami, gdyż chmury trochę się rozstąpiły. Umykałem przez tę puszcę niczym potępiona dusza ścigana przez demony, dopóki zawodzenia nie osłabły, pozostając w dali za mną, gdyż w nieprzerwanym biegu żaden Pikt nie może dorównać długim nogom białego leśnego kuriera. I wkrótce, gdy tak brnąłem, ujrzałem daleko przed sobą między drzewami słabe przebłyski i wiedziałem, że to światła pierwszej wysuniętej placówki Schohiry.

ROZDZIAŁ 2

Być może, zanim będę kontynuował tę kronikę krwawych lat, byłoby dobrze, gdybym powiedział co nieco o sobie i powodach, dla których samotnie nocą przemierzałem Piktyjską Dzicz.

Jestem Gault, syn Hagara. Urodziłem się w prowincji Conajohara. Kiedy jednak miałem pięć lat, Piktowie przedarli się przez Rzekę Czarną, szturmem zajęli Fort Tuscelan i zarżnęli w środku wszystkich poza jednym człowiekiem, i wygnali z prowincji wszystkich osadników na wschód od Rzeki Grzmiącej. Conajohara nie została już nigdy zdobyta i stała się ponownie częścią Dziczy, zamieszkaną jedynie przez dzikie bestie i dzikich ludzi. Lud z Conajohary rozproszył się po Westermarcku – Schohirze, Conawadze czy Oriskonie – lecz wielu z nich pojechało na południe i osiadło w pobliżu Fortu Thandara, odizolowanej placówki nad Rzeką Starego Wiarusa. Wśród nich moja rodzina. Tam przyłączyli się później do innych osadników, dla których starsze prowincje były zbyt gęsto zaludnione, i wkrótce zrodziła się prowincja Thandary. Znana była jako Wolna Prowincja Thandary, ponieważ nie była, jak inne prowincje, rządzona z nadania czy prawem do użytkowania przez żadnego z panów, odkąd ludzie wycięli ją z dziczy bez pomocy nobilów. Nie płaciliśmy podatków żadnym baronom zza marchii bossoniackich, którzy rościliby sobie prawo do tych ziem z królewskiego nadania. Nasz gubernator nie był

wyznaczany przez żadnego z panów, lecz my wybieraliśmy go sami spośród naszych szeregów, i odpowiadał jedynie przed królem. Obsadziliśmy swoje forty naszymi ludźmi i sami utrzymywaliśmy się w trakcie wojny, tak jak i pokoju. A Mitra wie, że wojna była normalnym stanem rzeczy, gdyż naszymi sąsiadami były okrutne plemiona Piktów – Pantery, Aligatora czy Wydry – i nigdy nie było pokoju między nami.

Rozkwitaliśmy jednak i rzadko pytali, co dzieje się w królestwie na wschód od marchii, skąd przybyli nasi dziadowie. W końcu jednak wydarzenia w Aquilonii dotknęły i nas w dziczy. Przyszły wieści o wojnie domowej i wojowniku, który powstał, żeby wydrzeć tron pradawnej dynastii. I skry owego pożaru postawiły pogranicze w ogniu, i zwrócił się sąsiad przeciw sąsiadowi, a brat przeciw bratu. I tak oto spieszyłem samotnie przez odcinek dziczy, jaki dzielił Thandare od Schohiry, z wieściami, które mogły zmienić los całego Westermarcku.

Rzekę Miecza przekroczyłem wczesnym świtem, brodząc po płycznach, i zostałem wywołany przez posterunkowego na drugim brzegu. Kiedy dowiedział się, że jestem z Thandary, rzekł:

– Na Mitrę! Twoja sprawa musi być pilna, skoro przekraczasz Krainę Jastrzębi, zamiast przebyć dłuższą drogę.

Thandara bowiem oddzielona była od pozostałych prowincji przez Małą Dzicz, na wschód od nas, lecz nie zamieszkiwali jej Piktowie. Znajdowała się tam droga do marchii bossoniackich, a stamtąd biegła do innych prowincji.

Wówczas począł wypytywać mnie o stan spraw w Thandarze, gdyż zaklinał się, że w Schohirze nie wiedzą nic pewnego, ale ja powiedziałem mu niewiele, jako że byłem na długim zwiadzie w

krainie Piktów, i bardzo chciałem, aby powiedział mi, czy Hakon, syn Stroma, przebywa w forcie. Nie wiedziałem bowiem, jak kształtują się wydarzenia w Schohirze, a chciałem być zaznajomiony z sytuacją, zanim przemówię.

Powiedział mi, że tamtego nie ma w forcie, lecz jest w mieście Schondara, które leży o kilka mil na wschód od fortu.

– Mam nadzieję, że Thandara opowie się za Conanem – rzekł, przeklinając – bo powiem ci szczerze, że takie są nasze polityczne przekonania. Właśnie teraz nasza armia rozłożona jest za Schondarą i czeka na szturm barona Brocasa z Torh, ale przez konieczność pilnowania tych przeklętych Piktów my wszyscy jesteśmy tutaj.

Nie rzekłem nic, lecz byłem zaskoczony. Brocas był bowiem panem Conawagi, nie Schohiry, której patronem był lord Thespius z Kormonu. Thespius, co wiedziałem, przebywał daleko, w Aquilonii, walcząc w wojnie domowej i grasując tam, dlatego zdziwiłem się, że Brocas nie jest zanadto zajęty.

Wypożyczyłem konia w forcie po drodze do Schondary, atrakcyjnego miasteczka jak na osadę przygraniczną, ze schludnymi domami z ociosanych bali, niektórymi pomalowanymi, ale bez fosy czy palisady dookoła, co było dla mnie dziwne. W Thandarze bowiem budujemy swe miejsca zamieszkania do obrony i w naszej prowincji nie ma za wiele czegoś takiego jak osady.

W gospodzie powiedziano mi, że Hakon, syn Stroma, pojechał do Orklay Creek, gdzie wojska milicji z Schohiry rozbiły się obozem, ale niedługo wróci. Będąc więc głodny i znużony, zjadłem posiłek, a potem ułożyłem się w rogu na niedźwiedziej skórze, jaką przyniósł mi gospodarz, i zasnąłem. Śniłem jeszcze, kiedy Hakon, syn Stroma, powrócił tuż przed zachodem słońca.

Był on wysokim mężczyzną, wysmukłym, o szerokich ramionach, jak większość ludzi z ziem zachodnich, odzianym w łowiecką bluzę ze skóry jelenia, nogawice z frędzlami oraz mokasyny, takie jak moje.

Kiedy wymieniałem swe imię i powiedziałem mu, że mam dla niego wieść, popatrzył na mnie uważnie i kazał usiąść ze sobą u stołu w rogu, gdzie mój gospodarz przyniósł nam skórzane kubki z piwem.

– Jakież wieści mi przynosisz? – zapytał.

– Czy żadne wieści o stanie spraw w Thandarze nie dotarły?

– Żadne pewne wieści, tylko pogłoski.

– Bardzo dobrze. Oto wieść, którą przynoszę od Branta, syna Dragona, gubernatora Thandary, oraz rady dowódców. Thandara opowiedziała się za Conanem i jest gotowa wesprzeć jego przyjaciół oraz podjąć wyzwanie jego sprzymierzeńców.

Na to tamten uśmiechnął się, westchnął jak gdyby z ulgą i serdecznie, mocno uścisnął mą brązową rękę swą szorstką dłonią.

– Dobrze! – wykrzyknął. – Wątpliwości zniknęły z mych myśli. Wiedzieliśmy, że jakąkolwiek drogą Thandara pójdzie, jest to prowincja, która nie będzie cicho. My mamy wrogów z każdej strony i obawialiśmy się napaści z południa, przez Krainę Jastrzębi, gdyby Thandara obstawała mocno za Namedidesem.

– Któryż człowiek z Thandary mógłby zapomnieć o Conanie? – powiedziałem. – Nie, byłem ledwie dzieckiem w Conajoharze, lecz pamiętam go, kiedy był tam leśnym kurierem i zwiadowcą. Kiedy jego jeździec przybył do Thandary, prawiąc nam, że Conan sięgnął po tron i domaga się naszego wsparcia – nie żądał ochotników do swych wojsk, mówiąc, że wie, iż każdy jest potrzebny do strzeżenia

granicy – posłaliśmy mu jedno stwierdzenie: „Powiedz Conanowi, że nie zapomnieliśmy o Conajoharze”. Później przez marchie przybył baron Attalius, aby nas zgnieść, lecz my zasadziliśmy się na niego w Małej Dżicy i roznieśliśmy jego wojsko na strzępy. Długie łuki jego Bossoniaków okazały się bezużyteczne. Pognębiliśmy ich zza drzew i krzaków, a potem, nacierając na małej przestrzeni, spadliśmy na nich z toporami wojennymi i nożami i porzneliśmy na kawałki. Resztki wygnaliśmy za granicę i nie sądzę, by ktokolwiek odważył się zaatakować Thandarę ponownie.

– Chciałbym móc to rzec i o Schohirze – stwierdził ponuro. – Baron Thespius przesłał nam wieść, że możemy zrobić, jak zechcemy... On opowiedział się za Conanem i dołączył do wojsk rebeliantów. Nie prosił wszak o zachodniego rekruta. Nie, obaj, on i Conan, wiedzą, że Westermarck potrzebuje każdego człowieka do strzeżenia granic. Wycofał jednakowoż swoje oddziały z fortów, a my obsadziliśmy je swymi leśnikami. Potem Brocas ruszył przeciwko nam. Przynajmniej dziewięć dziesiątych Schohiry jest za Conanem, więc lojaliści albo siedzą cicho, albo umknęli do Conawagi, przysięgając wrócić i poderżnąć nam wszystkim gardła. W Conawadze posiadacze ziemscy oraz Brocas są za Namedidesem i ludzie, którzy są za Conanem, lękają się przemawiać.

Skinąłem głowę. Byłem w Conawadze przed rewoltą i miałem świadomość panujących tam warunków. Była to największa, najbogatsza oraz najgęściej zaludniona prowincja w całym Westermarcku i tylko tam była tam [sic!] stosunkowo obszerna klasa tytułarnych ziemian.

– Miażdżąc rewoltę wśród własnych ludzi – rzekł Hakon – Brocas umyślił podporządkować sobie Schhiro [sic!]. Sądzę, że ten dureń o

czarnej, obwisłej gębie planuje rządzić całym Westermarckiem jako wicekról Namedidesa. Przez granicę sprowadził aquilońskich zbrojnych, bossoniackich łuczników oraz lojalistów z Conawagi i obecnie rozłożeni są pod Coyagą, dziesięć mil za Strugą Orklaga [sic!]. Wiemy, co kiedy [sic!] wyruszy przeciwko nam. Ventrion, gdzie rozłożyły się nasze wojska, pełne jest uchodźców ze wschodu krainy, który spustoszył. Nie boimy się go. Musi przekroczyć Strugę Orklaga [sic!], by na nas uderzyć, a my umocniliśmy zachodni brzeg i zablokowaliśmy drogę, którą musi podążać jego jazda. Przewyższa nas liczebnie, lecz my damy mu to, o co się prosi.

– Tego tyczy się moja misja – powiedziałem. – Jestem upoważniony przez gubernatora Thandary, aby zaproponować wam usługi stu pięćdziesięciu thandarańskich patrolowców. Nie wyglądamy ataku z Aquilonii, a o tylu mężczyzn możemy umniejszyć nasze siły w walce z Piktami Panterami.

– Dobrze! – odparł. – Kiedy komendant fortu o tym usłyszy...

– Co? – rzekłem. – *Ty* nie jesteś komendantem?

– Nie – oznajmił. – Jest nim mój brat Dirk, syn Stroma.

– Gdybym o tym wiedział, przekazałbym swe posłanie jemu – stwierdziłem. – Brant, syn Dragona, myślał, że ty jesteś komendantem. Ale to prawie to samo.

– Jeszcze jeden kufel piwa – powiedział Hakon – i wyruszymy do fortu, aby i Dirk wysłuchał twych wieści z pierwszej ręki.

Zauważyłem, że Hakon rzeczywiście nie jest człowiekiem zdatnym do dowodzenia posterunkiem, gdyż jako człowiek dzielny i silny był zbyt brawurowy i miał w sercu wesołego diabła.

– A co z waszym ziemiaństwem? – zapytałem, choć w Schohirze było go mniej niż w Conawadze, trochę jednak było.

– Poszło przez granicę i dołączyło do Brocasa – odrzekł. – Wszyscy z wyjątkiem lorda Valeriana. Jego posiadłość sąsiaduje z miastem. Pozostali panowie rozsiedli się na wschodzie. On zaś pozostał, rozpuścił swoich podwładnych oraz gundermańskich strażników i przyobiecał mieszkać cicho w Dworze Valeriana, nie włączając się w ten czy inny sposób. Z wyjątkiem kilku sług przebywa sam w dworze, który stoi na południe od miasta. Gdzie podzieli się jego wojownicy, tego nie wie nikt. On ich wszak odprawił. Ulżyło nam, kiedy ogłosił neutralność, gdyż jest jednym z niewielu białych ludzi, których szanują Piktowie. Gdyby przyszło mu do głowy podburzyć ich na granicy, mogłoby nam być niewymownie ciężko obronić się przed nimi z jednej i przed Brocasem z drugiej strony. Nasi najbliżsi sąsiedzi, Jastrzębie, patrzą na Valeriana z wielką przyjaźnią, a Żbiki i Żółwie nie są im wrogiem. Poza tym mówi się, że może on nawet odwiedzać miasta Piktów Wilków i odchodzić stamtąd żywy.

Jeśli była to prawda, to zaiste dziwna, gdyż wszyscy znali zajadłość wielkiej konfederacji sprzymierzonych klanów, znanej jako plemię Wilka, mieszkającej na zachód od terenów łowieckich trzech mniejszych plemion, które wymienił wcześniej. Trzymali się oni przeważnie z dala od granicy, lecz groźba ich inwazji zawsze stanowiła niebezpieczeństwo na pograniczu Schohiry.

Hakon podniósł wzrok, kiedy do szynku wszedł wysoki mężczyzna w pludrach, butach i szkarłatnym płaszczu.

– Oto i lord Valerian – rzekł.

Popatrzyłem i już byłem na nogach.

– Ten człowiek? – wykrzyknąłem. – Widziałem go ubiegłej nocy za granicą w obozie Jastrzębi, jak był świadkiem ofiary z jeńca

wojennego!

Tamten obrócił się blady i wybuchnął zajadle:

– Przeklęty! Kłamiesz!

I odwinąwszy gwałtownie płaszcz, złapał rękojeść swego miecza. Zanim jednak zdołał go wyciągnąć, zwarłem się z nim i obaliłem go na podłogę, gdzie wyszczerzył się, kłapnął mnie w szyję jak dziki zwierz, a skoro to mu się nie powiodło, oburącz chwycił za gardło. Potem rozległ się szybki tupot stóp i mężczyźni odciągali nas już od siebie, mocno trzymając mego jaśniepana, który trwał poblady, dysząc z furii i wciąż zaciskając w dłoni moją chustę na szyję.

– Gdyby to była prawda... – zaczął Hakon.

– To jest prawda! – wykrzyknąłem. – Popatrzcie tam! Nie miał czasu, by zmasać malowidła ze swej piersi!

Jego dublet oraz koszula rozdarły się w trakcie szamotaniny i na jego piersi ukazał się symbol białej czaszki, którą Piktowie malują tylko wtedy, gdy zamyślają wojnę z białymi. Usiłowałem zmyć ją, lecz piktyjskie farby barwią trwale.

– Zabierzcie go do aresztu – rzekł poblady jak ściana Hakon.

– Oddawaj moją chustę – zażądałem, lecz jego lordowska mość splunął ku mnie i wcisnął sobie tkaninę za pazuchę.

– Kiedy do ciebie powróci, będzie zapętlona w katowski stryczek na twej buntowniczej szyi – warknął, a potem pochwycono go mocno i zabrano.

ROZDZIAŁ 3

W forcie znaleźliśmy człowieka, który powiedział, że zabierze wieści z powrotem do Thandary, gdzie ma krewnych, więc stwierdziłem, iż pozostanę w Schohirze. Zwiadowcy donieśli, że Brocas nadal stoi obozem pod Coyagą i nie zdradza żadnych oznak szykowania się przeciwko nam, co przekonało mnie, że czeka na Valeriana, by ten poprowadził Piktów na granicę, i tak weźmie wolnych ludzi z Schohiry w dwa ognie. Valeriana umieszczono w areszcie – małym budynku z ciosanych bali – z tylko jednym przebywającym tam więźniem, mężczyzną w sąsiedniej celi, którego trzymano za pijaństwo i bójkę na ulicy. Valerian nie rzekł nic, lecz usiadł w rogu i począł obgryzać paznokcie, a oczy miał niczym bagienny kot.

Tej nocy spałem w gospodzie i miałem pokój na górze. W nocy przebudzony zostałem wybiciem okna i usiadłem na łóżku, dopytują [sic!], kto zacz. W następnej chwili coś rzuciło się na mnie z ciemności, a na mej szyi znalazł się kawał jakiejś tkaniny, okręcony i duszący mnie. Na oślep wymacałem swój toporek i zadałem jeden cios, a owo stworzenie upadło. Kiedy skrzesałem światło, ujrzałem leżącego na podłodze pokracznego małpoludzkiego stwora i uznałem, że to *Chakan*, jedna z tych na wpół ludzkich istot, które żyją głęboko w puszczy i potrafią wywęszyć trop niby psy gończe. W swych powykrzywianych

dłoniach nadal trzymał moją chustę na szyję i z tego dowiedziałem się, że został posłany moim śladem przez lorda Valeriana.

Pośpieszyliśmy z Hakonem do aresztu i tam znaleźliśmy strażnika leżącego pod drzwiami z poderżniętym gardłem, a mego jaśniepana nie było. Pijak z sąsiedniej celi bliski był śmierci ze strachu, lecz powiedział nam, że jakaś ciemna kobieta, naga poza przepaską biodrową, podeszła do strażnika, popatrzyła mu w oczy, a on stał się jak człowiek w transie. Zatem kobieta wzięła mu z pochwy nóż, podcięła gardło i uwolniła lorda Valeriana. A towarzyszyła jej też jakaś straszliwa potworność, lecz zaiła się w oddaleniu. Dowiedzieliśmy się, że owa kobieta była jego półkrwi piktyjską metresą, za sprawą której posiadał władzę nad Piktami. Niektórzy mówili, że to córka starego Goragha. Pijak udawał, że śpi, więc zostawili go przy życiu. On jednak podsłuchiwał, jak mówili, że pójdą do pewnej chaty przy Strudze Rysia, o kilka mil od miasta, i spotkają się z podwładnymi oraz gundermańskimi strażnikami, którzy tam się ukrywali, a potem przekroczą granicę i sprowadzą Jastrzębie, Żbiki oraz Żółwie, żeby podcięli nam wszystkim gardła.

Kobieta powiedziała mu wszak, że plemiona te nie odważą się walczyć, nie poradziwszy się czarownika, który zamieszkuje Bagno Ducha, a on rzekł, iż dopilnuje, by ów czarownik powiedział im, aby walczyli.

I tak oto uciekli. Wówczas Hakon zbudził tuzin ludzi i podążyliśmy za nimi, i dopadliśmy Gundermanów w chałupie nad Strugą Rysia, i wycięliśmy prawie wszystkich, jednak kilku naszych ludzi zostało zabitych, a lord Valerian i tuzin pozostałych ulotnił się bez szwanku.

Podążyliśmy za nimi i w walce oraz starciach zabiliśmy kilku

następnych, a wkrótce wszyscy nasi ludzie zginęli, z wyjątkiem mnie i Hakona. Tropiliśmy Valeriana przez granicę, aż po obóz wojenny plemion w pobliżu Bagna Ducha, gdzie wodzowie mieli radzić się czarownika, szamana z czasów przedpiktyjskich.

Wytropiliśmy Valeriana na bagnach, gdzie zamierzał on w tajemnicy powierzyć szamanowi swe instrukcje, a Hakon czekał na szlaku, żeby go zabić, podczas gdy ja wkradłem się do obozu, żeby zabić czarownika. Obaj zostaliśmy jednak schwytani przez czarownika, który wydał przyzwolenie na wojnę i udzielił tamtym upiornej magii do wykorzystania przeciwko białemu człowiekowi, a plemiona udały się, wyjąc, ku granicy. Jednak Hakon i ja uciekliśmy, zabiliśmy czarownika i podążyliśmy za nimi w sam czas, by odwrócić ich magię przeciwko nim i ich rozgromić.

Wilki za granicami

Wersja B

ROZDZIAŁ 1

Tym, co mnie zbudziło, był pomruk bębna. Nadal leżałem między krzakami, gdzie się schroniłem. Natężyłem słuch, aby go zlokalizować, gdyż takie dźwięki w głębi puszczy bywają zwodnicze. W gęstym lesie dookoła nie rozlegał się żaden odgłos. Nade mną splecione pnącza i cierniste krzewy chyliły się, zwarte, tworząc zgęstniały dach, a powyżej niego majaczyła wyższa, mroczniejsza powoła z gałęzi wielkich drzew. Żadna gwiazda nie prześwitywała przez to liściaste sklepienie. Nisko wiszące chmury zdawały się napierać na wierzchołki drzew. Księżyc nie świecił. Noc była ciemna jak nienawiść wiedźmy.

Tym lepiej dla mnie. Jeśli nie mogę zobaczyć swoich wrogów, oni także nie mogą widzieć mnie. Jednak złowróźbny szept bębna skradał się przez noc – dum!, dum!, dum! – stały, monotony, wymrukiwał i wywarkiwał nieopisane tajemnice. Tego dźwięku nie mogłem pomylić. Tylko jeden bęben na świecie wydaje

dokładnie taki głęboki, groźny, posepny grzmot: piktyjski bęben wojenny w rękach tych wymalowanych bestialskich dzikusów, który mieszkali w Dzicy za granicą Westermarcku.

A ja znajdowałem się za ową granicą, sam, ukryty pod cierniową osłoną pośrodku wielkiej puszczy, gdzie te nagie demony panowały od zarania Czasu.

W tej chwili umiejscowiłem źródło dźwięku; bęben bił na zachód ode mnie i, jak uznałem, w niewielkiej odległości. Prędko podciągnąłem pas, osadziłem wojenny topór oraz nóż w zdobionych paciorkami pochwach, napiąłem swój ciężki łuk i upewniłem się, że mój kołczan jest na miejscu przy lewym biodrze – błędząc palcami po omacku w całkowitej ciemności – a potem wyczołgałem się z zarośli i ruszyłem czujnie w kierunku dźwięku bębna.

Że dotyczy on akurat mnie, w to nie wierzyłem. Gdyby ludzie lasu mnie wykryli, oznajmiłby to nagle nóż w moim gardle, a nie bęben bijący w dali. Jednak warkot wojennego bębna niósł przekaz, którego leśny kurier nie mógł zignorować. Było to ostrzeżenie i groźba, obietnica zagłady dla owych białoskórych najeźdźców, których samotne chałupy i wyrąbane siekierami polanki stanowiły niebezpieczeństwo dla odwiecznej, głuchej dzicy. Oznaczało ogień i męczarnie, płonące strzały zlatujące poprzez ciemność niczym spadające gwiazdy oraz czerwone topory wbijane z chrzęstem w czaszki mężczyzn, kobiet i dzieci.

Szedłem zatem poprzez czerń nocnej puszczy, delikatnie wymacując drogę między potężnymi pniami, niekiedy pełznąc na czworakach i co pewien czas, kiedy jakieś pnącze przecierało mi twarz czy błędzącą po omacku dłoń, czując serce w gardle. A to

dlatego, że w puszczy tej żyły ogromne węże, które czasami zwisały na ogonach z gałęzi i tak zastawiały pułapkę na swe ofiary. Wszak stworzenia, których poszukiwałem, straszniejsze były od każdego węża i wraz z tym, jak bęben robił się coraz głośniejszy, szedłem tak ostrożnie, jak gdybym stąpał po obnażonych mieczach. I wkrótce dojrzałem przelotnie między drzewami czerwony blask i posłyszałem pomruk barbarzyńskich głosów mieszających się z rumorem bębna.

Jakakolwiek niesamowita ceremonia mogła się odbywać tam, pod czarnymi drzewami, prawdopodobne było, że wystawili czaty rozsiane dookoła, a wiedziałem, jak cicho i nieruchomo potrafi stać Pikt, zlewając się z naturalną roślinnością puszczy nawet w przyćmionym świetle, niedostrzegalny, dopóki jego ostrze nie przeszyje serca ofiary. Skóra ścierpła mi na myśl o zderzeniu w ciemności z jednym z tych srogich wartowników, wyciągnąłem więc nóż i trzymałem go przed sobą. Wiedziałem wszak, że nawet Pikt nie jest w stanie zauważyć mnie w tej czerni zrodzonej przez splątany dach puszczy oraz zasnuć chmurami niebo.

Światło objawiło się jako ognisko, przy którym czarne sylwetki przemieszczały się niby czarne diabły na tle czerwonych ogni piekieł, i wkrótce przyczałem się blisko, wśród gęstych modrzewi, i patrzyłem na otoczoną czarnym murem polankę i poruszające się tam figury.

Piktów było czterdziestu albo pięćdziesięciu, nagich poza przepaskami biodrowymi, ohydnie wymalowanych. Siedzieli w kucki szerokim półokręgiem twarzą do ognia, plecami do mnie. Dzięki jastrzębim piórom w gęstych, czarnych włosach

dowiedziałem się, że są z Klanu Jastrzębia, to jest Onayagi. Na środku polanki znajdował się toporny ołtarz z nierównych kamieni usypanych razem na stertę i na ten widok skóra ścierpła mi na nowo. A to dlatego, że na pustych polankach widywałem owe piktyjskie ołtarze już wcześniej, każdy osmalony ogniem i splamiony krwią, i chociaż nigdy nie byłem świadkiem rytuałów, w trakcie których ich używano, słyszałem opowieści snute o nich przez ludzi, którzy byli więźniami Piktów albo szpiegowali ich, tak jak teraz ja.

Przyozdobiony piórami szaman, powłócząc nogami, wykonywał pomiędzy ogniskiem a ołtarzem jakiś wolny, nieopisane groteskowy [taniec], który sprawiał, że jego pióropusz kołysał się i kiwał dookoła niego, a rysy twarzy skrywała mu szczerząca się szkarłatna maska, która wyglądała jak oblicze diabła z puszczy.

W środku półokręgu wojowników jeden siedział w kucki z wielkim bębnem między kolanami i kiedy uderzał w niego zaciśniętą pięścią, ten wydawał ów niski, warczący łoskot, który był jak pomruk odległego grzmotu.

Pomiędzy wojownikami a tańczącym szamanem stał ktoś, kto nie był Piktem. A to dlatego, że był równie wysoki jak ja, a jego skóra była jasna przy igrającym ogniu. Odziany był wszak jedynie w przepaskę biodrową z sarniej skóry oraz mokasyny. Ciało miał wymalowane, a w jego włosach tkwiło pióro jastrzębia, pojąłem więc, iż musi być Ligureańczykiem, jednym z tych jasnoskórych dzikusów, którzy zamieszkiwali wielką puszcę w małych klanach, zwykle tocząc wojnę z Piktami, lecz niekiedy zawierając pokój i sprzymierzając się z nimi. Ich skóra

jest biała, jak u Aquilończyków. Piktowie także należą do rasy białej, a to przez to, że nie są czarni, brązowi czy żółci, lecz są czarnoocy i czarnowłosi i mają ciemną skórę, więc ani o nich, ani o Ligureńczykach lud z Westermarcku nie mówi: „biali”, określając w ten sposób ludzi krwi hyboryjskiej.

Kiedy tak patrzyłem, trzech wojowników przywlekło w krąg światła ogniska jakiegoś mężczyznę – kolejnego Pikta, nagiego i zbrozonego krwią; w zmierzwionej czuprynie miał nadal pióro, które napiętnowało go jako członka Klanu Kruka, z którym Jastrzębie byli zawsze w stanie wojny. Dręczyciele rzucili go na ołtarz, związali ręce i nogi, a ja widziałem w świetle ognia, jak mięśnie prężą mu się i napinają w daremnym usiłowaniu zerwania rzemieni z surowej skóry, które go więziły.

Wtedy szaman zaczął tańczyć ponownie, kreśląc wokół ołtarza i człowieka skomplikowane wzory, a ten, który bił w bęben, wprawił się w czyste szaleństwo, łomocząc jak opętany przez diabła. I nagle ze zwisających gałęzi opuścił się jeden z owych wielkich węży, o których mówiłem. Blask ognia połyskiwał na jego łuskach, kiedy wił się w kierunku ołtarza, jego paciorkowate ślepią lśniły, a rozszczepiony język strzelał w przód i chował się, lecz wojownicy nie okazywali strachu, choć wpełził pomiędzy nich o parę stóp od niektórych. Było to dziwne, gdyż zazwyczaj owe węże są jedynymi żywymi stworzeniami, których boją się Piktowie.

Potwór wznosił łeb nad ołtarz i ponad leżącym twarzą do dołu ciałem więźnia znalazł się pyskiem w twarz z szamanem. Szaman tańczył, wywijając ciałem oraz ramionami i ledwie poruszając w trakcie tego stopami, a wielki wąż tańczył z nim, kołysząc się i

splatając, jak gdyby zahipnotyzowany, i z maski szamana wzniosło się niesamowite zawrodożenie, które przyprawiało o dreszcz grozy, jak wichur wiejący przez zeschnięte sitowie na przybrzeżnych mokradłach. A wielki gad podnosił się z wolna coraz wyżej i poczynął oplatać ołtarz oraz człowieka na nim, aż ciało tegoż skryło się pod migoczącymi zwojami i tylko głowa pozostawała widoczna, z owym drugim łbem straszliwie kołyszącym się blisko nad nią.

Przenikliwy wrzask szamana przeszedł w crescendo piekielnego tryumfu i rzucił on coś w ogień. Wokół ołtarza wzbił się i rozciął wielki zielony obłok, tak że prawie skrywał znajdującą się na nim parę, czyniąc jej sylwetki niewyraźnymi oraz złudnymi. Jednak pośrodku owego obłoku dostrzegłem odrażające samotanie i zachodzącą *zmianę* – tamte sylwetki w straszliwy sposób stopiły się i zlały, i przez chwilę nie potrafiłem powiedzieć, która należy do węży, a która do człowieka. Pełne grozy westchnienie omiotło zgromadzonych Piktów niby wiatr jęczący nocą wśród gałęzi.

Potem dym się rozwiął, a człowiek oraz węży zalegli bezwładnie na ołtarzu i uznałem, że obaj są martwi. Jednak szaman złapał węży i odpłócił jego bezwładny tułów z ołtarza, i pozwolił wielkiemu gadowi osunąć się na ziemię, a ciało człowieka zwałił z kamieni, tak iż opadło obok potwora, i przeciął rzemień z surowej skóry, które pętały mu nadgarstki i kostki.

Potem począł znów kręcić się w tańcu dookoła nich, śpiewając w trakcie tańca i kołysząc rękoma w szaleńczych gestach. I wkrótce człowiek się poruszył. Nie podniósł się jednak. Jego głowa kołysała się z boku na bok i dostrzegłem, że jego język

wystrzeliwuje w przód i chowa się, i znów. I – Mitro! – zaczął *odczłogiwać się* od ogniska, wijąc się na brzuchu, jak pełzają węże!

A węzem nagle wstrząsnęły konwulsje, wygiął się w łuk i uniósł prawie na całą długość, a potem opadł z powrotem zwój za zwojem i ponownie począł unosić się nadaremno, straszliwie, niczym człowiek próbujący podnieść się, stanąć i chodzić prosto po pozbawieniu go członków.

Nocą wstrząsnęło dzikie wycie Piktów, a mnie tam, gdzie się zacząłem – pośród krzaków – zrobiło się niedobrze i zwalczyłem pragnienie, by zwymiotować. Teraz pojąłem znaczenie tej upiornej ceremonii. Słyszałem opowieści o niej. Dzięki czarnej, pierwotnej magii, która zrodziła się i rozkwitła w głębinach tej czarnej, pierwotnej puszczy, ów wymalowany szaman przeniósł [sic!] duszę uwięzionego wroga w plugawe ciało węża. Była to zemsta demona. A i wrzask owładniętych żądzą krwi Piktów był niczym zawodzenie wszystkich demonów piekieł.

A ofiary wiły się w agonii u swego boku – człowiek i wąż – aż w dłoni szamana błysnął miecz i obie głowy spadły razem i... Bogowie! To tułów węża zadrżał i szarpnął się trochę, a potem zaległ nieruchomo, a ciało człowieka przetaczało się, plątało i młóciło niczym pozbawiony łba wąż. Owładnęły mną śmiertelna słabość i wycieńczenie, gdyż jaki biały człowiek jest w stanie oglądać takie czarne diabolizmy nieporuszony? A te wymalowane dzikusy, usmarowane barwami wojennymi, wyjące, prężące się i tryumfujące nad upiornym losem swego nieprzyjaciela, wydały mi się wcale nie ludźmi, lecz wstrętnymi demonami z czarnego świata, który wyciąć było moim obowiązkiem i powinnością.

Szaman zerwał się, obrócił twarzą ku pierścieniowi wojowników i ściągając maskę, odrzucił głowę i zawył niczym wilk. I kiedy blask ognia padł wprost na jego twarz, rozpoznałem go, a wraz z tym wszelka groza i odraza ustąpiły miejsca wściekłemu gniewowi, a wszystkie myśli o grożącym mi niebezpieczeństwie oraz pamięć o mej misji, która stanowiła mą najważniejszą powinność, zniknęły. Wszystko dlatego, że owym szamanem był stary Teyanoga z Południowych Jastrzębi, który spalił żywcem mego przyjaciela Jona, syna Galtera.

Wiedziony żądzą nienawiści zadziałałem prawie instynktownie – naszykowałem łuk, założyłem [sic!] strzałę i wystrzeliłem. Światło ognia było niepewne... lecz odległość także niewielka, a my z Westermarcku żyjemy z brzęku cięciw. Stary Teyanoga wrzasnął miaukliwie jak kot i odchylił się wstecz, a jego wojownicy zawyli ze zdumienia, widząc raptem drzewce drżące mu w piersi. Wysoki, jasnoskóry wojownik odwrócił się gwałtownie i po raz pierwszy ujrzałem jego twarz... i – Mitro! – to był biały człowiek!

Straszliwy szok takiej niespodzianki sparaliżował mnie na chwilę i omal nie wykończył. A to dlatego, że Piktowie zerwali się nagle i ruszyli w puszcę niczym pantery, poszukując nieprzyjaciela, który zwolnił ową strzałę. Dotarli do skraju krzaków, kiedy wyrwałem się spod czaru zdumienia i grozy, zerwałem się i popędziłem w ciemność, wykonując uniki oraz uchylając się przed drzewami, które omijałem bardziej dzięki instynktowi niż czemuś innemu, gdyż ciemno było jak zawsze. Wiedziałem wszakże, iż Piktowie nie trafią na mój ślad, lecz muszą polować na ślepo, tak jak ja musiałem uciekać.

I wkrótce, kiedy tak biegłem ku północy, posłyszałem za sobą obrzydliwe wycie, którego owładnięta krwawym szaleństwem furia wystarczała, by zmrozić krew w żyłach nawet leśnemu kurierowi. Uznałem, że wyrwali strzałę z piersi szamana i odkryli, że to drzewce białego człowieka. To sprawi, że rzucą się za mną z jeszcze bardziej zapalczywą żądzą krwi niż zwykle.

Umykałem dalej, moje serce waliło ze strachu, podniecenia oraz grozy koszmaru, którego byłem świadkiem. A to, że ten biały, Hyboryjczyk, przebywał tam, zapewne jako mile widziany i zaszczytny gość, gdyż był uzbrojony – widziałem nóż i toporek u jego pasa – było tak potworne, że zastanawiałem się koniec końców, czy cała ta sprawa nie jest jakimś nocnym koszmarem. Nigdy wcześniej bowiem żaden biały człowiek nie obserwował Tańca Przemiany Węża, poza więźniami czy szpiegami, tak jak ja. A jakiej potwornej sprawy to był zwiastun, tego nie wiedziałem, byłem jednak wstrząśnięty tą zapowiedzią i przerażony na samą myśl o niej.

I to z powodu przerażenia szedłem nieostrożniej, niż mam w zwyczaju, zyskując na pośpiechu kosztem ukradkowości, i sporadycznie wpadałem na drzewa, które mógłbym ominąć, gdybym bardziej uważał. I nie wątpię, że to kolejne odgłosy ściągnęły na mnie Pikta, gdyż nie był on w stanie mnie dostrzec w tak przenikliwych ciemnościach.

Za mną nie rozbrzmiewały już zawodzenia, ale wiedziałem, że Piktowie rozciągnęli się po puszczy, rozchodząc szerokim półokręgiem i przeczesując ją w lot. Ich milczenie dowodziło, że nie podjęli mego tropu, gdyż nigdy nie zawodzili, z wyjątkiem sytuacji, kiedy uznawali, iż czeka ich już krótki zryw, i czuli się

pewni swej zdobyczy.

Wojownik, który posłyszał odgłosy mojej ucieczki, nie mógł być jednym z tamtego oddziału, gdyż znajdował się za daleko przed nimi. Musiał być zwiadowcą penetrującym puszcę i strzegącym swych towarzyszy przed zaskoczeniem od północy.

W każdym razie posłyszał, jak biegnę blisko niego, i wyłonił się z czerni nocy niczym diabeł. Dowiedziałem się o nim za sprawą cichego tupotu jego bystrych, nagich stóp i kiedy odwróciłem się gwałtownie, nie byłem nawet w stanie wypatrzeć jego niewyraźnej postaci, słyszałem wszak tylko ciche, głuche tąpnięcia niewidzialnych w ciemności stóp pędzących ku mnie nieubłaganie.

Oni widzieli w mroku jak koty i wiedziałem, że on widzi dość dobrze, by mnie zlokalizować, choć w mroku stanowiłem niewątpliwie jedynie niewyraźną plamę. Jednak mój wyprowadzony na ślepo zamach toporkiem natrafił na jego nóż, a on sam, rzucając się na mnie, nadział się na mój nóż. Jego przedśmiertny skowyt zadźwięczał pod dachem puszczy niby dzwon zwiastujący nieszczęście. Toteż odpowiedział mu zajadły zgiełk z południa, ledwie o kilkaset jardów stamtąd, a potem tamci popędzili przez krzaki z wysuniętymi językami jak wilki pewne swego łupu.

Uciekałem teraz ile sił w nogach, porzucając całkowicie ukradkowość na rzecz prędkości i ufając w szczęście, że uda mi się w ciemności nie roztrzaskać łba o pień jakiegoś drzewa.

Ale puszcza jakoś tutaj rzedła; nie było poszycia i coś podobnego do światła prześwitywało między gałęziami, gdyż chmury trochę się rozstąpiły. I tak oto umykałem przez tę

puszczę niczym potępiona dusza ścigana przez demony, słysząc zawodzenia nabrzmiewające z początku coraz to bardziej żądnym krwi tryumfem, a potem przesycone gniewem i wściekłością, słabnące i pozostające w dali za mną, gdyż w nieprzerwanym biegu żaden Pikt nie może dorównać długim nogom białego leśnego kuriera. Rozpaczliwie podjęte ryzyko polegało na tym, że przede mną znajdowali się inni zwiadowcy oraz oddziały bojowe, które słysząc, jak uciekam, mogły łatwo odciąć mi drogę. Było to wszak ryzyko, które podjąć musiałem. Jednak żadne wymalowane postaci nie wyskoczyły niby zjawy z mroku przede mną i wkrótce poprzez gęstniejące zarośla, które wskazywały na bliskość strugi, ujrzałem daleko przez sobą między drzewami słabe przebłyski i wiedziałem, że to światła Fortu Kwanyara, wysuniętej najdalej na południe placówki Schohiry.

ROZDZIAŁ 2

Być może, zanim będę kontynuował tę kronikę krwawych lat, byłoby dobrze, gdybym powiedział co nieco o sobie i powodach, dla których samotnie nocą przemierzałem Piktyjską Dżicę.

Jestem Gault, syn Hagara. Urodziłem się w prowincji Conajohara. Kiedy jednak miałem dziesięć lat, Piktowie przedarli się przez Rzekę Czarną, szturmem zajęli Fort Tuscelan i zarżnęli w środku wszystkich poza jednym człowiekiem, i wygnali z prowincji wszystkich osadników na wschód od Rzeki Grzmiącej. Conajohara stała się ponownie częścią Dżicy, nawiedzana jedynie przez dzikie bestie i dzikich ludzi. Lud z Conajohary rozproszył się po Westermarcku – Schohirze, Conawadze czy Oriskawny – lecz wielu z nich pojechało na południe i osiadło w pobliżu Fortu Thandara, odizolowanej placówki nad Rzeką Starego Wiarusa. Wśród nich moja rodzina. Tam przyłączyli się później do innych osadników, dla których starsze prowincje były zbyt gęsto zaludnione, i wkrótce zrodził się okręg znany jako Wolna Prowincja Thandary, ponieważ nie była ona, jak inne prowincje, królewskim nadaniem dla wielkich panów ze wschodu od marchii i przez nich zasiedlonym, lecz wycięta z dżicy przez samych pionierów bez pomocy aquilońskich nobilów. Nie płaciliśmy podatków żadnym baronom. Nasz gubernator nie był wyznaczany przez żadnego z panów, my wybieraliśmy go sami z naszego ludu, i odpowiadał jedynie przed

królem. Sami pobudowaliśmy i obsadziliśmy swoje forty, i utrzymywaliśmy się w trakcie wojny, tak jak i pokoju. A Mitra wie, że wojna była normalnym stanem rzeczy, gdyż nigdy nie było pokoju między nami a naszymi dzikimi sąsiadami – okrutnymi plemionami Piktów: Pantery, Aligatora czy Wydry.

Rozkwitaliśmy jednak i rzadko pytali, co dzieje się w królestwie na wschód od marchii, skąd przybyli nasi dziadowie. W końcu jednak wydarzenia w Aquilonii dotknęły i nas w dziczy. Przyszły wieści o wojnie domowej i o wojowniku, który powstał, żeby wydrzeć tron pradawnej dynastii. I skry owego pożaru postawiły pogranicze w ogniu, i zwrócił się sąsiad przeciw sąsiadowi, a brat przeciw bratu. I to dlatego, że rycerze w błyszczącej stali walczyli i wycinali się na równinach Aquilonii, spieszyłem samotnie przez odcinek dziczy oddzielający Thandare od Schohiry z wieściami, które mogły zmienić los całego Westermarcku.

Fort Kwanyara był małą placówką, kwadratową twierdzą z ciosanych bali otoczoną palisadą, na brzegu Strugi Noża. Widziałem jego chorągiew unoszącą się na tle bladoróżowego porannego nieba i zauważyłem, że jest jedyną flagą prowincji, jaka tam powiewa. Sztandaru królewskiego, łopoczącego złotym wężem, który powinien wznosić się nad nią, nie było widać. Mogło to oznaczać wiele albo nic. My z pogranicza traktujemy swobodnie ceremonialne subtelności zwyczaju czy etykiety, które znaczą tak wiele dla rycerzy zza marchii.

Strugę Noża przekroczyłem wczesnym świtem, brodząc po płycznach, i zostałem wywołany przez pikietę na drugim brzegu – wysokiego mężczyznę w jeleniej skórze patrolowca. Kiedy dowiedział się, że jestem z Thandary, rzekł:

– Na Mitrę! Twoja sprawa musi być pilna, skoro przekraczasz dzicz, zamiast obrać dłuższą drogę.

Thandara bowiem, jak już mówiłem, oddzielona była od pozostałych prowincji, pomiędzy nią a marchiami bossoniackimi zaś leżała Mała Dzicz; bezpieczna droga biegła wszak przez nią do marchii, a stamtąd do innych prowincji, była jednak długa i żmudna.

Wówczas spytał mnie o wiadomości z Thandary, lecz powiedziałem mu, że wracając z długiego zwiadu w krainie Piktów Wydr, niewiele wiem o najnowszych wydarzeniach, co było kłamstwem, ale nie miałem sposobu, by poznać polityczne barwy Schohiry, a nie miałem zamiaru zdradzać swoich, dopóki ich nie poznam. Wtedy spytałem go, czy Hakon, syn Stroma, przebywa w Forcie Kwanyara, a on powiedział mi, że człowieka, którego poszukuję, nie ma w forcie, lecz jest w mieście Schondara, które leży o kilka mil na wschód od fortu.

– Mam nadzieję, że Thandara opowie się za Conanem – stwierdził, przeklinając – bo powiem ci szczerze, że takie są nasze polityczne przekonania. I jedynie moje przekłete szczęście trzyma mnie tutaj z garstką zwiadowców, którzy strzegą granicy przed napadającymi Piktami. Oddałbym swój łuk i łowiecki kubrak, by być z naszą armią, która jest teraz pod Theniteą nad Strugą Ogaha, czekając na szturm Brocasa z Torh i jego przeklętych renegatów.

Nie rzekłem nic, lecz byłem zdumiony. To doprawdy były nowiny. Baron Torh był bowiem panem Conawagi, nie Schohiry, której patronem był lord Thasperas z Kormonu.

– Gdzie jest Thasperas? – spytałem, a leśnik odpowiedział, długo się nie namyślając:

– Daleko w Aquilonii, walczy dla Conana. – I popatrzył na mnie zmrużonymi oczami, jak gdyby zaczął się zastanawiać, czy nie jestem szpiegiem.

– Jest w Schohirze jakiś człowiek – zacząłem – który ma takie powiązania z Piktami, że żyje nagi i wymalowany między nimi, uczestniczy w ich ceremoniach krwawych uczt i... – Urwałem na widok furii, jaka wykrzywiła rysy Schohiranina.

– Niech cię diabli – rzekł on, krztusząc się z gniewu. – Jaki cel masz, przychodząc tutaj, by obrażać nas w taki sposób?

I rzeczywiście, nazwanie człowieka renegatem było najstraszliwszą obelgą, jaką można rzucić w Westermarcku, chociaż nie to miałem na myśli. Zobaczyłem wszelako, że człowiek ten nie posiada żadnej wiedzy dotyczącej owego renegata, którego widziałem, i nie chcąc wyjawiać informacji, powiedziałem mu po prostu, że źle zrozumiał sens mych słów.

– Zrozumiałem całkiem dobrze – rzekł, trzęsąc się z gniewu. – Gdyby nie twoja ciemna skóra i południowy akcent, uznałbym cię za szpiega z Conawagi. Ale szpieg czy nie szpieg, nie można ubliżać ludziom z Schohiry w taki sposób. Gdybym nie był na służbie, złożyłbym mój pas i pokazał ci postawę ludzi, w jakiej wznosimy w Schohirze.

– Nie chcę się sprzeczać – powiedziałem. – Zmierzam wszak do Schondary, gdzie nie będzie ci trudno mnie odszukać, skoro tak bardzo pragniesz.

– Będę tam niebawem – oznajmił groźnie. – Jestem Storm, syn Groma, i znają mnie w Schohirze.

Zostawiłem go przechadzającego się po posterunku wzdłuż brzegu, trącającego palcami rękojeść noża oraz toporek, jak gdyby

świerzbiło go, by popróbować ich ostrzy na mojej głowie, i ominąłem szerokim łukiem mały fort, aby uniknąć innych zwiadowców czy pikiet. W tych niespokojnych czasach bowiem podejrzenie o szpiegostwo mogło spaść na mnie bardzo łatwo. I nawet ów Storm, syn Groma, zaczynał zwracać się ku takim myślom w swym zakutym łbie, kiedy wypchnęły je urazy, które błędnie wziął za osobistą zamię. A gdy wdał się ze mną w spór, jego poczucie godności osobistej nie pozwoliłoby mu mnie aresztować pod zarzutem szpiegowania, nawet gdyby przyszło mu to do głowy. W zwyczajnych czasach nikt nie pomyślałby o zatrzymywaniu czy przesłuchiwanie białego człowieka przekraczającego granicę, ale wszystko stanowiło teraz szaleńczy wir. Musiało stanowić, jeśli patron Conawagi napadał na domeny sąsiadów.

Puszczę wyrąbano dookoła fortu na kilkaset jardów z każdej strony, tworząc zwarty zielony mur. Trzymałem się wewnątrz tego muru, kiedy okrążałem polanę, i nie spotkałem nikogo, nawet wówczas, gdy przekraczałem kilka ścieżek wiodących z fortu. Unikałem przesiek i gospodarstw. Kierowałem się ku wschodowi, a słońce było już niewysoko na nieboskłonie, kiedy ujrzałem dachy Schondary.

Las dochodził na mniej niż pół mili od miasta, które było pokaźne jak na osadę przygraniczną, ze schludnymi domami, w większości z ociosanych bali, niektórymi pomalowanymi, ale także z paroma zdobnymi budynkami o solidnych fundamentach, czego w Thandarze nie mieliśmy. Dookoła osady nie było jednak ani fosy, ani palisady, co dla mnie było dziwne. W Thandarze bowiem budujemy swe miejsca zamieszkania zarówno jako dach nad głową,

jak i do obrony, a że nie ma osad wzdłuż i wszerz prowincji, każda chałupa jest niczym maleńki fort.

Nieopodal, na prawo od osady, pośrodku łąki, stał fort z palisadą i fosą cokolwiek większy od Fortu Kwanyara, lecz zauważyłem niewiele głów przesuających się powyżej parapetu, zarówno w hełmach, jak i w czepcach. Powiewał tam tylko sztandar z rozpościerającym skrzydła jastrzębiem Schohiry. I zastanawiałem się, dlaczego, skoro Schohira jest za Conanem, nie wywiesili flagi, jaką obrał – złotego lwa na czarnym polu, chorągwi regimentu, którym dowodził jako najemnik Aquilonii.

Dalej, po lewej, na skraju puszczy ujrzałem duże domostwo z kamieni, umieszczone pomiędzy ogrodami i sadami, i dowiedziałem się, że to posiadłość lorda Valeriana, najbogatszego posiadacza ziemskiego w zachodniej Schohirze. Nigdy nie widziałem tego człowieka, ale wiedziałem, że jest bogaty i potężny. Teraz jednak Dwór, jak go zwano, wydawał się opustoszały.

Miasto wydawało się podobnie dziwnie opuszczone, przynajmniej przez mężczyzn, choć kobiet i dzieci było pod dostatkiem, i zdało mi się, że mężczyźni zgromadzili tu swe rodziny dla bezpieczeństwa. Mężczyzn w sile wieku dostrzegłem niewielu. Kiedy tak szedłem ulicą, wiele oczu śledziło mnie podejrzliwie, nikt wszak się nie odzywał, z wyjątkiem krótkich odpowiedzi na moje pytania.

W gospodzie jedynie kilkoro starców i kalek zbiło się w kupę wokół oblanych piwem stołów i prowadziło rozmowy ściszonymi głosami. Wszelkie dysputy ucichły, kiedy pojawiłem się w drzwiach w swych znoszonych jelenich skórkach, i wszyscy odwrócili się, aby spojrzeć na mnie w milczeniu.

Cisza zrobiła się jeszcze bardziej znacząca, kiedy zapytałem o Hakona, syna Stroma, a gospodarz powiedział mi, że Hakon krótko po wschodzie słońca pojechał do Thenitei, gdzie wojska milicji rozbiły się obozem, ale niedługo wróci. Będąc więc głodny i znużony, zjadłem posiłek w szynku, świadom tych utkwionych we mnie pytających spojrzeń, a potem ułożyłem się w rogu na niedźwiedziej skórce, jaką przyniósł mi gospodarz, i zasnąłem. Śniłem jeszcze, kiedy Hakon, syn Stroma, powrócił blisko zachodu słońca.

Był on wysokim mężczyzną, wysmukłym, o szerokich ramionach, jak większość ludzi z ziem zachodnich, odzianym w łowiecką bluzę ze skóry jelenia, nogawice z frędzlami oraz mokasyny, takie jak moje. Było z nim pół tuzina patrolowców i ci usadowili się przy stole blisko drzwi, i obserwowali jego oraz mnie znad krawędzi swych kubków.

Kiedy wymieniłem swe imię i powiedziałem mu, że mam dla niego wieść, popatrzył na mnie uważnie i kazał usiąść ze sobą u stołu w rogu, gdzie mój gospodarz doniósł nam pieniącego się piwa w skórzanych kubkach.

– Czy żadne wieści o stanie spraw w Thandarze nie dotarły? – spytałem.

– Żadne pewne wieści, tylko pogłoski.

– Bardzo dobrze – rzekłem ja rzekłem [sic!]. – Przynoszę ci wieści od Branta, syna Dragona, gubernatora Thandary, oraz rady dowódców, a po tym znaku winienesz poznać, że mówię prawdę. – I to powiedziawszy, zanurzyłem palce w pieniącym się piwie i wyrysowałem nimi na stole pewien symbol, i natychmiast go starłem. On zaś pokiwał głową, a jego oczy zapłonęły ciekawością.

– Oto wieści, które ci przynoszę – oznajmiłem. – Thandara opowiedziała się za Conanem i jest gotowa wesprzeć jego przyjaciół i rzucić wyzwanie jego wrogom.

Na to tamten uśmiechnął się radośnie i serdecznie i mocno ucisnął mą brązową rękę swą szorstką dłonią.

– Dobrze! – wykrzyknął. – Poza tym niczego więcej nie oczekiwałem.

– Któryż człowiek z Thandary mógłby zapomnieć o Conanie? – powiedziałem. – Nie, byłem ledwie dzieckiem w Conajoharze, lecz pamiętam go, kiedy był tam leśnym kurierem i zwiadowcą. Kiedy jego jeździec przybył do Thandary, prawiąc nam, że Poitain wznieciło rewoltę wraz z Conanem ubiegającym się o koronę i domagającym naszego wsparcia – nie żądał ochotników do swych wojsk, jedynie naszej lojalności – posłaliśmy mu jedno zdanie: „Nie zapomnieliśmy o Conajoharze”. Potem przeciwko nam przybył przez marchie baron Attelius, lecz my zasadziliśmy się na niego w Małej Dziczy i roznieśliśmy jego wojsko na strzępy. A teraz myślę, że nie mamy co się bać inwazji na Thandarę.

– Chciałbym móc to rzec i o Schohirze – stwierdził ponuro. – Baron Thasperas przesłał nam wieść, że możemy zrobić, jak zechcemy... On opowiedział się za Conanem i dołączył do wojsk rebeliantów. Nie domagał się jednak zachodniego rekruta. Nie, obaj, on i Conan, wiedzą, że Westermarck potrzebuje każdego człowieka do strzeżenia granic. Wycofał jednakowoż swoje oddziały z fortów, a my obsadziliśmy je swymi leśnikami. Pojawiły się między nami drobne utarczki, szczególnie w miastach takich jak Coyaga, gdzie mieszkają ziemianie, gdyż niektórzy z nich obstawali przy Namedidesie... Cóż, owi lojaliści także umknęli do Conawagi ze

swymi poplecznikami albo ustąpili i dali słowo, że pozostaną neutralni w swych zamkach, jak lord Valerian z Schondary. Lojaliści, którzy umknęli, poprzysięgli wrócić i poderżnąć nam wszystkim gardła. I wkrótce lord Brocas pomaszerował przez granicę. W Conawadze posiadacze ziemscy oraz Brocas są za Namedidesem i słyszeliśmy budzące litość opowieści o tym, jak traktują zwykłych ludzi, którzy sprzyjają Conanowi.

Skinąłem głową, nie byłem zaskoczony. Conawaga była największą, najbogatszą oraz najgęściej zaludnioną prowincją w całym Westermarcku i posiadała stosunkowo liczną oraz bardzo potężną klasę tytułarnych ziemian, których my w Thandarze nie mamy i, za łaską Mitry, nigdy mieć nie będziemy.

– To otwarta inwazja w celu podboju – rzekł Hakon. – Brocas rozkazał nam przysięgać lojalność Namedidesowi... Pies. Sądzę, że ten dureń o czarnej, obwisłej gębie knuje, by podporządkować sobie cały Westermarck i władać nim jako wicekról Namedidesa. Z armią aquilońskich zbrojnych, bossoniackich łuczników, lojalistów z Conawagi oraz renegatów z Schohiry rozłożył się pod Coyagą, dziesięć mil za Strugą Ogaha. Thenitea pełna jest uchodźców ze wschodu krainy, który spustoszył. Nie boimy się go, chociaż przewyższa nas liczebnie. Musi przekroczyć Strugę Ogaha, by na nas uderzyć, a my umocniliśmy zachodni brzeg i zablokowaliśmy drogę jego jeździe.

– Tego tyczy się moja misja – powiedziałem. – Jestem upoważniony, aby zaproponować wam usługi stu pięćdziesięciu thandarańskich patrolowców. W Thandarze jesteśmy jednomyślni i nie toczymy wojen wewnętrznych, a o tylu mężczyzn możemy umniejszyć nasze siły w walce z Piktami Panterami.

– To będzie dobra nowina dla komendanta Fortu Kwanyara!
– Co? – rzekłem. – *Ty* nie jesteś komendantem?
– Nie – oznajmił. – Jest nim mój brat Dirk, syn Stroma.
– Gdybym o tym wiedział, przekazałbym swe posłanie jemu – stwierdziłem. – Brant, syn Dragona, myślał, że ty dowodzisz Kwanyarą. Ale to nie ma znaczenia.

– Jeszcze jeden kufel piwa – powiedział Hakon – i wyruszymy do fortu, aby i Dirk wysłuchał twych wieści z pierwszej ręki. Zaraza niech porwie dowodzenie fortem. Oddział zwiadowców to coś akurat dla mnie.

I po prawdzie Hakon nie był człowiekiem zdatnym do dowodzenia posterunkiem czy jakimś większym ugrupowaniem ludzi, gdyż jako człowiek dzielny i prawdziwy łotr był zbyt brawurowy i pochopny.

– Do pilnowania granicy pozostawiliście siły ledwie kadłubowe – powiedziałem. – Co z Piktami?

– Dotrzymują pokoju, który poprzysięgli – odrzekł. – Od kilku miesięcy na granicy trwa rozejm, z wyjątkiem zwykłych starć między pojedynczymi ludźmi obu ras.

– Dwór Valeriana wydaje się opuszczony.

– Lord Valerian mieszka tam sam, z wyjątkiem kilku sług. Gdzie się podziali jego wojownicy, tego nie wie nikt. On ich wszak odprawił. Gdyby nie dał nam swojego słowa, uznalibyśmy za konieczne umieścić go pod strażą, gdyż jest jednym z niewielu białych ludzi, których szanują Piktowie. Gdyby przyszło mu do głowy podburzyć ich na granicy, mogłoby nam być niewymownie ciężko obronić się przed nimi z jednej i przed Brocasem z drugiej strony. Jastrzębie, Żbiki i Żółwie słuchają, kiedy Valerian

przemawia, i nawet odwiedzał on miasta Piktów Wilków, i odchodził stamtąd żywy.

Jeśli była to prawda, to zaiste dziwna, gdyż wszyscy znali zajadłość wielkiej konfederacji sprzymierzonych klanów, znanej jako plemię Wilka, żyjącej na zachód od terenów łowieckich trzech mniejszych plemion, które wymienił wcześniej. Trzymali się oni przeważnie z dala od granicy, lecz groźba ich nienawiści zawsze stanowiła niebezpieczeństwo na pograniczu Schohiry.

Hakon podniósł wzrok, kiedy do szynku wszedł wysoki mężczyzna w pludrach, butach i szkarłatnym płaszczu.

– Oto i lord Valerian – rzekł.

Popatrzyłem, drgnąłem i momentalnie zerwałem się na nogi.

– Ten człowiek? – wykrzyknąłem. – Widziałem go ubiegłej nocy za granicą w obozie Jastrzębi, jak oglądał Taniec Przemiany Węża!

Valerian mnie usłyszał i odwrócił się, gwałtownie blednąc. Oczywiście zabłysły jak u pantery. Hakon zerwał się także.

– Co też mówisz? – krzyknął. – Lord Valerian dał słowo...

– Nie dbam o to! – wykrzyknąłem zapalczywie, krocząc przed siebie, by stawić czoło wysokiemu nobilowi. – Widziałem go tam, kiedy zaległem między modrzewiami. Nie pomyliłbym tej orlej twarzy. Powiadam wam, że był tam, nagi i wymalowany jak Pikt...

– Kłamiesz, przekłety! – krzyknął Valerian i odwinąwszy gwałtownie płaszcz, złapał rękojeść swego miecza. Zanim jednak zdołał go wyciągnąć, zwarłem się z nim i obaliłem go na podłogę, gdzie oburącz chwycił mnie za gardło, bluźniąc jak szaleniec. Potem rozległ się szybki tupot stóp i mężczyźni odciągnęli nas od siebie, mocno trzymając mego jaśniepana, który trwał poblady, dysząc z furii i wciąż ściskając chustę, którą zerwał mi z szyi podczas walki.

– Puśćcie mnie, psy! – wściekał się. – Weźcie ode mnie łapy, pastuchy! Rozwalę łeb temu kłamcy...

– Tu nie ma kłamstwa – powiedziałem spokojniej. – Ubiegłej nocy zaległem wśród modrzewi i oglądałem, jak stary Teyanoga dobył duszę wodza Kruków z jego ciała i wtłoczył ją w węża drzewnego. Moja strzała poraziła szamana. I widziałem tam ciebie... Ciebie, białego człowieka, nagiego i wymalowanego, przyjmowanego jak ktoś z klanu.

– Gdyby to była prawda... – zaczął Hakon.

– To jest prawda, oto dowód! – wykrzyknąłem. – Popatrzcie tam! Na jego pierś!

Jego dublet oraz koszula rozdarły się w trakcie szamotaniny i na jego obnażonej piersi ukazał się zarys białej czaszki, którą Piktowie malują tylko wtedy, gdy zamyślają wojnę z białymi. Usiłował ją zmyć, lecz piktyjskie farby barwią trwale.

– Rozbróćcie go – rzekł pobladły jak ściana Hakon.

– Dawaj moją chustę – zażądałem, lecz jego lordowska mość splunął ku mnie i wcisnął sobie tkaninę za pazuchę.

– Kiedy do ciebie powróci, będzie zapętlona w katowski stryczek na twej buntowniczej szyi – warknął.

Hakon wydawał się niezdecydowany.

– Zabierzmy go do fortu – powiedziałem. – Oddamy go pod areszt dowódcy. To, że brał udział w Tańcu Węża, nie miało służyć niczemu dobremu. Ci Piktowie byli wymalowani do boju. Symbol na jego piersi oznacza, że zamierzał wziąć udział w wojnie, dla której tańczyli.

– Ale, wielki Mitro, to niewiarygodne! – wykrzyknął Hakon. – Biały człowiek napuszczający te wymalowane diabły na swych

przyjaciół i sąsiadów?

Mój jaśniepan nie mówił nic. Stał tak pomiędzy ludźmi, którzy ściskali mocno jego ramiona, poblady, z wąskimi ustami wykrzywionymi tak, że odsłaniały zęby, ale w jego oczach wszystkie piekła pałały niczym żółte płomienie i zdało mi się, że odgaduję w nich ogień szaleństwa.

Hakon był wszakże niepewny. Nie śmiał wypuścić Valeriana, ale bał się wpływu, jaki to mogło mieć na ludzi, gdyby ujrzeli pana wiedzionego jako więzień do fortu.

– Będą domagać się uzasadnienia – wyjaśniał. – A kiedy dowiedzą się, że zadawał się z Piktami w barwach wojennych, może z tego wybuchnąć panika. Zamknijmy go w areszcie, aż sprowadzimy tu Dirka, by go przesłuchał.

– W sytuacjach takich jak ta niebezpiecznie jest iść na kompromis – rzekłem bez ogródek. – Jednak to ty zdecydujesz. Ty tutaj dowodzisz.

Wyprowadziliśmy więc potajemnie jego lordowską mość tylnymi drzwiami, a jako że poczęło zmierzchać, dotarliśmy do aresztu niezauważeni przez ludzi, którzy faktycznie w większości pozostawali w domach. Areszt był małym budynkiem z bali oddalonym cokolwiek od miasta, z czterema celami i tylko jedną zajętą przez grubego łotra, który został uwięziony tu na noc za pijaństwo i bójkę na ulicy. Zapatrzył się on na naszego więźnia. Lord Valerian nie wyrzekł słowa, kiedy Hakon zamknął za nim zakratowane drzwi i odkomenderował jednego z ludzi, żeby stanął na straży. W ciemnych oczach więźnia płonął wszelako demoniczny ogień, jak gdyby pod maską bladej twarzy śmiał się z nas w diabolicznym tryumfie.

– Umieszczasz na straży tylko jednego człowieka? – zapytałem Hakona.

– A czemu więcej? – odpowiedział pytaniem. – Valerian nie zdoła zbiec, a nie ma nikogo, kto przyszedłby mu z pomocą.

Zdało mi się, że Hakon skłonny jest uznawać zbyt wiele rzeczy za oczywiste, ale w końcu nie była to moja sprawa, więc nie rzekłem nic więcej.

Potem z Hakonem poszliśmy do fortu i tam rozmawiałem z Dirkiem, synem Stroma, dowódcą, który pod nieobecność Jona, syna Stroma, zawiadywał miastem. Jon był gubernatorem wyznaczonym przez lorda Thasperasa, który aktualnie dowodził wojskami milicji, jakie rozłożyły się pod Theniteą. Dirk wyglądał na opanowanego, kiedy słuchał mej opowieści, i powiedział, że przybędzie do aresztu i przesłucha lorda Valeriana, jak tylko pozwolą mu na to obowiązki, chociaż przejawiał niewielką wiarę w to, że mój jaśniepan zechce mówić, gdyż pochodził z upartego i dumnego rodu. Rad był słyszeć o ludziach, których proponuje mu Thandara, i powiedział mi, że znajdzie człowieka, który powróci do Thandary z wieścią o przyjęciu tejże oferty, gdybym zechciał pozostać na chwilę w Schohirze, co też uczyniłem. Potem wróciłem z Hakonem do gospody, gdyż naszym celem było przespać tam noc i o poranku wyprawić się do Thenitei. Zwiadowcy informowali Schohira na bieżąco o ruchach Brocasa i Hakon, który był dziś w obozie tamtych, stwierdził, że Brocas nie wykazuje chęci, by ruszyć przeciwko nam, co przekonało mnie, że czeka na Valeriana, by ten poprowadził Piktów na granicę. Jednak Hakon nadal wątpił, mimo tego wszystkiego, co mu powiedziałem, uznając, iż Valerian odwiedził Piktów jedynie przez przyjaźń, jak czynił często. Ja

wszak zauważyłem, że żadnemu białemu człowiekowi, jakkolwiek przyjaznemu Piktom, nie pozwolono nigdy być świadkiem ceremonii takich, jak Taniec Węża. Do tego musiałby być oficjalnie członkiem klanu.

ROZDZIAŁ 3

Przebudziłem się nagle i usiadłem na łóżku. Moje okno było otwarte, tak okiennica, jak i szyba, dla chłodzenia, gdyż było to pomieszczenie na górze, a w pobliżu nie było drzew, po których jakiś złodziej mógł uzyskać dostęp. Przebudził mnie wszak jakiś hałas i teraz, kiedy popatrzyłem na okno, ujrzałem na tle rozświetlonego gwiazdami nieba plamę ogromnej, pokracznej postaci. Zsunąłem nogi z łóżka, dopytując, kto zacz, i szukając po omacku swego toporka, jednak stwór ów znalazł się przy mnie z przerażającą szybkością i zanim nawet zdołałem wstać, coś owinęło mi szyję, dławiąc mnie i dusząc. Przytknięte niemal do twarzy miałem przyćmione straszne oblicze, lecz wszystkim, co zdołałem dojrzeć w ciemności, było dwoje płonących czerwono ślepi oraz spiczasty łeb. Moje nozdrza wypełnił zwierzęcy odór.

Chwyciłem stwora za jeden z nadgarstków, a ten był włochaty, gruby od stalowych mięśni, jak u małpoluda. Lecz wówczas odnalazłem trzonek toporka, uniosłem go i jednym ciosem rozszczepiłem pokraczną czaszkę. To coś upadło, puściwszy mnie, a ja się zerwałem, krztusząc się, dysząc i drżąc w każdym członku. Odszukałem krzemień, żelazo oraz hubkę, skrzesałem światło, zapaliłem świecę i szaleńczo wytrzeszczyłem oczy na stworzenie leżące na podłodze.

Z kształtu przypominało człowieka, pokrzywionego i

pokraccznego, pokrytego gęstym włosiem. Paznokcie miało długie i czarne, niczym szpony bestii, a jego pozbawiona szyi głowa o niskim czole wyglądała niczym u małpoluda.

Stwór ów był *Chakanem*, jedną z tych na wpół ludzkich istot, które żyją głęboko w puszczy.

Rozległo się pukanie do drzwi i głos Hakona, chcącego dowiedzieć się, w czym kłopot, więc zaprosiłem go, żeby wszedł. Wpadł do środka z toporem w dłoni, a jego oczy rozszerzyły się na widok stwora na podłodze.

– *Chakan!* – wyszeptał. – Widziałem ich, daleko na zachodzie, węszących po naszych śladach przez puszcę... Przeklęte gończe psy! Co on ma w dłoni?

Dreszcz zgrozy spełził mi po grzebiecie, kiedy dostrzegłem, że stwór wciąż ściska między palcami chustę – tę chustę, którą próbował zapętląć w katowski stryczek na mej szyi.

– Słyszałem, że piktyjscy szamani łapią te stworzenia, poskramiają je i używają do wywęszenia swoich wrogów – powiedział z wolna. – Ale jak lord Valerian zdołał użyć tego w taki sposób?

– Tego nie wiem – odrzekłem. – Jednak tę chustę na szyję owa bestia otrzymała, a zgodnie ze swą naturą wywęszyła mój trop i usiłowała skrócić mi kark. Chodźmy do aresztu, i to szybko!

Hakon obudził swoich patrolowców i pospieszyliśmy tam, i znaleźliśmy strażnika leżącego z poderżniętym gardłem pod otwartymi drzwiami pustej celi Valeriana. Hakon stanął niczym skamieniały, a potem jakieś słabe wołanie sprawiło, że się obróciliśmy i ujrzeliśmy zbiełą twarz pijaka zerkającego na nas z sąsiedniej celi.

– Nie ma go – oznajmił. – Nie ma lorda Valeriana. Słuchajcie no: jakąś godzinę nazad, podczas gdy leżałem na swej pryczy, zbudził mnie jakiś odgłos na zewnątrz i zobaczyłem dziwną ciemną kobietę, jak wychodzi z mroku i podchodzi do strażnika. Ten uniósł łuk i polecił jej stanąć, lecz wyśmiała go, wpatrując mu się w oczy, a on stał się jak człowiek w transie. Stał, gapiąc się głupkowato... ona zaś, Mitro, zabrała mu jego nóż i podcięła gardło, a on upadł i skonał. Potem odjęła mu od pasa klucze i otworzyła drzwi, a Valerian wyszedł i zaśmiał się jak diabeł rodem z piekła, i pocałował tę dziewczkę, a ona śmiała się wraz z nim. A nie była sama, gdyż coś czaiło się w mroku za jej plecami... Jakaś niewyraźna, potworna istota, która nie weszła w zasięg światła latarni wiszącej nad drzwiami. Słyszałem, jak kobieta mówiła, że najlepiej zabić grubego pijaka w celi obok, i, na Mitrę, byłem tak bliski śmierci ze strachu, że nie wiedziałem nawet, czy jeszcze żyję. Jednak Valerian rzekł, iż jestem zalany w trupa, i mógłbym ucałować go za te słowa. Odeszli więc, a kiedy odchodzili, on stwierdził, iż wyśle jej towarzysza z misją, a potem udadzą się do chałupy nad Strugą Rysia i tam spotkają ze swymi podwładnymi, którzy ukrywali się w puszczy, odkąd odesłał ich z Dworu Valeriana. Powiedział, że przybędzie tam do nich Teyanoga i przekroczą granicę, pójda między Piktów i wracając, sprowadzą ich, żeby podcięli nam wszystkim gardła.

Hakon wyglądał blado w świetle latarni.

– Kim jest ta kobieta? – spytałem zaciekawiony.

– Jego półkrwi piktyjską metresą – stwierdził. – Na wpół Piktyjka z Jastrzębi, na wpół Ligureanka. Słyszałem o niej. Zowią ją wiedźmą ze Skandagi. Nigdy jej nie widziałem, nigdy wcześniej nie dawałem wiary opowieściom szeptanym o niej i lordzie Valerianie.

A jednak to prawda.

– Myślałem, że zabiłem starego Teyanogę – burknąłem. – Ten stary demon musi nosić w sobie zaczarowane życie... Widziałem własne drzewce drgające mu w piersi. Co teraz?

– Musimy pójść do tej chaty nad Strugą Rysia i wszystkich zabić – powiedział Hakon. – Jeśli napuszczą Piktów na granicę, rozpęta się piekło. Z fortu czy z miasta nie możemy wziąć ani jednego człowieka. Jest nas dosyć. Nie wiem, ilu ludzi będzie tam, nad Strugą Rysia, ale nie dbam o to. Weźmiemy ich z zaskoczenia.

Wyruszyliśmy natychmiast w blasku gwiazd. Okolice była cicha, w domach migotały niewyraźne światła. Na zachodzie majaczyła czarna puszcza, pierwotna, posępna groźba dla ludu, którzy waży się z nią mierzyć.

Szliśmy jednym rzędem, z napiętymi łukami trzymanymi w lewych i toporkami kołyszącymi się w prawych dłoniach. Nasze mokasyny nie wydawały żadnych dźwięków na wilgotnej od rosy trawie. Wtopiliśmy się w las i wstąpiliśmy na szlak, który wił się wśród dębów i olch. Rozciągnęliśmy się na jakieś piętnaście stóp odstępu między sobą. Hakon prowadził i wkrótce zanurzyliśmy się w trawiastą kotlinkę, i ujrzeliśmy światła ledwie wyciekające ze szpar w okiennicach, jakie zasłaniały okna chałupy.

Hakon zatrzymał nas i szepnął na ludzi, by poczekać, my tymczasem podczołgaliśmy się na przeszpiegi. Zakradliśmy się naprzód i zaskoczyliśmy strażnika – schohirańskiego renegata, który musiałby postyszeć nasze ukradkowe podejście, gdyby nie przetrawione wino w jego oddechu. Nigdy nie zapomnę zajadłego syku satysfakcji, który wyszedł przez zaciśnięte zęby Hakona, kiedy wbił nóż w serce nikczemnika. Pozostawiliśmy ciało ukryte w

wysokiej, bujnej trawie, podkradliśmy się pod samą ścianę chałupy i odważyliśmy zerknąć przez szparę do środka. Był tam Valerian, jego srogie oczy błyszczały, oraz ciemna, szalenie piękna dziewczyna w przepasce biodrowej z sarniej skóry i zdobionych paciorkami mokasynach, a jej czarno nabłyszczone włosy związane były z tyłu przedziwnie wykutą złotą opaską. I było tam pół tuzina schohirańskich renegatów, posepnych łotrów w wełnianych spodniach i gospodarskich kubrakach, z kordelasami u pasa, trzech leśnych kurierów w skórach jeleni, ludzi wyglądających dziko, oraz pół tuzina gundermańskich strażników, krępych mężczyzn o blond włosach przyciętych prosto i schowanych pod stalowymi czepcami, w kolczugach oraz polerowanych osłonach na nogi. Obwieszeni byli mieczami oraz sztyletami – blondwłosi mężczyźni o jasnej karnacji, stalowych oczach i akcencie różniącym ich wielce od rodowitych mieszkańców Westermarcku. Byli krzepkimi wojownikami, bezwzględny i wysoce zdyscyplinowanymi, bardzo popularnymi jako strażnicy między posiadaczami ziemskimi na pograniczu.

Nasłuchując tak, posłyszeliśmy, jak śmieją się wszyscy i prowadzą rozmowy. Valerian chełpił się swoją ucieczką i przysięgał, że posłał do tego przeklętego Thandarańczyka gościa, który winien załatwić dla niego ową sprawę w należyty sposób. Posepni renegaci pełni byli przekleństw i złorzeczeń dla swych niedawnych przyjaciół, leśni kurierzy milczący i czujni, Gundermani beztroscy i jowialni, co jedynie z wierzchu zakrywało ich całkowicie bezlitosną naturę. I ta półkrwi dziewczyna, którą tamci zwali Kwaradą, śmiejąca się i dokuczająca Valerianowi, który zdawał się tym wisielczo rozbawiony. Hakon aż trząśł się z

wściekłości, kiedy słuchaliśmy, jak tamten chwali się tym, że zamysła poderwać Piktów i powieść ich przez granicę, by uderzyć na Schohiran od tyłu, podczas gdy Brocas zaatakuje Coyagę.

Wtedy posłyszeliśmy ciche tupanie stóp i przywarliśmy mocniej do ściany. Zobaczyliśmy, jak drzwi się otwierają i wchodzi siedmiu wymalowanych Piktów – straszliwie umalowanych postaci przybranych w pióra. Prowadził ich stary Teyanoga, którego mięśnie na piersi przewiązane były opatrunkiem w miejscu, gdzie moje drzewce, jak się przekonałem, ledwie tylko wbiło się w potężne mięśnie. I zastanawiałem się, czy też ten stary demon jest doprawdy wilkołakiem, którego nie można zabić bronią śmiertelników, jak sam się przechwalał, a w co wielu wierzyło.

Leżeliśmy blisko, Hakon i ja, i posłyszeliśmy, jak Teyanoga mówi, że Jastrzębie, Żbiki oraz Żółwie nie ośmielą się uderzyć przez granicę, chyba że zostanie zawarty sojusz z potężnymi ludźmi Wilka, gdyż obawiają się, że Wilki mogłyby splądrować ich krainę, podczas gdy sami będą walczyć z Schohiranami. Teyanoga powiedział, że owe trzy mniejsze plemiona spotkały się z Wilkami na naradę na skraju Bagna Duchów i że Wilki zastosują się do porady Czarownika z Bagien.

Valerian rzekł więc, iż pójda na Bagna Duchów i zobaczą, czy nie dałoby się przekonać Czarownika, aby skłonił Wilki do przyłączenia się do pozostałych. Na to Hakon powiedział mi, bym się odczołgał i przywiódł resztę. Pojąłem, że ma na myśli, iż powinniśmy zaatakować, nawet o tyle słabsi liczebnie, lecz podpaliłem się owym haniebnym spiskiem, o którym słyszeliśmy, tak że byłem temu równie chętny jak on. Przekradłem się i sprowadziłem pozostałych, a on, jak tylko posłyszał, że

nadchodzimy, zerwał się i pobiegł do drzwi, żeby walnąć w nie swym bojowym toporem.

W tej samej chwili pozostali wysadzili okiennice i zasypali pomieszczenie strzałami, rażąc paru i podkładając pod chałupę ogień.

Tamtych ogarnął chaos i nie podjęli próby utrzymania chałupy. Świece obalono i zgaszono, lecz ogień nadawał ciemną poświatę. Popędzili ku drzwiom i paru zostało wówczas zabitych, a inni, kiedy się z nimi starliśmy. Jednak wkrótce wszyscy umknęli w las, z wyjątkiem tych, których zabiliśmy, Gundermanów, renegatów oraz wymalowanych Piktów, ale Valerian i dziewczyna nadal przebywali w chałupie. Wtedy wyszli, a ona zaśmiała się i cisnęła na ziemię coś, co wybuchło i oślepiło nas wstrętnym dymem, przez który uciekli.

Wszyscy z naszych ludzi poza czterema zostali zabici w tej desperackiej walce, lecz natychmiast wszczęliśmy pościg, odsyłając z powrotem jednego z rannych, by ostrzegł miasto.

Ślad prowadził w dzicz.

Czarny przybysz

Szkic A

Conan Cimmeryjczyk, ścigany dla zemsty przez oddział Piktów, który napadał i mordował pośród aquilońskich siedlisk nad Rzeką Czarną, został schwytyany przez Piktów i uprowadzony przez nich na ich odległe zachodnie ziemie ojczyste. Srogi Cimmeryjczyk zabił wodza i uciekł, mknąc w kierunku zachodnim, ścigany przez rozwścieczonych Piktów. Zmyliwszy ślady, porzucił szlak i odkrył ścieżkę wijącą się w górę skalnego ostańca, a podążając nią, odkrył jaskinię, gdzie stał wielki hebanowy stół, wokół którego siedzieli martwi mężczyźni. Wkroczył do jaskini i natychmiast podjął walkę o życie.

Na szerokim pasie plaży, wsparta tyłem o gęstą puszczy, stała osada zingarańskiego nobila, który umknął ze swymi sługami oraz siotsrzenicą [sic!] i tam się schronił. Orszak pobudował domy z drewnianych bali i otoczył je ostrokołem. Nikt nie ryzykował dalekich wypraw w puszczy, ponieważ obawiano się dzikich Piktów. Owa siotsrzenica [sic!] siedziała raz na piasku po południowej stronie cypla, jaki wystawał poza zatokę, kiedy jej towarzyszka, Inianowłosa ophireańska sierota, którą przygarneła, przybiegła poprzez piaski, naga i ociekająca wodą od nurzania się w oceanie, i krzyknęła, że nadpływa jakiś statek. Zingaranka ujrzała

go, kiedy weszła na łagodny pagórek, i wraz z młodszą dziewczyną pospieszyła do fortu, jak nazywali osadę. Nobil natychmiast wezwał swych poddanych z rybackich łodzi i maleńkich poletek na skraju puszczy i podniósł sztandar Zingary. Statek zawinął do zatoki i pokazał banderę barachańskich piratów, a Zingarańczyk rozpoznał go jako należący do znanego pirata. Piraci zeszli na brzeg i zaatakowali fortecę, i prawie przedarli się przez ostrokół, kiedy kolejny statek wszedł do zatoki i pokazał barwy Zingary. Pirat rozpoznał go już wcześniej jako jednostkę zingarańskiego bukaniera i bojąc się potrzasku między dwoma wrogami, zabrał swych ludzi na pokład i odpłynął w górę wybrzeża.

Zingarańczyk zakotwiczył i zszedł na brzeg z większością swych ludzi, ale nobil mu nie ufał i odmówił pozwolenia na wprowadzenie ludzi za ostrokół. Obozowali zatem na plaży, Zingarańczyk posłał im wino, a bukanier przybył do sali nobila. Powiedział on bukanierowi, że jego własny statek roztrzaskał się podczas sztormu i że rosnące zagrożenie ze strony Piktów zmusza go do zabrania stąd swych ludzi. Bukaniec zaproponował, że zabierze ich wszystkich w zamian za skarb, który, jak mówił, ukryty jest w pobliżu, oraz za rękę siotsrzenicy [sic!] nobila. Ten odmówił mu ze złością i zaprzeczył, że wie cokolwiek o skarbie. Bukaniec wienc [sic!] opowiedział o skarbie ukrytym przez pewnego pirata wieki, a przynajmniej około wieku wcześniej. Zaproponował, iż na poszukiwanie skarbu da nobilowi swoich ludzi do pomocy. Potem odpłynął do jakiegoś zagranicznego portu, gdzie poślubi siotsrzenicę [sic!] i porzuci rozbójnicze życie. Podczas gdy oni się sprzeczali, siotsrzenica [sic!] wykradła się w poszukiwaniu małej Ophireanki, która wyśliznęła się i powróciła na

plażę, aby odnaleźć otrzymaną w nagrodę bransoletkę. Sprowadziła ją do sali biesiadnej, a dziewczyna przekazała nobilowi, iż widziała czarnego człowieka, który wylądował na plaży w niesamowitym statku. Nobil – zdało się – popadł błyskawicznie w obłęd i okrutnie dziewczynę chłostał, dopóki nie pojął, że mówi prawdę. Wówczas zgodził się na warunki przedłożone przez bukaniera. Siotsrzenica [sic!] zabrała dziecko i udała się, zdjeta grozą, do swego pokoju. Ona sama wraz z młodszą dziewczynką miały już umknąć z rozpaczy w las, gdy posłyszały za drzwiami ukradkowe kroki, które je przeraziły. Dziewczynka powiedziała, że był to ów czarny człowiek, którego wcześniej widziała schodzącego na brzeg. Przed świtem nastął straszliwy sztorm, który na skalistym wybrzeżu roztrzaskał statek bukaniera.

O świcie, jak tylko burza przeszła, daleko w górę wybrzeża jeden z piratów spotkał na plaży nieznanego i został przez niego zabity; nieznanomy zabrał mapę, którą tamten miał u pasa.

Nobil zaklinał się, iż to czarny przybysz – przekleństwo wiszące nad jego domem – wywołał sztorm, a bukanier powiedział, że jego ludzie zbudują statek. Ale właśnie wtedy do zatoki wszedł pirat i zażądał pertraktacji. Osłonięty przez cypel, przetrwał sztorm. Uznał, że to Zingarańczyk zabił jego oficera i ukradł mapę. Zaproponował wymianę – jeśli oddadzą mu mapę, on zabierze na pokład tylu, ilu zdoła, i wysadzi ich na brzeg w jakimś bezpiecznym miejscu. Ale podczas ich sprzeczki wszedł Conan i powiedział im, że to on zabił tamtego człowieka i ukradł i [sic!] mapę, i zniszczył ją. Nie potrzebował jej, ponieważ odnalazł skarb. Zaproponował taki plan: on wraz z dowódcami pójdzie po skarb, pozostawiając ich ludzi na plaży. Podzielią się po równo. Piratowi

brakowało zapasów. Nobil da im zapasy, pirat zaś zabierze Cimmeryjczyka na pokład statku. Nobil i bukanier pozostaną, by wybudować własny statek. Po wielu burzliwych sporach Conan oraz morscy zbóje udali się przez las do jaskini, którą odkrył uprzednio i gdzie zamierzał wystawić ich na działanie trującego gazu, który ją wypełniał; wszelako jeden z ludzi nobila pospieszył tam przed nimi i został znaleziony w środku martwy, a pirat oskarżył Conana o próbę usunięcia jego oraz bukaniera dla zdobycia jego statku i załogi. W trakcie ucieczki, jaka nastąpiła potem, zaatakowali ich Piktowie rozwścieczeni przez czarnego przybysza, który zamordował Pikta i przyczepił do niego złoty łańcuch, jaki tenże czarny człowiek wykradł nobilowi z fortu owej nocy.

Conan połączył siły z innymi i wywalczyli sobie drogę z powrotem do fortu, gdzie zostali oblężeni przez setki wyjących Piktów. Czarny człowiek przedostał się do nich i zabił jakiegoś bukaniera, w efekcie czego bukanierzy i piraci rzucili się na siebie, a Piktowie przedarli się przez ogrodzenie. Conan, wbiegłszy do pałacu dla ratowania dziewczyn, ujrzał nobila wiszącego na belce i czarnego człowieka napawającego się tym widokiem. Cisnął więc krzesłem i powalił stwora, po czym pochwycił dziewczyny i schronił się w narożniku ostrokołu. Pirat i bukanier zostali zabici w trakcie krwawej masakry, a Conan wraz z dziewczynami wydostał się i umknął na piracki statek zakotwiczony w zatoce.

Czarny przybysz

Szkic B

Conan Cimmeryjczyk, ścigany przez dzikusów w puszczech blisko zachodniego wybrzeża Piktyjskiej Dżicy, znajduje schronienie w jaskini, która zawiera ciała Tranicosy, naczelnego wodza piratów, i jego jedenastu dowódców oraz skarb ukryty przez nich sto lat wcześniej.

Na wybrzeżu, niedaleko od jaskini, stoi mała osada założona przez hrabiego Valensa Korzette, zingarańskiego nobila, który umknął na to puste wybrzeże, by uciec przed tajemniczym wrogiem. Po zniszczeniu jego galeonu przez sztorm cała wyprawa trafiła na brzeg w tym miejscu.

Strom, barachański pirat poszukujący skarbu Tranicosy, przybywa do zatoki i uznawszy, że Valenso ma tenże skarb, atakuje fort. W trakcie walki do zatoki wchodzi kolejny statek, dowodzony przez Czarnego Zaronę, bukaniera również polującego na skarb. Obawiając się schwymania w pułapkę pomiędzy dwoma wrogami, Strom odpływa i znajduje schronienie w małej zatoczce odległej o kilka mil.

Zarono zawiera pakt z Valensem i tejże nocy w forcie czyni mu pewną propozycję, przekonawszy się, iż Valenso nie wie nic o skarbie Tranicosy, który, o czym Strom i Zarono wiedzieli, ukryty

jest w pobliżu zatoki. Zarono proponuje, żeby on i hrabia połączyli siły, zdobyli skarb, a potem popłynęli do jakiegoś cywilizowanego kraju na statku Zaron. W zamian Zarono żąda ręki siotsrzenicy [sic!] Valensa. Hrabia odmawia gniewnie i nagle wpada w panikę za sprawą Tiny, młodziutkiej podopiecznej Belesy, która opowiada mu o dziwnym czarnym człowieku, jaki przybył z morza i znalazł schronienie w puszczy. Valenso niemal popada w obłąd ze strachu i zgadza się na propozycję Zaron mimo przeraźliwych protestów swej siotsrzenicy [sic!].

Później w nocy Belesa widzi czarnego człowieka przekradającego się korytarzami fortu i zdaje sobie sprawę, że nie jest to zwykła istota ludzka.

Sztorm wzniecony czarami czarnego człowieka niszczy statek Zaron.

Ludożercy z Zambouli

Szkic

Conan, który pomieszkiwał z wędrownym plemieniem Zuagirów, shemickich nomadów, zawędrował do Zambouli, dziwnego, mieszanego miasta na pustyni na spornym pograniczu Stygii oraz dominiów hyrkańskich. Zamboula zamieszkała była przez Stygijczyków, Shemitów i wiele typów mieszanych, a całością władali Hyrkańscy. Rządził tam satrapa, niejaki Jungir Khan, wraz z hyrkańskimi żołnierzami. Miasto obejmowało i przylegało też do wielu oaz z gajami palmowymi. Conan, zamierzający spędzić noc w gospodzie niejakiego Arama Baksha, został ostrzeżony przez shemickiego koczownika, iż wcześniej także inni ludzie pustyni oraz podróżni spędzali noc w domu Arama i nigdy ich już ponownie nie widziano. Powiedział on, że żadnych ciał nigdy w tym miejscu nie odnaleziono, ale że poza miastem – miasto nie miało muru – jest jama, w której znaleziono zwęglone ludzkie kości. Shemita uważał, że Aram był był [sic!] diabłem w przebraniu, który prowadził handel z demonami z pustyni. Conan nie zważał na te ostrzeżenia i poszedł do domu Arama, który znajdował się na skraju miasta. Aram dał mu pokój wychodzący na ulicę, która między gajami palm biegła wprost na pustynię. W nocy Conan został zbudzony ukradkowym otwarciem drzwi i zerwał się, by

zarznąć ogromnego czarnego niewolnika, który wkradł się do jego pokoju. Był to niewolnik kanibal z Darfaru, daleko na południu, i Conan zdał sobie sprawę, że Aram sprzedaje swych gości tym bestiom. Idzie na ulicę, zamierzając wejść do gospody innymi drzwiami i zarznąć Arama, i zobaczył trzech czarnych skradających się ulicą z pojmaną dziewczyną. Zaatakował ich i wyciął, i ukrył wraz z dziewczyną, podczas gdy duża banda tamtych przemykała obok, kierując się do jamy do przyrządzania potraw za miastem. Dziewczyna powiedziała mu, że jest tancerką w świątyni Hanumana, że kocha młodego hyrkańskiego żołnierza i że pragnie jej kapłan Hanumana, Stygijczyk Totrasmek. Mówiła, że ów kapłan przez swą magię wpłynął na młodego żołnierza i ten próbował ją zabić. Umknąwszy przed nim, została pochwycona przez czarnych, którzy przekradali się nocą ulicami, wyłapując i pożerając, co tylko zdołają. Gdy skończyła mówić o szalonym żołnierzu, ten rzucił się na nich, a Conan pozbawił go zmysłów i związał. Potem, unosząc go, podążył za nią do pewnego miejsca w mieście, gdzie negroidalny niewolnik – nie kanibal – przejął opiekę nad nieprzytomnym żołnierzem, którego dziewczyna najpierw obszukała, by znaleźć pierścień i wielki klejnot – jedyną rzecz, której tamten by jej nie dał. Sama podała mu specyfik przekazany jej przez kapłana, żeby spowodować, by usnął, i ukraść klejnot. Ale środek przyprawił go o obłąd. Dziewczyna przekonała Conana, żeby pomógł jej zabić kapłana. Poszli do świątyni Hanumana i gdy weszli, spróbowała ona otworzyć sekretne drzwi za bożkiem, ale jakaś dłoń złapała ją za włosy i wciągnęła do środka. Potworny karzeł zawlókł ją przed Totrasmeką, który zmusił dziewczynę do tańca nago pomiędzy czterema kobrami wyczarowanymi z dymu.

Conan, próbując dotrzeć do ukrytej komnaty inną drogą, zabił olbrzymiego kata i napierając przez zasłonę, uśmiercił Totrasmeka. Dziewczyna obszukała go, po tym jak Conan zabił karła, lecz nie znalazła klejnotu. Wtedy powiedziała Conanowi, że jest kurtyzaną o wielkiej sławie w tym mieście, a młody żołnierz to w rzeczywistości Jungir Khan, satrapa. Powrócili i znaleźli go oszołomionego, ale przy zdrowych zmysłach, a ona powiedziała Conanowi, żeby wrócił do pałacu następnego ranka po nagrodę. Wrócił zatem do domu Arama i oddał gospodarza w ręce negroidów, nacinając wpierw mu język tak, że nie mógł mówić. Wówczas udał się na pustynię, gdyż wcześniej rozpoznał dziewczynę i młodego żołnierza i sam ukradł klejnot, którego ona usilnie poszukiwała.

Czerwone ćwieki

Wersja

Kobieta na koniu ściągnęła wodze znużonemu rumakowi. Stał on na szeroko rozstawionych nogach, łeb mu opadał, jak gdyby nawet uzda z czerwonej skóry ozdobionej złotymi chwastami była zbyt ciężka. Kobieta wysunęła obutą stopę ze srebrnego strzemienia i ześliznęła się z wykończonego złotem siodła. Przywiązała mocno lejce do rosochatego drzewa i z rękami na biodrach okręciła się dookoła, aby zbadać otoczenie.

Nie było ono pociągające. Olbrzymie drzewa otaczały małą sadzawkę, z której dopiero co pił jej koń. Kępy podszytu ograniczały widok oglądany w posępnym półmroku wyniosłych sklepień utworzonych przez splatające się gałęzie. Kobietę przeszedł dreszcz, od którego drgnęły jej wspaniałe ramiona. A potem zakłęła.

Była wysoka, o wydatnych piersiach, dorodnych członkach i zwartych ramionach, które wskazywały na niezwykłą siłę, nie umniejszając jej kobiecej powierzchowności. Była kobietą w każdym calu, mimo swego zachowania i odzienia. Jej strój był dziwaczny, zwłaszcza w perspektywie okolicy, w jakiej się znalazła. Zamiast spódniczki nosiła krótkie jedwabne spodnie o szerokich nogawkach, które urywały się o szerokość dłoni od kolan,

podtrzymywane szarfą założoną jako przepaska. Buty z wywiniętymi cholewami z miękkiej skóry dochodziły prawie do kolan, a stroju dopełniała wydekoltowana koszula o szerokim kołnierzu i takichże rękawach. Na jednym kształtnym biodrze nosiła prosty miecz o obustronnym ostrzu, a na drugim długi dirk. Niesforne złociste włosy, przycięte równo u ramion, podtrzymywała opaska ze złotogłowiu.

Na tle ponurej, pierwotnej puszczy bezwiednie prezentowała się malowniczo, dziwacznie i nie na miejscu. Powinna mieć tło z nadmorskich obłoków, masztów oraz kołujących mew. W jej wielkich oczach jawiła się barwa mórz. I tak być powinno, ponieważ była to Valeria z Czerwonego Bractwa, której czyny wyliczano w pieśniach i balladach, gdziekolwiek zbierali się morscy włóczędzy.

Usiłowała przeniknąć wzrokiem posępny zielony dach z łukowatych gałęzi i dojrzeć niebo, które przypuszczalnie gdzieś tam się znajdowało, ale wkrótce z tego zrezygnowała, mnąc pod nosem przekleństwo.

Zostawiwszy spętanego konia, oddaliła się różnym krokiem w kierunku wschodnim, zerkając przelotnie od czasu do czasu w stronę sadzawki w celu utrwalenia marszruty w głowie. Cisza puszczy ją przygnębiała. Żaden ptak nie śpiewał pośród wyniosłych konarów ani żaden szelest w poszycie nie wskazywał na obecność jakichkolwiek zwierzątek. Rozpamiętywała to, iż cisza ta trwa już od wielu mil. Prawie całymi dniami podróżowała w królestwie absolutnej ciszy przełamywanej tylko odgłosami jej ucieczki.

Przed sobą ujrzała wynurzającą się z ciemności podobną do

krzemiennej skałę, która odchyłała się ku górze, przechodząc w coś, co wyglądało jak postrzępione skalne załomy wznoszące się pośród drzew. Ich szczyt niknął z widoku wśród gąszczu okalających go liści. Być może wierzchołek wznosił się ponad szczyty drzew, a z niego mogłaby dojrzeć, co znajduje się za nimi – o ile rzeczywiście znajduje się za nimi cokolwiek więcej niż najwyraźniej bezkresna puszcza, przez którą jechała już tak wiele dni.

Wąski pagórek tworzył naturalną rampę, która prowadziła pod górę. Po wspięciu się na jakieś pięćdziesiąt stóp nie widziała już ziemi z powodu przeszkadzających liści. Pnie drzew nie cisnęły się blisko załomów, ale ich mniejsze gałęzie wyciągały się dookoła, zasłaniając je swą gęstwiną. Wspinała się trochę przez liściastą zasłonę, niezdolna dojrzeć niczego ani ponad, ani poniżej siebie. Niedługo jednak liście zrzedły i wyszła na płaski, podobny do półki wierzchołek, i ujrzała rozciągające się u jej stóp sklepienie puszczy. Widziała tylko falujący ocean zieleni, który rozciągał się coraz dalej i dalej, z jedyną, mglistą, błękitną linią w oddali stanowiącą niewyraźną oznakę pasma wzgórz, jakie przekroczyła wiele dni temu, by zanurzyć się w to liściaste pustkowie.

Od południa i północy widok był taki sam, jednak w obu kierunkach pozbawiony błękitnej linii wzgórz. Spojrzała ku wschodowi i nagle zeszywniała, kiedy jej stopa uderzyła o coś w ściółce nawianych zeschniętych liści, jaka pokrywała półkę. Odkopała je na bok i spojrzała na ludzki szkielet. Wprawnym okiem przebiegła po zbiegających kościach, ale nie dostrzegła żadnych złamań czy innych oznak przemocy. Człowiek ten musiał umrzeć śmiercią naturalną, choć dlaczego wspinał się na tę trudną do zdobycia iglicę, żeby skonać, nie umiała sobie wyobrazić.

Wspięła się na szczyt i popatrzyła ku wschodowi. Zesztywniała. Niedaleko na wschodzie po paru milach puszcza rzedła i kończyła się raptownie, ustępując miejsca odsłoniętej równinie, na której rosło tylko kilka skarłowaciałych drzew. A pośrodku owej równiny wznosiły się mury i wieże uczynionej ręką ludzką miasta. Dziewczyna zakłęła ze zdziwieniem. To przechodziło wszelkie wyobrażenie. Nie zdziwiłby jej widok ludzkich siedzib innego rodzaju – chat w kształcie uli budowanych przez czarny lud albo siedlisk w skalnych ścianach wykonanych przez tajemniczą brązową rasę, która, jak głosiły legendy, zamieszkiwała pewne obszary tego niezbadanego rejonu. Ale trafienie na otoczone murami miasto tutaj, tak wiele długich tygodni marszu od najbliższych przyczółków jakiegokolwiek cywilizacji, stanowiło wstrząsającą niespodziankę.

Jej myśli rozsypały się za sprawą szumu liści poniżej. Obróciła się szybko niczym kot, łapiąc za rękę, i wtem zastygła w bezruchu, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w mężczyznę przed sobą.

Był wysoki, mocno zbudowany, wzrostu niemal olbrzyma, mięśnie grały mu płynnie pod skórą, którą słońce opaliło na brąz. Strój miał podobny do niej, z wyjątkiem tego, że zamiast przepaski nosił szeroki skórzany pas. U tegoż pasa zwisały szeroki miecz i puginał.

– Conan Cimmeryjczyk! – wykrzyknęła kobieta. – Co tu robisz na moim szlaku?

Wyszczrzył się okrutnie, a jego srogie niebieskie oczy zapłonęły blaskiem, który potrafiła pojąć każda kobieta, gdy przebiegał wzrokiem po jej wspaniałej postaci, zatrzymując się dłużej na wypukłościach okazałych piersi pod lekką koszulą i odsłoniętym

jasnym ciele wystawionym na pokaz między spodniami a cholewami butów.

– Ha, do diabła, dziewczyno! – Roześmiał się. – Nie wiesz? Czyż nie były wyraźne me zachwyty tobą, odkąd ujrzałem cię po raz pierwszy?

– Ogier nie zdołałby wyraźniej – odrzekła pogardliwie. – Ale nigdy bym się nie spodziewała spotkać cię tak daleko od beczek z piwem i garnków z mięsem. Naprawdę podążasz za mną od obozu Zaralla czy też wygnali cię batogiem?

Wyśmiał jej pogardę i napiął potężne bicepsy.

– Wiesz, że Zarallo nie ma dość nikczemników, żeby wygnać mnie z obozu batogiem. – Wyszczrzył zęby. – Oczywiście, że podążałem za tobą. A to także twoje szczęście, dziewczko! Kiedy zadźgałaś tamtego, straciłaś przyjaźń Zaralla, a zyskałaś nienawiść jego brata.

– Wiem o tym – odparła posępnie. – Ale co innego mogłam zrobić? Wiesz, co mnie sprowokowało.

– Pewnie – zgodził się. – Gdybym tam był, sam bym go zadźgał. Ale skoro kobieta musi wieść męski żywot, może spodziewać się takich rzeczy.

– Dlaczego mężczyźni nie pozwalają mi żyć męskim życiem?

– Do diabła, dziewczyno, to oczywiste! Byłaś jednak na tyle mądra, by umknąć z obozu. Zarallo by cię oskórował. Brat tamtego podążał twym tropem. Nie wątpię, że szybciej, niż się spodziewałaś. Nie był daleko za tobą, gdy go dogoniłem. Jego koń był lepszy od twojego. Dognałby cię i poderznął gardło na przestrzeni kilku kolejnych mil.

– No i? – dopytywała.

- No i co? – Wydawał się skonsternowany.
- Co z tamtym?
- Ech, a jak sądzisz? – odparł. – Zabiłem go, oczywiście, i zostawiłem ścierwo sępom. To mnie jednak spowolniło i prawie zgubiłem twój trop, gdy przebyłaś skaliste rozwidlenie wzgórz. W przeciwnym razie dogoniłbym cię dawno temu.
- A teraz myślisz, że zawleciesz mnie z powrotem do obozu Zaralla. – Uśmiechnęła się szyderczo.
- Sama wiesz najlepiej – odciął się. – Chodź, dziewczyno, nie bądź taką złośnicą. Nie jestem jak ten, którego zadźgałaś, wiesz o tym.
- Włóczęga bez grosza – zadrwiła.
- Wyśmiała ją.
- A czymże ty jesteś? Nie miałaś dość pieniędzy, by kupić nową łatę na siedzenie swoich portek. Nie okpisz mnie swą wzdargą. Znasz moją reputację. Wiesz, że dowodziłem większymi okrętami i większą liczbą ludzi niż ty kiedykolwiek w całym swym życiu. A co do braku grosza... Do diabła, jakiemuż piratowi nie brakuje go przez większość czasu? W swym życiu byłem bogaty tysiąc razy i znów będę się nurzał w łupach. Przepuściłem w portach tego świata tyle złota, że zdołałoby wypełnić galeon. O tym także wiesz.
- Gdzie teraz są te znakomite okręty i dzielne chłopaki, którymi dowodziłeś? – szydziła.
- Głównie na dnie mórz – odparł pogodnie. – Zingarańska eskadra zatopiła mój ostatni okręt pod Toragis... Spaliłem miasto Valadelad, ale złapali mnie, nim dotarłem na Barachany. Byłem jedynym człowiekiem na pokładzie, który uszedł z życiem. To dlatego przyłączyłem się do Wolnych Towarzyszy Zaralla. Ale złota

skąpo, a wino kwaśne... i nie lubię czarnych kobiet. A tylko takie przychodziły do naszego obozu na granicy Darfaru... z kólkami w uszach i spiłowanymi zębami... Fúj! A czemu ty dołączyłaś do Zaralla?

– Czerwony Ortho zabił kapitana, z którym żeglowałam, i zabrał nasz statek – odrzekła pośpiesznie. – Ten pies chciał mnie uczynić swą metresą. Pewnej nocy, kiedy kotwiczyliśmy u kushickiego brzegu, skoczyłam za burtę i dopłynęłam do lądu. Było to pod Zabhelą. Tam spotkałam shemickiego handlarza, który był także werbownikiem Zaralla. Powiedział mi, że Zarallo sprowadził Wolne Towarzystwa na południe, by strzegły granicy Darfaru dla Stygijczyków. Dołączyłam do kierującej się na wschód karawany i ostatecznie przybyłam do obozu.

– A teraz oboje zostawiliśmy Zaralla, by radzić sobie samemu – podsumował Conan. – To było szalone, że wypuściłaś się na południe... ale również mądre, gdyż patrolom Zaralla nigdy nie przyszło na myśl, by szukać cię w tym kierunku. Jedynie bratu tego człowieka, którego zabiłaś, udało się trafić na twój ślad.

– I co masz zamiar teraz robić? – dopytywała.

– Skręcić na zachód przez puszcę – odparł. – Byłem daleko na południu, ale nie tak daleko na wschodzie. Wielodniowa podróż na zachód zawiedzie nas na rozległe sawanny, gdzie mieszkają czarne plemiona. Mam wśród nich przyjaciół. Dostaniemy się na wybrzeże i znajdziemy statek. Mam dosyć dżungli.

– Idź zatem swoją drogą – poradziła mu. – Ja mam inne plany.

– Nie bądź głupia. – Po raz pierwszy okazał irytację. – Nie przetrwasz w tej puszczy.

– Już przetrwałam... Ponad tydzień.

– Ale co zamierzasz zrobić?

– To nie twoja sprawa – rzuciła ostro.

– Owszem, moja – rzekł spokojnie. – Myślisz, że podążałem za tobą tak daleko, by odwrócić się i odjechać z pustymi rękami? Bądźże rozsądna, dziewczko, nie mam zamiaru cię skrzywdzić.

Ruszył w jej stronę, a ona odskoczyła w tył, wyciągając miecz ze świstem.

– Trzymaj się z dala, ty barbarzyński psie! Nadzieję cię jak pieczoną świnie!

Zatrzymał się nierad.

– Chcesz, żebym zabrał ci tę zabawkę i dał nią klapsa? – zapytał.

– Słowa! – zadrwiła, a w jej zuchwałych oczach światła tańczyły niczym słońce w błękitach wód.

Wiedział, że to prawda. Żaden żyjący mężczyzna nie zdołałby rozbroić Valerii z Bractwa gołymi rękami. Spojrzał gniewnie, jego odczucia stanowiły chaotyczną mieszankę sprzecznych emocji. Był zły, ale także rozbawiony i przepełniony podziwem. Aż świerbiło go od chęci pochwycenia tej wspaniałej postaci i zmiżdżenia jej w swych żelaznych ramionach, jednak pragnął wielce nie skrzywdzić dziewczyny. Był rozdarty między pragnieniem, by nią potrząsnąć, a pragnieniem, by ją pieścić. Wiedział, że gdyby podszedł bliżej, jej miecz wbiłby się w jego serce. Zbyt wiele razy widział, jak Valeria zabija mężczyzn, by mieć co do niej jakiegokolwiek złudzenia. Wiedział, że przy ataku jest szybka i zajadła jak tygrysica. Mógł wyciągnąć swój szeroki miecz, aby ją rozbroić, wytrącić ostrze z jej dłoni, ale myśl o wyjęciu miecza na kobietę, nawet bez zamiaru uszkodzenia jej ciała, była mu wyjątkowo wstrętą.

– A niech cię... Ty ladacznico! – wykrzyknął rozdrażniony. –

Odbiorę ci twój...

Ruszył w jej stronę, gniew odebrał mu rozwagę, a ona ustawiła się do zadania pchnięcia, kiedy przerwało im coś zdumiewającego.

– *Co to było?*

Oboje drgnęli gwałtownie i Conan odwrócił się szybko niczym kot, z wielkim mieczem, który błysnął mu w dłoni. Valeria odskoczyła, tak samo ustawiona do pchnięcia. W puszczy na dole podniosła się mieszanina przeraźliwych hałasów – kwiku przerażonych i dogorywających koni. Zmieszane na równi z ich kwikiem dotarły trzaski łamanych kości.

– Lwy zabijają konie! – zawołała Valeria.

– Lwy, do diabła! – prychnął Conan a jego oczy błyszczały. – Słyszałaś ryk lwa? Ja też nie! Przysłuchaj się temu trzaskowi kości. Nawet lew nie zdołałby zrobić tyle hałasu, zabijając konia. Chodź za mną... ale trzymaj się z tyłu.

Pospieszył w dół naturalną rampą, a ona ruszyła w jego ślady. Osobista waśń poszła w zapomnienie wobec kodeksu awanturników, instynktu, by jednoczyć siły przeciwko wspólnemu zagrożeniu.

Zeszli w warstwę liści i przedzierali się w dół przez zieloną zasłonę. Nad puszcza ponownie zapadła cisza.

– Znalazłem twego konia uwięzowanego przy sadzawce, o tam – wymamrotał, stąpając tak bezgłośnie, że już więcej się nie zastanawiała, jak zaskoczył ją na skale. – Przywiązałem mojego obok i poszedłem śladem twoich butów. Uważaj teraz!

Wynurzyli się z pasa liści i spojrzeli na dolne partie puszczy. Zielony dach nad nimi rozpościerał swój zaciemniony baldachim. Pod nimi słonecznego światła przenikało na tyle, by wytworzyć

szary półmrok. Olbrzymie pnie drzew, nie więcej niż sto stóp dalej, były ciemne i upiorne.

– Konie powinny się znajdować za tymi zaroślami – wyszeptał Conan, wydając nie więcej dźwięku niż lekki wietrzyk powiewający wśród gałęzi. – *Posłuchaj!*

Valeria już usłyszała i krew jej w żyłach zastygła; bezwiednie położyła jasną dłoń na umięśnionym ramieniu towarzysza. Z zarośli dochodziły głośny chrzęst kości oraz donośny dźwięk rozrywania mięsa.

– Lwy nie robiłyby takiego hałasu – szepnął Conan. – Coś je nasze konie, ale to nie lew... Popatrz tam!

Hałas ustał raptownie, a Cimmeryjczyk zaklął pod nosem. Wzniesiony nagle wiaterek powiał z ich strony wprost w kierunku miejsca, gdzie skrywał się niewidzialny potwór.

Zarośla zatrzęsyły się gwałtownie, a Valeria ścisnęła mocno rękę Conana. Nie mając żadnej wiedzy o dżungli, pojęła jednak, że żadne zwierzę, które kiedykolwiek widziała, nie targałoby zaroślami w taki sposób.

– Słoń nie uczyniłby tak wielkiego zamieszania – mruczał pod nosem Conan, wtórując jej myślom. – Co, u diabła... – Głos mu zamarł w ogłuszającej ciszy i pełnym niedowierzania zadziwieniu.

Z zarośli wyłonił się łeb rodem z obłądu i koszmaru. Szczercząca się paszcza z obnażonymi rzędami ociekających posoką żółtych kłów, ponad rozdziawioną szczęką – podobny jaszczurczemu pomarszczony pysk. Ogromne ślepia, niczym tysiącokrotnie powiększone ślepia kobry, wpatrywały się bez mrugnięcia w zastygłych ludzi, którzy przywarli do skały nad nim. Pokryte łuską obwisłe wargi wysmarowane były krwią skapującą z olbrzymiej

paszczy. Dalej łeb przechodził w długą, pokrytą łuską szyję, a potem, miażdżąc kolczaste krzewy i młode drzewka, wytoczyło się olbrzymie cielsko – gigantyczny gadzi korpus na absurdalnie krótkich nóżkach. Białawy brzuch niemal szorował o ziemię, podczas gdy najeżony zębami grzbiet wznosił się wyżej, niż Conan zdołałby osiągnąć, stojąc na palcach. Za tą potwornością ciągnął się smoczy ogon.

– Z powrotem w górę, na skałę, prędko! – rzucił Conan, pchnąwszy stojącą za nim dziewczynę. – Ten diabeł nie zdoła się wspiąć, mam nadzieję, ale może stanąć na zadnich łapach i nas dosięgnąć...

Rwąc i łamiąc krzaki oraz małe drzewka, smok zaszarżował i dokładnie jak Conan przewidział, wzniosł się niebezpiecznie na krótkich, potężnych zadnich łapach, by opasć przednimi na załomy z gwałtownością, która wprawiała skałę w drzenie. Ledwie uciekinierzy minęli warstwę liści, ogromny łeb przebił się przez nią i potężne szczęki zatrzasnęły się z głośnym kłapnięciem olbrzymich kłów. Oni jednak znajdowali się poza zasięgiem i spoglądali w okolone zielonymi liśćmi koszmarnie oblicze. Potem łeb cofnął się, a chwilę później, zerkając w dół pomiędzy gałęziami, jakie szorowały o skałę, ujrzeli stwora siedzącego na zadzie i wpatrującego się w nich bez zmrużenia oka.

Pozbawiona odwagi Valeria wzdrygnęła się.

– Jak sądzisz, długo będzie tam warował?

Conan kopnął czaszkę na usłanej liśćmi półce.

– Ten gość musiał wspiąć się tutaj, żeby uciec jemu albo innemu takiemu jak ten. Umarł tu z głodu. Ten stwór nie odejdzie stąd, nim oboje nie będziemy martwi.

Valeria popatrzyła na niego pustym wzrokiem, zapominając o urazie. Zwalczyła napływ paniki. Dowodziła swej zuchwałej odwagi tysiące razy podczas dzikich bitew na morzu i lądzie, na śliskich od krwi pokładach płonących okrętów, w trakcie szturmów na warowne miasta i na udeptanych piaszczystych plażach, gdzie gotowi na wszystko ludzie z Czerwonego Bractwa nurzali sobie nawzajem noże we krwi w zmaganiach o dominację. Nie zachwiała się podczas długiej ucieczki ku południu z obozu na granicy Darfaru. Jednak perspektywa, z którą przyszło się jej teraz mierzyć, zmroziła jej krew w żyłach. Cios kordelasa w ogniu bitwy był niczym; lecz siedzieć beczynn timer, biernie na nagiej skale, aż zabije ją głód, napastowana przez potworny przeżytek z dawnych epok... Ta myśl przepoiła jej umysł pulsującą paniką.

– Musi odejść, żeby jeść i pić – rzekła bezradnie.

– Nie będzie musiał chodzić daleko, by zrobić jedno i drugie – wyjaśnił Conan. – Biega niczym jelen, ponadto właśnie obżarł się końskim mięsem i jak prawdziwy wąż, może długo obejść się bez jedzenia i picia. Jednak zdaje się, że on nie śpi jak prawdziwy wąż.

Conan przemawiał niewzruszony. Był barbarzyńcą i straszliwa cierpliwość dziczy oraz jej dzieci była w równym stopniu częścią jego duszy. Umiał znosić takie sytuacje, których nie zniosłaby żadna osoba cywilizowana.

– Nie możemy wspiąć się na drzewa i wydostać po nich, przemieszczając się między gałęziami? – pytała desperacko.

Pokręcił głową.

– Myślałem o tym. Gałęzie trą o skałę tam, w dole, ale są zbyt delikatne. Gałęzie zbyt delikatne na trzonki włócznie, a pnącza nie grubsze od sznura. Połamałyby się pod naszym ciężarem. Ponadto

mam wrażenie, że ten potwór potrafi wyrwać każde drzewo w okolicy razem z korzeniami.

– Dobra, to będziemy siedzieć na tyłkach, aż się zagłodzimy? – krzyknęła wściekle. – Nie zrobię tego! Zejdę na dół i urżnę mu ten przeklęty łeb...

Conan usadowił się spokojnie na skalnym występie. Z zachwytem spojrział na jej błyszczące oczy oraz napiętą, drżącą postać, ale zdając sobie sprawę, iż jest teraz w nastroju na każde szaleństwo, nie pozwolił, by ów zachwyty zabrzmiał w jego głosie.

– Siadaj – burknął, łapiąc ją za nadgarstek i przyciągając sobie na kolana. Nie napotkawszy oporu, wyciągnął jej z ręki miecz i wsadził do pochwy. – Siedź spokojnie i wycisz się. Tylko byś połamała stal na jego łuskach. Jakoś wybrniemy z kłopotu, ale nie zrobimy tego, dając się przeżuć i połknąć.

Nic nie odpowiedziała ani też nie starała się zepchnąć jego ramienia ze swej talii. Była przerażona, a to odczucie stanowiło nowość dla Valerii z Czerwonego Bractwa. Siedziała zatem na kolanie swego towarzysza – albo ciemieżyciela – z potulnością, jaka zdziwiłaby hrabiego Zaralla, który mianował ją diabolicą z piekielnego seraju.

Conan bawił się leniwie jej kędzierzawymi blond puklami, pozornie tylko pochłonięty swoim podbojem. Ani szkielet u jego stóp, ani potwór czający się poniżej nie mąciły mu w najmniejszym stopniu rozumu.

Niespokojne oczy dziewczyny błędzące po liściach poniżej spoczęły na ciemnoszkarłatnych owocach, które zauważyła po raz pierwszy, kiedy wspinała się na załomy. Podobne były do owoców, które wcześniej znajdowała w puszczy i zjadała podczas ucieczki z

obożu Zaralla. Świadoma była zarazem pragnienia i głodu, chociaż żadne z nich jej nie nękało, dopóki nie dowiedziała się, iż nie może zejść z załomów, by znaleźć jedzenie i wodę.

– Nie musimy głodować – powiedziała. – Tam są owoce.

Conan rzucił okiem tam, gdzie wskazywała.

– Gdybyśmy to zjedli, nie potrzebowalibyśmy ukąszenia smoka – mruknął. – To coś, co czarny lud Kush zwie jabłkami Derkety. Derketa jest Królową Umarłych. Wypij trochę tego soku albo rozlej go po swym ciele, a będziesz martwa, nim zdołasz zejść do stóp tych załomów.

– Och!

Valeria popadła w trwożliwe milczenie. Wydawało się, że z tych tarapatów nie ma wyjścia. Pomyślała o czymś i skierowała uwagę Conana ku wschodowi. On stanął na iglicy i wyjrzał ponad sklepieniem puszczy.

– To miasto, ani chybi – wymamrotał po jakimś czasie. – To tam zamierzałaś pójść, gdy próbowałaś odesłać mnie samego na wybrzeże?

Przytaknęła.

– Któż by pomyślał, że można tu napotkać miasto. Z tego, co wiem, Stygijczycy nigdy nie przeniknęli tak daleko. Czy mógł to być czarny lud? Nie widzę żadnych stad na równinie, żadnych śladów upraw ani przemieszczających się wokół ludzi.

– Jak możesz spodziewać się zobaczyć to wszystko z tej odległości? – dopytywała.

Wzruszył ramionami i zszedł z iglicy. Nagle zaklął.

– Dlaczego, na Croma, nie pomyślałem o tym wcześniej?!

Nie udzieliwszy odpowiedzi na jej pytanie, zszedł do pasa liści i

spojrzał pomiędzy nimi. Wielkie bydlę czało się poniżej, obserwując załomy z przerażającą cierpliwością gadziego ludu. Conan obrzucił je przekleństwem i zaczął ciąć gałęzie. Wkrótce miał trzy długie, smukłe drzewca, ale każde nie grubsze od kciuka.

– Gałęzie są zbyt delikatne na trzonki włóczni, a pnącza nie grubsze od sznura – powtórzył poprzednie stwierdzenie. – Ale siła w jedności... jak aquilońscy renegaci zwykli mawiać Cimmeryjczykom, kiedy przybyli na wzgórze, by zebrać armię do najazdu na własny kraj. Jednak my walczymy w klanach i plemionach.

– Co to, u diabła, ma wspólnego z tymi kijami? – dopytywała.

– Poczekaj, to zobaczysz.

Naciąwszy trochę pnączy, złączył kije, wyciągnął puginał i z jednego końca zaklinował między nimi rękojeść. Potem pnączami związał je w zwartą wiązkę, a kiedy skończył, uzyskał włócznie o niemałej sile rażenia i solidnym drzewcu długim na siedem stóp.

– Co to nam pomoże? – dopytywała. – Powiedziałaś, że ostrze nie zdołałoby przebić jego łusek...

– Nie z każdej strony ma łuski – odrzekł Conan. – Panterę można oskórować na wiele sposobów.

Przemieściwszy się w dół, do skraju pasa liści, sięgnął włócznie pod górę i ostrożnie przebił ostrzem jedno z jabłek Derkety, odsuwając się na bok, żeby uniknąć ciemnopurpurowych kropli, które ściekały z owocu. Wkrótce cofnął ostrze i ukazał jej błękitną stal splamioną matowym, fioletowawym szkarłatem.

– Nie wiem, czy to zrobi swoje czy nie – oznajmił. – Jest tu dosyć trucizny, żeby zabić słonia, ale... Dobra, zobaczymy.

Valeria szła blisko niego, gdy opuszczał się między liśćmi.

Ostrożnie trzymając zatrutą pikę z dala od siebie, wystawił głowę spośród liści i przemówił do potwora:

– Na co czekasz tam, w dole, ty bękarci pomioście niewiadomych rodziców? – To było jedno z pytań jeszcze nadających się do druku.
– Wytknij do góry ten swój paskudny łeb, długoszyi bękarcie... A może chcesz, żebym to ja zszedł tam, na dół, i przetrącił ci ten bękarci grzbiet?

Było tego więcej. Niektóre zdania zostały sklecone z elokwencją, która przyprawiła Valerię o wytrzeszcz oczu pomimo jej wszechkonnej edukacji odebranej wśród ludzi morza. No i wywarły one wpływ na potwora. Jak ustawiczne ujadanie psa niepokoi i rozwściecza inne, cichsze z natury zwierzęta, tak hałaśliwy głos człowieka budzi strach w piersi jednych bestii i obłąkaną wściekłość u innych. Nagle z zastraszającą prędkością mastodontowe bydlę dźwignęło się na swych potężnych zadnich łapach i wyciągnęło ciało oraz szyję we wściekłym wysiłku osiągnięcia tego wrzaskliwego karła, którego jazgot zakłócał pierwotną ciszę jego pradawnego królestwa.

Jednak Conan ocenił odległość właściwie. Jakieś pięć stóp pod nim potężny łeb wbił się strasznie, lecz bez efektu w liście. Kiedy potworna paszcza rozdziawiła się tak jak u węża, pchnął włócznią w załom utworzony przez zawias żuchwy. Uderzył w dół z całą siłą obu ramion, wbijając głęboko długie ostrze puginału w ciało, kości i mięśnie.

Szczęki zatrzasnęły się natychmiast, przecinając potrójne drzewce i prawie strącając Conana z jego wysoko położonego stanowiska. Po prawdzie spadłby, gdyby nie dziewczyna za nim, która chwyciła jego pas z mieczem w desperackim uścisku. On sam złapał się

skalnego występu i wyszczerzył do niej zęby w podzięce.

W dole, na ziemi, potwór tarzał się jak pies z pieprzem w ślepiach. Szarpał łbem z boku na bok, machał łapą i raz za razem otwierał paszczę na pełną szerokość. Po pewnym czasie sięgnął ogromną przednią łapą po kikut włóczni i zdołał wyszarpnąć ostrze. Zdawszy sobie sprawę, kto stanowi przyczynę jego rozdrażnienia, rzucił łbem z rozwartą szczęką, tryskając krwią, i wlepił wściekłe spojrzenie w załomy na górze z taką skupioną, inteligentną furia, że Valeria zadrżała i wyciągnęła miecz.

Z chropawym, zgrzytliwym porykiwaniem potwór rzucił się na załomy stanowiące bastion jego wrogów. Raz za razem jego potężny łeb wbijał się pomiędzy liście, kłapiąc daremnie w powietrzu. Rzucił się całą swą ogromną masą na skałę, aż ta zaczęła drgać od podstawy po szczyt. I stanąwszy prosto dęba, złapał za nią przednimi łapami jak człowiek i spróbował wyczynu niemożliwego – wyrwać ją w całości z ziemi.

Ten pokaz pierwotnej furii zmroził krew w żyłach Valerii, ale Conan sam zbyt bliski był takiej dzikości, by poczuć cokolwiek poza pełnym fascynacji zainteresowaniem. Dla barbarzyńcy między innymi ludźmi a zwierzętami nie istniała taka przepaść jak w pojęciu Valerii. Potwór pod nim był dla Conana zwyczajną formą życia różniącą się od niego głównie kształtem. Przypisywał mu cechy charakterystyczne dla siebie samego i uznawał jego ryki i warkot za zwyczajny gadzi ekwiwalent przekleństw, jakimi wcześniej go obrzucił. Czując pokrewieństwo ze wszystkimi dzikimi stworami, nawet ze smokami, nie mógł na widok jego brutalnej zajadłości doświadczyć tak chorobliwej grozy, jaka dopadła Valerię.

Conan usiadł, patrząc ze spokojem, i wskazywał na rozmaite zmiany w głosie i ruchach potwora.

– Trucizna robi swoje – rzekł z przekonaniem.

– Nie wierzę w to. – Valerii zdawało się niedorzeczne przypuszczenie, że cokolwiek, co nie jest zabójcze, może wywrzeć jakikolwiek wpływ na tę górę furii i mięśni.

– W jego głosie słysząc ból – oświadczył Cimmeryjczyk. – Najpierw był zwyczajnie wściekły z powodu ukłucia w szczękę. Teraz odczuwa ukąszenie trucizny. Popatrz! Zatacza się. Za kilka chwil oślepnie. A nie mówiłem?

Nagle smok, który się chwiał, zaczął oddalać się przez krzaki.

– Czy on ucieka? – dopytywała niespokojnie Valeria.

– Chce się dostać do sadzawki! Trucizna wywołała u niego pragnienie. Dalej! Będzie ślepy, kiedy wróci, jeśli zdoła wrócić. Ale gdy odnajdzie drogę do podnóża załomów i nas wywęszy, będzie siedzieć tam, póki nie zdechnie. A inne z jego rodu mogą przybyć na jego wołanie. Chodźmy!

– Na dół? – Valeria osłupiała z przerażenia.

– Pewnie! Damy radę dostać się do miasta! Możemy wpaść na następny tysiąc tych bydlaków, ale pozostać tutaj to pewna śmierć. Na dół, szybko! Za mną!

Zszedł po rampie prędko jak małpolud, zatrzymując się tylko, by pomóc swej wolniejszej towarzyszyce, która, póki nie ujrzała wspinającego się Cimmeryjczyka, roiła sobie, że dorównuje każdemu mężczyźnie na takielunku statku czy stromym klifie.

Ześliznęli się cicho na ziemię, choć Valeria miała wrażenie, że bicie jej serca z całą pewnością słysząc na mile. Hałaśliwy bulgot i chleptanie za gęstymi zaroślami wskazywały, że smok poi się u

sadzawki.

– Jak tylko napełni brzuch, powróci – wymruczał cicho Conan. – Mogą minąć godziny, nim trucizna zadziała.

Gdzieś za puszcą słońce opadało ku widnokręgowi. Stała się teraz mglistym, zaciemnionym miejscem złożonym z czarnych cieni i przyćmionych widoków. Conan złapał mocno Valerię za nadgarstek i pomknął z dala od podnóża skalnych załomów. Czynił mniej hałasu niż wietrzyk wiejący wśród gałęzi, tymczasem Valerii zdawało się, że jej miękkie buty zdradzają całej puszczy ich ucieczkę.

– Nie sądzę, żeby udało mu się pójść naszym śladem – mamrotał Conan po cichu. – Nie wieje wiatr. Mógłby wywęszyć woń naszych ciał, gdyby powiało w jego stronę.

– Mitro daj, by ten wiatr nie powiał! – Valeria nabrała głęboko powietrza. W wolnej ręce ścisnęła miecz, ale dotyk owiniętej skórą rekina rękojeści wzmagął w niej tylko poczucie bezsilności.

Do skraju puszczy było trochę ponad milę. Przebyli większość tej odległości, gdy posłyszeli za sobą odgłosy łamania i miażdżenia. Valeria zagryzła wargę, by powstrzymać krzyk.

– Jest na naszym tropie! – wyszeptała gwałtownie, gotowa do działania.

Conan pokręcił głową.

– Nie wyczuł nas przy skale i błądzi dookoła po puszczy, usiłując podjąć nasz trop. Dalej! W tej puszczy nie ma dla nas schronienia! Zdołaliby wyrwać każde drzewo, na jakie byśmy się wspięli. Dostańmy się na równinę! Jeśli nie złapie naszej woni, damy radę! To miasto jest naszą jedyną nadzieją!

Przekradali się dalej, dopóki drzewa nie zaczęły rzednąć. Za nimi

puszcza stała się czarnym, nieprzeniknionym oceanem cieni. Złowieszcze trzaski wciąż rozbrzmiewały za ich plecami, kiedy smok błędził po mylnych drogach.

– Przed nami równina. – Valeria wzięła głęboki oddech. – Jeszcze trochę, a będziemy...

– Na Croma! – zaklął Conan.

– Na Mitrę! – wyszeptała Valeria.

Ze wschodu zerwał się wiatr. Owiewał ich wprost ku czarnej puszczy za nimi. Natychmiast lasem wstrząsnął straszny ryk. Przypadkowe chrzęsty i trzaski krzaków przemieniły się w równomierny hałas, kiedy smok ruszył niczym huragan prosto w stronę miejsca, z którego dochodziła woń.

– Biegiem! – warknął Conan; oczy płonęły mu jak wilkowi schwytanemu w pułapkę. – To wszystko, co możemy zrobić!

Marynarskie buty nie zostały stworzone do sprintów, a życie pirata nie czyni z nikogo biegacza. Na przestrzeni pięćdziesięciu jardów Valeria poczęła dyszeć i słać się na nogach, a za nimi trzaski ustąpiły dudniącemu hukowi, kiedy potwór wydostał się z zarośli na otwartą przestrzeń.

Stalowe ramię Conana objęło talię kobiety i uniosło ją; jej stopy ledwie muskały ziemię, gdy była niesiona z prędkością, której sama by nigdy nie osiągnęła. Rzut oka przez ramię wykrył Conanowi, że potwór prawie ich dopadł, nadciągając jak wojenna galera z frontem huraganu. Odepchnął Valerię od siebie z siłą, która sprawiła, że poleciała chwiejnie na tuzin stóp, by paść jak kupa nieszczęścia u podnóża najbliższego drzewa, a sam odwrócił się gwałtownie, stając na drodze pędzącego olbrzyma.

Przekonany, że śmierć go dopadła, Cimmeryjczyk postąpił

zgodnie ze swym instynktem i rzucił się wprost na napierające nań okropne oblicze. Skoczył niczym żbik, uderzając i tnąc, i poczuł, jak miecz wrzyna się głęboko w łuski, które osłaniały potężny pysk... I wtem odrzuciło go straszne uderzenie, odbierając mu całkowicie dech i połowę sił vitalnych, aż potoczył się po nierównej ziemi na pięćdziesiąt stóp.

Jak ogłuszony Cimmeryjczyk stanął na nogi, tego nawet on sam nie potrafił powiedzieć. Ale myślał tylko o dziewczynie leżącej nieprzytomnie niemal na drodze pędzącego demona i zanim powietrze powróciło ze świstem do jego płuc, już stał nad nią z mieczem w dłoni.

Ona zaś leżała tam, gdzie ją cisnął, ale teraz usiłowała usiąść. Smok nie tknął jej ani rwącymi kłami, ani tratującymi łapami. Conan został uderzony przednią łapą bądź barkiem, a oślepy potwór pognał dalej, w nagłych spazmach agonii zapominając o ofiarach, za którymi węszył. Gnał na złamanie karku w obranym kierunku, aż jego nisko zwieszony łeb huknął o olbrzymie drzewo stojące mu na drodze. Zderzenie wyrwało pień z korzeniami i musiało wybić mózg z nieforemnej czaszki. Drzewo i potwór padli razem, a oszołomieni ludzie ujrzeni powyginane gałęzie i liście wstrząsane konwulsjami stworzenia, które zakryły... Potem nastąpiła cisza.

Conan postawił Valerię na nogi i razem zaczęli chwiejnie biec ku wschodowi. Kilka chwil później wydostali się na ogarniętą zmierzchem bezdrzewną równinę.

Conan zatrzymał się na moment i zerknął na czarną puszcę za nimi. Nie zadrżał nawet liść, żaden ptak nie zaszczebotał. Trwała tak cicha, jaka musiała trwać, zanim stworzone zostało zwierzęce

życie.

– Chodź – mruknął, biorąc swą towarzyszkę za rękę. – Las może być pełen tych diabłów. Spróbujemy się z tamtym miastem na równinie.

Z każdym krokiem, z jakim oddalali się od czarnego lasu, Valeria oddychała z większą ulgą. W każdej chwili spodziewała się posłyszeć trzask krzaków i ujrzeć następny olbrzymi koszmar napierający na nich. Jednak nic nie zakłócało bezruchu puszczy.

Po pierwszej mili pomiędzy nimi a lasem Valeria odetchnęła spokojnie. Słońce zaszło i ciemności zbierały się nad równiną rozświetlaną po trochu przez gwiazdy, które zwodziły, dobywając zjawy z krzewów mimozy.

– Żadnego bydła, żadnych ornych pól – mruczał Conan. – Z czego ci ludzie żyją?

– Może pola i pastwiska są po drugiej stronie miasta – podpowiedziała Valeria.

– Może – mruknął. – Ale ze skał nic nie widziałem.

Księżyc wzeszedł nad miastem, obrysowując czarne mury i wieże żółtym blaskiem. Valeria zadrżała. Czarne na tle księżyca, dziwne miasto miało złowieszczy, posepny wygląd. Być może takie samo odczucie udzieliło się Conanowi, gdyż przystanął, rozejrzał się dookoła i mruknął:

– Zatrzymamy się tutaj. Bez sensu przybywać pod ich bramy nocą. Prawdopodobnie by nas nie wpuścili. Ponadto jesteśmy zmęczeni, a nie wiemy, jak nas przyjmą. Kilkugodzinny sen da nam więcej sił do walki albo do ucieczki.

Obrał drogę ku skupisku rosnących w kole kaktusów – zjawisko powszechne na pustyniach południowych. Mieczem wyrąbał otwór

i gestem wskazał Valerii, by weszła.

– Tu będziemy bezpieczni przynajmniej od węży.

Ona zaś strachliwie rzuciła okiem w stronę czarnej linii, która znaczyła puszcę o jakieś sześć mil dalej.

– Dopuszczasz myśl, że z lasu wyjdzie jakiś smok?

– Będziemy trzymać straż – odrzekł, chociaż nie podsunął żadnych myśli, co mieliby zrobić w takim wypadku. – Połóż się i śpij. Ja wezmę pierwszą wartę.

Zawahała się, lecz on zasiadł ze skrzyżowanymi nogami w wejściu, zwrócony przodem do równiny, z mieczem na kolanach. Bez dalszych uwag położyła się na piasku wewnątrz kolczastego kręgu.

– Zbudź mnie, kiedy księżyc stanie w zenicie – zarządziła. Nie odpowiedział ani nie spojrział w jej stronę. Ostatnim obrazem, kiedy zapadała w sen, była jego sylwetka, nieruchoma jak statua wyciosana w spiżu, odrysowana na tle nisko wiszących gwiazd.

ROZDZIAŁ

Valeria zerwała się, by zdać sobie sprawę, że nad pustynię zakradł się szary świt. Usiadła, przecierając oczy. Conan przykucnął właśnie obok kaktusa, odcinając mięsiste owoce i zręcznie wrywając kolce.

– Nie zbudziłeś mnie – rzekła oskarżycielsko. – Dałeś mi spać całą noc!

– Byłaś zmęczona – powiedział. – Siedzenie musiało cię boleć po tak długiej jeździe. Wy, piraci, nie nawykliście do końskiego grzbietu.

– A co z tobą? – odcięła się.

– Byłem *kozakiem*, nim stałem się piratem – odrzekł. – Ci żyją w siodle. Chwytam krótkie drzemki niczym pantera czyhająca przy szlaku na przechodzącego jelenia. Moje uszy trzymają straż, gdy oczy śpią.

I rzeczywiście, olbrzymi Cimmeryjczyk zdawał się tak odświeżony, jakby spał calutką noc w złotym łożu. Usunąwszy ciernie i obrawszy twardą skórkę, podał dziewczynie mięsisty, soczysty liść kaktusa.

– Zjedz owoc. To jedzenie i picie dla ludzi pustyni. Byłem niegdyś wodzem Zuagirów, którzy żyją z łupienia karawan.

– A kim jeszcze nie byłeś? – wypytywała dziewczyna, na wpół prześmiewczo, na wpół z fascynacją.

– Nigdy nie byłem królem hyboryjskiego królestwa. – Wyszczrzył się w uśmiechu, odgryzając ogromny kęs kaktusa. – Ale śniłem nawet o tym. Może kiedyś nim będę. Czemu nie?

Pokręciła głową zadziwiona i skupiła się na pochłanianiu swego owocu. Odkryła, iż nie jest nieprzyjemny jej podniebieniu, za to pełen chłodnego, zaspokajającego pragnienie soku. Kończąc posiłek, Conan wytarł dłonie w piasek, wstał, przecesał palcami gęstą grzywę czarnych włosów, podciągnął pas z mieczem i rzekł:

– Dobra, chodźmy. Jeśli lud w tym mieście zamierza podciąć nam gardła, może równie dobrze uczynić to teraz, zanim nastanie upał.

Posępny humor pojawił się u niego bezwiednie, ale Valeria zastanawiała się, czy może być proroczy. Ona także dotknęła swego pasa z mieczem i powstała. Paniczny strach z nocy odszedł w przeszłość. Ryczące smoki z odległego lasu były niczym niewyraźny sen. W jej postawie pojawiła się buta, gdy poczęła kroczyć u boku swego towarzysza. Jakikolwiek niebezpieczeństwo

czai się przed nimi, ich wrogami będą ludzie. A Valeria z Czerwonego Bractwa nigdy jeszcze nie spoglądała w twarz człowieka, którego by się bała.

Conan zerkał na nią, kiedy tak szła obok niego swym kołyszącym się krokiem, który dopasowany był do jego kroku.

– Chodzisz bardziej jak góral niż jak marynarz – stwierdził. – Musisz być Aquilonką. Słońce Darfaru nigdy nie opaliło twojej skóry na brąz.

– Jestem z Aquilonii – rzekła. Jego komplementy już jej nie zrażały. Oczywisty podziw sprawiał jej przyjemność. Koniec końców, pożądanie Conana Cimmeryjczyka stanowiło zaszczyt dla każdej kobiety, nawet dla Valerii z Czerwonego Bractwa.

Słońce powstało za miastem, nadając wieżom złowieszczą barwę szkarłatu.

– Ubiegłej nocy czarne na tle księżyca – burknął Conan. Jego spojrzenie spochmurniało od bezgranicznej przesądności barbarzyńcy. – Krwistoczerwone na tle słońca o brzasku. Nie podoba mi się to miasto.

Zmierzali jednak dalej i kiedy tak szli, uwagę Conana zwrócił fakt, iż od północy nie prowadzi do miasta żadna droga.

– Bydło nie deptało równiny po tej stronie osady – stwierdził. – Żaden lemiesz nie tknął tej ziemi od lat... może od wieków. W pyle nie ma żadnych śladów. Ale popatrz: niegdyś ta równina była uprawiana.

Valeria dostrzegła pradawne rowy irygacyjne i dawno wyschnięte łożyska strumieni. Równina rozciągała się ze wszystkich stron miasta po skraj puszczy, która obiegała ją rozległym, przyćmionym pierścieniem. Poza ów pierścień wzrok

nie sięgał.

Słońce było już wysoko na wschodnim niebie, gdy stanęli przed wielką bramą w murze zachodnim, w cieniu wyniosłego obwarowania. Miasto spowijała cisza, taka jak puszcze, z której uciekli. Rdza upstrzyła stalowe podpory potężnego spiżowego wejścia. Pajęczce sieci połyskiwały grubą warstwą na zawiasach, progu oraz zaryglowanych odrzwiach.

– Nie otwierano ich od lat! – wykrzyknęła Valeria z bojaźnią przed wszechogarniającą to miejsce ciszą.

– Wymarłe miasto – mruknął Conan. – To dlatego rowy są poniszczone, a równina nietknięta.

– Ale kto je zbudował? Kto tu mieszkał? Dokąd odeszli? Dlaczego je porzucili?

– Któż to może rzec? Istnieją opuszczone, zagadkowe miasta rozsiane po świecie w miejscach pustynnych. Może pobudowało je wędrowne plemię Stygijczyków? A może nie. To nie wygląda na architekturę stygijską. Może tutejszy lud został wytracony przez wrogów albo wymarł od zarazy.

– W takim wypadku na ich skarbach w środku może nadal gromadzą się kurz i pajęczyny – podsunęła Valeria, w której zbudził się typowy dla jej profesji instynkt zdobywcy wzmagany także przez kobiecą ciekawość. – Damy radę otworzyć bramę? Wejdźmy i rozejrzyjmy się nieco.

Conan przyjrzał się solidnemu wejściu z powątpiewaniem, ale wsparł na nim swe potężne ramię i pchnął z całą siłą umięśnionych łydek i ud. Z rozdzierającym zgrzytem zardzewiałych zawiasów brama wsunęła się do środka, a Conan instynktownie wyjął miecz i zerknął do wewnątrz. Valeria wepchnęła się, by popatrzeć mu

przez ramię. Oboje wydawali się zaskoczeni.

Nie spoglądali na otwartą ulicę czy dziedziniec, jak można by się spodziewać. Uchylona brama dawała bezpośredni przystęp do długiego, obszernego holu biegnącego coraz dalej i dalej, tak że jego widok robił się przez dal niewyraźny. Musiał być szeroki na sto pięćdziesiąt stóp, a od podłogi do sufitu odległość była jeszcze większa. Posadzkę wyłożono dziwnym, matowym, czerwonym kamieniem, który zdawał się żarzyć jak gdyby odbiciem ognia. Ściany wykonano z niezwyklej, na wpół przejrzystej zielonej substancji.

– Jadeit albo jestem Shemitą! – zaklął Conan.

– Nie w takiej ilości! – sprzeciwiła się Valeria.

– Złupiłem go dość z khitajskich karawan, by wiedzieć, o czym mówię – trzymał się swego.

Sufit był sklepiony, wykonany z jakiejś substancji podobnej do lapis-lazuli, zdobionego wielkimi zielonymi kamieniami, które jaśniały jadowitą poświatą.

– Zielone ogniokamienie – warknął Conan. – Tak zowie je lud Puntu. Uważa się, że to skamieniałe oczy Złotych Węży. Jaśnieją one w mroku jak ślepia kota. Ten hol mogą oświetlać nocą, ale będzie to diabelnie upiorne oświetlenie. Popatrzmy dookoła. Moglibyśmy znaleźć jakąś skrytkę z klejnotami.

Weszli, pozostawiając drzwi niedomknięte. Valeria zastanawiała się, ile wieków przeminęło, odkąd światło dnia przestało przenikać do tego wielkiego holu.

Jednak światło skądś dochodziło i ujrzała jego źródło. Padało przez te drzwi wzdłuż bocznej ściany, które stały otworem. W plamach cienia między nimi zielone klejnoty mrugały jak ślepia

rozdrażnionych kotów. Posadzka jaśniejąca pod stopami żarzyła się zmiennymi odcieniami oraz barwami ognia. Było to niczym kroczenie po podłodze piekieł z upiornymi gwiazdami migoczącymi nad głową.

– Uważam, że ten korytarz idzie wprost przez miasto do bramy wschodniej – mruknął Conan. – Zdaje mi się, że widzę jakąś bramę na drugim końcu.

Valeria wzruszyła swymi białymi ramionami.

– Zatem twoje oczy są lepsze od moich, chociaż wśród korsarzy uznawana jestem za bystrooką.

Skręcili w wybrane przypadkiem otwarte drzwi i przebyli ciąg pustych komnat wyłożonych posadzką taką jak hol, o tak samo zielonych, jadeitowych ścianach albo z marmuru czy z kości słoniowej. Owe ściany zdobiły brązowe, złote bądź srebrne fryzy. W niektórych sufitach umieszczono zielone ognioklejnoty, w innych ich brakło. Stoły i siedziska były z marmuru, nefrytu albo lapis-lazuli, które przepełniały komnaty swą mnogością, ale nigdzie nie znaleźli okien czy drzwi wychodzących na ulice albo dziedzińce. Każde drzwi prowadziły jedynie do następnej komnaty bądź holu. Niektóre komnaty były lepiej oświetlone od pozostałych przez system świetlików w suficie – nieprzezroczystych, ale prześwitujących tafli z jakiejś substancji krystalicznej.

– Czemu nie wychodzimy na ulicę? – zrzędziła Valeria. – To miejsce, czymkolwiek jest to, w czym się znaleźliśmy, musi być wielkie jak pałac króla Turanu.

– Nie mogli zostać wytraceni przez zarazę – rzekł Conan, kontemplując zagadkę opustoszałego miasta. – W przeciwnym razie znaleźlibyśmy szkielety. Może stało się nawiedzone i wszyscy

uciekli, aż się kurzyło. Być może...

– Być może, do diabła! – przerwała mu Valeria. – Nigdy się nie dowiemy. Popatrz na te fryzy. Przedstawiają ludzi.

Conan zlustrował je uważnie i pokręcił głową.

– Nigdy nie widziałem ludzi takich jak ci. Jest w nich jednak powiew Wschodu... Może Vendhyi lub Kosali.

– Byłeś królem w Kosali? – zapytała, pod drwiną skrywając głębokie zainteresowanie.

– Nie. Byłem wszak wodzem wojownikami Afghulich, którzy mieszkają w górach himeliańskich ponad granicami Vendhyi. Ci ludzie tutaj mogli być Kosalanami. Ale czemu, do diabła, Kosalanie mieliby budować miasto tak daleko na Zachodzie?

Fryzy uwidaczniały smukłych mężczyzn oraz kobiety o wspaniale rzeźbionych rysach. Nosili oni długie szaty i wiele wysadzanych klejnotami ozdób. Ich karnacja odtworzona z dużym uzdolnieniem była oliwkowa.

– Ludzie Wschodu, w porządku – mruknął Conan – ale skąd, tego nie wiem. Chodźmy na górę tymi schodami.

Schody, o których mówił, stanowiły spiralę z kości słoniowej, jaka wiała się w górę, poczynawszy od komnaty, którą przechodzili. Wspięli się i weszli do większej komnaty, w której także nie było okien. Zielonkawy świetlik wpuszczał mętną poświatę.

– Niech to piekło pochłonie! – Valeria usiadła zniesmaczona na nefrytowej ławie. – Lud, który mieszkał w tym mieście, musiał zabrać wszystkie swe skarby ze sobą. Jestem zmęczona tym przypadkowym błąkaniem się.

– Spójrzmy przez tamte drzwi, o tam – podsunął Conan.

– To spójrz – powiedziała Valeria. – Ja zamierzam tu posiedzieć i

dać odpocząć stopom.

Conan zniknął w drzwiach, a Valeria odchyliła się do tyłu z rękoma założonymi pod głowę i wysunęła przed siebie obute nogi. Te ciche pomieszczenia i hole z ich jaśniejącymi zielonymi kiściami ozdób oraz płonącymi szkarłatem podłogami zaczynały ją przygnębiać. Pragnęła, żeby znaleźli drogę wyjścia z tego labiryntu, w który się wplątali, i wydostali się na jakąś ulicę. Leniwie rozmyślała, ileż to ukradkowych ciemnych stóp szurało po tych płomiennych posadzkach w minionych wiekach, jak wiele okrutnych i tajemnych czynów oglądały te płonące na suficie szlachetne kamienie.

Z rozważań wyrwał ją nikły odgłos. Była już na nogach z mieczem w dłoni, nim zdała sobie sprawę, co ją zaniepokoiło. Conan nie wrócił i wiedziała, że to nie jego słyszała.

Ów dźwięk doszedł gdzieś zza drzwi umieszczonych naprzeciwko tych, w których zniknął Conan. Bezszelestnie w swym obuwiu z miękkiej skóry prześliznęła się do owych drzwi i wyjrzała przez nie. Otwierały się na galerię, która biegła wzdłuż ściany ponad holem. Podpełzła do potężnej balustrady i zerknęła przez nią.

Holem skradał się jakiś człowiek.

Szok od widoku obcego w opuszczonym mieście niemal sprowadził na usta Valerii zdumione przekleństwo. Przykucnąwszy za kamienną balustradą, czując mrowienie każdego nerwu, gapiała się na skradającą się postać.

Mężczyzna ów w żaden sposób nie przypominał postaci ukazanych na fryzach. Wzrostu trochę większego niż średni, bardzo ciemnoskóry, nie był wszak negroidem. Był nagi, poza skąpą

jedwabną przepaską, która tylko częściowo zakrywała jego umięśnione biodra, i szerokim skórzanym pasem wokół szczupłej talii. Długie, czarne włosy zwisały mu cienkimi pasemkami wokół ramion. Był chudy, lecz węzły i sznury mięśni piętrzyły się na jego rękach i nogach. Nie było przyjemnej foremności obrysów. Zbudowany był tak oszczędnie, że niemal odstręczająco.

Jednak to nie wygląd fizyczny wywarł na obserwującej go kobiecie takie wrażenie, ale jego postawa. Przemykał w półprzysiadzie, rzucając spojrzenia na prawo i lewo. Dostrzegła, że okrutnie zakrzywione ostrze w jego prawej dłoni trzęsie się od natłoku emocji, wprawiając go w drzenie, gdy tak się przekradał. Był zaleźniony, drżący w szponach jakiegoś przeraźliwego strachu. To, że boi się bezpośredniego zagrożenia, było oczywiste. Kiedy odwrócił głowę, pomiędzy mizernymi czarnymi włosami uchwyciła płomień jego dzikiego spojrzenia. Na palcach prześliznął się przez hol i zniknął w otwartych drzwiach, zatrzymawszy się i gwałtownie omiótłszy otoczenie badawczym spojrzeniem. Chwilę później posłyszała zdławiony krzyk, a potem znów zapadła cisza.

Kim był ten typ? Czego się bał w tym pustym mieście? Trapiona tymi i podobnymi pytaniami, Valeria zadziałała zgodnie z impulsem. Pomknęła wzdłuż galerii, aż doszła do drzwi, które, jak uznała, otwierały się na pomieszczenie, w którym zniknął ciemnoskóry nieznajomy. Ku swej radości znalazła się na galerii podobnej do tej, którą właśnie opuściła, oraz na wprost schodów wiodących w dół, do komnaty.

Komnata nie była oświetlona tak dobrze jak niektóre z pozostałych. Wybieg ze świetlikiem w górze sprawiał, że narożnik komnaty pozostawał w cieniu. Oczy Valerii rozszerzyły się.

Mężczyzna, którego widziała wcześniej, nadal przebywał w komnacie.

Leżał na brzuchu na ciemnoszkarłatnym dywanie na podłodze. Jego ciało było zwiotczone, ramiona rozrzucone szeroko. Ostrze o szerokim sztychu spoczywało przy jego dłoni.

Zastanawiała się, dlaczego leży tak nieruchomo. Wtem jej oczy się zwężyły, gdy przyjrzała się kilimowi, na którym zaległ. Pod nim i dookoła niego materiał wykazywał nieco inną barwę – głębszą, jasnoszkarłatną...

Drżąc lekko, przycupnęła bliżej za balustradą. Nagle w tej cichej sztuce pojawiła się następna postać. Był to mężczyzna podobny do pierwszego i wszedł drzwiami naprzeciw tych, którymi wszedł tamten. Oczy mu się rozszerzyły na widok człowieka na podłodze i wypowiedział coś szczekliwym głosem. Ten drugi się nie poruszył.

Mężczyzna przemierzył szybko podłogę, pochwycił mocno ramię leżącego i odwrócił go. Kiedy głowa tamtego opadła bezwładnie w tył, odsłaniając gardło rozcięte od ucha do ucha, wyrwał mu się zdławiony krzyk.

Mężczyzna ów pozwolił zwłokom opaść z powrotem w kałużę krwi na dywanie i zerwał się na nogi, trzęsąc się niczym liść. Jego twarz stała się maską strachu. Jednak nim zdołał się ruszyć, zatrzymał się i zastygł.

Ponad zacienionym narożnikiem zaczęło jaśnieć i narastać jakieś światło. Obserwując je, Valeria poczuła, jak włosy podnoszą się jej na głowie. Niewyraźnie bowiem widoczna w swej poświacie unosiła się tam ludzka czaszka – czaszka o błyszczących zielonych oczach. Wisiała jak pozbawiona ciała głowa, coraz bardziej i bardziej wyraźna.

Mężczyzna stał jak posąg ze wzrokiem utkwionym w zjawę. Ta zaś odsunęła się od ściany i wyłoniła z mroku. Stała się widoczna jako podobna do ludzkiej postać, której tors i członki, całkiem nagie, świeciły jasno barwą pobielających kości. Naga czaszka na jej ramionach nadal rzucała poświatę niesamowitego blasku, a stojący przed nią mężczyzna wydawał się niezdolny do oderwania od niej oczu. Tkwił nieruchomo z mieczem zwisającym w dłoni i wyrazem twarzy człowieka w hipnotycznym transie.

Groza przemieszczała się w jego kierunku, a on nagle upuścił broń i padł na kolana, zakrywając oczy dłońmi i w milczeniu oczekując ciosu ostrza, które teraz błysnęło w rękę zjawy, kiedy ta stanęła nad nim niczym Śmierć tryumfująca nad ludzkością.

Valeria zadziałała zgodnie z niesfornym impulsem. Jednym zwinnym ruchem przesadziła balustradę i opadła na podłogę za tamtą sylwetką. Ta odwróciła się gwałtownie niczym kot na tąpnięcie jej miękkich butów o posadzkę, a w tej samej chwili, kiedy się obracała, ostry brzeszczot dziewczyny świsnął w dół, przecinając ramię i mostek. Zjawa wykrzyknęła bulgotliwie i padła, fosforyzująca czaszka zaś potoczyła się, odsłaniając czuprynę mizernych czarnych włosów oraz ciemną twarz skrzywioną obecnie w grymasie śmierci. Za tą przerażającą maskaradą skrywała się istota ludzka, człowiek podobny do tego, który klęczał ulegle na podłodze.

Podniósł on wzrok na odgłos ciosu oraz krzyk i teraz spoglądał z zadziwieniem szeroko rozwartymi, dzikimi oczami na białoskórą kobietę, która stała nad zwłokami z ociekającym krwią mieczem w dłoni.

Powstał chwiejnie, jazgocząc, jak gdyby niespodziankaomalże

pomieszała mu zmysły. Był zdziwiony, gdy zdał sobie sprawę, że ona go rozumie. Bełkotał w języku stygijskim, ale w nieznanym jej dialekcie.

– Kto ty jesteś? Skądęś przybyła? Co robisz w Xuchotl? – Parł naprzód bez czekania na jej odpowiedź. – Ale jesteś przyjacielem... przyjaciółką czy boginią! Bogini czy diabeł, nie robi różnicy! Zabiłaś Żyjącą Czaszkę! Po wszystkim okazało się, że to był tylko człowiek! Mniemaliśmy, że to demon, którego tamci przywołali z katakumb pod miastem! Posłuchaj!

Zesztywniał ponownie, wyęzając słuch z bolesną intensywnością. Dziewczyna nie posłyszała niczego.

– Musimy się pospieszyć – wyszeptał. – Są wszędzie dookoła nas! Mogą nas okrążyć! Mogą pełznąć ku nam nawet teraz!

Złapał jej nadgarstek w kurczowym uścisku, który trudno było przemóc.

– Kogo masz na myśli, mówiąc „oni”? – dopytywała.

Przez moment przypatrywał się jej, niczego nie pojmując, jak patrzy człowiek stający wobec ignorancji przybysza w kwestii dłań pospolitej.

– Oni? – powtórzył niemrawo. – No... No, lud Xecalanc! Lud mężczyzny, którego zabiłaś. Ci, którzy mieszkają przy bramie północnej.

– Chcesz powiedzieć, że w tym mieście żyją jacyś ludzie?! – wykrzyknęła osłupiała.

– Tak! Tak jest! – Aż skręcał się niecierpliwie od obaw. – Chodźmy! Chodźmy prędko! Musimy powrócić do Tecuhltli!

– Gdzie to jest, u diabła? – dopytywała.

– To rejon przy bramie południowej! – Ponownie złapał jej

nadgarstek, przynaglając do pójścia za nim. Z ciemnego czoła ściekały mu wielkie krople potu, a w jego oczach płonęło czyste przerażenie.

– Poczekaj chwilę! – warknęła, wyrywając mu się. – Trzymaj łapska z dala ode mnie albo rozszczepię ci czaszkę. O co w tym wszystkim chodzi? Kim ty jesteś? Dokąd chcesz mnie zabrać?

On zaś wzdrygnął się, rzucając przelotne spojrzenia na wszystkie strony i mówiąc tak szybko, z takim strachem, że jego słowa były rwane i całkowicie niespójne.

– Na imię mam Techotl. Jestem z Tecuhltli. Ten mężczyzna, który leży z poderżniętym gardłem, i ja przybyliśmy do Obszaru Spornego, by spróbować zasadzić się na jakichś Xecalanców. Zostaliśmy jednak rozdzieleni, a gdy wróciłem tutaj, znalazłem go z rozplataną gardzielą. Musiał to zrobić pies, który nosił czaszkę. Ale może nie był sam. Inni mogą się skradać tu z Xecalanc! Sami bogowie truchleją, kiedy słyszą, co demony zrobiły z jeńcami!

Zadygotał jak przy malarii, a jego ciemna skóra spopieliała na tę myśl. Valeria popatrzyła na niego spod zmarszczonych brwi. Wyczuwała jakąś myśl w tym chaotycznym słowotoku, lecz dla niej był on bezsensowny.

– Chodź! – błagał, sięgając po jej dłoń, a potem cofnął ją, kiedy wspomniał na jej ostrzeżenie. – Jesteś obca. Jak tu weszłaś, tego nie wiem, ale skoro jesteś boginią przybyłą z pomocą nam, Tecuhltlim, dowiesz się o wszystkim, co zaszło w Xuchotl. Musisz być spoza wielkiej puszczy. Ale ty jesteś naszą przyjaciółką, bo nie zabiłabyś tego psa, co nosił jaśniejącą czaszkę. Chodź prędko, zanim Xecalancowie spadną na nas i zabiją!

– Ale nie mogę pójść – rzekła. – Mam tu gdzieś w pobliżu

przyjaciela...

Błysk w jego oczach przerwał jej w pół słowa – patrzył obok niej z upiornym wyrazem twarzy. Odwróciła się gwałtownie, akurat gdy przez drzwi komnaty wpadło czterech mężczyzn, zbiegając się ku parze pośrodku pomieszczenia.

Byli podobni do innych, których widziała wcześniej – te same zawężone mięśnie wybrzuszone na wychudłych członkach, te same mizerne błękitnoczarne włosy, ten sam obłądny blask w wytrzeszczonych oczach. Odziani byli i uzbrojeni tak jak człowiek zwący siebie Techotlem, ale na piersiach wszystkich wymalowano białą czaszkę.

Nie było wyzwania czy wojennych okrzyków. Mężczyźni z Xecalanc, niby oszalałe od krwi tygrysy, rzucili się swym wrogom do gardeł. Techotl stanął przeciw nim z furią i desperacją, sparował cios zakrzywionego ostrza, zwał się z jego posiadaczem i obalił go na podłogę, gdzie zaczęli toczyć się i mocować w morderczej ciszy.

Pozostali trzech ruszyli chmarą na Valerię, ich niesamowite oczy były czerwone od żądz mordy.

Zabiła pierwszego, który wszedł w zasięg; długi, prosty miecz odbił jego zakrzywione ostrze i rozszczępił mu czaszkę. Krokiem w bok uniknęła ciosu następnego i równocześnie mieczem zabiła natarcie trzeciego. Jej spojrzenie płąsało, a usta śmiały się, pozbawione litości. Znow stała się Valerią z Czerwonego Bractwa i brzęk stali był dla niej niczym pieśń weselna.

Jej broń wystrzeliła obok ostrza, które usiłowało ją sparować, i zagłębiła się na sześć cali w osłoniętej skórą przeponie. Mężczyzna sapnął i padł na kolana. Jego partner rzucił się ku niej w srożej ciszy a oczy miał jak oszalały pies. Zadawał cios za ciosem w

wirze stali tak wściekle, że Valeria nie miała możliwości kontratakować. Cofała się spokojnie, parując dzikie ciosy i wypatrując swej szansy. Tamten nie mógł długo podtrzymać tego młójącego wiru ciosów. Zmęczy się, osłabnie, zachwieje... a wtedy jej ostrze wśliznie się gładko w jego serce. Rzut oka w bok ukazał jej Techotla przykucniętego na piersi leżącego wroga i usiłującego uwolnić nadgarstek z chwytu tamtego, by sztyłem trafić w cel.

Pot perlił się na czole mierzącego się z nią mężczyzny, a jego oczy były czerwone niczym węgle. Rażąc w ten sposób, nie był w stanie przełamać ani zbić jej zasłon. Wykonała krok wstecz, żeby się odsłonił, i poczuła, jak na jej udach zamyka się żelazny uścisk. Zapomniała o rannym mężczyźnie na podłodze.

Kłęcząc, trzymał ją w nierozzerwalnym uścisku, a jego partner zarechotał z tryumfem i począł iść dookoła, by zająć ją z lewej strony. Valeria szarpała się i wyrywała dziko, lecz na próżno. Mogła uwolnić się od tego przywierającego do niej niebezpieczeństwa jednym śmignięciem miecza, ale w owym momencie ostrze wyższego mężczyzny roztrzaskałoby jej czaszkę. Ranny mężczyzna wisiał dalej i zaczął szarpać jej nagie udo zębami niczym jakaś bestia.

Sięgnęła w dół lewą ręką i chwyciwszy mocno jego długie włosy, odciągnęła mu głowę tak, że białe zęby i wywracające się oczy błyszczały ku niej. Wysoki Xecalanc wykrzyknął dziko i skoczył, biorąc zamach z całą wściekłością. Niezręcznie sparowała cios, który zbił płazem jej własne ostrze na jej głowę, tak że ujrzała iskry migoczące przed oczami i zachwiała się. Broń tamtego znów poszła w górę z niskim, podobnym do zwierzęcego okrzykiem tryumfu... i

nagle za Xecalankiem zamajaczyła jakaś olbrzymia postać, a stal błysnęła niczym zygzak błękitnej błyskawicy. Okrzyk Xecalanca urwał się w połowie i padł on jak wół pod rzeźnickim toporem, a jego mózg wytrysnął z czaszki, która rozszczepiona została po gardło.

– Conan! – wydyszała Valeria. Z pasją zwróciła się do Xecalanca, który nadal trzymał ją mocno, a którego długie włosy wciąż ścisnęła w lewej dłoni. – Psie z piekła! – Jej ostrze świsnęło i zakończyło bieg, przecięwszy powietrze rozmazanym po drodze, wznoszącym się łukiem. Ciało padło, tryskając krwią, a ona cisnęła odciętą głową przez pomieszczenie.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – Conan z szerokim mieczem w dłoni przekroczył zwłoki człowieka, którego zabił, ze zdziwieniem rozglądając się gniewnie. Techotl właśnie powstawał z nad nieruchomej postaci ostatniego Xecalanca, strząsając czerwone krople ze swego sztyletu. Tecuhltli krwawił od głębokiego dźgnięcia w udo.

Zapatrzył się na Conana rozszerzonymi oczami.

– Co to wszystko znaczy? – Conan znów zażądał odpowiedzi. Nie otrząsnął się jeszcze z zaskoczenia tym, iż natrafił na dziką bitwę rozgrywającą się w środku miasta, które wcześniej uważał za puste i niezamieszkane. Powracając z bezcelowej wyprawy po górnych komnatach, zobaczył, że Valerii nie ma, i podążył za niespodziewanymi odgłosami walki. Wchodząc do pomieszczenia, zdumiał się, gdy zobaczył dziewczynę włączoną w dziką szamotaninę z tymi dziwacznymi i obcymi postaciami.

– Pięciu martwych Xecalanców! – wykrzyknął Techotl, a jego oczy rozszerzyły się, odbijając upiorną radość. – Pięciu zabitych!

Bogom niech będą dzięki! – Wzniósł wysoko ręce, a potem z demonicznie wykrzywionym obliczem splunął na zwłoki i kopnął je, tańcząc w makabrycznej ucieście. Jego niedawni sprzymierzeńcy przyglądali mu się w zdumieniu, a Conan spytał po aquilońsku:

– Kim jest ten szaleniec?

Valeria wzruszyła ramionami.

– Mówi, że ma na imię Techotl. Z tej paplaniny wnoszę, że jego lud mieszka na jednym końcu tego zwariowanego miasta, a ci pozostali na drugim. Może lepiej chodźmy z nim. Wydaje się nastawiony przyjaźnie.

Techotl przestał tańczyć i odwrócił się do nich. Na jego odstręczającym obliczu tryumf walczył ze strachem.

– Chodźcie stąd, teraz! – zaszczękał zębami. – Dalej! Chodźcie ze mną! Mój lud was przyjmie! Pięć martwych psów! Od lat nie zabiliśmy tylu tych diabłów o jednym czasie, nie tracąc człowieka... Nie, jednego człowieka straciliśmy, ale zabiliśmy pięciu! Mój lud was uczi! Ale chodźcie! Do Tecuhltli jest daleko. W każdej chwili Xecalancowie mogą spaść na nas w liczbie zbyt wielkiej nawet dla waszych ostrzy.

– W porządku – burknął Conan. – Idź przodem.

Techotl odwrócił się natychmiast i począł oddalać przez komnatę, skinąwszy na nich, by podążyli jego śladem, co uczynili, ruszając bystro, żeby utrzymać się za nim.

– Co to może być za miejsce? – mruknęła Valeria pod nosem.

– Crom wie! – odrzekł Conan. – Ale widziałem już wcześniej podobnych do niego. Jest takie plemię mieszkające na brzegach jeziora Zuad, blisko kushickiej granicy. Są swego rodzaju mieszańcami Stygijczyków z inną rasą, która przywędrowała do

Stygii ze wschodu parę wieków temu i została przez nich wchłonięta. Zwą ich Tlazetlanami. Chociaż skłonny jestem się założyć, że nie oni zbudowali to miasto.

Przecinali rząd komnat i holów, a strach Techotla zdawał się nie maleć, w miarę jak oddalali się od komnaty, gdzie zalegli martwi mężczyźni. Stale wykręcał głowę, by spoglądać wstecz i nasłuchiwać odgłosów pościgu.

– Mogli urządzić na nas zasadzkę! – wyszeptał.

– Czemu nie wyjdziemy z tego piekielnego pałacu i nie skorzystamy z ulic? – dopytywała Valeria.

– W Xuchotl nie ma ulic – odrzekł – ani placów czy otwartych dziedzińców. Wszystkie budynki są złączone, a raczej... wszystkie znajdują się pod jednym wielkim dachem. Jedynymi wrotami otwierającymi się na świat zewnętrzny są miejskie bramy, których nikt nie przekroczył od pięćdziesięciu lat.

– Jak długo tu mieszkacie? – spytał Conan.

– Ja urodziłem się w Tecuhltli i mam trzydzieści pięć lat. Na miłość boską, bądźmy cicho! Te sale mogą być pełne zaczajonych diabłów. Olmec opowie wam o wszystkim, gdy dotrzemy do Tecuhltli.

Przemieszczali się dalej z zielonymi ogniokamieniami mrugającymi im nad głowami i płomienną posadzką trzeszczącą pod stopami. Valerii zdało się, że umykają przez piekło prowadzeni przez chochlika o mizernych włosach.

Półmrocznymi komnatami oraz krętymi korytarzami poruszali się prędko i cicho, aż zatrzymał ich Conan.

– Uważasz, że twoi wrogowie mogą znajdować się przed nami, chcąc się na nas zasadzić?

– Grasują po tych pomieszczeniach w każdy czas – odrzekł Techotl. – Tak jak my. Komnaty i korytarze pomiędzy Tecuhltli oraz Xecalankiem to teren łowiecki nieobjęty przez nikogo. Czemu pytasz?

– Ponieważ w komnacie przed nami znajdują się ludzie – odparł Conan. – Słyszałem brzęk stali o kamień.

Techotla znów opanowały drgawki i zacisnął zęby, aby powstrzymać szcęknięcie.

– Może to twoi przyjaciele? – podsunęła Valeria.

– Nie powinniśmy ryzykować – rzekł i ruszył z szalonym ożywieniem. Skręcił gwałtownie w bok i poprowadził ich w dół krętymi schodami do ciemnego korytarza. Zanurzył się w niego brawurowo.

– To może być sztuczka, by nas tam wciągnąć – syknął, a wielkie krople potu wystąpiły mu na czoło. – Jednak musimy zaryzykować i założyć, że urządzili zasadzkę w pomieszczeniach na górze. Chodźcie teraz prędko!

W czarnym korytarzu odnajdywali drogę po omacku, a po chwili pobudził ich odgłos cicho otwieranych za nimi drzwi. Jacyś ludzie wyszli na korytarz za ich plecami.

– Prędko! – wysapał Techotl z nutą hysterii w głosie i umknął w głąb korytarza.

Conan i Valeria podążali za nim. Conan trzymał się na tyłach, podczas gdy szybki tupot biegnących stóp był coraz bliżej i bliżej. Ich prześladowcy znali ten korytarz lepiej od niego. Odwrócił się nagle i ciął dziko w mrok. Poczuł, jak jego ostrze sięga z chrzęstem celu, i posłyszał, jak jakiś stwór jęczy i pada. W następnej chwili korytarz został zalany światłem, kiedy Techotl rozwarł drzwi.

Conan podążył przez nie za Tecuhltlim oraz dziewczyną. Techotl zatrzasnął je i z hukiem zasunął w poprzek nich rygiel – pierwszy, jaki Conan ujrzał.

Potem odwrócił się i pobiegł przez komnatę, podczas gdy za nimi drzwi jęczały i wyginały się pod ogromnym ciśnieniem gwałtownego naporu. Conan i Valeria przeszli za swym przewodnikiem rząd dobrze oświetlonych komnat, potem podążyli w górę krętymi schodami i przecięli szeroki hol. Zatrzymali się przed potężnymi spiżowymi wrotami i Techotl stwierdził:

– To jest Tecuhltli!

ROZDZIAŁ

Zapukał ostrożnie, a potem odstąpił w bok i czekał. Conan orzekł, iż ludzie po drugiej stronie wrót mają jakiś sposób na zobaczenie, kto też stoi przed nimi. Wkrótce wrota uchylły się bezgłośnie, odsłaniając ciężki łańcuch w poprzek wejścia. Groty włóczni zjeżyły się, a zawzięte oblicza zmierzyły ich podejrzliwie, zanim łańcuch usunięto.

Techotl szedł przodem i gdy tylko Conan z Valerią znaleźli się w środku, wrota zamknięto, ciężkie rygle zaciągnięto, a łańcuch umocowano na miejscu. Stało tam czterech mężczyzn o tak samo mizernych włosach, ciemnoskórych jak Techotl, z włóczniami w dłoniach i mieczami u boku. Przypatrywali się obcym ze zdumieniem, ale nie zadawali żadnych pytań.

Przeszli do kwadratowej komnaty, z której wychodził obszerny hol. Jeden z czterech strażników otworzył wrota i weszli do holu, który, podobnie jak strażnica, oświetlony był z góry przez wąski, szczelinopodobny świetlik, przy którym po każdej stronie mrugały

ogniokamienie.

– Zabiorę was do Olmeca, księcia Tecuhltli – rzekł Techotl i powiódł ich w głąb holu i do obszernej komnaty.

Około trzydzieścioro ciemnoskórych mężczyzn i kobiet spoczywało leniwie na obitych ałtarem otomanach. Usiedli oni teraz i popatrzyli ze zdumieniem. Mężczyźni byli tego samego typu co Techotl, wszyscy z wyjątkiem jednego, a kobiety równo ciemne, o dziwnych oczach, niebrzydkie w jakiś niesamowity, mroczny sposób. Nosiły sandały, złote płytki napierśne i skąpe jedwabne spódniczki, podtrzymywane paskami nabitymi szlachetnymi kamieniami. Czarne włosy przycięte prosto u ramion ściągnięte miały srebrnymi obręczami.

Na szerokim siedzisku z kości słoniowej na nefrytowym podwyższeniu siedzieli mężczyzna i kobieta, którzy delikatnie różnili się od pozostałych. On był olbrzymem – równie wysokim jak Conan, lecz cięższym, o potężnie sklepionej piersi i ramionach byka. W odróżnieniu od pozostałych miał gęstą, błękitnoczarną brodę, która opadała prawie do szerokiego pasa. Nosił szatę z purpurowego jedwabiu, który przy każdym ruchu mienił się odmiennymi błyszczącymi odcieniami, a jeden z rękawów, podciągnięty po łokieć, odsłaniał przedramię ze sznurami mięśni. Opaska, która podtrzymywała jego błękitnoczarne pukle, skrzyła się klejnotami.

Kobieta, która na widok Valerii zerwała się na równe nogi z okrzykiem zaskoczenia, była wysoka i smukła, zdecydowanie najpiękniejsza w pomieszczeniu. Odziana była jeszcze bardziej skąpo od pozostałych, gdyż zamiast spódniczki miała na sobie ledwie szeroki pas wyszywanej złotem purpurowej tkaniny, upiętej

pośrodku paska i opadającej poniżej kolan. Drugi pas materii z tyłu paska dopełniał tej części jej stroju. Płytki napierśne oraz obręcz na skroniach ozdobione były klejnotami.

Zerwała się na równe nogi, kiedy nieznajomi weszli. Jej spojrzenie przebiegło po Conanie i utkwiło z palącą intensywnością w Valerii. Ludzie w komnacie powstali i patrzyli. Byli między nimi młodzieńcy, ale ani jednego dziecka.

– Książę Olmecu – przemówił Techotl, kłaniając się nisko z wyciągniętymi przed siebie rękami i dłońmi zwróconymi ku górze.
– Przywodzę sprzymierzeńców z zewnętrznego świata. W Holu Komnaty Tezcotiego Żywa Czaszka zabiła Chicmeca, mego towarzysza...

– Żywa Czaszka! – Lud nabrał powietrza z przerażeniem.

– Tak jest! Potem nadszedłem i znalazłem Chicmeca leżącego z poderżniętym gardłem. Zanim zdołałem umknąć, dopadła mnie Żywa Czaszka i kiedy napotkałem blask jej oczu, stanąłem jak sparaliżowany. Nie potrafiłem się poruszyć. Mogłem tylko czekać na cios. Wtedy przybyła ta białoskóra kobieta i ją powaliła. Ha! Był nią jedynie pies z Xecalanc, o biało pomalowanej skórze i z maską na głowie! Trzęśliśmy się ze strachu przed nim, uznając go za demona, którego magia Xecalanców przywołała z katakumb. Jednak on był tylko człowiekiem, a teraz jest martwym człowiekiem!

W ostatnim zdaniu pojawiło się gwałtowne uniesienie nie do opisanego, a odpowiedziały mu ciche, dzikie okrzyki tłoczących się ludzi.

– Ale czekajcie! – wykrzyknął Techotl. – To nie koniec! Podczas gdy rozmawiałem z kobietą, dopadło nas czterech Xecalanców...

Jednego ja zabiłem... Kłuta rana w moim udzie poświadczy, jak desperacka była to walka. Dwóch zabiła kobieta. Zostaliśmy wszelako przyparci do muru, kiedy ten mąż włączył się do walki i rozszczepił czerep czwartego! Tak jest! Pięć szkarłatnych ćwieków ma zostać wbitych w słup zemsty!

Wskazał ku kolumnie z hebanu, która stała za podwyższeniem. Jawiły się na niej setki czerwonych kropek – jasnoszkarłatne łebki ciężkich ćwieków wbitych w czarne drewno.

– Jeden czerwony ćwiek za żywot Xecalanca! – entuzjazmował się Techotl, a twarze słuchaczy wykrzywiło straszliwe uniesienie.

– Kim są ci ludzie? – zapytał Olmec; jego głos brzmiał niczym głębokie, ciche huczenie byka. Nikt z ludu Xuchotl nie przemawiał głośno. Było tak, jak gdyby wzięli sobie do serca ciszę pustych holów i opustoszałych komnat.

– Jestem Conan Cimmeryjczyk – odrzekł zwięźle barbarzyńca. – Ta kobieta zaś to Valeria z Czerwonego Bractwa. Jesteśmy dezertierami z armii na granicy Darfaru, daleko na północy, i próbujemy dotrzeć na wybrzeże.

Kobieta na podwyższeniu przemówiła pospiesznie, a jej płonący wzrok nie opuszczał twarzy Valerii.

– Nigdy nie dotrzecie na wybrzeże! Musicie spędzić resztę swego życia w Xuchotl! Nie ma stąd ucieczki!

– Co masz na myśli? – warknął Conan, uderzając dłonią w rękojęść; stanął tak, aby jego twarz była zwrócona zarówno do podwyższenia, jak i reszty pomieszczenia. – Czyżbyś mówiła nam, że jesteśmy więźniami?

– Ona nie to miała na myśli – wtrącił Olmec. – Jesteśmy waszymi przyjaciółmi. Nie zatrzymamy was tu wbrew waszej woli.

Obawiam się jednak, że inne okoliczności mogą uniemożliwić wam opuszczenie Xuchotl. – Jego wzrok także spoczął na Valerii, lecz opuścił szybko oczy. – Ta kobieta to Tascela – powiedział. – Księżniczka Tecuhltli. Przynieście naszym gościom jedzenie i picie. Niewątpliwie są głodni i znużeni podróżą.

Techotl wskazał na stół z kości słoniowej, przy którym usadowili się Conan i Valeria, podczas gdy on zajął miejsce pod ręką, by im usługiwać. Uważał, że dbanie o ich potrzeby to przywilej i zaszczyt. Pozostali mężczyźni i kobiety poderwali się, by przynieść jedzenie i picie w złotych misach i naczyniach, Olmec zaś siedział w milczeniu na swym siedzisku z kości słoniowej, obserwując ich spod obfitych, czarnych brwi. Tascela siedziała obok niego z głową w dłoniach i łokciami spoczywającymi na kolanach. Jej ciemne, zagadkowe oczy, płonące tajemniczym blaskiem, ani na chwilę nie opuszczały gibkiej postaci Valerii.

Jedzenie było nieznanne wędrowcom – jakieś owoce – ale apetyczne, a do picia podano lekkie, szkarłatne wino, które uderzało do głowy.

– Jak zdołaliście przedostać się przez puszcę, to mnie zdumiewa – oznajmił Olmec. – Za dni dawno minionych tysiąc wojowników był w stanie ledwie wyróżnić sobie drogę pośród jej niebezpieczeństw.

– Napotkaliśmy jakąś potworność o rozlazłych łapach i rozmiarach mastodonta – stwierdził Conan beztrąsko, podstawiając swój puchar na wino, który Techotl napełnił z widoczną przyjemnością. – Ale kiedy ją zabiliśmy, nie mieliśmy więcej kłopotów.

Naczynie z winem wysliznęło się z dłoni Techotla i trzasnęło o

podłogę. Jego smagła skóra poszarzała. Olmec zerwał się z miejsca – posąg osłupiałego zdumienia – a z piersi pozostałych dobyło się ciche tchnienie podziwu albo przerażenia. Conan rozejrzał się dookoła zdezorientowany.

– O co chodzi? Coście tak rozdziawili gęby?

– Wy... wy zabiliście smoka? – wyjąkał Olmec.

– Czemu nie? Próbował nas zjeść. Nie ma prawa zakazującego zabijania smoków, prawda?

– Ale smoki są nieśmiertelne! – wykrzyknął Olmec. – Żaden człowiek nigdy temu nie podołał! Tysiąc wojowników – naszych przodków, którzy wywalczyli sobie przejście do Xuchotl – nie zdołało ich pokonać! Ich miecze łamały się niczym gałązki na łuskach!

– Gdyby wasi przodkowie wpadli na pomysł, by umoczyć włócznie w trującym soku jabłek Derkety – oświadczył Conan z pełnymi ustami – i dźgać nimi w oczy, paszczę czy w podobne miejsca, zauważyliby, że smoki są tak samo nieśmiertelne jak cokolwiek innego. Ścierwo leży przy skraju puszczy, na wschód od miasta. Jeśli mi nie wierzysz, idź i sam zobacz.

Olmec pokręcił głową, zdając się z trudem dawać wiarę własnym uszom.

– To z powodu smoków nasi przodkowie obrali Xuchotl za schronienie – rzekł. – Nie ośmielali się zanurzyć ponownie w puszcę. Dziesiątkami byli zabijani i pożerani przez te potwory, nim zdołali dotrzeć do miasta? [sic!]

– Zatem to nie wasi przodkowie zbudowali Xuchotl? – spytała Valeria.

– Było już pradawne, kiedy pierwsi przybyli na te ziemie. Jak

długo tu stało, tego nawet jego zdegenerowani mieszkańcy nie wiedzieli.

– Wasz lud przybył znad jeziora Zuad? – dopytywał Conan.

– Tak jest. Pół wieku temu plemię Tlazitlan zbuntowało się przeciwko stygijskiemu królowi i pokonane w bitwie, umknęło na południe. Przez wiele tygodni wędrowało po pustyni, trawiastych równinach i wzgórzach, aż w końcu przybyło do wielkiej puszczy – tysiąc wojowników ze swymi kobietami oraz dziećmi. To tam, w puszczy, napadły ich smoki. Wielu zabiły i pożarły, lud umykał więc przed nimi w gorączkowym strachu, w końcu wyszedł na równinę i ujrzał miasto Xuchotl. Rozbili obóz pod miastem, nie wążąc zanurzyć się w puszczy, gdyż nocami nie cichły okropne odgłosy potworów, które toczyły ze sobą walki. Jednak pozostawały w puszczy. Lud miasta zamknął bramy i z murów szył strzałami do naszych ludzi. Tlazitlanie zostali uwięzieni na równinie, jak gdyby pierścień puszczy był wielkim murem. Zapuszczanie się w las byłoby samobójstwem. Wtedy potajemnie przybył do ich obozu jeden z ich krwi, który z grupą żołnierzy eksploratorów zawędrował do puszczy dużo wcześniej, kiedy był młodym człowiekiem. Smoki zabiły wszystkich poza nim, a jego wpuszczono do miasta. Na imię miał Tolkemec... – Ogień błysnął w oczach Olmeca na wspomnienie tego imienia, a niektórzy z ludu mruknęli coś pod nosem i splunęli. – Zgodził się otworzyć bramy przed wojownikami. Prosił tylko, żeby wszystkich wziętych jeńców oddano w jego ręce. Owej nocy otworzył bramy. Wojownicy włali się chmarą i sale Xuchotl spływały krwią. Zamieszkiwało tu ledwie parę setek ludzi – ginące resztki wielkiej niegdyś rasy. Tolkemec rzekł, iż przybyli oni ze wschodu, ze Starej Kosali, kiedy

przodkowie Kosalan nadeszli z południa i ich wyparli. Ci poszli ku zachodowi i zbudowali miasto tutaj, na równinie. Po wiekach klimat się zmienił, puszcza wyrosła tam, gdzie rozciągały się trawiaste łąki, i smoki przybyły ryczącymi stadami z bagien południowych, by osaczyć ludzi w mieście, w pierścieniu otwartej równiny, tak jak teraz my jesteśmy osaczeni. Cóż, nasi ojcowie wybili cały lud Xuchotl, z wyjątkiem setki, którą oddano żywcem w ręce Tolkemeca, który wcześniej był ich niewolnikiem; i przez wiele dni i nocy te sale niosły się echem wrzasków ich agonii pod jego torturami. Tak więc nasi ojcowie zamieszkali tutaj przez jakiś czas w pokoju. Tolkemec wziął dziewczynę z plemienia za żonę, a ponieważ otworzył bramy i poznał sztukę wytwarzania wina Xuchotl oraz uprawy owoców, jakie jedli – owoców, które czerpią pożywienie z powietrza i nie sadi się ich w ziemi – dzielił władzę nad plemieniem wraz z braćmi, którzy poprowadzili rebelię oraz ucieczkę – Xotalankiem i Tecuhltlim. Przez kilka lat zamieszkiwali w mieście w pokoju. Potem... – Spojrzenie Olmeca spoczęło na krótko na milczącej kobiecie u jego boku. – Tecuhltli wziął za żonę pewną kobietę. Pragnął jej Xotalanc, a Tolkemec, który nienawidził Xotalanca, pomógł Tecuhltliemu ją wykraść. Tak jest, poszła całkiem chętnie. Xotalanc zażądał jej zwrotu, a rada plemienia postanowiła, że decyzję w tej kwestii winno się pozostawić kobiecie. Ta wybrała pozostanie z Tecuhltlim. Ale Xotalanc nie był zadowolony. Doszło do walk i stopniowo plemię rozpadło się na trzy [sic!] frakcje – lud Tecuhltli oraz lud Xotalanc. Już wcześniej podzielili oni miasto między siebie. Tecuhltli wziął południową część miasta, Xotalanc północną, a Tolkemec zamieszkał ze swą rodziną przy bramie zachodniej. Frakcje walczyły zażarcie,

Tolkemec zaś wspierał najpierw jednego, a potem drugiego, zdradzając obie frakcje tak, jak mu się podobało. W końcu każda z frakcji przeniosła się w miejsce, którego można było dobrze bronić. Ludzie Tecuhltiego, który mieszkał w komnatach i holach na południowym końcu miasta, zablokowali wszystkie wrota z wyjątkiem jednych na każdej kondygnacji, których łatwo bronić. Xotalanc uczynił tak samo i podobnie Tolkemec. Jednak my, Tecuhltli, spadliśmy na Tolkemeca pewnej nocy i wyrznęliśmy cały jego klan. Tolkemeca torturowaliśmy przez wiele dni i ostatecznie rzuciliśmy do lochu na śmierć. Jakoś jednak zdołał uciec do katakumb, które są pod miastem i gdzie spoczywają ciała wszystkich ludzi, Xuchotlan i Tlazitlan, którzy kiedyś zmarli w mieście. Tam bez wątplenia umarł, a przesądni wśród nas przysięgają, że jego duch nawiedza katakumby po dziś, zawodząc wśród kości umarłych. Waśń wybuchła pięćdziesiąt lat temu. Ja urodziłem się w niej. Wszyscy w tej komnacie, z wyjątkiem Tasceli, się w niej urodzili. Większość w niej umarła. Jesteśmy rasą ginącą. W każdej frakcji były nas setki, gdy to się rozpoczęło. Teraz liczymy ledwie jakieś czterdzieści kobiet i mężczyzn. Jak wielu jest Xotalanców, nie wiemy, ale wątpię, żeby byli liczniejsi od nas. Od piętnastu lat nie urodziło się nam żadne dziecko i od tego czasu nie zabiliśmy żadnego spośród Xotalanców. Sądzę, że z nimi jest podobnie. Wymieramy, lecz zanim umrzemy, liczymy, że uda się zakończyć tę dawną waśń i zetrzeć resztki naszych wrogów.

Z płonącymi niesamowicie oczami Olmec przemawiał długo na temat owej straszliwej waśni, toczonej w cichych komnatach i przyćmionych holach przy blasku zielonych ogniokamieni, na posadzkach żarzących się płomieniami piekieł. Xotalanc zginął

dawno temu, zabity w ponurej bitwie na schodach z kości słońiowej. Tecuhltli zginął obdarty żywcem ze skóry przez oszalałych Xotalanców, którzy go pojмали.

Olmec opowiadał o straszliwych bitwach toczonych w czarnych korytarzach, o krwawych walkach prowadzonych przy blasku ognioklejnotów, o zasadzkach, zdradach, okrucieństwach, o torturach zadawanych przez obie frakcje bezbronnym jeńcom, mężczyznom i kobietom, torturach tak upiornych, że nawet barbarzyński Cimmeryjczyk się otrząsał. Nic dziwnego, że Techotl drżał z przerażenia przed pojmaniem.

Valeria słuchała opowieści o tej odrażającej waśni jak spętana czarem. Lud Xuchotl był nią opętany. Stanowiła jedyny powód jego istnienia. Wypełniała cały ich żywot. Wszyscy spodziewali się w niej umrzeć. Pozostawali na swym odgrodzonym obszarze, sporadycznie przekradając się na sporny teren pustych korytarzy i komnat, które znajdowały się pomiędzy przeciwnymi krańcami miasta. Czasami powracali z rozgorączkowanymi jeńcami lub z ponurymi dowodami zwycięstwa. Albo nie wracali wcale bądź wracały jedynie ich odcięte głowy, rzucone pod zaryglowanymi, spiżowymi wrotami. To było szczególnie upiorne – ci ludzie odcięci od reszty świata, pochwyceni niby wściekłe szczury w pułapkę, przez lata wyrzynający się nawzajem, czający się i skradający pozbawionymi słońca korytarzami, aby kaleczyć i mordować.

Podczas gdy Olmec przemawiał, Valeria czuła na sobie płomienne spojrzenie tej kobiety, Tasceli.

– I nie możemy nigdy opuścić miasta – rzekł Olmec. – Przez pięćdziesiąt lat nikt nie wyszedł za bramę, z wyjątkiem ofiar związanych i rzuconych smokowi. A ostatnimi laty nawet tego

zaprzestaliśmy. Niegdyś smok wyłaził z puszczy i ryczał pod murami. My, którzy urodziliśmy się i wychowaliśmy tutaj, balibyśmy się go opuścić, nawet gdyby smoka tam nie było.

– Dobra – mruknął Conan – za waszym pozwoleniem podejmiemy walkę ze smokami. Ta waśń nie jest naszą sprawą i nie chcemy się do niej mieszać. Jeśli pokażecie nam bramę południową, ruszymy własną drogą.

Dłonie Tasceli zacisnęły się i zaczęła mówić, lecz Olmec jej przerwał:

– Noc niemal zapadła. Zaczekajcie przynajmniej do rana. Jeśli powędrujecie teraz na równinę, zapewne padniecie ofiarą smoków.

– Przebyliśmy ją ubiegłej nocy, nie widząc żadnego – odrzekł Conan. – Ale może lepiej będzie poczekać do rana. Jednak nie dłużej. Chcemy dotrzeć na zachodnie wybrzeże, a to marszruta na wiele tygodni, nawet gdybyśmy mieli konie.

– Mamy klejnoty – zaproponował Olmec.

– Dobra, słuchaj – powiedział Conan. – Założmy, że zrobimy tak: pomożemy wam wytracić tych Xotalanców, a potem zobaczymy, co się da zrobić w kwestii pozbycia się smoków z puszczy.

Wprowadzono ich do zdobnych komnat, oświetlonych przez szczelinowe świetliki.

– Dlaczego Xotalancowie nie przyjdą po dachach i nie roztrzaskają tych świetlików? – dopytywał Conan.

– Nie da się ich rozbić – odparł Techotl, który towarzyszył mu w drodze do komnaty. – Ponadto po dachach trudno się wdrapywać. W większości to iglice, kopuły i strome połacie.

– Kim jest ta Tascela? – zapytał Conan. – Żoną Olmeca?

Techotl wzdrygnął się i rozejrzał ukradkiem dookoła, zanim

odpowiedział.

– Nie. Ona jest... Tascelą! Była żoną Xotalanca... Kobieta, o którą zaczęła się waśń.

– Co ty mówisz? – zdziwił się Conan. – Ta kobieta jest piękna i młoda. Próbujesz mi wmówić, że była czyjąś żoną pięćdziesiąt lat temu?

– Tak jest! Była w pełni dojrzałą kobietą, kiedy Tlazitlanie wyruszyli znad jeziora Zuad. Jest wiedźmą, która posiada sekret wiecznej młodości... Ale to straszna wiedza. Nie odważę się mówić więcej.

I z palcem na ustach wyśliznął się z komnaty.

Valeria zbudziła się nagle na swoim posłaniu. W pomieszczeniu nie było ogniokamieni, lecz rozświetlał je pewien klejnot. W niesamowitej, przyciemnionej poświacie dostrzegła pochylającą się nad nią zacienioną postać. Uświadomiła sobie, że rozkoszna, zmysłowa omdlałość skradająca się po jej ciele nie była zwykłym snem. Coś dotknęło jej twarzy, budząc ją.

Widok ciemnej postaci rozbudził ją natychmiast. W chwili, gdy rozpoznała w owej postaci posepną Yasalę, służkę Tasceli, już była na nogach. Yasala odwróciła się zwinnie, ale zanim zdołała uciec, Valeria złapała ją za rękę i szarpnięciem obróciła twarzą do siebie.

– Co, u diabła, robiłaś, schylając się nade mną? Co masz w ręce?

Kobieta nic nie odpowiedziała, lecz usiłowała odrzucić tę rzecz. Valeria wykręciła jej rękę, tak że znalazła się przed nią, a ów przedmiot upadł na podłogę – wielki, czarny, egzotyczny kwiat na jadeitowozielonej łodydze.

– Czarny lotos! – wycedziła Valeria przez zęby. – Próbowałaś mnie otumanić... Gdybyś przypadkiem nie przebudziła mnie,

dotykając mej twarzy tym kwiatem... Czemu to robisz? Jaką grę prowadzisz?

Yasala utrzymywała posępne milczenie, więc Valeria z przekleństwem obróciła ją gwałtownie dookoła, zmusiła do ukłęknięcia i wykręciła jej rękę za plecami.

– Gadaj albo wyrwę ci rękę ze stawu!

Yasala wiała się w udręce, kiedy jej ramię zostało potwornie wywinięte między łopatki, lecz gwałtowne potrząsanie głową stanowiło jedyną jej odpowiedź.

– Ty wywłoko! – Valeria odepchnęła ją tak, iż padła na podłogę.

Piratka pochyliła się nad leżącą na brzuchu postacią, jej oczy jaśniały. Zbudził się w niej strach, a wspomnienie płomiennych oczu Tasceli ożywiło jej bezlitosny gniew i tygrysi instynkt samozachowawczy. Ta komnata była równie cicha jak Xuchotl, gdyby było w rzeczywistości opustoszałym miastem. Dreszcz paniki przeniknął Valerię, wypierając litość.

– Nie przysłaś tu z niczym dobrym – mruknęła, jej oczy rozżarzyły się, kiedy spoczęły na posępnej postaci z opuszczoną głową. – Tkwi tu jakaś obrzydliwa tajemnica... Zdrada albo intryga. Czy to Tascela cię przysłała? Olmec wie, że tu przysłaś?

Brak odpowiedzi. Valeria zakłęła siarczyście i uderzyła kobietę najpierw z jednej, a potem z drugiej strony. Razy rozbrzmiały echem w pomieszczeniu.

Valeria obróciła się i oderwała sznury z pobliskiej zasłony.

– Ty uparta suko! – wycodziła przez zęby. – Zamierzam obedrzeć cię zupełnie do naga, przywiązać do tej leżanki i batożyć pasem od miecza, póki nie powiesz mi, co tutaj robisz. Czemu nie wrzeszczysz? – pytała sardonicznie. – Kogóż się boisz? Tasceli czy

Olmecca, a może Conana?

– Litości! – wyszeptała w końcu kobieta. – Powiem.

Valeria ją uwolniła. Yasala drżała na całym ciele.

– Wina! – błagała, wskazując trzęsącą się ręką złote naczynie na stole z kości słoniowej. – Daj mi się napić... Wtedy ci powiem.

Powstała niepewnie, kiedy Valeria podała naczynie. Wzięła je, uniosła do ust... i bluznęła zawartością wprost w twarz Aquilonki. Valeria zatoczyła się w tył, strząsając i ścierając piekący płyn z oczu, aż jej zamglony wzrok oczyścił się na tyle, by ujrzała, jak Yasala mknie przez pomieszczenie, odrzuca rygiel, popycha okute miedzią drzwi i wybiega na korytarz. Piratka natychmiast ruszyła za nią z dobytym mieczem i pragnieniem mordy w sercu.

Kobieta minęła zakręt korytarza i kiedy Valeria doń dotarła, ujrzała jedynie pusty hol i otwarte, ziejące czernią drzwi. Cuchnęło od nich wilgocią i pleśnią. Valeria zadrżała. Musiały to być owe drzwi, które wiodły do katakumb. Yasala tam obrała schronienie.

Valeria podeszła do drzwi i spojrzała w dół kamiennych stopni, które niknęły w zupełnej czerni. Zadrżała nieznacznie na myśl o tysiącach zwłok zalegających tam w dole w swych kamiennych niszach, owiniętych w butwiejące tkaniny. Nie miała zamiaru po omacku szukać drogi. Yasala niewątpliwie знаła każdy skręt podziemnych przejść. Valeria cofała się zawiedziona, kiedy z ciemności rozległ się rozslochany krzyk. Słabo dało się rozróżnić ludzkie słowa, ale był to głos kobiety.

– Och, na pomoc! Pomocy, w imię Seta! Achhhh!

Krzyk rozplątał się w dali, a Valeria odniosła wrażenie, że pochwyciła echo demonicznego chichotu.

Poczuła, jak skóra jej cierpnie. Co przydarzyło się Yasali tam w

dole, w gęstych ciemnościach? Piratka nie wątpiła, że to ona krzyczała. Ale jakaż groza mogła ją spotkać? Czy był to jeden z Xotalanców, czający się tam na dole? Olmec zapewniał ich, że południowy koniec katakumb został odgradzony solidnym murem od reszty, by ich wrogowie nie mogli się przedostać z tej strony. Ponadto to chichotanie wcale nie brzmiało jak ludzkie... Valeria zamknęła drzwi i pospieszyła z powrotem korytarzem. Dotarła do swej komnaty i zatrzasnęła za sobą rygiel. Była zdecydowana pójść do Conana i nakłonić go, by przyłączył się do niej w próbie wyrąbania sobie wyjścia z tego miasta diabłów. Jednak w chwili, gdy dotarła pod drzwi, po salach rozszedł się przeciągły wrzask agonii.

ROZDZIAŁ

To ludzkie wycie oraz szczęk stali sprawiły, że Conan zeskoczył z posłania z mieczem w dłoni, zupełnie rozbudzony. W jednej chwili dopadł do drzwi, otworzył je gwałtownym pociągnięciem, akurat gdy wpadł nań Techotl; oczy mu błyszczały, ostrze ociekało, a z nacięcia na szyi płynęła obficie krew.

– Yotalancowie! [sic!] – charczał głosem omalże nieludzkim. – Są wewnątrz!

Conan przepchnął się obok niego i ruszył wąskim korytarzem, w chwili gdy ze swej komnaty wyłoniła się Valeria.

– Co jest, u diabła? – zawołała.

– Techotl mówi, że Xotalancowie są w środku – odrzekł pospiesznie. – Ten rejwach to chyba potwierdza.

Wbiegli do sali tronowej i wpadli na dziką i krwawą scenę. Około dwudziestki mężczyzn i kobiet z rozwianym czarnym włosom i

białymi czaszkami jaśniejącymi na piersi zwarło się w walce z przeważającą liczbą Tecuhltlich. Kobiety po obu stronach walczyły równie szaleńczo jak mężczyźni. Pomieszczenie było już usłane zwłokami, z których większość stanowili Tecuhltli.

Olmec nagi, poza przepaską na biodrach, walczył przed tronem, a kiedy weszli Conan i Valeria, z jakiejś wewnętrznej komnaty wybiegła Tascela z mieczem w dłoni.

Reszta była koszmarem wirującej stali. Oto waśń dobiegała krwawego końca. Straty Xotalanców były większe, a ich sytuacja bardziej rozpaczliwa, niż myśleli Tecuhltli. Wieść wydyszana przez umierającego, że zagadkowi białoskórzy sprzymierzeńcy dołączyli do wrogów, pchnęła ich ku wściekłemu uderzeniu. Chociaż to, jaką drogą wtargnęli do siedziby Tecuhltlich, pozostało tajemnicą do zakończenia bitwy.

Była ona długa i dzika. Xotalancom pomogło zaskoczenie, i siedmiu Tecuhltlich zostało powalonych, zanim pojęli, że spadli na nich nieprzyjaciele. Nadal jednak przewyższali liczebnie Xotalanców, dodatkowo napędzała ich świadomość, że to w końcu starcie na śmierć i życie, w którym to oni mają sojuszników.

W bijatyce tego rodzaju nawet trzech Tlazitlan nie dorównywało Conanowi. Wyższy, silniejszy i szybszy od nich, przesuwiał się wśród wirującej masy z pewnością i niszczycielską siłą huraganu. Valeria była równie silna jak mężczyzna, a jej szybkość i zawziętość przewyższały każdego, kto stanął przeciw niej.

Jedynie pięć kobiet było z Xotalancami i zostały powalone, a ich gardła poderżnięte, zanim Conan i Valeria dotarli na pole walki. Wkrótce tylko Tecuhltli oraz ich sojusznicy pozostali przy życiu w wielkim pokoju tronowym i ci zataczający się, zbroczeni krwią żywi

wznieśli szalony okrzyk tryumfu.

– Jak oni weszli do Tecuhtli?! – ryknął Olmec, potrząsając mieczem.

– To Xatmec – wydukał jeden z wojowników, ocierając krew z wielkiego rozcięcia na ręce. – Postyszał jakiś hałas i przyłożył ucho do bramy, podczas gdy ja podszedłem do zwierciadeł, żeby popatrzeć. Za drzwiami ujrzałem Xotalanców, a jeden grał na piszczałce... Xatmec zaś zastygł wsparty o drzwi, jak gdyby sparaliżowany muzyką, która dobiegała przez odrzwia. Potem muzyka zmieniła się w ostry pisk, a Xatmec wrzasnął niczym człowiek w agonii, jak szalencie szarpnął drzwi i wypadł z uniesionym mieczem. Poraził go tuzin ostrzy, a po jego ciele Xotalancowie napłynęli do wartowni.

– Piszczałki szaleństwa – wymamrotał Olmec. – Zostały ukryte w mieście... Stary Tolkemec o nich wspominał. Te psy je odnalazły. W tym mieście kryje się wielka magia... Gdybyśmy tylko potrafili ją odkryć.

– Czy to już wszyscy? – dopytywał Conan.

Olmec wzruszył ramionami. Zostało mu tylko trzydziestu ludzi. Mężczyźni wbijali w hebanową kolumnę dwadzieścia nowych szkarłatnych ćwieków.

– Nie wiem.

– Pójdę do Xotalanc i zobaczę – stwierdził Conan. – Nie, ty nie – to było do Valerii. – Masz ranę kłutą w nodze. Zostaniesz tu i dasz się opatrzyć. Zamknij się, dobra? Kto mnie poprowadzi?

Wystąpił, kuśtykając, Techotl.

– Ja pójdę!

– Nie, nie pójdziesz. Jesteś ranny.

Jakiś mężczyzna zgłosił się na ochotnika, a Olmec rozkazał następnemu iść z Cimmeryjczykiem. Yanath i Topal prowadzili Conana przez ciche komnaty, aż przybyli do spiżowych wrót, które znaczyły granicę Xotalanc. Delikatnie napaarli na nie, a one ustąpiły pod ich dłońmi. Z lękiem wpatrywali się w oświetlone na zielono komnaty. Przez pięćdziesiąt lat żaden Tecuhltli nie wszedł do tych sal, chyba że jako więzień zmierzający ku ohydному przeznaczeniu.

Conan wkroczył do środka, a oni poszli za nim. Nie napotkali żywej duszy, ale znaleźli dowody waśni.

W komnacie stały rzędy jakby szklanych skrzyń. A w tychże skrzyniach znajdowały się ludzkie głowy, doskonale zachowane... Całe dziesiątki.

Yanath stał, przypatrując się im z dzikim blaskiem w oczach.

– Tam jest głowa mego brata! – wymamrotał. – I syna mojej siostry, i brata mego ojca!

Nagle oszalał. Wyjął i tocząc pianę, odwrócił się i wbił miecz po rękojeść w ciało Topala. Ten opadł, a Yanath obrócił się do Conana. Cimmeryjczyk widział, iż mężczyzna jest bez reszty obłąkany, więc wykonał krok w bok i kiedy ten go minął, wyprowadził cięcie, które przecięło obojczyk i pierś i rzuciło martwego obok jego umierającej ofiary.

Conan uklęknął obok Topala i złapał go za nadgarstek, kiedy tamten przedśmiertnym wysiłkiem próbował pchnąć sztyletem w pierś Cimmeryjczyka.

– Na Croma! – zaklął Conan. – Tyś także oszalał?

– Olmec tak rozkazał – wysapał konający. – Poleciał mi zabić cię podczas powrotu do Tecuhltli... – I z nazwą swego klanu na ustach

Topal umarł.

Conan powstał, spoglądając chmurnie. Potem odwrócił się i pospieszył z powrotem przez hole i komnaty w kierunku Tecuhltli. Jego pierwotne wyczucie kierunku wiodło go bezbłędnie drogą, którą przyszli. A kiedy zbliżył się do Tecuhltli, uświadomił sobie, że ktoś przed nim jest – ktoś, kto sapie i dyszy, i posuwa się z dziwnym odgłosem pełzania. Conan skoczył naprzód i ujrzał Techotla czołgającego się w jego stronę. Mężczyzna krwawił z głębokiego nacięcia na piersi.

– Conanie – zawołał. – Olmec porwał jasnowłosą kobietę! Usiłowałem go powstrzymać, ale mnie powalił. Myślał, że zabił! Zabij Olmeca, zabierz ją i odejdźcie! On was okłamał! W puszczy był tylko jeden smok i jeśli go zabiliście, bez obaw możecie przedostać się na wybrzeże! Przez wiele lat czciliśmy go jak boga i składaliśmy mu ofiary! Spiesz się! Olmec zabrał ją do...

Jego głowa opadła gwałtownie i skonał.

Conan się zerwał, oczy miał niby żywe węgle. Zatem to dlatego Olmec rozkazał Topalowi, żeby go zabił! Mógł się spodziewać, że coś takiego przyjdzie do głowy temu czarnobrodemu degeneratowi. Popędził szaleńczo, rachując w myśli swych przeciwników. Nie mogło być ich więcej niż czternastu czy piętnastu. W swym gniewie Conan czuł się na siłach rozliczyć się z całym klanem jedną ręką.

Jednakże przebiegłość zwyciężyła, czy raczej zapanowała nad bojowym szałem. Nie zaatakujecie przez drzwi, przez które weszli Xotalancowie. Uderzy z wyższego lub z niższego poziomu. Niewątpliwie pół wieku nawyków spowoduje, że tak czy owak wszystkie wrota będą zamknięte i zaryglowane. Kiedy Topal i Yanath nie wrócą, mogą zrodzić się obawy, że niektórzy

Xotalancowie przetrwali.

Zszedł w dół krętymi schodami i przed sobą posłyszał cichy jęk. Wchodząc ostrożnie, ujrzał olbrzymią postać przypasaną do przypominającego stojak stelaża. Nad piersią umieszczono ciężką stalową kulę, głowa zaś spoczywała na łożu ze stalowych kolców. Kiedy staje się to nieznośne, nieszczęśnik unosi głowę... a pasek do niej przymocowany opuszcza stalową kulę. Za każdym razem, gdy unosił głowę, kula zbliżała się o kilka cali do owłosionej piersi. Ostatecznie zgniecie go na miazgę. Mężczyzna ów był zakneblowany, ale Conan go rozpoznał. Był to Olmec, księżę Tecuhltli.

Kiedy Valeria przeszła do komnaty wskazanej przez Olmeca, jedna z kobiet podążyła za nią i opatrzyła jej ranną łydkę. Kobieta wycofała się w ciszy i kiedy na Valerię padł cień, podniosła wzrok i ujrzała przypatrującego się jej Olmeca. Złożyła swój zboczony krwią miecz na leżance.

– Niechlujnie wykonała swą pracę – skrytykował księżę Tecuhltli, schylając się nad opatrunkiem. – Pozwól, że zobaczę...

Z prędkością zdumiewającą u kogoś o jego masie chwycił jej miecz i odrzucił go na drugą stronę komnaty. Kolejnym posunięciem było pochwycenie jej w olbrzymie ramiona.

Chociaż był to szybki ruch, Valeria prawie mu dorównała, gdyż w chwili gdy ją chwycił, dirk znalazł się w jej jej [sic!] dłoni i dźgnęła go w gardło. Złapał jej nadgarstek i wówczas rozpoczęła się zapamiętała rozgrywka zapaśnicza, w której ostatecznie zwyciężyły jego większa siła oraz waga. Została przygnieciona do leżanki i rozbrojona; dysząc, wpatrywała się w niego oczami płonącymi jak u schwytej w pułapkę tygryscy.

Książę Tecuhltli, Olmec, uwijał się w pośpiechu i ciszy. Zakneblował ją i związał, a potem poniósł korytarzami oraz przejściami do tajemnej komnaty. Tam, zanim wziął od niej to, czego chciał, zjawiała się Tascela. Olmec ukrył dziewczynę i podjął z Tascelą grę o to, kto sprytniejszy, w trakcie której ona go nakłoniła, by napił się z nią wina. Uczynił tak i został natychmiast sparaliżowany. Ona zaś zaciągnęła go do sali tortur i rozciągnęła na stelażu, gdzie znalazł go Conan.

Tascela tymczasem zaniósła Valerię z powrotem do komnaty tronowej, gdzie po zniesieniu ciał zabitych do katakumb zebrali się ocaleni. Czworogu nie udało się powrócić i szeptano o duchu Tolkemeca. Ona zaś przygotowała wysysanie krwi z serca Valerii, aby odzyskać swą młodość.

W tym czasie Conan uwolnił Olmeca, który zaklinał się, iż zjednoczy z nim siły. Olmec poprowadził go krętymi schodami w górę, gdzie raził Conana od tyłu. Kiedy toczyli się po schodach, Conan zgubił miecz, lecz udusił księcia gołymi rękami.

Noga Conana uległa złamaniu, ale dokuśtykał do pokoju tronowego, gdzie wpadł w zastawioną na niego pułapkę. Wówczas z katakumb przybył stary Tolkemec który zabił wszystkich Tecuhltlich swą magią, a podczas gdy on był tak

[Tu wersja się kończy; strona 52 i prawdopodobnie ostatnia w maszynopisie, jak się zdaje, zaginęła].

Rozmaitości

List do P. Schuylera Millera

Lock Box 313
Cross Plains, Texas
10 marca 1936

Drogi Panie Miller,

czuję się naprawdę zaszczycony tym, że Pan oraz dr Clark okazaliście tyle zainteresowania Conanowi, aby opracować zarys jego kariery, a także mapę jego świata. Są zaskakująco ściśle, zważywszy na ogólnikowość danych, z jakimi pracowaliście. Sam posiadam pierwotną mapę – to jest tę, którą narysowałem, kiedy zacząłem pisać o Conanie – gdzieś tutaj i zobaczę, czy uda mi się ją odnaleźć, aby mógł Pan na nią spojrzeć. Zawiera ona wyłącznie kraje na zachód od Vilayet i na północ od Kush. Nigdy nie podejmowałem prób ukazania na mapie królestw południa i wschodu, chociaż miałem w głowie jasny zarys ich geografii. Niemniej, pisząc o nich, odczuwałem pewnego rodzaju ograniczenie, jako że członkowie zachodnich narodów hyboryjskich byli prawie takimi samymi ignorantami w stosunku do mieszkańców i krajów południa oraz wschodu, jak ludzie w średniowiecznej Europie w stosunku do Afryki czy Azji. Pisząc o zachodnich narodach hyboryjskich, czuję się zamknięty w granicach

znajomych i ustalonych barier oraz obszarów, lecz tworząc teksty o reszcie tego świata, odczuwam możliwość swobodniejszego popuszczenia wodzy swej wyobraźni. To znaczy, przyjmując pewne wyobrażenie o geografii i etnologii, odczuwam narzucany przez nie neodparty przymus do pozostawienia ich samym sobie, w interesie spójności całego uniwersum. Moja koncepcja wschodu i południa nie jest ani nadmiernie wyrazista, ani ukształtowana.

Jednak, co się tyczy Kush, jest to jedno z czarnych królestw na południe od Stygii, właściwie najdalej wysunięte z nich na północ, dające nazwę całemu południowemu wybrzeżu. W ten oto sposób, kiedy Hyboryczyk mówi o Kush, zasadniczo nie mówi o samym królestwie, jednym z wielu, lecz o Czarnym Wybrzeżu w ogóle. I prawdopodobnie o każdym czarnym człowieku będzie mówić jako o Kushicie, czy będzie chodziło o Keshaniego, Darfarięgo, Puntanina czy właśnie o Kushitę. To naturalne, odkąd Kushici zostali pierwszymi czarnymi ludźmi, z którymi Hyboryjczycy weszli w kontakt – handlowali z nimi i najeżdżali ich barachańscy piraci.

Co do ostatecznego losu Conana – szczerze mówiąc, nie potrafię go przewidzieć. Spisując te opowieści, zawsze czułem się mniej ich twórcą, a bardziej kronikarzem jego przygód, jakby mi je opowiadał. To dlatego przeskakują one tak bardzo, bez następowania po sobie w jakimś określonym porządku. Przeciętny łowca przygód prawi historie o swym wędrownym życiu na chybił trafił, rzadko trzymając się jakiegoś ustalonego planu. Przytacza epizody tak, jak mu się nasuwają, oddzielone od siebie daleko w czasie i przestrzeni.

Wasz zarys podąża śladem jego kariery naprawdę całkiem blisko

tego, jak ja ją widzę. Różnice są drobne. Jak wydedukowaliście, Conan miał około siedemnastu lat, kiedy zaprezentował się szerszej publiczności w *Wieży Słonia*. Chociaż nie w pełni dorosły, był dojrzały od przeciętnego cywilizowanego młodzieńca w jego wieku. Urodził się na polu bitwy, podczas walki między jego plemieniem a napadającą na nie hordą Vanirów. Kraina, do której prawa rościł sobie i po której wędrował jego klan, leżała w północno-zachodniej Cimmerii, jednak Conan był krwi mieszanej, chociaż pozostawał w prostej linii w pełni Cimmeryjczykiem. Jego dziadek był członkiem południowego plemienia, który uciekł od swego ludu z powodu rodowej waśni i po długich wędrówkach ostatecznie schronił się wśród ludu na północy. Za młodu, nim uciekł, brał udział w wielu wypadach między narody hyboryjskie i być może opowieści, jakie snuł o tamtych, spokojniejszych krajach, rozbudziły w Conanie, kiedy był jeszcze dzieckiem, pragnienie ich ujżenia. Wiele jest spraw dotyczących życia Conana, co do których sam nie mam pewności. Nie wiem na przykład, kiedy po raz pierwszy zetknął się z ludźmi cywilizowanymi. Może było to w Vanarium; bądź też przedtem mógł złożyć jakąś pokojową wizytę w którymś z miast pogranicza. W Vanarium był już przeciwnikiem budzącym grozę, choć ledwie piętnastoletnim. Liczył sobie sześć stóp i ważył sto osiemdziesiąt funtów, choć sporo mu brakło do pełnej dorosłości.

Pomiędzy Vanarium a wkroczeniem do złodziejskiego miasta w Zamorze pojawia się odstęp około roku. W tym czasie powrócił on na północne terytoria swego plemienia i odbył pierwszą podróż poza granice Cimmerii. Ta zaś, co może dziwić, skierowała go ku północy zamiast na południe. Czemu albo jak, tego nie jestem pewien, ale spędził on parę miesięcy wśród plemienia Æsirów,

walcząc z Vanirami oraz Hyperborejczykami i popadając w nienawiść do tych ostatnich, która trwała całe jego życie i później rzutowała ujemnie na jego politykę jako króla Aquilonii. Pojmany przez nich uciekł w kierunku południowym i przybył do Zamory, by przeżyć swój debiut w druku.

Nie jestem pewien, czy przygoda spisana w *Łotrach w domu* wydarzyła się w Zamorze. Obecność przeciwnych frakcji politycznych zdawałaby się wskazywać inaczej, odkąd w Zamorze zaistniał absolutny despotyzm, w którym odmiennych poglądów politycznych nie tolerowano. Jestem zdania, że miasto to było jednym z pomniejszych miast-państw leżących tuż na zachód od Zamory, do którego Conan zawędrował po jej opuszczeniu. Niebawem wrócił na krótko do Cimmerii i od czasu do czasu zdarzały mu się takie powroty do ojczystego kraju. Chronologiczny porządek jego przygód wygląda w przybliżeniu tak, jak go opracowaliście, z wyjątkiem tego, że zajęły mu one nieco mniej czasu. Conan miał około czterdziestki, kiedy posiadał koronę Aquilonii, i około czterdziestu czterech czy czterdziestu pięciu lat w trakcie *Godziny Smoka*. W owym czasie nie miał męskiego spadkobiercy, ponieważ nigdy nie zatroszczył się o to, by formalnie uczynić jakąś kobietę królową, a synowie konkubin, których miał pokaźną liczbę, nie byli uznawani za dziedziców tronu.

Był, tak myślę, królem Aquilonii przez wiele lat, panując w burzliwych i niespokojnych czasach, kiedy cywilizacja hyboryjska osiągnęła poziom najwyższej świetności, a każdy król miał imperialne ambicje. Na początku walczył tylko w obronie, lecz jestem zdania, iż w końcu został przymuszony do wojennej agresji, gdy w grę wchodziła samoobrona. Czy odniósł sukces w

zdobywaniu ogólnoświatowego imperium, czy też zginął, usiłując to osiągnąć, tego nie wiem.

Podróżował wiele, nie tylko przed swym królowaniem, ale też po tym, jak został królem. Podróżował do Khitaju oraz Hyrkanii, w tym drugim przypadku nawet po mniej znanych obszarach na północy, a w pierwszym – na południu. Odwiedził choćby bezimienny kontynent na zachodniej półkuli i włóczył się po sąsiadujących z nim wyspach. Jak wiele z tej włóczęgi ukaże się drukiem, tego z jakąkolwiek ścisłością przepowiedzieć nie potrafię. Bardzo zainteresowały mnie Wasze uwagi dotyczące znalezisk na Półwyspie Jamalskim. Usłyszałem o nich po raz pierwszy. Niewątpliwie Conan z pierwszej ręki zaznajomił się z ludem, który rozwinął opisaną kulturę, albo przynajmniej z jego przodkami.

Liczę, że *Epoka hyboryjska* okaże się dla Pana interesująca. Załączam kopię oryginalnej mapy. Tak, Napoli bardzo dobrze poradził sobie z Conanem, choć czasami nadaje jego obliczu rys trochę jakby łaciński, co niezgodne jest z typem, jaki ja sobie wyobrażam. Ale nie na tyle, żeby to roztrząsać.

Liczę, iż załączone informacje odpowiedzą na Pana pytania w sposób przynajmniej zadowalający; będę zachwycony, mogąc przedyskutować każdy inny okres, który Pan zechce, bądź też wejść w szczególności na temat jakiegoś innego momentu kariery Conana czy hyboryjskiej historii albo geografii. Dziękuję ponownie za Pańskie zainteresowanie i życzę wszystkiego najlepszego Panu oraz dr. Clarkowi.

Serdeczności,

Robert E. Howard.

PS

Nie wspomniał Pan, czy chce otrzymać mapę bądź chronologię z powrotem, zatem pozwalam sobie zachować je dla pokazania paru przyjaciołom; jeśli chce Pan ich zwrotu, proszę dać mi znać.

Legenda do map

- Sea – morze (z j. angielskiego – część oceanu przyległa do lądu)
- Modern boundaries – granice współczesne
- Hyborian – granice hyboryjskie
- Pictish Wilderness – Dzicz Piktyjska
- Bossonian Marches – marchie bossoniackie
- Border Kingdom – Królestwo Graniczne
- Barachan Isles – Wyspy Barachańskie
- Meadows Cities – miasta pośród łąk (przybrzeżne, w przeciwieństwie do miast pustynnych – w głębi lądu)
- Tundas – tundry
- Kozaks – kozacy
- Desserts – pustkowia (pustynia)
- Nomads – nomadzi
- Steppes – stepy
(later extended to borders of Zamora) – później rozciągający się po granice Zamory

Dodatki

Rodowód hyboryjski

Część III

Zapiski o tworzeniu historii o Conanie
autorstwa Patrice'a Louineta

Gdy Robert E. Howard kończył *Wiedźma się narodzi*, czuł prawdopodobnie, że może sprzedać prawie każdą historię o Conanie, jaką przedłoży w „Weird Tales”. W roku 1934, po kilku latach biedowania, włączając w to dwa lata na początku kariery, w trakcie których nie sprzedał ani jednego opowiadania, Howard stał się jedną z gwiazd czasopisma. *Wiedźma...* była, według redaktora Farnswortha Wtorighta, „najlepszą” z dotychczasowych historii o Conanie; uznanie dla autora oraz jego utworów o Conanie można znaleźć w kolumnie korespondencyjnej prawie każdego wydania „Weird Tales”. I co o wiele ważniejsze, Teksańczyk pojawił się w dziesięciu z dwunastu wydań opublikowanych w roku – w ośmiu z nich z Conanem w roli głównej, z ostatnimi czterema uhonorowanymi miejscem na okładce – co dawało imponujący rekord.

Wszystko, co Howard robił przez całe miesiące, było związane z Conanem: *Ludzie Czarnego Kręgu* napisani zostali w lutym i w marcu; zaraz po tym rozpoczął *Godzinę Smoka* i wysłał ją do

zainteresowanego wydawcy brytyjskiego 20 maja; a *Wiedźma się narodzi* ukończona została na początku czerwca. Jedyną chwilą wytchnienia w trakcie tych miesięcy były krótkie odwiedziny w kwietniu jego kolegi E. Hoffmanna Price'a. Wreszcie, na początku czerwca, Howard zrobił sobie pierwsze od długiego czasu wakacje. Powiadał potem swego korespondenta Augusta Derleta: „zakończyłem kilkanaście tygodni wytężonej pracy” i oznajmiał mu, iż „przyjaciół i ja zrobiliśmy krótki wypad do południowego Nowego Meksyku i na zachodni skraj Teksasu; widziałem jaskinię Carlsbad – widok nie do odtworzenia na tej planecie – i spędziłem krótką chwilę w El Paso. Byłem tam po raz pierwszy (...)”.

Wspomnianym przyjacielem był Truett Vinson, jeden z najlepszych przyjaciół Howarda od czasów szkoły średniej, o którym więcej za chwilę. Dwóch mężczyzn opuściło Cross Plains, miasteczko rodzinne Howarda, na początku czerwca i wyjechało na tydzień. O tym, że wycieczka okazała się udana, świadczą wzmianki o niej w prawie wszystkich listach Howarda z kolejnych tygodni, z wizytą w jaskiniach Carlsbad w Nowym Meksyku jako kulminacją tych krótkich wakacji. Howard był pod szczególnym wrażeniem owych cudów natury i przez pewien czas epatował tym swoich korespondentów, w szczególności H.P. Lovecrafta:

 Nie potrafię opisać niesamowitych cudów tych wielkich jaskiń. Trzeba zobaczyć to samemu, aby je docenić. Mieszczą się wysoko pośród gór i nigdy nie widziałem nieba tak błękitnego i tak czystego jak to, które chyli się gigantycznym sklepieniem nad owymi wijącymi się pod górę ścieżkami, jakie podróżnik musi przebyć z mozołem, aby dotrzeć do wejścia do jaskiń. Mają one szczególne, ciemne zabarwienie wymykające się próbom opisu. Wejście do jaskini jest olbrzymie, lecz karleje przy rozmiarach wnętrza. Schodzi się bez końca krętymi pochylniami przez jakieś siedemset stóp. My

weszliśmy o dziesiątej, a wyszliśmy około czwartej. Język angielski jest zbyt ubogi, żeby opisać samą jaskinię. Obrazy nie dają należytego pojęcia, a to dlatego, że przesadzają z barwami; kolorystyka jest w rzeczywistości przygaszona, bardziej posępna niż roziskrzona. Nie dają one nadto właściwego pojęcia o rozmiarach, o zawiłych wzorach wyrzeźbionych w wapieniu na przestrzeni mileniów (...). W jaskini prawa natury zdają się ulegać zawieszeniu; to Natura popadła w obłąd przy orgii wyobraźni. Setki stóp powyżej zasklepia się wielki kamienny strop, niewyraźny przez unoszącą się wiecznie mgłę. Ogromne stalaktyty zwisają ze stropu w każdym możliwym do wyobrażenia kształcie – strzelistych promieni, kopuł, półprzezroczystych tafli, niby lodowe tapiserie. Woda skapywała, budując tu i ówdzie przez wieki olbrzymie kolumny, niesamowite oczka wodne połyskujące zielenią. (...) Przechadzaliśmy się po cudownej krainie wyimaginowanych olbrzymów, której odwieczna starożytność poddana kontemplacji budzi trwogę.

Wkrótce po swym powrocie do Cross Plains Howard rozpoczął pisanie jeszcze jednego opowiadania o Conanie: *Stug Bit-Yakina*. Historia ta nieszczęśliwie zapada w pamięć, ze swą mało przekonującą fabułą oraz bezbarwną bohaterką. Została jednak umiejscowiona wyraźnie inaczej niż pozostałe opowieści o Conanie, rozgrywając się w całości w obrębie dziwu natury, wypełnionego jaskiniami i podziemnymi rzekami, dla których inspirację stanowiła najwyraźniej wizyta Howarda w jaskiniach Carlsbad. Jak konkludował, pisząc do Lovecrafta: „Boże, jakąż historię mógłbyś napisać po takiej wyprawie! (...) Wszystko zdaje się możliwe w tym potwornym, mrocznym podziemiu, siedemset pięćdziesiąt stóp pod ziemią. Gdyby jakiś ożywiony potwór powstał, budząc grozę, spomiędzy półmroku owych kolumn i rozpostarł antropomorficzne, szponiaste łapy ponad naszą gromadą, nie sądzę, aby ktokolwiek był szczególnie zaskoczony”. Howard

prawdopodobnie w końcu zdecydował, że może sam napisać taką opowieść.

Efekt nie jest w pełni satysfakcjonujący, ale przeciera drogę przed nadejściem rzeczy większych. Po raz pierwszy w serii Howard wplata w opowieści o Conanie elementy zaczerpnięte ze swego regionu. Dla jasności – był to nieśmiały pierwszy krok, niemniej jednak ważny. Opowiadanie to nie zostało wspomniane w żadnym z zachowanych listów Howarda. Nie przetrwał także zapis o jego przedłożeniu wydawcy. Zostało przyjęte przez Farnswortha Wtorighta za 155 dolarów, płatne po publikacji, i wydane w numerze „Weird Tales” z marca 1935 roku. Pojawia się pewne zamieszanie, gdy idzie o oryginalny tytuł tej opowieści. Tekst pojawił się w „Weird Tales” pod tytułem *Jewels of Gwahlur* (*Klejnoty Gwahlura*). Teksańczyk napisał trzy wersje: pierwsza nie ma tytułu, podczas gdy druga i trzecia noszą tytuł *Studzy Bit-Yakina*. Trzecia wersja dotarła do nas jako odbitka wersji przesłanej do „Weird Tales”, stąd też będącej ostateczną. Trzeci tytuł, *Teeth of Gwahlur* (*Zęby Gwahlura*), pojawia się na liście odnalezionej w papierach Howarda długo po jego śmierci (skąd też pochodzi informacja o cenie zapłaconej przez czasopismo). Lista ta nie jest sporządzona przez Howarda osobiście, jakkolwiek najwyraźniej zaczerpnięta była bądź to z jakiegoś oryginalnego dokumentu pisarza, bądź z serii dokumentów. Z dowodów wewnętrznych wynika, iż sporządzona została sporo po tym, jak opowiadanie opublikowano, i w zamierzeniu stanowiła prawdopodobnie listę utworów sprzedanych do „Weird Tales” w celu ustalenia, co czasopismo winne jest na rzecz majątku Howarda po jego śmierci. Na swych listach sprzedażowych jako generalną zasadę Teksańczyk stosował

nadawanie tekstom raczej wersji publikowanej tytułu aniżeli własnej, tak jak w przypadku tego dokumentu (*The Slithering Shadow*, czyli *Pełzający cień*, zamiast *Xuthal ze zmroku*, *Shadows in the Moonlight*, czyli *Cienie w blasku księżyca*, zamiast *Stalowe cienie pod księżycem*). Wydaje się całkiem prawdopodobne więc, że Zęby stanowiły po prostu błąd; być może Howard sam, nadając ten tytuł, miał w pamięci nazwę naszyjnika z opowiadania i podczas późniejszego przepisywania wkradł się błąd.

W kolejnych tygodniach Howard ponownie zdecydował się na eksperymentowanie w utworach o Cimmeryjczyku. Próba ta nie zakończyła się stworzeniem ukończonego tekstu, doprowadziła jednak do zasadniczej ewolucji serii. O ile *Słudzy Bit-Yakina* nieśmiało czerpali z miejsc, jakie Howard odwiedzał, o tyle tym razem Teksańczyk zdecydował się na całkowicie amerykańskie umiejscowienie akcji, za cenę usunięcia z hyboryjskiego świata samego Cimmeryjczyka.

Niewykluczone, iż w drugiej połowie 1934 roku u Howarda zaczął narastać dystans do uniwersum Cimmeryjczyka, podkreślany szczególnie w rozmowach prowadzonych z Novalyne Price, z którą zaczął się umawiać w sierpniu. W październiku zwierzył się jej, iż „staje się nieco zmęczony Conanem (...). To ten kraj potrzebuje tego, by o nim pisać. Dokoła istnieją historie wszelkiego rodzaju”.

Autor, do którego dzieł Howard zaglądał, kiedy szukał inspiracji dla nowej opowieści, był jednym z jego ulubionych: Robert W. Chambers. Biblioteka Teksańczyka zawierała trzy powieści tego autora traktujące o Rewolucji Amerykańskiej^[3]: *The Maid-at-Arms* (1902), *The Little Red Foot* (1921) oraz *America, or the Sacrifice* (1924).

Powieści te dostarczyły tła i natchnienia do kolejnej opowieści Howarda o epoce hyboryjskiej: *Wilków za granicami*. Przez lata pojawiało się mnóstwo wprowadzających zamieszanie i błędnych informacji o wykorzystaniu przez Howarda tekstów Chambersa, aż w końcu badacz twórczości Teksańczyka, Rusty Burke, uporządkował i wyjaśnił te sprawy. Wszystkie wnioski na temat dokładnego stopnia wpływu pochodzą z badań Burke'a.

Tym, co Howard zrobił najpierw w 1932 roku, kiedy podjął decyzję o napisaniu *Epoki hyboryjskiej*, dla nadania większej spójności hyboryjskiemu światu, było spisanie serii krótkich notek, które pomogłyby mu poczuć się swobodniej pośród zdarzeń i miejsc, o których pisał (zob. s. 399 [Notatki bez tytułu]). Nie ma wątpliwości co do tego, że powieści Chambersa zaprzętały w dużym stopniu myśli Howarda, kiedy tworzył owe zapiski. Prawie wszystkie nazwy wzięte zostały z powieści niemal dosłownie: Schohira zamiast Schoharie, Oriskany – Oriskonie, Conawaga – Caughnawaga itd. Sytuacja, jaką Howard opisuje w tym opracowaniu, także jasno nawiązuje do fabularnej wersji Amerykańskiej Rewolucji pióra Chambersa. Jeszcze więcej nazw zaczerpniętych od Chambersa znalazło się w *Wilkach za granicami*.

Wilki są jednym z najbardziej frapujących fragmentów z cyklu o Conanie. Dokładnie tak, gdyż nie jest to, mówiąc wprost, opowiadanie o Cimmeryjczyku. To nie pierwszy raz, kiedy Howard próbuje robić coś odmiennego z Conanem i, jak zaraz zobaczymy, nie pierwszy raz, kiedy eksperymentuje z inną postacią, ponieważ zaczął czuć, że „traci kontakt” z jedną ze swych kreacji.

Krótko przed napisaniem powieści *Godzina Smoka* Howard podjął próbę stworzenia innego opowiadania, w którym przez większą

część Conan jest obecny tylko w tle. W tamtym przypadku jednak nieobecność Cimmeryjczyka ograniczała się do pierwszych rozdziałów utworu, który pomyślany był jako powieść; jak poświadcza szkic pełnego tekstu, Conan miał być w nim postacią znaczącą, jeśli nie tak naprawdę głównym bohaterem. W sytuacji tej można dostrzec paralełę do *Wiedźma się narodzi*, w której Cimmeryjczyk odgrywa zasadniczo rolę drugoplanową. Jednakże w przypadku *Wilków za granicami* sytuacja jest znacząco odmienna, co najbardziej widoczne jest w tym, że narracja odbywa się w pierwszej osobie, a Conan się w niej nie pojawia, chociaż bywa kilka razy wspomniany.

Bardzo podobna sytuacja zaistniała w karierze Howarda kilka lat wcześniej i skłania ona do ciekawych porównań. W 1926 roku Teksaszczyk powołał do życia Kulla Atlantyde, pierwszą swą epicką postać fantasy, o której napisał albo zaczął pisać tuzin historii. Jednak w 1928 roku najwyraźniej tracił już zainteresowanie dla tego bohatera. Wówczas to rozpoczął – lecz nigdy nie ukończył – bardzo frapujący fragment, którego główną postacią nie był Kull, odsunięty do pomniejszej roli, lecz jego przyjaciel Brule, piktyjski wojownik, którego przymioty różnią się znacząco w tej opowieści od znanych z wcześniejszych jego występów. Kull stawał się najwyraźniej postacią ledwie firmującą swą własną serię. Rolę w zupełnie podobnym stylu Conan zdaje się odgrywać w *Wilkach za granicami*. Howard nigdy nie ukończył tamtego fragmentu, lecz od tej chwili postać Kulla poddana została drastycznej ewolucji. To uderzające, iż w obu tych fragmentach bohaterami drugiego planu są barbarzyńcy, którzy zostali lub mają zostać królami krajów cywilizowanych. I w obu odczucia nowych protagonistów, gdy

idzie o politykę, są w zasadzie takie same. Porównajmy, co następuje:

Lud z Conajohary rozproszył się po Westermarcku – Schohirze, Conawadze czy Oriskawny – lecz wielu z nich pojechało na południe i osiadło w pobliżu Fortu Thandara (...). Tam przyłączyli się później do innych osadników, dla których starsze prowincje były zbyt gęsto zaludnione, i wkrótce zrodził się okręg znany jako Wolna Prowincja Thandary, ponieważ nie była ona jak inne prowincje, królewskim nadaniem dla wielkich panów ze wschodu od marchii i przez nich zasiedlonym, lecz wycięta z dziczy przez samych pionierów bez pomocy aquilońskich nobilów. Nie płaciliśmy podatków żadnym baronom. Nasz gubernator nie był wyznaczany przez żadnego z panów, lecz wybieraliśmy go sami z naszego ludu, i odpowiadał jedynie przed królem. Sami pobudowaliśmy i obsadziliśmy swoje forty i utrzymywaliśmy się w trakcie wojny, tak jak i pokoju. A Mitra wie, że wojna była normalnym stanem rzeczy, gdyż nigdy nie było pokoju między nami a naszymi dzikimi sąsiadami – okrutnymi plemionami Piktów: Pantery, Aligatora czy Wydry. (*Wilki za granicami*)

My z Wysp jesteśmy jednej krwi, lecz z wielu plemion i każde z nich posiada zwyczaje i tradycje specyficzne wyłącznie dla niego samego. Wszyscy uznajemy Niala z Tatheli za jedynego króla, lecz on sprawuje luźną władzę. Nie wtrąca się w sprawy pomiędzy nami samymi, nie ściąga danin czy podatków... Nie pobiera opłat od mego plemienia, Bomi, ani od żadnego innego. Nie wtrąca się nawet, gdy dwa plemiona idą na wojnę – chyba że jakieś uderzy na takie, które płaci trybut... Kiedy Lemurianie albo Celtowie czy inna obca nacja albo banda grabieżców stanie przeciw nam, posyła on do wszystkich plemion, by odłożyły na bok swe swary i walczyły bok w bok, co jest rzeczą dobrą. Gdyby zechciał, mógłby zostać suwerennym tyranem, ale wie, że chociaż byłby w stanie ze swymi plemionami i ich sprzymierzeńcami zmiażdżyć pozostałe plemiona, nigdy już nie nastalby pokój... (z nieposiadającego tytułu fragmentu o Kullu).

Jest w tym coś więcej niż niezamierzone podobieństwo. W obu przypadkach konkretny polityczny zamęt można odczytać jako odzwierciedlenie podobnego zamętu, w psychice Howarda, w połączeniu z sytuacją społeczną jego występujących regularnie protagonistów: Kulla, króla Valusii, oraz Conana, już wkrótce króla Aquilonii. W obu przypadkach Piktowie – jak dotąd wspomniani jedynie w serii o Conanie (w *Feniksie na mieczu*) – pojawiają się jako niezbędny katalizator zmian: Brule jest Piktem, a zagrożenie, jakie stanowią dla aquilońskiego osadnictwa, staje się zapalnikiem zdarzeń w *Wilkach za granicami*. Piktowie – dzikusy obecne zawsze w uniwersum Howarda – zmuszają Howardowych bohaterów do wyjawienia swej prawdziwej natury.

Tak jak w przypadku fragmentu o Kullu, Teksańczyk nie ukończył *Wilków za granicami*. Pierwsza wersja ograniczona została w części do opowiadania, a w części do szkicu, podczas gdy drugą zwyczajnie zarzucił. Opowieść ta była prawdopodobnie jednocześnie zbyt podobna do twórczości Chambersa i zanadto potrzebną wprawką, nim Howard zdołał w pełni ogarnąć nowe stadium ewolucji swego bohatera.

Powiedzenie, iż *Za Rzeką Czarną* zrodziło się z popiołów po *Wilkach za granicami*, byłoby stwierdzeniem oczywistego faktu. Jednak tym razem Howard pozbył się prawie całkowicie wpływów Chambersa. W fabule *Za Rzeką Czarną* nie ma składników, które można by odnaleźć u Chambersa, a tylko kilka nazw ukazuje nadal początkowe związki (dla przykładu, Conajohara została przeniesiona z *Wilków*, a Balthus wywodzi się od Baltusa z *The Little Red Foot*). *Za Rzeką Czarną* to czysty Howard.

Opowieść ta była Teksańczykowi szczególnie droga. Pisząc do

Augusta Derletha, stwierdzał, że „chciał zobaczyć, czy zdoła napisać ciekawą historię o Conanie bez pobudzania zainteresowania seksem”. Nieco mniej dobitny był z Lovecraftem, pisząc, iż jego ostatnią sprzedaż do „Weird Tales” stanowił „dwuczęściowy serial o Conanie: *Za Rzeką Czarną* – opowieść z pogranicza... W tym opowiadaniu o Conanie spróbowałem całkowicie nowego stylu i lokalizacji – porzuciłem egzotyczną oprawę zaginionych miast, podupadających cywilizacji, złotych kopuł, marmurowych pałaców, tańczących dziewczyn odzianych w jedwabie itd. i rzuciłem swoją historię na tło puszczy oraz rzek, chałup z bali, granicznych posterunków, odzianych w jelenią skórę osadników oraz wymalowanych tubylców”.

To przed Novalyne Price Howard w pełni obnażył swe uczucia względem tego tekstu:

Bob zaczął mówić. Nie ganił on jednak cywilizacji, zamiast tego wychwalał proste rzeczy, jakie cywilizacja miała proponować: wystawanie na rogach ulic, rozmowy z przyjaciółmi; spacer z ciepłym słońcem na plecach, z wiernym psem u boku; wyszukiwanie kaktusów ze swoją dziewczyną.

[...]

„– Parę miesięcy temu sprzedałem historię o tym Wtorightowi. – Odwrócił się i spojrzał na mnie, w oczach miał niepokój. – Jestem cholernie zaskoczony, że ją wzięła. Jest odmienna od moich pozostałych historii o Conanie... Żadnego seksu... Tylko mężczyźni wraz z ogarniającym ich zdziczeniem i bestialstwem. Chcę, żebyś przeczytała ją, kiedy wyjdzie. Wypełniona jest małymi rzeczami zrodzonymi z cywilizacji; małymi rzeczami, które sprawiają, że ludzie uznają cywilizację za wartą życia i śmierci dla niej”.

[...]

Był nim podekscytowany, ponieważ dotyczyło jego regionu i je sprzedał! Pałał pragnieniem pisania o swej krainie, nie zwyczajnych opowieści

cowbojskich czy strzelanek rodem z Dzikiego Zachodu, chociaż Bóg wie, że ta okolica żyje takimi historiami, czekającymi na spisanie. W sercu jednak chciał powiedzieć coś ponad to. Chciał opowiadać proste historie o swym regionie i trudach, jakie znosili osadnicy, zmagający się z przerażającym, półbarbarzyńskim ludem – Indianami, którzy próbowali trzymać się dalej swego sposobu życia oraz krain, które kochali. (...) Tylko powieść ukazującą strach osadników, kiedy wykuwali nowe życie, i strach Indian, kiedy próbowali utrzymać tracone tereny; ech, dziewczyno, o wszystkim co dałoby najlepszą cholerną powieść, jaką kiedykolwiek napisano o pograniczu na południowym zachodzie.

[...]

„Spróbowałem z tą historią, żeby zobaczyć, co Wtoright z nią zrobi. Obawiałem się, że jej nie weźmie, ale wziął! Na Boga, on ją wziął!”.

Za Rzeką Czarną uważane jest przez wielu badaczy Howarda za jego najlepszy tekst, obejmujący skondensowane sedno jego filozofii: „Barbarzyństwo jest naturalnym stanem gatunku ludzkiego [...]. Cywilizacja jest czymś nienaturalnym. To kaprys okoliczności. I barbarzyństwo musi zawsze ostatecznie zwyciężyć”.

Rzeczywiście, wszystkie postaci w tej opowieści, które nie są barbarzyńcami, spotyka zagłada: kupiec Tiberias, ukazany jako typowy przedstawiciel cywilizowanej dekadencji, jest oczywiście pierwszym przykładem, sportretowanym z wyraźną wzdrganiem jako człowiek niechętny bądź niezdolny dostosować swój cywilizowany sposób bycia do życia na Pograniczu. Ale nawet ludzie lasu, zrodzeni w cywilizacji, lecz pędzący żywot na pograniczu, nie mogą mieć nadziei na zwycięstwo: „Byli synami cywilizacji, którzy na powrót stali się na wpół barbarzyńcami. [Conan] był barbarzyńcą z barbarzyńców od tysiąca pokoleń. Tamci zdolność bycia niewidzialnym oraz zręczność swą nabyli, on się z tymi umiejętnościami urodził. Przewyższał ich nawet w kwestii

zwinnych oszczędnych ruchów. Oni byli wilkami, on zaś tygrysem". Pogranicznicy, Balthus i Valannus, przez to zginęli, a geniusz Howarda nie pozwolił na złożenie tej historii w ofierze dla zwyczajowej konwencji gatunku.

Wiele napisano o ścisłym sensie ostatniego akapitu tego opowiadania. Wielu błędnie przypisało to oświadczenie Conanowi, jak gdyby były to jego zapatrywania, lecz to nie Conan, ale nieznan z imienia leśnik jest tym, który wypowiada te słowa. To, że barbarzyńcy zawsze ostatecznie zwyciężają, jest zwyczajnie podsumowaniem tego, co zaszło wcześniej: tylko Conan i Piktowie przetrwali tę ciężką próbę, ponieważ przetrwanie stanowi ich naturę. To, że Conan miał faktycznie więcej wspólnego z Piktami, z którymi walczył, niż z Aquilończykami, Howard uczynił w tym tekście jasnym już wcześniej:

Jednak któregoś dnia powstanie jakiś człowiek i zjednoczy trzydzieści lub czterdzieści klanów [Piktów], tak jak stało się między Cimmeryjczykami, kiedy lata temu Gundermani próbowali przesunąć granicę ku północy. Usiłowali skolonizować południowe marchie Cimmerii; zniszczyli kilka małych klanów, zbudowali miasto-fort Venarium... Słyszałeś tę opowieść.

– Ano słyszałem, rzeczywiście – odrzekł Balthus, krzywiąc się. (...) – Mój wuj był w Venarium, kiedy Cimmeryjczycy przewalili się przez mury. (...) Barbarzyńcy spłynęli ze wzgórz wygłodniałą hordą bez ostrzeżenia i uderzyli na Venarium z taką furją, że nikt nie mógł dotrzymać im pola. Mężczyźni, kobiety i dzieci zostali wyrżnięci. Venarium obrócili w kupę zwęglonych ruin, jak zostało po dziś dzień. Aquilończycy zostali wyparci poza marchie i od tego czasu nigdy nie próbowali kolonizować kraju Cimmeryjczyków. Ale mówisz o Venarium jak ktoś obeznany. Może tam byłeś?

– Byłem – burknął tamten. – Byłem jednym z hordy, która przewaliła się przez mury. (...)

[...]

– Więc ty także jesteś barbarzyńcą? – wykrzyknął mimowolnie.

Tamten potaknął, nie biorąc tego do siebie.

– Jestem Conan Cimmeryjczyk.

Sensem tego passusu nie jest tylko podanie kilku dodatkowych informacji biograficznych o Cimmeryjczyku, lecz raczej sprecyzowanie związków pomiędzy Conanem a Piktami. Jest on barbarzyńcą „równie srogim jak Piktowie i dużo bardziej inteligentnym” i dlatego przetrwa. Nacisk na pierwotną naturę Cimmeryjczyka, dużo większy niż w jakiegokolwiek wcześniejszej opowieści o nim, miał najprawdopodobniej doprowadzić do wyłonienia się Balthusa jako postaci, do której czytelnik – oraz sam Howard – potrafił się odnieść. Krytyk George Scithers zauważył kiedyś, że Howard niewątpliwie przeniósł do tego opowiadania samego siebie oraz swego psa Patchesa pod przebraniem Balthusa i Slasherera. Sam, jako człowiek cywilizowany, nie mógł żywić większej nadziei na uchronienie się w epoce hyboryjskiej niż jego cywilizowani bohaterowie.

Sprawą naprawdę rzadką w pulp fiction jest opowieść podsumowana tak przygnębiającym zakończeniem, w którym większość postaci ginie, a cała sytuacja prezentuje się gorzej na koniec niż na początku historii. Howard spróbował raczej przekazać pewne posłanie, aniżeli zwyczajnie dodać kolejną pozycję do bibliografii o Conanie.

Za Rzeką Czarną zostało kupione przez Farnswortha Wtorighta na początku października 1934 roku. Publikowane było w odcinkach w wydaniach „Weird Tales” z maja i czerwca 1935, lecz bez wyróżnienia na okładce. Albo Wtoright chciał dodać swym

okładkom nieco różnorodności (*Sług Bit-Yakina* także nie obdarował przywilejem pojawienia się na okładce), albo przeszkodził mu w tym brak półnagiej heroiny. Jednakże okładka wydania z maja 1935 roku nie przedstawiała rozebranej kobiety, zatem kwestia ta musi pozostać bez odpowiedzi.

Przez dwa miesiące, październik i listopad 1934 roku, Howard był widocznie zbyt zajęty romansem z Novalyne Price, by poświęcać czas na pisanie nowych opowieści o Conanie. Jednak mniej więcej w czasie, gdy *Za Rzeką Czarną* zostało przyjęte, otrzymał złe nowiny z Anglii: „Właśnie dostałem list informujący mnie, że angielska firma, która przyobiecowała wydać moją książkę [powieść *Godzina Smoka*], przeszła w ręce syndyka. Ot, moje szczęście. Historia znajduje się w rękach firmy, która wykupiła aktywa, ale nie mam od nich żadnych wieści”. Powieść została jednak wkrótce zwrócona. Z wysokim prawdopodobieństwem Howard ją delikatnie poprawił, wysłał do „Weird Tales” i niebawem otrzymał wiadomość, że została przyjęta, prawdopodobnie na początku stycznia 1935 roku. Wtoright był widać usatysfakcjonowany tym, że Howard powrócił do mniej eksperymentalnych opowieści: „Wtoright mówi, że to jak dotąd moja najlepsza historia o Conanie”.

W grudniu, kiedy informował Lovecrafta o sprzedaży *Za Rzeką Czarną* i komentował jej niezwykłą atmosferę, dodał: „Pewnego dnia zamierzam spróbować swej ręki w dłuższej historii w tym samym stylu, serialu z czterech czy pięciu części”.

Wygląda, że nie czekał bardzo długo, nim taki serial napisze. *Czarny przybysz* jest jednym z tych jego utworów, w przypadku których nie mamy żadnych informacji odnośnie do procesu

tworzenia, jednak czas spisania oszacować można na okolice stycznia i/lub lutego 1935 roku. A to dzięki częściom wersji innych opowiadań odnalezionych na odwrocie stron kilku wersji tego utworu. Na odwrocie *Czarnego przybysza* znaleziono kilka stron utworów napisanych w grudniu 1934 i na początku 1935 roku. Całkiem dorzeczne wydaje się przypuszczenie, że Howard rozpoczął pracę nad tym serialem po przeróbkach i przyjęciu *Godziny Smoka*.

Czarny przybysz był wyraźnie pomyślany jako swego rodzaju kontynuacja *Za Rzeką Czarną*, ukazująca raz jeszcze Conana przeciwstawiającego się Piktom. I raz jeszcze była to opowieść eksperymentalna, jako że Cimmeryjczyk nie pojawia się aż do połowy tego utworu o długości nowelki. (Jest oczywiście ukazany w pierwszym rozdziale, lecz jego tożsamość nie zostaje czytelnikowi ujawniona).

Czarny przybysz nigdy nie doczekał się należytej uwagi krytyków, zasadniczo dlatego, że nie został opublikowany w oryginalnej postaci aż do 1987 roku, kiedy to Karl Edward Wagner włączył go do antologii. We wszystkich wcześniejszych wydaniach utwór był bezlitośnie szlachtowany. Opowieść ta jest z wierzchu zupełnie prosta, łączy elementy pirackich przygód oraz indiańskich wojen, lecz zdecydowanie nie powinno odprawiać się jej tak lekceważąco, jak to niekiedy czyniono. *Czarny przybysz* staje się opowieścią nadzwyczaj złożoną, kiedy tylko zrozumie się, iż jest przepiękny – świadomie bądź nieświadomie – elementami autobiograficznymi, dużo bardziej niż jakikolwiek utwór Howarda napisany do tego czasu.

Historia ta osadzona została na wybrzeżu będącym w epoce

hyboryjskiej odpowiednikiem Stanów Zjednoczonych, w czasie, który z grubsza przystawałby do naszego siedemnastego wieku. Jest to opowieść o wczesnych osadnikach – pewnego typu – na kontynencie, który wciąż pozostaje w dużej mierze zdominowany przez dzikie plemiona – odpowiednik z epoki hyboryjskiej dla rdzennych Amerykanów. W wyróżniającej się roli występuje dziecko, zjawisko rzadkie w opowieściach Howarda. Tina jest dla czytelnika zupełną zagadką, ukazaną jako „żałosna sierota (...) odebrana jej brutalnemu panu, napotkanemu podczas długiej podróży z południowego wybrzeża”. O ile w twórczości Howarda dzieci pojawia się niewiele, o tyle wszystkie łączy nieszczęśliwa młodość; wszystkie są sierotami albo opuszczone przez rodziców, a Tina nie jest wyjątkiem. W tym jednak wypadku Belesa, jak się zdaje, zaadoptowała dziewczynkę. Zagadkowy Czarny Człowiek ukrywa się w puszczy wokół ostrokołu osadników.

„– Czyś ty jest Czarny Człowiek, który nawiedza puszcę wokół nas?” – pyta bohaterka *The Scarlet Letter* Nathaniela Hawthorne’a swego męża, Rogera Chillingwortha. Powieść Hawthorne’a, opublikowana w 1850 roku, prezentuje miejscami zadziwiającą zbieżność z historią Howarda. Obie skupione są wokół kobiety i jej dziecka (prawdziwego lub adoptowanego), zmuszonych do życia w nieprzyjaznym otoczeniu; ofiar upokorzeń ze strony mężczyzn. Ramy czasowe oraz lokalizacja są zadziwiająco podobne, a Pearl, młoda heroina z powieści Hawthorne’a, jest dzieckiem równie niezwykłym i niesamowitym jak Tina. W obu utworach dziecko zostaje wystraszone przez zagadkowego Czarnego Człowieka, przewijającego się prawie zawsze jedynie w tle. Istnieje zbyt wiele podobieństw, aby uznać je po prostu za przypadkowe. Hawthorne

nie znalazł reprezentacji w bibliotece Howarda i nigdy nie został wspomniany w żadnym z zachowanych dokumentów. Jednak to, że Howard czytał wcześniej Hawthorne'a, być może jako lekturę szkolną, wydaje się bardziej niż prawdopodobne: *The Scarlet Letter* zdaje się dostarczać wielu elementów tła dla *Czarnego przybysza*, nawet jeśli rozgrywające się w nich wydarzenia nie mają ze sobą nic wspólnego.

Wszystko to zachęca do odmiennego odczytania tej opowieści, gdzie Tinę można postrzegać jako szczególnie wrażliwą na obecność Czarnego Człowieka. Czytelnicy zaznajomieni z biografią Howarda będą nawet bardziej zaskoczeni, gdyż w powieści Hawthorne'a matka Pearl ma na imię Hester, a ojciec, którego dziewczynka nie zna, odpowiadający Czarnemu Człowiekowi Tiny, jest niebieskookim medykiem Rogerem Chillingworthem. Matka Howarda miała na imię Hester i wyszła za niebieskookiego medyka.

Czarnego przybysza najwyraźniej nie udało się sprzedać do „Weird Tales”, chociaż nie przetrwał żaden zapis w tej sprawie. Wtoright był może zirytowany eksperymentalnymi przymiarkami Howarda i prawdopodobnie, około lutego czy marca 1935 roku, po raz pierwszy od wielu miesięcy odrzucił opowieść o Conanie. Teksańczyk zdecydował się ratować, co się da, i przepisał tę historię na nowo. Wymyślił nową postać – Terence'a Vulmeę, irlandzkiego pirata, który zastąpił Conana; pozbył się hyboryjskich odniesień i tę nową historię, przechrzczoną na *Swords of the Red Brotherhood*, przedłożył swemu agentowi Otisowi Adelbertowi Kline'owi pod koniec maja 1935 roku. Nowa wersja krążyła przez kilka lat i została sprzedana w 1938 roku, jednak czasopismo, które miało ją

opublikować, padło, stąd wersja ta nie ukazała się drukiem aż do 1976 roku.

Kolejna opowieść o Conanie daleka będzie od eksperymentu. *Ludożercy z Zambouli* napisani zostali około marca 1935 roku, sądząc z tekstów znalezionych na odwrocie kart z poszczególnymi wersjami. To rutynowa historia o Conanie, o jakości podobnej do tych, które Howard zmuszony był pisać, kiedy znalazł się w skrajnej potrzebie finansowej. Otoczona takimi arcydziełami, jak *Za Rzeką Czarną*, *Czarny przybysz* czy przyszłe *Czerwone ćwieki*, w porównaniu z nimi wypada bardziej niż blado. Wydaje się, że Teksańczyk zapożyczył oprawę z rozmaitych bliskowschodnich przygód, jakie pisał w tym samym czasie (z postaciami Kirby'ego O'Donnella oraz Francisa Xaviera Gordona w rolach głównych), podczas gdy niektóre z wprowadzających wątków zapożyczył z niesprzedanego opowiadania detektywistycznego *Guests of the Hoodoo Room*, które, co bardzo prawdopodobne, wyprzedziło tekst o Conanie o kilka miesięcy. W *Guests* także występują kanibale porywający biednych nieszczęśników poprzez spreparowany pokój hotelowy. Fabuła jest raczej mało przekonująca, ale Howard wiedział prawdopodobnie, że to nie powstrzyma Wtorighta przed przyjęciem utworu. Scena, w której Zabibi/Nafertari tańczy nago między wężami, zdaje się napisana z myślą tylko o jednym celu: zdobyciu miejsca na okładce. Okładkowa ilustracja Brundage do tego tekstu jest doprawdy nadzwyczajna. Do tego, że nie przedstawia Cimmeryjczyka, stopniowo Howard się przyzwyczajał: z dziewięciu okładek „Weird Tales” ilustrujących teksty o Conanie Cimmeryjczyk został sportretowany jedynie na trzech.

22 grudnia 1934 roku Howard ofiarował Novalyne Price

najbardziej zaskakujący prezent bożonarodzeniowy: spodziewając się książki historycznej, obdarowana została egzemplarzem *Dzieł zebranych* Pierre'a Louÿsa:

– Historia? – zapytałam zdezorientowana.

Poruszył się na krześle i wyszczerzył zęby.

– No... Taaa. To pewnego typu historia.

[...]

Wówczas Bob powiedział, że książka ta opisuje bardzo żywo naszą „gnijącą cywilizację”.

[...]

Po wyjściu Boba usiadłam, odwinęłam książkę i zaczęłam oglądać ją bardzo ostrożnie. Ponownie przeczytałam motto: „Francuzi mają jeden dar – zdolność sprowadzania rozkładu oraz robala korupcji do ptasiego trelu poezji – jak ukazano to w niniejszym woluminie”.

Jakiś czas później Novalyne zapytała Howarda o ten szczególny prezent:

– Bob, dlaczego dałeś mi tę książkę Pierre'a Louÿsa?

Odwrócił się gwałtownie i spojrzał na mnie.

– Nie podoba ci się?

– W moim odczuciu jest nieco za mocna – powiedziałam obronnym tonem. – Nie przeczytałam za wiele.

– Przeczytaj. (...) Wiedziesz bezpieczne życie. Nie wiesz, co dzieje się w świecie.

To mnie podrażniło.

– Nie dbam o wiedzę o takich sprawach – rzekłam żarliwie. – Zdaje mi się, że wiedza o nich nie czyni świata lepszym; tylko z ciebie czyni milkliwego towarzysza.

– To ty jesteś milkliwą towarzyszką, czy ci się to podoba czy nie – rzekł namiętnie. – Widzisz, dziewczyno, kiedy jakaś cywilizacja zaczyna podupadać i ginie, jedyną rzeczą, o jakiej myślą mężczyźni czy kobiety, jest zaspokojenie cielesnych żądz. Zostają pochłonięci seksem. On nadaje ton

ich myśleniu, prawom, religii – każdemu aspektowi ich życia.

[...]

– To właśnie próbuję ci powiedzieć, dziewczyno. Mężczyźni rezygnują z czytania literatury, ponieważ chcą tylko historii o seksualnych podbojach mężczyzn (...). Kilka lat temu ciężko było sprzedać historię (...) o seksie. Teraz będę musiał popracować, żeby dogonić rynek. (...) Niech to piekło pochłonie! Dziewczyno, seks stanie się wszystkim, co będzie się oglądać i słuchać. To tak jak wtedy, gdy upadł Rzym.

[...]

– Dziewczyno, właśnie pracuję nad historią taką jak ta – historią o Conanie. Posłuchaj mnie. Kiedy weźmiesz ginącą cywilizację, normalny, akceptowany tryb życia nie jest już dość mocny, żeby zaspokoić cholernie nienasycone apetyty kurtyzan, a ostatecznie wszystkich ludzi. Żeby zaspokoić swe żądze, zwracają się ku lesbijstwu i rzeczom temu podobnym. (...) Zamierzam nazwać ją *The Red Flame of Passion*.

The Red Flame of Passion była wyraźnie opowieścią, która miała stać się *Czerwonymi ćwiekami*, ale Howard nie był jeszcze gotów przelać swego pomysłu na papier. Kilka miesięcy później, pod koniec kwietnia lub maja 1935 roku, przeprowadził z Novalyne następną rozmowę na ten temat:

Bob sam z siebie zadeklarował, że nie skończył jeszcze z pisaniem o Conanie. Było mi żal z tego powodu, gdyż na podstawie przejranych fragmentów nie cenię Conana za bardzo.

Bob powiedział, że ma pomysł na historię o Conanie, który musi się skonkretyzować. Nie doszedł jeszcze do punktu, w którym będzie gotów ją zapisać. Wszystko, co dotąd zrobił, to spisanie kilku notatek odłożonych na bok, by zaległy w jego podświadomości, dopóki całość nie zostanie ukończona.

– O czym ona jest? – zapytałam.

– Sądzę, że tym razem stworzę jedną z historii najbardziej seksownych i ociekających krwią, jakie kiedykolwiek napisałem. Nie przypuszczam, by zdobyła twoje uznanie.

– Nie, jeśli będzie krwawa. – Popatrzyłam na niego trochę zdziwiona. – Co masz na myśli, mówiąc „seksowna historia”?

– Mój Boże! Moje historie o Conanie pełne są seksu.

[...]

Nie widziałam, żeby w historiach o Conanie, które Bob przyniósł mi do przeczytania, był jakiś seks. Krew, tak. Seks, nie.

– W historiach o Conanie jest seks? – zapytałam, nie dowierzając.

– Do diabła, tak! To, co on robi – pije, kurwi się, walczy. Co więcej jest w życiu?

Jednakże *Czerwone ćwieki* nadal nie zostały spisane przez następne kilka tygodni.

Jednym z powodów była niepewna sytuacja finansowa „Weird Tales”. 6 maja 1935 roku Howard napisał do Farnswortha Wtorighta: „Nie lubię pisać listów takich jak ten, ale zmusza mnie skrajna konieczność. Jest nią, w skrócie, pilna, usilna prośba o pieniądze... Jak pan wie, minęło sześć miesięcy, odkąd *Ludzie Czarnego Kręgu* (opowiadanie, za które rachunek jest mi obecnie należny) pojawili się w »Weird Tales«. »Weird Tales« zalega mi ponad osiemset dolarów za teksty już opublikowane i przeznaczone do publikacji – dość, by spłacić moje długi i postawić z powrotem na nogi, gdybym mógł otrzymać je niezwłocznie. Być może jest to niemożliwe. Nie chcę być nedorzeczny; wiem, że czasy są ciężkie dla wszystkich. Nie wierzę jednak, że będę nedorzeczny, prosząc pana, by regulował należności co miesiąc, dopóki rachunki się nie wyrównają. Szczerze mówiąc, w tempie, które mamy teraz, nim zostanę spłacony, będę starcem! A moja potrzeba pieniędzy jest pilna”. Potrzeba pieniędzy stała się realna, kiedy zdrowie jego matki zaczęło się pogarszać w alarmującym tempie, a wydatki na opiekę nad nią gwałtownie rosły.

Jeszcze jednego poważnego zajścia w życiu Howarda trzeba było, aby skonkretyzować tę historię: wczesnym latem Novalyne Price zaczęła umawiać się z jednym z najlepszych przyjaciół pisarza, Truettem Vinsonem, nie mówiąc mu o tym. Odkrył to kilka tygodni później, akurat wtedy miał zrobić z Truettem krótki wypad do Nowego Meksyku. Nie było ich tydzień i tylko możemy sobie wyobrazić samopoczucie Howarda w trakcie tych paru dni.

Kulminacją tej podróży była wizyta w Lincoln, miejscu słynnej „Krwawej Wojny w Hrabstwie Lincoln”^[4]. To podczas tej wizyty Howard odnalazł ostatnie elementy, jakich potrzebował do napisania *Czerwonych ćwieków*, gdyż wszystkie te pseudoazteckie nazwy i imiona – Xuchotl i jego mieszkańców – miały swe korzenie nie nad jeziorem Zuad, lecz w małym miasteczku w Nowym Meksyku. Poniższy passus z listu Howarda do Lovecrafta datowanego na 23 lipca 1935 roku jest nieco przydługim, lecz nieodzownym dla zrozumienia tego, co Howard próbował w *Czerwonych ćwiekach* zrobić.

[Vinson i ja] przybyliśmy do dawnej wioski Lincoln, śpiącej pośród posepnych gór niczym duch ze splamionej krwią przeszłości. O Lincoln Walter Noble Burns, autor *The Saga of Billy the Kid*, powiedział: „Wioska poszła spać wraz z zakończeniem wojny w hrabstwie Lincoln i nigdy nie przebudziła się na nowo. Jeśli linia kolejowa nie przybędzie, by połączyć ją z odległym światem, może tak śnić dalej przez tysiąc lat. Obecnie Lincoln wyda się dokładnie takie, jakie było, gdy znali je Murphy, McSween i Billy the Kid. Ta wioska to anachronizm, swego rodzaju miasteczko-mumia”.

Nie umiem podsunąć lepszego opisu. Miasteczko-mumia. Nigdzie dotąd nie stanąłem twarzą w twarz z przeszłością tak żywą; nigdzie przeszłość nie była tak rzeczywista, tak rozumiała. Było to jak wyjście poza własną epokę, trafienie na odłamek epoki starszej, który przetrwał jakoś. (...) Lincoln to miejsce nawiedzone; to martwe miasto; dotąd żyje życiem, które

umarło pięćdziesiąt lat temu. (...) Potomkowie dawnych wrogów żyją w pokoju w tej małej wiosce jeden przy drugim; jednakże złapałem się na rozmyślanii, czy stara waśń umarła naprawdę, czy też żar tli się tylko i mógłby wybuchnąć płomieniem przy nieostrożnym tchnieniu.

[...]

Nigdy i nigdzie nie miałem tak sprecyzowanych wrażeń, jak te, które wzbudziło we mnie Lincoln – w rodzaju przemożnej grozy. Jeżeli na tej półkuli istnieje miejsce nawiedzone, to Lincoln jest nawiedzone. Czułem, że jeśli prześpię tam noc, duchy zabitych będą kroczyć wśród moich snów. Samo miasteczko zdaje się jakby zbielała, szczerząc się czaszką. Miałem odczucie, że w ziemi pod stopami leżą szkielety. I, jak rozumiem, nie jest to wybryk wyobraźni. Od czasu do czasu ktoś wyrze tutaj ludzką czaszkę. Tak wielu ludzi zginęło w Lincoln.

[...]

Lincoln to nawiedzone miasteczko, jednak nie tylko fakt, że wiem, iż umarło tu tylu ludzi, czyni je dla mnie nawiedzonym. Odwiedziłem wiele miejsc, gdzie śmierć zadawano hurtem. (...) Ale żadne z tych miejsc nie poraziło mnie nigdy tak, jak uczyniło to Lincoln. Moje odczucia z nich płynące nie były zabarwione tak wyraźną grozą jak w Lincoln. Myślę, że wiem czemu. Burns w swej wspaniałej książce, która opowiada o waśni, całkowicie pominął jeden dominujący element, a jest nim geograficzny, czy też może powinienem powiedzieć: topograficzny wpływ na mieszkańców. Uważam, że geografia jest powodem niezwykle dzikiego i krwiożerczego sposobu, w jaki tę waśń wygaszono, walcząc do samego końca; dzikość, która wywiera wrażenie na każdym, kto kiedykolwiek dokonał sensownych badań nad waśnią, oraz stojąca za nią psychologia. Dolina, w której leży Lincoln, odizolowana jest od reszty świata. Rozległe połacie pustyni i gór oddzielają ją od reszty ludzkości – pustyni zbyt jałowych, by podtrzymać ludzkie życie. Ludzie z Lincoln utracili kontakt ze światem. Odcięci, tak jak oni, swym własnym sprawom, swym wzajemnym stosunkom nadali wagę i znaczenie ponad miarę ich prawdziwej istoty. Ściśnięte w nadmiernym pośpiechu, zazdrość i urazy drażyły i narastały, żywiąc się sobą nawzajem, aż osiągnęły potworne rozmiary i kulminację w krwawych okropnościach, które w owych dniach wstrząsnęły nawet

twardym Zachodem. Wyobraź sobie wąską dolinę ukrytą przed światem między surowymi wzgórzami, odizolowaną od świata, którą mieszkańcy zamieszkują w sposób nieunikniony jeden przy drugim, nienawidzą i są nienawidzeni, i w końcu zabijają i są zabijani. W tak niedostępnych, odseparowanych miejscach ludzkie namiętności zaczynają się tlić i płoną, żywiąc się bodźcami, które je zrodziły, aż osiągną pułap, który trudno wyobrazić sobie zamieszkującym w miejscach bardziej fortunnych. Ze zgrozą, co szczerze wyznaję, wyobraziłem sobie rządy terroru, jaki nawiedził tę nasiąkniętą krwią dolinę; dzień i noc trwało napięte wyczekiwanie, wyczekiwanie, aż nagły grzmot broni przerwie na chwilę to napięcie, a ludzie pomrą jak muchy, a potem nastanie cisza i napięcie znów zacznie rosnąć. Nikt, kto cenił swe życie, nie odważył się przemówić; kiedy nocą rozbrzmiały strzały, a ludzka istota krzyczała w agonii, nikt nie ośmielił się otworzyć drzwi i zobaczyć, kto zginął. Wyobraziłem sobie ludzi schwytych razem jak szczury, walczących w panicznym strachu i udręce, przy rozlewie krwi; chodzących za dnia wokół swych prac z zamkniętymi ustami i odwróconym wzrokiem, oczekujących lada chwila kuli w plecy, a nocą leżących i dygoczących za zamkniętymi drzwiami, drżących w oczekiwaniu na ukradkowe stąpanie, dłoń na ryglu, nagłą porcją ołowiu przez okno. Waśnie w Teksasie wygaszano zwykle, walcząc na otwartej przestrzeni, na szerokich połaciach tej krainy. Jednak charakter Bonito Valley zdeterminował charakter tamtej waśni – wąski, skoncentrowany, straszliwy. Słyszałem o ludziach popadających w obłęd w odseparowanych miejscach; wierzę, iż Wojna w Hrabstwie Lincoln zaprawiona była szaleństwem.

Po powrocie do Cross Plains, pod koniec czerwca 1935 roku, Howard zasiadł w końcu do spisania historii, która kiełkowała w jego głowie przez tyle miesięcy. O ile Krwawa Wojna w Hrabstwie Lincoln, jego umiejętność operowania seksem w utworach o Conanie, szczególnie napięta sytuacja pomiędzy Novalyne, Vinsonem a nim samym oraz szybko pogarszające się zdrowie matki dostarczyły bezpośredniego tła do nowego tekstu o Conanie,

o tyle kształt tej opowieści nadało także kilka starszych pierwowzorów.

Ponad dwa lata wcześniej ukończył on opowiadanie *Xuthal ze zmroku*, które słusznie uznawane jest za prekursora *Czerwonych ćwieków*. Przybycie Conana i kobiety do miasta odciętego od reszty hyboryjskiego świata, w którym muszą stawić czoło złej kobiecie oraz dekadentkim mieszkańcom, stanowi szkielet bazowy wspólny dla obu utworów. *Xuthal ze zmroku* jest raczej poślednią opowieścią o Conanie, prawdopodobnie dlatego, że Howard nie był jeszcze pisarzem dość wyrobionym, by poddać je właściwej obróbce, na jaką, co czuł, zasługiwało. Bohaterka była nijaka, a historia jawnie nastawiona na zysk. Jakkolwiek Howard zaznaczał Clarkowi Ashtonowi Smithowi, że „nie jest ono oparte wyłącznie na machaniu mieczem, jak mogłaby sugerować zapowiedź”.

Pomiędzy dokumentami Teksańczyka odnaleziono także szkic historii detektywistycznej o Stevie Harrisonie, która żywi silne podobieństwa do tej opowieści o Conanie. Szkic jest niedatowany, ale prawdopodobnie został spisany tylko kilka miesięcy przed tekstem o Conanie: „Pewna dawna waśń istniała pomiędzy Wiltshawami a Richardsonami, których obecne grupy tworzyli ostatni z rodów. Inna rodzina, Barwellów, była wmieszana w tę waśń, aż udręczona zarówno przez Richardsonów, jak i Wiltshawów ostatnia z rodu, posepna, chuda kobieta zniknęła wraz ze swym nowo narodzonym synem, poprzysięgając zemstę obu klanom. (...) Ostatecznie [Harrison] odkrył, że doktor Ellis to naprawdę Joe Barwell, który powrócił i dziesięć lat mieszkał w mieście, aby dopełnić swej zemsty”.

Howard nie miał problemów ze spojeniem dwojga Barwellów ze

szkicu o Harrisonie w Tolkemeca. Kolejna postać ze szkicu o Harrisonie, Esau, „wysoki, tyczkowaty mężczyzna o wielkiej, strasznej sile (...) neurotyk, naprawdę silny jak byk”, stanowił prawdopodobnie inspirację dla Olmeca, „olbrzyma o potężnie sklepionej piersi i ramionach byka”, wraz z biblijnym skojarzeniem imienia Esau^[5] wzmocnionym dodatkowo przyłączeniem do słowa „owłosiony” imienia Olmec.

Czerwone ćwieki są utworem blisko związanym z *Za Rzeką Czarną*. Ten drugi spisany został jako szczytowa opowieść Howarda w kwestii „barbarzyństwo kontra cywilizacja”, podsumowana wnioskiem, iż „barbarzyństwo musi zawsze ostatecznie zwyciężyć”. Stwierdza również, że „cywilizacja jest czymś nienaturalnym”. *Czerwone ćwieki* zaś to historia, w której pisarz rozszerza ten temat. We wszystkich tekstach, jakie napisał na ten temat, dekadencja i schyłkowa faza jego cywilizacji, królestw, państw czy miast nigdy nie doszła do całkowitego końca; podzielone już i w ten sposób osłabłe ludy cywilizowane ścierane były systematycznie przez hordy barbarzyńców czekające u bram. W *Za Rzeką Czarną* rolę tę pełnią Piktowie; w *The Gods of Bal-Sagoth*, opowieści z 1930 roku, której konstrukcja wygląda podobnie jak w *Czerwonych ćwiekach*, zagładę przynosi „czerwony lud”. *Czerwone ćwieki* będą odmienne w tym sensie, że żadne plemię barbarzyńców nie będzie czyhać u bram Xuchotl. Po raz pierwszy w twórczości Howarda proces cywilizacyjny, wraz z jego fazą dekadencją i schyłkową, doprowadzony zostaje do nieuniknionego końca. Xuchotl jest miastem „nienaturalnym” w sensie podsuniełym w *Za Rzeką Czarną*. Być cywilizowanym znaczy zostać całkowicie odsuniętym od przyrody i jej sił. To właśnie powód, dla którego to

miasto odcięte jest nie tylko od reszty hyboryjskiego świata i jego plemion barbarzyńskich, ale także, co równie ważne, odcięte od samej przyrody: Xuchotl jest całkowicie wyłożone posadzkami, zamknięte murami i dachem; światło jest sztuczne, podobnie jak żywność; Xuchotlanie jedzą „owoce, których nie sadi się w ziemi, ale które czerpią pożywienie z powietrza”. Co się tyczy samych Xuchotlan, wszyscy – poza Tascelą – urodzili się w mieście. Xuchotl jest typowym przykładem cywilizacji schyłkowej, tak jak widział ją Howard. To miejsce, gdzie, jak to ujął, „nienormalne staje się normalne”. Przy tak naznaczonych założeniach końcowy bilans tej historii nie jest zaskoczeniem. Tak jak było to w wypadku *Za Rzeką Czarną*, Howard miał do przekazania pewne posłanie i gotów był dojść wyznaczonym sobie kursem do samego końca.

Czerwone ćwieki są historią na tyle bogatą, że nie ma szansy na zgłębienie jej w obrębie tego eseju; dla przykładu wiele da się rzec o stosunkach pomiędzy Conanem a Valerią, w których, co całkiem kuszące, można dopatrywać się analogii do więzi Howarda z Novalyne Price, która miała niezły charakter. Valeria z Czerwonego Bractwa jest w rzeczy samej mile widzianą odmianą po paru kobiecych postaciach ją poprzedzających. (Jakkolwiek odmalowywał już wcześniej silne i ciekawe postaci kobiece, takie jak Bêlit z *Królowej Czarnego Wybrzeża* czy Sonya z Rogatino w historycznej przygodzie *The Shadow of the Vulture*). W Tasceli, kobiecym wampirze wzbraniającym się przed śmiercią poprzez żywienie się młodymi kobietami, walczącej o względy Conana i dlatego też zazdrosnej o Valerię, bardziej niż kuszące jest zobaczyć fikcyjne odwzorowanie matki Howarda, która zawsze była wrogo nastawiona do Novalyne Price. W Olmecu można by wówczas

dostrzec ojca Howarda, a w całej historii opowieść alegoryczną, w której Howard i Novalyne wkraczają do upadającego świata, którym stał się dom Howarda...

Teksańczyk wysłał *Czerwone ćwieki* Farnsworthowi Wtorightowi 22 lipca 1935 roku. Nazajutrz napisał do Clarka Ashtona Smitha: „Wczoraj wysłałem Wtorightowi trzyczęściowy serial *Czerwone ćwieki*, który, mam szczerą nadzieję, mu się spodoba. Historia o Conanie, najbardziej ponury, najkrwawszy i najbezwzględniejszy tekst w tej serii jak dotąd. Może trochę zanadto okrutny w swej wymowie, ale po prostu uczciwie opisałem to, co, jak wierzę, stanowiłoby reakcję pewnego rodzaju ludzi w sytuacji, na której oparta jest fabuła tejże historii”. W liście do Lovecrafta komentował później: „Ostatnia historia, jaką sprzedałem do »Weird Tales« – i być może ostatni tekst fantasy, jaki kiedykolwiek napiszę – jest trzyczęściowym serialem o Conanie, będącym najkrwawszą i najbardziej seksowną opowieścią niesamowitą, jaką kiedykolwiek napisałem. Byłem niezadowolony z ujęcia upadających ras w swoich utworach, gdyż przyczyną jest to, że degeneracja staje się w owych rasach tak powszechna, iż nawet w literaturze nie można pomijać jej jako pobudki oraz jako faktu, skoro literatura rości sobie jakiegokolwiek prawo do realizmu. Pomijałem ją we wszystkich pozostałych historiach, jako jedno z tabu, lecz nie zignorowałem jej w tym tekście. Kiedy i jeśli w ogóle kiedyś go przeczytasz, chciałbym się dowiedzieć, jak podoba ci się moje ujęcie tematu lesbijsstwa”. (Można się zastanawiać, czy rzeczywiście „lesbijstwo” stanowiło dla Howarda główny temat *Czerwonych ćwieków*. Utwór ten ledwie dotyka tej tematyki, za sprawą wampirycznej natury Tasceli, lecz nie było to niczym nowym po *Carmilli Le Fanu*^[6]).

Jak wspomina Howard, tekst został przyjęty przez „Weird Tales”, które rozpoczęło publikację odcinków kilka dni po samobójstwie pisarza i zakończyło wraz z ogłoszeniem w czasopiśmie wiadomości o jego śmierci. Był to ostatni utwór Howarda.

Jego zainteresowania oraz twórczość w ostatnich latach życia kierowały się coraz bardziej ku zachodowi. W tym okresie nie pisał opowieści fantasy. Dosłownie parę tygodni przed śmiercią pisał, iż rozważa stworzenie jakiejś fantasy. Dwie wersje tej nieukończonych historii osadzonej w szesnastowiecznej Ameryce, odnalezione w papierach po jego śmierci, dowodzą, że nie całkiem zarzucił pomysł pisania opowieści fantasy. Jednak to, czy ostatecznie powróciłby po pewnym czasie do Conana, stanowi pytanie, które musi pozostać bez odpowiedzi.

W 1935 roku Howard wysłał przez swego agenta Otisa Adelberta Kline’a kilkanaście tekstów do Anglii. Utwory, przesłane przedstawicielowi „Weird Tales” w Wielkiej Brytanii 25 września, obejmowały parę opowieści o Conanie: *Za Rzeką Czarną*, *Wiedźma się narodzi* oraz *Sługi Bit-Yakina*. Wydaje się prawdopodobne, iż Howard nie wiązał z nimi nadziei, gdyż wysłał nie maszynopisy, a kartki wyrwane z „Weird Tales”. Tak czy owak, nic z tego nie wyszło.

Ostatnie prace Howarda nad Conanem miały miejsce w marcu 1936 roku, kiedy dwóch fanów, John D. Clark oraz P. Schuyler Miller, przysłało mu list, w którym podjęli próbę ustalenia chronologii opowieści o Conanie. List Howarda, przytoczony w niniejszym tomie, stanowi lekturę nieodzowną dla każdego czytelnika zainteresowanego „biografią” Conana, jakkolwiek Howard miał być może niezły ubaw z ową dwójką fanów. Napisał,

dla przykładu, że Conan „odbył pierwszą podróż poza granice Cimmerii. Ta zaś, co może dziwić, skierowała go ku północy zamiast na południe. Czemu albo jak, tego nie jestem pewien, ale spędził on parę miesięcy wśród plemienia Æsirów, walcząc z Vanirami oraz Hyperborejczykami”. Clark i Miller mogli prawdopodobnie nie wiedzieć, że Teksańczyk nawiązywał w tym momencie do *Córki mroźnego olbrzyma*, drugiej z napisanych opowieści o Conanie, która została odrzucona przez Wtorighta i wciąż pozostawała nieopublikowana w oryginalnej postaci. Do odpowiedzi Howard załączył mapę, rozszerzoną w stosunku do naszkicowanych z grubsza w 1932 roku; była to ostatnia praca, jaką miał wykonać przy Conanie.

Robert E. Howard popełnił samobójstwo 11 czerwca 1936 roku. Jednakże Conan Cimmeryjczyk nadal jest z nami. Pomimo paru ciężkich lat zdołał przetrwać i nie wykazuje żadnych oznak słabości.

Długowieczność barbarzyńcy nie zaskoczyłaby Howarda.

Barbarzyńca musi zawsze ostatecznie zwyciężyć.

NOTY DO MASZYNOPISÓW ORAZ CHRONOLOGII TEKSTÓW O CONANIE

Patrice Louinet

LISTA ZACHOWANYCH MASZYNOPISÓW O CONANIE (lipiec 1934–lipiec 1935)

Ostateczne wersje opowiadań publikowane w „Weird Tales” zostały prawdopodobnie zniszczone zaraz po składzie drukarskim i dlatego nie dotrwały do naszych czasów.

Nawiązując do terminologii zastosowanej poniżej: wersja jest „niekompletna”, kiedy brakuje przynajmniej jednej ze stron, a „niedokończona”, gdy Howard nie skończył jej pisać. Niekiedy Howard tworzył jakąś wersję i przerabiał tylko jej część. Takie sytuacje powodują wprowadzanie dodatkowego podziału z zastosowaniem numerów (np. wersja b2 zawiera ponownie strony z wersji b1). W procesie przygotowania niniejszego tomu przebadano wszystkie wersje, chyba że wskazano inaczej.

Studzy Bit-Yakina

Wersja a, bez tytułu, strony 32 (numerowane 1–5, błędnie: 7–33).

Wersja b, stron 48.

Wersja c (ostateczna wersja dla „Weird Tales”), zachowana jako kopia wykonana przez kalkę, stron 56.

Za Rzeką Czarną

Wersja a, bez tytułu, stron 56.

Wersja b (ostateczna wersja dla „Weird Tales”), zachowana jako kopia wykonana przez kalkę, bez tytułu, stron 69.

Czarny przybysz

Szkic a, bez tytułu, bez interlinii, strony 2.

Wersja a, bez tytułu, zredukowana do szkicu, stron 64.

Wersja b1, niekompletna, strony 47–81 z 81.

Wersja b2, niekompletna, strony 47–93 z 93 (numerowane 47–59, 59–93) (strony 79–81 być może brakujące; do czasu niniejszej edycji nie zostały zlokalizowane).

Wersja c, ostateczna, stron 98 (plus odrzucona strona 35) (zachowana także jako kopia wykonana przez kalkę).

Dodatkowo do wersji ostatecznej Howard napisał dwustronicowe streszczenie pierwszej części tej opowieści, zamyślanej jako seria; niewątpliwie pojawiłoby się ono w „Weird Tales” – jeśli historia zostałaaby przyjęta – na początku drugiego odcinka.

Ludożercy z Zambouli

Szkic, strona 1.

Wersja a, zredukowana do szkicu, strony 24.

Wersja b, strony 33.

Wersja c (ostateczna wersja dla „Weird Tales”), zachowana jako kopia wykonana przez kalkę, stron 40 (strony 32 być może brakuje; do czasu niniejszej edycji nie została zlokalizowana).

Czerwone ćwieki

Wersja a, bez tytułu i niekompletna, strony 1–52 z 53?, zredukowana do szkicu (prawdopodobnie brakuje tylko ostatniej strony).

Wersja b, niekompletna, strony 27–91 z 91, zredukowana do szkicu.

Wersja c1, częściowa, strony 97–100 (wersja dla ostatnich paru stron z c2).

Wersja c2 (ostateczna wersja dla „Weird Tales”), zachowana jako niekompletna kopia wykonana przez kalkę, strony 17–102 ze 102 (strony 44–45, 47–51, 53, 56–77 być może zaginęły; do czasu niniejszej edycji nie zostały zlokalizowane).

Notatki bez tytułu (Westermarck...)

Strona bez interlinii.

Wilki za granicami

Wersja a, niedokończona i zredukowana do szkicu, stron 15.

Wersja b, niedokończona, stron 25.

NOTY DO ORYGINALNYCH TEKSTÓW HOWARDA

Materiały do niniejszego wydania tomu *Conan i miecz zdobywcy* przygotowali: Patrice Louinet, Rusty Burke oraz Dave Gentzel, z pomocą Glenna Lorda. Opowiadania porównano z oryginalnymi maszynopisami Howarda – ich egzemplarze udostępnił Glenn Lord oraz Biblioteka Publiczna w Cross Plains – bądź, gdy te okazywały się niedostępne, z pierwszymi wersjami, jakie wydano drukiem. Przejrzano także wszelkie istniejące wersje robocze opowieści, tak aby zapewnić jak największą dokładność. Podjęto każdy niezbędny wysiłek, aby dzieło Roberta E. Howarda zostało ukazane tak wiernie, jak to tylko możliwe.

[Od tłumacza: W niniejszym wydaniu, ze względu na nieprzystawalność wersji polskiej do angielskiej, poniżej podano wyłącznie informacje o zmianach ogólnych w tekstach, dotyczących imion i nazw. Pominięto zaś całkowicie zawarte w oryginale uwagi szczegółowe na temat poprawianych pojedynczych wyrazów, fraz, a nawet znaków przestankowych, gdyż odnoszą się one wyłącznie do oryginalnych wersji utworów Howarda].

Słudzy Bit-Yakina

Tekst pochodzący z wykonanej przez Howarda kopii przez kalkę, udostępnionej przez Glenna Lorda (strona 53 kopii była w tak złym

stanie, że musiała zostać przepisana przez Glenna Lorda, z uwzględnieniem układu strony i ostatecznych błędów Howarda. Kopia nie posiada tytułu pierwszego rozdziału; został on albo dodany przez Howarda bezpośrednio na maszynopisie, albo dodany przez redaktora „Weird Tales”.

Za Rzeką Czarną

Tekst pochodzący z wykonanej przez Howarda kopii przez kalkę, udostępnionej przez Glenna Lorda (strona 1 i 65 były w tak złym stanie, że musiały zostać przepisane przez Glenna Lorda, z uwzględnieniem układu strony i ostatecznych błędów Howarda). Rozdziały na kopii nie posiadają tytułów, z wyjątkiem pierwszego. Pusta linijka w nagłówkach każdego z rozdziałów w maszynopisie sugeruje, iż Howard zamierzał dodać tytuły; mogły być one obecne w maszynopisie przesłanym do „Weird Tales”. Jest także możliwe, że zostały dodane przez redaktora „Weird Tales”.

Czarny przybysz

Tekst pochodzący z maszynopisu Howarda, w posiadaniu Cross Plains Public Library. Oryginał posiada pewną liczbę komentarzy ołówkiem, niektóre z nich wyszły spod ręki Howarda. Pominęliśmy je, jako że odpowiadają one zmianom, jakie Howard wprowadził, kiedy przepisał to opowiadanie na nowo jako opowieść o Terensie Vulmei; jak to miał w zwyczaju, poprawki w wersji maszynopisu z Conanem Howard dopisał raczej na maszynie niż ołówkiem. Zainteresowany czytelnik może zajrzeć do wydania faksymile *Czarnego przybysza*, opublikowanego w 2002 roku przez Wandering Star.

Ludożercy z Zambouli

Tekst pochodzący z wykonanej przez Howarda kopii przez kalkę, udostępnionej przez Glenna Lorda (strona 32 kopii prawdopodobnie istnieje, lecz nie udało się jej zlokalizować na czas do przygotowania niniejszego woluminu; tekst tej strony od „kiedy wypędził mnie” do „w zasięg następnego” pochodzi z publikacji w „Weird Tales”.

Czerwone ćwiaki

Tekst pochodzący z „Weird Tales” – lipiec, sierpień–wrzesień oraz październik 1936 roku (trzyczęściowy serial). Na potrzeby niniejszej edycji zestawiono go z niekompletną, zachowaną kopią przez kalkę; zmiany w obrębie tekstu wydrukowanego są minimalne, polegające w większości na poprawie błędów zecerskich.

Notatki bez tytułu

Tekst pochodzący z oryginalnego maszynopisu Howarda, udostępnionego przez Glenna Lorda. W niniejszej edycji nie naniesiono żadnych zmian.

Wilki za granicami, wersja A

Tekst pochodzący z oryginalnego maszynopisu Howarda, udostępnionego przez Glenna Lorda. W niniejszej edycji nie naniesiono żadnych zmian.

Wilki za granicami, wersja B

Tekst pochodzący z oryginalnego maszynopisu Howarda, udostępnionego przez Glenna Lorda. W niniejszej edycji nie naniesiono żadnych zmian.

Czarny przybysz, szkic A

Tekst pochodzący z oryginalnego maszynopisu Howarda, udostępnionego przez Glenna Lorda. W niniejszej edycji nie naniesiono żadnych zmian.

Czarny przybysz, szkic B

Tekst pochodzący z oryginalnego maszynopisu Howarda, udostępnionego przez Glenna Lorda. W niniejszej edycji nie naniesiono żadnych zmian.

Ludożercy z Zambouli, szkic

Tekst pochodzący z oryginalnego maszynopisu Howarda, udostępnionego przez Glenna Lorda. W niniejszej edycji nie naniesiono żadnych zmian.

Czerwone ćwieki, wersja

Tekst pochodzący z oryginalnego maszynopisu Howarda, udostępnionego przez Glenna Lorda. W maszynopisie o podwójnej interlinii pomiędzy wersem zakończonym: „niezdolna” a początkiem następnego: „dojrzeć niczego ani ponad, ani poniżej siebie” wstawione zostało stwierdzenie: „szkielet na półce”. Zostało one dodane wyraźnie później z zamiarem rozbudowy w następnych wersjach. Stwierdzenie „Gałęzie zbyt delikatne na trzonki włócznie, a pnącza nie grubsze od sznura” zamieszczone zostało pomiędzy wersami maszynopisu o podwójnej interlinii bez wskazówki co do zamierzonego miejsca wstawienia.

List do P. Schuylera Millera

Tekst pochodzący z książki *The Coming of Conan* (Gnome Press, 1950).

Przypisy

[1] Joseph Christian Leyendecker (1874–1951) – jeden z najwybitniejszych ilustratorów amerykańskich XX wieku (przyp. tłum.).

[2] Boskie przeznaczenie (ang. *manifest destiny*) – wierzenie rozpowszechnione wśród mieszkańców dziewiętnastowiecznej Ameryki, iż przeznaczeniem USA jest rozprzestrzenianie się po kontynencie, nawet objęcie panowania nad całą zachodnią półkulą (przyp. tłum.).

[3] To mniej znana nazwa wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).

[4] Bloody Lincoln County War (ang.) wybuchła w 1878 roku pomiędzy wielkimi posiadaczami bydła w największym w owym czasie w kraju hrabstwie Lincoln. Uczestniczyło w niej wiele słynnych postaci Dzikiego Zachodu, m.in. Billy the Kid czy szeryfowie William Brady oraz Pat Garrett (przyp. tłum.).

[5] Ezaw, tzn. owłosiony.

[6] Gotycka nowela Josepha Sheridana Le Fanu, opublikowana w 1872 roku, o pewnej młodej kobiecie ulegającej względom wampirzycy o imieniu Carmilla (przyp. tłum.).

Tytuł oryginału: *The Conquering Sword of Conan*

Copyright © 2005 Conan Properties International, LLC. Used with permission. CONAN, CONAN RED NAILS, CONAN THE BARBARIAN, HYBORIA, HYBORIAN TALES, THE SAVAGE SWORD OF CONAN and related logos, names and character likenesses are trademarks or registered trademarks of Conan Properties International LLC in the United States and certain other territories. All rights reserved. This edition published by arrangement with Conan Properties International LLC.

Illustrations copyright © 2005 by Gregory Manchess

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2013

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Bogusław Jusiak

Opracowanie graficzne okładki: Jacek Pietrzyński

Ilustracja na okładce: © Gregory Manchess

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania
książkowego:
Conan i miecz zdobywcy, wyd. I, Poznań 2013)

ISBN 978-83-7818-199-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
www.rebis.com.pl

Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[W HOŁDZIE ROBERTOWI E. HOWARDOWI](#)

[Od tłumacza i redaktora wydania polskiego](#)

[Przedmowa](#)

[Wprowadzenie](#)

[Słudzy Bit-Yakina](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[Za Rzeką Czarną](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[V](#)

[VI](#)

[VII](#)

[VIII](#)

[Czarny przybysz](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[V](#)

[VI](#)

[VII](#)

[VIII](#)

[Ludożercy z Zambouli](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[Czerwone ćwieki](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[V](#)

[VI](#)

[VII](#)

[Varia](#)

[Notatki bez tytułu](#)

[Wilki za granicami Wersja A](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[Wilki za granicami Wersja B](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[Czarny przybysz Szkic A](#)

[Czarny przybysz Szkic B](#)

[Ludożercy z Zambouli Szkic](#)

[Czerwone ćwieki Wersja](#)

[Rozmaitości](#)

[List do P. Schuylera Millera](#)

[Mapa epoki hyboryjskiej](#)

[Legenda do map](#)

[Dodatki](#)

[Rodowód hyboryjski Część III](#)

[NOTY DO MASZYNOPIŚÓW ORAZ CHRONOLOGII TEKSTÓW O
CONANIE](#)

[NOTY DO ORYGINALNYCH TEKSTÓW HOWARDA](#)

[Przypisy](#)

[Karta redakcyjna](#)